JESZCZE MROCZNIEJSZA NIŻ *LONTANO* KONTYNUACJA BESTSELLEROWEGO THRILLERA

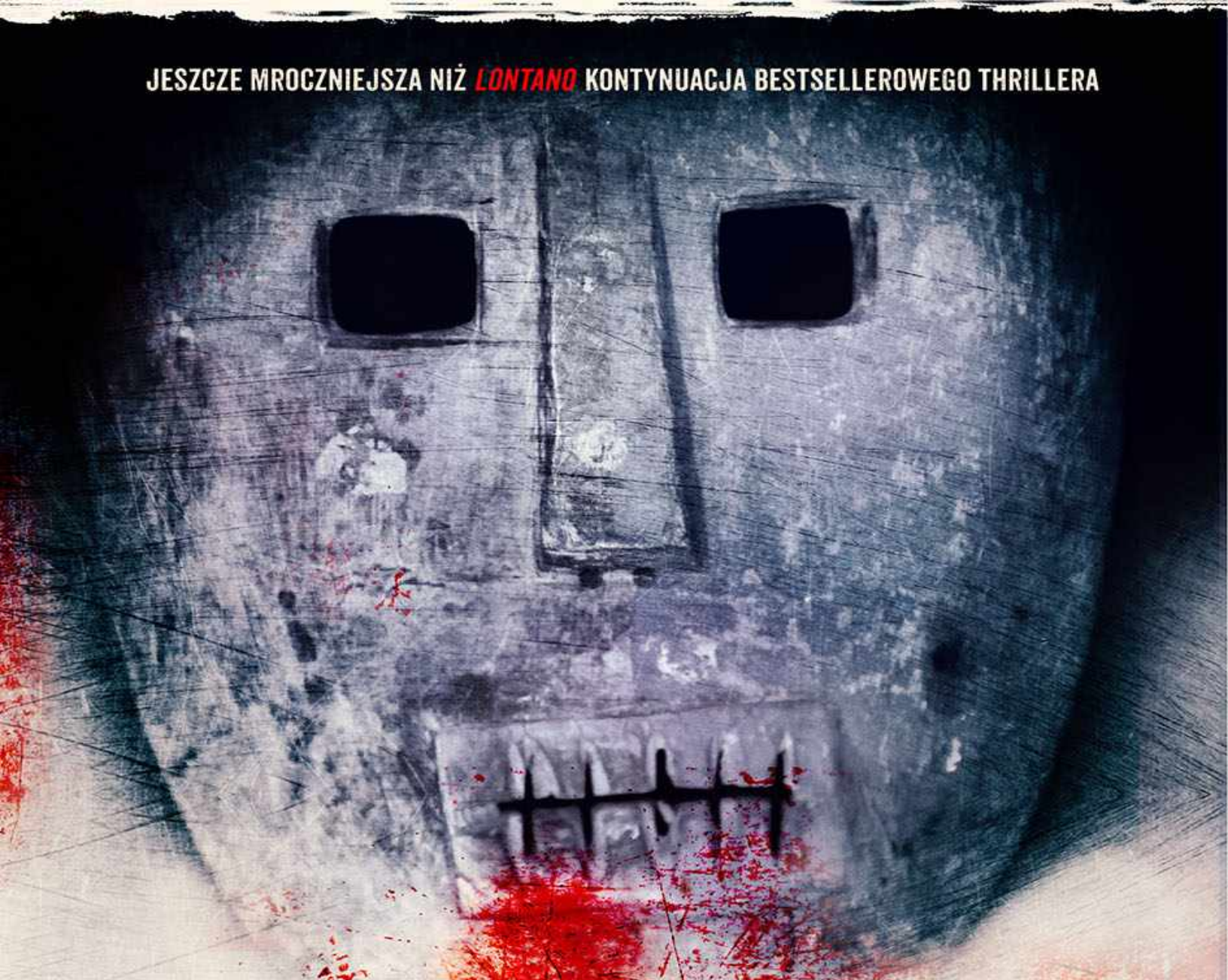

KONGO REQUIEM

Jean-Christophe Grangé

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Jean-Christophe Grangé

KONGO REQUIEM

Z języka francuskiego przełożyła
Krystyna Szeżyńska-Maćkowiak

WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Tytuł oryginału:
CONGO REQUIEM

Copyright © Editions Albin Michel - Paris 2016

Copyright © 2017 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2017 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Marcin Grabski i Olga Rutkowska
Korekta: Marta Chmarzyńska, Agnieszka Majewska, Aneta Iwan

ISBN: 978-83-8110-140-0

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!
Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.
Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28
e-mail: info@soniadraga.pl
www.soniadraga.pl
www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2017

Skład wersji elektronicznej:
virtualo
konwersja.virtualo.pl

SPIS TREŚCI

Część pierwsza. Czerwone jądro ziemi
1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
11
12
13
14
15
16
17
18
19
20
21
22
23
24

25
26
27
28
29
30
31
32
33
34
35
36
37
38
39
40
41
42
43
44
45
46
47
48
49
50
51
52
53
54
55
56
57

Część druga. Mały bękart

90
91
92
93
94
95
96
97
98
99
100
101
102
103
104
105
106
Część trzecia. Farmakon
107
108
109
110
111
112
113
114
115
116
117
118
119
120
121

122
123
124
125
126
127
128
129
130
131
132
133
134
135
136
137
138
139
140
141
142
143
144
145
146

Przypisy

CZĘŚĆ PIERWSZA
CZERWONE JĄDRO ZIEMI

1

Lotnisko w Lubumbashi, Kongo-Kinszasa. Przy wyjściu jarmarczny tłum, a w nim bandy kieszonkowców. Samolot przemalowany w pośpiechu. U jego stóp gromady czarnych ludzi i białych tobołków. Krzyki. Wymachiwanie rękami. Barwne tuniki. Tekturowe pudła. Czy tę walkę, te przepychanki należało uznać wyłącznie za przejaw lokalnych obyczajów? A może za zdumiewający przykład regresu społecznego?

Grégoire Morvan już od dawna nie zadawał sobie takich pytań. Wiedział, że na końcu pasa startowego sprzedawano porcje ludzkiego mięsa, kupowane na rodzinne uczty. I że przed startem pilot spotykał się w kokpicie ze swoim czarownikiem. I że większość części zamiennych przehandlowano chętnym, którzy przerobili je i zamontowali w zdezelowanych motocyklach. A jeśli chodzi o pasażerów…

Morvan nie leciał tym samolotem. Przyjechał tylko po to, żeby sprawdzić, czy jego jutrzejszy wylot jest przygotowany – wynajął antonowa, finansując to z własnej kieszeni. Sowicie opłacił celników, funkcjonariuszy urzędu celnego i wojskowych, nie pomijając „protokołu”, czyli niezliczonych pasożytów włóczących się po lotnisku i żyjących wyłącznie z łapówek. Dostarczył wszystkie wymagane dokumenty: plan lotu, kartę rejestracyjną, umowy ubezpieczeniowe, licencje pilotów, zezwolenia… Wszystko było sfałszowane, ale nikogo to nie obchodziło – w Kongu nie obowiązują wzory dokumentów, tu wystarcza byle kopia.

Razem z synem Erwanem przylecieli dwa dni temu do Lubumbashi po krótkim międzylądowaniu w Kinszasie. Dziewięć godzin lotu, żeby dotrzeć do stolicy Demokratycznej Republiki Konga, kolejne cztery do stolicy Katangi, najbogatszego, wciąż zagrożonego wojną regionu kraju.

Odbyli tę podróż razem, choć każdego sprowadzały tutaj inne sprawy. Erwan chciał grzebać w popiołach przeszłości. Szczegółowo przeanalizować tok śledztwa, które przed czterdziestu laty prowadził jego ojciec, tropiąc seryjnego mordercę atakującego białe dziewczyny

z Lontano, górniczego miasta w północnej Katandze. Zdaniem Erwana, Grégoire popełnił błąd – Catherine Fontana, siódma ofiara przypisana Człowiekowi Gwoździowi, została zamordowana przez kogoś innego. *Do diabła, co ty możesz o tym wiedzieć?*

Morvan zrobił, co mógł, żeby powstrzymać syna przed podejmowaniem tego wyzwania, kiedy jednak Erwan wziął bezpłatny urlop i kupił bilet lotniczy, stało się jasne, że nikt nie odwiedzie go od tego zamiaru. Postanowił więc mu towarzyszyć, tym bardziej że sam również miał w Katandze coś do załatwienia.

– Ruszamy, szefie?

Odwrócił się. Michel stał z wielkim pękiem kluczy na obrzeżu płyty lotniska, jakby uważał się za właściciela tego miejsca. Był niskim, chudym Afrykaninem o szyi długiej jak u żyrafy. Nosił przydomek Kudłacz, bo jego gęste, kręcone włosy tworzyły na głowie wielką czapę. Miał na sobie spodnie z tergalu i jaskrawą, wzorzystą koszulę. Michel był zaufanym Morvana, o ile w Lubumbashi w ogóle można było komuś ufać.

Morvan ruszył za Michelem w palących promieniach słońca. Czuło się tu tylko ten przytłaczający blask, niszczycielską jaskrawą biel, która zabijała każdą myśl i wszelką nadzieję.

Sprzęt zgromadzono w zamkniętym na cztery spusty hangarze, którego strzegli żołnierze. Kudłacz otworzył drzwi i przesunął jedną ich część.

– Proszę!

W świetle dnia ich oczom ukazały się dwie ciężarówki wywrotki marki Renault i trzy toyoty z napędem na cztery koła, z usuniętymi fotelami pasażerów – wszystko odkupione od innych firm wydobywczych. Morvan doprowadził do przegłosowania stosownego budżetu przez zgromadzenie ogólne Coltano – spółki górniczej, którą sam założył w latach dziewięćdziesiątych – pod pozorem potrzeby dokonania napraw instalacji w rejonie Kolwezi. W rzeczywistości zamierzał po cichu eksploatować nowe złoża odkryte przez geologów. To była dla niego istna manna z nieba.

Podszedł, żeby osobiście sprawdzić, czy koła, kierownice i silniki na pewno są jeszcze na miejscu.

– Paliwo?

– Tam.

Nie posunął się do sprawdzenia zawartości baryłek – miał na głowie ważniejsze sprawy.

– A reszta?

Michel zrobił minę konspiratora i wskazał wojskowe skrzynie ustawione w cieniu. Spokojnie wybrał klucz z pęku i otworzył jedną z nich. Zawierała około czterdziestu sztuk broni szturmowej, magazynki i pistolety. Czarni z buszu nie umieli posługiwać się takim sprzętem, ale Cross miał ich przeszkolić.

– Jak to zdobyłeś?

– Z MONUSCO[1].

Tysiące błękitnych hełmów zmagających się od prawie piętnastu lat z bagnem, jakim był ten kraj. Zaangażowanie dużych sił przyniosło marny skutek. W panującym tu chaosie co pewien czas ginęła broń, która potem znajdowała się w skrzyniach ukrywanych w takich właśnie hangarach…

Grégoire chwycił karabin FAMAS i wprawnym ruchem załadował. Ten prosty gest ożywił gorzkie wspomnienia. Lata walki, podbojów, brutalności w sercu Afryki – drogiej jego sercu, a zarazem znienawidzonej.

Wybrał glocka 9 mm, wsunął go za pasek na plecach i wsadził do kieszeni spodni kilka magazynków – prezent dla Erwana. Chciał sabotować to jego prywatne śledztwo, ale nie zamierzał pozostawić syna bezbronnego. *Co to, to nie*.

– Mamy również zapas M43 kaliber 7,62 mm.

Naboje używane do AK-47. Nie można było zapominać o klasyce – poczciwych starych kałachach nowoczesnych Afrykanów.

– Świetnie. Ilu ludzi zabieramy?

– Ośmiu.

– Jesteś ich pewien?

– Jak siebie samego.

– Zaczynam się bać.

Michel cmoknął, ale Morvan wcale nie żartował. Chociaż przed chwilą na krótko przypomniał sobie siebie jako dwudziestopięcioletniego wojownika, pioniera nowego świata, to teraz poczuł, że stoi nad grobem. A na pewno odczuwał zmęczenie na myśl o prowadzeniu przez busz bandy obiboków do ukrytych kopalń.

– Szefie, ci ludzie, których wybrałem, należeli do FARDC[2] i…

Morvan już go nie słuchał. Jeśli wszystko poszło zgodnie z planem – chociaż w Afryce to nierealne – oddalone o tysiąc kilometrów kopalnie były już przygotowane, a droga wykarczowana aż do lądowiska, które

znajdowało się dwadzieścia kilometrów od złóż. Mając ciężarówki, będą mogli przetransportować pierwsze tony koltanu do samolotu, co pozwoli błyskawicznie rozkręcić wydobycie. Zamierzał przez całe miesiące nielegalnie handlować z Rwandą, a kiedy już nabije kabzę, poinformować partnerów – władze Katangi, kongijskich akcjonariuszy, europejskich wspólników. I dopiero wtedy zacznie się dzielić pozostałymi skarbami.

Tak to wyglądało w teorii. Najświeższe wiadomości – lakoniczne e-maile, z których wynikało, że wszystko jest w porządku – nie napawały go optymizmem.

– Dobra robota, Michel.

Popatrzył na sprzęt i to poprawiło mu nastrój. Powiedział sobie, że mimo swoich sześćdziesięciu siedmiu lat wciąż może się bawić w afrykańskiego Fitzcarraldo. Prawdę mówiąc, to syn, wcielając się w rolę stróża sprawiedliwości, zmusił go do ruszenia tyłka z domu. Oby przynajmniej udało mu się odnieść podwójną korzyść – wzbogacić się i trzymać smarkacza na wodzy.

– Postaraj się, żebyśmy mogli odlecieć jutro przed południem.

– Nie ma problemu, szefie.

Morvan odszedł w prażącym słońcu. Miał na sobie prostą koszulę z niebieskiego lnu, która luźno powiewała na spodniach z beżowego płótna – zdobył się na takie ustępstwo wobec klimatu, choć zawsze nosił nienagannie skrojone czarne garnitury.

W dali warczały śmigła samolotu, ale uczepieni przesuwanych schodów ludzie nie rezygnowali, chociaż już odciągano je od maszyny. Bijatyka. Podrapał się po niesfornej czuprynie białego Murzyna i gestem ręki przepędził żebrzące dzieciaki, które właśnie go wypatrzyły.

Ta podróż będzie jego ostatnim kłamstwem.

2

Erwan siedział już przy stoliku na tarasie hotelowej restauracji, kiedy dołączył do niego ojciec, żeby zjeść kolację. Tuż przed siódmą wieczorem noc spadła jak zasłona.

– Lecimy jutro rano! – oświadczył triumfalnym tonem Morvan.

– Rozmawialiśmy przecież o tym sto razy – odparł Erwan, nie odrywając oczu od karty dań. – Nie jadę z tobą.

Morvan ciężko opadł na plastikowe krzesło. Erwan zauważył, że Padre odpowiada kongijskim normom: sto kilogramów wagi przy stu dziewięćdziesięciu centymetrach wzrostu.

– Jedziemy w tym samym kierunku, skorzystaj z okazji i leć ze mną.

– Nie. Chcę zachować niezależność.

Grégoire parsknął śmiechem.

– Mam nadzieję, że nie oskarżysz mnie o próbę przekupienia funkcjonariusza!

Erwan obserwował ojca, którego potężna sylwetka odcinała się od jasnej plamy podświetlanego basenu. Chmara komarów unosiła się nad turkusową wodą, rzucając na nią rozedrgany cień.

– Nie chcę mieć cię na karku – rzucił ostro. – Sam muszę zdobyć informacje. Muszę być niezależny. I obiektywny.

– Mówisz jak dziennikarz.

– Wygrzebywanie sprawy sprzed czterdziestu lat to raczej praca dla historyka.

Jechał do Katangi, nie wiedząc, co go tu czeka. Czasami podejrzewał ojca o krycie prawdziwego mordercy Catherine Fontany. Innym razem myślał, że stary działał w dobrej wierze i, podobnie jak wszyscy, był przekonany o winie Thierry’ego Pharabota. Prawdę mówiąc, trudno mu było wyobrazić sobie prowadzenie takiego śledztwa bez ekipy, bez zaplecza technicznego, bez śladów i świadków.

Podszedł do nich kelner. W mroku – taras oświetlały bowiem tylko tafla basenu i ultrafiolet lamp przeciw komarom – było widać zaledwie jego białą koszulę, muszkę i lamówkę kamizelki w serek. Ponieważ przestępował z nogi na nogę, lekko się kołysząc, wyglądał jak lunatyk bez głowy.

– Dwa razy ryba tygrysia. Dwa razy! – rzucił kategorycznie Morvan.

– Znowu?

– Tu nie ma nic innego. To najlepsza ryba rzeczna. Zjesz ją z ryżem i do jutrzejszego popołudnia będziesz miał spokój. Zyskasz dzień bez sraczki.

Zrobił mu ten numer już wczoraj i przedwczoraj. Trzymając się takiej diety, Erwan przez miesiąc nie uwolniłby się od zaparcia.

– Chcę poznać prawdę – podjął w zadumie. – Chyba mam do tego prawo?

– Oczywiście. Ale co właściwie jest przedmiotem twojego śledztwa? Morderstwo sprzed czterdziestu lat? Śmierć dziewczyny, o której nic nie wiesz? W mieście, które już nie istnieje? Skąd pewność, że nie zabił jej Człowiek Gwóźdź?

– W chwili jej śmierci przebywał osiemdziesiąt kilometrów od Lontano.

– Co ty możesz o tym wiedzieć? – nie ustępował stary, który oparł się łokciami o stół. – Myślisz, że w Afryce można liczyć na porządek w odnotowywaniu dat, odległości, polegać na zeznaniach? Zachowujesz się bezczelnie, chcąc sprawdzać moje śledztwo, badać wydarzenia, które nastąpiły, zanim się urodziłeś.

Erwan uznał, że nie może dać się sprowokować. Kolejne starcie między ojcem a synem nie miało sensu. Należało załagodzić sytuację.

– Właśnie – przyznał. – Tkwiłeś w tym po uszy. Przeżywałeś tragizm tamtych dni. Być może teraz, z dystansu…

Morvan rozchylił usta, jakby chciał krzyknąć, ale zdołał się opanować. Odrzucił głowę do tyłu, lekko się uśmiechając.

– Jesteś policjantem i wiesz równie dobrze jak ja, że fakty nie zawsze przystają do logiki i chronologii. Czy mimo tych niespójności nie wydaje ci się jednak najbardziej prawdopodobne, że ta dziewczyna została zamordowana przez zabójcę, który w ten sam sposób uśmiercił sześć innych osób?

Erwan wziął garść orzeszków pistacjowych. Jak co wieczór, na rybę trzeba było czekać tak długo, jakby dopiero po zamówieniu ktoś biegł nad

rzekę, żeby ją złowić.

– W takim razie znajdę dowody, które potwierdzą wyniki śledztwa, i załatwię sprawę w ciągu kilku dni.

– Ale skąd weźmiesz te dowody?

– Znajdę je w pełnych aktach procesu Pharabota.

– Już ich nie ma.

– Są. Odnalazłem je.

Ojciec zmarszczył brwi.

– Gdzie?

– Dwa kroki stąd. W kolegium Saint-François-de-Sales.

– Widziałeś je?

– Pójdę tam jutro rano. Uzyskałem już potwierdzenie, są tam przechowywane.

– Ktoś z ciebie zadrwił.

Erwan rozłożył ręce jak człowiek, który zdaje się na zrządzenie opatrzności. Te flegmatyczne reakcje irytowały ojca – czuł to i był zadowolony, że wyprowadza starego z równowagi.

– Zobaczymy – odparł z niezmąconym spokojem.

Morvan uderzył ręką w stół. Serwetki stłumiły brzęk sztućców.

– Kurwa, nie rozumiesz, że jesteśmy w Kongu! Ślady znikają po dwóch godzinach, raporty po dwóch dniach, archiwa po miesiącu. Są tylko trzy rzeczy, które przetrwały w tym pieprzniku: deszcz, błoto i busz. O reszcie możesz zapomnieć.

Erwan musiał przyznać mu rację. Wczoraj przemierzał miasto, szukając starych gazet. Ani śladu. Próbował dotrzeć do różnych instancji sądowych, jednostek administracyjnych. Bezskutecznie. Dziś udał się do ratusza, do archidiecezji w Lubumbashi, do biur spółek wydobywczych. Na próżno. Pozostało mu już tylko Saint-François-de-Sales.

– Domyślam się, że zaczniesz szukać świadków tamtych zdarzeń? – zagadnął ojciec.

– Spróbuję.

– A wiesz, jaka jest średnia długość życia w Afryce?

Erwan milczał. W końcu, daleki od zniechęcenia, olbrzym o kędzierzawych włosach uniósł do ust szklankę – koktajl z owoców egzotycznych, stronił bowiem zawsze od alkoholu.

– Ja w każdym razie życzę ci powodzenia!

Wznieśli toast na znak zakopania topora wojennego.

– Ale bez żartów – podjął życzliwym tonem stary. – Jak zamierzasz dostać się do Lontano?

– Dowiedziałem się, że jest regularne połączenie lotnicze do Ankoro, na zachód od jeziora Tanganika.

– Samoloty nie latają tam od miesięcy. Nie ma już nawet pasa startowego.

– Na lotnisku powiedziano mi co innego.

– Za bakczysz są ci tu gotowi obiecać, że możesz tam jechać na hipopotamie!

Erwan wzruszył ramionami i znów sięgnął po orzeszki.

– Załóżmy, że się tam dostaniesz – podjął ugodowo Morvan. – Ale to jeszcze daleko od Lontano, musisz jakoś pokonać ponad sto kilometrów na północ.

– Popłynę barką. Dowiadywałem się, na rzece jest ich sporo, bo zaopatrują przybrzeżne wioski. Nawet chińscy handlowcy korzystają z takiego transportu.

– Zdajesz sobie sprawę, że znajdziesz się w północnej Katandze?

– Co z tego?

– To, ptaszyno, że toczy się tam wojna.

Czekał na tę chwilę od przyjazdu – silny nacisk na konflikt w Kongu. Dlaczego nie? Przed wyjazdem przeczytał wszystko, co znalazł na ten temat, ale niewiele zrozumiał.

– Pozwól, że jeszcze raz wyjaśnię ci sytuację – ciągnął Morvan tonem wykładowcy.

Próbował już oświecić syna, kiedy przed dwoma miesiącami przyjechali na pogrzeb Philippe’a Sese Nseko, „nieodżałowanego” dyrektora Coltano, ale Erwan słuchał go jednym uchem, wtedy bowiem nie przyszłoby mu na myśl, że wkrótce znów znajdzie się w Kongu.

– W tym kongijskim bagnie nie warto szukać ani początku, ani końca, skoro jednak od czegoś trzeba zacząć, przyjmijmy, że zaczęło się od ludobójstwa w Rwandzie w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym roku. W ciągu kilku dni Hutu wymordowali milion Tutsi. Przeklęty afrykański obłęd, ale daruję sobie szczegóły, bo wszyscy je znają.

To był dopiero początek rzezi. Kiedy Tutsi odzyskali władzę w Kigali, Hutu uciekli w rejon Wielkich Jezior, na wschód Konga. W ciągu kilku dni

do Kiwu przybyły miliony uchodźców. Liczba ludności miast w ciągu jednej nocy się podwoiła, gdzieniegdzie wzrosła nawet trzy- lub czterokrotnie. Błyskawicznie urządzano obozy. Nikt nie wiedział, co począć z Hutu, obawiano się, że w ślad za nimi nadciągną żądni zemsty Tutsi.

Paul Kagame, nowy prezydent Rwandy z plemienia Tutsi, niezwłocznie wysłał swoje oddziały w pościg i wykorzystał sytuację, żeby usunąć starego Mobutu. Gdyby po rzezi własnego ludu ściął marszałkowi głowę, Zachód by mu przyklasnął. Ale on, chcąc usprawiedliwić inwazję, doprowadził do niby-rewolty w Kongu, wciągając do koalicji grupę dawnych rebeliantów. Był wśród nich Laurent-Désiré Kabila, stary bojownik z lat sześćdziesiątych, od dawna na emeryturze.

– W ten sposób zaczęła się pierwsza wojna kongijska – przerwał mu Erwan.

Grégoire westchnął. Wydawało mu się, że tylko on może mówić o sytuacji w Afryce. Zresztą właśnie dlatego powstrzymywał się od takich rozmów. Z jego punktu widzenia nie było tam ani problemu, ani szans na znalezienie dobrego rozwiązania. Tylko potworny zamęt, nad którym trzeba było panować na bieżąco.

– Pierwsza wojna trwała zaledwie kilka miesięcy. Był tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty siódmy rok. Kabila umocnił się i wyraził wdzięczność na swój sposób: zwrócił się przeciwko Kagame i wygnał z kraju tych „podłych najeźdźców” Tutsi.

Na ich talerzach nadal nie pojawiły się ryby. Wczoraj czekali ponad godzinę, a kiedy wreszcie kelner podał im dania, ryba była zimna, im zaś odechciało się jeść.

Erwan słuchał ojca jak odgłosów otaczającego ich buszu. To kipiące w ciemnościach życie dawało mu ukojenie. Od czasu do czasu rozbrzmiewała solowa śpiewka żaby olbrzymiej.

Nie chciał jeszcze porzucać roli wyzwolonego:

– Też o tym czytałem. W odwecie Kagame uzbroił swoich ludzi i znów zaatakował rejon Wielkich Jezior. To była druga wojna kongijska.

– Właśnie – przyznał powściągliwie Morvan. – Ale sytuacja się zmieniła. Kabila zdążył uformować oddziały, te sławne *kadogos* złożone z dzieci-żołnierzy. Uzbroił także Hutu, chociaż wcześniej sprowokował ich rzeź na wschodzie kraju. W dodatku zyskał nowych sprzymierzeńców: Angolę i Zimbabwe. Tymczasem Kagame sprzymierzył się z Ugandą i Burundi.

W centrum Afryki wybuchła wojna kontynentalna, która zapoczątkowała reakcję łańcuchową: Mai Mai, Banyamulenge, czyli kongijski odłam ludu Tutsi, i wielu rebeliantów. Nawet w szeregach regularnej armii kongijskiej dochodziło do waśni między dawnymi żołnierzami FAZ, sił zbrojnych Zairu, a *kadogos*, dziećmi-żołnierzami. Można by tak wyliczać bez końca…

– Z tego, co czytałem, sytuacja się uspokoiła?

– Gadanie! Nie wiem, ile razy podejmowano negocjacje, wprowadzano zawieszenie broni, zawierano przymierza. I za każdym razem konflikt wybuchał na nowo. Prawdę mówiąc, nikt nie wie, jak to się dalej potoczy.

– Nikt oprócz ciebie.

– Nie przypisuję sobie takiej wiedzy, mogę ci jednak powiedzieć dwie rzeczy, ponieważ to żadna tajemnica. Po pierwsze, ta wojna już dawno by się skończyła, gdyby nie toczyła się na jednym z najbardziej zasobnych skupisk złóż podziemnych na świecie. Po drugie, zawsze najbardziej cierpią cywile. Dotąd te konflikty pochłonęły pięć milionów istnień. To więcej niż Jugosławia, Afganistan i Irak razem wzięte. Oczywiście ginęły głównie kobiety i dzieci, dziesiątkowane przez epidemie, głód, gwałty, brak opieki medycznej.

Ledwie to powiedział, podano im ryby. Tym razem, mimo długiego oczekiwania i przygnębiającej rozmowy, rzucili się na jedzenie. Zapadła cisza. Przeżuwając pozbawione smaku danie, Erwan rozmyślał. Ojciec potwierdzał zgromadzone przez niego informacje, jednak fakty nabierały w jego ustach bardziej realnego wymiaru.

Po kilku minutach Erwan podjął:

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Czy teraz jest tam w miarę spokojnie, czy też nie?

– Siłom ONZ udało się częściowo opanować sytuację, owszem. W końcu zatrzymano przywódców, odbywają się rozmowy pokojowe, ale trwa także handel bronią, kopalnie pracują pełną parą i finansują różne „oddziały samoobrony”. Władze centralne nie mają na tym terenie nic do powiedzenia.

– Według moich źródeł na północy jest bezpiecznie. Wojna toczy się w Kiwu i…

– Czy ty mnie słuchasz? Powtarzam: tu nigdy nie wiadomo, co może się wydarzyć, zwłaszcza w rejonie Tanganiki. Oddziały Tutsi mogą pojawić się w każdej chwili i zaatakować FARDC.

– Ale ty tam jedziesz…

– Bo robię interesy.

Erwan wiedział, że ojciec zamierza potajemnie prowadzić wydobycie koltanu w nowych kopalniach w rejonie Lontano. Musiał przyznać, że dobiegający siedemdziesiątki Padre wciąż był facetem z jajami.

– Tak czy inaczej – podjął Morvan – obaj zmierzamy w tym samym kierunku, więc po prostu skorzystaj z mojego samolotu. Zostawię cię w Ankoro i wrócę po dwóch, trzech tygodniach w to samo miejsce. Będziesz miał dość czasu na szperanie.

Jak dotąd Erwan nie potrafił stwierdzić, czy w propozycji ojca kryje się jakiś podstęp, wiedział jednak, że Morvan nie miał powodu mu pomagać – wręcz przeciwnie. Szybko przeanalizował sytuację. Wspólny przelot z pewnością pozwalał mu zyskać trochę tak cennego czasu, a Grégoire miał na głowie ważniejsze sprawy niż pilnowanie go.

– Ale nie mogę lecieć przed drugą po południu – zaznaczył jeszcze, żeby zbyt łatwo nie ustąpić. – Muszę wpaść do Saint-François-de-Sales.

– Zaczekam na ciebie – obiecał Morvan, podając mu rękę.

Ściskając ojcowską dłoń, Erwan poczuł się, jakby zaciskał sobie pętlę na szyi.

3

Erwan szedł przez zalane słońcem, wyludnione miasto. Białe miasto szerokich alei, przy których zieleniły się palmy i wznosiły budynki z tarasami na dachach. Wiedział, że to tylko sen, ale ten sen miał niezwykłą moc – tworzył zamknięty świat, z którego Erwan nie potrafił się wyrwać.

Szedł z trudem, czując, jak stopy zapadają mu się w podłoże. Asfalt był jednak twardy, to jego ciało uginało się jak ulepione z błota. Jego kończyny nie miały już ani kości, ani mięśni. Jaskrawe światło odbierało mu resztki sił – topił się w tym skwarze…

Zauważył w cieniu bram brunatne plamy, które wyglądały jak sylwetki. Podszedł bliżej i ujrzał poczerniałe, ociekające tłuszczem skóry przybite do drzwi i rozciągające się na metr.

To ludzka skóra…

Przypomniał sobie, że to lokalna specjalność – garbarze wyprawiali tu wyłącznie ludzką skórę.

Rozległ się krzyk, potem drugi i jeszcze jeden. Erwan próbował przyspieszyć kroku, ale jego nogi coraz bardziej grzęzły w podłożu. Nie uciekał, tylko się zapadał… w sobie.

Wrzaski stawały się nieznośne, rozsadzały mu głowę, jak uderzenia w skorupę. Otworzył oczy. Ściany pokoju pulsowały za moskitierą. Głosy, zupełnie realne, dobiegały z zewnątrz. Zapach spalenizny unosił się w powietrzu. Usiadł i wreszcie zrozumiał, że gdzieś się pali.

Przez chwilę szarpał się z muślinem, zanim zdołał wydostać się z łóżka. Jego skóra lśniła od potu. Zataczając się, ruszył w stronę jaśniejszego kwadratu okna.

Drzewa zasłaniały ulicę, ale w dali było słychać wrzawę. Klienci i personel hotelu kręcili się po parku. Cienie wydłużały się i plątały na trawnikach. Erwan spojrzał na zegarek: była czwarta nad ranem.

Wskoczył w spodnie i koszulę, chwycił klucz i wyszedł. Nie próbował budzić ojca, przekonany, że ten jest już na dole. Stary nigdy nie spał,

w każdym razie nie tak jak normalny człowiek – żeby odpocząć i dać umysłowi pełną swobodę.

Kiedy wyszedł na zewnątrz, poczuł się jak mięso w piekarniku. Dziedziniec. Ulica. Cuchnący dym, który zatyka nozdrza i dusi płuca. Niebo było czerwone, iskrzyło jak ogromny kominek. Ludzie biegali, krzyczeli, popychali się. Odgadł, że ten tłum nie ucieka, ale w pośpiechu zmierza na miejsce katastrofy.

Podążając za wszystkimi, poddał się niepojętemu rozgorączkowaniu, które przypominało podskórny lęk, jaki w dzieciństwie wzbudza burza. Wydawało się, że wszyscy ulegli ambiwalentnym odczuciom, i trudno było powiedzieć, co brało górę – przerażenie, konsternacja czy radość. Także dzieci, ogarnięte istnym szaleństwem, pędziły do pożaru.

Skręcili w jedną z przecznic. Erwana zadziwiło, jak łatwo wszyscy ci ludzie wybiegli z domów w środku nocy. Lubumbashi zdawało się skupiskiem budowli właściwie pozbawionych ścian. Wciąż stało mu przed oczyma miasto ze snu – aleje, jasne fasady, natłuszczone skóry. Wcale nie przypominało tych mrocznych ulic bez latarni, gwarnych i zatłoczonych. Zrobiło mu się niedobrze.

Dotarli na plac, gdzie zamiast bruku była tylko ubita ziemia. Żyły miedzi, nici purpury przebijały się przez tę spękaną glebę, jakby drzemał pod nią wulkan. Tu niepodzielnie panowała panika. Kobiety i mężczyźni biegali bezładnie, nawołując się, przenosząc worki i różne przedmioty. Uciekali z tej okolicy, bojąc się, że wkrótce wszystko pochłonie ogień.

Na razie płonął tylko jeden budynek. Trzypiętrowy blok, z okien którego buchały żółtoczerwone płomienie i strugi czarnej smoły. Pożar napawał się własną siłą, panoszył się w upojeniu pośród nocy.

Erwana ogarnęło dziwne przeczucie. Złapał za ramię przebiegającą obok kobietę z dzieckiem pod pachą i miskami w wolnej ręce.

– Co to za budynek?

Uciekinierka spojrzała na niego zdumiona. Nie zrozumiała pytania, a może wydało jej się zbyt głupie.

– Co tu się pali? – zapytał znowu.

– Saint-François-de-Sales! Kolegium!

Puścił ją i spojrzał na budynek, w którym pokładał całą nadzieję. Teraz był to już tylko rozpalony do czerwoności szkielet – ściany osuwały się jak

topiący się cukier. Pomyślał o uczniach tej szkoły, ale oczywiście wewnątrz nikogo nie było.

Rozejrzał się i ocenił nader skromny sprzęt gaśniczy, którym posługiwali się strażacy – zwykli młodzi ludzie w szortach i koszulkach, wylewający wodę z wiader i worków, sypiący nabieraną łopatami ziemię w walce z ogniem. Toczyli ją pod okiem żołnierzy MONUSCO, którzy stali z założonymi rękami, czekając na rozkaz niewidocznego dowódcy.

Erwan skamieniał. W tym kolegium prawdopodobnie niewiele mogło się spalić, jeśli nie liczyć archiwum, na którego zbiory tak liczył. Nazwiska świadków, okoliczności towarzyszące zbrodniom Człowieka Gwoździa, protokoły z przesłuchań i procesu poszły z dymem na jego oczach.

Ledwie rozpoczął to śledztwo, a ono już się skończyło.

W tym momencie pomyślał o ojcu i zaczął go szukać. Wystarczyło, że się odwrócił – stary siedział tuż za nim, pod murem. Jego umazana sadzą twarz przypominała pośmiertną maskę. Sprawiał wrażenie człowieka, którego nie obchodzi pożar ani cała ta wrzawa – rysował coś patykiem na ziemi.

Czując, że jest obserwowany, uniósł głowę i zobaczył syna. Bezradnie wyciągnął rękę i Erwan zrozumiał, kto podłożył ogień w kolegium Saint-François-de-Sales.

4

– Teraz nic cię tu już nie zatrzymuje, więc możemy wystartować w południe.

– Odpieprz się!

O siódmej rano Erwan usiadł na wprost ojca, przy tym samym stoliku co wczoraj wieczorem – gdziekolwiek się jest, wystarczą dwa dni, żeby wyrobić sobie pewne nawyki. Erwan nie zdołał już zasnąć, targany gniewem i poczuciem bezradności. Czy powinien zrezygnować ze śledztwa? Wykluczone! Musiał przejść od razu do drugiego etapu i działać po omacku. Znaleźć ostatnich świadków w sprawie, nie znając nazwisk, nie mając żadnych informacji. Zrekonstruować fakty, daty i miejsca bez żadnych wskazówek.

– Jeżeli myślisz, że mam z tym coś wspólnego, to…

– Nie myślę, tylko wiem.

Morvan nalał mu kawy. W ciemnych okularach był bardziej nieodgadniony niż zwykle. Ubrał się w różową lnianą koszulę i kremowe spodnie z kantem. W jego obecności Erwan zawsze czuł się wymięty jak włóczęga.

– Młodzieńcza pewność… – szepnął Grégoire.

Powiedział to ironicznym tonem, jego syn przekroczył już bowiem czterdziestkę. Erwan założył ciemne okulary, żeby wyrównać szanse w tym pojedynku, i wypił kawę, a raczej lurę bez smaku i ledwie ciepłą. Za to rogalik był dziś smaczniejszy.

– Najlepiej będzie – odparł Erwan – jeżeli zaczniemy się wzajemnie ignorować. Jedź do swoich kopalni, a ja sam sobie poradzę.

– I nadal zamierzasz popłynąć tam rzeką? Taki *Czas Apokalipsy* w Kongu? Może lepiej sięgnij po literacki pierwowzór, powieść Conrada, który…

Nie słuchał ojca. Myślał o cudownym widowisku, jakie stworzył o świcie deszcz. Przez otwarte okno Erwan podziwiał lawinę mieniących się kropli, które zalewały ziemię, kiedy w powietrzu wciąż jeszcze unosił się zapach

spalenizny. Ulewa z pewnością pokonała ogień, ale tu nikt się nie pofatygował, żeby schować ławki, przesunąć stoliki i krzesła. Pozwalano, by gwałtowny deszcz wszystko moczył.

Kolejny rogalik. Im dłużej stary mówił, tym większą rozbudzał w nim bojowość. Nienawiść do ojca zawsze była jego pożywką.

– Pozwolisz przynajmniej, że udzielę ci kilku rad?

– Pod warunkiem, że przestaniesz się zachowywać jak król Konga.

– Rzecz w tym, że moja władza nie sięga poza granice Lubumbashi. Tam będziesz musiał unikać zwracania na siebie uwagi. Na północy moje nazwisko w niczym ci nie pomoże.

– Nie zamierzałem się nim posługiwać.

– Postarałeś się o zezwolenia?

Erwan ugryzł się w język, żeby nie zakląć. Myśląc tylko o śledztwie, nie poczynił żadnych przygotowań koniecznych do samej podróży.

– Co jest potrzebne? – rzucił niechętnie.

– Zezwolenie szefa prowincji, ministra turystyki, MONUSCO, urzędu odbudowy infrastruktury, urzędu górniczego… Lista chętnych do brania łapówek jest długa.

– Nic jeszcze nie mam – wyznał.

– Zacznij od najwyższego szczebla, żeby zamknąć innym gęby. A przede wszystkim nie mów, dokąd dokładnie chcesz jechać.

– A kiedy już będę na miejscu?

– Zapłacisz. Będzie trochę drożej, ale to drobiazg. – Morvan położył dłonie na stoliku, jakby rozwijał mapę Katangi. – Załóżmy, że zdobędziesz papierki i znajdziesz miejsce w samolocie do Ankoro… Potem popłyniesz tą twoją barką. Taki masz plan?

– Tak.

– A widziałeś kiedyś te barki?

– Nie.

– Przeważnie pływają po dwie. Mają po kilkadziesiąt metrów długości i zabierają wszystko, co się da: całe rodziny, bydło, żywność, sprzęt, paliwo, żołnierzy, księży, prostytutki… Czysty folklor.

– Jak długo trwa podróż do Lontano?

– Kilka dni. Nie ma reguły. Teraz, w związku z zagrożeniem wojną, zatrzymują się wszędzie tylko na chwilę. Wysadzają ludzi, wyładowują

żywność, leki organizacji pozarządowych, czasem broń, i natychmiast odpływają, żeby nie zwrócić na siebie uwagi żadnej milicji.

– A co potem? Kiedy będę mógł wrócić barką?

– Barki nie wracają. Przynajmniej nie po tej stronie rzeki.

– Ale przecież są jakieś łodzie do Ankoro?

– Być może, jeśli jednak zostaniesz w Lontano, masz zerowe szanse przeżycia. Musiałbyś przeprowadzić śledztwo podczas kilkugodzinnego postoju. Potem wróciłbyś na pokład, dziękując Bogu, że wciąż jesteś cały.

– Wczoraj proponowałeś, że mnie tam zostawisz na tydzień albo dwa.

– Ale z moją eskortą. Sam nie przetrwasz nawet dnia.

– To jakiś absurd.

– Nie ja to powiedziałem. Rzeczywiście, taka podróż tylko po to, żeby spędzić na miejscu godzinę czy dwie…

Wymknęło mu się pytanie godne żółtodzioba:

– Czy ta rzeka to już Kongo?

– To górny odcinek, Lualaba. Zabrałeś chininę?

– Lariam.

– To źle: meflochina ma czasem potworne działania uboczne. Widziałem ludzi, którzy wpadali w obłęd, tracili wzrok albo dostawali przez to świństwo zawału.

Erwan milczał, ale jego mina była wymowna – nie chciał, żeby ojciec traktował go jak dziesięciolatka.

– Podróżowałeś już kiedyś po niebezpiecznych krajach?

– Po Indiach, kiedy szukałem Loïca.

– Nie ma porównania.

– Pełniłem tę misję w Gujanie i…

– To Francja.

– Co próbujesz mi powiedzieć?

Morvan pochylił się nad stołem jak stary pirat w kącie tawerny:

– Że Kongo-Kinszasa tkwi w epoce kamienia łupanego. Wystrzegaj się skaleczeń, bo infekcja zabije cię w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Nigdy nie pij wody, której nie oczyściłeś. Stosuj środki odstraszające owady, ponieważ w buszu najczęściej owady roznoszą choroby.

– Wziąłem ze sobą apteczkę.

– W takim razie pilnuj jej jak biletu powrotnego. I oczywiście nie zadawaj się z czarnymi kobietami.

Morvan podniósł z ziemi plecak firmy Eastpak i postawił go na kolanach. Wyjął jakieś zawiniątko i położył je między kawą a rogalikami.

– Już nie powiesz, że o tobie nie myślę.

Erwan uniósł rąbek płótna i zobaczył polimerową czarną rękojeść z logo GLOCK, w którym „G” obejmuje inne litery.

– Magazynki są w plecaku – dodał Grégoire, chowając broń. – To dobry sprzęt, kradziony siłom MONUSCO.

Erwan starał się ukryć osłupienie.

– Bardzo ci dziękuję, ale nie sądzę, żeby był mi potrzebny.

– Więc się mylisz i dlatego powinieneś mnie słuchać. – Znów sięgnął do plecaka, tym razem po telefon większy od przeciętnych i z potężną anteną.

– To Iridium. Z niego będziesz mógł do mnie zadzwonić zewsząd, choćbyś znalazł się w sercu lasu. To sprzęt do takich potrzeb.

– Chcesz powiedzieć: gdybym wpadł w tarapaty?

Tym słowom towarzyszyły drwiąca mina i bezsensownie wyzywające spojrzenie.

– Będę około pięćdziesięciu kilometrów w górę rzeki, w ciągu dwudziestu czterech godzin mogę ściągnąć tam samolot. Mój numer jest w pamięci telefonu.

Erwan przysiągł sobie w żadnym razie nie kontaktować się z ojcem. Zdawał sobie sprawę, jak drażliwa jest kwestia jego śledztwa: szukał zabójcy Catherine Fontany, w głębi ducha liczył zaś, że przyskrzyni własnego ojca, a ten mimo wszystko ciągle go chronił.

Stary zasunął zamek błyskawiczny i podał plecak Erwanowi, który skinął głową, w ten sposób dziękując.

Kolejna kawa. A po niej ostatnia porcja wskazówek na drogę:

– Musisz sobie uświadomić, że wojownicy, których tu spotkasz, nie mają nic wspólnego z mordercami, jakich widujesz w trzydziestce szóstce. Większość z nich to kanibale, mają głowy nabite niesamowitymi wierzeniami. Mai Mai myślą, że w zetknięciu z ich ciałami kule zamieniają się w krople wody, Tutsi noszą ze sobą sakwy pełne ludzkich genitaliów, a Hutu gwałcą kobiety na trzewiach ich zamordowanych mężów.

– Przypominam ci, że pracuję w kryminalnej.

– Przecież mówię… Tu nie chodzi o gościa, który zabił żonę, ani nawet o psychopatę mającego na koncie kilka ofiar. Mówię o szaleńcach, którzy uśmiercili setki ludzi, którzy są zdolni zmusić kobietę do zjedzenia

własnego dziecka, poćwiartowanego i ugotowanego na jej oczach. Gdybyś spotkał tych ludzi, nie próbuj bawić się w superglinę.

Erwan udawał, że zapamiętał wszystkie nauki ojca. Prawdę mówiąc, wcale mu nie wierzył. Te potworności były echem krążących po buszu legend, które w przekazach ulegały zniekształceniom.

Poza tym zamierzał unikać wojowników. Nie przyjechał tu, żeby ocalić świat, musiał tylko odszukać świadków, odświeżyć im pamięć i odkryć, co naprawdę stało się w kwietniu 1971 roku w Lontano. To wszystko.

– Idę się pakować – oznajmił Morvan, wstając. – Nie będziesz żałował?

– Poradzę sobie, tato, nie nalegaj.

Grégoire poklepał go po plecach.

– Wrócę, zanim zdążysz wyjechać.

5

Kiedy Morvan wchodził do holu, portier poinformował go, że ktoś czeka na niego za hotelem, w patio zwanym, nie wiedzieć czemu, „atrium”.

– Kto?

Czarny uśmiechnął się bezradnie – nie miał pojęcia albo nie mógł powiedzieć. Grégoire zaklął pod nosem i przeszedł przez recepcję, żeby skorzystać z korytarza zarezerwowanego dla obsługi. Ranek źle się zaczynał.

Po tylnym dziedzińcu krążył olbrzym w ciemnym garniturze i ray-banach na czole – był tak barczysty, że zdawał się wypełniać całą przestrzeń. Generał brygady Trésor Mumbanza we własnej osobie przybył w towarzystwie zbira wysokiego jak on, ale znacznie drobniejszego i ubranego w mundur polowy.

– Witaj! – zawołał olbrzym, rozkładając ramiona.

– Właśnie zamierzałem do ciebie zadzwonić – skłamał Morvan.

– Mam nadzieję! Nikt mnie nie uprzedził o twoim przyjeździe!

– Niedopatrzenie w biurze.

Mimo pewnej niechęci i kiepskiego nastroju Morvan docenił urok miejsca wybranego na to spotkanie. Właśnie takie ciche zakątki pozwalają poczuć, że przenika się do serca Afryki. Ziemię w patio zaścielały czerwone wióry i liście, które opadły nocą. Dalej otoczony przeszklonymi ścianami zaniedbany ogród krył sporo drzew o szarej korze i potężnych korzeniach. Wyglądało to trochę jak szklarnia pod gołym niebem, namiastka lasu tropikalnego.

Goryl przyniósł plastikowe krzesło i podsunął je Morvanowi. Był to raczej rozkaz niż kurtuazja. Usiadł, dwaj rozmówcy stali.

– Przyszedłem przynieść ci zezwolenia. Na podróż nad Tanganikę.

Mumbanza wręczył mu kartonową teczkę, która już przesiąkła wilgocią. Zawierała niemal kilogram papierów: podpisanych, kontrasygnowanych,

opatrzonych pieczęciami i potwierdzonych przez armię potulnych urzędników.

– Kto ci powiedział, że jadę na północ?

– Cii, cii… Dobrze wiesz, że wiem wszystko, kuzynie.

Kudłacz zdobył samochody w dobrym stanie, paliwo, broń, ludzi. Trudno było wymagać, żeby na dokładkę był również dyskretny.

– Wyruszam na rekonesans – oświadczył tylko.

– Mam wrażenie, że zabierasz ze sobą sprzęt do transportu minerałów.

Mumbanza, zwany w Lubumbashi „Bossem”, był panem Katangi, dowódcą wojsk prowincji, człowiekiem, który nie pozwalał, żeby wojna ogarnęła najbogatszy rejon Konga. Kiedy zamordowano Philippe’a Sese Nseko, lokalnego dyrektora Coltano, generał został jego naturalnym następcą na czele spółki. Nie znał się na górnictwie, ale mógł zapewnić spokój w rejonie złóż, a to było najważniejsze. Ta nowa funkcja nie przeszkodziła mu w sięganiu po inne i wszyscy wiedzieli, że chciał zostać gubernatorem Katangi.

– Prowadzisz rekonesans w ramach Coltano?

– Nie. Dla Kabili.

Czarny zmarszczył brwi:

– Od kiedy pracujesz dla naszego kraju?

– Od chwili, kiedy poprosił mnie o to Kabongo – zmyślił.

Nazwisko szarej eminencji złóż naturalnych Demokratycznej Republiki Konga zrobiło oczekiwane wrażenie. Nawet pięćset kilometrów od Kinszasy lepiej było nie drażnić władzy centralnej. Zdarzało się, że ktoś tracił pozycję albo nawet znikał z bardziej błahego powodu.

– Czyżbyś pracował w ramach nadgodzin?

– W rejonie Tanganiki jest teraz spokojniej, więc sprawdzę, co można by tam eksploatować.

– Gdzie mniej więcej są prowadzone poszukiwania?

Morvan skwitował to pytanie uśmiechem. Niepostrzeżenie odzyskiwał panowanie nad sytuacją. Mumbanza prawdopodobnie nie wierzył w jego kłamstwa, jak jednak miał cokolwiek zweryfikować?

– Mam nadzieję, że nie prowadzisz interesów kosztem własnej firmy…

– Dlaczego miałbym to robić?

– Ponieważ w zeszłym miesiącu sprzedałeś wszystkie akcje.

Zawsze go zdumiewało, jak dobrze poinformowani są Kongijczycy. Po śmierci Nseko w Coltano wszystko szło nie tak, kurs akcji nagle wzrósł na skutek ich tajemniczego skupu. A Morvanowi zależało przede wszystkim na tym, żeby nie interesowano się jego spółką i nie odkryto istnienia nowych złóż. Obawiał się także, że afrykańscy partnerzy mogliby podejrzewać, że to on stoi za wykupem akcji. W końcu udało mu się ugasić pożar, wyprzedając ze stratą własny pakiet.

– To już inna historia. I mam nadzieję, że należy do przeszłości.

Czarny klasnął w dłonie, nagle znów pogodny.

– Pozwól, że ci przedstawię pułkownika Laurenta Bisingye, nowego komendanta sektora operacyjnego północnej Katangi. Teraz, kiedy ja bawię się w cywila, on dba o żołnierzy!

Oficer zbliżył się o krok i skłonił głowę. Mierzył ponad metr dziewięćdziesiąt, a wydawał się lżejszy od suchych liści pod ich stopami. Teraz Morvan go poznał. W 1994 roku setki tysięcy niewinnych Tutsi zostało w okrutny sposób wymordowanych przez Hutu, ale inni Tutsi, wyszkoleni i uzbrojeni w Ugandzie, w niczym nie ustępowali bestialskim ludobójcom. Bisingye należał do ich grona. Tworzył w Kiwu milicję i wyrobił sobie straszliwą reputację, wymyślając tortury. Zasłynął głównie z topienia plastiku w sromach małych dziewczynek i noworodków. To nie przeszkadzało mu głęboko wierzyć w Boga i gdyby nie był żołnierzem, zostałby księdzem. W Królestwie Niebieskim nie było miejsca dla Hutu.

Wyglądał na tego, kim był. Kościstą twarz o ostrych jak brzytwa rysach, typową dla jego plemienia, znaczyły poprzeczne blizny. Nie były to rany zadane nożem, lecz nacięcia, które robił sobie jako wojownik. W Afryce granica między stygmatami cierpienia a symbolami odwagi jest szczególnie cienka.

– W razie jakichkolwiek problemów na miejscu zawsze możesz się do niego zwrócić – dodał Mumbanza.

Morvan nie wątpił, że będzie miał problemy, i był pewien, że przyczynią mu ich zwłaszcza sprzymierzeńcy Bisingye. Wówczas powinien zwrócić się do oficera. To właśnie chciał mu powiedzieć Mumbanza – tam biały mógł łatwo wyparować.

Wstał i uścisnął kurzą łapkę pułkownika.

– Bardzo mi miło.

Oprawca nie odezwał się ani słowem, nawet się nie uśmiechnął. Grégoire usiadł, pogrążając się w mrocznych rozmyślaniach. Żeby eksploatować nowe kopalnie, musiał zawrzeć pakt z Kabongą za plecami władz kraju. Jeżeli stanie się coś nieprzewidzianego, będzie musiał dogadać się także z Mumbanzą – za plecami Kabongi.

W tym tempie zyski zaczną topnieć jak śnieg w wiosennym słońcu.

Generał rozprawiał o obecnej sytuacji, ostrzegając go przed możliwością starć między wojskami Rwandy i Konga na linii rzeki. Mówiło się nawet o wzmożonych transportach broni.

Morvan w to nie wierzył. Zresztą w tej chwili nic go to nie obchodziło – trwał w swoistym półśnie, ukołysany szmerem zieleni. Z gigantycznych drzew zwieszały się liany, pył wirował w smugach światła słonecznego, owady tańczyły w porannej mgiełce. W powietrzu unosiła się woń grzybów przemieszana z zapachem kory. Przypominało mu to bardzo odległe, ale znajome miejsce. Jakąś piwnicę, do której docierają promienie boskiego światła.

– Czy ty mnie słuchasz?

– Wybacz – powiedział wyrwany z zadumy. – Co mówiłeś?

– Pytałem, co robi tu twój syn.

Erwan stałby się piętą achillesową Morvana, zwłaszcza gdyby został w Lubumbashi. Ktoś mógłby bez problemu namierzyć dzieciaka i w ten sposób wyrwać dla siebie sporą część tortu.

– To nie ma ze mną nic wspólnego. Przyjechał zebrać informacje do śledztwa, które prowadzi w Paryżu.

– Wujaszku, Katanga jest naprawdę daleko od Panamy.

– We wrześniu we Francji popełniono serię morderstw, wzorując się na Człowieku Gwoździu.

Wzmianka o tym mordercy wywoływała w Kongu takie wrażenie, jak przywołanie imienia Kuby Rozpruwacza w Anglii albo Błękitnobrodego we Francji. Był seryjnym mordercą, o którym wszyscy tu słyszeli. Może nawet dumą narodową. Mumbanza pokiwał głową – dotarły do niego echa tej sprawy.

– Erwan dopadł winnego… – podjął Francuz.

– Chciałeś chyba powiedzieć, że go zabił.

Morvan udał, że nie słyszy.

– Przyjechał, żeby zapoznać się z aktami z procesu Pharabota, a potem zamknąć śledztwo.

Olbrzym przechadzał się wolnym krokiem po patio, od czasu do czasu unosząc czubkiem buta liść.

– Podejrzewałem, że za tą historią z pożarem w kolegium kryją się jakieś grzeszki.

Zaśmiał się zadowolony z tej uwagi, po czym rzucił Morvanowi ostre spojrzenie.

– Słyszałem, że to wypadek – odparł Francuz.

– Cała Afryka to jeden wielki wypadek.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że ktoś sprzątał. Stare akta przechowywano w Saint-François-de-Sales. Nikt nie lubi, kiedy grzebie się w cuchnącym bajorze przeszłości.

Morvan dziękował niebiosom, że ten łajdak urodził się po wszystkim i mógł tylko podejrzewać, jak straszna była skrywana prawda.

– Zatem wkrótce wyjedzie? – podjął czarny, wsunąwszy ręce do kieszeni.

– Przed powrotem do Francji chce sprawdzić jeszcze pewne tropy.

– Tu?

– W Lontano.

– Nie uzyska zezwoleń.

Generał zaczynał go irytować tą postawą pana i władcy.

– Chyba że ja się o nie postaram.

Mumbanza stanął nad nim. W promiennym słońcu, wśród tych drzew, które zdawały się stare jak świat, osiągał mityczny wymiar, niczym jeden z gigantów kosmologii Dolnego Konga, tej, która stała się inspiracją Człowieka Gwoździa.

– Naprawdę tego chcesz? A może dobremu białemu tatusiowi wcale nie jest na rękę, żeby synek grzebał w jego przeszłości?

– Zaczynasz mnie irytować – warknął Morvan, wstając. – Muszę przygotować się do podróży.

Trésor lekko się skłonił, przepraszając rozmówcę. Był to teatralny gest, wsparty grymasem i przerysowany. *Commedia dell’arte* w sosie pili-pili.

– Pontoizau nie pozwoli twojemu synowi jeździć po kraju.

– Kto taki?

– Nowy dowódca MONUSCO. Z tym gościem naprawdę nie ma żartów.

Morvan przypomniał sobie, że natknął się na niego na lotnisku – Kanadyjczyk, za którym łaził człowiek z karabinem FAMAS. Erwanowi rzeczywiście trudno będzie ruszyć się z Lubumbashi.

Uznał, że powinien zakończyć to spotkanie rozmową na temat niebudzący kontrowersji:

– A co z Nseko? Śledztwo zbliża się do końca?

– Jakie śledztwo? – odparł Mumbanza, wybuchając śmiechem.

Bembę znaleziono w jego willi, z rozpłataną piersią i wyciętym sercem. Zabójca – albo zabójcy – użyli piły tarczowej. Nikt nie starał się wykryć sprawców tej zbrodni, zapamiętano tylko jej symboliczny wymiar: Nseko zawinił i spotkała go za to kara. W kraju od dwudziestu lat pogrążonym w wojnie było to dość banalne.

– Życzę ci szczęśliwej podróży, bracie – rzucił generał. – Od czasu do czasu daj znak życia.

Zamyślony Morvan odprowadził spojrzeniem odchodzącego generała. Kto zabił Nseko? Tutsi, dla których był konkurentem na rynku koltanu? Wspólnicy, z którymi handlował na własny rachunek? A może sam Mumbanza? Chyba przyszła pora poważnie się nad tym zastanowić.

Nseko był jednym z nielicznych Kongijczyków wiedzących o nowych pokładach. Czy przed śmiercią zdradził tę tajemnicę? Jeśli tak, to i na Morvana czekają już na wzgórzach z piłami elektrycznymi w rękach.

Jakby na potwierdzenie jego podejrzeń, Mumbanza odwrócił się i objął ręką ramię swojego złowrogiego cerbera.

– Ale przede wszystkim – rzucił rozbawiony – w razie kłopotów skontaktuj się z obecnym tutaj pułkownikiem Bisingye!

6

– Dawno pani nie widziałem.

– Dzwonił pan do mnie.

– Niepokoiłem się.

– Wiem, co mi pan powie.

– Proszę mnie w takim razie wyręczyć.

– Terapia musi być prowadzona regularnie. Nie przychodząc, zniweczyłam to, co już osiągnęliśmy. Nie mam szansy na wyleczenie.

– W tej dziedzinie nie można mówić o… wyleczeniu.

Gaëlle westchnęła.

– Weszłam tu niespełna pięć minut temu, a już udało się panu zirytować mnie bufonadą. Niech pan przestanie dzielić włos na czworo.

– Proszę usiąść.

– Wolę miejsce na kanapie.

– Niech i tak będzie.

Położyła się i poczuła dziwnie znajomy dotyk haftowanej nepalskiej poduszki. Już jako nastolatka, gdy zachorowała na anoreksję, stała się bywalczynią gabinetów psychiatrycznych i psychoanalitycznych. Od pewnego czasu jej terapią zajmował się Éric Katz. W maju postanowiła zrezygnować z jego usług i nawet go o tym nie powiadomiła.

Ten człowiek odcisnął na niej piętno silniejsze niż jego poprzednicy, ale dramatyczne przeżycia z września pogrzebały to wszystko. A teraz on zadzwonił, żeby się dowiedzieć, co się z nią dzieje. Zgodziła się na spotkanie – bez zobowiązań. Zrobiło jej się ciepło na sercu, któż bowiem nie kocha się w swoim psychoterapeucie?

Milczała, pozwalając, by cisza wypełniła gabinet. Wracała pamięcią do tych spotkań, podczas których nie powiedziała ani słowa. *To było wieki temu…* Teraz się rozglądała, przypominając sobie różne szczegóły. Rysy na suficie. Książki Freuda i Lacana, które mogła ogarnąć spojrzeniem, kiedy zwracała oczy w górę. Unoszący się w pomieszczeniu zapach cedru. Czuła się, jakby zanurzała się w ciepłej kąpieli, która powoli ją rozbrajała.

Tej ciszy nie wytrzymał Katz.

– Jednak coś o pani wiedziałem.

– Od kogo?

– Ze Szpitala Świętej Anny.

– Ta wasza korporacja jest jak Stasi.

– Nie przesadzajmy, prowadzę pani kartę choroby, jestem pani psychiatrą, więc…

– To oni się z panem skontaktowali?

– Tak, nazajutrz po pani hospitalizacji.

– I o wszystkim panu powiedzieli?

– W ogólnym zarysie, ale chciałbym przeanalizować z panią to, co się tam wydarzyło.

Czar spotkania z dawnym znajomym prysnął. W ciągu kilku sekund kanapa przeistoczyła się w grill. Gaëlle wciąż milczała. Psychiatra już nie zakłócał ciszy. Można było pomyśleć, że wymknął się przez jakieś ukryte drzwi.

– Miałam plan… – odezwała się w końcu Gaëlle. – Zamierzałam zniszczyć ojca.

– Często o tym mówiliśmy.

– Nie. Tym razem miałam w ręku silne argumenty, mogłam go unicestwić.

– W jaki sposób zamierzała pani tego dokonać?

– Przypadkiem zdobyłam poufne informacje o złożach koltanu w Kongu.

– Co to jest koltan?

– Rzadki minerał występujący w środkowej Afryce. Wykorzystuje się go do produkcji elementów elektronicznych, szczególnie w telefonach komórkowych i konsolach do gier. Ojciec zbił na tym majątek.

– Wydawało mi się, że był prefektem.

– Jedno nie wyklucza drugiego. Niezależnie od pracy w policji zawsze prowadził interesy w Kongu.

Zamilkła. Przez chwilę psychiatra także się nie odzywał. Może coś notował…

– Jakiego rodzaju były te informacje?

– W ubiegłym roku ekipa poszukiwawcza odkryła spore złoża w strefie kontrolowanej przez spółkę ojca. Mimo trwającej tam wojny istniała możliwość ich eksploatacji. Ale nie wiedział o nich nikt poza ojcem.

– Sprzedała pani te informacje?

– Nie, ujawniłam je zupełnie za darmo znajomym bankierom.

– Gdzie ich pani poznała?

– Dobrze pan wie.

Znów zapadła cisza. Psychiatra jej nie osądzał.

– Na czym dokładnie polegał ten plan?

– Właściwie nie wiem, zupełnie się nie znam na finansach, ale intuicja podpowiedziała mi, że te informacje mogą narobić zamętu. I dostałam, czego chciałam. Bankierzy skupowali akcje Coltano. Tak gwałtowny wzrost popytu spowodował nieprzewidywalny skok kursu, a to oznaczało duże kłopoty dla ojca. Jego kongijscy wspólnicy byli przekonani, że to on kupuje akcje, żeby przejąć władzę w firmie.

– To poważna sprawa?

– Od razu widać, że ich pan nie zna. Ja zresztą też nie. Ale ojciec mówi, że lepiej z nimi nie igrać.

– A skoro to nie on…

– Czarni się zastanawiali, z czego wynika to nagłe zainteresowanie Coltano, którego kopalnie spokojnie sobie drzemały. A ojciec się bał, że dowiedzą się o istnieniu nowych złóż.

– Nadal im o tym nie powiedział?

– Naprawdę nic pan nie zrozumiał? Zamierzał prowadzić wydobycie bez ich wiedzy, na własny rachunek. Chciał zgarnąć zyski za plecami wspólników. Ale tego dowiedziałam się dopiero później.

– W końcu odkryli prawdę?

– Nie. Ojciec sobie poradził, jak zwykle… Żeby doprowadzić do spadku kursów, sprzedał ze stratą własne akcje. Moi bankierzy w końcu pozbyli się swoich, myśląc, że przekazałam im fałszywe informacje. Kongijczycy dali ojcu spokój. Coltano znowu jest mało interesującą spółką.

– Zrujnowała pani ojca?

Z jej ust wydobył się śmiech, który przypominał ostatni oddech tonącego.

– Nawet to mi się nie udało. Zgarnął kupę kasy i w końcu wszystko odkupi, nie mam co do tego wątpliwości. A tymczasem będzie bez wiedzy wspólników prowadził wydobycie z tych cholernych złóż. Zresztą teraz na pewno tam jest i pogania robotników tyrających w ciasnych, dusznych tunelach.

– I za to go pani nienawidzi?

– Skądże znowu.

Znów zapadła cisza. Tym razem Gaëlle była pewna, że psychiatra coś pisze.

– W takim razie musiało się wydarzyć coś znacznie gorszego, prawda? – zapytał po chwili.

Przełknęła ślinę – miała wrażenie, że jej gardło jest jak tarka.

– Kiedy się dowiedział, co zrobiłam… – wyszeptała – wpadł do mieszkania mojego brata Loïca. Tego dnia zajmowałam się jego dziećmi. Zobaczyłam go i… spanikowałam. A przecież wiedziałam, że to nastąpi… I nawet chciałam tego starcia… Chciałam się napawać widokiem jego wykrzywionej gęby. Ja…

Zamilkła. *Nie rozpłacz się!*

– Co się stało?

– Wyskoczyłam przez okno. Loïc mieszka na trzecim piętrze.

Po tych słowach milczała przez minutę. Było to swoiste nieme epitafium. Ale nie udało jej się nawet popełnić samobójstwa.

– Wyszłam z tego cało – ciągnęła nieco szybciej – dzięki drzewom albo dachowi samochodu, nie bardzo pamiętam. Wyszłam z tego cało, żeby sobie uświadomić, że nigdy nie zdołam się uwolnić.

– Może pani mówić jaśniej?

– Co z tego, że nienawidzę ojca, że próbuję go zniszczyć? To tylko głupia szamotanina. Jedynym uczuciem, które mną powoduje, jest strach. Prymitywny, niekontrolowany strach.

– Przed czym?

Uniosła się i podparła łokciem, jak pacjent, który w ostatniej chwili odmawia zgody na amputację.

– Czy naprawdę musimy to wszystko wywłóczyć?

– To słowa panią leczą. Nieważne, ile razy powtórzy pani tę samą historię, zawsze wyłoni się coś nowego i przyniesie ulgę.

Głos Katza był metaliczny, aseksualny. To brzmienie podkreślało jego neutralność. Nie był ani kobietą, ani mężczyzną, tylko uchem.

– Ten łajdak przez całe życie bił matkę – podjęła, znów się kładąc. – Rosłam w strachu. Nigdy go nie pocałowałam. Nigdy nie pozwoliłam mu się do mnie zbliżyć. Jeżeli kiedyś go dotknę, to tylko po to, żeby zabić.

To właśnie obiecała sobie, wydostając się spomiędzy dwóch samochodów po upadku. Ale to postanowienie było warte tyle samo co

wszystkie inne. Stary już spieszył jej z pomocą. *Puszczamy wszystko w niepamięć i zaczynamy od nowa*.

Wyciągnęła z torebki chusteczkę, wytarła nos i oczy, wciąż leżąc. Musiała znów stać się arogancką, cyniczną Gaëlle. Żeby jej słowa miały moc trucizny, a nie gorycz łez!

– A w Świętej Annie?

Roześmiała się jak mała dziewczynka, która stara się nie rozpłakać.

– Postanowił mnie pan wykończyć?

– Trzeba oczyścić ranę.

– Po tym skoku z okna zabrano mnie na badania do Szpitala Amerykańskiego, później trafiłam do kliniki psychiatrycznej Szpitala Świętej Anny.

– Ponieważ była pani wciąż bardzo wrażliwa.

– Wrażliwa?! – rzuciła podniesionym tonem. – Miałam za sobą wielki skok! Uważa pan, że po czymś takim potrzebowałam towarzystwa ludzi w jeszcze głębszej depresji?

Psychiatra nie raczył odpowiedzieć. Miała wrażenie, że zapada się w poduszkę jak w bagno między dwiema czarnymi skałami.

– Nocą – podjęła po chwili – padłam w szpitalu ofiarą agresji. Mężczyzna w lateksowym kombinezonie usiłował mnie zabić. Zamordował pielęgniarza i chroniącego mnie policjanta. Udało mi się uciec. Jak na niedoszłą samobójczynię to niebanalny sukces. Najwyraźniej jednak moja godzina jeszcze nie wybiła.

– Ale przynajmniej czegoś się pani dowiedziała.

– Proszę mi oszczędzić tego moralizatorskiego tonu!

– Czy napastnika udało się zidentyfikować?

Zaklęła, a potem wrzasnęła:

– Naprawdę nie czytuje pan gazet?!

– Gaëlle, proszę się nie wykręcać. Nie ma znaczenia, co czytałem ani co wiem. Celem tej sesji jest to, żeby pani opowiedziała mi o wszystkim, co się pani przytrafiło.

Głośno westchnęła. Zabrzmiało to jak groźny świst.

– Mężczyzna, który wtargnął nocą do szpitala, to Człowiek Gwóźdź, a raczej morderca wzorujący się na pierwszym Człowieku Gwoździu, seryjnym zabójcy aresztowanym przez mojego ojca w latach

siedemdziesiątych w Katandze. Z góry uprzedzam, że nie opowiem panu żadnej z tych dwóch historii.

Usłyszała ciche westchnienie, być może stłumiony śmiech, a potem pytanie:

– Jak zakończyła się ta sprawa?

– Śledztwo prowadził mój drugi brat, Erwan. W końcu zdemaskował mordercę.

– Chyba go zabił?

– To ja go zabiłam.

Tym razem wyraźnie czuła, że to wyznanie go zaszokowało. Oficjalnie to Erwan Morvan, komendant z brygady kryminalnej, wyeliminował mordercę, który zakradł się do jego mieszkania. Nikt nie wiedział, że to Gaëlle, która nocowała u brata, trzymała nóż.

Może przyszła do gabinetu psychiatry właśnie po to, żeby zrzucić ten ciężar, a może chciała tylko sprowokować doktora Katza. Wyobrażała sobie jego rozmyte tęczówki, rozchylone usta. W jego wyglądzie było wszystko, czego nie lubiła u mężczyzn: zbyt kobieca twarz, chorobliwie chuda sylwetka, wymuskana fryzura i strój.

Tym razem uniosła się i usiadła na kanapie, podkulając nogi. Jej oczy pałały, ręce odruchowo ściskały torebkę.

– Nic więcej nie powiem – szepnęła. – Na dziś już wystarczy.

– Czas i tak już minął.

Zawsze musi mieć ostatnie słowo. Była odwrócona do niego plecami, ale domyślała się, że i on miał już dosyć. Najchętniej dobiłaby go jeszcze jakimiś szczegółami, choćby tym glockiem 9 mm otrzymanym od ojca, którego nosiła w torbie, albo dwoma gorylami czekającymi na nią na dole, na ulicy Nicolo.

Mogłaby również dorzucić, że sprawa Człowieka Gwoździa nie została rozwiązana, że były wątpliwości co do tożsamości i motywów mordercy i że Erwan pojechał do Afryki, żeby rozwiązać zagadkę kryjącą się w aktach. *Zachowaj amunicję na kolejną wizytę*. Postanowiła bowiem wznowić terapię.

Zsunęła nogi jak sparaliżowana i dotknęła stopami podłogi. Szukała pieniędzy, gdy powiedział władczym tonem:

– Proszę tu usiąść.

Zajęła miejsce na krześle przy biurku i przez moment obserwowała Katza. Mimo wszystko był fascynujący. Miał w sobie czar typowy dla mężczyzn o kobiecej urodzie. Nie próbował skorygować tego wrażenia strojem – wręcz przeciwnie. Nosił koszule z wysokim kołnierzykiem w stylu sztywnych kołnierzyków damskich.

Zamarła: Katz wypisywał receptę. Dobiło ją to, wciąż przecież kontynuowała kurację ustaloną w szpitalu. A on postanowił dorzucić do tego kolejną dawkę trucizny, traktując ją jak umierającego na raka, ogłupianego morfiną.

– Łykam już wystarczająco dużo świństw – zaoponowała.

– Ale ja tylko zapisuję pani dane kolegi.

Było gorzej, niż się obawiała: psychiatra pozbywał się pacjentki.

– Nie ma pan prawa mnie wyrzucić – powiedziała drżącym głosem.

Katz nałożył skuwkę na pióro, złożył kartkę na pół i podsunął ją Gaëlle.

– Dopóki jest pani moją pacjentką, nie mogę zostać pani przyjacielem – powiedział, zwracając na nią łagodne spojrzenie.

Poczuła coś w rodzaju blokady mózgu. Nie była w stanie myśleć, nie potrafiła nawet pojąć sensu jego słów.

– Co chce pan przez to powiedzieć?

– Że zapraszam panią na kolację.

7

O piętnastej wszystko było na miejscu. Całkiem nieźle jak na start planowany na dwunastą. Morvan spodziewał się raczej kilkudniowego opóźnienia.

Kiedy stanął na płycie lotniska, ogarnęła go duma: antonow AN-32 czekał już tylko na niego. Potężny kadłub drgał w rozgrzanym, falującym powietrzu niczym statek kosmiczny na Cape Canaveral. Udało mu się wyczarterować ten samolot w ciągu trzech dni, co w Lubumbashi było istnym cudem.

Ludzie tłoczyli się przy maszynie, bo Morvan zgodził się zabrać pasażerów – tych, którzy mimo ryzyka chcieli wrócić na północ, do swoich rodzin. Nie powodowało nim współczucie, nie był to gest dobroczynności – lokalne władze inkasowały pieniądze za bilety, w zamian przymykając oko na ten lot, który legalnie wcale się nie odbywał.

Kiedy już obsługa zamierzała zamknąć luki bagażowe, pojawił się Michel z kilkoma ludźmi. Biegli, pchając wózki sklepowe wypełnione pudłami. Znów ta afrykańska groteska. I nagle Morvan ujrzał w antonowie to, czym ta maszyna rzeczywiście była: przedpotopowy samolot, sklecony jak olbrzymia puszka na konserwy. A ci czarni cisnący się na schodki boso szli na pewną śmierć.

Podszedł do Michela i otworzył jedno z pudeł, pełne pomiętych, źle uszytych mundurów.

– A co to takiego?

– To dla nich, szefie.

Kudłacz wskazał na otaczających go osiłków, ubranych w szorty i bawełniane koszulki, i bardzo wesołych.

– Tatuśku, to nasi żołnierze. Trzeba ich ubrać.

Kabongo obiecał mu wsparcie militarne, ale to było wsparcie w afrykańskim stylu. Pan Kopalń po prostu zezwolił na przebranie jakiejś bandy obwiesiów za żołnierzy.

Morvan pokiwał głową – była ich zaledwie dziesiątka, mógł jednak zwerbować dodatkowych w samolocie, po lądowaniu. W ślad za tą myślą nasunęła mu się druga: wciąż nie miał żadnych wieści od Jacquota, wspólnika pracującego w terenie. Ostatni mail od niego otrzymał przed dziesięcioma dniami. Czy wykonano już prace? A może wszyscy wyjechali ze sprzętem?

Wsiadając do samolotu, warknął: „Kurwa!”, zaszokowany tym, co zobaczył. Kabina miała około dwudziestu metrów długości i nie było w niej ani foteli, ani pasów bezpieczeństwa, ani niczego, co znajduje się w samolocie pasażerskim. Ludzie tłoczyli się razem z kozami, prosiętami, dużymi i małymi tobołkami, koszami pełnymi owoców i roślin, skrzyniami, walizkami, a z tyłu, oddzielone prowizorycznie zamontowaną kratą, stały jego ciężarówki i samochody terenowe, pozostawało więc tylko wierzyć, że ich mocowania wytrzymają lot.

Barwy tunik, chust i innych strojów olśniewały. Jaskrawe światło wpadające przez okienka, niczym reflektory zwrócone na scenę teatru, wydobywało swoim blaskiem pełnię każdego koloru. Czarne twarze, wdzięczne szyje, obnażone ramiona kobiet – wszystko wydawało się wyrzeźbione z ciemnej, lśniącej skały. Mieniącego się minerału, którego odbłyski opowiadały o genezie człowieka.

Poszedł przywitać się z kapitanem, Rosjaninem o nazwisku Czepik, pracującym jak za dawnych czasów. Ten pilot chciał po prostu przetrwać trzy, cztery lata w tym kraju, gdzie szalała wojna i gdzie łatwo było o katastrofę, nie wspominając już o groźnych chorobach, a potem wrócić do domu z pełną kabzą. Jego zamglone oczy zdradzały, że już sobie popił, nie słuchając zaleceń. Morvan nie przedłużał tego spotkania – wrócił do kabiny.

Przygotowano dla niego prawdziwy tron: krzesło ogrodowe, z którego mógł patrzeć na siedzących u jego stóp pasażerów. Nie skorzystał z niego – zrobił sobie trochę miejsca między podróżnymi a bydłem. Położył plecak pod ścianą i oparł się o niego. Nagle dopadł go atak kaszlu – w powietrzu unosił się pył i drobiny manioku. Michel, który jeszcze stał, wpatrywał się w notes. Nie umiał ani czytać, ani pisać, ale uznał, że taki rekwizyt jest nieodzowny dla osoby pełniącej funkcję reżysera.

Grégoire nie robił sobie żadnych złudzeń – po dotarciu na miejsce okaże się, że brakuje połowy sprzętu, a to zapomnianego, a to ukradzionego, a to przehandlowanego. Nie przejmował się, bo w Afryce najlepszym sposobem

radzenia sobie z problemami było ich ignorowanie. Niepewność stanowiła nieodłączny element każdego projektu. Przyjmując takie założenie, można było lepiej docenić prawdziwą poezję kraju, irracjonalnego i niepoprawnego.

Nie zważając na warkot silników, Morvan pogrążył się w marzeniach i skupił na tym, co mogła przynieść ta podróż. Pozostało mu tylko dać się ponieść ku swojemu królestwu, od którego dzieliło go ponad tysiąc kilometrów. Znów poczuł dreszcz emocji, dobrze znany wszystkim pionierom. Był bowiem prawdziwym pionierem – w czasach chaosu ziemie te odzyskały dawny dziewiczy charakter i już żaden biały się na nie nie zapuszczał.

Samolot skręcił, znów ruszył, potem wyhamował, co spowodowało, że w kabinie rozbrzmiały pełne przerażenia krzyki i śmiech. W końcu ruszył na dobre i nabrał rozpędu. Niektórzy pasażerowie już wymiotowali, inni przysypiali. Dominował tu swoisty fatalizm: katastrofa lotnicza to śmierć jak każda inna.

Dzieci bawiły się, lekceważąc zasady bezpieczeństwa. A przecież płynący z głośnika komunikat po francusku i w suahili zawierał wskazówki wzorowane na informacjach podawanych przez linie lotnicze. Wspominano w nim o pasach, o maskach tlenowych, kamizelkach ratunkowych, choć nigdy ich tu nie było.

Morvana zawsze fascynowała magiczna moc, jaką przypisywano na Czarnym Kontynencie językowi francuskiemu i procedurom administracyjnym – papiery, pióra, pieczęcie same w sobie były już krokiem ku idealizowanej rzeczywistości. Kiedy nie ma się nic, tępa gadanina rozbudza nadzieję.

Pomyślał o Erwanie, który pewnie tkwił w jakiejś poczekalni w Lubumbashi. Afrykańska biurokracja była w tej bitwie o spełnienie zamierzeń potężnym sprzymierzeńcem Morvana. Wiedział, że wobec wszechwładnej tu inercji jego syn nie ma najmniejszych szans.

Zamknął oczy i uciekł w świat własnych marzeń.

8

– To jakiś żart?

Erwan nie miał już siły, żeby odpowiedzieć. Przez całe przedpołudnie szukał samolotu do Ankoro. Pukał do prywatnych firm transportowych, organizacji pozarządowych, spółek wydobywczych – w najbliższym czasie nie planowano żadnego lotu. W dodatku potrzebował urzędowych zezwoleń. W końcu zrozumiał, że nie mając dokumentów, bezsensownie traci czas na szukanie połączeń. Dlatego zaczął chodzić po urzędach, był w izbie regionalnej, ministerstwach wód i lasów oraz kamieniołomów i kopalń. Nigdzie nie trafił na osobę „uprawnioną”. Musiał się najpierw umówić, ale nawet to nie było możliwe od razu.

Doszedł do wniosku, że tylko jedna instytucja może pomóc mu w dotarciu na północ: misja ONZ w Demokratycznej Republice Konga. Właśnie dlatego znalazł się teraz w budynku z blaszanym dachem, w kwaterze głównej MONUSCO przy alei Mama-Yemo w centrum miasta.

– Czy to żart?

Komendant Danny Pontoizau, nowy szef oenzetowskiej misji, wziął się pod boki i patrzył na niego spod nasuniętego na jedno oko niebieskiego beretu. Potężny, wysoki blondyn o świeżej, zaróżowionej cerze wyróżniał się w Lubumbashi wyglądem.

Pochodził z Quebecu, a jego francuski miał niewiele wspólnego z mową Woltera. Po słowiańskim i chińskim akcencie inżynierów, wśród których siedział w poczekalni, po specyficznym języku kongijskich urzędników ta kanadyjska wersja francuskiego, jaka płynęła z ust oficera, po prostu dobiła Erwana.

– A któż podsunął ci taki pomysł? Cóż to za szaleństwo?

– Muszę przeprowadzić śledztwo, więc…

– Czego dotyczy to śledztwo?

Erwan po raz kolejny zaczął opowiadać całą historię, ale Pontoizau natychmiast mu przerwał.

– Czy masz oficjalne rozkazy od swoich przełożonych? Ma się rozumieć: na piśmie.

– Nie. Prowadzę tę sprawę z własnej inicjatywy.

Kanadyjczyk przechadzał się po pokoju, którego cementowe ściany pomalowano lśniącą farbą olejną. Były tu klimatyzacja, nowe meble, automat do kawy… ONZ potrafił podejmować gości.

– No cóż, to absolutnie wykluczone. Tak. Ta strefa nie jest *clear*.

Miał najwyżej czterdzieści lat i z pewnością wypełniał rozkazy zwierzchników, którzy stacjonowali tam, gdzie było naprawdę gorąco, na przykład w Kongu. Gdziekolwiek jednak na terytorium Konga znajdowały się siły ONZ, były one bezsilne i poddawane ostrej krytyce. Choćby tego ranka na antenie radia Okapi kongijski deputowany oskarżał MONUSCO o uprawianie turystyki.

Pontoizau wygłaszał tymczasem enty wykład na temat sytuacji w Katandze, konfliktów, które tliły się – jego zdaniem – na północy, zbrojnych grup, których nikt już nie potrafiłby zliczyć, i uchodźców, z którymi nie było co począć.

Erwan rozumiał z tego co piąte słowo, ale nie śmiał zaproponować, żeby przeszli na angielski, ponieważ jego rozmówca pochodził z kraju, gdzie nie mówi się *fast food*, tylko „szybka restauracja”, i „samochód rekreacyjny”, a nie „camping”.

Poprzestał więc na obserwowaniu mimiki oficera. Pontoizau miał młodzieńczy wygląd, szeroki nos i jasne oczy przypominające małe kule z matowego szkła. Blond loki wymykające się spod beretu sprawiały wrażenie sztucznych.

– Popatrz na to! – zawołał, wskazując wiszącą na ścianie mapę.

Chwycił linijkę, stanął w lekkim rozkroku i drobiazgowo opisywał poszczególne strefy konfliktów tlących się za Ankoro. Mimochodem omówił także sytuację w sąsiednich państwach, które czerpały korzyści z nielegalnego handlu minerałami: Rwandzie, Ugandzie, Burundi… Potem przyszła kolej na międzynarodowe grupy kapitałowe, handlarzy bronią, nieuczciwych biznesmenów i wszystkich innych żerujących na koltanie, tantalu, kasyterycie, złocie czy diamentach, no i oczywiście na wojnie.

– Pięć milionów ofiar, mówi ci to coś?

I natychmiast skupił całą złość na organizacjach pozarządowych, knujących, żeby robić tu interesy, i pośrednio pomagających milicjom,

potem zaczął pluć na rządy, które wysyłały ich – chłopaków z MONUSCO – w ten koszmarny rejon, w to bagno, i zabraniały im podejmowania jakichkolwiek działań.

– Powiem ci, co się tutaj wydarzy: ta wojna będzie trwała, dopóki wszyscy się nie powybijają! To jatka! Nie ma o czym mówić!

Erwan wstał, nie próbując nawet podejmować dyskusji. Dochodziła piąta po południu, już się ściemniało, a on nie posunął się nawet o krok. Podziękował komendantowi i ruszył w stronę drzwi, ale Pontoizau stanął mu na drodze.

– Jesteś synem Grégoire’a Morvana, tak?

– Owszem.

– Dlaczego nie poleciałeś razem z nim?

A zatem ojcu udało się wystartować. Chyba rzeczywiście należało skorzystać z jego propozycji.

– Wybieraliśmy się w zupełnie inne miejsca.

– Dokąd on właściwie poleciał?

– Tego nie wiem, ale ja jadę do Lontano.

Pontoizau uniósł beret palcem, jak kowboj kapelusz.

– A wiesz, że to miasto już nie istnieje?

– Odszukam świadków w okolicznych wioskach.

Barczysty oficer zrobił krok do przodu, zmuszając Erwana do cofnięcia się. Jakby ta niema pogróżka nie wystarczyła, Kanadyjczyk objął pas palcami niczym jarmarczny siłacz.

– Nikogo nie odszukasz, bo nie ruszysz się z Lubumbashi.

Erwan miał już tego dość.

– Sugeruje pan, że uniemożliwi mi poruszanie się po kraju?

– Niczego nie sugeruję. Albo masz zezwolenia uzyskane przez twój kraj, wydane przez ONZ lub jakąś inną instytucję, a wtedy zorganizuję ci podróż z eskortą, albo przyjechałeś tu na wariata i zostaniesz w mieście. Odpowiadam za tę strefę, chwytasz?

Erwan pokiwał głową, myśląc równocześnie, że w tej sytuacji musi działać potajemnie. Pozostało mu opuścić miasto, nie zwracając na siebie uwagi. Ale do kogo się zwrócić? Już zaczynało mu brakować starego.

Pontoizau, ponownie przyjazny, położył mu rękę na ramieniu.

– Przepraszam cię – powiedział ciszej – jestem dziś wykończony. Zamiast żołnierzy przysyłają mi tu kretynów bez jaj, mam przez nich same

problemy. Kiedy trzeba pokazać, że się jest facetem, zachowują się jak mazgaje, a co gorsza, leczą kompleksy z takim zapałem, że odnotowano już dziesięć doniesień o gwałtach. Banda palantów! Jakby tego było mało, kilku leży w szpitalu z poparzeniami po wczorajszym pożarze.

Otworzył drzwi, ale zagrodził je ręką, którą położył na futrynie.

– Ojciec mówił ci o Nseko?

– Właściwie nie.

– Co wiesz o tej sprawie?

– Zamordowano go, tak?

– Wyrwali mu serce. Słowo daję, w tym kraju wszyscy oszaleli. Nseko był szefem Coltano, firmy twojego ojca. Wiedziałeś o tym?

– Przykro mi, nie zajmuję się tymi sprawami. Wszczęto śledztwo?

Z ust Pontoizau wymknął się ponury śmieszek.

– Prowadzi je PNC, Narodowa Policja Konga. A to oznacza, że nikt nic nie robi. Miałeś okazję poznać generała Mumbanzę?

Wydawało się, że mówiąc o tym małym światku, komendant cierpi.

– Nie znam nikogo w Lubumbashi.

– Kupa łajna… – wycedził przez zęby. – Wiesz może, co twój ojciec przewozi tym antonowem?

– Podejrzewam, że sprzęt. To, co jest potrzebne do poszukiwania złóż.

– Nie wspominał o broni?

Erwan wciąż miał na ramieniu plecak, który rano dostał od ojca, i oto nagle poczuł się, jakby glock 9 mm ważył kilka ton.

– Ojca nie interesuje tego rodzaju handel – rzucił sucho.

– Skradziono nam karabiny, pistolety – powiedział Pontoizau, jakby nie usłyszał.

Wyjść z tego biura. Wykorzystać zmierzch, żeby przemyśleć możliwości, jakie mu zostały. Ale komendant wciąż stał w progu.

– Gdyby ktoś proponował ci spluwę, zawiadom mnie. Umowa stoi?

– Oczywiście.

Oficer w końcu się odsunął i dodał tonem dobrego znajomego:

– Co robisz wieczorem? Może wybralibyśmy się na piwo?

– To znaczy… Może. Ale jestem zmęczony i…

– W którym hotelu się zatrzymałeś?

– W Grand Karavia.

– Dziś w nocy mam lot, ale postaram się wpaść. Powinniśmy jeszcze porozmawiać.

9

– Co to wszystko znaczy?

Mimo że było ciemno, Morvan jeszcze przed lądowaniem zauważył, że praca nie została wykonana. W buszu nie poczyniono żadnych postępów. Nigdzie nie było widać śladu wycinki, nigdzie nie prowadzono wykopów. *Do stu diabłów!*

Kiedy pilot nie bez problemów posadził antonowa na pasie wytyczonym szpalerem lamp, rozwścieczony Morvan wypadł z samolotu, roztrącając Afrykańczyków i ich tobołki. Po prostu nie mógł ich już znieść.

– Może mi to wyjaśnisz?! – wrzasnął do czekającego przy schodach białego.

– Mieliśmy problemy.

– Bez kpin!

Jacquot sięgał mu ramienia, a i to dlatego, że stał na palcach. Na jego koszulce polo Lacoste’a krokodyla zastąpiono głową Mobutu. Kongijskie poczucie humoru… Wyciągnął ręce z kieszeni za dużych szortów i wskazał ręką rząd koparek, które wrastały już w ziemię wzdłuż pasa startowego.

– Ukradziono nam paliwo.

– Kto?

– Nie bardzo wiadomo, ale prawdopodobnie to Mai Mai.

Żadna z tutejszych milicji nie miała pojazdów, ale wszystko łącznie z elektrycznością działało na benzynę.

– Kiedy to się stało?

– Około dwóch tygodni temu.

– A Cross i reszta?

– Już od dawna są w kopalniach. Przydają się tam bardziej niż tu.

Tym razem Morvan w pełni się z nim zgadzał: pozwolić ukraść sobie benzynę to jedno, ale stracić kontrolę nad złożem to zupełnie co innego. Cross służył kiedyś w FAZ, był wojskowym ze starej szkoły i można było na nim polegać.

– Wysłałem sprzęt dwa miesiące temu – podjął Grégoire, wskazując na ciemny busz – a wy dotąd nie zaczęliście?

– Wszystko już odrosło.

– A wy tymczasem tylko się obijacie?

– Czekamy. Ręcznie karczujemy pas startowy.

Morvan dał Michelowi znak, żeby zaczął rozładunek – nie mieli wyboru, bo antonow startował za najwyżej dwadzieścia minut. Pasażerowie – pstrokate zjawy obładowane pakunkami – już wysiedli, wlokąc za sobą wychudzoną trzodę. Tłum, który pojawił się nie wiedzieć skąd, już witał przybyszów. Uściski, pocałunki, kaskady śmiechu. Kozy i świnie wtórowały ludzkiemu gwarowi.

– Dlaczego nie zadzwoniłeś?

– Bo telefon też nam zabrali – Jacquot splunął na ziemię. – I forsę. Udało mi się tylko wysłać ci mail z telefonu na kartę.

„Wszystko w porządku” – tak to brzmiało, przypominał sobie Morvan. Jacquot nie tracił poczucia humoru, a przede wszystkim instynktu samozachowawczego, bo gdyby napisał prawdę, Morvan by nie przyjechał.

– Zabili kogoś? – zapytał, jakby przypomniał sobie wreszcie, że w tym bagnie były też istoty ludzkie.

– Nie.

Noc była ciężka jak ołów. Przesycona zapachami, wilgocią, zmysłowością. Nie musiał widzieć pejzażu – znał go. Drzewa, liany, zarośla nabrzmiałe wodą i śmiercią. Żadnej drogi, wioski, żadnych instalacji.

– Przywiozłeś chociaż paliwo? – zaniepokoił się Jacquot.

Morvan skinął głową.

Najpierw rozległ się przeraźliwy zgrzyt – otwarto luk bagażowy. Następnie usłyszeli warkot silników: ciężarówki i samochody terenowe wolno zjechały po stalowym trapie. Te wozy miały tu zostać – nieprzydatne, absurdalne. Morvan również czuł się niepotrzebny – nieszczęsny biały dureń z tonami żelastwa na karku, uwięziony na krańcu świata.

Jacquot niezmordowanie obiecywał:

– Za tydzień droga dojdzie do złóż.

Afrykański syndrom: Belg bezpośrednio od nieudolnych przeprosin przeszedł do absurdalnych przewidywań. Morvan uśmiechnął się pod nosem. *Podejmij grę, udawaj, że w to wierzysz*. Wokół nich nie milkł

powitalny gwar. Ci, którzy tu przyjechali, wiedzieli, że przekraczają bramy piekła. Rodzinna wioska została zrównana z ziemią, krewni wymordowani, ich zaś prawdopodobnie czekał taki sam los, ale to była ich ojczyzna, ich ziemia. Jacquot podszedł do samolotu. Wozy manewrowały, a z luku wynoszono żywność. Michel chwycił sprężystą witkę, żeby uderzać nią tragarzy i zmusić ich do szybszego poruszania się. *Trudno o gorszego kata na Murzynów niż Murzyn*.

Belg zakończył inspekcję i tonem eksperta oświadczył:

– Dobry sprzęt. Gwarantuję ci trzy transporty tygodniowo już za dwa tygodnie.

Wyciągnął butelkę whisky i wypił potężny łyk trunku, nie częstując szefa – znał go od lat i wiedział, że nie bierze alkoholu do ust.

Jacquot uosabiał dawną Afrykę. Z pochodzenia Belg, miał komiczny akcent, był cherlawy, a choroby, które łapał na Czarnym Lądzie, spowodowały, że jeszcze bardziej wychudł. „Została ze mnie skóra i kości!” – mawiał, macając się po cienkich udach. Siwiejący sześćdziesięciolatek imał się różnych zajęć: był najemnikiem w Angoli, pilotem Mobutu, dyrektorem tartaku należącego do belgijskiego koncernu, dyrektorem kopalni w Afryce Południowej. Jacquot, czyli Jacques de Beenaert – bo jakoś tak brzmiało jego nazwisko – był wszędzie, widział wszystko, wszystkiego zaznał i wszystko przetrwał. Wielokrotnie o mało nie zabili go ludzie, choroby, zwierzęta i żywioły natury. Więziono go, torturowano, skazywano, a jednak wciąż chodził po tym świecie i nieźle się trzymał. „Nigdy nie zapłaciłem ani centa podatku!” – powtarzał, podsumowując swoje życie.

Morvan obserwował go w świetle latarki, które ogarniało jego twarz od dołu. Przyglądał się policzkom wyglądającym jak płaty suszonego mięsa, sylwetce wychudzonego padlinożercy. Lubił porównywać rzeczywistość z obrazem przedstawianym w oficjalnych raportach międzynarodowych koncernów, które kupowały koltan. Firmy te pragnęły minerału czarnego, czystego, wydobywanego przez futurystyczne maszyny i robotników, którym ochronę zapewniały związki zawodowe. Prawda była mniej radosna: kamienie w workach z juty, niewolnicy pod ziemią i tacy jak Jacquot na powierzchni.

– Podjęto już prace na górze?

Kopalnie znajdowały się na wzgórzach około dwudziestu kilometrów stąd.

– Owszem.

– Przysięgam, że jeśli znowu łżesz…

– Nie mieliśmy z tym problemów. Tutaj łatwiej znaleźć robotników niż przejechać samochodem.

– Ilu wziąłeś do kopania? Ilu majstrów?

– Łącznie około czterystu. Po jednym majstrze na każdą dziesiątkę.

– A sowy?

Nazywali tak zmienników pracujących w nocy.

– To prawie połowa.

– Korytarze?

– Co najmniej czterdzieści. Wydobywamy tonę dziennie. Za tydzień, dwa dojdziemy do trzech.

Nieźle. Kiedy transporty minerału wyruszą do Rwandy, Morvan osobiście będzie nadzorował proces rafinacji i eksport. Łącznie na tym handlu miał zarobić miliony euro, nie płacąc podatku – w stylu Jacquota.

Ale proceder nie był wolny od ryzyka i nie mógł trwać wiecznie. W końcu położy mu kres jakaś milicja albo przejęcie terenu przez którąś z armii. Przy odrobinie szczęścia działania wojenne przesuną się w innym kierunku, a Morvan przekaże kopalnię własnej firmie. W takim wypadku zarobi trochę mniej, lecz również później będzie czerpał zyski ze złóż.

– Bandy dają wam pracować?

– Na razie tak. – Jacquot zarechotał, obnażając ostro zakończone zęby. – Ci opętańcy czekają na ciebie. Chcą zobaczyć, kto za tym stoi.

– Mówiono mi, że wojska przemieszczają się w kierunku Lualaby…

– To tylko pogłoski. Jakiś Tutsi, który przybrał przydomek Duch Śmierci, ponoć uformował nową milicję, FLHK, Front Wyzwolenia Górnej Katangi. Przyszli tu z południowego Kiwu, chcą zdobyć nowe tereny.

Druga wojna kongijska miała co najmniej dwie cechy charakterystyczne: rodziła absurdalne akronimy i wydawała zupełnie szalonych dowódców o dziwacznych przydomkach. Grégoire znał Ducha Śmierci. Dawny członek CNDP i M23[3] siał już postrach na granicy Kiwu. Dlaczego przeniósł się do Katangi? Czy doszły go słuchy o nowych kopalniach?

Odruchowo rozejrzał się wokół, szukając własnych żołnierzy. Nie byli zawodowcami, ale odróżniali pistolet od korkociągu. Przygotowano dla

nich mundury i karabiny, żeby zrobić z nich wojaków. Gdyby dać im chochlę i fartuch, zostaliby kucharczykami. Jak mawiał Jacquot, „w Afryce trzeba umieć się adaptować”.

Grégoire także potrafił się adaptować. Tymczasem postanowił oddalić się od pasa startowego i rozbić obóz. O świcie chciał ruszyć w drogę. Pieszo po wzgórzach, z żołnierzami, tragarzami i kozami, mógł pokonać w ciągu czterdziestu ośmiu godzin dwadzieścia kilometrów dzielących go od złóż. A potem zacznie wielkie manewry. Początkowo koltan trzeba będzie przenosić na plecach. Pięćdziesiąt kilogramów na łebka, za kilka dolarów. Dostawa co drugi dzień. Tymczasem Jacquot wykarczuje drogę i za kilka tygodni rzeczywiście będzie można wykorzystać samochody. Regularny transport lotniczy do Rwandy przyniesie spore zyski.

Michel werbował właśnie tragarzy spośród włóczęgów, którzy kręcili się w pobliżu samolotu. Zanim antonow odleciał, karawana podzielona na dwie grupy już się uformowała. W jednej znaleźli się „giganci”, w drugiej „krótcy”, jak tu mówiono o żołnierzach i o tragarzach. Wbrew temu, czego należało się spodziewać, najbardziej cherlawi byli szerpowie. Lepsza była praca żołnierza, więc masywniejsi wywalczyli ją dla siebie.

Kiedy rozdawano broń (na razie bez amunicji), Morvan wziął pas z kaburą i wsunął do niej dziewiątkę. Wolałby czterdziestkę piątkę, ale nie chciał marudzić. Kudłacz dał mu także karabin automatyczny i dopasował pas z nabojami niczym giermek szykujący rycerza do boju. Cała ta scena była zarazem przerażająca i podniecająca. Morvan porównał ją z groźnym narkotykiem, który wprawia w stan upojenia, naraża jednak również na *bad trip*.

Ruszyli w drogę. Najpierw dwudziestu żołnierzy, za nimi trzydziestka tragarzy, na ogół tak drobnych, że z workami i ze skrzyniami na głowach wyglądali jak mrówki niosące większą od siebie zdobycz.

Morvan zatrzymał się, puszczając ich przodem i z podziwem patrząc na tę karawanę, której drogę oświetlały tylko latarki na czołach ludzi. W ciągu kilku godzin miał przenieść się w epokę kamienia łupanego. Bez pojazdów mechanicznych, bez żadnej nowoczesnej technologii, miał kierować setkami robotników, którzy gotowi byli pogrzebać się żywcem za garść franków kongijskich, banknotów naprawdę pięknych, ale bez żadnej wartości. Jeżeli zajdzie taka potrzeba, będzie ich bił, będzie im groził – jak każdy wódz prowadzący ludzi do boju.

Czy kiedykolwiek był kimś innym?

Gdy o tym myślał, zrobiło mu się ciepło na sercu – nawet takie śmiecie potrzebują koherencji.

10

Po zapadnięciu nocy Erwan nie udał się do hotelu. Prosto ze spotkania z Kanadyjczykiem poszedł na lotnisko, żeby odszukać wspomnianych przez wojskowego przemytników. Tu każdy znał jakiegoś pilota, jakąś kompanię lotniczą, wiedział o gotowym do startu samolocie. Odesłano go na drugi koniec pasa startowego, potem tam, skąd przyszedł. Prowadzono go przez pustkowia, przez getta i wysepki buszu. Niczego nie znalazł, a już na pewno nie znalazł tego, czego szukał.

Kiedy wrócił do Lubumbashi, odniósł wrażenie, że nocą miasto kipi bardziej niż w dzień. Zaszył się na werandzie libańskiej restauracji, żeby nikt go nie widział. On – biały, obcy – czuł się całkowicie zagubiony w tym ludzkim mrowiu. Po wyjeździe ojca z nikim się nie kontaktował. Nie posunął się ani o krok, nie natrafił na żaden trop. Przepowiednie starego już się spełniały.

– Szefie?

Kelner w T-shircie Primus zatrzymał się przy nim.

– Proszę herbatę.

– Mamy tylko piwo.

– Niech będzie piwo.

Od przyjazdu zdążył nauczyć się jednego – że w Afryce każdy dzień liczy się podwójnie, potrójnie albo nawet poczwórnie. Wydawało mu się, że tkwi tu od miesiąca. Jakby nie dość było upału, wszystkie odczucia zwalały z nóg. Zwykły zapach benzyny chwytał za gardło. Kolory przyprawiały o zawrót głowy. Każdy smak zaburzał metabolizm, dokonywał gwałtu na nerwach, uświadamiał, jak bardzo obecna była tu i teraz śmierć – tkwiła w miąższu owoców, w pikantnych sosach, w cieple deszczu. W ciągu kilku godzin człowiek zaczynał kurczowo trzymać się wszystkiego, co mogło pomóc w przetrwaniu. „Żeby znaleźć Afrykę – uprzedził go ojciec – trzeba się w niej zagubić”.

W dzień, kiedy zdawało się, że biurokratów pokąsały muchy tse-tse, mali ulicznicy nękali Erwana, wrzeszcząc, gestykulując, próbując go okraść. Policjanci w granatowych mundurach i z czerwonymi gwizdkami również go oskubali. Półprzytomny ze zmęczenia, nie zdołał im się przeciwstawić. Czuł się nasiąknięty krwią i potem, czuł, że jego gesty są niezdarne, a własna masa spowalnia ruchy.

Jedyną miłą niespodzianką było samo Lubumbashi. Jasne, przewiewne, z budynkami w pastelowych barwach, „miasto zjadaczy miedzi" przypominało miejscowość wypoczynkową.

Podano mu piwo. Na ulicy zapaliły się światła. Energooszczędne żarówki miały barwę zjełczałego masła i kojarzyły się ze stanem uporczywej gorączki. Wypił łyk ciepłego, pozbawionego bąbelków trunku. Ogarnęło go dziwne przeczucie, że coś się wydarzy, że stanie się coś strasznego i wspaniałego zarazem, co było warte tej podróży: spadnie deszcz.

Najpierw zadrżała ziemia, potem zerwał się wiatr, który smagał świat gorącymi podmuchami. I nagle niebo otworzyło się z groźnym pomrukiem, woda zaś zalała ziemię. Wydawało się, że ktoś ciska kamieniami w dach. Że serie z karabinów maszynowych sypią się na podłoże, że wezbrany gorący potok przetacza się przez ulice. Świat zapłonął czerwonym płynnym ogniem.

– Szukasz łodzi, żeby wrócić, szefie?

Erwan uniósł głowę. Stał przed nim atleta w słonecznikowym trykocie i szortach rowerzysty. Był przemoczony od stóp do głów i ubranie oblepiało jego tors jak kostium superbohatera.

Erwan potrzebował kilku sekund, żeby powstrzymać się od śmiechu.

– Mogę usiąść?

Bez przesadnej uprzejmości wskazał mu krzesło. Intruz otrząsnął się, a potem zajął miejsce. Miał ponad metr osiemdziesiąt i potężne muskuły. Erwan zauważył, że w kieszeni szortów skrywa małą Biblię.

– Salvo – rzucił czarny, wyciągając rękę. – Mówią o mnie Żółta Koszulka.

Erwan uścisnął jego dłoń i się przedstawił.

– Nie wyglądasz kwitnąco, kuzynie.

– Ten deszcz to pierwsza dobra rzecz, jaka się dzisiaj wydarzyła.

– W takie wieczory Afryka poi się u źródła.

Czarny się zaśmiał, rozbawiony własnym dowcipem, a Erwan uznał, że taki śmiech nie mógłby zapowiadać niczego złego.

– Co cię sprowadza do Lubum, szefie?

– Muszę dostać się na północ – odparł krótko.

– Chcesz dać się zabić czy co? A dokładnie dokąd?

Skoro już rozmawiamy…

– Do Ankoro, a potem do Lontano.

Salvo gwizdnął z niedowierzaniem i wywrócił oczy.

– Nikt cię tam nie zawiezie. To naprawdę niebezpieczny rejon. Próbowałeś w organizacjach pozarządowych?

– Nie planują w najbliższym czasie żadnej podróży. Poza tym nie zabiorą mnie, jeśli nie będę miał pozwoleń.

– Czyli w dodatku nie masz papierów? Jesteś bez szans, szefie.

– Próbujesz dodać mi otuchy?

Salvo znów się zaśmiał, wydając dźwięk podobny do świstu dobywanej z pochwy szabli.

– Wręcz przeciwnie, to twój szczęśliwy dzień.

– Słyszę to od samego rana.

– Mówię serio. Bo ja też tam lecę.

– Żaden samolot nie ląduje w tamtym rejonie.

– Mój tak.

Nasłuchał się już dziś tylu bajek, że nie miał nawet siły, żeby się zirytować.

– Twierdzisz, że masz samolot?

– Moja firma. To spółka importowo-eksportowa.

– Czym handluje?

– Ja tylko przewożę towary. Z północy na południe. Z południa na północ.

– Chcesz powiedzieć, że znasz region, który mnie interesuje?

– Szefie, jestem Banyamulenge.

Erwan wiedział, co to oznacza: imigranta z plemienia Tutsi, zamieszkującego głównie w południowym Kiwu, tuż przy północnej granicy Katangi. Dlatego zaczął go słuchać znacznie uważniej.

– Gdzie najczęściej lądujesz?

– Lądowisk jest dużo, ale często latam do Kabwe.

Erwan nie odrywał oczu od rozmówcy – czy tylko blefował lepiej od innych, czy ta ulewa zapędziła na ziemię anioła?

– Czy można stamtąd lecieć do Lontano?

Salvo „Żółta Koszulka” potarł kciukiem o palec wskazujący. Wewnętrzna strona jego dłoni była zdumiewająco jasna.

– Wszystko zależy od środków, jakimi dysponujesz.

– Spokojnie – mruknął Erwan, przywołując gestem kelnera.

Salvo wsunął rękę do kieszeni i położył na stole banknot.

– Ja stawiam. A coś ty sobie wyobrażał? Że możesz podróżować na piękne oczy?

– Kiedy moglibyśmy wylecieć?

– Już mówiłem: to kwestia kasy.

– Załóżmy, że mam, ile trzeba. Kiedy wyjeżdżamy?

– Jutro.

– Na pewno?

Uniósł różowe dłonie i znowu się zaśmiał.

– Szefie, tu jest Afryka.

To była jedyna trafna odpowiedź.

– Ile chcesz?

– Trzy tysiące dolarów.

– Tysiąc.

Salvo pokręcił głową, uśmiechając się pod nosem.

– Tatuśku, kiedy trwa wojna, ceny się nie zbija. Ona może tylko wzrosnąć. Trzy tysiące dolarów i załatwię ci papiery.

– Co transportujesz?

Żółta Koszulka wziął ze stołu butelkę po piwie, zajrzał do środka, jakby patrzył przez lornetkę, a potem wycelował ją w Erwana.

– Jeżeli mamy współpracować, o nic nie pytaj.

Erwan wpadł na pewien pomysł, ponieważ coraz lepiej wyczuwał tego Figara w katangijskiej wersji.

– Pojechałbyś ze mną do Lontano?

– Za dodatkowy tysiąc.

Nie próbował się targować. Właśnie zrozumiał kolejną prawdę.

– Kiedy się tu pojawiłeś, wiedziałeś już, że chcę wyjechać.

– W Lubum wiatr niesie każde słowo. I niewiele da się ukryć.

Erwan dopił piwo. Wszystko zaczynało się układać: Salvo chciał jechać nad Tanganikę, powiedziano mu, że jakiś biały próbuje się tam dostać, więc pomyślał, że Francuz pokryje koszty podróży. *Quod erat demonstrandum.*

– Zatrzymałem się w hotelu Grand Karavia. Spotykamy się jutro o dziesiątej rano. Z pilotem i dokładną mapą.

– A moja zaliczka, szefie?

– Najpierw udowodnij, że potrafisz być punktualny.

Salvo wstał.

– Będę na pewno, szefie!

11

Erwan podszedł do recepcji po klucz, kiedy usłyszał głośne wybuchy śmiechu. Odwrócił się i zobaczył dość szczególnego mężczyznę, który mówił z flamandzkim akcentem do otaczającego go personelu hotelowego. Wszyscy odnosili się do niego z szacunkiem.

Staruszek, prawdopodobnie ponad osiemdziesięcioletni, był ubrany w nieprzemakalną pelerynę, na głowie miał panamkę w kolorze khaki, a na nogach kalosze. Niski i chudy jak kościotrup, można by pomyśleć – zasuszony w słońcu, mimo ciężkiego plecaka stał wyprostowany. Jego wygląd nie pozostawiał żadnych wątpliwości co do roli, jaką odgrywał w sercu Czarnej Afryki, na piersi bowiem miał duży krucyfiks.

Erwan wytężył słuch – kapłan przyjechał z Fungurume, miasta leżącego na drodze do Ankoro. Najpierw Salvo, teraz ten staruszek… Może szczęście wreszcie się do niego uśmiechnie?

Jeszcze przez chwilę obserwował staruszka o pożółkłej, pokrytej zmarszczkami twarzy. Białka jego uzbrojonych w okulary oczu miały barwę nikotyny, a źrenice lśniły jak maleńkie czarne perły.

– Dobry wieczór, ojcze – zagadnął Erwan, kiedy czarni odeszli.

Przedstawił się i uzyskał w odpowiedzi szeroki uśmiech tego człowieka, żyjącego od dziesiątków lat zgodnie z nakazami chrześcijańskiego miłosierdzia. W kilku słowach przedstawił duchownemu powody swojego przyjazdu do Lubumbashi. Ojciec Albert go nie zrozumiał, Erwan dorzucił więc kilka zdań, kładąc nacisk na nazwisko Grégoire’a Morvana i przydomek Człowieka Gwoździa.

– Cóż, młody człowieku, sięgasz po sprawę, która rozegrała się dawno temu! – stwierdził zakonnik.

– Czy ojciec był już wtedy w Kongu?

Misjonarz stał nieruchomo w swojej pelerynie. Wyglądał jak gipsowa figurka, która się suszy.

– Tak, ale rzadko przyjeżdżałem do Ankoro, chociaż należę do diecezji Kalemie-Kirungu, jeszcze dalej na północ. To trochę skomplikowane. Trzeba znać kraj. W każdym razie w tej chwili…

Erwan wskazał kanapy i niskie stoliki w barze.

– Może usiądziemy i czegoś się napijemy?

Zakonnik uniósł brwi i poprawił okulary na orlim nosie.

– Skoro pan proponuje… – powiedział, patrząc na zegarek. – Zgoda.

Powolnym, ostrożnym ruchem ściągnął z siebie plecak i podał go chłopcu hotelowemu, zwracając się do niego w suahili. Potem zdjął pelerynę i kalosze. Strój, w którym pozostał, był typowy dla Buszmenów – polo z krótkim rękawem, płócienne szorty i sandały.

Usiedli, Erwan przywołał kelnera.

– Czego się ojciec napije?

– Herbaty.

– Nie ma ojciec ochoty na nic… mocniejszego?

Ojciec Albert zamknął zwiędłe powieki i po kilku sekundach namysłu wyszeptał niczym słowa łacińskiej modlitwy:

– Cinzano.

Erwan znów wybrał ciepławe piwo.

– Co dokładnie chciałby pan wiedzieć? – zapytał ojciec Albert, nie tracąc czasu.

– Czy pamięta ojciec Lontano?

– Byłem tam tuż po wybudowaniu miasta, wcześniej również tam zaglądałem.

– Wcześniej?

– Kiedy była to zaledwie wioska zbudowana przez włoską społeczność. Potem przybyli biali budowniczy.

– To znaczy kto?

– Tak nazywano belgijskich kolonów, którzy zalali Katangę u schyłku lat sześćdziesiątych, po odkryciu złóż magnezu. Rodziny, które mieszkały przedtem na zachodzie, w Dolnym Kongu, zajmowały się wydobyciem ropy naftowej i uprawą trzciny cukrowej. Pochodziły z Lukuli, z Kangu, z Tsheli, na terenach Mayombe, ponad dwa tysiące kilometrów od Lontano.

Erwan zapamiętał, że pierwszy Człowiek Gwóźdź także pochodził z tego regionu, a magia, którą uprawiał, była magią ludu Mayombe. Czy coś łączyło mordercę z tymi rodzinami?

Kelner podał im napoje. Ojciec Albert ostrożnie uniósł kieliszek. Raczej zwilżył wargi, niż napił się cinzano, ale wyglądał na zachwyconego.

– Proszę opowiedzieć o tym nowym mieście. Jak wyglądało?

– Było wspaniałe. Taka miniaturowa Brasilia. Pośród buszu pojawiły się asfaltowe drogi, budynki o jasnych fasadach, brukowane placyki z nowoczesnymi rzeźbami. Piękny przykład zamorskiej architektury!

Erwan przypomniał sobie swój sen: nowoczesne miasto i te skóry przybite do drzwi. Carl Jung powiedziałby, że to „synchroniczność”…

– Lontano szybko stało się ważnym ośrodkiem – ciągnął zakonnik. – Kopalnie pracowały na pełnych obrotach, pociągi przewoziły minerały…

– Dojeżdżała tam kolej?

– Oczywiście! – odparł lekko obruszony. – Ale nic już z tego nie zostało.

– Trudno mi to zrozumieć. Mobutu słynie z tego, że przepędził kolonizatorów i dążył do pełnej niezależności czarnego człowieka. Jak mógł pozwolić na budowę miasta, w którym dominowali Belgowie?

Ojciec Albert zaśmiał się trochę za głośno. Zmarszczki ułożyły się zwojami wokół jego rozchylonych ust.

– Był pragmatykiem. Tylko Europejczycy mogli eksploatować te złoża. Twierdził, że ludność miasta będzie mieszana, ale jak zwykle to biali projektowali, a czarni kopali.

– A pamięta ojciec te morderstwa?

– Jakże mógłbym zapomnieć o czymś takim? Wtedy zrobił się wokół tego wielki szum. Biała kobieta… Boże drogi, kto ważył się ją tknąć? Zwłaszcza że były to te kobiety!

– Co ojciec ma na myśli?

– Pierwsze ofiary były córkami białych budowniczych – de Vosów, de Momperów, Cornette’ów… W pewnym sensie morderca dopuścił się podwójnego świętokradztwa.

To była nowa wiadomość. Może Pharabot miał osobisty powód, żeby zwrócić się właśnie przeciw tym nababom. Powód, którego należało szukać nie w Lontano, ale w Dolnym Kongu.

– Czy nazwisko Catherine Fontana coś ojcu mówi?

– Nie.

– To siódma ofiara Pharabota.

– Nie brzmi mi to z belgijska.

– Była Francuzką.

– Jest pan pewien? Zawsze się mówiło, że zabójca poluje wyłącznie na Belgijki. Pojawiały się nawet dość kiepskie dowcipy na ten temat.

Wypił łyk cinzano. Na jego bezkrwistych wargach wermut nabierał barwy miodu niczym jakiś sakralny likier.

– Co jeszcze ojciec pamięta?

– Przede wszystkim sytuację polityczną. Te morderstwa były jak iskra rzucona na beczkę prochu. Zaczęły się lincze na czarnych, kongijskie represje. Miasto znalazło się na krawędzi wojny domowej. Mobutu przysłał wojsko, ale to tylko spotęgowało chaos. Dopiero młody francuski oficer wziął wszystko w garść.

– Jean-Patrick di Greco?

Staruszek powtórzył głośno, kiwając głową:

– Di Greco, tak właśnie się nazywał.

Oficera marynarki wezwał na pomoc Morvan – spotykali się wcześniej w Port-Gentil, na platformach wydobywczych. Erwan znał te fakty.

– Z tego, czego się dowiedziałem, te rozruchy o mało nie doprowadziły do ekonomicznej ruiny miasta.

– Oględnie mówiąc! Belgowie zaczęli wyjeżdżać, czarni nie chcieli pracować. Krążyły pogłoski o klątwie. Duchy miały zesłać Człowieka Gwoździa, żeby przepędzić białych. Musi pan wiedzieć, że w Kongo istnieje zło potężniejsze od wszystkiego: *bulozi*, przesądność…

Takiej okazji nie można było zmarnować.

– Czy zetknął się ojciec osobiście z magią ludu Yombe?

– Właściwie nie. Tych praktyk nie stosuje się w Katandze.

– A zna ojciec szczegóły dotyczące śledztwa?

– Absolutnie nie. W Fungurume czytało się tylko artykuły z lokalnej prasy, lubującej się w sensacjach. Powtarzam, że nie jestem właściwą osobą, jeśli chce pan dowiedzieć się czegoś o tamtych wydarzeniach.

Powiedział to tonem konkluzji i odstawił pusty kieliszek.

– Czy biali misjonarze pracowali także w Lontano? – podjął Erwan.

– Owszem, kilku. Ale żaden z nich już nie żyje. Wydaje mi się, że jest ktoś, kto… Proszę dać mi chwilę…

Znów przymknął oczy. Kiedy uniósł powieki, jego źrenice błyszczały.

– Siostra Hildegarda! Wtedy była młodą dziewczyną. Pracowała w lecznicy.

– Na piątym kilometrze?

Nazwa szpitala, w którym pracowała Catherine Fontana, padła z ust Erwana niemal bezwiednie.

– Już nie pamiętam, ale wydaje mi się, że mimo wojny wciąż przebywa w tamtym rejonie.

– Gdzie?

– Właśnie na północy. Ale odradzam panu tę podróż, to byłoby naprawdę bardzo niebezpieczne.

Mężczyźni równocześnie wstali z miejsc.

– Zatrzymał się ojciec w hotelu Grand Karavia? – zapytał nieco zakłopotany Erwan.

– Nie, przyszedłem tylko, żeby oddać przesyłki chłopcom z Fungurume, którzy tu pracują. Nocuję w domu klasztornym przy katedrze świętych Piotra i Pawła.

– Pozwoli ojciec, że zapytam, co sprowadza ojca do Lubumbashi?

Ubierając się w pelerynę i kalosze, zakonnik odparł:

– Towarzyszę staremu przyjacielowi, który wraca do Belgii.

– Tęsknota za ojczyzną?

– Można i tak to ująć. Zmarł. Pragnął, żeby pochowano go w rodzinnym Mons.

– Na co umarł?

– Na starość. Miał dziewięćdziesiąt dwa lata. – Nieoczekiwanie na jego twarzy pojawił się drwiący uśmiech. – W tym właśnie tkwi siła białych ojców: gaśniemy spokojnie, zanim ktokolwiek nas zdmuchnie!

12

Gaëlle tymczasowo mieszkała u Loïca. Nie ze strachu – z dwoma ochroniarzami i glockiem była w stanie zapanować nad sytuacją – ale dlatego, że brat o to prosił. W końcu zdecydował się zerwać z kokainą i, jak mówił, potrzebował trenera osobistego.

Nikt nie rozumiał tego nagłego postanowienia. Czy chodziło o rozwód i wątpliwe szanse na uzyskanie prawa do opieki nad dziećmi przez ojca, który dzień w dzień zażywa kilka gramów narkotyku? A może o fakt, że jego rodzina stała się celem seryjnego mordercy? Albo o to, że musiał ze stratą sprzedać akcje starego?

Zapewne przyczyniła się do tego każda z tych rzeczy. Lawina kłopotów zadziałała na niego jak elektrowstrząsy.

Od trzech tygodni Loïc intensywnie trenował: biegał, uprawiał boks francuski, jogę… a poza tym stosował dietę opierającą się na owocach i warzywach. Blady jak płótno, ledwie wlókł się do swojej firmy, Firefly Capital, ale dzielnie trzymał się przyjętego *credo*: naturalne, zdrowe, bio.

Początkowe efekty były katastrofalne – nie można było z nim wytrzymać, ale Gaëlle jakoś to zniosła. Lekarze twierdzili, że pierwszych dziesięć, dwanaście tygodni to czas bardzo „trudny”. Ona sama także była „na odwyku”, przestała bowiem uganiać się za rolami, których nigdy by nie zdobyła, i ostatecznie skończyła z płatnymi randkami. Po tym, co przeszła, to wszystko i tak nie miało już sensu.

O północy przechadzała się po dużym mieszkaniu przy alei Président-Wilson – tym samym, z okna którego wyskoczyła przed dwoma miesiącami. Przedtem układała do snu brata, podając mu spore dawki stilnoksu. Igranie z lekami było ryzykowne dla kogoś, kto próbuje uwolnić się od kokainy, ale Gaëlle nie miała ani czasu, ani cierpliwości, żeby stawiać wyłącznie na psychologię i medycynę alternatywną.

Otworzyła szklane drzwi i wyszła na balkon. Wiał przejmujący wiatr. Zapaliła papierosa i zaciągnęła się, patrząc na naszpikowaną latarniami

aleję. Wychyliła się i zobaczyła swoich ochroniarzy spacerujących po chodniku na wprost, przed pałacem Tokio. Czego właściwie bał się jeszcze ojciec? Kolejnej napaści? Kolejnej próby samobójczej? A może sądził, że znów zacznie się prostytuować?

Odpędziła te myśli, skupiając się na wydarzeniu dnia i zaproszeniu przez Érica Katza na kolację. To absurdalne, ale Bóg jeden wiedział, że o tym marzyła. Przed oczyma przewijały się jej scenki z ich spotkań przez miniony rok. Początkowo go nie znosiła. Uosabiał wszystko, co napawało ją wstrętem: to, że miał ją leczyć, to, że terapia została zalecona, a raczej narzucona przez ojca, to, że miała mu o sobie opowiadać, że miała się po raz kolejny otworzyć przed obcym człowiekiem. Fizycznie też nie był w jej typie: za chudy, androginiczny. W dopasowanych garniturach wyglądał jak starzejąca się kobieta. Długo myślała, że jest homoseksualistą, w końcu jednak dowiedziała się, że ma żonę i dwoje dzieci. Tylko jego oczy – jasne tęczówki, posępne spojrzenie – były na swój sposób pociągające.

Z czasem uległa jego czarowi. Sytuacja stała się jeszcze bardziej nieprzyjemna. Wizyty u psychoanalityka zamieniły się w seanse uwodzenia. Najpierw postawiła na swoją przeszłość. Brutalność ojca wobec matki. Anoreksja. Próby samobójcze. Ataki psychozy. Prostytucja. Taki ciąg zdarzeń musiał poruszyć specjalistę. Ale nie tego. Melodramaty nie robiły na nim wrażenia. Wtedy zaczęła zmieniać wizerunek. Raz ubierała się jak dziwka, raz jak mniszka, rozwodziła się nad pracą aktorki, z naciskiem mówiła o swoich podbojach, przechodząc do intymnych zwierzeń. Znów na próżno. Słuchał jej opowieści jak szmeru silnika. Wzmogła tempo, opowiadając o swoich oszustwach. Zbliżenie na randki, na skrywane talenty. Podawała wiele szczegółów, na ogół zmyślonych, pogrążając się w ohydnych, prowokatorskich bredniach. Pan Lodowiec nawet nie mrugnął okiem. Od czasu do czasu zadawał jakieś pytanie, prosił o więcej szczegółów, komentował, ale zawsze tylko po to, żeby mówiła dalej. Do perfekcji opanował sztukę mówienia tak, aby nic nie powiedzieć, interweniowania bez angażowania się.

W końcu przeszła do akcji… fizycznej. Jawnie go podrywała, a kiedy nie reagował, wpadała w histerię. Groziła, że go pobije, że odbierze sobie życie, że zadzwoni do jego żony. Ale to nie obojętność psychoterapeuty doprowadzała ją do szału, tylko fakt, że nie mogła go przeniknąć. Nie wiedziała, co myśli, co odczuwa. Tylko czasami dostrzegała satysfakcję

w jego oczach, kiedy myślał, że zdobył punkt, czyli zawsze wtedy, kiedy płakała, wrzeszczała, obrzucała go błotem. Wówczas kiwał głową, jakby chciał powiedzieć: „Bardzo dobrze, proszę mówić dalej…”. Najchętniej wbiłaby mu pazury w serce.

W końcu sytuacja się uspokoiła. *Zwycięstwo przez zaniechanie.* Trzeci akt rozgrywał się w pełnej znużenia obojętności, a ona mówiła, mówiła, mówiła. Odsłonić i oczyścić rany, żeby przygotować pole operacyjne. To niewątpliwie było najlepsze stadium terapii: wyrzucała z siebie wszystko, bez namysłu, bez emocji i do człowieka kompletnie neutralnego. Jednak terapia nie przyniosła efektów. Nic nie wskazywało na poprawę, a co gorsza, choroba Gaëlle znów się zaostrzyła. Musiał przepisać jej antydepresanty. Po jakimś czasie wyrzuciła leki i poddała się cierpieniu. Wolała zmierzyć się ze swoimi demonami niż marnować czas na tej przeklętej kanapie…

Kiedy znów go zobaczyła, doznała rozczarowania. Jak mogła zakochać się w tym zasuszonym pięćdziesięciolatku? W tym człowieku-żyrafie w kołnierzyku w stylu Karla Lagerfelda? Znów był tym obojętnym psychiatrą, który szarpał jej nerwy i przebijał rany agresywnym milczeniem.

Najprawdopodobniej były to błędne wrażenia, ponieważ dziś odkrył karty. Pod garniturem krył się mężczyzna z krwi i kości. I może nawet seks. Roztrzęsiona, oszołomiona, potrzebowała dużo czasu, żeby przyznać, że wciąż za nim szaleje. A to nie miało nic wspólnego z mechanizmem przeniesienia ani z psychoanalizą.

Gaëlle nie znosiła tej paryskiej teorii, według której miłość jest tylko rodzajem nerwicy, a tkwiąca w człowieku czułość daje się sprowadzić do listy traum. Choć tak rozchwiana psychicznie, pozostała wierna starej szkole: miłość musi być spontaniczna, niewytłumaczalna, czarodziejska. Ona, która zawsze pluła na uczucia i była tak zagorzałą feministką, że zwracała się nawet przeciw kobietom, wcale nie miała zbroi potężniejszej od innych. Wręcz przeciwnie – w głębi ducha była niepoprawną idealistką.

Odwróciła się, słysząc hałas za plecami.

W półmroku, krokiem lunatyka, szedł mężczyzna, którego twarz wykrzywiał grymas. Wyglądał jak zombi z horroru albo jak otumaniony lekami chory, jakich wielu widziała w szpitalach psychiatrycznych.

Ale to był jej brat, któremu przyśnił się koszmar.

Wyrzuciła papierosa przez balustradę i weszła do pokoju: obowiązek wzywał.

13

Zazwyczaj Katanga prezentuje typowy pejzaż buszu, równin przecinanych zaroślami. Dziś spotkała ich przykra niespodzianka, bo od świtu brnęli przez roślinny tunel, który to piął się w górę, to opadał, przez co widoczność ograniczała się do zaledwie kilku metrów. Byli w gęstym lesie, charakterystycznym raczej dla Prowincji Wschodniej albo strefy równikowej.

Szli tą drogą po staremu: biały wódz, jego uzbrojeni ludzie, tragarze. Morvan pochylił głowę. Czuł pasy plecaka wrzynające mu się w skórę. Pocił się jak wół, ale wydawało się, że ten pot oliwi maszynerię jego ciała.

Wciąż rozważał te same myśli, zadawał sobie te same pytania, powtarzając je jak mantry czy wersety Koranu: kto zabił Nseko? Kto wiedział o złożach? Kto czekał na niego tam, na tych terenach? Niepewność paliła go, jakby wpadł w zarośla pełne pokrzyw i krzewów kolczastych. Kiedy jego mózg męczył się nieefektywną pracą, zmieniał obiekt zainteresowania, skupiając się na drugiej żywotnej kwestii: jakie tajemnice jego przeszłości odkryje Erwan? Czy zdoła dokopać się do prawdy, do całej prawdy?

Pot znów zalewał mu oczy. Potrząsnął głową, a słone kropelki spadły jak nagły deszcz, ale nie chciało mu się ocierać twarzy ręką, ponieważ kciukami przytrzymywał pasy plecaka. Nad jego głową zielony dach lasu także oddychał, zrzucając ciepły, ożywiający pot. To wszystko było naprawdę obrzydliwe.

Mimo to nie tęsknił za odkrytym terenem, bo tu byli przynajmniej bezpieczni – wróg nie mógł ich zobaczyć.

Z tyłu podniosła się wrzawa, zapanowało dziwne poruszenie, a potem kolumna się zatrzymała.

– Co się dzieje?

Michel szedł wzdłuż kolumny, przywołując go gestem. Grégoire zrzucił plecak i spojrzał na zegarek: ósma. Według GPS-u pokonali już jedną

czwartą przewidzianej na dziś drogi. Całkiem nieźle. Kudłacz zwrócił się do niego i półgłosem wypowiedział kilka słów, ale Morvan nic nie zrozumiał.

Ruszyli w dół, na koniec kolumny. Tam, w błocie, leżał nastolatek przygnieciony tobołkami.

– Co to ma znaczyć? – zapytał ostro stary.

Nie uzyskał wyjaśnienia. Pochylił się i odsunął płócienny worek. Rozjątrzona rana sięgała od osłoniętej butem stopy chłopca ponad kostkę. Noga przybrała przerażający brudnozielony kolor. *Gangrena. Natychmiast amputować.* Uniósł koszulę chłopca i zrozumiał, że na wszystko jest już za późno. Gangrena ogarnęła ciało. Dzieciak miał przed sobą kilka godzin życia.

– Kto zatrudnił tego głupka? – warknął Morvan, gniewnie patrząc na Kudłacza.

– Szefie, on sam chciał z nami iść.

Umierający próbował się podnieść. W apteczce mieli penicylinę, jednak w tym stadium… Nieść go do kopalni? Zawrócić i zostawić go na lądowisku? Przez najbliższy tydzień na pewno nie będzie żadnego samolotu. Porzucić tutaj? Cokolwiek zrobią, dzieciak umrze, a oni tylko stracą czas, zmarnują lekarstwa, narażą się na jeszcze większe problemy.

Morvan zwrócił się do Michela i syknął:

– Weźcie jego worek i idźcie dalej. Dogonię was.

Michel półgłosem wydał polecenia. Las jakby zacisnął się nad nimi, upodobniając się do grobowca.

Dzieciak, który znów upadł na ziemię, drżał, wpatrując się w Grégoire’a.

– Pomogę ci – powiedział w suahili Morvan.

Wsunął mu rękę pod plecy i uniósł.

– Jak masz na imię?

– Gilbert.

– Ile masz lat?

– Piętnaście.

Pchał chłopca przed sobą w dół, oddalając się od grupy. Dzieciak zagryzł usta, żeby nie krzyczeć z bólu. Gorąco pragnął wierzyć, że ten człowiek mu pomaga, że zabiera go na lądowisko, gdzie będą go leczyć i uratują mu życie.

Morvan oddał tylko jeden strzał w potylicę. Zawsze zostawiał kulę w komorze. Chłopiec potoczył się po ziemi i utknął w plątaninie lian. Podszedłszy bliżej, Grégoire zobaczył, że głowa Gilberta tonie w czerwonym pyle – tysiące mrówek biegały już po jego twarzy.

Przypomniał sobie słowa Léopolda Sédara Senghora: „Zanim zazdrosny los obróci cię w proch, by nakarmić korzenie życia…”.

Za kilka godzin po ciele nie będzie ani śladu.

Klnąc, wspiął się po zboczu. Wystrzał przyciągnął uwagę krążących po okolicy drapieżników. *Cholera.* Poczuł pieczenie oczu i nie mógł pojąć, skąd ten nagły przypływ sentymentalizmu.

Ale nie opłakiwał tego dzieciaka – w lesie szanse na przeżycie są znikome, średnia wieku jest niska. Płakał nad sobą. Nad brutalnością, która go uformowała, a teraz powróciła, nieodmieniona, w odrażająco czystej postaci.

Zarzucił plecak i wrócił na czoło kolumny. W oczach swoich ludzi nie dostrzegł cienia wyrzutu czy potępienia. Popełnił błąd, nie sprawdzając, kogo werbuje Michel. Oni wszyscy też ponosili odpowiedzialność, bo wzięli dzieciaka, ale i Gilbert nie był bez winy, skoro upierał się, żeby wyruszyć w tak ciężką drogę.

Sprawa zamknięta.

Wbrew temu, co się uważa, w Afryce współczucie nie jest w cenie.

14

Dwadzieścia dwa dni bez koki.

To była jego pierwsza myśl po przebudzeniu.

Loïca przeszył dreszcz, kiedy zauważył, że pościel jest poskręcana tak, jakby ktoś próbował go nią udusić. Pot na karku, ramionach i w kroczu nagle zrobił się lodowaty. Znów poczuł dreszcz. Lubił się tak pocić. Pocąc się, eliminował toksyny. Eliminując toksyny, oddalał się od zła.

W pokoju było widno. Budzik wskazywał za dziesięć dziesiątą. Loïc nie miał dziś żadnego spotkania ani pilnej sprawy. Musiał toczyć tylko tę walkę: pozwalać, żeby czas upływał bez kolejnych porcji koki. A to naprawdę dużo.

Ledwie to pomyślał, zaczął szczękać zębami i drżeć. Kości miał zbolałe, jakby ktoś okładał go przez całą noc pięściami. Próbował wyplątać się z pościeli, ale wtedy dopadł go gwałtowny ból brzucha – palący, przesuwał się po jego trzewiach, które pragnęły tylko wypróżnić się w niepohamowanej eksplozji. Miał biegunkę.

Musiał pędzić do toalety, zanim będzie za późno. Wstał, ale stracił równowagę. Po chwili leżał już twarzą do ziemi, z nosem wbitym w parkiet. Dźwignął się i zauważył, że na podłodze została plama krwi. *Cholera!* Złamał nos albo tytanowe płytki przebiły nozdrza. Łzy zakręciły mu się w oczach.

Skulił się i odczekał kilka sekund w pozycji płodowej, żeby odnaleźć w sobie resztki siły woli. Czasami wmawiał sobie, że zaraził się jakąś ciężką chorobą, jakimś tropikalnym świństwem, od tych czarnuchów, którzy porwali go przed dwoma miesiącami, ale prawda była znacznie prostsza: cierpiał na syndrom „zimnego indyka”, *cold turkey*, jak mawiali Anglosasi, bo na głodzie każdy dygocze jak stary indor.

Uniósł się, osłaniając nos dłonią, na przemian czołgając się i idąc na kolanach. W ten sposób dotarł do łazienki. Gdyby jego zwieracze nie wytrzymały, zapaskudziłby wszystko i nie przeżyłby takiego upokorzenia.

Chłód posadzki przyniósł mu ulgę. Oparł się o sedes i w ostatniej chwili zdążył usiąść. Poczuł palenie i napór, przed oczyma miał czarne plamy. Uderzenie krwi do głowy. A może gwałtowne niedotlenienie. Coś…

Kiedy się ocknął na posadzce, czuł się znacznie lepiej. Nie miał pojęcia, jak długo leżał omdlały – zostawił zegarek w sypialni. Miał wrażenie, że popękały mu naczynia krwionośne twarzy, nozdrza zatykało mu zaschnięte błoto, a raczej zakrzepła krew.

Oddychając przez usta, chwycił się umywalki i wstał. Jego wewnętrzna kanalizacja już nie bulgotała. Spuścił wodę, zapalił świecę zapachową, rozebrał się. Siedząc w kabinie prysznicowej, odkręcił kran i wyregulował, na tyle, na ile mógł, temperaturę wody. Znów drżał pod zimnym prysznicem.

Sięgnął po ostrą rękawicę i zaczął się nacierać tak mocno, jakby chciał zedrzeć sobie skórę. Jedyną dobrą wiadomością było to, że spał. Od tygodnia funkcjonował na mogadonie, a jeśli to nie wystarczało, sięgał po mepronizynę. Tej nocy wziął też tranxene, a potem siostra przyszła z odsieczą i podała mu stilnox. Ale faszerowanie się prochami po to, żeby uwolnić się od koki, to jak brandzlowanie się, żeby nie zadawać się z kurwami.

Już nie pracował. Wyrzucił kartę SIM z telefonu. Modlił się i medytował zgodnie z nauczaniem wadżrajany. Uprawiał sport, kiedy tylko ból nie dewastował jego ciała. Sikał do umywalek, żeby unikać ubikacji, które wywoływały w nim odruch warunkowy: *Gdzie jest moja kreska?*

Zamknął się ze swoim cierpieniem. Toczył walkę gołymi rękami i zawsze wychodził z niej zwycięsko, ponieważ mimo udręki, mimo chwil załamania, napadów lękowych, czas płynął i tylko to się liczyło. Powrót do przeszłości był niemożliwy.

Woda wciąż lała się na jego głowę. Powinien skontaktować się z psychiatrą i poddać się prawdziwej terapii wspomagającej. Albo zapisać się na terapię w rodzaju Anonimowi Narkomani. Duma kazała mu jednak postąpić inaczej: chciał skończyć z tym sam, w tajemnicy, i odrodzić się niczym feniks z popiołów.

Wychodząc z kabiny, drżał – tym razem z zimna, miał jednak wrażenie, że myśli już jaśniej. Zastanawiał się, czy się ogolić, ale ręce drżały mu tak mocno, że pewnie odarłby się ze skóry. Lustro. Ołowiana cera, zapadnięte

policzki. Od tygodni się nie śmiał ani nawet nie uśmiechał. Nie odczuwał już żadnej przyjemności, na nic nie miał ochoty. Wszystkie pragnienia i żądze opuściły go jak szare wody wzburzonego morza w czas odpływu.

Ubrał się w slipy i T-shirt, zawołał Gaëlle i poszedł do kuchni. Nie odpowiadała. Było już prawie południe, więc prawdopodobnie wyszła. Po tych wszystkich morderstwach bardzo się zmieniła. Odmłodniała o dziesięć lat. Nie malowała się i nosiła wyłącznie ciuchy na luzie, dlatego wyglądała raczej na hipiskę niż na dziewczynę do towarzystwa. Wyszczuplała, a nie schudła (wszyscy mieli kota na punkcie wagi Gaëlle). W Bretanii listopadowe słońce ją wypaliło, ale w pozytywnym znaczeniu „zahartowania".

Loïc był zafascynowany siostrą. Ten, kto wiedział o jej żałosnej karierze aktorskiej i próbach oszustwa, mógłby uznać ją za nieudacznicę. Błąd – Gaëlle miała doktorat z filozofii i potrafiłaby rozprawiać o wszystkich mistrzach scholastyki z XIII wieku. Była najpiękniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek widział, nie licząc Sofii, a właściwie na równi z nią. Mimo to nigdy nie związała się na dłużej z mężczyzną. Jej życie emocjonalne było pasmem beznamiętnych schadzek i technik seksualnych.

Zaparzył sobie tybetańską herbatę z solą, ziarnami zbóż, masłem i mlekiem. Tym paskudztwem można było zarzygać sobie buty, ale jemu przypominało jedyny szczęśliwy okres życia – lata spędzone w klasztorze Zhongdian.

Usiadł na kanapie pod tryptykiem Anselma Kiefera, odkupionym od zrujnowanego kolekcjonera, pomyślał o swoich dzieciach i humor natychmiast mu się popsuł. W tej chwili nie chciał się z nimi widywać. Prawdę mówiąc, naćpany czy na głodzie, zawsze czuł się przy nich niezręcznie. Nie znał ich światów, nie rozumiał języka, jakim się posługiwały, nie wiedział, w co lubią się bawić, a w codziennym życiu do niczego się nie nadawał – nie potrafiłby nawet usmażyć im jajecznicy ani ubrać. Teraz zaś, kiedy miał stargane nerwy, nie wytrzymałby w ich towarzystwie choćby godziny.

Żeby uniknąć spotkań w wyznaczone dni, zasłonił się problemami zdrowotnymi. Sofia – cóż za ironia losu – na pewno pomyślała, że napytał sobie biedy, zażywając za dużo koki. *Niech sobie myśli.* Narkotyki były głównym powodem ich rozwodu, a Loïc w żadnym razie nie chciałby, żeby Włoszka uznała, że skończył z nałogiem, by się do niej zbliżyć.

Pił właśnie trzecią herbatę z masłem, bo chciał dojść do siebie, a potem trochę poćwiczyć, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi. Na pewno Gaëlle zapomniała kluczy. Nikogo innego się nie spodziewał, budynek zaś, w którym mieszkał, był istną fortecą z portierem i kodami wejściowymi.

Otworzył, nie wyglądając przez wizjer.

W drzwiach stała nie Gaëlle, ale Sofia.

– *Papá è morto* – powiedziała głuchym głosem.

15

Wciąż osłupiały, Loïc zaprosił ją do mieszkania i przygotował wyborny napój: prażoną zieloną herbatę z Japonii – *hōjichę*, po którą sięgał tylko przy wyjątkowych okazjach. Miał coraz silniejsze dreszcze. W otwartej kuchni pełnej metalowego wyposażenia każdy jego ruch powodował taki hałas, jakby grał solo na perkusji.

Sofia nie zwracała na to uwagi. Siedziała na taborecie, po drugiej stronie bufetu, tępo wpatrzona w jeden punkt. Jej biała, idealnie gładka skóra i lekko skośne oczy tworzyły maskę pozbawioną wyrazu.

Loïc zastanawiał się, co powiedzieć, nie chcąc, by zabrzmiało to jak zwykły banał.

– Ale co się stało? – zapytał w końcu, jak zwykle pragmatyczny.

– Został zamordowany.

Zamarł z czajniczkiem w ręce.

– Co takiego?

– Właśnie odnaleziono jego okrutnie zmasakrowane zwłoki.

Mimo że teść miał w sobie coś mrocznego i tajemniczego, Loïc nie spodziewał się, że może go spotkać taki los. Giovanni Montefiori, zwany Kondotierem, zaczynał od zera, handlując żelastwem, a zdołał zbudować prawdziwe imperium. Krążyło na jego temat wiele plotek, zwłaszcza o powiązaniach z mafią białych kołnierzyków i Silvio Berlusconim, ale w swojej naiwności Loïc myślał, że po siedemdziesiątce jego teść wszystko już uporządkował i wiedzie spokojny żywot.

Zwrócił oczy na czajniczek.

– Wiesz coś więcej?

– To potworne… to… – Zamilkła, ale po chwili podjęła nieco spokojniej. – Po wstępnych oględzinach ustalono, że morderca rozpłatał mu tors piłą mechaniczną. A potem… – Głos Sofii znów się załamał, mimo że Loïc nie przypominał sobie, by kiedykolwiek brakowało jej słów. – A potem wyrwał mu serce.

Loïc znów osłupiał. Nie po raz pierwszy słyszał o tego rodzaju morderstwie. Philippe Sese Nseko został zabity w ten sam sposób we wrześniu w Lubumbashi. Nie wątpił, że mimo tak dużej odległości te dwa zabójstwa były ze sobą związane. Tym bardziej że Heemecht, luksemburska spółka Kondotiera, miała osiemnaście procent akcji Coltano.

Filiżanki. Nerwowe gesty i drżenie. *Opanuj się*. Czy Grégoire Morvan był następny na liście? Właśnie teraz znalazł się na miejscu, w paszczy lwa. Loïc rozlał herbatę. Gąbka. Kolejna próba.

– Powiedzieli ci coś jeszcze?

– Nic. Wyszedł do pracy o świcie, jak zawsze. Około dziesiątej jego zwłoki odnaleziono w pobliżu Signa.

– Był z kimś umówiony?

– Przecież go znałeś.

Montefiori był specyficznym człowiekiem – ledwie potrafił czytać i pisać, miał ponadto chorobliwe upodobanie do tajemnic. Nikt oprócz niego nie znał jego rozkładu dnia. Nie miał kalendarza ani telefonu komórkowego. Sekretarka nigdy o niczym nie wiedziała. Śledczy nieźle się natrudzą, żeby odtworzyć, jak wyglądały jego ostatnie godziny.

– Rozmawiałaś z policją?

Sofia wzruszyła ramionami, okazując wzgardę, która miała znaczyć: „Co policja mogłaby zrozumieć ze spraw Montefiorich?”. Kiedy tak siedziała przy marmurowym bufecie – tym samym, który zdobił ich kuchnię przy placu d’Iéna – odnajdował w niej dawną Sofię. I złoty wiek ich pierwszych wspólnych lat. Niezliczone kawy w Nowym Jorku, we Florencji, w Paryżu. Te pełne życia kolacje, kiedy Loïc piął się po szczeblach kariery. Płacz pierwszego dziecka. Mieszkanie z widokiem na wieżę Eiffla i pałac Tokio, już wtedy przypominające sanktuarium…

Wzruszony, poprosił, żeby przeszli do salonu.

– Mają jakieś tropy? Podejrzanych?

– Nie mam pojęcia. Śledztwo dopiero się zaczęło. Ma się odbyć sekcja. Jutro jadę do Florencji.

– Gdzie są teraz dzieci?

– W domu. Jeszcze im nie powiedziałam.

Poczuł się zobowiązany zapytać o rodzinę żony.

– A twoja matka?

– Nie reaguje. Zwiększy dawki leków i chwilowo odpłynie jeszcze bardziej.

– A siostry?

– Rzuciły się na pogrzeb jak hieny, żeby pokazać swoje zdolności organizacyjne. Czyhają na stanowisko prezesa imperium.

Nie mógł sobie przypomnieć ich imion. Nie dorównywały Sofii urodą, były samotne, ale w spółkach Kondotiera wywalczyły sobie bardzo mocną pozycję. Na ich tle Sofia sprawiała wrażenie leniwej i beztroskiej księżniczki. Ale to były tylko pozory – bardziej błyskotliwa od nich, z wrodzonym lekceważeniem odnosiła się do pracy, zupełnie jak jej arystokratyczna matka. To nie ona nie dorastała do pracy, tylko praca nie była jej godna.

Szybko wypił herbatę. *Hōjicha* była bez smaku po jego napoju z masłem i solą. Sięgnął po czajniczek i napełnił sobie filiżankę, Sofia nawet nie tknęła swojej. Stojąc za barkiem, znów ją obserwował. Siedziała na kanapie, tyłem do niego. Jej czarne, gładkie włosy spływały na ramiona jak japoński tusz. Ileż razy podziwiał je, gdy tego nie widziała!

Potrząsnął głową, zły na siebie za to rozczulenie. Nie powinien tracić czujności. Przyszła tu, bo chciała wciągnąć go w jakąś pułapkę. Nie było innego wyjaśnienia tej wizyty.

– Bardzo mi przykro z powodu twojego ojca… – powiedział, zbliżając się do niej – ale dlaczego chciałaś mi o tym powiedzieć osobiście? – Nie mógł stracić takiej okazji do zaczepki. – Czy to wpływa jakoś na twoją decyzję o rozwodzie? Trzeba podpisać jakieś dokumenty?

– Jesteś durniem. Przyszłam ze względu na pogrzeb. Chcę, żebyś z nami pojechał.

– Z wami?

– Z dziećmi i ze mną.

Byli w separacji, więc ta prośba wydała mu się dziwna.

– Prawdę mówiąc, nie rozumiem – rzucił. – Pieklimy się od lat, twoja matka i siostry marzą, żeby zobaczyć mnie za kratami albo w domu wariatów. Co do reszty rodziny, to…

– Pojedziesz czy nie?

Wypił łyk herbaty.

– Oczywiście, że pojadę.

16

Trzeba przyznać, że Salvo był naprawdę skuteczny. Pojawił się w południe, co jak na spotkanie wyznaczone na dziesiątą było akceptowalne. I miał usprawiedliwienie, bo przez cały ranek telefonował i pukał do kolejnych drzwi. Zdobył wszystkie potrzebne dokumenty, wynajął samolot. Teraz trwały końcowe przygotowania.

Tym razem Salvo nie ubrał się już w żółtą koszulkę, ale w T-shirt z wizerunkiem Steve'a Jobsa wzorowanym na sławnym portrecie Che. Usiedli na tarasie, żeby omówić wszystkie szczegóły wyprawy. Postanowili wystartować wieczorem, a wylądować nocą w okolicach Kabwe, w odległości stu pięćdziesięciu kilometrów od Ankoro.

– Dlaczego nie w samym Ankoro?

– To niemożliwe.

– Dlaczego?

– Po prostu niemożliwe.

Erwan nie nalegał. Zresztą ojciec też mówił, że nie ma tam już lądowiska. Stamtąd mieli pojechać wozem terenowym do Ankoro, dalej zaś popłynąć barką po Lualabie.

– Ile czasu zajmie nam podróż do Lontano?

– Nie mam pojęcia.

Pełną niedowierzania minę Erwana czarny skwitował wybuchem śmiechu, po którym można by go poznać w ciemności.

– Tam nie da się niczego przewidzieć. Masz kasę?

– Mam płacić już teraz?

– Połowa z góry, kuzynie.

Erwan był wytworem nowoczesnego społeczeństwa – nigdy nie miał przy sobie więcej niż dwieście euro w gotówce. Tymczasem teraz chodził z pasem na banknoty, w którym ukrył dziesięć tysięcy euro, z czego dwie trzecie w dolarach. Rano poszedł do banku centralnego w Lubumbashi

i wymienił trochę gotówki na franki kongijskie, żeby mieć pieniądze na drobniejsze łapówki.

Wyszedł do toalety i po chwili wrócił, niosąc tysiąc dolarów.

– Idź się odlać jeszcze raz, kuzynie. Połowa z trzech tysięcy dolarów to półtora tysiąca.

– To było za Ankoro.

Salvo uśmiechnął się, wsunął pieniądze do kieszeni, po czym zabrał Erwana na ostatnią wyprawę do różnych urzędów. Nigdzie nie zdarzyło im się czekać, a dyskusje w suahili i po francusku udało się skrócić do minimum. Erwan wszędzie robił tylko jedno – wyciągał kolejne pliki pieniędzy, nazywanych przez Banyamulenge „drobnymi zachętami". Kilka pieczęci, podpis i w drogę, panowie!

Około czternastej nastąpił wyczekiwany start. Erwan czuł nieopisaną lekkość. Wpadł w marzycielski nastrój – zaczął myśleć o Sofii, swojej „przyszłej byłej bratowej", z którą przed dwoma miesiącami przeżył krótką idyllę. Miłosna noc jak blitzkrieg. Królewskie przebudzenie w łożu hrabiny. Wieża Eiffla za oknem. A potem namiętne spotkanie w szpitalu, kiedy był ranny. I od tamtego dnia już nic. Tymczasem Sofia dowiedziała się, że ojciec manipulował nią, chcąc doprowadzić do małżeństwa z Loïkiem, i przeklinała obie rodziny – nie wyłączając Erwana.

Żeby w takiej sytuacji ocalić perłę, trzeba być jubilerem, wirtuozem, a on w domenie miłości nieznacznie przekroczył stadium wyrostka. Wyobrażał sobie długi list pisany przez dni spędzone na Lualabie, co byłoby bardzo oryginalne, ale odrzucił pomysł, doszedłszy do wniosku, że Sofia powinna zostać tym, kim zawsze była: nieprzystępną pietą.

Salvo zjechał z głównej drogi (prowadził zdumiewająco nową, lśniącą toyotę land cruiser). Budynki stawały się coraz bardziej oddalone od siebie, czerwone dachy willi wynurzały się z ogrodów, drzewa wzdłuż drogi były przycięte. Znaleźli się w dzielnicy rezydencji.

Czarny skręcił w niewyasfaltowaną dróżkę, która zdawała się kasłać im pyłem w twarze. Przednią szybę pokryły czerwone drobinki.

– Dokąd jedziemy?

Salvo nie odpowiedział. Pochylony nad kierownicą, starał się omijać wyboje, poranne kałuże i zalegające na ziemi gałęzie. Jechali brzegiem

jeziora, którego wody były zgniłozielone, a potem odbili w prawo. Nagle, niczym kwiat na wodzie, wyrósł przed nimi fantastyczny dom.

Potężna bryła betonu na słupach otwierała się tarasami, przeszklonymi loggiami, zewnętrznymi schodami. Wydawało się, że potężna dłoń zerwała fasadę, odsłaniając wnętrze domu. Sławna zamorska architektura – prostota linii, okna chroniące przed palącym słońcem – tu osiągnęła najwyższy stopień abstrakcji. To już nie była rezydencja, ale geometryczna rzeźba, coś między sanktuarium a letnim domkiem.

Tropikalny klimat całkowicie zdewastował ten budynek. Wysokie trawy obrastały kolumny, pnącza dusiły mury, korzenie rozsadzały tarasy. Poniżej zatęchła woda straszyła, chcąc pochłonąć ten dom jak stary wrak.

Salvo zaparkował sto metrów od budynku i wyłączył silnik.

– Jeśli dobrze zrozumiałem, interesuje cię wszystko, co wiąże się z Lontano i ze sprawą Człowieka Gwoździa?

Erwan zdążył już szczegółowo wyłuszczyć mu swoje oczekiwania.

– W takim razie witaj u de Momperów – rzucił Żółta Koszulka, otwierając furtkę.

– To krewni Magdy de Momper?

Marzec 1970 roku, trzecia ofiara Człowieka Gwoździa: dwudziestoletnia studentka literatury. Erwan wysiadł z samochodu i podążył za Salvo.

– To dom Philippe’a, architekta z Lontano. Był ojcem Magdy. On projektował całe miasto.

– Mieszka tu?

– Teraz dom zajmuje młodsza siostra Magdy, Philae.

– Ile miała lat, kiedy się to stało?

– Nie wiem, wydaje mi się, że dziesięć, dwanaście. Interesuje cię to czy nie?

– Oczywiście, że tak.

Salvo zatrzymał się i zagrodził mu drogę.

– Dopłacasz pięćset dolarów.

Erwan dał mu dwieście, nawet nie podejmując negocjacji. Po raz pierwszy płacił za śledztwo i już zrozumiał, że jeśli dalej tak pójdzie, szybko się zrujnuje.

17

Z oślepiającego światła dnia przeszli w dyskretny półmrok. W pierwszej chwili Erwan nic nie widział, ale stopniowo jego oczy przyzwyczajały się do nowej sytuacji. W ogromnym pokoju kobieta oparta o szczotkę zdawała się na nich czekać. Była wysoka, czarna, jakby rozbita wewnętrzną indolencją. Na fartuchu miała krwawe plamy – zwykłe ślady laterytu.

Salvo powiedział do niej coś w suahili. Jego głos brzmiał władczo, niemal obelżywie. Służąca w milczeniu wskazała dwuskrzydłowe drzwi za plecami. Prowadziły na zewnątrz i można było pomyśleć, że cały ten dom to tylko duża brama, za którą otwiera się rozległa, roślinna posiadłość. Przechodząc przez salon, Erwan zauważył w półmroku zagłówki, smukłe maski, bardzo niskie fotele. To była typowa Afryka, zużyta i przykurzona.

Znaleźli się w ogrodzie. Na zaniedbanym trawniku pod rozłożystym drzewem stały malowane żelazne meble. Dalej były lilie wodne i trzciny, które osiągnęły monstrualne rozmiary, tak jakby rośliny faszerowano tu tajemniczym dopalaczem.

Dopiero za drugim razem dostrzegł kobietę siedzącą w bujanym fotelu, obok otoczonego krzesłami stołu. Nosiła ciemne okulary, tunikę indygo i szal na włosach, jak gwiazda z lat sześćdziesiątych.

Podeszli. Philae de Momper była istotą bez wieku, jakby znalazła się już po tamtej stronie. Choć w rzeczywistości nie umarła, to należała do statycznego świata mumii i mauzoleów. Młodsza siostra Magdy z pewnością nie przekroczyła sześćdziesiątki, mimo to wyglądała jak ktoś, kto przeżył wieki. Kołysała się lekko, sztywna jak serce dzwonu, a fotel rytmicznie skrzypiał. Materiał, z którego uszyta była tunika – przetykany złotą nitką barchan, sztywny i ciemny – czynił ją jeszcze bardziej hieratyczną i zamykał jak sarkofag.

Erwan przedstawił się i krótko, nie starając się okazać jej szczególnej delikatności, powiedział, co go sprowadza. Człowiek Gwóźdź, Lontano, Grégoire Morvan, czyli jego ojciec…

– Jest pan do niego bardzo podobny.

Zaskoczyły go te słowa – kiedy działo się to, o czym mówili, Philae była małą dziewczynką.

– Pamięta go pani?

– Był naszym bliskim znajomym. Może cytrynady?

A zatem stary utrzymywał kontakty z rodziną jednej z ofiar. Erwan patrzył, jak pani domu napełnia szklanki, i przygotowywał się psychicznie na kolejne niespodzianki. Pili w milczeniu, a on delektował się pierwszym naprawdę dobrze schłodzonym napojem od przyjazdu do Demokratycznej Republiki Konga.

Wreszcie pochylił się lekko w stronę Philae, która siedziała teraz przed nim na ogrodowym krześle, nieopodal fotela, i podjął:

– Odwiedzał państwa w związku ze śledztwem?

– Przypuszczam, że początkowo tak. Potem to była przyjaźń. Bardzo lubił Salamandry.

Ta nazwa coś mu przypominała. Czuł, że Philae obserwuje go zza ciemnych szkieł i że jest skonsternowana jego niewiedzą. Najwyraźniej jednak była skłonna o wszystkim mu opowiedzieć.

– Moja starsza siostra, podobnie jak Ann de Vos, Sylvie Cornette i Monika Verhoeven, należały do Salamander. To był żeński zespół rockowy. Gwiazdy Lontano… Co sobota występowały w Cité Radieuse.

Philae de Momper zachowała dziecięcy głos, co było tym bardziej poruszające, gdy przywoływała wspomnienia podlotka.

– Cité Radieuse – powtórzył Erwan, wyjmując notes. – Co to takiego?

– Duży hotel w Lontano. Tam organizowano koncerty, bale, bankiety. Ojciec nazwał go tak, nawiązując do budowli Le Corbusiera w Marsylii. Fascynował go ten architekt.

Znów ten sen. Erwan był pewien, że „widział” ten hotel we śnie.

– Nie pozwalano mi chodzić na ich występy – ciągnęła Philae – mimo to byłam na jednym czy dwóch koncertach. Maggie miała głos stworzony do bluesa.

– Kto? – Erwan aż podskoczył.

– Maggie de Creeft, wokalistka zespołu.

Panieńskie nazwisko matki. Musiał się upewnić, że jego korzenie wyrastały z Lontano. *Muszę poznać całą historię.*

– Pamięta pani, kiedy Grégoire pojawił się w waszym życiu?

– Dokładnie nie pamiętam, miałam wtedy dwanaście lat. Nasza rodzina przeżywała żałobę.

Erwan dobrze pamiętał daty: Morvan przyjechał do Lontano w maju 1970 roku, dwa miesiące po zamordowaniu Magdy.

– Matka chciała wyjechać, ale ojciec wciąż się wahał, bo Lontano było jego dziełem. Powtarzał, że gdyby miasto podupadło, on umarłby razem z nim, jak przystało na kapitana statku. Ja zapamiętałam przede wszystkim, że życie nagle zamarło. Nie mogłam już nawet wychodzić z domu. Miasto jakby stanęło w ogniu.

Philae ciągnęła głosem jak z kreskówki, opisując marazm krwawych lat. Erwan pisał, aż spocone palce wciskały się w kartki. Salvo rozsiadł się pod parasolem, może nawet zasnął.

– Czy pani ojciec… czy on aprobował te… działania wymierzone w czarnych?

Erwan starannie dobierał słowa, nie wiedząc, po czyjej stronie opowiada się Philae.

– Sam kierował tymi operacjami. Krótko mówiąc, dołożył czarnuchom. Wtedy wszyscy byli przekonani, że morderca jest czarownikiem ludu Yombe. Ojciec ze swoją grupą atakowali imigrantów z Dolnego Konga, ale dość szybko się uspokoili.

– Dlaczego?

– Yombe są myśliwymi. Zorganizowali oddziały milicji i wzięli się za białych. Używali psów i sieci. Atmosfera stawała się… naelektryzowana. Po obu stronach zdarzały się ofiary śmiertelne.

Erwan wrócił do faktu, który nie pasował do innych zdarzeń.

– Powiedziała pani, że Grégoire lubił Salamandry, ale kiedy przyjechał do Lontano, zespół już nie istniał, prawda?

– Istniał. Może pana to zdziwi, ale Maggie powtarzała, że nie wolno dać się zastraszyć, że powinny dalej grać, by czcić pamięć zmarłych. Znalazła nowe dziewczyny. A poza tym założyła stowarzyszenie, które broniło czarnych. Była naprawdę niezwykła.

Ujrzał jedną z twarzy matki – mocnej w gębie hipiski, zawsze prowadzącej krucjatę. Wyobrażał sobie panującą wówczas atmosferę: Peace Love, rewolucja i skręt co wieczór. Mimo strachu, jaki owładnął miastem, Salamandry się nie poddały.

– Maggie i reszta były wiecznymi buntowniczkami – przyznała Philae. – Buntowały się przeciw swoim korzeniom, przeciw kopalniom, przeciw całej tej kasie zbijanej kosztem czarnej ludności. Dla przyjemności, ale przede wszystkim po to, żeby prowokować, większość sypiała nawet z Afrykanami, co doprowadzało naszych rodziców do szału. Ja je podziwiałam – wyciągnęła rękę, sięgając po marlboro. – Pali pan?

– Nie.

– Proszę o ogień.

Erwan wziął leżącą na stole zapalniczkę. Philae wypuściła długie pasmo dymu, jemu zaś się wydało, że czuje między rozpalonym papierosem a kłębiącym się powietrzem tę samą harmonię, jaką z zaskoczeniem dostrzegł między pożarem Saint-François-de-Sales a nocną duchotą.

– W końcu – podjął Erwan – ustalono, że sprawcą jest Thierry Pharabot i że on sam pochodził z Mayombe. Czy coś mogło go łączyć z rodzinami ofiar?

– Nie. Nie należał do ich pokolenia.

– A jego rodzice?

– Nigdy o nich nie słyszałam. Motywy, jakimi kierował się Pharabot, nie były z tego świata.

Philae trzymała się wersji oficjalnej: inżynier wtajemniczony przez czarowników ze środkowego Konga, biały *nganga*, którego własne wierzenia wpędziły w obłęd… Drążenie tego wątku nie miało sensu.

– Wróćmy do Grégoire’a – zasugerował. – Nie rozumiem pewnego szczegółu. Magda została zamordowana, po co więc tak często do państwa przychodził?

– Już mówiłam: Grégoire lubił Salamandry. – Wskazała ręką ogród. – W głębi był kiedyś pawilonik, w którym dziewczyny grały. Przychodził na ich próby. Powtarzał, że w ten sposób chce nas ochraniać.

Erwan w końcu zrozumiał, co powodowało ojcem:

– Czy to wtedy zbliżył się do Maggie?

Kobieta znowu się uśmiechnęła. Jej zwiędłe usta zlewały się z bladą skórą, a twarz zdawała się pływać za okularami słonecznymi jak zjawa.

– Była z nich najładniejsza. Od pierwszej chwili wpadli sobie w oko.

Erwan, podobnie jak jego brat i siostra, wzrastali w piekle małżeńskiego życia rodziców. Nie był gotów – absolutnie nie był – słuchać opowieści o idylli, jaką przeżyli Maggie i Morvan.

– Wie pani może – przerwał – czy pani siostra i inne… – Zawiesił głos, jakby wciąż jeszcze powstrzymywały go obawy. – Sięgały po narkotyki?

Philae parsknęła śmiechem, rozbawiona zażenowaniem policjanta:

– Chodziły naćpane od rana do wieczora. To był element ich gry.

– Co brały?

– Oczywiście konopie, ale sięgały także po prochy albo coś w rodzaju znaczków, które kładły na języku.

Amfa, LSD – repertuar z tamtych lat.

– Wie pani, jak to zdobywały?

Philae pokręciła głową. Erwan podkreślił ostatnie zanotowane słowa. W jego głowie krystalizowała się pewna myśl: dlaczego w mieście sparaliżowanym strachem przed seryjnym mordercą i pogrążonym w wojnie domowej te dziewczyny tak swobodnie wychodziły?

Zaczął jednak od najważniejszego pytania:

– A czy pamięta pani Catherine Fontanę?

– Wszyscy pałaliśmy nienawiścią do Catherine.

Podskoczył, usłyszawszy tę odpowiedź. Spodziewał się, że jego rozmówczyni w najlepszym razie zachowała mgliste wspomnienie o tej kobiecie. Nie zdziwiłby się też, gdyby nic o niej nie wiedziała. Catherine, francuska pielęgniarka, nie przystawała do profilu Salamander.

– Dlaczego?

– Bo odbiła Maggie Grégoire’a.

Kolejne zaskoczenie. Morvan nie tylko znał Cathy, ale także z nią sypiał! Ojciec nie wspomniał mu o tym ani słowem. Trudno się dziwić…

– Co może mi pani o niej powiedzieć?

– Niewiele. Wiem tylko, co opowiadano. Poderwała Grégoire’a w sylwestrową noc tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku w Cité Radieuse. Salamandry powtarzały, że była największą dziwką, jaką kiedykolwiek nosiła ziemia.

Philae wciąż mówiła delikatnym, dziewczęcym głosem, raz po raz zaciągając się papierosem. Nie przejawiała żadnych emocji: ani gniewu, ani współczucia.

– Czy pamięta pani jakieś szczegóły dotyczące jej śmierci?

– Nie. To było po prostu jeszcze jedno nazwisko na liście. Ale nie czułam już takiego smutku… Dziewczyny mówiły, że ta zdzira dostała to, na co zasłużyła, że nikt nie będzie się nad nią rozczulał. I inne podobne rzeczy.

– Maggie kierowała zespołem?

– Nie. O dziwo, śmierć Cathy zupełnie ją załamała. Przeniosła się nawet do Kisangani, nie chciała słyszeć o Lontano.

– A Grégoire?

– Z nim też się nie widywaliśmy. Prowadził śledztwo dniem i nocą, ale bez rezultatów. Ofiar przybywało, a on nie miał żadnego tropu. Rodzice mówili, że do niczego się nie nadaje. Przede wszystkim jednak ludzie myśleli, że Człowiek Gwóźdź jest nienasyconym demonem, klątwą Lontano.

Erwan wciąż dokładnie notował słowa Philae, ale przestał analizować to, co mówiła.

– Martine Duval, czwarta ofiara, również była Francuzką. Znała ją pani?

– Tak. Należała do grupy.

– A Anne-Marie Nieuwelandt?

– Również. Obie przychodziły na próby z całą bandą.

– A zatem Catherine Fontana była pierwszą ofiarą spoza tego grona?

– Mówiło się, że Człowiek Gwóźdź rzucił wyzwanie Morvanowi. Wszyscy wiedzieli, co łączy go z Catherine.

– I nikt nie podejrzewał, że mógł się pojawić inny morderca? Wykorzystać tę serię, żeby ukryć się za plecami Człowieka Gwoździa?

Philae obserwowała go zza ciemnych szkieł. Po raz pierwszy uniosła brwi: komu przyszłoby do głowy coś takiego? Erwan w końcu sam poczuł się niezręcznie: a jeśli to on się myli? Te historie z dniami i godzinami po ponad czterdziestu latach nie były może wystarczającą podstawą snucia scenariuszy, które zrodziły się w jego głowie.

– A kolejne ofiary? – podjął, by rozwiać własne wątpliwości. – Pamięta je pani?

Rzuciła niedopałek, celując w kałużę. W niewielkiej odległości od jeziora cały trawnik był nasiąknięty jak gąbka.

– Człowiek Gwóźdź poszerzał teren polowania. Nie mierzył już wyłącznie w Salamandry, bo po Catherine napadł na młodą matkę w jej własnym domu. Wbijał w ciało tej kobiety dziesiątki gwoździ przy wtórze płaczu niemowlęcia, które leżało kilka metrów dalej.

Erwan czytał o tych wydarzeniach w aktach sądowych. Nie było sensu pytać o szczegóły, podobnie jak wracać do ostatniej ofiary mordercy – dwudziestoletniej zakonnicy.

– A jego aresztowanie?

– Świętowaliśmy je, bawiąc się przez kilka dni i nocy. Miasto znów było wolne, a Grégoire stał się naszym bohaterem. Gdyby chciał zostać merem Lontano, w ciągu minuty zdobyłby potrzebne głosy.

– A Maggie?

– Już nigdy tam nie wróciła. Grégoire przeniósł się do niej, do Kisangani. Zaszła w ciążę i…

Philae zamilkła. Śpiew ptaków i szum traw nagle przybrały na sile. Kobieta dopiero teraz uświadomiła sobie, że to Erwan był dzieckiem, którego wówczas oczekiwała Maggie.

Wstał, żeby nie dopuścić do żadnych pytań z jej strony. Dobrze znał dalszy ciąg tej historii, dotyczyła bowiem jego dzieciństwa. Huczało mu w głowie – przytłaczał go upał, nadmiar słów, nadmiar zaskakujących informacji. Czuł, że niczego nie zdoła już wysłuchać.

– Może zachowała pani jakieś wycinki prasowe z tamtych lat? – zaryzykował na zakończenie.

– Nie. To nie są dobre wspomnienia.

– Szukałem śladów rodzin ofiar w Lubumbashi, ale nic nie znalazłem. Czy po tych wydarzeniach opuścili państwo Lontano?

– To raczej Lontano nas opuściło. W latach osiemdziesiątych złoża się wyczerpały, kopalnie upadły. Potem zaczęły się grabieże. Żołnierze Mobutu, od bardzo dawna nieotrzymujący żołdu, postanowili sami sięgnąć po pieniądze. Ostatni biali uciekli. Niektórzy w inne miejsca w Afryce, niektórzy do Belgii.

– Ale pani tu została.

– To mój kraj. Tu się kształciłam, tu pracowałam.

– W jakiej branży?

– W Katandze nie ma wyboru, są tylko kopalnie. Inżynieria przemysłowa, mechanika skał, metody wydobywcze. Najpierw zamieszkałam w Kolwezi, a potem tu, u zjadaczy miedzi.

Przed wyjściem zadał jeszcze jedno pytanie.

– Nie wyszła pani za mąż? Nie ma pani dzieci?

– Wolałabym skonać. Tu nie ma przyszłości dla nowych pokoleń.

– Dla białych czy dla czarnych?

– Dla nikogo.

18

Kiedy znaleźli się nad Kabwe, była już noc.

Samolot – cessna 182 nadająca się na złom – wygasił światła pozycyjne. We wnętrzu kabiny zamontowano tylko dwa fotele, Erwan musiał więc siedzieć z tyłu na podłodze. Kabinę odarto z niemal wszystkiego, prawdopodobnie po to, żeby transportować więcej minerału, ale teraz ta przestrzeń była wolna. Co takiego miał dostarczyć Salvo? A może nie dostarczał niczego, udając się dopiero po ładunek? Zabrał tylko kilka walizek, chyba kartonowych, przewiązanych pasami.

– Ani FARDC, ani rwandyjscy rebelianci nie mają rakiet ziemia-powietrze – krzyknął Żółta Koszulka, odwracając głowę – ale lepiej być ostrożnym! Podobno Tutsi dostali broń…

Samolot zapikował w ciemnościach. Wydawało się to tak nierealne, że Erwan właściwie nie poczuł strachu, raczej odniósł wrażenie, że przechodzi w inny, równoległy wymiar. Nagle dostrzegł przez okienko migoczący pośród nocy szpaler światełek. Bardziej niż z lądowiskiem kojarzyło się to z dawną metodą wypalania pól.

Na pułapie pięćdziesięciu metrów cessna włączyła światła. Wbrew wszelkim oczekiwaniom lądowanie przebiegło bez problemów. Przy dużej prędkości maszyna przetoczyła się po wybojach, a pilotowi udało się mniej więcej utrzymać kierunek. Erwan nie miał pojęcia, gdzie byli. Mógł się opierać tylko na swoim zegarku, który wskazywał kilka minut po osiemnastej.

– Witaj w Kabwe, szefie.

Na nic nie robił sobie nadziei, a to, co zobaczył, gdy wysiadł, było właśnie niczym: totalną ciemnością. Atmosfera była ciężka, lepka jak przemoczony płaszcz. Erwan widział tylko napełnione benzyną puszki po konserwach, którymi oświetlono lądowisko. Woń paliwa i wyziewy wilgotnej ziemi drażniły nozdrza. Rozproszeni w mroku czarni obserwowali ich, wytrzeszczając oczy.

– Czy… mamy tu nocować? – zaniepokoił się Erwan.

– Nie, w samochodzie, który zabierze nas do Ankoro. Jeżeli wyjedziemy teraz, jutro koło południa będziemy na miejscu. Zdążymy wsiąść na barkę.

– O której?

– Dobre pytanie! Najpierw musi dopłynąć na miejsce. – Salvo przybrał ton biznesmena. – To będzie kosztowało tysiąc euro, szefie.

– Za kilka kilometrów?

– Jeżeli wolisz, idź piechotą.

Erwan sięgnął do paska.

– Gdzie ten wóz?

– Na końcu drogi – odparł czarny, wsuwając pieniądze do kieszeni. – Nie bój się.

Cessna już startowała. W miarę jak warkot silnika cichł, osaczały ich szelesty i świsty nocy. Salvo mógł teraz po prostu poderżnąć mu gardło i zabrać pieniądze. Erwan instynktownie sięgnął po schowaną do torby dziewiątkę i wsunął ją za pas.

Szli korytarzem wśród liści. Banyamulenge torował drogę, niosąc przed sobą lampę, pod pachą zaś walizkę. Erwan podążał za nim, a zjawy w łachmanach ciągnęły ich śladem, dźwigając resztę bagażu.

Wkrótce, w blasku lampy, zobaczyli białą toyotę upstrzoną błotem. Jak okiem sięgnąć, nie było tu ani domów, ani śladów ludzkiej obecności. Czekał na nich tylko kierowca w szortach. W zębach trzymał papierosa. I ten cud miał być wart tysiąc euro!

– Jeszcze tylko sprawdzimy, co należy, i ruszamy.

Erwan przysiadł na pieńku, pełen obaw, by nie natknąć się na pająka albo węża. Już po chwili górę nad strachem wzięło jednak zmęczenie. Wyczerpał go ten upał, potem lot rozedrganą cessną, a pustka, którą miał teraz wokół siebie, oszołomiła. Wszystko, co mu zostało tego wieczoru, to topniejące w oczach oszczędności i wielka niepewność co do przyszłości. Strach skręcał mu trzewia i niewiele brakowało, żeby dostał biegunki.

A jednak miał coś jeszcze: informacje od Philae de Momper. Próbował już je uporządkować i stworzyć nową teorię. Nie, na to było jeszcze za wcześnie. Za to przyszedł już czas na krótką rozmowę z ojcem. Przez chwilę szperał w torbie i wyjął Iridium. Po kilku bezowocnych próbach usłyszał sygnał. Ojciec odebrał po paru sekundach.

– To ja – oznajmił triumfalnym tonem. – Jestem w okolicy Kabwe.

Padre gwizdnął z podziwu, ale o nic nie zapytał. W ten sposób okazał, że docenia wysiłki syna. Ta rozmowa pośród nocy w sercu buszu miała w sobie coś nierzeczywistego.

– Masz pozdrowienia od Philae de Momper – rzucił Erwan.

Morvan nie okazał zdziwienia, bo w gruncie rzeczy doskonale wiedział, co może odkryć syn i z kim uda mu się porozmawiać.

– Jak się miewa?

– Wygląda na… wyniszczoną.

– To Afryka, chłopcze! Co ci powiedziała?

– Mówiła o Salamandrach.

– Stare dzieje!

– Dlaczego mi o tym nie wspomniałeś?

– Mówiłem, po prostu nie zwróciłeś uwagi, zresztą słusznie, bo to nie ma nic wspólnego z twoim śledztwem.

– A twój związek z Catherine Fontaną?

Stary ciężko westchnął, a może raczej warknął.

– Nie mam ochoty tego rozgrzebywać, synu. Pharabot zabił ją, żeby mi pokazać, kto jest panem sytuacji. – Grégoire cicho zaklął. – To ja głupim flirtem ściągnąłem na nią jego uwagę.

Erwan doszedł podczas tej rozmowy do wniosku, że należy uznać winę Pharabota za zabójstwo Catherine.

– Dlaczego nie powiedziałeś mi tego wszystkiego za pierwszym razem?

– Żeby nie mącić ci w głowie. Te szczegóły nie pomogłyby ci tworzyć portretu mordercy z Paryża.

– Powinieneś pozwolić, żebym sam to ocenił.

– Miałem jeszcze inny powód – dodał ciszej stary. – Pharabot całkowicie mnie pogrążył, zabijając Cathy. A tej jesieni nowy Człowiek Gwóźdź próbował osiągnąć to samo, mordując Anne Simoni. Milczałem z zabobonnego strachu, żeby nie wpaść w spiralę, którą dobrze znam.

Mimo odległości i zakłóceń Erwan wyczuwał nutkę szczerości w głosie ojca. Czy od początku mylił się co do niego?

– Opowiedz mi o niej.

– Przyjechała do Lontano pod koniec tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku. Spotkałem ją w sylwestra w Cité Radieuse, hotelu, który…

– Słyszałem już o tym miejscu.

– Pracowała w lecznicy dostępnej dla czarnych, co w tamtych czasach było aktem dobrej woli. Co jeszcze mógłbym ci powiedzieć? Nasz związek nie zdążył się rozwinąć.

– Rozwinął się na tyle, żebyś porzucił Maggie.

– To prawda.

Erwan słyszał teraz w tle krzyki i pohukiwania do złudzenia przypominające te, które go otaczały. Obozowisko Grégoire'a prawdopodobnie niewiele się różniło od miejsca, w jakim znalazł się jego syn.

– Salamandry nienawidziły Catherine.

– Maggie była głową zespołu, stanęły za nią murem. Twierdziły, że Cathy to uwodzicielka, że wszystkim przysparza problemów. Ale to nieprawda. Była po prostu kobietą skromnego pochodzenia, dyskretną i oddaną, głęboko wierzącą katoliczką. Może trochę naiwną. Przeciwieństwem tych rozpieszczonych dziewczyn, które doprowadzały mnie do szału.

– Powiedziano mi coś innego: uganiałeś się za nimi.

– Ochraniałem je. Przynajmniej próbowałem. W tamtych czasach nie miałem nic wspólnego z Morvanem, jakiego znasz. Ja też byłem swego rodzaju hipisem. Długowłosym lewicowcem o twardych przekonaniach.

Rzeczywiście, trudno było to sobie wyobrazić. Nawet młody – maoista czy bitnik – Morvan musiał być w głębi duszy gliną, infiltrowanym szpiegiem.

– Odkryłem, że Salamandry były córkami białych budowniczych.

– I to ma być odkrycie? Co z tego?

Nadszedł czas, żeby sformułować nowe podejrzenie.

– A może Pharabot miał inny motyw?

– Co ty pleciesz?

– Biali budowniczowie pochodzili z Dolnego Konga, tak samo jak on. Być może znał ich stamtąd.

– Daty tego nie potwierdzają. Jeszcze nie było go na świecie, kiedy te rodziny zamieszkały w Lontano.

– A może chodziło o coś, co dotyczyło jego rodziców? Albo magii?

– Naprawdę bredzisz. Ten obłąkaniec wybrał Salamandry, ponieważ w Lontano wszyscy je znali. Przemieniając je w fetysze, zyskiwał większą

moc. To wszystko. A poza tym przestań trwonić mój czas i moje pieniądze. Wiesz, ile kosztuje takie połączenie?

Erwan zlekceważył tę uwagę.

– Philae powiedziała mi, że dziewczyny faszerowały się narkotykami.

– Co z tego?

– Wspomniała o LSD, amfie. Gdzie to zdobywały?

– Były pewne źródła. Lontano z tamtych lat to nowoczesne miasto. Do czego zmierzasz?

– Może narażały się na ryzyko, żeby kupić towar…

Za plecami Erwana trzasnęły drzwiczki. Odwrócił się. Pakunki leżały już w bagażniku, szofer siedział za kierownicą, Salvo zaś na miejscu pasażera. Czekali tylko na niego. Przebiegł go dreszcz. Może złapał już jakieś świństwo w tym wilgotnym klimacie.

– Jestem pewien, że sprawdzałeś ten trop.

– Chodziły po narkotyki wieczorami – przyznał po krótkim milczeniu Morvan. – Na drugi brzeg rzeki. I rzeczywiście, tam je dopadał. Zadowolony? Tylko co ci to dzisiaj dało?

– Moja koncepcja…

– Jaka znowu koncepcja? – wybuchnął Morvan. – Przesłuchałem wszystkich handlarzy, obserwowałem każdą z tych dziewczyn, kiedy wchodziły do czarnych gett, przesiadywałem całymi nocami na brzegu, czatując, i wszystko na próżno. Nigdy nie udało mi się go złapać. Teraz Pharabot nie żyje. Drugi Człowiek Gwóźdź też. Powiedz mi, po co, do diabła, usiłujesz napisać tę historię od nowa? Żeby ubabrać mnie w gównie po czterdziestu latach?

Erwan nie wiedział, co powiedzieć. Wyraźnie poirytowany ojciec dodał na zakończenie:

– I nie używaj więcej telefonu satelitarnego z powodu takich bzdur. Dałem ci go, żebyś do mnie dzwonił w razie potrzeby, a nie po to, żebyś zawracał mi dupę co wieczór.

19

„Penasar” to indonezyjska restauracja usytuowana w 8 dzielnicy, przestronna i słabo oświetlona. Świece, rozproszone światło, ozdoby z brązu i miedzi kładące się ciepłym blaskiem na stołach i twarzach. Pod ścianami marionetki *wayang* rzucały zza płóciennych parawanów cienie o niesłychanej elegancji. Kobiety zyskiwały w tym wnętrzu, ponieważ półmrok życzliwie maskuje zmarszczki i inne niedoskonałości. Mężczyźni czuli tu przedsmak zwycięstwa: byli już w łóżku albo prawie…

Gaëlle wybrała to miejsce z innego powodu: oddalone od siebie stoliki zapewniały prawdziwą intymność. Nie chciała krępujących świadków tego pierwszego spotkania. O dziwo, czuła się swobodnie. Za to Katz sprawiał wrażenie zakłopotanego. Napawała się tym widokiem, ponieważ od roku doznawała w jego towarzystwie poczucia niższości. Chciała tego drobnego odwetu.

– Zna pani Indonezję? – zaczął niezdarnie.

Widać było, że nie ma wprawy. Ale właściwie w czym? I dlaczego ją zaprosił? Czy próbował ją poderwać? A może przeprowadzał nowy eksperyment – psychoanalizę przy stoliku?

Zanurzyła szaszłyk z kurczaka w sosie satay, schrupała, a potem wzruszyła ramieniem:

– Jak wszyscy. Byłam na Bali.

Katz uśmiechnął się i sięgnął po szaszłyk.

– Chyba pochodzimy z różnych światów.

– Niech mi pan nie wmawia, że pańscy przyjaciele wyjeżdżają na kemping do Palavas-les-Flots.

– Zaskoczę panią. To nic, że mam praktykę w szesnastej dzielnicy i raczej zamożnych pacjentów. Sam pochodzę ze… skromnej rodziny.

Cudownie, teraz będzie musiała wysłuchać biografii w stylu Zoli. Drobiazg. Jakkolwiek potoczy się ten wieczór, obserwowanie własnego psychiatry w takim stanie to bezcenne chwile.

– A pańska żona, dzieci? Gdzie teraz są?

– No cóż… – Zażenowany, odruchowo otarł usta serwetką. – Są w domu.

– I pańska żona wie, że jest pan w moim towarzystwie?

– Ależ… oczywiście.

– Nie robiła żadnych uwag, nie zwymyślała pana?

Roześmiał się.

– Nie należymy do tego typu małżeństw.

Zastanawiała się, co chciał przez to powiedzieć, ale wolała kontynuować bombardowanie pytaniami.

– W jakim wieku są pana dzieci?

– Starszy, Hugo, ma jedenaście lat, a jego brat, Noah, osiem.

Kelnerka podeszła przyjąć zamówienie. Gaëlle dokonała wyboru za nich oboje, decydując się na kilka dań do podziału.

– Wolę z góry uprzedzić – podjęła przesadnie autorytarnym tonem – dzisiejszego wieczoru mówimy o panu.

– Dlaczego?

– Ponieważ pan wie o mnie już wszystko.

Zauważyła jego tik: pocierał ręce, jakby chciał je rozgrzać, a brzmiało to jak szelest suchych liści i kojarzyło się jej z ojcem i jego skórą węża. „Wcale mi się to nie podoba” – pomyślała.

– Katz… to nie francuskie nazwisko?

– Nie żydowskie, jeśli o to chodzi.

– W c a l e nie o to chodzi!

– Moje nazwisko jest niemieckie – dodał z uśmiechem, żeby załagodzić sytuację. – Ojciec montował samochody w Berlinie Zachodnim w latach sześćdziesiątych. Potem przeszedł do „wroga”, czyli do jakiejś francuskiej marki, której nazwy nie pamiętam, i w końcu wyemigrował do Francji.

– Urodził się pan we Francji?

– Prawie, w Alzacji. Mieszkałem tam do ukończenia studiów wyższych.

– Dlaczego wybrał pan tę dziedzinę?

To pytanie jej się wymknęło, mimo że obiecywała sobie go unikać – było zbyt banalne. Zawód psychiatry, podobnie jak gliny czy prostytutki, intryguje. Będąc córką prefekta, a w wolnych chwilach dziwką, mogła wykazać więcej inwencji.

– Udzielę prostej odpowiedzi: dla mnie to najwspanialszy zawód świata.

– Jak by go pan zdefiniował?

Podparł się łokciami – w blasku świecy jego koścista twarz wyglądała niepokojąco.

– Jestem mechanikiem. Przywracam kobiety i mężczyzn do stanu używalności. Oczyszczam ich dusze i pobudzam pozytywną energię. Wspieram miłość w walce ze śmiercią.

– Idealista z pana.

– Sądziła pani, że jestem już za stary na takie pomysły?

– Nie wiem, ile pan ma lat?

– Czterdzieści sześć.

Podano im zamówione potrawy. Pierwsza tura odpowiedzi, jakich udzielił, była szczera i raczej zadowalająca. Gaëlle krótko opowiedziała mu o każdym z dań (udawała doskonale zorientowaną, chociaż była tu dopiero drugi raz), a potem znów zaatakowała serią pytań, wciąż nieco agresywna.

– Nie męczy pana słuchanie całymi dniami tych jęków i posępnych myśli?

– Z pani słów wynika właściwie, że jestem jak zsyp.

– W pewnym sensie tak chyba jest.

– Nie jestem słuchaczem, ale kluczem. Pacjenci rozmawiają ze sobą.

– Wytrzymał pan kwadrans.

– Do czego?

– Do wrzucenia mi jednego z tych psychiatrycznych frazesów.

Uniósł szklankę, a raczej filiżankę, bo zamówili aromatyczną herbatę.

– Jest pani niesprawiedliwa. To pani prowadzi przesłuchanie.

Również sięgnęła po filiżankę i upiła łyk herbaty.

– Tak, to prawda, ale pan mnie przecież zna. Kiedy nie jestem cyniczna, staję się wroga. A kiedy nie jestem ani cyniczna, ani wroga, zaczynam płakać. Niech mi pan lepiej powie, dlaczego zaprosił mnie pan na kolację?

Kolejne pytanie, którego miała nie zadawać.

– Powiedzmy, że chcę być pani przyjacielem.

– Czuję się zawiedziona – rzuciła, strojąc głupie miny.

– Niesłusznie. Przecież to dowodzi, że robię sobie wielkie nadzieje.

Nie ciągnęła tego wątku, bojąc się, że usłyszy nudny wywód o przyjaźni silniejszej od miłości. Wolała poprzestać na sprawach pragmatycznych: jego dniu powszednim i pracy. Tego wciąż jeszcze chciała się dowiedzieć. Nie wykładał na uczelni, nie był szefem kliniki czy oddziału – nie mógł

pochwalić się żadnymi większymi sukcesami. Mówił o swoim gabinecie jak o sklepiku.

Mimo to mogłaby jeszcze długo obserwować jego twarz. Podczas sesji głos Katza zawsze kojarzył się z pustką i ze spękanym sufitem. Teraz mogła przypatrywać się człowiekowi z krwi i kości. Głównie z kości.

Z pewnym opóźnieniem uświadomiła sobie, że nie dopuszcza go do głosu, a sama wygaduje jakieś bzdury. Czuła się, jakby piła, wiedziała jednak, że to tylko skutek podniecenia. Kręciło jej się w głowie, słowa płynęły jak strumień.

Nagle psychiatra uciszył ją gestem ręki. Zwrócił oczy na talerz Gaëlle – nie tknęła jeszcze jedzenia. W rzeczywistości ona również przechodziła teraz próbę: dziesięć lat anoreksji i wszystko, co Katz o tym wiedział, wszystko, co sama mu o tym powiedziała.

– To nie to, co się panu może wydawać – rzuciła, zanurzając łyżkę w *nasi goreng*. – Po prostu mówię, mówię i zapominam o jedzeniu.

– W takim razie niech pani pozwoli, że to ja będę mówił. Chcę, żeby pani zrozumiała, że to, co proponuję, ma znacznie większą wartość niż relacja seksualna.

Uniosła łyżkę do ust – czysta rozkosz.

– Takie rzeczy mężczyźni mówią brzydulom.

– Gaëlle, znam panią na wylot. Ten obraz ojca, którego pani nienawidzi…

– To nie obraz, ale rzeczywistość. Cholerny łajdak…

– Zna pani tylko jeden rodzaj stosunków z mężczyznami: wojnę, a pani bronią jest ciało. Uczyniła pani z tego krucjatę, pani nerwica zaś…

– Mam zapłacić za wizytę?

– Proszę posłuchać. Dziś chcę pani zaproponować inny rodzaj wsparcia. Mogę pani pomóc w rozbiciu tego skojarzenia, które pani w sobie wytworzyła: mężczyzna jako wróg. – Uśmiechnął się. – Powiedzmy, że pragnę zostać pierwszym ułaskawionym.

Wypiła łyk herbaty. Była już zimna.

– Czułam się lepiej, kiedy mówiliśmy o panu – odparła, przechodząc na pozycję obronną.

– Mówimy o nas. Nie powinienem już być pani psychiatrą ani jednym z wielu mężczyzn, łupem seksualnym. Będę po prostu pani przyjacielem.

Poczuła, że łzy napływają jej do oczu. Nie rozumiała intencji Katza, ale ta jego życzliwość wzbudzała w niej odrazę. Ze wszystkich uczuć, jakie mógł zaoferować, najgorsza była litość.

– Przepraszam.

Pobiegła do łazienki, żeby porządnie się wypłakać. *Kurwa, kurwa, kurwa…* Za kogo on się uważa? Przez cały rok usypiał ją milczeniem, a teraz nagle przemawia do niej jak ksiądz.

Kiedy stanęła przed lustrem przy umywalkach, była już opanowana. W złocistym, subtelnym świetle – wciąż w tej atmosferze z Bali – patrzyła na siebie: drobna, wewnętrznie spustoszona, u kresu sił. „Ta kolacja to porażka – pomyślała. – Zupełnie do niczego. Naprawdę nie ma sobie czym zawracać głowy". Zapomniała o torebce, nie mogła poprawić makijażu. Lekko zwilżyła czoło, natarła policzki i ruszyła… Zanim weszła po schodach, zmieniła zdanie. Powinna dać mu szansę. Po raz pierwszy mężczyzna wyciągał do niej rękę, a nie coś zupełnie innego.

Szła przez salę, jakby zmierzała ku scenie w teatrze: wygładzając dłońmi małą czarną. Zamarła kilka metrów od celu. Pochylony w półmroku, pod osłoną stolika, Katz szperał właśnie w jej torebce.

Zanim ruszyła, zauważył ją i radośnie się uśmiechnął. Torebka wróciła już na miejsce, na wolne krzesło. Mogłaby pomyśleć, że to było przywidzenie, ale nie. Czego szukał? Jaki był prawdziwy cel tej kolacji?

Siadając, odzyskała spójną osobowość: gniew i wzgardę. Nadal się uśmiechała, teraz nawet bardziej szczerze, bo lepiej znała rolę, którą grała. Katz do niej mówił, ona odpowiadała żywo i dowcipnie. Przeszła na automatycznego pilota i nic, co działo się przy tym stole, nie mogło jej prawdziwie interesować.

Zimna jak lód, podjęła decyzję: wykorzysta wszystkie jego żądze i marzenia i wydrze mu sekret.

Ten człowiek czegoś szukał. Musiała się dowiedzieć czego.

20

Turned a whiter shade of pale…

Lontano, 1970 rok. W sali balowej Cité Radieuse rozbrzmiewały akordy Procol Harum, podczas gdy wokół hotelu cicho płakał las.

Morvan wciąż jeszcze pamiętał brzmienie melodii (*Canon* Pachelbela) i chropawy dźwięk organów Hammonda. Głos miłości i głos śmierci. Na parkiecie pary tańczyły w zgodnym rytmie, ale każdy był sam, przejęty nastrojem kościoła, który narastał w rytm muzyki.

Maggie, ubrana w króciutkie szorty i białe botki, szeptała mu do ucha, że nawet przy tym upale musi nosić rajstopy, żeby się chronić przed komarami, ale te obrzydlistwa i tak potrafią ukąsić. Jej głęboki śmiech, jej lekka chrypka. Odsunął się nieco i z uwielbieniem patrzył na piegi, które kojarzyły mu się z witaminowym proszkiem podawanym w sierocińcu. To było jedno z nielicznych dobrych wspomnień z dzieciństwa.

A teraz ten proszek był tu, blisko jego ust. Jego witamina na zawsze.

Choć skupiał się na szepcie Maggie, słyszał też słowa piosenki: kobieta o zjawiskowej twarzy, sufit, który ulatuje, młynarz, który opowiada swoją historię, mężczyzna, który porusza się pośród kart do gry… Te słowa zwracały myśli Morvana ku własnemu losowi, ponieważ piosenka w pewnym sensie opowiadała o nim – o człowieku dręczonym przez trupiobladą kobietę, jedną z istot wyłaniających się z poezji Verlaine’a. Co wróżyła mu ta muzyka? Że nigdy nie ucieknie przed klątwą, że blada dziewczyna zawsze go odnajdzie.

I rzeczywiście, tego wieczoru stanęła w drzwiach sali balowej.

Jej sylwetka odcinała się na tle jaskrawego światła. Stała, zwrócona tyłem do neonów holu, na obrzeżu parkietu. Morvan przestał oddychać. Teraźniejszość zastygła. Śmiech Maggie już nie istniał, zepchnięty w otchłań przeszłości bez znaczenia.

Jego jedyna teraźniejszość była tam, kilka metrów dalej.

Oczy Maggie powędrowały za spojrzeniem Grégoire’a. Ona też zobaczyła nowo przybyłą. Wyglądała na zaskoczoną, zbitą z tropu i już pokonaną. Atak nastąpił bez jej wiedzy, bardzo dawno temu albo przed sekundą, ale wszystko się rozstrzygnęło, podczas gdy organy *A whiter shade of pale* grały swoje requiem.

Morvan puścił Maggie i zwrócił się do tamtej. Dziewczyna była niska i bardzo chuda. Twarz w kształcie rombu, wydatna szczęka, zaciśnięte mięsiste wargi. Aura łagodności otaczała tę postać wyrzeźbioną niczym kamea. W Lontano panowała moda na proste, długie włosy. Cathy Fontana miała krótką fryzurę. Blondynki i rudowłose – takie były Salamandry. Ona była brunetką.

– Znasz ją? – zapytała Maggie, udając jeszcze radosną.

Morvan z trudem przełknął ślinę i odszedł, szepcząc:

– Od zawsze…

Obraz nagle się rozwiał.

– Szefie, musisz przyjść.

Morvan usiadł na materacu – zamknął się w namiocie, żeby łatwiej zmierzyć się z demonami przebudzonymi przez syna.

– Co się stało?

– Chodź.

Zobaczył wystraszonych żołnierzy i tragarzy skupionych przy ognisku.

– Słyszeli hałasy, wujaszku.

– Jakie hałasy?

– Hałasy.

Morvan wytężył słuch. Nic szczególnego. Nie wierzył, żeby to mogło być zwierzę, wojna wypłoszyła bowiem duże drapieżniki. Raczej ludzie z milicji. „Ci obłąkańcy na ciebie czekają…” – zażartował Jacquot. Teraz, kiedy Morvan zabił dzieciaka, wszyscy znali jego pozycję.

– Co robimy, szefie?

– Idziemy spać. Tej nocy nic nie zrobią.

– Jesteś pewien, szefie? Bo…

– Śpijcie. Zobaczymy jutro.

Kudłacz zniknął. Na tym terenie Morvan liczył się z obecnością Mai Mai, tradycyjnych kongijskich wojowników. A nie było chyba na świecie

ludzi bardziej zabobonnych od tych durniów. Nigdy nie odważyliby się podjąć ataku nocą, ponieważ była ona królestwem duchów.

Nie od razu wrócił do wysokiego namiotu. Jeszcze przez długie minuty wczuwał się w ciemność, wsłuchiwał w jej świszczący oddech. Zapomniał już o zagrożeniu, bo było drobnym trybutem, który musiał zapłacić każdy, kto naprawdę chciał wcisnąć się w trzewia Afryki. Myślał znowu o jedynym niebezpieczeństwie, jakiego się bał. A bał się tego, co mógł odkryć jego syn Erwan. Czy dotrze do Cité Radieuse i do koszmaru, który zaczął się tamtej nocy?

21

Po dwóch godzinach jazdy zgubili koło. Szukali go, znaleźli, założyli i po północy pojechali dalej. Później na godzinę zatrzymał ich powalony pień drzewa, a w końcu terenówka zaryła się w błocie. Erwan w strugach deszczu pomagał towarzyszom podróży wsuwać metalowe płyty pod koła. Przez resztę czasu próbowali drzemać na tylnym siedzeniu, ale nic z tego nie wyszło – na tych wybojach samochodem rzucało, w dodatku panowała duchota i strasznie się pocili. W gruncie rzeczy lepiej już było wyglądać przez okno i, o ile to możliwe, czerpać przyjemność z tej podróży.

Właśnie wstawało słońce i powiewy świeżego powietrza wpadały do kabiny, gdy Salvo oznajmił, że pokonali dopiero połowę odległości.

– Zatrzymamy się w Muyumba, żeby uzupełnić zapasy! – dodał.

– Mieliśmy przecież jechać do Ankoro.

– Lepiej się zabezpieczyć.

Erwan zrozumiał.

– Ile godzin zostało nam do Ankoro?

– Co najmniej jeden dzień.

Zaczęło się! Bałagan, o którym tak często opowiadał mu ojciec… W Afryce nie ma godzin, nie ma dróg ani punktów orientacyjnych. Trzeba było ze spokojem przyjmować bieg zdarzeń, a przede wszystkim pojąć ich sens – to Afryka ujeżdżała ludzi, nie odwrotnie.

– A… co z barkami?

Salvo beztrosko rozłożył ręce, dodając, że dziś szanse na to, żeby na nie trafić, wcale nie są większe, niż będą jutro.

Erwan otworzył okno i w porannym świetle podziwiał krajobraz. Równiny ciągnące się w nieskończoność, wzgórza niknące w blasku słońca, drzewa, których pnie tonęły we mgle. Wszystko tu zdawało się wyrastać z niepamiętnych czasów. Zieleń ryżowisk, ognista czerwień, słomkowa żółć: to tutaj narodziły się kolory.

Pomyślał o ludziach, którzy podbili – i eksploatowali – tę ziemię. Myślał o Włochach, którzy zawiesili tablicę z nazwą oznaczającą w ich języku „daleko”, i o Belgach, którzy podążyli ich śladem, by odkryć podziemne bogactwa.

– Znasz historię białych budowniczych?

– Szefie – odparł Salvo, jakby uznał pytanie za retoryczne – skończyłem psychologię.

Erwan nie widział związku, ale czekał na ciąg dalszy.

– Wszystko zaczęło się od Leopolda, króla Belgów – ciągnął czarny. – Przysłał tu ludzi ze swojego kraju, prawdziwych twardzieli, żeby eksploatowali afrykańską ziemię, zdobywali kość słoniową, wycinali drzewa, budowali pierwsze linie kolejowe, a przy okazji rozprawili się z czarnuchami. Początkowo te białasy żyły tutaj jak zwierzęta. Nie mieli domów, szefie, nic do jedzenia, zupełnie nic. Musieli wypalać wielkie termitiery katedry, żeby pozbyć się owadów i zamieszkać w ich gniazdach.

Samochód podskakiwał na wybojach, silnik warczał, a Salvo mówił z akcentem przyprawiającym o ból zębów, więc Erwan pomyślał, że źle go zrozumiał:

– Mieszkali pod ziemią?

Rozbawiony Salvo aż klasnął w dłonie, ale nie przestał kopać i bić po twarzy szofera, żeby nie pozwolić mu zasnąć, a czasem nawet wyrwać z graniczącego ze snem zamroczenia.

– Szefie, termitiera katedra to budowla wznosząca się kilka metrów w górę, pod gołym niebem. Nie do zburzenia. Kiedy robią tu drogę, muszą omijać takie przeszkody, bo są zbyt mocne, żeby je usuwać. Biali w nich mieszkali i gołymi rękami drążyli skały, szukając minerału.

Erwan z dużym powątpiewaniem podchodził do tej wersji wydarzeń.

– Te rodziny z Lontano należały do grona pionierów?

– Właśnie one wybudowały kolej żelazną w Dolnym Kongu. Ciskały zwłoki zmarłych robotników do kadzi, w których wytapiano tory, zabijały czarowników przeciwstawiających się szlakowi kolejowemu.

Kolejna porcja legend, ale Erwan i tak potrafił sobie wyobrazić białych w pogoni za majątkiem i władzą. Dzicz – tak właśnie należy ich nazwać. To krew jego matki. Jego krew. Nigdy nie poznał krewnych Maggie. Morvan twierdził, że wszyscy zmarli w Afryce. Czyżby?

– Po wojnie tysiąc dziewięćset czternastego roku – ciągnął Salvo – odbudowano Europę dzięki Kongu. To stąd wywożono cynk, cynę, miedź…

Ojciec Albert opowiadał mu, że biali budowniczowie osiedlili się w Katandze w latach sześćdziesiątych.

– Wiesz, dlaczego te rodziny ściągnęły do Katangi? Interesy na zachodzie już nie szły?

– Coś tam się wydarzyło – odparł ponuro Salvo. – Zostali wypędzeni z Mayombe. Ta sprawa wiąże się z magią. W Mayombe czarownik jest naprawdę potężny. Bardzo, bardzo potężny! Ci biali byli przeklęci!

Takie pogłoski z pewnością miały wartość symboliczną. Stało się coś – może była to zbrodnia, może był to błąd polityczny – co busz i przesądy przetworzyły po swojemu. W rezultacie belgijskie rodziny zostały wygnane z zachodniego wybrzeża.

– W Katandze nikt ich nie chciał – mówił dalej Banyamulenge. – Belgowie, którzy już tam mieszkali, dbali o własne interesy w Kolwezi i nie zamierzali dzielić się tortem. Dlatego budowniczowie musieli iść dalej, na północ, na naprawdę dziką ziemię. I znowu przyszło im mieszkać w termitierach, szefie, i kopać czerwoną ziemię białymi rękami… A Kongo było już niepodległe, więc wszyscy śmiali im się w nos. Ale oni kopali i kopali. Mieli w palcach kobalt, magnez, złoto! Mobutu musiał ich słuchać. Może i byli pariasami, lecz niezrównanymi w swojej dziedzinie.

Erwan pomyślał o Człowieku Gwoździu, tym dziecku porzuconym w Dolnym Kongu. Prawdę mówiąc, nie tak wiele lat dzieliło jego narodziny od wędrówki królów wyklętych…

– Szefie, dojeżdżamy do Muyumby.

Przez upstrzoną błotem szybę Erwan zobaczył przeciągniętą między dwiema baryłkami paliwa linę i pilnujących jej rozchełstanych żołnierzy. Na skraju drogi, pod parasolami, wokół miednic i skrzynek siedziały kobiety.

Salvo odwrócił się i wyciągnął rękę. Nocą mijali już wiele takich posterunków. Za każdym razem trzeba było okazywać zezwolenia, dołączając kilka banknotów. Erwan wyjął pieniądze i podał je swojemu przewodnikowi.

– Nie wychylaj się. Sam z nimi pomówię. – Żółta Koszulka szybko się przeżegnał i ucałował swoją Biblię. – Niech Bóg ma nas w opiece – dodał.

Im dalej zapuszczali się na północ, tym bardziej stawał się nerwowy. Kazał zatrzymać samochód sto metrów od blokady. Kiedy szedł w stronę żołnierzy, trzymając pod pachą aktówkę godną agenta ubezpieczeń, Erwan postanowił wykorzystać czas, by rozprostować nogi.

Człowiek, który schodzi na ląd ze statku, czuje jeszcze kołysanie. On miał wrażenie, że wpadł w pokrzywy i że pod skórą pulsuje mu woda. Chwiejnym krokiem podszedł do parasoli – był głodny jak wilk.

Ale na śniadanie musiał jeszcze poczekać. Tu sprzedawano benzynę w butelkach o pojemności trzech czwartych litra, czepki kąpielowe ukradzione w jakimś hotelu, gąsienice w miskach. Inne towary były bardziej zagadkowe: tubki o nieokreślonej zawartości, brunatne płyny w przejrzystych torebkach, małe brudne bidony.

Salvo stanął za nim uśmiechnięty od ucha do ucha – kontrola przebiegła bez problemów.

– Jesteś chory, szefie?

– Nie, dlaczego?

– Bo to apteka.

Erwan bacznie przyglądał się zdeformowanym, brudnym pojemnikom.

– To mają być lekarstwa?

– Pasta do zębów jest na hemoroidy, glinka na próchnicę – wyjaśnił czarny tonem eksperta. – Na oparzenia stosuje się na ogół jaja gąsienic. Jakoś trzeba sobie radzić!

– A… to? – zapytał Francuz, wskazując małe kostki zawinięte w folię aluminiową.

– To kosmetyk.

– Jakiego rodzaju?

– Bulion Kub. Kobiety stosują go w czopkach, żeby powiększyć sobie pośladki!

22

Muyumba to piaszczysta wioska leżąca pośród wzgórz. Wszystko tu jest czerwone: lateryt, cegły, pokryte rdzą dachy. Erwan pomyślał o chirurgach, którzy noszą zielone bluzy, żeby dać wytchnienie oczom znużonym widokiem krwi – mieszkańcy Muyumby też powinni ubierać się na zielono.

Kierowca zjechał z drogi głównej i skręcił w labirynt małych uliczek. Wszystko tu wyglądało na budowane szybko i nie na długo. Wystarczy, że gdzieś powstaną nowe kopalnie, a trzeba będzie się przenosić.

– Żołnierze z tego punktu kontrolnego to regularna armia?

– Mniej więcej.

– Co znaczy „mniej więcej”?

– Noszą mundury FARDC, ale to o niczym nie świadczy. Każda grupa walczy na własną rękę. Zdobyli skrawek terytorium i korzystają z tego. Mają kopalnie, pola uprawne… Kabila jest daleko, a tu trzeba jakoś przetrwać.

Wciąż przemierzali purpurowe uliczki. Erwan nie rozumiał, po co zapuszczają się w takie miejsca.

– Dokąd teraz jedziemy?

– Pytanie brzmi: masz jeszcze pieniądze?

– Zaczynasz mnie męczyć, Salvo. Nie zamierzam już płacić za przejazd przez kawałek sznurka.

– A za spotkanie ze świadkiem?

Erwan nie zdążył odpowiedzieć. Salvo odwrócił się, wciskając łokieć między siedzenia.

– Mam ciotkę, która długo mieszkała w Lontano. Pracowała u jakiejś rodziny, nazwiska nie pamiętam. Teraz mieszka w Muyumbie, więc pomyślałem, że moglibyśmy ją odwiedzić…

Erwan znów sięgnął do pasa, uznając, że zawsze zdąży przejść do innych metod – gróźb fizycznych i spluwy. Salvo wsunął sto dolarów do kieszeni i wydał polecenie kierowcy.

Kilkakrotnie skręcili i znaleźli się na podwórzu, które otaczał blok w kształcie litery „U”. Na dachu zainstalowano zbiornik na deszczówkę. Piasek zdawał się wysysać mury i wciskać w każdą szczelinę. Siedzące na gołej ziemi kobiety miały zasłonięte twarze i wyglądały, jakby już znalazły się po stronie śmierci.

Banyamulenge podszedł do jednej z kotar w drzwiach. Na zamkniętym dziedzińcu bez przewiewu było gorąco jak w piecu. Tabliczka z napisem wykonanym pędzelkiem głosiła, że jest to centrum leczenia kobiet.

Salvo odwrócił się i nagle spoważniał.

– Szefie, moja ciotka nazywa się Mouna. Cieszy się tu wielkim szacunkiem. Zajmuje się zgwałconymi kobietami, które przybyły z północy. Dlatego bądź bardzo uprzejmy, jasne?

– Oczywiście, ja przecież…

– Te kobiety są napromieniowane, rozumiesz?

Salvo prawie szeptał, choć pomruki wiatru okrążały ich w wirze czerwonego pyłu.

– Czym napromieniowane?

– Wstydem, cierpieniem, hańbą… – Czarny ujął go za ramię. – Gwałt to nasza bomba atomowa, jarzysz? Te ofiary już na zawsze są skażone, konają powolną śmiercią.

Erwan uwolnił się z uścisku.

– Potrafię się zachować.

23

Za zasłoną powitał ich mrok. W pierwszym pomieszczeniu nie było żadnych mebli, tylko dywany. Kobiety, podobnie jak te na zewnątrz, w turbanach, siedziały nieruchome jak posągi. Erwan szedł przez pokój. Nieliczne otwory okienne zasłonięto kartonem. Lampy i świece znaczyły drogę, rzucając różowy blask na gliniane ściany.

To już nie była Czarna Afryka, ale Afryka czerwona, kraina pustyni i islamu. Mimo półmroku nie czuło się tu chłodu. Nadzieja, że temperatura spadnie poniżej czterdziestu stopni, byłaby naiwnością.

Salvo zwrócił się do zjaw w innym dialekcie. Jedna z kobiet skinęła głową i wstała. Drobna, przygarbiona, sięgała mu do pasa. Ruszyła przodem, oni poszli za nią.

Mijali kolejne pomieszczenia, w których przestrzeń podzielono tkaninami, płachtami płótna, a nawet zwykłymi prześcieradłami. Za tymi ruchomymi przepierzeniami Erwan widział sylwetki nastolatek i małych dziewczynek – amorficznych albo powoli, ostrożnie wykonujących prace domowe. Czasami rozlegał się płacz dziecka, prawdopodobnie owocu przemocy seksualnej czy nawet ofiary gwałciciela. Niektóre rekonwalescentki kulały lub poruszały się z trudem. Przygotowując się w Paryżu do wyjazdu, Erwan zapoznał się z raportami, z których wynikało, że w Kongu dokonuje się setek tysięcy gwałtów – mówiło się, że dochodzi do nich średnio co minutę. Wiedział, dlaczego te kobiety są kalekie, ale wolał nie przypominać sobie szczegółów.

W ostatniej sali dziesiątka zjaw siedziała w kręgu przy palenisku, na którym parzono herbatę. Cień pochylił się i powiedział coś do starszej kobiety.

– Mama Mouna – szepnął Salvo.

Kobiety odsunęły się, żeby zrobić im miejsce. Pani domu, ubrana w karminową tunikę zdobioną złotymi motywami, dziwnie przechylała głowę na bok, a jej włosy nie były kędzierzawe, lecz falujące i przykryte

ciemnym woalem, który opadał na ramiona. W blasku ognia jej twarz wyglądała jak wyrzeźbiona w bardzo twardym czarnym drewnie. Dwie głębokie bruzdy przecinały jej policzki, zbiegając się wokół ust.

Prezentacja: Salvo mówił po francusku, Mouna uśmiechała się bezwiednie, jakby nieobecna duchem. Jej przymknięte oczy patrzyły w pustkę niczym oczy niewidomej.

– Zgadza się z tobą porozmawiać – podsumował Banyamulenge, podając mu filiżankę herbaty. – Pamięć mnie nie myliła, pracowała u białych budowniczych.

– Te kobiety znają francuski?

– Nie.

Tym lepiej. Nie potrzebuję audytorium. Erwan wypił łyk herbaty – nigdy nie próbował czegoś tak gorzkiego i słodkiego zarazem – a potem z zakłopotaniem wyjaśnił, co go sprowadza. Czymże była ta historia sprzed czterdziestu lat na tle nieszczęść obecnych tu ofiar? Staruszka wciąż wpatrywała się w tajemniczy punkt, a jej głowa przechylała się jak u zepsutej lalki. Wstęp Erwana chyba ją bawił, z pewnością zaś był pewną odmianą po rozmowach z dziennikarzami i przedstawicielami organizacji pozarządowych.

– Pracowałam u Verhoevenów – odpowiedziała w końcu po francusku, prawie bez akcentu. – To była licząca się w Lontano rodzina, ojciec kierował Unią Górniczą, był szefem miasta.

– Czym się pani u nich zajmowała?

– Oczywiście sprzątaniem, ale robiłam też inne rzeczy… Czuwałam nad przygotowaniem posiłków, odrabiałam z dziećmi lekcje…

– Gdzie… Doskonale mówi pani po francusku.

W jej śmiechu wyczuł nutkę kokieterii.

– Jestem córką wyżej rozwiniętych.

– Nie bardzo rozumiem.

– To pomysł Belgów. Brakujące ogniwo między małpą, czyli Afrykaninem, a istotą cywilizowaną, czyli białym. W naszym języku to *mundele-ndombe*: biały w czarnej skórze. Umieliśmy pisać i czytać po francusku, a także jeść widelcem i spać w łóżku z pościelą. To dawało nam prawo kupowania czerwonego wina! Mobutu z tym skończył. I już nie było mowy o naśladowaniu *mzungu*, Europejczyków.

Zapytał ją o morderstwa.

– Najpierw była córka de Vosów, potem mała Cornette, a jeszcze potem Magda de Momper i Martine Duval. Kiedy została zabita Monika, Verhoeven oszalał. Wciąż tylko powtarzał: „Trzeba ich wszystkich spalić!”.

– A pani? Nie wrzucił pani do jednego worka z resztą?

– Nie. *Mzungu* jest zawsze opiekuńczy wobec służby domowej. Jakbyśmy nie byli już czarni.

– Te rodziny pochodziły z Dolnego Konga, podobnie jak morderca.

Skinęła głową, spoglądając na niego z respektem – dokładnie zapoznał się ze sprawą.

– Uznawali magię Yombe. Klątwa ścigała ich aż do Katangi. To duchy wysłały Człowieka Gwoździa!

Erwan zerknął na Salvo, który nie chciał uronić ani słowa z tej rozmowy. Miał minę dziecka, któremu przed snem ktoś opowiada historię o czarach.

– Chce pani przez to powiedzieć, że biali budowniczowie wierzyli w duchy?

– Spędzili w Mayombe wiele lat. Jak inaczej przetrwać?

Erwan zanotował tę informację w pamięci.

– Mówi się, że popełnili jakiś błąd, czymś zawinili. Wie pani, o co chodzi?

– O takich rzeczach się nie mówi.

– Seria zabójstw była karą?

– Jeśli tak, to niesprawiedliwą. Ich córki były niewinne.

Doskonała okazja, by wspomnieć o Salamandrach. Mouna powtórzyła to, co już wiedział, a potem zaproponowała coś, na co nie liczył: zdjęcia ofiar.

– Pasjonowała mnie fotografia.

Wydała jakieś polecenie. Przez krótką chwilę wokół panowała cisza. Erwan napił się herbaty, którą mu podano – jeszcze bardziej gorzkiej, choć równie mocno posłodzonej.

Przyniesiono zdjęcia.

– Salamandry! – oznajmiła Mouna z lekką dumą w głosie.

Była to fotografia grupowa pokazująca zespół, ale uwagę na niej wzbudzało przede wszystkim uderzające podobieństwo wielu młodych kobiet. Blondynki albo rudowłose, wszystkie szczupłe, czasem wręcz chude, ubrane w afrykańskie tuniki, indyjskie bluzki, spódniczki mini i całą masę ludowej biżuterii.

Mouna wybrała inne zdjęcie i pokazała Francuzowi Ann de Vos, Sylvię Cornette, Magdę de Momper, Monikę Verhoeven w zbliżeniu. Wszystkie miały jasną karnację i pociągłe, piegowate buzie. Rysy ich twarzy, choć subtelne, cechowała pewna ostrość. Pod aksamitną skórą wyraźnie rysowały się kości.

– Ich podobieństwo jest… niesłychane.

Mouna roześmiała się, osłaniając usta szalem.

– To dlatego, że są siostrami.

– Słucham?

– No, prawie siostrami… Biali budowniczowie nie godzili się na związki z miejscową ludnością, nawet z Europejczykami, którzy nie należeli do ich nacji. Od pokoleń tworzyli zamknięty klan. Zawierali małżeństwa między kuzynami, czasem nawet ciotecznym rodzeństwem, krążyły też plotki o kazirodztwie.

Erwan patrzył na zdjęcia i wyobrażał sobie tych, których tu nie było: srogich ojców, zazdrośnie strzegących swojej zubożałej krwi, trzymające się w cieniu matki – anemiczne królowe płodności u kresu sił. Osadnicy w pewnym sensie stworzyli rody na podobieństwo przeklętych dynastii Egiptu czy starożytnego Rzymu: popadające w obłęd, wyniszczane przez choroby genetyczne po zawieranych od pokoleń małżeństwach endogamicznych.

Nagle ujrzał zdjęcie, które rozdarło mu serce. Para na tle zachodzącego słońca. Wysoki, muskularny mężczyzna z fryzurą afro w stylu Jackson Five. Grégoire Morvan w kwiecie młodości. Na tej fotografii bardziej przypominał turystę z Club Méditerranée niż policjanta na tropie seryjnego zabójcy. Ale prawdziwego szoku doznał na widok drugiej osoby: smukłej, młodej kobiety, której uroda była jak krystaliczny strumyk w ramionach mężczyzny. Maggie. Ona jedna uosabiała urodę i piękno jasnej cery innych. „Była najpiękniejsza…” – powiedziała Philae.

– Pamięta pani Maggie de Creeft? – zapytał schrypniętym głosem.

– Prowadziła zespół. Wszystkie przychodziły do nas na „*sit-in*”, jak to nazywały. – Roześmiała się na wspomnienie tej dziecinady. – A ja robiłam im *mikaté*, placuszki z bananami…

I podobnie jak Philae de Momper, Mouna właśnie zdała sobie sprawę z oczywistości:

– Powiedział pan, że nazywa się Morvan?

– Tak. Grégoire Morvan to mój ojciec.

Po raz pierwszy z twarzy starej kobiety zniknął sztuczny uśmiech, a jej oczy rozbłysły w twarzy jak kwarc.

– Grégoire Morvan, bohater Lontano… Jest pan do niego bardzo podobny.

Nie miał ochoty słuchać kolejnych panegiryków na cześć starego.

– A czy zna pani nazwisko Catherine Fontana?

– Nie. Kto to taki?

Zmiana kierunku.

– Podobno wszystkie dziewczyny brały narkotyki?

– To było w modzie. Zaopatrywały się za rzeką, u czarnych. Saint-Paul, Laguna, Jambo, Soso… Mówiłam im, ostrzegałam je…

– Jak się tam dostawały?

– Na rowerach, a przez rzekę promem. I wszystkie znajdowano na tamtym brzegu. Przy rysunku.

Erwan zadrżał.

– Przy jakim rysunku?

Mouna uniosła głowę, szukając Salvo. Erwan powiódł za jej spojrzeniem i zauważył, że czarny zniknął. Nadeszła pora wyjazdu.

Pochylił się nad nią. Pachniała przyprawami i olejkami.

– Zabójca rysował na ziemi schemat – szepnęła. – Taki jak te, które przedstawiają skład minerału.

Podczas procesu nie wspomniano o tym ani słowem.

– Ma pani na myśli budowę atomową?

– Chyba tak, ale zupełnie się na tym nie znam. Czasami zacierał go deszcz, ale często był widoczny, wiem o tym. Policjanci fotografowali te rysunki.

Gdzie się podziały zdjęcia? Czuł, że zbliża się migrena, jakby unoszący się tu pył wcisnął się do jego mózgu. Zapachy, chusty, białka oczu… Przyjechał tu z powodu Catherine Fontany, tego morderstwa odbiegającego od pozostałych, a oto natrafił na nowe informacje o Człowieku Gwoździu.

– Jaki to był minerał?

– Proszę już iść… Jestem zmęczona.

Ujął ją za nadgarstek, a wtedy pozostałe kobiety wyprostowały się i zwróciły na nich oczy, wstrząśnięte takim przejawem brutalności. „Są napromieniowane” – powiedział Salvo.

– Co to za minerał? – powtórzył Erwan, puszczając jej rękę.

– Geolodzy oglądali ten schemat, ale niczego nie zdołali ustalić.

Z tyłu dobiegł ich odgłos kroków. Salvo wrócił.

– Musimy jechać. Czeka nas jeszcze daleka droga.

Erwan z trudem wstał. Miał wrażenie, że ktoś przypieka mu mózg na rozżarzonych węglach.

– Czy mógłbym zachować kilka zdjęć?

24

Giovanni Montefiori zabity.

A on dowiedział się o tym dopiero teraz. Niemal dobę po zdarzeniu. *Kurwa*. Maggie zdołała się z nim skontaktować o świcie. Okoliczności zbrodni nie wymagały komentarza: rozpłatany tors, wyrwane serce. Jak Nseko. I jak wkrótce on sam…

Jak mógł dopuścić się takiego zaniedbania? Od dwóch miesięcy robił, co w jego mocy, żeby nie interesować się śmiercią swojego dyrektora z Lubumbashi, zaliczając morderstwo do obszernej kategorii „spraw czarnuchów". Porachunki, rywalizacja plemienna, zdrady, korupcja, rytualne ofiary, namiętna miłość – dlaczego nie, w Kongo widział już wszystko. Ale w żadnym wypadku nie chciał dopuścić do siebie myśli, że to mogło mieć jakikolwiek związek z Coltano.

Tymczasem ten związek dał o sobie znać w najbrutalniejszy z możliwych sposobów – piłą tarczową.

Dziewiąta. Nieoczekiwane zagrożenie sprawiło, że Morvan prawie zapomniał o innym, znacznie bliższym: Mai Mai. Ta banda łotrów na pewno wkrótce się pojawi. Zależnie od temperatury, trzeba będzie bawić się w dyplomację albo stoczyć regularną bitwę.

Odruchowo rzucił okiem na roztaczającą się wokół równinę. Ogarniał wzrokiem półkole. Odbicia promieni świetlnych i ciepło zamazywały horyzont, ziemia rozpływała się w palącym powietrzu. Ani żywego ducha. Wcisnął na skronie kapelusz – model do buszu NAVY SEALS – i pogrążył się w myślach.

Po tych dwóch morderstwach – w Lubumbashi i we Florencji – nie można już było mówić o lokalnej zbrodni: to spisek finansowy. Motywy nie budziły najmniejszych wątpliwości: przejęcie władzy w Coltano. A przecież firma wcale nie była tego warta, chyba że ktoś wiedział o nowych złożach.

Grożono mu. Kiedy już dotrze w dogodne miejsce, rozprują mu brzuch jak innym. Gniewnie warknął i przyspieszył kroku. Ten skarb był dla jego

najbliższych. Nikt nie okradnie dzieci Morvana. Automatycznie pomyślał o rodzinie – bezbronnej w Paryżu. Czy czarni mogą ich zaatakować, żeby go złamać? Jeszcze nie teraz…

Morvan otrząsnął się. Nie pozwolił sobie nawet na minutę smutku. Montefiori i on nie byli zwykłymi przyjaciółmi. Kompanami, partnerami, czasem nawet rywalami – owszem. Ale szacunek wyrównał brak przywiązania, a obopólne obawy odegrały rolę przyzwoitości. Czterdzieści lat ze wspólnikiem to nie błahostka. Będzie mu brakowało tych *pasta con le sarde* we Florencji. I z kim miał teraz rozmawiać o tym, co mu leży na wątrobie? Przy kim milczeć w pełnym zrozumieniu? Dwóch takich łotrów jak oni rozumiało się bez słów…

Kolejny leśny tunel, idealne miejsce na zasadzkę. *Mam złe przeczucia*. Był daleko od swojego terenu (funkcjonujące oficjalnie kopalnie Coltano znajdowały się bardziej na południe, między Kolwezi i Fungurume), nie znał tutejszych wodzów. Jego jedynym atutem był kolor skóry, bo każdy czarny wie, że niebezpiecznie jest atakować *mzungu*. To najlepszy sposób, żeby zwrócić na siebie uwagę całego świata. A przecież ten, kto toczy wojnę, chce mieć spokój.

Wcisnęli się do tunelu. Unosił się w nim słodkawy zapach surowego mięsa, zupełnie jak na miejscu zbrodni. W plątaninie liści wyziewy rozkładu usypiały zmysły. Magiczna, narkotyczna moc…

Obejrzał się za siebie – wszyscy szli za nim. Michel biegał wzdłuż kolumny, rzucając polecenia i rozdając razy. Żołnierze zamykali grupę. Mieli nienaładowaną broń. Czy już czas rozdać im amunicję? Nawet z tak dużej odległości Morvan wyczuwał ich nerwowość, ich obawy – czarni nienawidzą lasu.

Kiedy się odwrócił, zobaczył przed sobą Mai Mai.

25

Wojownicy rozbroili oddzialik Morvana bez jednego wystrzału. Im również nie zależało na zwracaniu na siebie uwagi. W okolicy krążyły inne grupy. Morvan nie wykonał żadnego gestu – nie zauważyli, że ma broń wsuniętą za pas na plecach, ale nie było mowy, żeby jej użył. Mai Mai bez słowa nakazali im iść za sobą na polanę pośród lian i bujnych zarośli. Otaczało ich trzech wojowników, dwaj inni trzymali ich na muszce, zostając z tyłu. Ci ludzie cuchnęli śmiercią. Wbrew swoim wierzeniom, spodziewali się, że mogą umrzeć w każdej chwili. Każdy dzień życia był małym zwycięstwem.

Wojownik w czerwonym berecie i z czaszką małpy na szyi zbliżył się do nich. Biały na pewno był szefem.

– W porządku, szefie?

– W porządku.

– Dokąd to się wybieracie?

– Na moje ziemie.

Olbrzym wybuchnął śmiechem, ale inni nie zrozumieli, co go rozbawiło, bo nie znali francuskiego. Morvan przyglądał im się przez kilka sekund. Większość nosiła pasy z nabojami na wzór meksykańskich bandytów, niektórzy przykleili maczety do karabinów. Jakiś dzieciak zrobił sobie z pasa z nabojami opaskę na głowę, inny – istny olbrzym – przedłużył dready muszelkami. Wszyscy nosili w widocznym miejscu fetysze: kurze łapki, kogucie grzebienie, pióra… Patrząc uważniej, można było także zobaczyć ludzkie uszy i zasuszone dłonie u pasów. Ubierali się jak zwykła banda – w łachy w niczym nieprzypominające mundurów. Łączyło ich tylko jedno: kałasznikowy.

Mai Mai byli nie tylko niebezpieczni, byli także szaleni. Morvan widział, jak pociski z moździerzy rozrywały im twarze, a oni próbowali się chronić, krzycząc: *Mai mulele! Mai mulele!* To zaklęcie miało ich, zależnie od sytuacji, uczynić niezwyciężonymi albo niewidzialnymi. W latach

sześćdziesiątych opowiadano, że obcinali przeciwnikom stopy, a potem zmuszali ich do biegu – temu, kto wygrał, darowywali życie. Czyste szaleństwo.

– Twoje ziemie? – powtórzył czarny. – Hola, koguciku! Ostro sobie poczynasz.

– Chcesz zobaczyć papiery? Mam koncesje podpisane przez Kabilę.

– Tu nie ma Kabili. Ani żadnych papierów. Tutaj jest tylko to.

Przeładował AK-47. Morvan zauważył, że na kolbie wygrawerowane było łacińskie powiedzenie *Vae victis* – biada pokonanym. Afrykanie wciąż go zadziwiali.

– Powiedz mi, po co tu przyjechałeś?

– Chcę tutaj zamieszkać.

Jeden z wojowników niósł na ramieniu małpę – kudłatą kulę, którą ubrał w T-shirt, a za pas wsunął jej nóż, niczym miniaturową maczetę. To była maskotka grupy.

– W sercu buszu, przy tej pogodzie?

– Widziałem gorsze rzeczy.

Olbrzym podszedł bliżej. Zrozumiał, że nie ma do czynienia z wysłannikiem ONZ ani z zagubionym dziennikarzem. A tym bardziej z misjonarzem czy męczennikiem z jakiejś organizacji pozarządowej.

– Najpierw zobaczymy, co przewozisz – oznajmił, wskazując tobołki i skrzynie postawione przez tragarzy na ziemi.

– Czuj się jak u siebie.

– Jestem u siebie.

Zakładając, że Mai Mai darują im życie, trzeba było pamiętać, że zabiorą broń i wszystko inne. Morvanowi pozostanie dowlec się jakoś do Lubumbashi. Wątpił jednak, żeby ktokolwiek uszedł z życiem. Zabijali jeńców, czysto i szybko, maczetą albo dusząc, ale bezszelestnie.

Zaczęło się przetrząsanie bagaży. Szukając jakiegoś rozwiązania, Morvan analizował każdy szczegół tej sceny. Dowódca i jego zastępca pochylili się nad skrzyniami, trzej inni bawili się z makakiem, już odprężeni. Dwaj pozostali, na końcu kolumny, stali nieruchomo, mierząc z broni do schwytanych. Jego tragarze i żołnierze trzymali się na boku, wciąż gęsiego. Na pewno mieli nadzieję, że kiedy zacznie się masakra, będą w stanie uciec. Wtedy jednemu albo dwóm udałoby się uniknąć kuli.

Morvan spokojnie ruszył w stronę bawiącej się trójki, obserwując małpę w koszulce. Na widok zbliżającego się białego zwierzę wywinęło kilka fikołków. Wojownicy głośno się roześmiali. Trudno było uwierzyć, że te dzikusy pogodne jak dzieci to ci sami, którzy gwałcą małe dziewczynki i jedzą pieczone niemowlęta.

– On też jest Mai Mai? – zapytał w suahili.

Śmiech ucichł. W ich wytrzeszczonych oczach widać było sprzeczne uczucia. Nienawiść, podejrzliwość, obłęd. A także, niczym olej dolany do ognia, podniecenie wywołane przez alkohol albo narkotyki.

– To wasz dowódca, tak?

Małpa wciąż wywijała koziołki.

– Racja, wujaszku! – parsknął w końcu jeden z nich. – Zgadłeś. To nasz dowódca!

Inni też zaczęli się śmiać. Fala rozweselenia przeistoczyła się w ogólną radość, podsycana sztuczkami małpki.

Rzut oka przez ramię: Czerwony Beret zmagał się ze skrzynią.

– To prawdziwy Mai Mai, co? – podjął Morvan.

– Najlepszy, szefie, najlepszy!

Mordercy, którym nic nie ciążyło na sercu, bili się po udach. Podekscytowane wrzawą zwierzę tarzało się w najlepsze w zwiędłych liściach.

– To dlaczego nie ma kałacha?

To pytanie zbiło ich z tropu. Słysząc za plecami gwizd, Grégoire obrócił głowę – dowódca przywoływał go do siebie. Ruszył bez pośpiechu – każda zyskana sekunda pomagała mu w dopracowaniu planu.

– Co jest w środku?

Czarny kopnął jedną ze skrzyń. O ile Morvan dobrze pamiętał, zawierała czterdzieści sztuk broni półautomatycznej.

– Sprzęt poszukiwawczy. Jestem geologiem.

– Otwórz ją! – rozkazał czarny.

Morvan zerknął do tyłu: jeden z milicjantów udawał, że daje małpie swój karabin, a ta usiłowała go chwycić, jednak Mai Mai za każdym razem cofał rękę, wywołując kaskady śmiechu.

– Nie pamiętam, gdzie schowałem klucz.

Kłamstwo było marne, więc czarny powtórzył:

– Otwieraj!

– Powiedziałem, że nie wiem, gdzie…

– Otwieraj, kuzynie. Albo sam go znajdę przy twoim trupie.

Pomacał kieszenie, znów zerkając na tamtych trzech. Małpie udało się chwycić AK-47. Morvan był pewien, że ci durnie nie zabezpieczyli broni.

– Przysięgam, że… – mamrotał.

Seria z karabinu przerwała jego tłumaczenia.

– Kurwa, co to ma… – wrzasnął Czerwony Beret.

Małpa z palcem na spuście faszerowała ołowiem trzech Mai Mai. Wszyscy padli na ziemię, tylko dowódca stał jak słup soli. Kula ugodziła go w głowę – Morvan wykorzystał zamieszanie, błyskawicznie chwycił broń i strzelił. Potem odwrócił się i strzelił, trafiając kolejno w serce dwóch strażników, którzy próbowali go zlikwidować. Trzydzieści lat strzelania sportowego dało mu wystarczającą przewagę.

Odwrócił się, gotów zastrzelić małpę, ale ta, przerażona hukiem, którego sama narobiła, rzuciła kałasznikowa, żeby schować się w jakimś kącie. Miała pecha – bo jej łapy zaplątały się w pasie karabinu i nie mogła się uwolnić. Numer godny Charliego Chaplina.

Afrykańskie szaleństwo – tylko to było tu prawdziwe.

Jeden z Mai Mai jeszcze się ruszał. Morvan podszedł i strzelił mu w głowę. Ostrożnie zbliżając się do małpy, która wciąż się miotała, wyciągnął nóż i przeciął pas karabinu maszynowego. Zwierzę uciekło i schowało się za drzewem, kilka metrów od swoich sztywnych panów.

Wokół znów zapanowała cisza.

Na pierwszy rzut oka ludzie Morvana wyszli z tej opresji cało. *Niesamowite, to chyba cud*. Leżeli na ziemi, gotowi zagrzebać się w suchych liściach.

Sześciu zabitych – taki był bilans tej potyczki z udziałem małpy.

Michael wstał z ziemi. Szczękał zębami i nie był w stanie mówić. Morvan również był roztrzęsiony, zdołał jednak rozkazać:

– Zabierzcie ich broń i prowiant.

Wojna została wypowiedziana. Odgłosy strzałów zdradziły ich obecność innym rabusiom. Trzeba było dać żołnierzom amunicję. Przyspieszyć tempo marszu. Dotrzeć do kopalni. Do Crossa i jego wyszkolonych ludzi – jak najszybciej. Drugi taki cud nie mógł się zdarzyć.

Chowając broń, wskazał małpę siedzącą za oplecionym lianą pniem.

– Rzućcie jej kilka kostek cukru. Zawdzięczamy jej życie.

26

Powrót do rodzinnej rezydencji w Fiesole na florenckich wzgórzach nie był dla niego przyjemny. Prawdę mówiąc, nie przypuszczał, że jeszcze kiedyś przestąpi jej progi. Ulokowano go w pokoju D'Annunzio – każdemu z pomieszczeń nadano imię włoskiego pisarza, co wydawało się dość przewrotne w domu analfabety, niech mu ziemia lekką będzie. Loïc przyjechał z Sofią i dziećmi, co wprawiło go w głębokie zakłopotanie. Co pomyślą Milla i Lorenzo? Że ich rodzice znów będą razem? Że śmierć *nonno* położyła kres kłótniom i pretensjom?

Podczas lotu zachowywał się bardzo swobodnie, udając dobry humor. A tego właśnie nie miał, odkąd przestał brać kokę. Wciąż był połamany, miewał drgawki. Siedząc obok Lorenza, pomagał mu w kolorowaniu obrazków i wyładował nerwy na kredkach.

Teraz został sam. Nareszcie. Za oknem sypialni sen przyprószony złotem i zasnuty mgiełką. W dali kopuły i dzwonnice Florencji, czerwone dachy, różowe dachy, ciasne uliczki, a w nich na każdym kroku dzieła sztuki. Bliżej zbocza wzgórz, upstrzone urokliwymi pałacami, które zaczynały poić się słońcem: tego wieczoru festiwal światła kończył się przepięknym zmierzchem – miodowym albo złotym – jak kto woli.

Spojrzał w dół, na park i tarasy wykładane gresem, pełen po brzegi basen, bujną zieleń krzewów, stare drzewa… Ten pejzaż osiągnął ponadczasową perfekcję, był kwintesencją Włoch. Nawet ochroniarze, którzy krążyli w pobliżu domu, na pewno uzbrojeni, należeli do tradycji kraju: mafii, kombinacji, przemocy.

Loïc znał tylko jednego człowieka, który także otaczał się tego typu kreaturami – swojego ojca. Nie próbował się z nim kontaktować, ale zrobiła to Maggie. Stary na pewno przeżył wstrząs. Loïc nie był szczególnie zdziwiony, kiedy się dowiedział, że ci dwaj przyjaźnili się od kilkudziesięciu lat i że zaaranżowali małżeństwo dzieci, aby połączyć swoje rodziny, jak to czynili dawni władcy w trosce o swoje królestwa.

Wprawdzie początkowo wpadł w gniew i nawet groził ojcu bronią, potem jednak się uspokoił. W gruncie rzeczy starzy postąpili tak, żeby skonsolidować majątki, czyli dziedzictwo dla swojego potomstwa – dla tej gromady nieudaczników.

Założył ciemne okulary, żeby lepiej przyjrzeć się parkowi. Kto by pomyślał, że paparazzi wisieli na murze otaczającym rezydencję? Morderstwo Montefioriego było sensacją tygodnia. Pod cyprysami hrabina wydawała polecenia nakrywającej do stołu służbie – w listopadzie obiad można tu było podać na zewnątrz. Wysoka i wiotka, w dopasowanej sukni Prady przypominała rzeźby Giacomettiego. Zbliżając się do niej, można było odnieść wrażenie, że podchodzi się do konfesjonału. Roztaczała ciemny blask i zawsze mówiła zniżonym głosem.

Dwie siostry Sofii były w pobliżu – spacerowały nad basenem. Prawdopodobnie organizowały jeszcze pogrzeb. Nerwowe karierowiczki z dyplomami, żyły jak niewolnice iPhone'ów i przytrzymywały każdą upływającą godzinę polakierowanymi na czerwono szponami. Od początku nienawidziły Loïca – zbyt przystojnego, zbyt wyluzowanego, zbyt naćpanego. Ale teraz, kiedy był wolny, może zmienią zdanie.

Najbardziej zdumiało go, że nikt nie wygląda na wstrząśniętego i przerażonego śmiercią Kondotiera. Czy żona i córki spodziewały się tego mordu? Czy o czymś wiedziały? Te pytania sprawiły, że Loïc pomyślał o własnym ojcu. Trudno było sobie wyobrazić, że stary nie był jakoś powiązany z tą typowo afrykańską sprawą – kradzieżą serca, kanibalizmem (w końcu odnaleziono nadgryziony narząd). Może jako potencjalna ofiara albo przeciwnie – dlaczego by nie?– jako zleceniodawca zbrodni.

Przed wyjazdem zadzwonił do matki. W ciągu ostatnich miesięcy okazało się, że Maggie wie znacznie więcej niż przeciętna maltretowana gospodyni domowa, być może nawet w sprawach afrykańskich była *alter ego* męża. Udawała przerażoną i przysięgała, że w rozmowie telefonicznej Morvan starał się dodać jej otuchy i ją uspokoić. Komedia trwała w najlepsze.

Tymczasem Loïc podjął pewne postanowienie – chciał przeprowadzić własne śledztwo w sprawie śmierci Montefioriego. Nie był wprawdzie w najlepszej formie, a analiza faktów i odtwarzanie kalendarza Kondotiera stanowiło poważne wyzwanie, jednak doskonale mówił po włosku. Przeszukać gabinet złomiarza, ustalić, z kim się ostatnio spotykał, odnaleźć

Kongijczyków przebywających we Florencji, bo wykluczone, żeby Włoch albo Francuz o europejskich korzeniach, nawet zawodowy zabójca, posłużył się piłą tarczową – takie były jego plany na kilka najbliższych dni.

– Pamiętasz swój ostatni pobyt tutaj?

Sofia. Nie zapukała. Nie odwrócił się, ale przypomniał sobie tę kolację, gdy zupełnie naćpany wygłaszał teorię, zgodnie z którą im piękniejsza jest kobieta, tym mniej nadaje się do pracy. Była to oczywista prowokacja wymierzona w siostry Sofii, które przejmowały interesy ojca. Na drugim końcu stołu ujrzał uśmiech Sofii.

– Jakże miałbym zapomnieć! Tego wieczoru pobiłem własny rekord.

Stanęła obok niego, twarzą do okna, i obserwowała służących, którzy nakrywali do stołu pod drzewami. Zmieniła się. Lekka sukienka z jedwabnego muślinu w kolorze ciemnoniebieskim zdawała się szeptać przy każdym jej ruchu. Loïc patrzył z zachwytem na jej profil. Czoło i idealny nos odcinały się od prostych, czarnych włosów. Była wspaniała, ale jego to już nie obchodziło.

Po nowojorskiej namiętności pozostało mu tylko jedno wrażenie: szybkiego upływu czasu. Kiedy byli razem, sekundy pędziły jak linie na autostradzie przemierzanej z dużą prędkością. To jedno uczucie – może nawet nie miłość – oszołomiło ich, upoiło, aż zatracili kontrolę. A kiedy już wylądowali w rowie, uwięzieni w zgniecionym wraku, mieli mnóstwo czasu, żeby się nienawidzić.

– Ile to już dni? – zapytała nagle.

Ukryty za czarnymi okularami Loïc zadrżał.

– O czym mówisz?

– Od ilu dni nie bierzesz?

– Skąd wiesz?

– Widzę.

– Od dwudziestu trzech.

Spodziewał się, że parsknie śmiechem, ona jednak, wciąż wpatrzona w ogród, zapytała tylko:

– Potrzebujesz czegoś?

– Na pewno nie twojej pomocy.

Uśmiechnęła się i nic nie powiedziała. Rozbrzmiał dzwonek, jaki zwykle przywołuje służbę, ale u Montefiorich zaprasza do stołu. *A tavola!*

27

Jak tropić, kiedy samemu jest się tropionym?

Przed podjęciem misji obserwacyjnej Gaëlle próbowała zebrać informacje na temat Katza w Internecie. I odkryła coś naprawdę zdumiewającego – pustkę. Ani jednej wzmianki o człowieku o takim nazwisku. Dzwoniła do stowarzyszeń psychoanalitycznych. Nic. Rada związku psychoanalityków odmówiła udzielenia odpowiedzi. Gaëlle zwróciła się do uczelni medycznych, ale nie było absolwenta, a tym bardziej pracownika naukowego o takim nazwisku.

Po wspólnej kolacji odwiózł ją taksówką pod dom. Nie mogła się otrząsnąć po tym, co zobaczyła w restauracji. Czego szukał w jej torebce? Kluczy? Dokumentów? Jakichś drobiazgów osobistych? Informacji o jej życiu prywatnym? Jej pseudouczucie do tego człowieka prysnęło jak bańka mydlana. Zostało po nim tylko dławienie w gardle. I rozbudzona ciekawość. Chciała się dowiedzieć, kim naprawdę był ten facet. Szarlatanem? Jednym z tych świrów, którzy podają się za lekarzy i wieszają mosiężną tabliczkę na ścianie budynku? A może szantażystą? Albo detektywem…

Nie mogła sobie przypomnieć, jak do niego trafiła – może znalazła go w książce telefonicznej albo poznała w jakimś klubie. Fakt, że tego nie pamiętała, przemawiał za miejscem, gdzie się pije i sięga po prochy. „To moja wizytówka”. Poza tym miał tabliczkę na ulicy – sprawdziła to na początku. W książce telefonicznej figurował jako „Éric Katz, psychiatra, psychoanalityk”. Dlaczego nie figurował nigdzie indziej?

Zastanawiała się też nad jego rodziną. Żona, dwoje dzieci… Jak to właściwie było? Nie znalazła żadnego adresu prywatnego. Ani jednego Érica Katza na obszarze Île-de-France. Może mieszkanie albo dom były zapisane na nazwisko jego żony?

Rano podjęła decyzję. Szperał w jej torebce? Ona więc wywróci do góry nogami jego gabinet. Problem tkwił w tym, że dwa psy chodziły za nią krok

w krok. Nie mogła wystawać pod bramą Katza, bo jej aniołowie stróże natychmiast odnotowaliby to w raporcie i zaalarmowali starego.

Postanowiła odegrać komedię. Wybrała się do kawiarni na wprost kamienicy, w której pracował Katz, wyjęła komputer i udawała natchnioną autorkę, jedną z tych lubiących pisać w miejscach pełnych życia i ludzi. W rzeczywistości czekała, aż psychiatra opuści gabinet. Jej molosy nie wiedziały, jak wygląda Katz, były poinformowane jedynie o tym, że Gaëlle tu przychodzi.

O osiemnastej trzydzieści Katz wreszcie wyszedł. Owinięty płaszczem, w którym wyglądał jak szpieg z powojennego Berlina, minął kawiarnię, nie zauważając Gaëlle. Zapłaciła za kawę i przeszła przez ulicę. *Czas na rewizję*. Nie patrząc na swoich ochroniarzy, wystukała kod i weszła do holu. Idąc po schodach, odtwarzała w pamięci ostatnie minuty wieczoru. Katz trzymał się obranej strategii – chciał być jej przyjacielem. Niczego nie próbował, obiecał, że zadzwoni do niej możliwie najszybciej. *Szczery jak dziewictwo mniszki.*

Najpierw wcisnęła dzwonek. Żadnego odzewu. Drzwi nie były wzmacniane – przez ponad rok przychodziła tu dwa razy w tygodniu i czekała na swoją kolej, siedząc w ciasnym holu, na wprost zasuwy. Technika, jakiej zamierzała użyć, żeby poradzić sobie z zamkiem, była wręcz śmieszna: wsunąć kliszę rentgenowską między skrzydło drzwiowe a futrynę i przesuwać ją, aż uda się otworzyć. Widziała, jak którejś nocy, kiedy zapomniała kluczy, tak właśnie postąpił ślusarz. Prostota tej metody zachwyciła ją. Rano sprawdziła to jeszcze w Internecie. Był to klasyczny sposób zwany *by-pass*.

Wsunęła kliszę z poliestru w szczelinę i równocześnie próbowała szarpnąć drzwi. Nawet nie drgnęły. Ponowiła próbę, tym razem energicznej. Wciąż nic. Wydawało jej się, że robi hałas słyszalny w całej kamienicy. Lada chwila jakiś sąsiad wychyli głowę, przekonany, że to włamanie w biały dzień. A ona…

– Co pani tu robi?

Gaëlle zdążyła tylko ukryć kliszę pod płaszczem, zanim się odwróciła. Éric Katz stał przed nią w przewiązanym paskiem trenczu.

– Przyszłam się z panem zobaczyć – skłamała.

– Ale dlaczego?

– Wejdźmy do środka, wszystko panu wytłumaczę.

Psychiatra podszedł do drzwi, patrząc na nią podejrzliwie, wyjął klucze i w końcu otworzył drzwi. Mogłaby jeszcze długo bawić się we włamywaczkę amatorkę: skrzydło było zbrojone, a zamek – co najmniej trójbolcowy.

Kiedy przestąpiła próg, poczuła się jak ostatnia z żon Sinobrodego – ta, która chciała wejść do zakazanej komnaty.

28

W buszu kolację jada się o szóstej wieczorem, jak w domu starców. Siedząc w błocie, z włączoną latarką na czole, Morvan zabrał się za *chikwangue* – zielonkawą i cuchnącą gównem kulę z manioku. Żeby przełknąć coś takiego, trzeba to jakoś przyprawić – sosem pomidorowym, ostrym pieprzem, ziołami, olejem palmowym, byle czym, co może zabić smak łajna. A w menu nie było nic innego, bo myśliwi wrócili z pustymi rękami.

Ponieważ nie mieli szans dotrzeć do kopalni przed nocą, rozważniej było zostać na polanie i wystawić warty. Zgodnie z planem (Morvan trzymał zawilgoconą mapę na kolanach, ponieważ GPS już wyzionął ducha) mogli znaleźć się u celu rankiem.

Wziął w palce kolejną porcję galaretowatej masy, której smak brał górę nawet nad sosem. Mimo wszystko czuł się dumny ze zwycięstwa nad Mai Mai i wytrwania w buszu. W prażącym słońcu, w gęstwinie, przez którą brnęli, zanurzeni do pasa między kolczastymi krzewami tworzącymi istne zasieki, on wciąż szedł.

Tragarze już się ulotnili – spotkanie z Mai Mai wystraszyło kilku z nich, jeden skorzystał z okazji, żeby zniknąć ze skrzynią leków. Ale osiemdziesiąt procent sprzętu ocalało. To był dobry wynik po pokonaniu dwóch trzecich drogi.

Morvan zerknął na Michela, który zwinął się w kulkę pod olbrzymim drzewem. Czarni z Afryki Środkowej często chorują na chroniczną malarię, dającą o sobie znać co pewien czas napadami gorączki.

– To malaria… malaria… – jęczał Kudłacz, kuląc się.

Musieli poczekać, aż atak choroby minie.

Morvan rozmyślał o problemie z Mai Mai – nie było sensu się łudzić, kolejne spotkanie z tym ludem na pewno się zdarzy. Albo natkną się na innych rabusiów. Strzały były jak sygnał – teraz tropiły ich całe stada lokalnych drapieżników. Nie bał się ani Tutsi z drugiego brzegu rzeki, ani

FARDC, którzy nie ośmieliliby się go zaatakować – zezwolenia Mumbanzy i przepustki Kabongo powściągnęłyby ich zapędy. Pozostały jednak rozproszone bandy: Interahamwe, *kadogos*, rebelianci Tutsi…

Nie wykluczał też ataku wymierzonego właśnie w niego – ze strony zabójców Nseko i Montefioriego. Był jednak przekonany, że ci poczekają, aż dotrze do celu, ponieważ zależy im na zlokalizowaniu złóż. Tu więc mógł liczyć na pewnego rodzaju odroczenie – do jutra.

W rzeczywistości te zagrożenia wcale nie wzbudzały w nim lęku. Przez całe życie wystawiał się na niebezpieczeństwa. Ceną za prawo do zabijania jest ryzyko śmierci. Ale skończyć tu, w tym czerwonym piekle, konając z gorączki lub na ruszcie buntowników, którzy mogli przeistoczyć się w lamparty, to jednak zupełnie co innego niż wycofać się do Bréhat i malować akwarelki albo wkładać do butelek maleńkie modele statków.

Usłyszał dźwięk telefonu i zdziwił się, że urządzenie jeszcze działa. Otworzył chroniącą go skrzynkę. Erwan.

– Gdzie jesteś? – zapytał, zanim tamten zdążył się odezwać.

– W Kayombo. Wkrótce wyruszam w dalszą drogę. Jutro będę w Ankoro.

– Nieźle.

Zadał pytanie dla pozoru – telefon Erwana był wyposażony w nadajnik satelitarny i ojciec mógł na bieżąco śledzić jego trasę.

– Im dalej jestem – zaatakował syn – tym więcej się dowiaduję. Zapomniałeś mi powiedzieć o wielu rzeczach.

– Znowu zaczynasz?

– Dopiero zaczynam. Co to za historia ze szkicami, które morderca rysował na ziemi?

– Bzdury. Pharabot był stuknięty. Jeżeli zamierzasz roztrząsać każdy detal, to…

– Nie sądzę, żeby to był detal. Człowiek Gwóźdź zostawiał wskazówki. Jego ofiary były nie tylko *minkondi*, uczynił z nich także nośniki wiadomości.

– Do kogo kierował te wiadomości?

– Do białych budowniczych, ojców ofiar. Ci ludzie dopuścili się czynu, za który Pharabot się mścił i…

– Jak zwykle zadziwia mnie twoja buta i bezczelność. Uważasz, że po czterdziestu latach możesz wytykać mi niedociągnięcia w śledztwie?

– Nie wierzę, żeby to były niedociągnięcia, i w tym właśnie cały problem. Wydaje mi się, że raczej…

Potężny grzmot wstrząsnął ziemią i zagłuszył jego ostanie słowa.

– Jestem pewien – ciągnął – że coś się stało. A ty doskonale wiesz co. Dlaczego te rodziny były przeklęte?

– Czekaj, czekaj. Kto ci naopowiadał tych bzdur?

– Najpierw mój przewodnik, a potem Mouna, kobieta, która długo pracowała u Verhoevenów.

Grégoire jak przez mgłę przypomniał sobie tę wyuczoną dobrych manier służącą. Pół czarna, pół biała, w pełni potulna. A zatem, mimo jego modlitw, nie wszyscy mieszkańcy Lontano wymarli. Ilu jeszcze zdoła odnaleźć jego syn?

– Co takiego zrobili ci Belgowie? – wrzasnął Erwan, usiłując przekrzyczeć hurgot burzy.

– To oni wybudowali pod koniec dziewiętnastego wieku kolej żelazną i…

Morvan westchnął. Te karty historii zostały ocenzurowane, ale uznał, że musi rzucić synowi jakąś kość do gryzienia.

– Na pewno powiedziano ci już, że ta budowa kosztowała więcej krwi niż którakolwiek inna w tamtym stuleciu. Że zwłoki robotników wtopiono w szyny, że podkłady kładziono na ich skruszonych kościach.

– Owszem, słyszałem takie opowieści.

– To brednie. Za to prawdą jest, że w tym okresie biali popełnili morderstwo. Pewien czarownik Yombe sprzeciwiał się rozbudowie kolei. Prace prowadzono na jego terytorium. Stanął na szlaku i nie chciał się ruszyć. Wypowiadał zaklęcia, rzucał uroki na robotników. Nie można było kontynuować prac. Belgowie rozsadzili zbocze nad jego głową i pogrzebali go żywcem. Buldożery posprzątały bałagan.

– I to ten ich grzech?

– Prawdopodobnie popełnili ich więcej. Ale pogrzebać żywcem czarownika w Dolnym Kongu to naprawdę kiepski pomysł.

– Powiedziano mi, że biali lękali się magii Yombe.

– To prawda, ale wtedy wydawało im się, że są silniejsi. Te rodziny miały dość osobliwą koncepcję integracji. Gdyby to od nich zależało, wprowadziliby apartheid w stylu południowoafrykańskim.

– Ja słyszałem też o kazirodztwie.

Morvan parsknął śmiechem.

– Na pewno widziałeś zdjęcia Salamander. Prawda rzuca się w oczy – te dziewczyny były blisko spokrewnione. Kiedy poznałem twoją matkę, miała już nadczynność tarczycy, u nich dziedziczną, jej brat był obłąkany, a siostra umierała na stwardnienie rozsiane. Oto cała prawda o białych budowniczych: reakcja łańcuchowa złych genów, przekazywanych z pokolenia na pokolenie. Całe szczęście, że wniosłem świeżą krew do tej kałuży szczyn!

Znów zagrzmiało, tym razem bliżej. Czuł, jak ziemia wibruje pod jego stopami. Po drugiej stronie panowała cisza – jego syn milczał. Morvan nie był nawet pewien, czy wszystko usłyszał. *Nieważne*.

– Białych budowniczych przepędzono z Dolnego Konga w latach sześćdziesiątych – podjął po dłuższej chwili Erwan. – Jak dokładnie do tego doszło?

Morvan zaklął pod nosem, ale uznał, że o tym też może mu powiedzieć.

– Popełniono kolejne morderstwo. Żona jednego z nich sypiała z Murzynem. Wpadli w szał. Odarli go żywcem ze skóry, a potem rzucili ciało do kruszarki cegieł.

– Kto dokładnie to zrobił?

– Nigdy tego nie ustalono. Ale wiele wskazuje na de Creeftów.

– Chcesz powiedzieć, że…

– Twoi dziadkowie. I po tym wszystkim ktoś jeszcze się dziwi, że zerwałem kontakty z rodziną żony!

Erwan nie odpowiedział, chyba że trzaski zagłuszyły jego głos.

– Doszło to do uszu Mobutu – ciągnął Morvan. – Właśnie odkryto złoża w północnej Katandze, powstały kopalnie. Wysłał tam winnych. Gdyby nie chcieli się tam przenieść, wyrzucono by ich siłą z kraju. Biali budowniczowie musieli zaczynać od zera i wybudowali Lontano. Byli łotrami, ale mieli dużą wiedzę. W całym Zairze nie było lepiej eksploatowanych kopalni.

Znów zapadła cisza, w końcu jednak rozbrzmiał silny głos Erwana.

– Jaki te morderstwa mogły mieć związek ze schematami, które Człowiek Gwóźdź zostawiał na miejscach zbrodni?

Morvan zadrżał. Od początku był pewien, że jego syn w końcu to odkryje.

– Skąd mam wiedzieć? – próbował się jeszcze wymigać.

Erwan zaśmiał się złowrogo.

– Dość tych cyrków, tato. Od ponad czterdziestu lat chłonę twoje obsesje, patrzę na twoją brutalność, na twoje zaangażowanie. Nigdy nie zakończyłeś sprawy, dopóki nie zrozumiałeś wszystkich jej szczegółów. Powiedz prawdę, oszczędzisz mi sporo czasu.

– Możesz myśleć, co chcesz. Wsiadasz jutro na barkę?

Nie usłyszał odpowiedzi – niebo nad jego głową rozdarło się z trzaskiem.

– Uważaj na siebie – mówił dalej. – Krążą pogłoski o dostawach broni. Jeśli to prawda, gruchnie dokładnie tam, gdzie będziesz.

– Muszę prowadzić śledztwo.

– Naprawdę jesteś głupszy, niż przewiduje norma.

Gwałtownie zakończył połączenie. W tej samej chwili lunął deszcz. To była tropikalna ulewa – ciepła i przejrzysta. Pobiegł do małego namiotu i wsunął się do niego na czworakach. Wcześniej przywiązał go do drzewa, żeby nie porwały go wiatr albo błoto. Zasunął zamek błyskawiczny i usiadł na ziemi.

Koń by się uśmiał! Podstarzały facet, dźwigający ponad sto kilogramów, bawił się jeszcze w bohatera, nosił pasy z amunicją i kowbojski kapelusz, a na domiar złego wciskał się do płóciennych domków. Nasunęło mu się skojarzenie ze straggle rami, tymi japońskimi żołnierzami, którzy wciąż toczyli walkę na Filipinach, chociaż od kapitulacji Japonii minęło trzydzieści lat.

Po chwili przypomniały mu się słowa syna. Jeśli tak dalej pójdzie, za dzień albo dwa Erwan wywlecze całą prawdę na światło dzienne. Sięgnął po telefon – najwyższy czas przywołać do porządku psa przewodnika!

29

– Salvo? Mówi Morvan.

– Witaj, szefie.

– Możesz mówić?

– Owszem.

– Do diabła, co ty wyprawiasz?

– Posuwamy się do przodu. Jutro rano będziemy w Ankoro.

– W co ty grasz? Kazałem ci zabrać go na wycieczkę do lasu i wracać!

– Szefie, jestem profesjonalistą i…

– Zamknij się. Jeżeli błyskawicznie nie wrócisz do Lubum, to przysięgam, że skopię ci dupę.

– Ale…

Banyamulenge grał po afrykańsku. Najpierw zgarnął kasę od Morvana, teraz ciągnął pieniądze od Erwana. I najprawdopodobniej wykorzystał tę podróż, żeby prowadzić jeszcze jakieś podejrzane interesy.

– Co cię napadło? Po co zaprowadziłeś go do Momperów? A teraz do Mouny?

– Szefie, tak się złożyło i…

– Mam wrażenie, że nie zrozumiałeś swojego zadania. Płacę ci za hamowanie postępów śledztwa Erwana, nie za noszenie go na rękach. Rób tak dalej, a przysięgam, że w Lubum będziesz spalony!

Salvo milczał – ważył za i przeciw. Szybka kasa, długotrwałe bezrobocie.

Burza nie słabła. Dwuwarstwowe płótno namiotu uginało się pod masami wody.

– Jak wygląda sytuacja z rebeliantami? – krzyknął jeszcze Morvan.

– Na razie nie ma problemów.

– A FARDC?

– Jak zwykle, blokady.

– A dostawy broni dla Tutsi?

– O niczym innym się nie mówi.

– To znaczy o czym dokładnie?

– Wyrzutnie rakiet, pociski, broń maszynowa.

– To działania Ducha Śmierci?

– Wraz ze swoimi oddziałami dotarł ponoć z południa Kiwu aż do nas. Ale to mogą być fałszywe pogłoski.

Kto sprzedał broń FLHK, „dysydentom wśród odstępców”? Komu mogło zależeć na wzmocnieniu tego zarzewia konfliktu?

– Jutro rano wracasz do Kabwe.

– Jesteśmy już prawie w Ankoro!

– Rozumiesz po francusku? Erwan nie może dotrzeć dalej.

– Co mam mu powiedzieć?

– Wymyśl coś.

– Jasne, szefie.

Namiot wciąż drgał pod strugami deszczu, jakby spleciona z lian i korzeni ręka tytana próbowała oderwać go od ziemi. Przez zalany wodą dach Morvan widział palmy, które kołysały się dziwnie wolno, jak monstrualne algi na dnie spokojnej zatoki.

– A przede wszystkim nie odstępuj go na krok, rozumiesz?

– Tak, szefie.

– Raport jutro wieczorem.

– A co z samolotem?

Powrót do Lubum oznaczał konieczność wysłania maszyny w busz.

– Informuj mnie na bieżąco, załatwię to.

Wściekły, odłożył telefon. Sprawa zaczynała mu się wymykać spod kontroli. Erwan zrobi to wszystko po swojemu. Banyamulenge będzie się kierował wyłącznie własnym, doraźnym interesem. W dodatku toczące się w kraju konflikty zbrojne powodowały, że trudno było przewidzieć, co przyniesie jutro.

– Szefie?

Ulewa ustała równie nagle, jak się rozpętała. Przez płótno Morvan poznał sylwetkę zgiętego wpół Michela. Trochę dalej inni rozniecali ognisko, lejąc benzynę i dorzucając węgla drzewnego. Wszyscy osłaniali głowy olbrzymimi liśćmi.

– Lepiej ci? – zapytał Morvan, kiedy Kudłacz wsunął nos do namiotu.

Oczy miał czerwone jak królik.

– Wziąłem lekarstwo.

– Chlorchinę?

Michel pokazał mu długiego jointa.
– Bóg mi cię zsyła! – zawołał Morvan, wyciągając palce.

30

Na placu Île-de-Sein, u zbiegu bulwaru Arago i ulicy Saint-Jacques, w każdy zimny wieczór zbiera się setka ludzi. Bez świateł, bez schronienia, bez słowa. Wygląda to jak manifestacja, ale bez haseł, bez sztandarów.

Gaëlle często mijała to zbiegowisko, jadąc taksówką albo na rowerze, czasem nawet limuzyną ojca. Ten szary, nieruchomy tłum zdawał się stać w kolejce, ją zaś najbardziej intrygowały kłęby dymu unoszące się nad głowami ludzi. Dziś szła w tamtą stronę. Noc była czarna i sroga, chodnik połyskiwał miką, świeciły oczy latarni. Restauracja Serc – znała ją tylko z nazwy i kojarzyła z patetycznymi spektaklami. Teraz znalazła się w sercu wydarzeń.

Rozdawano bilety, wyciągały się ręce, ludzie trzymali talerze i kubeczki, każdy gest zanurzał się w oparach jedzenia i tłuszczu. Nienawidziła się za takie reakcje małej burżujki wychowanej w jedwabiach i we wzgardzie. „Taką już mam naturę” – jak powiedział do żaby skorpion z bajki.

Gaëlle minęła kolejkę i zobaczyła osobę, której szukała – dziewczynę z chochlą, stojącą za ladą. Włosy jak strąki, sztruksowa kurtka, aseksualna sylwetka. Z łatwością mogłaby przejść na drugą stronę do grupy tubylców.

– Cześć – rzuciła Gaëlle spod obramowanego futerkiem kapelusza.

– Do kolejki, jak wszyscy – odparła tamta, nawet na nią nie patrząc.

– Jestem córką Grégoire’a Morvana, siostrą Erwana.

Dziewczyna zerknęła na nią spod oka i od razu ją poznała.

– A co ty tu robisz?

– Chciałabym z panią pogadać.

Dziewczyna bez słowa rozglądała się po ulicy, prawdopodobnie szukając dwóch cerberów łażących za Gaëlle. *O wszystkim wie.*

– Zaczekaj chwilę. Kończę za dziesięć minut.

To, że mówiła do niej per ty, było jasne – choć niewiele starsza od Gaëlle, uważała ją za dziewczynkę. Ściślej zaś za córeczkę tatusia,

nieustannie zadręczającą brata swoimi schadzkami, ucieczkami, próbami samobójczymi.

Gaëlle skinęła głową. Odeszła na bok i zapaliła papierosa, stojąc przy ławce, na której w milczeniu jadło dwóch głodomorów. Powietrze zdawało się pękać jak cienki lód. Sto metrów dalej dreptali po chodniku dwaj goryle. Wciąż osłonięta kapturem, przeszła kilka kroków, doznając otuchy.

Jeszcze nie otrząsnęła się po silnych emocjach tego popołudnia. Przyłapana przez Katza, usprawiedliwiła swoją nagłą wizytę napadem lęku. Psychiatra sprawiał wrażenie, jakby przełknął to kłamstwo, i namawiał ją, żeby zwróciła się do poleconego przez niego lekarza. On nie był już jej terapeutą.

Ta przygoda była dla niej nauczką. Jeżeli chciała kontynuować śledztwo, potrzebowała pomocy. I to nie przypadkowej osoby, tylko policjanta, który może pozwolić sobie na niedyskretne poszukiwania i pogwałcenie tajemnic. Znała wielu gliniarzy, w końcu wychowała się wśród nich, spotykała się z nimi, nauczyła się ich rozumieć. W każde Boże Narodzenie w domu rodziców gościł jakiś spłukany policjant, który właśnie rozstał się z żoną albo wszedł w konflikt z przełożonymi i nie miał się gdzie podziać w ten świąteczny wieczór.

Dlatego od razu pomyślała o Audrey, piątej z grupy Erwana. Brat rzadko opowiadał Gaëlle o swoim zespole, jeśli jednak do tego doszło, zawsze padało jej imię. „Najlepszy z moich ludzi to kobieta”.

Zadzwoniła pod numer, który „na wszelki wypadek” podał jej Erwan, i trafiła na niejakiego Kevina Morleya. Policjant powiedział jej, gdzie znajdzie Audrey Wieniawski – w każdą środę pracowała jako wolontariuszka w Restauracji Serc.

– Czego chcesz?

Policjantka stała przed nią, zwijając papierosa. Jej ton był ostry – mogła poświęcić Gaëlle tylko tę krótką przerwę.

Gaëlle zaczęła mówić, ale Audrey wpadła jej w słowo.

– Wiem, kim jesteś i co robisz.

A potem, już łagodniej, dodała:

– Wiem, co ci się… przytrafiło.

Napaść w Świętej Annie, starcie u Erwana. Gaëlle wykorzystała to jako punkt wyjścia.

– Właśnie dlatego chciałam się z tobą spotkać… – powiedziała, naturalnie przyjmując koleżeńską formę.

Opowiedziała jej o wydarzeniach ostatni dni. O odnowieniu kontaktów z Katzem, o zaproszeniu na kolację i o epizodzie z torebką.

– Co z tego?

– Psychoterapeuci tak nie postępują.

– Może ten jest inny.

– Nie rozumiesz: to dyscyplina, w której obowiązują ścisłe reguły. Terapeuta jest nie po to, żeby zgłębiać twoje życie, ale żebyś zrobiła to sama. Nie może na nic wpływać. Już to zaproszenie na kolację było podejrzane. A grzebanie w torebce ujawniło prawdę: Katz ma jakiś cel i czegoś szuka.

Audrey paliła papierosa, nieustannie zerkając na bezdomnych, którzy jedli, stojąc w różnych punktach placu. Chwilami obserwowała też ochroniarzy, wyraźnie zaintrygowanych tymi babskimi tajemnicami.

– O czym rozmawialiście przy kolacji?

– O wszystkim i o niczym.

– Wypytywał o twoje sprawy?

Ta policjantka najwyraźniej nigdy nie była w gabinecie psychoanalityka.

– Spotykałam się z nim dwa razy w tygodniu przez rok. Zna moje życie na wyrywki.

– Podrywał cię?

– Zaproponował mi przyjaźń. To jeszcze dziwniejsze.

Audrey skinęła głową. Z jej oczu wyzierał podziw. Uroda Gaëlle nie zawsze wzbudzała irytację innych kobiet. Często były to respekt albo cicha rezygnacja.

– Wyrzuć to z siebie – odezwała się po chwili. – Powiedz wreszcie, co ci chodzi po głowie.

– Chcę się dowiedzieć, czego szuka, do czego dąży. Usiłuje się do mnie zbliżyć. – Zapaliła drugiego papierosa. – Spędziłam dużą część życia u psychiatrów i psychologów. Nigdy im nie ufałam. To ludzie zimni, manipulanci, zboczeńcy spragnieni ciekawych przypadków. Może Katz chciałby dołączyć mnie do swojej kolekcji.

– Gdyby tak było, zatrzymałby cię jako pacjentkę.

Audrey miała rację. Gaëlle okrążyła latarnię. Odgłosy przeżuwania, bekanie kloszardów stawały się coraz głośniejsze.

– Może chciał mi się przyjrzeć pod innym kątem.

– Co właściwie o nim wiesz?

– Właściwie nic. Praktykuje wyłącznie we własnym gabinecie przy ulicy Nicolo. Nie jest konsultantem w szpitalu, nie ma żadnych innych obowiązków zawodowych.

– A życie prywatne?

– Podobno ma żonę i dwoje dzieci, ale nie udało mi się tego potwierdzić.

– Masz inne informacje czy nie?

Gaëlle wyjaśniła jej, że, o dziwo, nie znalazła żadnych wzmianek o Katzu w Internecie, po krótkim wahaniu opowiedziała także o nieudanej próbie włamania.

– Wiesz, na co się narażałaś?

– Na cios nożem między żebra.

Audrey wybuchnęła śmiechem, rozbawiona tak bujną wyobraźnią Gaëlle, ale ten śmiech nagle się urwał, kiedy przypomniała sobie wcześniejsze przejścia dziewczyny.

– Nie posuwałabym się tak daleko, choć przecież mógł wnieść oskarżenie.

– Niczego nie zauważył. Powiedziałam mu, że mam napad lęku. Poradził, żebym zwróciła się do innego psychiatry, i uprzejmie wypchnął mnie za drzwi.

– Zamierzacie się spotkać?

– Na razie nie, ale…

– Ale?

– Boję się, że on mnie śledzi, obserwuje… Kiedy się ze mną skontaktował, wiedział o wszystkim, co się wydarzyło w Świętej Annie. Powiedział mi, że dzwonili do niego ze szpitala. Jestem pewna, że kłamał. Ten facet oficjalnie nie istnieje w świecie terapeutów.

Audrey usiadła na ławce zwolnionej przez włóczęgów i zwijała drugiego papierosa. *Dobry znak*.

– A ci dwaj? – zapytała, wskazując stojących niedaleko goryli.

– Galernicy nosili kulę u nogi, ja mam dwie.

– Przecież cię chronią?

Gaëlle wzruszyła ramionami. Obawiała się zagrożeń bardziej podstępnych. Ingerencji psychologicznej, zakażenia, przed którym żaden z tych osiłków jej nie ochroni.

– Nie powiedziałaś mi jeszcze, czego ode mnie oczekujesz.

– Żebyś go prześwietliła, używając metod i możliwości, jakimi dysponujesz.

– No tak, drobiazg…

Gaëlle pochyliła się nad dziewczyną w kurtce khaki – miała już dość tych docinków i manifestowanej wyższości.

– Sprawdziłam to, co mogłam. Powtarzam: ten facet nigdzie nie istnieje. Nie ukończył żadnej uczelni. Nie współpracuje z żadnym szpitalem. Nie należy do żadnego towarzystwa psychologicznego.

– Ale jest w książce telefonicznej?

– Tak, na żółtych stronach, jako psychiatra, ale nie jako osoba prywatna.

– To chyba normalne?

Niechętnie skinęła głową.

– Jak go poznałaś?

Kolejny minus.

– Nie pamiętam.

– Jak to?

– Przypuszczam, że na jakimś przyjęciu. To najbardziej prawdopodobne. Musiałam być podchmielona, może pod wpływem leków. Przeżywałam okresy, kiedy… nie patrzyłam trzeźwo na świat.

Audrey zapaliła papierosa. Zdawała się wahać, czy dać się wciągnąć w tę dziwną sprawę. Ani słowa o Erwanie czy o Padre – wiedziała, że są w Afryce.

– Po tym, co przeżyłam w ciągu minionych miesięcy – nie poddawała się Gaëlle – mam chyba powody do niepokoju, prawda?

– Podaj mi jego nazwisko i adres. Zadzwonię do ciebie, kiedy dowiem się czegoś nowego.

– Masz mój numer? – zapytała, podając jej przygotowaną wcześniej kartkę.

– Cała nasza grupa go ma – odparła policjantka, odchodząc z rękami w kieszeniach.

Wytrzymaj to.

– Mogę o coś zapytać? – zawołała Gaëlle.

Audrey odwróciła głowę.

– O co?

– Dlaczego robisz…? Dlaczego poświęcasz im każdą środę?

Oficer policji Wieniawski z uśmiechem spojrzała na bezdomnych, których sylwetki niknęły w parze unoszącej się między kontenerami.

– Bo sama stąd pochodzę i gdyby nie twój brat, wciąż bym tu tkwiła.

31

Po rozmowie z Morvanem ruszyli w dalszą drogę do Ankoro. Odległości i czas nic już nie znaczyły. Podróż, którą mieli zakończyć koło południa, trwała nadal wieczorem, a Salvo przewidywał, że zajmie im jeszcze piętnaście godzin.

Erwan nawet się nie odzywał. Dwadzieścia godzin jazdy samochodem zrobiło swoje. Nieregularne tempo i wyboje sprawiły, że popadł w zobojętnienie, z którego wyrywały go na chwilę tylko kolejne posterunki – gotówka, zapasy, odjazd… Siedząc z tyłu, w osłupieniu śledził trudności z jazdą, czerwone kałuże, liście chłoszczące szybę, kamienie odbijające się od karoserii, lepkie błoto, w którym grzęźli.

Wysiadali, żeby wsuwać metalowe płyty pod koła, popychać samochód, jedząc ziemię, która przypominała rozszarpane ciało. Trzeba było ciąć, podnosić, odsuwać gałęzie, pnie, liany… Kiedy ruszali w dalszą drogę, ból mięśni i stawów dawał o sobie znać na każdym wyboju – i oczywiście nie było szansy na sen.

Co gorsza, w samochodzie padła klimatyzacja. Jechali z otwartymi oknami, zapraszając do środka wszelkie owady. Komary, bąki, osy i inne nieznane stwory, wszystkie monstrualne. Wysmarowany środkami odstraszającymi i kojącym kremem, Erwan nic już nie czuł i powtarzał sobie, że któreś z tych paskudztw na pewno czymś go zaraziło. Uczepiony klamki, wyobrażał sobie pasożyty namnażające się w jego krwi i niszczące czerwone krwinki.

Teraz jechali w ciemnościach. Musieli zamknąć okna z powodu ulewy. Rzucało nimi na wszystkie strony. W gwałtownym deszczu odnosiło się wrażenie, że to noc rozpadła się na miliardy cząsteczek i uderza w toyotę. W dali błyskawice rozświetlały niebo jak potężne reflektory gigantycznych wież strażniczych, sprawdzające, czy robota została dobrze wykonana, a świat zrozumiał, kto tu rządzi.

Rozmyślając nad rozmową z ojcem, Erwan włączył lampkę i oglądał zdjęcia Salamander. W słomkowych kapeluszach, z kwiatami we włosach, te dziewczęta o androginicznych sylwetkach przypominały muzy z lat siedemdziesiątych. Podświadomie widział pęki wbitych w ich ciała gwoździ, blask szkła wciśniętego w gałki ich oczu, rany na tułowiu, z którego morderca zabrał narządy, a umieścił włosy i paznokcie następnej ofiary.

Erwan przyjechał tu odnaleźć mordercę Catherine Fontany, ale może pielęgniarka była siódmą ofiarą Człowieka Gwoździa. Tymczasem Pharabot miał tajemnicę, która zaskoczyła policjanta. Motyw zemsty… Dlaczego więc wyszedł poza krąg belgijskich rodzin i zamordował Cathy? Ani Colette Blockx, matka rodziny, ani Noortje Elskamp, zakonnica, również nie należały do grona białych budowniczych. I dlaczego Pharabot nie zabił Maggie de Creeft, córki jednego z najpotężniejszych białych z Lontano? Nie było lepszego symbolu, jeśli chciało się ugodzić założycieli miasta górniczego.

Był też rysunek zostawiany na ziemi. Czy naprawdę ukazywał budowę atomową minerału? Erwan był przeświadczony, że Człowiek Gwóźdź przesyłał wiadomość panom miasta. Żeby go zidentyfikowano? Schwytano? Czy po prostu po to, żeby przypomnieć im dawną winę? Myśl o zemście nie opuszczała Erwana – musiał odkryć motyw zbrodni Pharabota. Był pewien, że ojciec zna prawdę, ale jest ostatnią osobą gotową mu pomóc. Co łączyło wszystkich aktorów tej tragedii?

32

Morvan śpiewał ukryty za palmami u stóp potężnego drzewa moabi. Dopalił jointa – cudowny lek Kudłacza – i całkiem odleciał. Kilka metrów od niego trzeszczał ogień. Czarni rozpięli nieprzemakalną płachtę z ONZ i zebrali się pod nią. Ostatnie krople deszczu pluskały w ciemnościach. W dali słychać było jeszcze pomruki burzy, jakby niebo próbowało odchrząknąć.

W smudze światła z latarki na jego czole roiły się owady: wielkie jak kraby pająki, dżdżownice podobne do węży, jakieś ulotne, niezidentyfikowane cienie. To delirium tremens miało radosny charakter. W Afryce deszcz nigdy nie jest smutny – budzi naturę, żywi ziemię, obwieszcza początek parady.

Wczoraj zabił chłopca. Dziś rano zabił trzech mężczyzn. Musiał poważnie liczyć się z kolejnym atakiem, zanim dotrze do kopalń, które być może też są już w rękach jakichś rebeliantów. Tymczasem Erwan coraz bardziej zbliżał się do odkrycia prawdy. *Kto da więcej?* Morvan był przypieczony z wierzchu i od spodu, w środku również nieźle ugotowany. Ale tej nocy, pod wpływem konopi, nic nie było mu straszne.

Te rojenia przypomniały mu o innych sprawach. Jego syn już prawie wszedł na szlak handlarzy, jednak nie zatrzymał się przy nim. Miał rację – nie tego powinien szukać. Ale kiedyś Morvan podążył tym tropem. Przesłuchując handlarzy trawy, w końcu zaprzyjaźnił się z kilkoma, zwłaszcza z Jimmym, największym przemytnikiem narkotyków w tym rejonie. Te spotkania niczego go nie nauczyły. Aż do tamtego wieczoru…

Kwiecień 1969 roku.

Chata wielkiego J. była oświetlona przez całą noc. Żeby przyspieszyć rozwój plantacji, trzeba było zapewniać jej światło przez ponad szesnaście godzin na dobę. Jego siedziba w getcie wyglądała więc jak olbrzymia lampa z kamienia solnego na dnie wysypiska.

Morvan nigdy nie podejrzewał czarnego o morderstwa – oszołomiony oparami narkotyków, był tak samo zwinny i aktywny jak jego rośliny.

– Powiedz – zapytał tamtej nocy – co myślisz o Salamandrach?

– Cuchną. Nie ma nic gorszego od białych dziwek, które chcą się zadawać z czarnymi…

– Ale dzięki nim rozkręcasz interes.

– I dlatego je tu wpuszczam…

– A Człowiek Gwóźdź?

Jimmy był z pochodzenia Tutsi. Dwa metry, głowa tak wąska, jakby rosła w dziadku do orzechów, ręce jak płetwy, oczy wychodzące ze skroni.

– Szefie, to demon… Nikt mu się nie przeciwstawi.

Grégoire od tygodni wysłuchiwał ludzi wyznających podobne przesądy i wierzących w nie tak mocno, że nie był już pewien własnych przekonań.

– W Soso nic nie obiło ci się o uszy? Coś konkretnego?

– Tatuśku, o niczym innym się nie słyszy, ale coraz więcej bzdur. Historyjki o diable, o czarownikach, którzy się przeobrażają…

– A twoi biali klienci?

– Już nikt nie waży się tu zapuścić nocą… Cały ten szum szkodzi biznesowi. Już tylko twoja lala tu…

Maggie była jedyną, która przychodziła nadal na ten brzeg rzeki.

– Nie mów tak o niej.

Jimmy zaciągnął się i znowu się roześmiał. Siedział na ziemi, między bujnymi liśćmi ogrzewanymi przez lampy.

– Wybacz, wujaszku.

– Kto sprzedaje LSD, ketaminę?

– Już ci mówiłem, ja się do tego nie mieszam, nie…

Na zewnątrz rozległ się dziwny dźwięk, jakby drewniana grzechotka.

– Co to?

– Sezon polowań.

– Jakich polowań?

Znów zaklekotało, jakby ktoś grał na marimbie.

– Lepiej będzie, jak już pójdziesz, bo wpadniesz w nagonkę.

– Nagonka dziś w nocy? W środku dzielnicy?

– Szefie, to specjalne polowanie. Polowanie na *mzungu*.

Mówiło się, że górnicy szykują się do działań represyjnych wobec białych. Czyżby to był ten wieczór?

– Ale co to za dźwięki?

– Yombe polują po staremu, z psami, które nie szczekają. Dlatego zawiesza im się na szyi drewniany dzwonek, który oznajmia obecność zwierzyny. – Czarny znowu się roześmiał, spowity kłębami dymu. – Ale dziś wieczorem to zwierzyna ma dzwonek na szyi…

Morvan wstał. Kręciło mu się w głowie. Za dużo tego gówna, za dużo bredni. Żaden Europejczyk nie zaryzykowałby nocnej wizyty w getcie. O mało się nie przewrócił, zdążył jednak oprzeć się o plastikową ściankę. Żarówki migały, liście szeleściły. Był w płucach olbrzyma, wypełnionych odurzającymi wyziewami.

– Lepiej, żebyś znalazł tego białego, zanim zrobią to Yombe! – krzyknął za nim Jimmy.

Morvan uświadomił sobie, że kuropatwą, na którą dziś tu polują, może być Maggie.

Po duchocie chaty noc wydała mu się niemal chłodna. Opustoszała dzielnica. Drobny deszczyk. Czerwone uliczki otoczone lepiankami, deskami i oponami, wąskie jak korytarze w kopalni.

Szedł wzdłuż ścian, mijał ciemne zaułki, trzymając broń w ręku. Po kilku sekundach stracił orientację. Był pewien tylko jednego – zbliżał się do drewnianego dzwonka, który przemieszczał się po tym labiryncie, odzywając się nieregularnie, niepewnie, konwulsyjnie. Twarz Maggie wciąż stała mu przed oczyma.

Skręcił w lewo. Puk, puk, puk. Potem w prawo, gdzie błoto sięgało kostek. Puk, puk, puk. Tamten był kilka uliczek dalej. Im dłużej szedł, tym głębiej był przekonany, że blisko niego przez to błoto brnie królowa Salamander. *Co za idiotka*. Już miał ją zawołać, kiedy rozległy się krzyki, potem gwizdy i potworny świst. Myśliwi przeciągali maczetą po maczecie, jakby je ostrzyli. Poczuł, że to on może stać się zwierzyną…

Nagle drewniana klekotka rozbrzmiała jeszcze bliżej. Grégoire rzucił się w tym kierunku i zauważył sylwetkę skuloną za beczką. Włączył latarkę i popatrzył na zwierzynę: dwudziestopięcioletni chudzielec, długowłosy, ubrany z angielska. Dyszał, ręce miał skrępowane z tyłu, po twarzy spływały mu krew i strugi deszczu, na szyi wisiał duży drewniany dzwonek.

Morvan nigdy nie widział go w Lontano.

– Jak się nazywasz?

– Michel… Michel de Perneke.

Uciekinier szeptem wyrzucał z siebie strumień niezrozumiałych słów. Był spanikowany, prosił, żeby go zabrać, żeby go ocalić. Morvan najpierw go przeszukał – w podszewce marynarki znalazł tabletki, małe bibułki, szare ostrza – może kawałki grafitu do ołówka. Amfetamina, ketamina… Dopadł dilera, którego szukał od tygodnia. Zaopatrującego panienki.

– Skąd to bierzesz? – zapytał, zanim go uwolnił.

Mężczyzna spuścił głowę. Szlochał. Maczety zgrzytały coraz bliżej. Gwizdy rozdzierały noc schnącą po deszczu.

Morvan chwycił go za gardło:

– Jak zdobyłeś te prochy?

– Błagam, niech mnie pan uwolni!

– Gadaj.

– Ja… sam je robię. Jestem psychiatrą.

– Gdzie?

– W klinice Stanleya. Dorabiam do pensji. Sprzedaję to przez czarnych i…

Rozwiązał go i pomógł stanąć na drżące nogi. Potem pobiegli uliczkami Soso. Morvan oddał kilka strzałów, żeby powściągnąć zapał myśliwych. Nikt nie ripostował – najwyraźniej mieli broń białą.

Kiedy znaleźli się w bezpiecznej odległości, na pirodze, którą przeprawił się na ten brzeg, Morvan zaczął przesłuchiwać podejrzanego. Lekarzyna urządził sobie laboratorium w podziemiach kliniki dla białych w Lontano. Co tydzień dostarczał towar do Soso, mimo „wydarzeń”, i pobierał pokaźną marżę od anonimowych handlarzy.

Gliniarz zastanawiał się, jaka jest szansa, by ten psychiatra był Człowiekiem Gwoździem. Niezbyt belgijski, zbyt strachliwy, nie dość szalony.

– Jak… mogę się panu odwdzięczyć? – zapytał Perneke, kiedy znaleźli się na „białym” brzegu.

– Lecząc mnie po cichu.

W tym momencie pomysł wydawał mu się dobry – Grégoire wciąż miewał napady paraliżującego lęku, straszne halucynacje, napady niekontrolowanej agresji.

W rzeczywistości tej nocy podjął najgorszą decyzję życia.

Michel de Perneke – prawdziwy wysłaniec piekieł.

33

– Ciascuno pensi ed operi a suo talento: e anche la morte non mancherà di fare a suo modo.

„Niechaj każdy myśli i działa zgodnie z własną wolą: śmierć nie omieszka postąpić tak samo”. Loïc rozpoznał słowa Giacomo Leopardiego, poety z Recanati. Teraz to jeden z dyrektorów Montefioriego, można rzec „pułkownik”, mówił, stojąc przy pulpicie obok rodzinnego grobowca.

Mężczyzna zaczął mowę od tego cytatu, by przypomnieć, że zmarły przez całe życie był „człowiekiem wolnym”, przez co należało rozumieć, że działał, lekceważąc moralność, prawo, człowieczeństwo i wiele innych wartości, które uniemożliwiłyby mu pokonanie innych, wszystkich innych. Wielki Giovanni zawsze uważał, że stoi ponad prawem. Loïc znał dzieło Leopardiego. Paradoksem było, że ktoś przytaczał słowa tego uosobienia dobroci i wrażliwości w takim kontekście. Można było uznać to także za podstępne zawłaszczenie intelektualne. Cóż jednak znaczyło jedno kłamstwo więcej, skoro wygłaszano je nad otwartym grobem.

Godzinna msza w bazylice San Miniato al Monte znacznie osłabiła zaangażowanie zgromadzonych. Po nabożeństwie trzeba było bić się z dziennikarzami, żeby dotrzeć do samochodów. W dniu pogrzebu na pierwszych stronach gazet pojawiły się sprzeczne informacje, najbardziej absurdalne hipotezy na temat śmierci Kondotiera. Nie wypowiedziała się ani rodzina zmarłego, ani policja.

I nie bez powodu – po prostu nikt nic nie wiedział.

Mimo fatalnego samopoczucia (opuchniętego gardła i infekcji nosa) Loïc podziwiał piękno widowiska. Montefiori kazał wznieść na cmentarzu Allori grobowiec z czarnego marmuru z Golzinne, nadając mu renesansowy styl. Tak jak pragnął, dzięki szlachetności linii przypominał on pierwsze dzieła Brunelleschiego. Złomiarz zawsze uważał się za Medyceusza. Miał spocząć w tym grobie pierwszy: przodkowie hrabiny byli pochowani w krypcie florenckiego pałacu, przodkowie Montefioriego – gdzieś pod płotem.

Zimowe słońce udzielało błogosławieństwa żałobnikom i zmarłemu. Poranne promienie były niczym złociste oleje, którymi namaszcza się czoło chorego, mówiąc: „w imię Pańskie”. Żałobnicy przybyli w ciemnych strojach, co podkreślało podniosły charakter ceremonii i jedność tej grupy osób, których przecież nic wcześniej nie łączyło. U boku starych mafiosów, eleganckich w ten specyficzny, manifestujący bogactwo sposób, stały młodsze od nich o trzydzieści, czterdzieści lat kobiety. Inne pary, te arystokratyczne, prezentowały model bardziej zrównoważony. Loïc z podziwem patrzył zwłaszcza na małżonki, które przekroczyły sześćdziesiątkę – trzymały się swojej roli, potrafiły okazać się niezastąpionymi, a czasem groźnymi, aby dotrwać do końca przy małżonkach. Prawdziwe twardzielki…

Mowy następowały jedna po drugiej. Scena rodzajowa okazałością dorównywała tym ze słynnych obrazów, a włoskie słowa brzmiały jak *Symfonia* Gabrielego. Loïcowi wszystko to wydawało się piękne, nie był jednak obiektywny. Otumaniony środkami nasennymi, spędził popołudnie poprzedniego dnia z dziećmi nad basenem. Ta zwyczajna chwila – dla niego przecież wyjątkowa, bo od wielu miesięcy nie miał ich przy sobie dłużej niż godzinę – uszczęśliwiła go. Ich żywiołowość pokonała ponurą atmosferę domu: siostry Sofii biegające z telefonem przy uchu albo szlochające jak aktorki, cień matki snującej się po ogrodzie, Sofię – zbyt wyniosłą, żeby wiedzieć, jak zachować się w obliczu nieszczęścia.

– *Cosa stai facendo?*

Loïc drgnął.

– Co?

Sofia trąciła go łokciem. Ceremonia dobiegała końca. Trzeba było rzucić różę do grobu. Wziął swoją i wszedł do mauzoleum. Od czarnych murów bił zaskakujący chłód. Ta skromność nie pasowała do Kondotiera. On powinien mieć grobowiec w stylu egipskim – z zabijaniem niewolników, skarbami i freskami na ścianach, które opowiadałyby o jego niezwykłym życiu.

Rzucił kwiat na trumnę i pomyślał o własnym ojcu, tam, w Afryce. Co mu groziło? Czy mordercy jemu również postanowili wyrwać serce?

Kiedy wyszedł na słońce, Sofia, trzymając dzieci za ręce, rozmawiała z wypomadowanym blondynem, który nie pasował do reszty towarzystwa.

Loïc od razu się domyślił, że to policjant. Sofia skinęła, prosząc, żeby podszedł. Widać było, że jest zdenerwowana.

Zaczynają się kłopoty…

34

– Pozwól, że przedstawię ci Massima Sabatiniego, *ispettore superiore*.

Loïc nie pamiętał już, jakiemu stopniowi francuskiej hierarchii odpowiada to stanowisko – kapitanowi czy komendantowi. Z pewnością było jednak wystarczająco wysokie, żeby Sabatini prowadził śledztwo w sprawie kryminalnej. Mężczyzna potwierdził, że zajmuje się sprawą. Czterdziestolatek o jasnych, lśniących włosach był jakby odbarwiony, co cechuje część Włochów z północy, bliższych Niemcom.

Sofia powierzyła opiekę nad Millą i Lorenzem jednej ze swoich sióstr i wróciła do mężczyzn.

– Pan Sabatini chciałby z nami porozmawiać.

– Ze mną też? – zapytał Loïc, udając zdziwienie.

– To nie potrwa długo – odparł policjant, skłaniając głowę.

Żałobnicy kierowali się już do bramy cmentarza. Za ogrodzeniem błyskały flesze. Inspektor wskazał zacienioną aleję biegnącą w przeciwną stronę. Rodzina Montefiorich wydawała obiad dla pięćdziesięciorga bliskich, Loïc jednak wcale nie spieszył się na to spotkanie.

Szli w milczeniu. Aleje przypominały uliczki Pompei. Czas zastygły w lawie i popiołach. Hieratyczne krzyże, rozrzucone stele, liście szeleszczące na wietrze… Na czystym lazurze nieba drzewa wydawały się niebieskie, a pomniki srebrzyste.

Instytut Medycyny Sądowej i zakład pogrzebowy pobiły rekordy szybkości działania – przewiezienie zwłok, sekcja i wydanie ciała rodzinie odbyły się w niespełna dwie doby.

Milczenie przerwała Sofia.

– Natrafił pan na jakiś trop, *ispettore*?

– Jeszcze nie. Nie mamy żadnych świadków, żadnej wskazówki, nie wiemy także, gdzie pani ojciec został… powiedzmy: napadnięty. Miejsce odnalezienia zwłok nic jeszcze nie znaczy, a nasi technicy są pewni, że zostały przemieszczone.

Sabatini sprawiał wrażenie nieśmiałego i niezdecydowanego. Z tymi natłuszczonymi włosami wyglądał jak wyciśnięta cytryna.

– W tej chwili – podjął niepewnym głosem – mamy ogromne trudności z odtworzeniem planu jego zajęć.

– Mój ojciec był człowiekiem bardzo skrytym.

– A czy pani nie wie, dokąd mógł się udać tego dnia rano?

– Od wielu lat mieszkam we Francji. Niech pan o to zapyta raczej jego żonę albo moje siostry. Pracowały z nim.

– Tak? Świetnie.

Sabatini skłaniał głowę po każdym zdaniu, jakby wciąż przepraszał. Okulary zasłaniały jego jasne brwi, pozbawiając twarz ekspresji. Im dłużej szli, tym wyraźniej Loïc wyczuwał coś innego. Ten facet grał swoją rolę. Stosował strategię w stylu Columbo, żeby uśpić czujność rozmówców.

– Czy w gabinecie miał kalendarz tradycyjny albo elektroniczny? Mam na myśli gabinet w willi Fiesole. Przy nim niczego nie znaleźliśmy, nawet telefonu komórkowego.

– Ojciec nigdy nie używał kalendarzy ani komputerów – odparła spokojnym głosem Sofia. – Zapewne nie wie pan o pewnym szczególe: on nie umiał ani czytać, ani pisać. I zupełnie nie miał pamięci do liczb.

Hrabina perfekcyjnie grała swoją rolę: wyniosła, lodowata, nieprzystępna.

– Wiedziała pani, że miał dwóch ochroniarzy? – podjął inspektor.

– Owszem, dobrze ich znam.

– We wtorek pani ojciec dał im wolne.

– Czasami wolał chodzić na spotkania sam.

Toczyła się gra w kotka i myszkę, a Sofia – niesłusznie, Loïc był już tego pewien – wierzyła, że to ona jest górą.

– Przykro mi, ale jest pani w błędzie.

Pierwszy cios.

– Już to sprawdziliśmy. Po raz pierwszy zdarzyło się, że mu nie towarzyszyli. Od co najmniej dziesięciu lat Giovanni Montefiori nigdzie się bez nich nie ruszał.

Doszli do końca alei. Nie porozumiewając się ze sobą, zgodnie skręcili w prawo. Loïc wyobrażał sobie duchy, wścibskie ogniki krążące między grobami, cieszące się spokojem i przestrzenią.

– Słyszeli państwo o spółce Heemecht?

Loïc podskoczył. Sabatini zwrócił się teraz do nich obojga. Kot nie bawił się z jedną, ale z dwiema myszkami.

– To jedna z firm ojca – przyznała Sofia.

– Jedna z największych – potwierdził policjant. – Przedsiębiorstwo zajmujące się odzyskiwaniem, recyklingiem i przerobem metali. To także spółka przewozowa, handlowa i logistyczna oraz grupa kapitałowa działająca w Luksemburgu. Ma udziały wielu firm międzynarodowych.

Inspektor przytaczał te fakty tonem obojętnym, ale pewnym. Wyprzedził ich o kilka kroków, by móc objąć spojrzeniem oboje, równocześnie idąc.

– Być może nie wie pani, że pani ojcem od kilku lat interesuje się Guardia di Finanza, która prowadzi postępowanie skupiające się głównie na nieco… niejasnych umowach, jakie zawarł z imperium Mediaset, oraz na działaniach korupcyjnych, w które zamieszani są deputowani z Toskanii i Lombardii.

Sofia zatrzymała się. Teraz już rozumiała, że subtelny wstęp miał tylko uśpić jej czujność. Czekało ich – ją i jej męża finansistę – prawdziwe grillowanie. Sabatini wciąż lekko się uśmiechał, jakby nie zdawał sobie sprawy z bulwersującego charakteru przekazanych informacji.

– Jego przesłuchanie było kwestią tygodni – mówił dalej. – Gdyby nie to, że dokonany na nim mord był tak bestialski, najbardziej prawdopodobna wydawałaby się hipoteza samobójstwa.

Sofia sprawiała wrażenie oszołomionej. Loïc i policjant zatrzymali się przy niej. Wszystko było już przygotowane – na cmentarzu mógł stoczyć się ten pojedynek we troje, jak we włoskim westernie.

– Prawdę mówiąc, mam już na biurku pełne dane o jego firmach, podróżach i przemieszczaniu się na terytorium Włoch. Wbrew temu, co się mówi, różne służby policyjne współpracują sprawnie i skutecznie, a w dodatku są bardzo szybkie. Wśród firm, których akcjonariuszem jest Heemecht, figuruje Coltano. Czy ta nazwa coś pani mówi?

– Słyszałam o niej – wycedziła przez zęby. – Powtarzam, że nie zajmuję się interesami ojca.

Nie zamierzała wspominać o tym, co odkryła – właśnie po to, żeby dokonać fuzji własnych udziałów w afrykańskiej spółce, ich ojcowie doprowadzili do małżeństwa swoich dzieci.

– A pan? – zapytał Sabatini, patrząc na Loïca, jakby zapraszał go do udziału w grze.

– Niech pan skończy z pytaniami, na które zna pan odpowiedź – odparł Loïc, który doskonale znał włoski.

– Giovanni Montefiori, podobnie jak pański ojciec, miał znaczne udziały w tej spółce wydobywczej z Konga. Sądzę, że jego śmierć ma związek z tym faktem.

– Dlaczego pan tak uważa?

– Ponieważ Philippe Sese Nseko, dyrektor Coltano w Katandze, został zamordowany dwa miesiące temu w taki sam sposób.

– Mojego ojca mieliby zabić Afrykanie?

To zdanie, które wymknęło się Sofii, zostało wypowiedziane z niesmakiem mogącym świadczyć o rasizmie. Loïc odruchowo ujął ją za rękę, jakby chciał powstrzymać żonę przed zapuszczaniem się na tę ryzykowną ścieżkę.

– Włosi nie muszą uczyć się od żadnej nacji okrucieństwa i bestialstwa – podjął Sabatini – wszystko jednak wskazuje, że to zabójstwo rzeczywiście ma związek z Coltano i z Afryką. Być może chodzi o… radykalne przejęcie kontroli nad spółką.

Sofia nerwowym gestem wyciągnęła z torebki papierosy.

– W tej chwili jestem wyłączną spadkobierczynią tych udziałów – oznajmiła, wyrzuciwszy z płuc kłąb dymu, który wzbił się ku słońcu. – A to oznacza, że mnie też może coś zagrażać.

Policjant rozwiał te obawy machnięciem ręki.

– Nie musi się pani bać. Motywem jest coś innego. W rzeczywistości pani ojciec miał już tylko kilka akcji Coltano.

– Co pan opowiada?

Było już trochę za późno na uświadamianie Sofii, jednak Loïc szepnął:

– Sprzedał wszystko kilka tygodni temu. Wyjaśnię ci to.

– Ja też chciałbym posłuchać tych wyjaśnień.

Loïc cofnął się o krok – Sabatini patrzył mu prosto w oczy.

– Powody tego posunięcia są złożone – wykręcił się. – Trzeba by kilku godzin, żeby…

– Umówmy się.

– Bardzo chętnie – odparł Loïc, starając się nie okazywać zdenerwowania. – Oto mój numer.

Sabatini z zadowoleniem wziął jego wizytówkę. Znów skłaniając głowę, zaproponował, by skręcili w boczną alejkę. Sofia paliła, jakby jej organizm

działał na parę.

– Znają państwo Isidora Kabongo? – rzucił jednym tchem inspektor.

– Nie – odparła poirytowana Sofia. – Kto to taki?

– Pan Kopalń w Kongo-Kinszasie. Wielokrotnie sprawował urząd ministra kopalń, przemysłu wydobywczego i geologii. Obecnie pełni funkcję eksperta rządu Josepha Kabili.

– Nigdy o nim nie słyszałem.

– A generała Trésora Mumbanzę?

– Również nie.

Loïc znał te nazwiska, nie potrafił jednak przypomnieć sobie, co wiązało wspomniane osoby z Morvanem.

– A pułkownika Laurenta Bisingye?

– Może zechciałby pan wyjaśnić nam, o co chodzi? – rzucił.

– To osobistości mające wpływ na eksploatację i handel koltanem w Kongu. Nie znam jeszcze szczegółów, ale jedno jest pewne: Bisingye, który jest prawą ręką Mumbanzy i nowym dyrektorem Coltano, to zbrodniarz wojenny.

– I jego podejrzewa pan o morderstwo? – zapytał Loïc.

– Najpierw trzeba byłoby udowodnić, że przebywał we Włoszech, kiedy doszło do zabójstwa.

Myśli Loïca znów zwróciły się ku ojcu.

– Czy mój ojciec też może być w niebezpieczeństwie?

– Z pewnością zachowuje się nieostrożnie. Z moich informacji wynika, że w tej chwili jest w Kongu.

– To prawda.

– Czy zna pan cel tej podróży?

– Nie. Podobnie jak Giovanni, mój ojciec jest bardzo skryty.

Sabatini znów się uśmiechnął, udając, że podziwia pejzaż: groby, cyprysy, niebo… Jakby nigdy nic poprowadził ich do bramy. Limuzyny, karawany, wozy transmisyjne telewizji – wszystko już zniknęło.

– Tymczasem proszę państwa o nieopuszczanie Florencji.

– Zaczyna mnie pan naprawdę irytować – wybuchnęła nagle Sofia. – Traktuje nas pan jak podejrzanych. Zdaje się pan zapominać, że zamordowano mi ojca!

Loïc stanął przed gliniarzem, blokując mu drogę.

– Czego pan od nas chce?

– Kalendarza Giovanniego Montefiori.

– Przecież powiedzieliśmy, że…

– Mylicie się. Według świadków zapisywał poufne spotkania w kalendarzu, który trzymał w domu. Stworzył prymitywny alfabet, którego używał tylko on, żeby zapisywać fonetycznie nazwy miejsc i osób, z którymi się spotykał.

Loïc nigdy o tym nie słyszał, ale z miny Sofii odgadł, że policjant mówi prawdę. Pomyślał o swoim ojcu, który również lubował się w szyfrach, tajemnicach i całej tej szpiegowskiej robocie. *Pieprzone stare małpy.*…

– Proszę znaleźć ten kalendarz, *signora*, będziemy pani bardzo wdzięczni. Mimo że wobec pani ojca toczą się postępowania urzędów finansowych, nie możemy na razie przeprowadzić rewizji pałacu Fiesole.

– A jeśli go nie znajdziemy?

Sabatini tym razem zgiął się wpół, niczym dworzanin z dawno minionej epoki.

– Śmierć pani ojca nie oznacza zakończenia procedury, której był przedmiotem. Grożące mu oskarżenia spadną na jego małżonkę, a pani matkę – wspólniczkę w interesach, i na pani dwie siostry, które podjęły fatalną decyzję, chcąc przejąć po nim biznes.

Sofia zapaliła kolejnego papierosa. Wciągała dym w porywie bezsilnego gniewu.

– Być może w innych czasach powiązania pani ojca wystarczyłyby, żeby go chronić, ale te czasy minęły – nie ustępował glina. – Włochy się zmieniły, *signora*. Tak w każdym razie chcę myśleć.

Sabatini wreszcie zrzucił maskę: drobnomieszczanin, który podniecał się pracą czyniącego sprawiedliwość, był szczęśliwy, mogąc dopaść arystokratyczną rodzinę florencką powiązaną z klanem parweniuszy z czasów Berlusconiego.

– Daję pani dwadzieścia cztery godziny.

Policjant jeszcze raz zmierzył ich spojrzeniem, a potem odwrócił się na pięcie i minął bramę, nie oglądając się.

Sofia nie ruszyła się z miejsca. Paliła, zagryzając usta. W końcu zerknęli na siebie i natychmiast ożyło to, co łączyło ich przez cała lata. Zamierzali znaleźć notes złomiarza, ale na pewno nie po to, żeby oddać go temu zacietrzewionemu glinie.

35

Ankoro. Cel, który wydawał mu się już nierealny. Jechali całą noc, przechodząc istne katusze. O dwudziestej drugiej, po kolejnej kontroli, ich kierowca zaczął jęczeć. Miał gorączkę, to była jakaś infekcja. Salvo pchnął go nogą i przejął kierownicę. Po godzinie terenówka wpadła do rowu. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, w ciemnościach pojawili się ludzie, którzy pomogli im wydostać się z tarapatów. Ale Erwan znów musiał sięgnąć do pasa. Mimo zmęczenia, mimo ukąszeń, był zafascynowany – czuł, że pod jego stopami bije czerwone serce ziemi.

Salvo był dobrym kierowcą. Choć drogę wytyczały mu tylko reflektory samochodu, oświetlające błoto i liście lepiące się do przedniej szyby, zanurzał się w ciemnościach z niezmąconym spokojem, obojętny na uderzenia, na wstrząsy, i przemieniający je w pokonane kilometry.

Erwan siedział z przodu, przypięty pasem. Kurczowo trzymał się uchwytu nad oknem. Rzucało nim w fotelu jak workiem kartofli. Czasami zapadał w drzemkę, a wtedy broda obijała mu się o tułów, ciało zaś podrygiwało. Był jak umarlak.

Za każdym razem, kiedy zasypiał na dobre, powracał ten sam sen – mieszkał w termitierze jako małżonek królowej, olbrzymiej, przezroczystej. Obejmował ją, tulił, zapładniał, czuł jej ciało wypełnione tysiącami larw, które ożywiały się, gdy ją pieścił. I nagle go uwalniano: biali budowniczowie przybywali z dymiącymi pochodniami. Termity rzucały się do ucieczki. A kiedy wychodził z tej kryjówki ze łzami w oczach, wybawiciele czekali w otoczeniu odartych ze skóry trupów wiszących na drzewach.

O świcie ujrzeli skąpaną w blasku równinę. Potężne zielone ciało przeciągało się w prześcieradłach deszczu. Wszystko lśniło w pierwszych promieniach wchodzącego słońca. Wydawało się, że przez noc rośliny wybujały w górę. Narodziny świata – właśnie to – pod szkarłatnym niebem, które także wyłaniało się z mitologicznych kuźni.

Teraz – w południe – jechali przez Ankoro. Tu nie było żadnych kolorów, tylko rdza dnia i szarość rzeki. Gigantyczne miasto nędzy, w którym element ludzki mieszał się z roślinnym, ciało mieszało się z korą, plastik łączył się z gliniastą glebą.

Salvo zaparkował samochód w garażu, a raczej pod wiatą pilnowaną przez miejscowych.

– Czym się dokładnie zajmujesz? – zapytał Erwan, patrząc na walizkę, którą Banyamulenge zawsze trzymał w zasięgu ręki.

– Już ci mówiłem: importem i eksportem.

– Z jakimi krajami?

– Z tymi, które dają nam różne rzeczy.

– Nie rozumiem.

– Kiedy miłe wysokorozwinięte państwa przysyłają nam paczki, trzeba to jakoś podzielić.

– Chciałeś powiedzieć: rozkraść, a potem sprzedawać.

– Te paczki i tak znikają. Lepiej wziąć sprawy w swoje ręce. Odbieram towar hurtowo i wietrzę magazyn… Przeterminowane leki, buty bez pary, rozklekotane samochody.

– Nie bądź taki skromny, są przecież jeszcze ONZ i organizacje pozarządowe.

Salvo parsknął śmiechem.

– Piękne czasy! Szefie, my jesteśmy mrówkami, a mrówki żywią się okruchami.

– A ta walizka?

Czarny położył na niej rękę, jakby nie chcąc, by Erwan na nią patrzył.

– To inna sprawa – powiedział i, nie dając mu czasu na kolejne pytania, wszedł w tłum sunący ulicą. – Dalej idziemy piechotą.

Z trudem przemierzali miasteczko. Tragarze szli za nimi, wciąż oblegała ich dzieciarnia, uliczni sprzedawcy byli natrętni, kobiety śmiały się, stojąc w drzwiach chat. Im bliżej wody, tym więcej było domów zbudowanych z odpadów. Smród psujących się ryb utrudniał oddychanie.

Ale prawdziwym widowiskiem była rzeka. Brunatnopomarańczowe wody zdawały się nieść rdzawe drobiny metalu i rozżarzone węgle z czasów, których nikt tu już nie pamiętał. Ten pejzaż sprawiał, że czuło się smak żelaza. Na wprost ledwie majaczył drugi brzeg – zielona wstęga niknąca w mgiełce upalnego dnia.

Brodząc po wodzie, szli przez las trzcin i korzeni, aż dostali się na brzeg. Panowało tutaj potworne zamieszanie. Obładowani podróżni z tobołkami na głowach, na plecach i w rękach posuwali się na oślep. Wciśnięte między korzenie stragany oferowały najrozmaitsze towary. Beczułki, baryłki i barki kołysały się u brzegu. Każdy wchodził po kolana do mętnej błotnistej wody, ale nikt nie zwalniał. Trzeba było zdążyć, zanim barka odpłynie.

Erwan potrzebował kilku sekund, żeby zrozumieć to, co widział przez trzciny: dwie połączone barki tworzyły pomost długości około dwustu metrów. Nie było na nich żadnego wyposażenia, tylko ludzie, którzy już się na nie dostali. Z tej odległości można było pomyśleć, że to ogromne wysypisko nad samą wodą albo pływające miasteczko, w którym tysiące osób szykują się już do przeprawy. Na boku tej olbrzymiej deski do prasowania wypisano białą farbą VINTIMILLE.

– Mamy szczęście, są!

Salvo przebijał się przez tłum, torując sobie drogę kijem, którym wywijał jak maczetą w dżungli.

– Pospiesz się, szefie! Musimy zdobyć kajutę w pierwszej klasie!

Erwan przyspieszył kroku, czy raczej zaczął szybciej płynąć, bo brnęli już po pas w wodzie, niosąc torby na głowie. Nie mógł oderwać oczu od ludzkiego mrowia na barkach. Mężczyźni o nagich torsach prężyli mięśnie w słońcu. Praczki, kucając nad miednicami, pochylały się i unosiły. Dzieci łowiły ryby na żyłkę trzymaną w ręku. Zamknięte kozy, świnie i kury wrzeszczały. Namioty, płachty, parasole cisnęły się, zajmując każdy skrawek miejsca. Dymiły kuchenki, bielizna suszyła się na sznurach, zespół muzyczny urządził sobie próbę…

Deska prowadząca na pokład. Erwan rozpychał się łokciami, podążając za swoim przewodnikiem. Ktoś tłukł maniok, ktoś się kłócił. Mocowano skrzynki pod plastikowymi plandekami. Ludzie szukali sobie miejsca między ogromnymi workami, próbowali gdzieś usiąść, obojętni na żar lejący się z nieba.

Salvo wciąż wrzeszczał i pilnował tragarzy. Weszli na drugą barkę. Wszystko działo się z tyłu, jak wyjaśnił Żółta Koszulka. „Vintimille” była pchana, nie holowana.

– Co ją pcha?

– Głupie pytanie: pchacz! Trzy tysiące koni, cztery śruby! Silnik z wozu bojowego ukradziony FAZ!

Erwan w końcu zobaczył ten silnik. Ich kabina znajdowała się na pokładzie. Tragarze podali im bagaż. Spieszyli się, nie chcąc przypadkowo odpłynąć. Erwan zapłacił im i patrzył, jak szybko przebijają się przez tłum, zmierzając na brzeg.

Rozejrzał się wokół. Łódź prowadząca była zwykłą szeroką skorupą, której dziobnicę połączono z pierwszą barką stalowymi linami zamocowanymi na kołowrotach. Na łodzi umieszczono podwyższoną sterówkę, żeby kapitan mógł wszystko ogarnąć spojrzeniem. Pod spodem, w ładowni, warczały silniki. Między tymi dwoma elementami znajdowała się właśnie ich kabina: oddzielona rozgrzaną blachą falistą, cuchnęła ropą. Erwan nie był pewien, czy naprawdę wybrali najlepsze miejsce, bo od dołu czuło się tu drgania „maszynowni", a z góry spadała plwocina kapitana. Jedno przypadło mu do gustu – plandeka rozciągnięta nad ich głowami.

– Masz broń? – zapytał podekscytowany Salvo.

– Tak.

– Nie pokazuj jej. Nie trać zimnej krwi, kuzynie. W przeciwnym razie ci, którzy chcieli cię tylko okraść, będą mieli powód, żeby cię zabić.

Erwan skinął głową, ale nie był w stanie traktować serio tej gadaniny.

– Ale najważniejsze, żebyś nie zapominał o zasadzie, która tu jest podstawowa.

– To znaczy?

– Gdziekolwiek się zatrzymamy, ruszymy dalej najszybciej, jak się da.

Ojciec wyjaśnił mu już tę regułę, Erwan zdawał sobie więc sprawę, że będzie miał niewiele czasu na odnalezienie i przesłuchanie świadków.

– To najwyżej godzina – powtórzył Salvo, unosząc palec i wskazując odległy punkt na rzece. – Tam toczy się wojna. Jeśli zostaniesz na lądzie, umrzesz.

– A… oni wszyscy? Ci, którzy płyną z nami?

– Oni to co innego. Sami podjęli decyzję. Chcą się spotkać z rodzinami, robią tam interesy, znają teren. Ale taki facet jak ty, jeżeli zostanie tam sam, pójdzie na rzeź.

W gorącym powietrzu rozbrzmiał dźwięk trąbki. Ryk barki szykującej się do podniesienia kotwicy.

36

Audrey przez całe przedpołudnie szukała informacji o Katzu i uzyskała takie same rezultaty jak Gaëlle. Psychoanalityk nie istniał. Nie było go w rejestrach urzędu stanu cywilnego. Nie podlegał ubezpieczeniu społecznemu. Nie miał prawa jazdy. Tym bardziej więc nie udało się go znaleźć w spisach lekarzy czy w państwowym rejestrze psychoanalityków. Numery figurujące na jego receptach przypisane były do innego lekarza.

– Na terenie Île-de-France mieszka kilka osób o tym imieniu i nazwisku – dodała policjantka – ale żaden nie ma nic wspólnego z medycyną. Jedyny doktor, lekarz rodzinny Michel Katz, zmarł w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym roku. Miał praktykę w Paryżu, w szóstej dzielnicy.

– A rodzina?

– Żadnej lekarskiej. Ten gość to oszust. Zasięgnęłam języka w sprawie takich oszustw, zdarzają się znacznie częściej, niż nam się wydaje.

Gaëlle przez cały rok leczyła się u fałszywego psychiatry… Poczuła się zhańbiona, niemal zgwałcona. Jak kobieta, która setki razy rozbierała się przed kimś, kto podaje się za ślepca.

Umówiły się w kawiarni przy ulicy Nicolo. Psychiatra o tej porze wychodził na obiad, więc mogłyby go śledzić – przynajmniej Audrey, ponieważ Gaëlle wciąż miała na karku ochroniarzy.

– Aresztujesz go?

– Przyhamuj, słonko, nie tak ostro. Najpierw trzeba mu udowodnić, że prowadzi praktykę lekarską i czerpie z tego dochody.

– Na ścianie budynku jest jego tabliczka.

– Chcesz go oskarżyć o kłamliwą reklamę?

– Płaciłam mu przez rok.

– Ale gotówką, tak?

Gaëlle już czuła piętrzące się przed nią przeszkody, była jednak pewna, że zachowała jakieś wypisane przez niego recepty. Przypomniała sobie też

o poleconym przez Katza specjaliście. Czy to kolejny oszust? Nie zachowała nawet jego danych.

– Przede wszystkim trzeba ustalić, kim naprawdę jest – odparła. – I dlaczego odnowił ze mną kontakt.

– Prawdopodobnie chciał sprawdzić, czy uda mu się wyciągnąć od ciebie więcej pieniędzy.

– Raczej od mojej rodziny…

– To jasne.

Gaëlle milczała. Nic dziwnego, że Audrey sprowadziła tę sprawę do kwestii finansowych, ona jednak czuła, że tu chodzi o coś innego. To jakby… umysłowe podglądactwo. Katz ją sondował, obserwował, analizował. Teraz chciał to robić znowu.

– Posłuchaj – szepnęła policjantka, biorąc ją za rękę. – Ten gość to amator. Dopóki ma do czynienia z pacjentami…

– Chciałaś powiedzieć: z naiwniakami…

– Z osobami słabymi, które nie są dość ostrożne. Z nimi potrafi sobie poradzić, ale kiedy policja dobierze mu się do dupy, to już będzie inna sprawa. Daj mi tydzień, żebym mogła go złapać na gorącym uczynku i oskarżyć o nadużycie zaufania.

– To chyba wykracza poza twoje kompetencje?

– Masz rację – przyznała Audrey. – Jestem z kryminalnej i tu nic nie mogę zrobić. Ale znajdziemy najlepszą metodę ataku, żeby…

– To on.

Katz właśnie wyszedł z budynku. Zapłaciły rachunek i stanęły w progu kawiarni. Plan wyjściowy: Audrey śledzi Katza, Gaëlle najzwyczajniej w świecie wraca do domu ze swoją eskortą.

Ale policjantka nawet nie drgnęła, patrzyła tylko na oddalającego się mężczyznę.

– Co ty wyprawiasz?

– Zmiana planu.

Gaëlle odgadła, co wymyśliła Audrey.

– Zrobiłabyś to?

Audrey uśmiechnęła się do niej. Z rękami w kieszeniach kurtki i torbą myśliwską na ramieniu ruszyła w kierunku budynku, który opuścił psychiatra.

– Bez ceregieli.

Kiedy znalazły się na górze, policjantka wyciągnęła z torby pęk kluczy różnego kształtu i różnej wielkości. Uważnie obejrzała zamek, po czym wybrała odpowiedni model z kolekcji.

– Co to jest?

– *Bump key* – szepnęła, delikatnie wsuwając klucz do cylindra.

W jej ręce pojawił się mały młoteczek. Pewnym ruchem opukała klucz i natychmiast go obróciła, nie natrafiając na opór. Drzwi otworzyły się z lekkim szczękiem. Gaëlle domyśliła się, że policjantka od początku planowała wejść do gabinetu.

– Jak to zrobiłaś?

– To klucz matryca – odpowiedziała Audrey. – Dość trudno to wytłumaczyć, ale załóżmy, że pod wpływem uderzenia jego rowki tworzą na krótko pustkę między zazębieniami w zamku. Wystarczy w tym ułamku sekundy przekręcić klucz, żeby otworzyć dowolny zamek.

Z tą dziewczyną Gaëlle czuła się tak bezpiecznie, jak nigdy przy żadnych ochroniarzach. Na myśl nasuwało jej się tylko jedno określenie: prawdziwa profesjonalistka.

– Nie stój tu. – Audrey bezszelestnie zamknęła drzwi, a potem wsunęła w dziurkę inny klucz. – Gdyby wrócił, nie będzie mógł otworzyć. Dzięki temu zdążymy uciec przez okno.

– Ale będzie wiedział, że ktoś tu był.

– Tym lepiej, straci pewność siebie.

Podała Gaëlle rękawiczki chirurgiczne, które ta bez słowa wciągnęła na ręce, czując mrowienie świadczące o strachu, ale także podnieceniu. Przekroczyły granicę. Teraz nie miały już odwrotu.

– Przeszukam gabinet. Ty sprawdź, co jest obok – poleciła jej Audrey.

Gaëlle nigdy nie zaglądała do drugiego pokoju – może schowka, gdzie Katz trzymał dokumentację, a może pokoju, w którym odpoczywał. Pierwsza myśl okazała się trafna: pomieszczenie o wymiarach dwa metry na trzy obstawione było półkami, na których ułożono w porządku alfabetycznym dokumentację. Wyglądało na to, że Katz miał setki pacjentów.

Nie bardzo wiedząc, czego szukać, postanowiła zacząć od własnej teczki. Z niesmakiem myślała o czytaniu notatek psychoanalityka, obawiając się diagnozy Katza, bo choć był oszustem i nie miał żadnych uprawień, to mogła ona okazać się gorsza, niż Gaëlle się spodziewała.

– Chodź, zobacz! – zawołała zza ściany Audrey.

Siedząc za politurowanym biurkiem, policjantka trzymała otwarty klaser z wsuniętymi w plastikowe teczki wycinkami prasowymi. Wystarczył rzut oka, żeby Gaëlle wszystko zrozumiała. Artykuły i zdjęcia dotyczyły Człowieka Gwoździa z 2012 roku. Wissy Sawirisa, Anne Simoni, Ludovica Pernauda… Audrey przerzucała karty, a myśli obu kobiet podążały wspólnym torem.

Kolejny wielbiciel mordercy fetyszysty. Świr, który podziwiał zabójcę i interesował się siostrą tego, który go tropił.

– I już jesteśmy na moim terenie – szepnęła z satysfakcją policjantka.

Gaëlle milczała. Jej myśli odbijały się od muru osłupienia. Audrey kontynuowała przeszukanie, uniosła skórzaną podkładkę, zerknęła na stos teczek, czytała zapiski na karteczkach. Potem przekartkowała duży notes leżący na rogu biurka.

– Cholera!

Gaëlle wzniosła oczy, gdy policjantka starannie wyrywała dwie kartki – jedną z lipca, drugą z sierpnia. Na każdej był zapisany adres bez nazwiska ani innych wskazówek.

– To adresy Anne Simoni i Ludovica Pernauda – wyjaśniła Audrey.

Gaëlle przeżyła kolejny wstrząs – kilka tygodni przed morderstwami Éric Katz zanotował adresy dwóch ofiar Człowieka Gwoździa. Skąd znał Simoni i Pernauda? Czy był wspólnikiem mordercy? A może sam nim był?

„Nie chwal dnia przed zachodem słońca” – powtarzał zawsze jej ojciec. Innymi słowy, trzeba było odczekać kilka miesięcy od zakończenia śledztwa, żeby mieć pewność, że sprawa została naprawdę zakończona. Odkrycia dzisiejszego dnia potwierdzały słuszność jego słów, nie było już bowiem wątpliwości, że sprawa Człowieka Gwoździa nie dobiegła końca – Éric Katz miał coś wspólnego z wrześniową masakrą, a jednak nikt go nie podejrzewał.

37

Zwinęli obozowisko o czwartej nad ranem i z duszą na ramieniu wyruszyli w dalszą drogę. Tragarze zaklinali się, że co noc słyszą podejrzane odgłosy, kilku zniknęło bez śladu. Morvan narzucał ostre tempo. Tragarze uginali się pod ciężarami, żołnierze brnęli w wysokich butach, w sam raz do prac ogrodniczych, Michel się zataczał i chociaż nałożył na siebie kilka warstw ciuchów pożyczonych od pozostałych członków grupy, wciąż się trząsł.

Grégoire szedł na wyczucie. Mapa okazała się bardzo nieprecyzyjna, wskazówki geologów pozostawiały wiele do życzenia, a on sam musiał odtwarzać topografię w terenie dziewiczym – w buszu nie było żadnych punktów orientacyjnych, żadnych domostw, tylko rozległe połacie zieleniących się wzgórz, między nimi zaś czerwone wstęgi – suche koryta rzek. Teraz nie potrafiłby już nawet o niczym rozmyślać: ani o Montefiorim, ani o Mai Mai, ani o niespodziankach, jakie czekały go w nowych kopalniach. Odsunął na bok nawet syna i jego śledztwo. Szedł krok po kroku, uginając kark pod biblijnym niebem, doprowadzany do obłędu monotonną dwubarwnością: zieleń, czerwień, zieleń, czerwień.

W południe nie widzieli jeszcze śladu kopalni. O trzeciej Morvan był przekonany, że pomylił drogę. O czwartej, kiedy zamierzał już zawrócić, usłyszał dźwięki, które rozpoznałby wśród największej wrzawy: uderzenia młotów o skały, odgłosy rozmów, pomruk generatorów.

Jeszcze jedno wzgórze, a za nim dolina tak podmokła, że można by wziąć ją za jezioro. Wszyscy przyspieszyli – biegiem do mety, ratując życie. I znów zanurzyli się w gęstym lesie. Szli, unosząc głowy, by między pniami ujrzeć w końcu czerwone ściany złóż.

Tymczasem jednak musieli się zmierzyć z pierwszym posterunkiem wojskowym. Na złoża nakładano liczne opłaty i już kilometr czy dwa przed strefą wydobycia zaczynało się pobieranie haraczu. Krzesło, sznurek, pieniądze z ręki do ręki. Rząd domagał się podatku u źródła. Narodowy

Komitet Dróg albo Zarząd Wód i Lasów chciały dostać swoją część. Prefekt regionu pobierał dziesięcinę…

„Celnicy” skrzywili się na widok postury Morvana i kędzierzawej czupryny białego Murzyna. Nikt nigdy go tu nie widział, ale wszyscy na niego czekali. Mimo gorączki, Michel biegł przodem, żeby zapobiec ewentualnym konfliktom. *Mzungu* przybywał do siebie z bronią w ręku i lepiej było go nie denerwować.

Druga rogatka. Tym razem poczęstowano ich kawą, maniokiem i małpim mięsem. Wokół panował duży ruch. Robotnicy wracali do swojej wioski. Inni dopiero tu przybywali. Było to półsenne ożywienie z krańca świata, zbiorowisko pionierów, zapaleńców, biedaków, którzy mieli do wyboru pracę w tym miejscu albo śmierć.

Morvan nie tracił czasu. Był już przecież o krok od swoich kopalń, mógł nareszcie z podziwem spojrzeć na swoje ostatnie dzieło. Stukot młotów przypominał głuche dudnienie, drgania uwięzione w kanopie. Na skraju drogi, pod parasolami, handlarze oferowali karty telefoniczne, klapki wycięte z opon, baterie…

Zerknął na Michela – obaj byli tak samo podnieceni, obaj czuli zawrót głowy. Po kilometrach drogi przez bezludne obszary kilka godzin spędzonych w dobrze znanym świecie, powrót do ludzkiego mrowia, to był istny szok. Zwłaszcza że – Morvan oceniał to po napływie robotników – wydobycie na dobre się już zaczęło. Souza – lokalny zarządca, i Cross – dowódca wojsk, stworzyli podwaliny królestwa.

Szli teraz pod wysokimi, szaro-zielonymi nawisami, depcząc po dywanie zwiędłych iści. Ten pejzaż był łagodny i przejmująco podniosły zarazem. Nagle Morvan ujrzał coś, co wcale mu się nie spodobało: leżące na plecach trupy bez głów, bez stóp i rąk. Z ich ud starannie wycięto mięśnie – dwa kilogramy miękkiego mięsa. Widać było bielące się kości.

– Co to ma znaczyć?

– Przeprowadzę śledztwo.

– Nie życzę sobie takich rzeczy u siebie.

Było powszechnie wiadomo, że uda i łydki są najsmaczniejsze. Jak umarli ci ludzie? Kanibalizm nie był tu ani sposobem na przetrwanie, ani rytuałem animistycznym. Tylko zwyczajem…

Natknęli się na pierwszych górników wychodzących z tunelu. Nadzy do pasa, pokryci czerwonym pyłem, mieli na czołach lampki górnicze (raczej zwykłe latarki przymocowane opaską), dłuta i młoty. Lateryt dostawał im się nawet do oczu, a wyglądali na pijanych albo naćpanych. Morvan zakazał spożycia alkoholu i sięgania po konopie, ale ci ludzie byli oszołomieni ciemnością i koltanem. Pleonazmem byłoby powiedzieć, że stanowili jedność z ziemią – oni po prostu byli ziemią.

Wydał rozkazy – rozładować sprzęt, pilnować broni. Prawdę mówiąc, pragnął zmierzyć się z tą górą bez świadków. Wyszedł z lasu i ogarnął spojrzeniem purpurowe zbocze otwierające się tunelami. Każdego z nich pilnował człowiek z kałasznikowem. Świat troglodytów. W otworach panowało poruszenie, robotnicy uwijali się po stoku i u podnóża góry. Jedni, niosąc na ramieniu worek, zbiegali po wykutych w skale stopniach, inni wspinali się na czworakach, chwytając się krzewów, które zastępowały rampy. Wszystko tonęło w szkarłatnym pyle. Dość było spojrzeć na ten obraz, by poczuć pieczenie oczu i palenie w gardle. Po nieznośnej wilgoci wpadało się w suchy świat skał.

Te tajemnicze kopalnie, których nie było na żadnej mapie, w żadnych rejestrach, należały do Morvana. Stał się panem wojny, wyzyskiwaczem Murzynów. Nie odczuwał z tego powodu ani dumy, ani wyrzutów sumienia. Sprowadziło go tu poczucie obowiązku, gotów był stawić czoło rebeliantom, zawałom ścian, chorobom, żeby zarobić jeszcze kilka milionów, które zapisze w testamencie.

Michel wrócił w towarzystwie rosłego czarnego w T-shircie koszykarza sięgającym mu do kolan. W barach szeroki i kanciasty jak pomnik ku czci zmarłych, o głowie jak kula spłaszczona od góry patelnią, miał duże, wesołe oczy. Souza, architekt katedry. Należał do ludu Luba, walczył w Kolwezi, a potem trafił do Gécamines. W pojedynkę wypełniał obowiązki geologa, inżyniera, intendenta i nadzorcy robotników.

– Szefie! Czekaliśmy na ciebie wczoraj z kolacją!

– Miło cię widzieć, Souza. Świetna robota.

– Kłopot w tym, że mamy niewiele czasu, papciu.

Oczywista aluzja do spodziewanych ataków milicji.

– Ilu górników?

– Około sześciuset.

Jacquot mówił o najwyżej czterystu. Wszystko zaczynało się rozrastać.

– Ciągną tu zewsząd – potwierdził Souza. – Pogłoski obiegły busz. Wkrótce można będzie przekroczyć tysiąc, o ile weźmiemy dzieci i…

– Żadnych dzieci. Ile masz szybów?

– Na razie trzydzieści.

– Czy korytarze są stabilne?

– Pracujemy w pośpiechu – skrzywił się Luba.

Za kilka dni należało spodziewać się pierwszych wypadków. Morvan mógł zażądać umocnienia korytarzy, ale po co? Nikt by go nie posłuchał. Liczył się tylko koltan. Lepiej było zdychać pod zwałami skał i ziemi, próbując zarobić na życie, niż stracić je za nic we własnej wiosce. W Afryce śmierci trzeba nadać sens.

– Daleko się posunęliście?

– Jesteśmy w warstwie podpowierzchniowej.

– Potencjał złóż?

– Bardzo wysoki. To eldorado.

Grégoire uśmiechnął się mimo woli. Jego geolodzy nie pomylili się – czerwona góra stanie się piramidą jego bogactwa. Maggie cytowała Baudelaire’a: „Lepiłem z błota i zrobiłem z niego złoto”. Miała rację. A wszystko zaczynało się raczej marnie. *Afrykański cud*.

– Wydajność?

– Worek dziennie na górnika.

Za pięćdziesiąt kilogramów oczyszczonego minerału można było uzyskać tysiąc euro. Rachunek był prosty: sześćset worków dziennie oznaczało sześćset tysięcy euro, z ewentualnym wahnięciem cen. Po odliczeniu kosztów, tu minimalnych, bo dniówka górnika wynosiła cztery dolary, uzyskiwało się około pięciuset pięćdziesięciu tysięcy euro dziennie. Morvan przywykł już do takich zysków, tym razem jednak prowadził wydobycie wyłącznie dla siebie, więc ta fortuna miała trafić bezpośrednio do jego kieszeni.

A zatem czekał go piękny koniec?

Mógłby patrzeć na ten wspaniały obraz bez końca. Z szybów buchał dym, a zanurzające się w nich sylwetki przypominały potępieńców – na pół gorejących, na pół zwęglonych. Wyżej unosił się pył, zlewając się ze światłem zmierzchu i przechodząc od czerwieni do różu, jakby coś gotowało się w obłokach.

– Co z jedzeniem? – zapytał, wracając do logistyki.

– Mamy kozy, drób, kobiety przy paleniskach. Już obsiano pola. Wkrótce wyrośnie maniok.

Przypomniał sobie okaleczone ciała, obcięte nogi. *Później*.

– Nie ma problemów z solą?

W tym rejonie był to towar importowany i jedna z najprostszych metod przejęcia kopalni polegała na zatruciu transportu. Wszyscy nagle wymierali albo uciekali. Wystarczyło zejść pod ziemię i brać.

– Ludzie Crossa pilnują prowiantu dniem i nocą. Są również próbujący.

– A szpital?

– Mam nadzieję, że przywiozłeś go w bagażach – zaśmiał się Souza.

Morvan miał wystarczająco dużo pigułek i penicyliny, żeby stworzyć pozory. Afrykańska medycyna opiera się niemal wyłącznie na efekcie placebo.

– A prostytutki? – zapytał, żeby przejść do weselszych tematów.

– W drodze.

Jedną ze skrzyń napełnił prezerwatywami – zabraniał picia alkoholu i zażywania narkotyków, ale nie kobiet. Nie da się utrzymać ludzi samymi obietnicami, wiedział o tym już Karol Marks.

Młoty wciąż waliły, krusząc każdą sekundę na setki odprysków. Wciągał powietrze przepełnione pyłem i ogarniało go upojenie. Jeżeli nie będą go nękać Mai Mai, jeżeli nie zaatakują go Tutsi, jeżeli nie zwróci się przeciwko niemu regularna armia, jeżeli ludzie Mumbanzy nie przyjadą, żeby zrabować to, co już wydobyto, jeżeli oprze się chorobom, spiskom, wspomnieniom, jeżeli wreszcie mordercy Nseko i Montefioriego nie uznają, że czas na niego, to owszem, będzie mógł godnie odejść, zostawiając dzieciom schedę.

– A gdzie są worki?

– Pokażę ci.

Ruszyli w stronę górniczej osady – prowizorycznych chat z gałęzi i folii. Od rozdziawionej paszczy ziemi przeszli do ludzkich gąb. Tu wszyscy jedli, pili, rozmawiali, ale brutalnie, jakby w strachu czy we wstydzie. Morvanowi przypomniała się wioska trędowatych z *Ben Hura*, filmu, który pokazywano w klasztornym sierocińcu, gdzie się wychował. Wiedział, że ci czarni uważają się za wybrańców bożych. Przybyli zewsząd, zyskali ochronę Crossa i jego ludzi, a wkrótce powrócą w swoją pustkę bogatsi od innych wieśniaków.

Souza wskazał ogrodzony teren pilnowany przez dwóch ludzi z kałasznikowami przy nodze. Pełno tam było pokrytych pyłem worków. Każdy z nich krył cenny minerał – to, co tu nazywa się koltanem, ale co wcale nim nie jest. Rozwiązał worek i zanurzył rękę w czarnym żwirze. To był właśnie minerał zawierający i tantalit, i kasyteryt, i niob, i cynk, i złoto. Był niezwykle ważny w dzisiejszym świecie, bo umożliwiał rozwój najnowszych technologii. Wszystko zaczynało się od tego: od ciężkiego piasku w jego ręce.

Jacquot potrzebował co najmniej dziesięciu dni na wykarczowanie buszu i przygotowanie drogi. Morvan nie mógł pozwolić, żeby cenny kruszec leżał w takim miejscu.

– Od jutra rana wysyłamy worki przez tragarzy.

– Ale tam nie ma jeszcze samolotu, szefie.

– Załatwię to.

– A jeżeli zostaną zaatakowani w drodze?

– Przyprowadziłem posiłki. Będą mieli eskortę.

Souza kręcił okrągłą głową, nie kryjąc sceptycyzmu.

– Chcesz obejrzeć korytarze?

Morvan spojrzał na otwory w zboczu. Metaliczne odgłosy brzmiały jak rzężenie w płucach gruźlika. Na samą myśl o wejściu w te czarne otchłanie zrobiło mu się niedobrze. Od dzieciństwa, a właściwie na skutek takiego dzieciństwa, cierpiał na klaustrofobię. Nie krył się z tym – przeciwnie, to była jedyna fobia, do której potrafił się przyznać. Nie przerażało go, że znajdzie się w zamknięciu, ale to, z kim się tam znajdzie.

– Nie teraz – odparł. – Utwórz grupy. Chcę, żeby worki wyruszyły przed nocą.

– Szefie, dziś wieczorem nikt nie pójdzie.

– Podwajam stawkę. Do diabła, nie mamy czasu!

38

Dzień płynął jak rzeka. Długi, powolny, monotonny. Na pokładzie wszyscy posnęli, ukołysani mruczeniem silnika. Tylko sondujący stali na dziobie i zanurzali długie tyczki w wodzie, tajemniczymi gestami podając kapitanowi głębokość.

Teraz, przed zmierzchem, zaczynał się ruch: dzieci płakały, bydło meczało, kobiety zajmowały się pracami domowymi. Jedynie mężczyźni pozwalali sobie na wypoczynek nad wodą. Nie wiadomo tylko, po czym odpoczywali.

Erwan obudził się i sprawdzał, czy może się poruszyć, tak bardzo był odrętwiały. Uniósł się pod plandeką i przez szparę zobaczył najpierw tylko tłum na pokładzie. Potem spojrzał na rzekę. Woda zmieniała kolor, ale nie tony: czerwień, ochra, żółty, beżowy, czekoladowy… Kiedy wypłynęli, brzegi rozsunęły się jak zielone kotary, a rzeka stała się tak szeroka i tak olśniewająca jak niebo. Można było poczuć się jak na pełnym morzu. Teraz jednak krajobraz się zmienił. Mijali rozlewiska porośnięte papirusami, które tworzyły pływającą plątaninę korzeni.

Erwan wyobrażał sobie kryjące się tam zwierzęta, rojące się owady, gady pełzające wśród korzeni i lian, tysiące niewidocznych oczu, równie nieruchomych jak sęki czy pąki roślin. Te oczy obserwowały płynących rzeką.

Nagle jednak zauważył coś innego: nagich ludzi, którzy tak dalece zlewali się z łodygami i liśćmi, że można było pomyśleć, że to tylko złudzenie. Jakieś refleksy? Gra świateł? Potrząsnął przewodnikiem, który jeszcze spał, i pokazał mu te cienie.

– Kto to?

Banyamulenge osłonił oczy daszkiem z ręki:

– Nudyści.

Zjawy stały nieruchomo, patrząc na przepływające barki.

– Co to znaczy?

– Uchodźcy. Zabrano im wszystko. Ich wieś spalono. Nie mają dokąd iść. Jedzą muchy, poją się dzięki lianom. Aż w końcu pożre ich jakaś milicja.

Erwan znów spojrzał na brzeg, ale ludzie zniknęli. W tym momencie zmieniło się światło: szkliste, rozedrgane, spowiło rzekę poświatą, jaka bije od akwarium. Gorące powietrze stało się lepkie. Wzniósł oczy i ujrzał czarne chmury, które lada chwila mogły być rozerwane przez błyskawice. Wieczorny deszcz. Zaraz potem zapachy zaczęły prężyć muskuły niczym zapaśnicy, którzy szykują się do walki. Barki zanurzały się w tym zmierzchu jak w cuchnącym bagnie.

Na pokładzie życie toczyło się dalej. Praczki ściągały bieliznę ze sznurów. Żołnierze przetaczali po deskach beczułki. Ktoś wstał, ktoś krzyknął, zajmowano się dobytkiem: dziećmi, kozami, kurami, prosiętami… Erwan w końcu domyślił się, że dopływają do brzegu.

– Tuta – rzucił Salvo. – Pierwszy postój.

Barki sunęły tak blisko brzegów, że trzcina ocierała się o burty, a korzenie trzeszczały pod ciężarem jednostek. Erwan nie wyobrażał sobie, żeby mogły tu przetrwać jakieś istoty poza krokodylami i wężami. Nigdzie nie było widać chat, żadnej wioski.

Kiedy jednak minęli porośnięty wysokimi trawami cypel, pojawił się tłum stojących po kostki w wodzie, podskakujących, rozgadanych, wesołych ludzi. Czekał na nich komitet powitalny.

Salvo potarł odrętwiałe nogi.

– Masz jeszcze trochę kasy do roztrwonienia, *mzungu*?

– Czyżbyś chciał coś mi sprzedać?

– Ten sam towar co zwykle: świadka.

– Przestań ze mnie kpić.

– Wcale nie kpię. W Tuta mieszka *muganga*. Inaczej doktor. Dawno temu pracował w Lontano. Na piątym kilometrze, szefie! W tamtych czasach to było znane miejsce!

Lecznica Catherine Fontany. Znów dopisało mu szczęście.

Zaczęły się manewry przed przybiciem do brzegu. Silnik warczał. Śruby obracały się najpierw w jedną, następnie w drugą stronę, wywołując ostre fale przypływu i odpływu. Na pokładzie nikt nie miał cierpliwości czekać. Ludzie skakali do wody, narażając się na zmiażdżenie przez barki albo nabicie się na wystające korzenie. Potem wchodzili do piróg, które przemykały między zaroślami.

– Naprawdę się tu zatrzyma?

– Trochę dalej jest pomost.

Salvo tulił do siebie walizkę. Był bardzo skupiony. Kłęby dymu. Potworne trzaski. Wreszcie pojawiły się przed nimi zbite deski.

– Jak długo tu zostanie?

– Mówiłem ci: najwyżej godzinę. Kapitan załatwi pieczątki w karcie rejsu i odpływamy.

– Gdzie ten twój lekarz?

– A gdzie forsa?

Erwan wsunął rękę do plecaka, chwycił dziewiątkę i przycisnął lufę do żeber Salvo, nie starając się ukrywać tego gestu.

– Mówiłem, żebyś nie wyjmował broni!

– Powiedziałeś mi też, żebym nie tracił zimnej krwi. Jeżeli nie skończysz z tymi podłymi gierkami, to naprawdę się zdenerwuję. Idziemy do twojego znajomego. A ja zapłacę albo nie, to zależy od rezultatu.

Czarny parsknął śmiechem.

– Jasne, że pójdziemy, wujaszku. Za drzewami, pięćset metrów stąd, jest Tuta. A tam lecznica, którą prowadzi doktor Fuamba. Zaczynał karierę w Lontano w latach siedemdziesiątych.

Kapitan nagle wrzucił wsteczny, co spowodowało upadek setek pasażerów. Erwan zdążył się chwycić i obserwował skupionych na brzegu ludzi oraz roje much. Byli tylko trochę bardziej przyodziani od nudystów. Nadzy od pasa w górę, z nogami w błocie, machali rękami pasażerom, obsłudze, a zwłaszcza jemu, bo biały na barce zapowiadał wyjątkowe zyski.

– *Let's go!* – krzyknął nagle dwujęzyczny Salvo.

Wpadli w tłum, a Salvo odpychał tych, którzy napierali, chcąc wsiąść. Erwan uczepił się jego ramienia i dreptał, nie wiedząc, po czym depcze. Po chwili, prawie wisząc na przewodniku, znalazł się na lądzie, choć w rzeczywistości było to szkarłatne bagno, następnie wśliznął się między dęby, które przypominały olbrzymie, krwiożercze okręty. Wszyscy brnęli po grzęzawisku, mijając się, przecinając sobie drogę, popychając się przy ścianach miękkiej trawy.

A wszystko to było tak piękne, że chciało się krzyczeć: ozdoby kobiet, ich lśniąca, czarna skóra, rozedrgana roślinność… Ale zbyt dużo szczegółów przypominało o walce. Zwłaszcza twarze nosiły piętno wojny –

kobiety z tobołkami na głowie, dziećmi na plecach, płóciennymi torbami w rękach, były uosobieniem tragedii bez wyjścia.

– Zaraz będziemy na suchej ziemi – uprzedził Salvo. – Jeszcze pięć minut.

Erwan spojrzał na zegarek – upłynęło już dziesięć minut. Szybko policzył: kwadrans na powrót, pół godziny na rozmowę z lekarzem. Zapowiadało się najszybsze przesłuchanie w jego karierze.

39

Lecznica doktora Fuamby była już oblężona przez tłum mężczyzn i kobiet – awanturujących się, rozpychających, pukających do drzwi, uczepionych okien. O wejściu nie było mowy.

– Co tu się dzieje?

– Chcą dostać leki, zanim odpłyniemy.

– Zabierajmy się stąd, nie zdążę go o nic zapytać.

– Chyba że dasz mi sto dolarów.

Nauczka dla białego – nie igraj z Afryką. Dał banknoty przewodnikowi. Salvo, wciąż trzymający pod pachą walizkę, gwizdnął na palcach. Pielęgniarze, którzy pełnili teraz służbę porządkowych, utorowali im drogę. W ciągu kilku sekund Erwan i Salvo znaleźli się w budynku.

Wnętrze lecznicy nieznacznie różniło się od otoczenia zewnętrznego – cementowe ściany były pokryte grzybem i mchem, podłogę zastępowało gliniane klepisko, cuchnęło stęchlizną. Na szczęście Anatole Fuamba należał do osób żywiołowych. Od razu zrozumiał, co sprowadza do niego *mzungu*, i nie próbował go wykorzystać, żeby coś zarobić. Jednak najpierw zwrócił się w suahili do Salvo.

– O co chodzi? – zapytał Erwan.

– To nie ma z tobą nic wspólnego.

– Mimo wszystko powiedz.

– Pyta, czy widziałem na pokładzie skrzynki z penicyliną. Czeka na nią już pół roku. Powiedziałem mu, że musi jeszcze trochę poczekać.

Erwan przysunął sobie krzesło i usiadł na wprost biurka Fuamby – szkolnego i małego, uginającego się pod stosem papierów. Nie musiał powtarzać pytania.

– Doskonale pamiętam Catherine – doktor zwrócił się do niego, równocześnie czytając kartę choroby, którą podpisał zamaszystym ruchem. – Nazywaliśmy ją Francuzką.

– A czy pamięta pan jej chłopaka, policjanta, który prowadził śledztwo w sprawie Człowieka Gwoździa?

Kolejna karta i kolejny podpis.

– Grégoire’a? Ależ doskonale go znałem! Wysoki, dobrze zbudowany chłopak! Podobny do pana.

– To mój ojciec.

Fuamba powątpiewająco uniósł brwi. Niski, szeroki w barach, o siwych, kędzierzawych włosach, nosił duże okulary, jakby wybierał się na przejażdżkę motocyklem albo inną szybką maszyną. Miał na sobie biały fartuch poplamiony na czerwono, a na szyi stetoskop – typowy uniform lekarza, w jakim pojawiał się od półwiecza. Nie przerywając rozmowy, przeglądał zawilgoconą dokumentację.

– Grégoire – powtórzył w zadumie. – Miał problemy z Cathy…

– Jakiego rodzaju problemy?

Lekarz spojrzał na niego znad szkieł:

– Bił ją. Całe ręce miała w siniakach.

Demony Morvana gnębiły go już wtedy.

– Dlaczego od niego nie odeszła?

– Historia tych dwojga sięga odległych czasów.

Cofnięcie w czasie.

– Chwileczkę… Chce pan powiedzieć, że znali się przed tym spotkaniem w Lontano?

– Cathy poprosiła o przeniesienie do Konga, żeby go odnaleźć. Wydaje mi się, że zaręczyli się w Gabonie.

Erwan otrząsnął się ze zdumienia i próbował posklejać to wszystko do kupy. *Przewinąć…* Grégoire zaczynał afrykańskie zesłanie w Libreville i Port-Gentil. Tam poznał Cathy. Potem wyjechał do Lontano, żeby przeprowadzić śledztwo. Narzeczona dołączyła do niego i odciągnęła go od Maggie. Prawda wyglądała więc zupełnie inaczej, niż to sobie wyobrażał na podstawie opowieści ojca: nowe w tym układzie były Salamandry, nie Cathy.

Przez moment zastanawiał się nad śmiercią Cathy, odnosząc się do tych nowych informacji. Motywy, podejrzani, strategie – wszystko wirowało mu przed oczyma. Czy Morvan uderzył ją za mocno? Czy Maggie chciała się pozbyć rywalki? Hipoteza morderstwa poza serią nabierała sensu.

Fuamba zamknął teczkę z papierami i poderwał się z miejsca.

– Proszę ze mną. Muszę zrobić obchód. – Jego śmiech buchnął jak petarda. – Właściwie chciałem powiedzieć: odwiedzić chorych!

Erwan zerknął na zegarek. Został mu już tylko kwadrans. Salvo szedł za nimi, ale było widać, że jest spięty. Rany pacjentów nie pozostawiały złudzeń, poza tym broń stała przecież w zamkniętym na kłódkę, zakratowanym składziku. To był mały arsenał pacjentów.

Ranni zajmowali dwadzieścia łóżek. Upał i duchota były tu nieznośne, a w powietrzu unosiła się woń środków dezynfekujących. Po amputacjach, zakrwawieni, czasem ślepi, z rzadka pojękiwali, na ogół jednak trwali w bezruchu i ciszy. Ich mundury były w strzępach, bandaże brudne. W szpitalu brakowało leków i nie dostawali nawet kroplówek. Dominująca była woń eteru i chloru, jakby leczono tu wyłącznie tymi środkami.

– Czy Catherine – podjął Erwan, idąc za Fuambą – opowiadała panu o swoich… problemach?

– Nie. Ale rozmawiałem z Morvanem. Dłużej tak być nie mogło. On miał… poważne zaburzenia umysłowe. We Francji dawno by go zamknęli!

– Co powiedział?

Muganga przechodził od łóżka do łóżka, unosił opatrunki, patrzył na krzywą temperatury, ściskał ręce – wszyscy mówili do niego „papo”.

– Że się leczy, że psychiatra mu pomoże.

– Psychiatra? W Lontano?

– W klinice Stanleya. Nazywał się Perneke. Michel de Perneke – znów się zaśmiał. – Facet znał wszystkie sekrety białych!

Nigdy nie słyszał tego nazwiska. Czyżby nowy element układanki?

– Proszę opowiedzieć mi o Catherine.

Fuamba osłuchał młodego mężczyznę, który stracił obie nogi. Obnażony tors kaleki, czarny i muskularny, tworzył potworny kontrast z dwoma owiniętymi białym bandażem kikutami. Pochylony nad nim lekarz wsłuchiwał się w rytm jego serca, wykorzystując stetoskop – chyba jedyne narzędzie w walce ze śmiercią. Wyprostował się i uśmiechnął do żołnierza, którego oczy pałały gorączką.

– Doktorze – ponaglał Erwan – bardzo proszę… Czy miała rodzinę?

Fuamba zdawał się mówić do siebie, nagle zasmucony:

– Cathy… Mała Francuzka… Bez rodziny… Sierota.

– A przyjaciele?

Rozłożył ręce, jakby chciał objąć salę, i już jowialnym tonem dodał:

– Oto jej przyjaciele! Spędzała cały swój czas w lecznicy. Wciąż pracowała… Przepraszam…

Wyprzedził ich i wszedł do małej sali obok. Było tam jeszcze więcej ludzi – same kobiety i dziewczynki. Erwan pomyślał o Mounie i jej „centrum pomocy”, a właściwie domu dla rekonwalescentek. Te kobiety zostały niedawno zgwałcone.

Fuamba zatrzymał się przy dziewczynce, która siedziała na gołym materacu. Była skulona, ukrywała twarz w dłoniach. Wydawała się maleńka, a łóżko było w porównaniu z nią jak duża metalowa szalupa. Fuamba chciał sprawdzić jej opatrunek – bandaż osłaniający krocze – ale zrezygnował. Po raz pierwszy na jego twarzy pojawił się bolesny grymas. Erwan zastanawiał się, jak ten człowiek wytrzymuje, ocierając się dzień w dzień o tyle nieszczęść.

– Szefie – szepnął Salvo – musimy iść, barka nie będzie czekała.

Zaledwie pięć minut na zdobycie cennych informacji.

– Czy Cathy – podjął – bała się Grégoire’a?

– Nie. Powtarzała, że chce go ratować… Niepokoiłem się. Złożyłem nawet wizytę temu psychiatrze… W klinice dla białych!

Zaśmiał się, wciskając głowę w ramiona, jakby to wspomnienie było dla niego przykre.

– Co panu powiedział?

– To samo, co Grégoire: że wie, jak go leczyć. Twierdził nawet, że zna źródło cierpień swojego pacjenta.

– Co to było?

Fuamba osłuchiwał teraz nastolatkę, z której twarzy wyzierało szaleństwo. Dziewczyna sprawiała wrażenie zapatrzonej we własne wnętrze, jakby czuła się zamknięta w niewidocznej dla innych klatce.

– Co było tym źródłem, doktorze?

Muganga wzruszył ramionami, nie odpowiadając. W tym samym momencie dobiegł ich dźwięk syreny wzywającej na pokład.

– Wujaszku – ponaglał Salvo – odpłyną bez nas!

– Doktorze, niech pan spróbuje sobie przypomnieć, co powiedział de Perneke?

– Że wie, dlaczego Grégoire bije Cathy… Odkrył jego sekret… Miał dokumentację…

Lekarz uniósł kompres z gazy na podbrzuszu nieprzytomnej pacjentki – na szczęście ta brunatna szmatka osłaniała dość, żeby Erwan nie widział rany. Z ust Fuamby nie znikał lekki uśmiech, choć uważnie wpatrywał się w ranę. On też wyglądał na obłąkanego.

– Co zawierała ta dokumentacja?

Fuamba chyba dopiero teraz przypomniał sobie o obecności Erwana. Wyjął słuchawki z uszu i spojrzał na niego. Teraz nie wydawał się już taki jowialny.

– Niech pan porozmawia z siostrą Hildegardą. Pracowaliśmy wtedy razem.

Nazwisko podane przez Białego Ojca w Lubumbashi…

– Nie ruszyła się z miejsca – szepnął lekarz, na którego twarzy znów zagościł uśmiech. – Jak mawiają Belgowie: „Im starszy kozioł, tym twardsze ma rogi”.

– Wie coś o tej dokumentacji?

– Nie mam pojęcia, ale wtedy zajęła się gabinetem Perneke’a w klinice Stanleya.

– Kiedy wyjechał z Lontano?

– Nie pamiętam. Chyba w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym roku. Wyjechał bez uprzedzenia, zostawiając wszystko na miejscu. Może siostra Hildegarda coś znalazła…

Znów rozbrzmiała syrena.

– Grégoire… – mówił jednym tchem Erwan. – Czy widział go pan po śmierci Cathy?

– Oczywiście.

– Jak się zachowywał?

– Był zdruzgotany. Wydaje mi się, że trafił nawet do szpitala.

– Gdzie? Do kliniki Stanleya?

– Nie wiem.

– Przyszło panu kiedyś na myśl, że to on mógł zabić Cathy i upozorować to tak, żeby zrzucić winę na seryjnego zabójcę?

– Nigdy w życiu!

– Znał pan Maggie?

– Nie. Kto to?

Znów syrena. Erwan odwrócił głowę – Salvo zniknął. Nie był pewien, czy sam znajdzie drogę do brzegu.

– Jeszcze jedno: ma pan może zdjęcie Cathy?

Lekarz westchnął, po raz pierwszy okazując irytację.

– W moim biurze wiszą fotografie w ramkach. Są na nich daty. Proszę wybrać zespół lecznicy na piątym kilometrze. Mała brunetka obok mnie to Cathy. Niech pan zabierze to zdjęcie, mam inne.

– Dziękuję, doktorze.

40

Nie sposób było uchylić się od udziału w obiedzie po ceremonii pogrzebowej. Loïc i Sofia powściągali niecierpliwość, gdy ten dziwny bankiet przedłużał się ponad miarę, łącząc strach i smutek z powrotem do życia: śmiech i apetyt domagały się swoich praw od chwili przekroczenia bramy cmentarza.

Około szesnastej mogli nareszcie podzielić się pracą. Sofia przeszukiwała gabinet ojca, bo znała wszystkie zakamarki w tym pokoju, a Loïc szperał w Internecie, żeby dowiedzieć się jak najwięcej o ludziach wymienionych przez Sabatiniego: Isidorze Kabongo, Trésorze Mumbanzie, Laurencie Bisingye.

Pierwszy był Lubą czystej krwi i pochodził z Katangi. Zaczął od najniższych szczebli drabiny – pracował w kopalniach, potem znalazł się niemal na szczycie, przy Mobutu, kiedy został ministrem kopalni, przemysłu górniczego i geologii. Ten samouk potrafił stać się niezastąpiony i dzięki temu trwał przy kolejnych rządach. Dziś był doradcą Kabili i bez jego zgody nie podejmowano żadnych decyzji w dziedzinie eksploatacji złóż. Czy wiedział o istnieniu tych najnowszych?

Trésor Mumbanza narzucał większe tempo. Również Luba, ale młodszy i bardziej krwiożerczy. Żadnych informacji o jego pochodzeniu i wykształceniu. Jako wojskowy zaistniał w 1996 roku, podczas pierwszej wojny kongijskiej, kiedy James Kabarebe, rwandyjski oficer służący pod rozkazami Paula Kagamé, formował Przymierze Demokratycznych Sił Wyzwolenia Konga, żeby obalić Mobutu. Później Mumbanza poparł Laurenta-Désiré Kabilę, kiedy ten zwrócił się przeciwko Rwandyjczykom i został pułkownikiem. Wrócił do Katangi i organizował tam siły zbrojne. Po 2000 roku awansował do stopnia generała i stłumił konflikt, który rozprzestrzeniał się z Kiwu na północną Katangę. Wtedy powołał milicje, których zadaniem było strzeżenie złóż, zwłaszcza należących do Coltano. W rezultacie po śmierci Philippe’a Sese Nseko zaproponowano mu

stanowisko dyrektora. Przyjął tę ofertę. Czy zabił poprzednika, żeby zająć jego miejsce?

Mumbanzy nie wiązano wprost z żadnymi zbrodniami – Katanga to nie Kiwu ani Ituri – ale jego żołnierze z FARDC, skuteczniejsi od innych, nie byli grzecznymi chłopcami. Bez trudu znalazłoby się wśród nich specjalistów od piły tarczowej, którzy, jeśli nadarzyła się okazja, okazywali się kanibalami.

Dotyczyło to zwłaszcza jego prawej ręki, pułkownika Laurenta Bisingye, który, o dziwo, był Tutsi. Ta postać nie pozostawiała żadnych złudzeń – po tym, jak przez dziesięć lat dowodził słynącymi z wyjątkowego okrucieństwa oddziałami, zaprzedał się temu, kto dawał więcej, najpierw równocześnie w Kiwu i Ituri, następnie w północnej Katandze, gdzie trafił pod dowództwo Mumbanzy. Tutsi wydawał się najlepszym kandydatem do mordów na Nseko i Montefiorim. Znalezione przez Loïca portrety Bisingye mroziły krew w żyłach. Wydłużona twarz naznaczona bliznami po nacięciach, czarne oczy zdradzające mroczne tajemnice jego duszy. Pułkownik był materializacją negatywnych energii.

Loïc przyjrzał się tym trzem gębom i poczuł się, jakby grał w makabryczne cluedo. Kto zamordował Kondotiera? Dlaczego Sabatini wymienił nazwiska tych ludzi? Czy pojawili się w Toskanii? Kto był następny na liście? Morvan Senior? Loïc? Sofia?

Słyszał, że wciąż przeszukuje sąsiedni pokój, i zamierzał do niej iść, kiedy znów dostał drgawek. Zalewając się potem, wszedł do łazienki i zamarł – uginały się pod nim nogi, a tors i ramiona drgały jak w konwulsjach. Załamanie, niewypowiedziana rozpacz zalewały go jak spływająca z kadzi gorąca smoła. Już to znał. W takich chwilach nawet samobójstwo wydawało się cudowne…

– Źle się czujesz?

Sofia stała w progu łazienki. Uświadomił sobie, że wali czołem w lustro jak jakiś wariat ze Świętej Anny. Zanim odpowiedział, odkręcił kran i włożył głowę pod silny strumień zimnej wody.

– Nic mi nie jest – rzucił w końcu, mokry i jakby oszołomiony.

Drżenie wracało. Spojrzał w lustro i nie poznał tej twardej, rozdygotanej twarzy, po której krople wody spływały jak po marmurze. Bez względu na ryzyko będzie musiał doprowadzić to śledztwo do końca. To go ocali – jego, narkomana i tchórza… „Bohater – mawiał ojciec – to ten, który jest

zbyt przerażony, żeby uciec”. Dotąd Loïc zawsze okazywał się facetem z jajami i wiał.

Podszedł do Sofii i zauważył, że trzyma kalendarz.

– Znalazłaś go?

Pochyliła głowę i przewertowała przy nim kartki pokryte znakami podobnymi do symboli z *Kodeksu Hammurabiego*, jednego z pierwszych dokumentów spisanych liczącym niemal cztery tysiące lat pismem klinowym.

– Tato przez całe życie notował terminy takimi pałeczkami i symbolami.

– Potrafisz to rozszyfrować?

– Nie ma potrzeby.

Sofia otworzyła kalendarz na stronach odpowiadających feralnemu wtorkowi – były puste.

– Czyżby nie miał tego dnia żadnych spotkań?

– Powiedziałabym raczej, że zamierzał się spotkać z osobami, których nazwisk nie chciał notować nawet swoimi znaczkami. A planował poświęcić im dużo czasu, cały dzień.

– Powrót do punktu wyjścia?

– Niezupełnie.

Włoszka pokazała mu poprzednią stronę – pełen symboli poniedziałek z dziwnym K w prawym dolnym rogu.

– Nadszedł czas, żebyś poznał Keno.

41

Odkąd Audrey znalazła adresy dwóch ofiar Człowieka Gwoździa w gabinecie Érica Katza, diametralnie zmieniła podejście do sprawy. Początkowo pomagała Gaëlle tak, jakby weszła do pokoiku dziecka, które dręczy koszmar senny, teraz jednak była pewna, że zło wróciło.

Przed opuszczeniem gabinetu sprawdziły jeszcze, czy w archiwum Katza nie ma teczki z nazwiskiem Anne Simoni albo Ludovica Pernauda. Znalazły dokumentację kobiety, ale ani słowa o mężczyźnie. Szukały też innych. Nic na temat Philippe'a Krieslera *alias* Kripo, prawdziwego sprawcy wrześniowych morderstw, tego, który jako dziecko asystował pierwszemu Człowiekowi Gwoździowi w popełnianiu zbrodni i okazał się naśladowcą mistrza po czterdziestu latach w Paryżu. Nie znalazły również nic, co dotyczyłoby Jeana-Patricka di Greco, Iva Lartigues'a, Sébastiena Redlicha czy Josepha Irisuangi – pierwszych podejrzanych w sprawie, którzy poddali się przeszczepowi komórek macierzystych Thierry'ego Pharabota, by stać się mitycznymi zabójcami. A potem zabrały cenne znalezisko i dokładnie zamknęły za sobą drzwi gabinetu psychoanalityka.

Audrey sprawiała wrażenie załamanej: jak ktoś taki zdołał umknąć uwadze ich grupy podczas wrześniowego śledztwa? Analizowali najdrobniejsze szczegóły życia Anne Simoni, a nawet nie podejrzewali, że chodziła na terapię. Z jej dokumentacji nie wynikało nic szczególnego – Anne Simoni, niegdyś karana za udział w napadzie, protegowana Morvana ojca, rozpoczęła psychoanalizę w lutym, jednak nie po to, żeby wyzbyć się perwersyjnych upodobań (fetyszyzmu medycznego), ale żeby pełniej je przeżywać. Jej dziwaczne upodobania z pewnością były następstwem traumatycznej przeszłości, o której trudno jej było nie tylko mówić, ale nawet wewnętrznie rozpoznać jako patologiczną.

O dziwo, z zapisków wynikało, że psychiatra nigdy nie pytał Anne o pierwszego Człowieka Gwoździa, mimo że otaczała kultem tego afrykańskiego mordercę. A przecież powiązania Érica Katza z oboma

seryjnymi mordercami (tym z 1970 roku i tym z września) były już oczywiste. Czy psychiatra wciągnął Anne Simoni w zasadzkę? W jakich okolicznościach zaczął tę terapię? Nie było o tym żadnej wzmianki w jego zapiskach. Jak zdobył adres Ludovica Pernauda?

Audrey postanowiła zastosować maksymalne środki ostrożności – Gaëlle do odwołania nie wolno było wychodzić z domu. Tymczasem policjantka miała wszcząć stosowne procedury, bo teraz Katzowi groziło znacznie więcej niż oskarżenie o oszustwo i nielegalną praktykę medyczną.

Gaëlle czuła, że mimo pozorów spokoju Audrey panikowała. Pod nieobecność Erwana została sama i musiała zmierzyć się ze zdumiewającym zwrotem sytuacji. Czekać na jego powrót? Prowadzić sprawę po cichu? Poinformować przełożonych? Wykluczone: zdobyła te informacje nielegalnie, włamując się do gabinetu Katza.

Na razie obiecała Gaëlle spotkanie i podsumowanie wieczorem. Przez całe popołudnie Gaëlle dumała nad okruchami zagadki, które poznała. Próbowała je poukładać, ale na próżno – zbyt dużo było między nimi luk.

Minęła osiemnasta, a Audrey wciąż się nie odzywała. Gaëlle podeszła do ochroniarzy, którzy siedzieli w przedpokoju. Karl grał w *Candy Crush*, Ortiz, bardziej oryginalny, czytał *To the Finland Station*, jak przystało na intelektualistę…

– Kawy?

Obaj zwrócili na nią oczy. Właściwie nie była to propozycja, bo Gaëlle przeskoczyła już nad ich nogami, żeby dostać się do włoskiego ekspresu do kawy. Przez kilka minut kręciła się, czując na sobie ich zdziwione spojrzenia. Kiedy wróciła z tacą, zaproponowała:

– Chodźmy do sypialni.

Ochroniarze poczuli się nieswojo. Czyżby nagle wróciła dawna Gaëlle, z każdym gotowa się przespać? A może chciała ich napoić zatrutą kawą? Karl i Ortiz czekali, aby napiła się pierwsza, i wtedy nieco się odprężyli.

– Co robicie dziś wieczorem?

Żołnierze popatrzyli na siebie – jeżeli to był żart, to niezbyt zabawny. Gaëlle zdążyła ich już poznać. Mimo swojego fachu i krwi, którą mieli na rękach, nie byli złymi ludźmi. Aż trudno było uwierzyć, że ci poczciwi, niemal naiwni faceci są zdolni do brutalnej przemocy i czynów, jakich zapewne dopuszczali się w Afryce i na Bliskim Wschodzie.

– W takim razie mam pomysł – powiedziała, głośno odstawiając filiżankę na stolik. – Wyjdziemy we trójkę.

– Ale…

– Mam wam przypomnieć, na czym polega wasza praca?

– Audrey powiedziała nam, że…

– A czy to Audrey wam płaci? Wydaje mi się, że raczej mój ojciec, a on kazał wam chodzić za mną. *Andiamo?* Zaczynamy od ulicy Nicolo.

42

Dla ludzi władzy, takich jak Kondotier, pozostająca w cieniu kochanka to niemal nieodzowna część inwentarza, trybik mechanizmu. Wyjątek stanowił tu Morvan, ale on to co innego. W samochodzie Sofia powiedziała Loïcowi tylko kilka słów o tej tajemniczej kobiecie, o której nie wolno było wspominać. To był najpilniej strzeżony sekret rodziny Montefiorich, o czym świadczy fakt, że Loïc nigdy wcześniej o tym nie słyszał.

Keno, czyli Andrea Buscemi, była prawdziwą żoną Montefioriego. Nie była ani sekretarką, którą przeleciał szef, ani utrzymanką, której po cichu zapewniał wygodne życie. Ceniona dziennikarka „Corriere della Sera", relacjonowała wiele konfliktów, zwłaszcza na Bliskim Wschodzie, i wciąż jeszcze należała do grona najlepszych. Nigdy nie wyszła za mąż, nie miała dzieci, choć trudno było uwierzyć, by przez całe życie czekała na Kondotiera.

Sofia mówiła o niej bardzo powściągliwie. Nie ze względu na matkę, bo szokowało ją raczej, że Montefiori mógł dzielić życie z hrabiną, ale tak, jakby ogarniał ją żal, ponieważ ojciec przegapił coś ważnego, nie potrafił pójść drogą, która się przed nim otworzyła.

Zaparkowała przy Piazza della Repubblica w dzielnicy Santa Maria Novella. Stamtąd ruszyli Via degli Strozzi i skręcili w prawo, by zapuścić się w labirynt uliczek. Wieczór nie był ciepły – zapadająca noc ściągnęła na miasto kamienny chłód. Loïc czuł się u boku Sofii nieswojo: szli w milczeniu pośród tych zaklętych w kamieniu stuleci, tak jak kiedyś, gdy robili to często, jednak teraz dzielił ich mur żalu i goryczy. Dwa miesiące temu Włoszka go szantażowała, a on z rozkoszą wypchnąłby ją przez okno. Do diabła, co robili tu razem?!

– To tu.

Bez wahania wprowadziła kod.

– Ty… dobrze ją znasz? – zapytał, kiedy szli po schodach.

Sofia nie odpowiedziała – pięła się po nierówno ociosanych stopniach, ostrożnie stawiając stopy, a jej twarz niknęła w ciemnościach. Stare lampy rzucały na ściany klatki cienie w kształcie kwiatów i gwiazd.

Przed drzwiami obciągnęła płaszcz i poprawiła torebkę, jakby ubiegała się o pracę lub szła na rozmowę do dyrektora szkoły swoich dzieci. Loïc obserwował ją kątem oka – miała w sobie coś z włoskiej madonny, ale także z azjatyckiego posągu. Ten synkretyzm kojarzył mu się z greko-buddyjskimi rzeźbami Gandhary. Nigdy jeszcze nie widział jej tak wystraszonej.

– Znasz ją czy nie? – zapytał lekko zirytowany.

Zadzwoniła, a potem na jej twarzy pojawił się ten wyniosły, czarujący uśmiech, który przypominał o jej arystokratycznym pochodzeniu.

– To moja matka chrzestna.

Zanim zdążył o cokolwiek zapytać, otworzyły się drzwi.

– *Sofia? Mia cara…*

43

Loïc wszedł do holu, a obie panie padły sobie w ramiona, wzruszone i zadowolone z tego spotkania. Nikt nie zwracał na niego uwagi, mógł więc przyjrzeć się Andrei – niska, drobna sześćdziesięciolatka, miała szczupłą twarz w stylu Modiglianiego, duże owalne oczy, subtelny nos i kształtne usta, wyrażające łagodność, a zarazem niemal okrutną namiętność. Rysy jak z ikony otaczały krótkie perłowosiwe włosy. Uwodzicielski czar Keno prawdopodobnie ujawnił się dość późno. Mimo zmarszczek i suchej skóry jej szlachetne i wdzięczne rysy pozostały wyraziste jak szkic robiony ołówkiem.

Sofia przedstawiła Keno swojego partnera. Kobieta zwróciła się do niego po francusku z chropawym akcentem, który przyprawił go o gęsią skórkę.

– Loïc… – zupełnie naturalnym gestem pogładziła go po głowie. – Mój mały Loïc… Giovanni często o tobie mówił.

Ciekawe, co też mógł jej powiedzieć… Loïc ledwie znał teścia, a jedynym uczuciem, jakie wzbudzał w zięciu, był strach. Keno wprowadziła ich do salonu o surowych ścianach w kolorze ochry, ozdobionego mnóstwem bibelotów z kutego żelaza. W tym wnętrzu było coś twardego, surowego i podniosłego jak atmosfera w kościele.

Usiedli na kanapie, a kiedy pani domu wyszła, by zaparzyć kawę, milczeli. Sofia była wyraźnie wzruszona tą wizytą, Loïc zbyt zdumiony, ponieważ po latach poznawał nagle całe obszary życia byłej żony.

Po chwili Keno wróciła ze srebrną, pokrytą patyną tacą, na której stały trzy porcelanowe filiżanki, i stawiając je przed nimi, zapytała po francusku:

– Pogrzeb był piękny?

– Keno, nie mogłam…

– Wiem, kochanie… – A potem szeptała, jakby do siebie: – *Ogni cosa a suo tempo, ciascuno al suo posto e un posticino per ogni cosa…*

To włoskie zdanie znaczy mniej więcej „wszystko ma swój czas i swoje miejsce” albo „trzeba znać swoje miejsce w szeregu”. Sprawa została

zakończona. Dla kochanki nie było miejsca na uroczystości pogrzebowej.

– Z jego notesu wynika – zaczęła Sofia – że ostatnią noc spędził z tobą.

Andrea uśmiechnęła się. Jej ból skulił się na dnie krypty, za zamkniętymi drzwiami.

– Prowadzisz śledztwo?

– Chcielibyśmy tylko zrozumieć…

– Powiesz o tym policji?

– Oczywiście, że nie. Ale w końcu i tak się dowiedzą.

– Twoja matka z pewnością podsunie im tę informację.

W jej głosie nie było nawet nutki wrogości. Sofia nie ponowiła pytania. Jeśli Keno zechce coś powiedzieć, zrobi to z dobrej woli.

Loïc obserwował ją kątem oka: ciemna spódnica, czarny golf, sznur pereł. Żałoba po włosku. Kiedy do niej jechali, zapytał Sofię o pochodzenie przydomka, oznaczającego przecież jedną z gier w kasynach. Kiedyś Giovanni twierdził, że spotykając ją, wygrał los na loterii. Prostota i naiwność tego wyjaśnienia wprawiły go w jeszcze większe zdziwienie – nie poznawał w nim fałszywego, brutalnego złomiarza.

– Tamtej nocy nie spał – powiedziała w końcu półgłosem Keno. – Był niespokojny.

– Wiesz dlaczego?

– Denerwował się spotkaniem, które miał następnego dnia.

– Z kim?

– Nie mam pojęcia. Nigdy nie rozmawialiśmy o jego interesach.

– Mówił ci o wszystkim.

Keno uśmiechnęła się jak tajemnicza pytia, na której wyroki wszyscy czekają.

– Czy mówi pani coś nazwisko Isidore Kabongo? – pozwolił sobie wtrącić Loïc.

– Nie.

– A Trésor Mumbanza?

– Też nie.

– Laurent Bisingye?

– Nigdy o nich nie słyszałam. To Afrykanie?

– Tak, Kongijczycy.

– Podejrzenia policji wiążą się z tamtejszymi interesami taty – włączyła się Sofia.

Keno wolno kiwała głową, wpatrując się w filiżankę. Można było odnieść wrażenie, że niezbyt ją to interesuje.

– Wiesz przynajmniej, gdzie był umówiony?

– Niestety, nie.

– Wiedziała pani, że sprzedał wszystkie akcje Coltano? – spróbował jeszcze Loïc.

– Tak. Giovanni był zmęczony… – odparła, machając ręką.

– Sądzi pani, że zamierzał odkupić te udziały?

Z rozczuleniem spojrzała na Sofię.

– Jak zawsze, zrobiłby wszystko, żeby chronić ciebie i twoje siostry.

Zapadła cisza. Loïc nagle zadał sobie pytanie, co Kondotier zostawił Keno. Przez lata pracy widział wielu mężów, którzy w testamencie nawet nie wspomnieli o kochance, jakby się bali awantury na tamtym świecie.

– Nie wierzył już w afrykański koltan – szepnęła w końcu Keno. – Media oskarżały Heemecht o finansowanie wojny w Kongu. Duże firmy i tak zaczęłyby zaopatrywać się gdzie indziej. Nawet Chińczycy uważali już, że sytuacja staje się zbyt skomplikowana.

Ujawniła swoją prawdziwą pozycję jedynej osoby, której – jak utrzymywała Sofia – Montefiori mówił o swoich interesach. Dziennikarka specjalizująca się w konfliktach międzynarodowych rozumiała problemy rynków wschodzących i wiedziała, jak krucha bywa równowaga gospodarcza świata.

– Czy wspomniał o nowych złożach w północnej Katandze? – podjął Loïc, uznając, że kobieta i tak zna wszystkie ich sekrety.

– Podchodził do tego sceptycznie. Uważał, że twój ojciec myli marzenia z rzeczywistością.

– Jednak wspierał jego działania.

– Jako przyjaciel.

Sofia tym razem nie kryła już zniecierpliwienia.

– Keno, powiedz, z kim tato spotkał się we wtorek?

– Nie znam nazwisk. Jacyś ważni ludzie powiązani z Kongiem.

Byli małżonkowie spojrzeli na siebie – nic już nie rozumieli.

– Przed chwilą powiedziała pani, że koltan już go nie interesował… – zauważył Loïc.

– Zaangażował się w inny biznes – westchnęła Andrea. – Znacznie niebezpieczniejszy. W tym tkwi ironia całej historii: krytykował twojego

ojca, a sam wybrał jeszcze bardziej ryzykowną drogę.

Loïc przysunął fotel.

– To kasyteryt? Złoto? Diamenty?

Zwróciła na niego szare oczy, uformowane chyba z tego samego metalu co otaczające ją dziwne przedmioty.

– Znasz Kongo-Kinszasę?

– Nie.

– Istnieje tam bardziej dochodowy rynek.

Miał w głowie taką pustkę, jakby to była wydmuszka.

– Naprawdę… nie wiem…

– W kraju ogarniętym wojną, która pochłonęła już życie pięciu milionów ludzi…?

– Ale…

– Broń, *ragazzo*. Giovanni wziął się za handel bronią z Kongijczykami. Właśnie przerzucił dużą dostawę do Katangi.

44

W świetle latarki na czole Erwan przyglądał się twarzy Cathy Fontany. Na zdjęciu grupowym z lutego 1971 roku drobna brunetka stała obok doktora Fuamby. Była jedyną białą. Dwa miesiące później została zamordowana. Erwan pożyczył okulary od pastora, którego zauważył na pokładzie barki. Odpowiednio ustawiając szkła, użył ich jako lupy. Chciał wyczytać coś z tej twarzy. Zgłębić uczucia ojca. Dlaczego ją bił? Dlaczego została zamordowana? Dlaczego Morvan nigdy o niej nie mówił?

To była buzia kotki: oczy jak migdały, drobne usta, gęste, delikatnie zarysowane brwi. Pośród czarnych mężczyzn wydawała się filigranowa i krucha, a krótka fryzura nadawała jej dziewczęcy wygląd. Erwan znał upodobania starego – lubił w kobietach dziewiczość, niewinność, młodość. Cathy miała w sobie wszystko, czego trzeba, by go oczarować: dziewczyna o porcelanowej cerze rozczulała, roztaczała subtelną aurę kłócącą się z myślą o seksie i z pożądaniem. Te wrażenia potęgowało inne, tajemnicze: jakby przed czymś uciekła i wciąż się wymykała. Niczym sen, z którego pamiętamy ledwie okruchy.

Morvan – brutalny facet – miałby stać się mordercą? Maggie byłaby krwiożerczą harpią? Erwan nie zawahał się przed wciągnięciem w ten krąg Perneke’a, psychiatry. Kuracja, jakiej poddawał Grégoire’a, ta dokumentacja, którą prowadził…

Wyłączył latarkę i próbował zasnąć. Wsunął się do płóciennego śpiwora, aby chronić się przed owadami, i oparł się plecami o ściankę. Dotąd czuł w nogach szaleńczy bieg, żeby zdążyć w ostatniej chwili na barkę. Salvo był już na pokładzie – Erwan naruszył zasady, mógł sobie zdychać.

Tego wieczoru Żółta Koszulka zniknął razem ze swoją walizką. Przez cały wieczór podrywał *msichanę* o włosach płaskich jak pinia parasolowa. Kiedy zaśmiewała się, ubrana w czerwoną sukienkę, wyglądała jak kuchenka turystyczna. Salvo był uwodzicielem. Pewnego razu, przed

posterunkiem, zamienił ledwie parę słów z handlarką i to wystarczyło, żeby razem wybrali się w pobliskie zarośla.

Kapitan wyłączył silniki. Może nurt był tu silny, a on chciał zaoszczędzić na paliwie, może wolał płynąć ciszej i dyskretniej. Na pokładzie nie paliły się żadne światła, więc ryzyko, że zostaną zauważeni, właściwie nie istniało. W ciszy sunęli przez ogłuszające ciemności. Irytujące cykanie świerszczy ustąpiło kakofonii żabich głosów, którym wtórował szmer wody, a czasem jakieś pluskania. „Krokodyle – śmiał się Salvo – polują nocą. Lepiej teraz nie wpaść do wody”.

W tej chwili Erwana niepokoiło co innego – na pokładzie krążyły pogłoski o nowej grupie samoobrony Tutsi, która przekroczyła ponoć granicę południowego Kiwu i szykowała się do przeprawy przez Lualabę. Front Wyzwolenia Górnej Katangi, któremu przewodził człowiek zwany Duchem Śmierci, samozwańczy generał cieszący się poważaniem najzacieklejszych dowódców wojennych, zagrażał tym terenom. Szeptano, że grabieżcy zajęli ruiny Lontano i że dotarł do nich potężny transport broni. „Jeżeli to prawda – podsumował Salvo – »Vintimille« w ogóle się tam nie zatrzyma”.

Wszystko miało się wyjaśnić nazajutrz. Tymczasem płynęli w dobrym tempie. Nie doszło do awarii, nie pojawiały się niespodziewane przeszkody, nikt nie utonął. Po przygodach podczas jazdy samochodem Erwan dziwił się, że na wodzie podróż jest tak prosta.

Nagle moskitiera zamocowana z przodu rozchyliła się jak w teatrze kukiełkowym. Salvo wpadł do kabiny. Pod pachą ściskał walizkę, oczy miał przekrwione, skórę zroszoną potem.

– Czy ty się nigdy nie uspokoisz?

– Jestem prawdziwym Afrykaninem!

Chwycił butelkę oczyszczonej wody i wypił ją duszkiem. Sprawiał wrażenie wyblakłego i wymiętego, no i oczywiście pustego.

To był dobry moment, żeby pociągnąć go za język.

– Salvo, mam do ciebie pytanie.

– Słucham, szefie.

– Co jest w tej walizce?

– Tajemnica obronności, szefie.

– Zapuścimy się na niebezpieczne tereny, chcę wiedzieć, z kim, a raczej z czym podróżuję.

Żółta Koszulka spojrzał na niego z ukosa, jakby się zastanawiał, na ile może mu zaufać. W końcu uśmiechnął się przebiegle.

– Nie obawiaj się, szefie, to nasze ubezpieczenie w podróży! – rzucił, wsuwając rękę pod koszulkę.

Wyjął kluczyk zawieszony na łańcuszku. Jak konspirator, najpierw potoczył wokół wzrokiem, potem szybko przekręcił kluczyk w zamku i otworzył walizkę. Była pełna dolarów popakowanych w torebki na mrożonki. Same nowiutkie studolarówki. A oprócz tego majątku kryła Iridium, model podobny do tego, jaki miał on sam, baterię i antenę.

– Ile tego jest? – zapytał osłupiały Erwan.

– Trzysta tysięcy.

– Co chcesz zrobić z takim majątkiem?

– Nie mów tak głośno, szefie. Dostarczam.

– Komu?

– Tutsi.

– Którym?

– Tym z FLHK.

Erwan uświadomił sobie, jak bardzo oszukiwał go dotąd ten czarny.

– Czyli tym, którzy są ponoć w Lontano?

– Naprawdę tam są, szefie.

– I zaopatrzono ich w broń?

– Zaopatrzono.

– Przeprawią się przez rzekę?

– Będą próbowali.

– Jesteś w kontakcie z nimi?

– Biorąc pod uwagę, co dla nich mam, lepiej się kontaktować.

– Masz wyznaczone spotkanie?

– Jeśli Bóg zechce nad nami czuwać.

Salvo miał rację – te pieniądze miały wartość polisy ubezpieczeniowej, mogły jednak stać się przyczyną potwornych problemów.

– I nie jesteś uzbrojony?

– To pieniądze Ducha Śmierci. Nikt ich nie tknie.

Erwan przyłapał się na tym, że kiwa głową – to on musiał nadążać za biegiem wypadków.

– Właściwie co to za pieniądze?

– Lepiej, żebyś nie wiedział, szefie.

– Zapłata za koltan?

– Albo za kasyteryt. Albo za złoto. Tutsi prowadzą wydobycie w wielu kopalniach. Oni dostarczają różne materiały do Lubum, ja płacę.

Właściwie nic mi do tego. Erwan ułożył się na workach i wsunął ręce pod głowę. Prawdę mówiąc, to, czego dowiedział się o walizce, było dobrą nowiną. Był pewien, że z tym towarem pokona ostatnie blokady i dotrze do siostry Hildegardy.

Powrót będzie prawdopodobnie trudniejszy.

45

Tutaj ludzie nie zaznawali prawdziwego wytchnienia. Kopalnie funkcjonowały dniem i nocą.

Sowy pracowały bardzo ciężko. Waliły młoty, kamienie się kruszyły, spadały z hukiem w głębi korytarzy, roztrzaskując kościec góry. Nie dało się zmrużyć oka. Morvan zaczynał już tęsknić za najgorszymi koszmarami ze swoich paryskich nocy.

Ich miejsce zajęły napływające wspomnienia, a te były jeszcze gorsze.

Klinika Stanleya, marzec 1971 roku.

– Doktorze, chodzi o te halucynacje… Dłużej tego nie wytrzymam…

– Proszę mi o nich opowiedzieć.

– Rozmawialiśmy o tym wiele razy. Powiedziałem panu, że…

– Zacznijmy od początku.

Leżąc na macie, Grégoire z trudem przełknął ślinę i wybełkotał:

– Widzę jej twarz.

– Jak wygląda?

– To spustoszone piękno. Rysy są wspaniałe, ale ciało pożółkłe, jątrzące się. Twarz jest tak wychudzona, że skóra napina się na kościach policzkowych, a oczodoły są jak studnie.

– To wszystko? Może coś jeszcze zaczerniało to piękno?

Pytania zmuszały do koncentrowania się na kobiecie, do dokładniejszej analizy dokonywanej w najgłębszych zakamarkach mózgu.

– Ma ogoloną głowę. Widać nacięcia, tam gdzie skaleczyła ją golarka.

– Kto ją tak ogolił?

– Ja.

Zamknąwszy oczy, Morvan z trudem chwytał oddech. Myślał o *strong and hard punishment*, „karze ciężkiej i twardej” z krajów anglosaskich XV i XVI wieku: skazanego duszono, przytłaczając ciężkimi kamieniami.

– Co jeszcze pan widzi?

– Doktorze, przecież pan wie.

– Proszę odpowiedzieć.

Wspomnienia przytłaczały mu pierś. Czuł, że skona pod tymi płytami. Pierwsze lata dzieciństwa.

– Swastyka.

– Gdzie?

– Na jej czole.

– Niech pan ją opisze.

– Ale… nie mogę.

Psychiatra czekał w milczeniu. Nie używał kleszczy, nie robił cesarskiego cięcia: ten poród miał odbyć się w bólu. Dwudziestopięcioletni, na pół obłąkany Morvan nigdy nie odgadłby, że w Afryce uzyska jakąkolwiek pomoc… psychologiczną. Od lat cierpiał na halucynacje i napady lękowe. Czarny Kontynent, choć sam był trójwymiarowym delirium, okazał się także remedium.

Uniósł powieki. Wentylator obracał się pod sufitem, cichy i monotonny. W Kongu był to luksus. Zwykle skrzydła poruszały się, potwornie piszcząc, jakby powietrze wyło z bólu, rozcinane ich ostrzami.

– Odkrył pan źródło tych wizji? – podjął Perneke.

– Nie ma takich powodów. Mam je zawsze, ja…

– Ale nasilają się, odkąd jest pan tu, w Lontano.

– Nie tylko. Od przyjazdu do Afryki.

– Czyli nie ma to nic wspólnego z pańskim śledztwem? Z tym mordercą, który stał się pańską obsesją?

– Nie. Jestem pewien, że nie. To ma coś wspólnego z… tą ziemią, tymi ludami.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– Sam nie wiem.

– Zastanawiał się pan nad tym?

– O niczym innym nie myślę.

Zahipnotyzowany ruchem tnących powietrze skrzydeł, poczuł się lepiej. Mówić, oddychać, mówić, oddychać… Wyczołgał się z kamiennej pułapki, oddalił się od twarzy, od krzyża, od skaleczeń na ogolonej głowie…

– Sądzi pan, że te ataki są niebezpieczne?

– Dla mojego mózgu… z pewnością! – próbował zażartować.

Psychiatra wstał, podszedł do pacjenta i pochylił się nad nim.

– Uniki nic panu nie dadzą. Czemu to zagraża? Albo komu?

Kamienie wracały. Dławiący upał w pokoju. Przyspieszony, płytki oddech. I ten głos zawieszony w powietrzu…

– Dla kogo jest to niebezpieczne? – głos stawał się nachalny.

– Dla niej – odparł w końcu, czując się tak, jakby rozciął sobie usta.

– Czyli?

– Dla Catherine.

– Znowu się pan nad nią pastwił?

– Nie lubię tego słowa.

– Czyżby nie przystawało do rzeczywistości?

Kamienie już nie miażdżyły mu klatki piersiowej, ale zapychały gardło, *od środka*.

– Tak, ale…

– Ale co?

– Kiedy do tego dochodzi, nie jestem w normalnym stanie.

– A jak definiuje pan swój normalny stan?

– To czas między atakami. Te zawieszenia broni, kiedy jestem spokojny.

Cisza. Głos rozmyślał. Nie, odwrotnie – dał mu czas na refleksję.

– Czy powiedziałby pan, że te ataki stanowią cząstkę pana samego?

– Należą do strefy cienia, która jest we mnie, do strefy chorej…

– Wie pan, co je wywołuje?

– Nie.

– Proszę się zastanowić.

– Nie mam pojęcia! Po prostu się zdarzają, i tyle.

– Ale to Catherine pada zawsze ich ofiarą.

– Co pan insynuuje?

– Czy nie uważa pan, że to jej obecność wywołuje ataki?

Nie mógł odpowiedzieć ani nawet rozważyć tego pytania. Prawdopodobnie dlatego, że odpowiedź *zawierała się* w pytaniu.

– Uprzedzałem ją… – bełkotał. – Ja… ja nawet zabroniłem jej jechać za mną.

– Czy jest pan dla niej zagrożeniem?

– Moja mroczna strona, demon, który we mnie tkwi…

– Dlaczego powiedział pan „demon”?

– Nie wiem.

– Wspomniał pan, że Człowiek Gwóźdź pragnie zapewnić sobie ochronę przed demonami i dlatego zabija te kobiety.

– Czy to znaczy, że musiałbym kogoś zabić, żeby poczuć się lepiej?

– Każdy potrzebuje swojej katharsis.

Co właściwie radził mu ten świr? Żeby zabił Cathy?

– Niech się pan nad tym zastanowi, Grégoire. Musi pan znaleźć sposób, żeby oswobodzić się od strachu, od gniewu.

– To pan ma mi pomóc! Pan ma mnie wyleczyć!

– Nie, Grégoire. Tylko pan może to zrobić.

Morvan poderwał się z miejsca. De Perneke cofnął się, przerażony. Policjant uśmiechnął się i otarł pot z czoła. W tym momencie najlepszym oczyszczeniem byłoby rozwalić coś w tym kolonialnym gabinecie, zaczynając od gęby młodego belgijskiego lekarza.

Zrobił krok do przodu. Psychiatra znów się cofnął. I nagle świat zawirował przed oczyma Morvana. Promienie słońca przedostające się przez żaluzje, białe ściany, dywan na podłodze. Psychiatra trzymał w rękach zdjęcie niczym krzyż, którym człowiek osłania się przed wampirem. Grégoire w ułamku sekundy rozpoznał twarz kobiety i serce skoczyło mu w piersi tak gwałtownie, jak gorąca łuska wypada z komory.

– Skąd pan ma to zdjęcie?

– To bez znaczenia.

– Catherine.

De Perneke wcisnął się w róg pokoju, ale teraz i on się uśmiechał.

– Dobrze pan wie, że to nie jest Catherine.

Morvan padł na kolana i zalał się łzami.

– Katharsis – podjął psychiatra. – Musi pan przejść katharsis.

Wspomnienie pękło jak cienkie szkło w jego ręce. Wstał i ujrzał swój „dom”: byle jak rozciągnięta plandeka, pod którą ustawiono łóżko polowe, taboret, ekspres do kawy. Góra wciąż dudniła. Głosy robotników wypełniały noc. Morvan płakał gorącymi łzami.

Po omacku znalazł herbatę, którą przygotował mu Kudłacz. Zasada tropików – pić napoje o temperaturze wyższej od temperatury otoczenia. Pobić Afrykę jej własną bronią.

Znów usiadł na polówce i przełknął kilka łyków, ocierając oczy. Katharsis… Tej nocy widział, jak niczym hiena ochłap padliny, wyrywa

z rąk psychiatry fotografię. Ten obłąkaniec, psychiatra… Minęło tyle lat, a nic nie zostało załatwione.

A wszystko to z winy jego syna. Musiał rozgrzebać to gówno, musiał szperać w przeszłości. Jego śledztwo, jego pytania, zaciekłość, z jaką dążył do ekshumowania trupów. Morvan przeczuwał swój kres. Przez czterdzieści lat tańczył na linie, a teraz nagle znów tracił równowagę. *Tym razem na dobre…*

Wypił kolejny łyk i oparzył sobie gardło.

Nie powinien był już nigdy wracać do Afryki.

46

– Tato? Mówi Loïc.

Tylko jego jeszcze mi brakowało. Morvan podał swój numer wszystkim członkom rodziny, ale telefon od Loïca był ostatnim, jakiego się spodziewał.

– Stało się coś?

Usłyszał śmiech syna, ale uważał, że takie powitanie było usprawiedliwione. Dochodziła szósta rano – Morvan prawie nie spał, a już zdążył zjeść porcję manioku na śniadanie.

– Chyba wiesz o Montefiorim?

– Matka do mnie dzwoniła.

– Przyjechałem na jego pogrzeb do Florencji. Sofia mnie o to prosiła.

– Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

– Nie łudź się. I nie dlatego dzwonię.

Oddalił się od kopalni. W korytarzach wciąż waliły młoty. Wszedł w zarośla, które tuż za wykarczowaną polaną stawały się prawdziwą dżunglą. Nawet tu dobiegał głos egzaltowanego księdza, który odmawiał poranną modlitwę:

– Panie, Tobie poświęcamy ten dzień, czuwaj nad nami wszystkimi, obdarz każdego z nas swoim błogosławieństwem!

– Co sądzisz o śmierci Giovanniego? – podjął Loïc.

Nie miał dziś dość polotu, żeby zmyślać kolejne bajki.

– Z pewnością ma coś wspólnego z Coltano, ale nic więcej nie przychodzi mi do głowy.

– Czyżby chcieli wyeliminować głównych akcjonariuszy?

– Nseko nie miał akcji, a Montefiori jeszcze swoich nie odkupił.

– Podejrzewam, że to ma związek z nowymi pokładami.

Morvan też tak sądził, ale nie warto było siać paniki.

– Co mówi włoska policja? – zbył syna.

– Śledztwo prowadzi niejaki Sabatini, znasz go może?

Morvan uśmiechnął się pod nosem. Loïc, który jako trzynastolatek był alkoholikiem, jako siedemnastolatek uzależnił się od heroiny, w wieku dwudziestu pięciu lat przeszedł na buddyzm, a przed trzydziestką został milionerem, wciąż był dzieckiem. Małym chłopcem, który nadal wierzy, że jego ojciec zna wszystkich policjantów na świecie.

– Nie. Co ustalili?

– Nic, ale stawiają na afrykański trop.

Sensacja! Każdy prawdziwy glina skupiłby się najpierw na interesach Montefioriego i przyjrzał się jego ostatnim posunięciom finansowym. Wyprzedaż akcji Coltano przez Heemecht musiała zwrócić uwagę. *Poliziotti* skoncentrowali się na spółce wydobywczej, a potem na brutalnym zabójstwie jej dyrektora w Lubumbashi.

– Pytał mnie o Kabongo – podjął Loïc.

– I co mu powiedziałeś?

– To, co wiedziałem, czyli nic.

– Wymienił inne nazwiska?

– Trésora Mumbanzę. Laurenta Bisingye'a.

Zatem Włosi już zidentyfikowali grube ryby krążące wokół koltanu. Dobry ruch – skupiali się na wpływowych Afrykanach, którzy byli w stanie przyjechać do Florencji, żeby załatwić porachunki.

– Zebrałem informacje – dodał Loïc. – Bisingye mógł go zabić.

Coś takiego – młodszy syn też bawił się w policjanta.

– Giovanniego zabito we wtorek rano? – zapytał Morvan.

– Tak.

– W takim razie to nie on. W poniedziałek rano był ze mną w Lubumbashi.

– W ciągu dwudziestu czterech godzin mógł dotrzeć do Florencji.

– To nie takie proste. Z Lubum trzeba lecieć do Kinszasy, potem złapać lot do Brukseli albo Paryża. Nie wierzę w to.

– Mumbanza mógł wynająć zabójców na miejscu.

Trudno to wykluczyć. Poza tym nie należało się ograniczać do tej trójki. Motyw mogli mieć również Rwandyjczycy. I Hutu. A zresztą, także pozostałe grupy wydobywające w Katandze koltan i inne minerały. Prawdę mówiąc, Grégoire nie wiedział dokładnie, jakie lewe interesy robili Nseko i Montefiori.

– Będę szukał Kongijczyków, którzy przyjechali w tych dniach do Florencji – podjął Loïc.

– Co ty pleciesz? Zostaw to policji.

– Odkąd to wierzysz glinom?

– Wierzę w twoją zdolność do pakowania się w kłopoty. Trzymaj się z daleka od tej sprawy!

Chwila ciszy. A potem, zamiast kontrataku, zmiana tematu:

– Widziałem się z Keno.

– Przyszła na pogrzeb?

– Oczywiście, że nie. Odwiedziłem ją z Sofią. Montefiori spędził u niej ostatnią noc. Keno twierdzi, że nazajutrz miał spotkanie i wyraźnie się go obawiał.

– Z kim?

– Z Kongijczykami albo kimś umoczonym w ich interesy. Nie zna nazwisk.

Morvan przeciskał się przez gęstą roślinność. Dopiero teraz zauważył, że brodzi w ludzkich odchodach – prawdopodobnie była to latryna jego pracowników. Chmary much żarły to gówno, a potem siadały na nim i piły krew z zadrapań na szyi i ramionach.

– Co jeszcze wam powiedziała? – krzyknął, wyskakując z gąszczu.

– Jej zdaniem, zaangażował się w nowy biznes.

– Jaki?

– Handel bronią.

Morvanowi chciało się wyć, nie potrafiłby jednak powiedzieć – ze śmiechu czy z rozpaczy. Fakt, że stary złomiarz dał się wciągnąć w takie machlojki, był niepojęty. Jeszcze w Lontano obaj obiecali sobie, że nigdy nie tkną handlu bronią, bo i tak w wystarczającym stopniu przyczynili się do wzrostu śmiertelności w Kongu i nie powinni pogarszać sytuacji. Tymczasem u schyłku życia florentczyk uległ dawnej żądzy łatwego zysku. W gruncie rzeczy nic dziwnego – Giovanni był mistrzem metalu, dlaczego więc nie pobawić się kulami, działami, rakietami?

– Kogo zaopatrywał?

– Keno nic więcej nie wie, ale właśnie dostarczył towar do Katangi.

Tutsi. Pogłoski się potwierdzały. FLHK było uzbrojone po zęby i to ten stary łotr ich zaopatrywał. W pewnym sensie należało uznać to za dobrą nowinę – koltan schodził na dalszy plan, a zatem Morvanowie też. Nseko,

który miał na sumieniu sporo łajdactw, prawdopodobnie nadzorował transport sprzętu. Pojawiły się jakieś problemy, a zleceniodawcy rozwiązali je po swojemu.

Ale była i druga strona medalu – rzeka lada chwila mogła zamienić się w piekło. Ta rzeka, którą płynął Erwan, prowadząc śledztwo, jakby chodziło o zabójstwo z zazdrości popełnione w Pięknych Dzielnicach Paryża. *Niech to diabli*. Jak długo jeszcze ma podcierać swoim dzieciom tyłki?

Nagle dżungla ukazała mu swoje brzydsze oblicze. Teraz widział w niej pornograficzne piekło. Te kształty, wyziewy, upał. Wszystko zdawało się nabrzmiałe pożądaniem, perliło się odrażającymi wydzielinami. Każde zagłębienie było wilgotne i ciepłe. Lśniące wzgórki, włókniste gruczoły, nabrzmiałe członki…

– Myślisz, że jeden z tych trzech czarnych może być zamieszany w przemyt jako pośrednik albo klient?

Głos Loïca wyrwał go z zadumy. Morvanowi stanęła przed oczyma pociągła twarz Bisingye i uśmiechającego się jak hiena Mumbanzy. Czyżby pogrywali w ten sposób z FLHK? Nie, oni mieli inne ambicje. Koltan, władza nad Katangą.

– Zobaczę, czego zdołam się dowiedzieć – powiedział – ale zabraniam ci się w to mieszać.

– Myślisz, że przyjechali do Florencji negocjować i coś poszło nie tak?

Zdenerwowany Grégoire szukał drogi powrotnej.

– Rozumiesz, co się do ciebie mówi? Bierz tyłek w troki i wracaj z rodziną do Paryża.

– Chciałem…

– Do diabła, rób, co mówię! Przysięgam ci, że i tak mam tu dość własnych kłopotów, a do tego twój brat siedzi mi na głowie, więc chciałbym mieć przynajmniej pewność, że u was wszystko jest w porządku.

– Zaczynamy się pakować – skapitulował Loïc. – Masz zmartwienia przez Erwana?

Zobaczył kopalnię i odetchnął z ulgą. Wolał przytłaczającą atmosferę tego miejsca od rozgrzanego pieca dżungli.

– Panuję nad sytuacją. Wracaj do Paryża. Niczego nie musisz się obawiać.

Loïc wyraźnie się wahał.

– Zastanawiam się…

– Nad czym?

– Ta historia z bronią… nie masz z tym nic wspólnego?

– Loïc – warknął Morvan – jesteś ćpunem i tchórzem. Postaraj się nie robić z siebie także idioty.

47

Karl i Ortiz zachowywali się jak należy. Byli wręcz bardzo uprzejmi. Gaëlle poprosiła, żeby towarzyszyli jej w obserwacji ulicy Nicolo, niczego im nie wyjaśniając. Wszyscy troje czekali przed budynkiem, w którym znajdował się gabinet Érica Katza. Psychiatra wyszedł kwadrans po siódmej wieczorem, przemierzył pieszo aleję Paul-Doumer, potem ulicę de la Tour i zniknął w nowoczesnej kamienicy pod numerem 38. Prawdopodobnie tu mieszkał.

„Czekamy” – postanowiła, wcielając się w rolę herszta bandy. O dziewiątej Ortiz poszedł do chińskiej restauracji po dania na wynos. Kolację zjedli w samochodzie. Nie ruszali się przez całą noc. To była prawdziwa obserwacja, taka, jakie opisywał jej Erwan za dobrych czasów BRI. Gaëlle posłała Karla do budynku, żeby sprawdził nazwiska na skrzynkach na listy. Nie znalazł żadnego Katza. Może wpadł do kogoś na kolację. Może wynajmował mieszkanie pod innym nazwiskiem?

Jedyną sensacją wieczoru była wiadomość odebrana około dziesiątej, ale nie miało to nic wspólnego z Érikiem Katzem. Maggie zadzwoniła do córki, żeby powiedzieć jej coś, o czym wszyscy już wiedzieli: Giovanni Montefiori, ojciec Sofii, został zamordowany. To był bestialski mord, ciało okaleczono, ukradziono narządy wewnętrzne.

Teraz Gaëlle rozumiała już, dlaczego Loïc bez słowa wyjechał przedwczoraj do Włoch. Wciąż jeszcze traktował ją jak małą, wrażliwą siostrzyczkę, która niedawno zmierzyła się z Człowiekiem Gwoździem. Maggie przekazała jej, że dotąd nie zatrzymano sprawców, a włoska policja poruszała się po omacku – ale może i tym razem przed Gaëlle ukrywano wszystko, co mogłoby ją przerazić.

Spotkała włoskiego złomiarza raz czy dwa, a jego śmierć ani ją ziębiła, ani grzała. Współczuła tylko Sofii, swojej dawnej rywalce, dla której ta gwałtowna śmierć musiała być szokiem, tym bardziej że nastąpiła tuż po tym, jak córka poprzysięgła ojcu zemstę.

Dopiero później, już nocą, Gaëlle nagle zaczęła się zastanawiać, czy to morderstwo nie ma choćby pośredniego związku z Człowiekiem Gwoździem i jego krwawym szlakiem. *Nie, to absurd*. Znacznie bardziej prawdopodobne wydawało się, że Montefiori przypłacił życiem jakąś podejrzaną operację finansową w Afryce – kilka miesięcy temu w identyczny sposób zabito w Kongu jednego z dyrektorów Coltano. W końcu postanowiła o tym nie myśleć. *To nie moja sprawa*.

O północy zadzwoniła do niej Audrey, żeby zapytać, co nowego. Gaëlle odparła, że wszystko jest w porządku, i nie wspomniała o swojej wyprawie. Audrey nie miała nic nowego do przekazania, co w pewnym sensie było już informacją. Poszukiwania w aktach stanu cywilnego nie przyniosły żadnych rezultatów. We Francji mieszkało wielu mężczyzn o nazwisku Katz, kilku nosiło imię Éric, ale żaden nie przystawał do profilu pseudopsychoanalityka. Żaden z nieletnich nie nosił imienia Hugo ani Noah, jak jego synowie. Nie powiodły się też poszukiwania małżonki. Nasuwał się tylko jeden wniosek: nie dość, że terapeuta występował pod fałszywym nazwiskiem, to w dodatku wymyślił sobie rodzinę. Kto był na tym zdjęciu z gabinetu?

Gaëlle nie wspomniała o swoim odkryciu nowego adresu Érica Katza. Wolała zaczekać do rana, wyciągnąć coś z dozorczyni i zlokalizować jego mieszkanie w budynku. Może wtedy wezwie Audrey na pomoc i znów się włamią… O pierwszej nad ranem, pod okiem czujnych ochroniarzy, zasnęła. Teraz była już siódma rano i oni spali kamiennym snem. *Brawo, najemnicy!*

Ogarnęła ją ochota, żeby rozprostować nogi, więc bezszelestnie otworzyła drzwiczki. Postanowiła zapalić papierosa, żeby rozbudzić umysł. Na zewnątrz wciąż jeszcze było ciemno i poczuła się jak otulona zimnym, stalowoniebieskim kokonem, przez który niewiele było widać.

Nagle cofnęła się i ukryła w bramie – Katz właśnie wyszedł z domu. Może to okazja, żeby obejrzeć jego mieszkanie? Powściągnęła ciekawość. Pytanie brzmiało raczej, dokąd idzie tak wcześnie rano? Zerknęła na mercedesa: goryle wciąż spali. Bez namysłu ruszyła śladem Katza. I znów w jego smukłej, niepokojącej sylwetce dostrzegła podobieństwo do szpiegów, którzy w powojennym Berlinie snuli się po ulicach.

Przy placu Costa-Rica wsiadł do taksówki. Gaëlle przyspieszyła, dochodząc do postoju, i wsiadła do następnej.

– Proszę jechać za tym samochodem!

Nie przypuszczała, że kiedykolwiek wypowie te słowa. Kierowca wykonał polecenie bez zmrużenia oka – miał za sobą przepracowaną noc, poza tym wiele już widział i słyszał. Gaëlle na wszelki wypadek założyła na głowę czapkę, bo bujne, jasne, niemal białe włosy były zbyt widocznym znakiem charakterystycznym. Potem wcisnęła się w siedzenie. Od czasu do czasu wyciągała szyję, żeby zerknąć na taksówkę przed nimi, nowiutką skodę. Drżała z podniecenia. Oczywiście to był dreszczyk poszukiwaczki przygód, ale po trosze także perwersyjna przyjemność bycia choć raz tą, która szpieguje.

Porte Maillot, dalej obwodnica, kierunek Porte de Clignancourt. Wyobrażała sobie miny swoich ochroniarzy, kiedy obudzą się i stwierdzą, że zniknęła. Ruch na ulicach był płynny, dzień wstawał leniwie, jakby z trudem. Ciężka, zimna szarówka paryskiego ranka, zasnuta mgłą obwodnica, gdzie powietrze przesycały spaliny – wszystko to zdawało się tworzyć tajemniczy szlak, coś na kształt baśniowego lasu, ale wyblakłego i cuchnącego.

Skoda zjechała w kierunku Porte des Lilas.

– Dokąd on jedzie? – zapytał taksówkarz.

– Skąd mam wiedzieć?

Przy placu Maquis-du-Vercors – Gaëlle widziała nazwę na ekranie GPS-u – dużego, otoczonego budynkami ze szkła i z metalu, taksówka skręciła w aleję Faidherbe, a potem zniknęła w plątaninie wąskich uliczek bez nazw. Po chwili jechali wzdłuż ślepego muru z brudnobeżowej blachy falistej. Gaëlle zaczynała się bać, że Katz ich zauważy, bo o tej porze nie było tu żadnych innych samochodów.

Skoda się zatrzymała, a Katz wysiadł i wszedł do kwiaciarni. Dziwne, że była otwarta o tak wczesnej porze…

– Wie pan, gdzie jesteśmy? – zapytała, płacąc kierowcy.

– Przed cmentarzem w Lilas.

Wysiadła. Katz z dużym czerwonym bukietem w ręce wszedł już przez furtę sąsiadującą z małym domkiem z okrągłymi oknami. Jeszcze kilka kroków i Gaëlle ujrzała rozciągające się za murem bezkresne pole grobów i pomników.

Ósma trzydzieści. Została sam na sam z Katzem i tysiącami zmarłych.

W końcu dzień się rozbudził i trudno było niepostrzeżenie śledzić mężczyznę idącego przez cmentarz, zwłaszcza że wokół nie było żywego ducha. Psychoanalityk zatrzymał się przy ciemnym grobowcu, przez chwilę szperał w kieszeni, a potem otworzył kute w żelazie drzwi. Zniknął niczym duch, który przenika przez ściany.

Gaëlle w nasuniętej na czoło czapce podeszła, ukrywając się za najwyższymi nagrobkami. Czekała w odległości pięćdziesięciu metrów. O takim scenariuszu filmu marzyła: poranek, pustka, postać w trenczu, cmentarz… Kto wymyśliłby lepszy? Brakowało tylko, żeby wyszedł z grobowca z walizką w ręce. I już zaczęła snuć różne scenariusze. A może stary Morvan był zamieszany w śmierć bliskich Katza, może Katz chciał zemścić się na jego córce…

Ale wyszedł z pustymi rękami, oddalił się aleją i rozpłynął w zimnym jak marmur powietrzu. Po dziesięciu minutach przemarznięta Gaëlle podeszła do grobowca. Teraz zrobiło jej się gorąco z podniecenia.

Mauzoleum było bryłą o prostych liniach. Nad drzwiami wmurowano tablicę z trzema nazwiskami i datami wypisanymi złotymi literami:

PHILIPPE HUSSENOT 1959–2006

HUGO HUSSENOT 1995–2006

NOAH HUSSENOT 1998–2006

To samo nazwisko, ten sam rok zgonu: dramat rodzinny. Wypadek? Morderstwo? Samobójstwo rozszerzone? Co wiązało Érica Katza z Philippem Hussenotem? Czy psychiatra ponosił winę za tą hekatombę? Może Hussenot był pacjentem, a psychiatra nie dostrzegł głębi jego rozpaczy? Czy to możliwe, żeby Gaëlle miała cokolwiek wspólnego z tym dramatem?

Nagle do głowy przyszła jej inna myśl, dość dziwna: może ci dwaj mężczyźni byli kochankami. I już miała gotową notatkę do rubryki plotkarskiej: Philippe sypiał z Érikiem, żona Érica dowiedziała się o zdradzie i zabiła wszystkich. Nie, to raczej żona sypiała z terapeutą, a mąż zabił potomstwo, żeby się zemścić. Albo… *Uspokój się, Gaëlle, za bardzo się napalasz.*

Sfotografowała tablicę telefonem komórkowym, sprawdziła, czy żelazne drzwi są zamknięte na klucz, a potem odeszła na palcach. Wcisnęła ręce do kieszeni, obiecując sobie, że nie będzie już fantazjować, dopóki nie porozmawia z Audrey.

48

Drugi dzień na Lualabie.

Nic nowego. Erwan już zrozumiał, że podczas tej podróży w nieskończoność powracać będą te same godziny, te same pejzaże, te same wrażenia. Najczęściej otaczał ich niski busz, którego fluorescencyjna zieleń umykała pasami w stronę horyzontu. Czasami pojawiał się las – wysokopienne drzewa, splątane liany, wystające korzenie. Potem znów równiny wypalone przez słońce, tu i ówdzie poprzecinane pasami pustych dróg.

Kiedy podpływali do brzegu, otaczała ich nasiąknięta roślinność, jakby przyczepiona do mętnej wody sznurami z kory. W pniach suchych drzew roiło się od owadów, tuż obok leżały bardziej nieruchome od tych pni krokodyle, czasem porzucone próchniejące pirogi. Gdzieniegdzie widać było opuszczone chaty, które lepiono chyba z gliny i ze źdźbeł, jak ptasie gniazda. Mieszkańców albo usunięto z tego świata, albo ludność sama wymarła. Te tereny były opustoszałe. Magma wymieszana z trawą i błotem. Piekło samotności i zobojętnienia, bez początku i bez końca, bez konturów i bez granic.

Erwan, kiedy naprawdę dopadał go strach, skupiał się na pasażerach. Poznał już niezmienny rytm życia na pokładzie. Rano, po przebudzeniu, zaczynała się bieganina we wszystkie strony, zamęt, który odzwierciedlał podziemny ład – każdy miał tu swoje miejsce, nikt nigdy nie wpadł do wody. Przez resztę dnia wszyscy smażyli się jak boczek na patelni. Przymknąwszy oczy, podróżni nie mieli już nawet siły chronić się przed oślepiającym żarem. Późnym popołudniem życie odzyskiwało swoje prawa i tak było aż do nocy, kiedy wszyscy się uspokajali, bojąc się zwrócić uwagę milicji albo – co gorsza – przyciągnąć duchy.

Ósma rano: nie zaszły żadne zmiany. Erwan postanowił iść do kapitana. Ciemna twarz, oczy jak z fosforu, plątanina zmarszczek i blizn. Ani Tutsi, ani Hutu, ani Luba. Ta twarz nie zdradzała jego pochodzenia. Stał na

podwyższeniu, otoczony mapami rzecznymi, które pamiętały XIX wiek, pod ręką miał też dziennik pokładowy i fetysze. Jeśli wysuwał nos z tej swojej budki, to tylko po to, żeby splunąć przez burtę galaretą czarną jak jego źrenice. Erwan przygotował kilka banknotów, ale zdołał uzyskać zaledwie mglistą obietnicę, że kapitan zrobi, co w jego mocy, żeby zakotwiczyć w Lontano, mimo to w razie jakichkolwiek oznak zagrożenia popłynie prosto do następnego postoju.

Teraz, przy szaro-różowym świetle, Erwan skupił się znowu na zapiskach – plonie nocnych przemyśleń, jednak wciąż coś go rozpraszało. Od świtu jego myśli zwracały się ku Sofii. Nie miał od niej wiadomości od chwili wyjazdu z Paryża, prawdę mówiąc, nie musiał wcale jechać na koniec świata, żeby tracić z nią kontakt, bo już od ponad miesiąca nie widzieli się ani nawet nie słyszeli. Obiecał sobie, że zadzwoni do niej po powrocie. I zaraz potem z przerażeniem zrozumiał, że za tym postanowieniem krył się brak wiary w szanse na powrót do domu.

Potężny huk wyrwał go z zadumy.

Kapitan skierował barki na odnogę rzeki, najprawdopodobniej chcąc ominąć jakąś przeszkodę albo niebezpieczne wiry, i sunęli właśnie tunelem z gałęzi i lian. Szalona gra światłocieni przypominała kalejdoskop, zupełnie jakby ktoś rozbił słońce na tysiąc drobnych iskier migoczących pośród roślinności. Gałęzie zahaczały o burty barki, szorowały po pokładzie, chwytając w swoje szpony ludzi i zwierzęta. Kozy wpadały do wody, a raczej do kakaowej mazi, która natychmiast je wchłaniała. Nikt nie zdążał nawet jęknąć ani użalać się nad sobą. Po chwili „Vintimille” znów pchała barki w oślepiającym świetle poranka. Ludzie siadali tam, gdzie mogli znaleźć jakąkolwiek ochronę przed żarem lejącym się z nieba. Próbowali uniknąć nierównej walki czarnej skóry z rozpalonym do białości słońcem.

Erwan wrócił do swoich rozmyślań, nagle jednak dotarło do niego, że panująca wokół cisza nie jest normalna. Właściwie nie było w tym nic niezwykłego. Zdarza się, że – nie wiedzieć czemu – cały las milknie. Lecz tym razem na pokładzie podniósł się szmer. Wszystkie oczy zwróciły się na prawy brzeg.

Byli tam.

Pośród gęstej roślinności, nad brzegiem rzeki, wojownicy stali nieruchomo jak wartownicy wykuci z kamienia. W rękach trzymali kałasznikowy. Erwan osłonił oczy ręką: po raz pierwszy widział tu

żołnierzy w akcji, nie zaś pijanych albo śpiących przy blokadzie. Ci wyglądali na najwyżej dwudziestolatków. Doskonale zintegrowani z otoczeniem, byli niczym istoty z namorzynowych lasów albo elementy roślinnej układanki.

– To *kadogos*, szefie. Teraz już możemy się tylko pomodlić.

Erwan przeczytał mnóstwo książek i artykułów na temat dzieci-żołnierzy. W Kongu pierwszych werbował Laurent-Désiré Kabila i to właśnie oni później go zgładzili. Podczas drugiej wojny kongijskiej wykorzystywano już powszechnie tych młodziutkich żołnierzy. Milicje porywały dzieciaki z wiosek, zmuszając je do zabijania rodziców, braci i sióstr w ramach chrztu bojowego, a potem wcielali w swoje szeregi. Od rana do wieczora pod wpływem narkotyków i alkoholu chłopcy powtarzali, że nie mają już rodziny poza nim jednym – swoim kałasznikowem. Niepiśmienni, pozbawieni zasad moralnych, dorastali głodni, ogłupiani, przechodząc kolejne etapy dojrzewania przez gwałty i rzezie. A kiedy stawali się mężczyznami, byli niczym żywe trupy, tym bardziej bez miejsca na ziemi, gdy wojna cichła.

Teraz kilku z nich stało po pas w wodzie. Na rękach mieli gumowe rękawice. Erwan uważnie im się przyglądał. Po chwili zrozumiał, że tną maczetami pływające wokół zwłoki.

– Co oni tam robią?

– Wypruwają im flaki – powiedział głuchym głosem Salvo.

– Ale po co?

– Żeby trupy poszły na dno i nie wypływały.

– Kim są ich ofiary?

– Prawdopodobnie mieszkańcy pobliskiej wioski. To ludzie, którym zabrali żony i zbiory.

Wstrząśnięty Erwan wpatrywał się w chłopaków wyrywających narządy z rozpłatanych zwłok. Ich twarze przypominały maski z czarnej skóry. Nawet z tej odległości słychać było płacz dziecka, które pozostało połączone z ciałem ściętej matki.

– Dlaczego tak im zależy, żeby usunąć zwłoki? Co im za różnica?

– Boją się patroli ONZ, które od czasu do czasu przelatują helikopterami nad tą strefą. Jedyne, czego się jeszcze boją, to Haga.

– A dlaczego noszą rękawice?

– Żeby nie zarazić się AIDS.

Zanim doszedł do siebie, barki minęły żołnierzy. Obyło się bez strzału, na szczęście dla pasażerów. Salvo opowiadał mu, że czasami *kadogos* strzelali do barek, żeby trochę poćwiczyć albo dla zabawy, i zakładali się, który trafi.

Erwan spocił się jak mysz, ale zauważył, że jest wyjątkowo parno. Zbierało się na burzę. Pasażerowie już się na to szykowali. Wszyscy ukrywali się pod plandekami. Udało się uniknąć kul, nie mogło się udać uniknąć ulewy. Zagrzmiało, choć niebo wciąż było suche. O dziwo, te grzmoty zdawały się wydobywać z głębi ziemi i rozchodzić jak fala po jej powierzchni przewlekłym drżeniem.

Wszyscy wytężali wzrok, by w końcu zobaczyć w dali, tam, gdzie rzeka niknęła na horyzoncie, błyskawice na czarnym niebie – zapowiedź grzmotów. Odległość rozdzielała te zdarzenia, ale przecież nadal były jednym. Nie burzą, lecz ogniem moździerzy. A strzelali Tutsi, chyba że FARDC postanowili uprzedzić ich atak.

Na potwierdzenie tego, co ujrzał Erwan, skądś dobiegły go odgłosy strzałów z broni maszynowej – krótkie serie, suche jak kostucha, która przebiera palcami, chwytając ofiary rytmicznie, bez brawury. Pasażerowie wpadli w panikę, rzucili się na pokład albo ukryli się za nielicznymi ściankami.

Erwan nawet nie drgnął – już wiedział, że te strzały padają daleko, kilka kilometrów od nich.

– Kto atakuje? – zapytał cicho.

– Nie mam pojęcia, ale możesz sobie wybić z głowy Lontano.

49

– Twój brat mnie uprzedzał. Naprawdę potrafisz zatruć życie.

– Nie mów tak do mnie.

– Jak mogłaś wywinąć mi taki numer? Powiedziałam ci jasno, co masz robić!

Po wyprawie na cmentarz Gaëlle zadzwoniła do Audrey. Ta nie powitała jej zbyt życzliwie. Policjantka natychmiast skontaktowała się z Karlem i z Ortizem, żeby ich uspokoić. W końcu kolegom po fachu należała się ta odrobina lojalności. Potem kazała Gaëlle przyjść do restauracji w pobliżu „36", „Au rendez-vous des camionneurs", na śniadanie. To miejsce – szare poddasze z turkusowymi ławkami – zupełnie nie przypominało barów uczęszczanych przez gliniarzy, ale raczej jadłodajnię dla wegetarian. A na menu Gaëlle złożyła się bura i gorąca kawa.

Gaëlle przeczekała gniew Audrey. Ważniejsze były dla niej rezultaty poszukiwań policjantki, bo zanim dotarła na Pont-Neuf, Audrey miała czas, żeby sprawdzić, kim był Philippe Hussenot.

– Można powiedzieć, że to przeciwieństwo Katza – oświadczyła w końcu Audrey, otwierając laptopa. – Informacje o nim są łatwe do znalezienia. Był nawet znany w swoim środowisku.

– Jakim?

– Psychiatrii i neurobiologii.

Gaëlle sięgnęła po rogalika. Czuła się jak turysta, który przemierzył przed śniadaniem dwadzieścia kilometrów.

– Urodził się w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym dziewiątym roku w Vienne w Isère – podjęła Audrey. – Zaczynał pracę w szpitalach paryskich. Był szefem kliniki akademickiej w Lyonie. Intern w latach osiemdziesiątych. Natrafiłam na jego ślad w szpitalu Saint-Jean-de-Dieu w Lyonie, potem w klinice Dessault w Montpellier. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych miał prywatny gabinet i praktykował jako psychiatra. Potem otworzył własną klinikę w Chatou, specjalizującą się w leczeniu depresji i uzależnień. Był też ekspertem przy TGI w Nanterre.

Gaëlle wpadła jej w słowo.

– Jak nazywała się ta klinika?

– Les Feuillantines. Słyszałaś o niej?

– Byłam tam krótko we wrześniu.

Zamilkły. Czy to przypadek? A może podstęp? Gaëlle pamiętała tylko, że kiedyś leczył się tam także ojciec.

– Na co zmarł Hussenot? – zapytała.

– Zginął w wypadku samochodowym A razem z nim dwójka jego dzieci. To było w Grecji, podczas wakacji.

– Skąd to wiesz?

– Wystarczyło zadzwonić do Chatou.

– Masz jego zdjęcie?

Audrey obróciła ekran laptopa: szeroka, kanciasta twarz, przenikliwe spojrzenie, szczery uśmiech. Żadnego podobieństwa do Érica Katza, wyrafinowanego i zagadkowego. Nie trzeba było znać się na morfopsychologii, żeby stwierdzić, że ci ludzie do siebie nie pasują. Teoria kochanka padła.

– Na razie nie odnalazłam jego byłej żony – dodała Audrey, jakby chciała definitywnie odrzucić bezsensowne domysły Gaëlle. – Coś tu się nie klei. Hussenot był rozwodnikiem, ale nie sposób dowiedzieć się czegokolwiek o jego żonie.

– A w aktach stanu cywilnego?

– Ani śladu.

– Wyciągi aktów urodzenia dzieci? Akty zgonu?

– Tu również niczego nie wskórałam.

– Myślisz, że ktoś kazał siedzieć cicho reszcie rodziny?

– Za wcześnie na takie wnioski.

Przez całe dzieciństwo Gaëlle słuchała opowieści o śledztwach, w których pojawiały się osoby albo sprawy „wrażliwe”. W takich sytuacjach nikt nie miał dostępu do informacji ich dotyczących.

– Może to jakaś sprawa zastrzeżona? – rzuciła.

Audrey uśmiechnęła się, słysząc tak naiwne słowa, a Gaëlle nie ciągnęła już tego wątku: próbowała teraz wprowadzić tajemniczą małżonkę do swoich scenariuszy. Na tym etapie mogła jeszcze puścić wodze fantazji.

– Jakie były, twoim zdaniem, stosunki między tymi dwoma psychiatrami?

– Katz nie jest psychiatrą.

– To między nimi dwoma.

Znów pobłażliwy uśmiech – Gaëlle wyłożyła już Audrey swoje teorie.

– Zapomnij o związku homoseksualnym.

– To dlaczego Katz miałby chodzić na ten grób?

– Może byli krewnymi. A może Hussenot był jego pacjentem.

– Fałszywy psychiatra miałby leczyć prawdziwego? Chyba i ciebie trochę poniosło?

– Masz na mnie fatalny wpływ – zripostowała Audrey, śmiejąc się. – No, są twoi goryle. Idź się przespać. Zadzwonię do ciebie przed południem.

50

Pogłoski się potwierdziły: Tutsi z FLHK odebrali dostawę broni w ubiegłym tygodniu. To nie było kilka karabinów, które wypadły z ciężarówki, ale prawdziwy arsenał: miny, wyrzutnie rakiet, moździerze. *Serdeczne dzięki, Montefiori*. W zamian za trochę koltanu ludzie Crossa zaczęli mówić, a ich informacje były wiarygodne – widzieli przejeżdżające konwoje, znali żołnierzy z tego frontu. Pochodzili z Konga, nie z Rwandy.

Jak Montefiori sobie z tym poradził? Jaką miał tu siatkę? Od świtu Morvan analizował, który z tych łajdaków mógł wdać się w przemyt broni. Kondotier i on mieli wspólny zestaw adresów i kontaktów w Katandze. Wypytał robotników także o FLHK – kilkuset ludzi, za to prawie sami doświadczeni mordercy, bezwzględni grabieżcy walczący o nowe terytoria. Jak to się mówiło w Kongu, gdzie tworzenie eufemizmów wyrasta do rangi sztuki, należało spodziewać się „licznych przypadków braku bezpieczeństwa”.

Morvan powinien bać się o kopalnie, ale bał się przede wszystkim o syna. Za kilka godzin Erwan znajdzie się w samym środku tego bagna. Wczesnym rankiem słychać było głuche pomruki. To mógł być początek zabawy, chyba że nadciągała tylko burza. Ale z tej odległości nie dało się tego stwierdzić. Tylko że ani Erwan, ani Salvo nie odbierali już telefonu. Morvanowi pozostała jedynie modlitwa…

Jeżeli rozpęta się zawierucha, jedynym rozwiązaniem będzie wyciągnąć stamtąd smarkacza za gacie. Grégoire skontaktował się już z Czepikiem, rosyjskim pilotem, i kazał mu wynająć dwusilnikowy samolot. Najtrudniej będzie wylądować. Na zachód od Lontano przetrwały jeszcze resztki lądowiska, ale ten teren był zbyt niebezpieczny. Trzeba będzie posadzić maszynę na lotnisku w Kongolo, a w najgorszym razie w Kalemi, niedaleko od jeziora Tanganika. *Wszystko przez tego upartego idiotę…*

Od świtu analizował te możliwości pod plandeką, która służyła mu jako kwatera główna. Próbował właśnie zaparzyć sobie kawę, kiedy usłyszał

grzmot. Nie, dźwięk był zbyt suchy. Moździerz? Za blisko. Souza, z głową spłaszczoną jak stara winylowa płyta na trzydzieści trzy obroty, stanął w progu namiotu.

– Zawał, szefie, zawał!

Morvan chwycił kask i nieprzemakalną kurtkę i wyskoczył z namiotu. Wzgórze wyglądało jak mrowisko, które ktoś kopnął: ludzie wychodzili z szybów i szybko zbiegali po czerwonym stoku. W połowie wysokości zbocza, po lewej, jeden z otworów pluł błotnistą mazią. Górnicy szli, zataczając się.

Souza trzymał się tuż za Morvanem, kiedy ten wspinał się po ostrej ścianie.

– Ilu jest wewnątrz?

– Nie mam pojęcia, szefie. Trzeba znaleźć inżyniera, ale…

Zatrzymał ich nowy, groźny pomruk. Morvan czuł w całym ciele drżenie ziemi. Zdążył tylko odskoczyć, żeby nie porwała go kolejna lawina błota. Upłynęło kilka sekund, zanim mógł ruszyć dalej. Wspinał się zgięty, na czworakach. Uciekinierzy przechodzili po nim, po jego plecach, pędzili w łachach podartych przez skalne bryły.

Wreszcie dotarli do podestu i szybów. Wciąż jeszcze wyłaniały się z nich zjawy lśniące błotem pośród skał. Morvan chwycił za rękę jednego z tych ulepionych z gliny Adamów, w którym już tylko oczy były człowiecze.

– Są tam jacyś uwięzieni ludzie? – zapytał w suahili.

Ale zamiast usłyszeć odpowiedź, zobaczył tylko grymas na twarzy skonsternowanego górnika. Może zresztą ta mina wyrażała wzgardę.

– Na jakiej głębokości doszło do zawału?

Mężczyzna splunął ziemią.

– Niezbyt daleko, ale ziemia wszystko zablokowała, nie ujdziesz dalej niż na trzysta metrów.

Morvan zbliżył się do wylotu szybu.

– Daj mi lampę – zwrócił się do Souzy i rzucił mu kurtkę.

– A ja… mam z tobą iść?

Czarny dygotał w szkarłatnym obłoku. Morvan bez słowa zamocował latarkę na czole, a potem zrobił z chusty turban.

– Masz plan korytarzy?

– Plan?

– Mniejsza z tym.

Podniósł z ziemi kilof walający się w błocie i zamarł, wpatrując się w otwór. *Masz klaustrofobię, Morvan*. Przed oczyma przewijało mu się całe życie. Stajnie w Champeneaux. Swastyka. *Kleiner Bastard!* Uśmiechnął się pod turbanem Tuarega – rozumiał, co się z nim dzieje, dlaczego znalazł się tutaj, na krawędzi śmierci. I dlaczego jego syn tak uporczywie dążył do zgłębienia ojcowskich tajemnic. Dlaczego pogrzebie się żywcem… Wybiła godzina zapłaty.

Wsunął się do tunelu. Wszystko było czerwone: podłoże, ściany, ludzie. Poczuł pierwsze objawy choroby. Strach. Mdłości. Brak tlenu. Zamknął oczy, zwiesił głowę i ruszył korytarzem. Kiedy uniósł powieki, nie ujrzał już światła dziennego. Ciemność rozpraszały tylko latarki. Ci, którzy przeżyli, parli do wyjścia, brutalnie go odpychając.

Morvan włączył swoją latarkę i szedł, skupiając się na omijaniu przeszkód, czyli idących w przeciwnym kierunku ludzi, żeby nie myśleć o tym, co robił – o oddalaniu się od światła, powietrza i życia. Z każdym krokiem coraz dotkliwiej czuł przytłaczającą mu kark masę góry. Osłonił usta i nos maską, teraz zaś starał się wyrównać oddech. Oczy piekły go tak, jakby wcierał w nie piasek.

Żeby nie udusić się ze strachu, rozdwoił się mentalnie i patrzył na scenerię jakby z dystansu. To ktoś inny szedł tunelem. On, Morvan, człowiek zrodzony z zamknięcia i uduszenia, pozostał na powierzchni.

Zszedł jeszcze niżej. Tu nie było już umocnień. Czasami tylko kilka schodków, a potem znów stok. Im był głębiej, tym korytarz stawał się niższy i węższy.

Wcale cię tu nie ma. Tylko twoja świadomość to obserwuje.

Wysoka temperatura przyprawiła go o zawrót głowy. Skwar południa skupił się i spotęgował w mrocznym korytarzu.

Kasłał i dławił się pod tkaniną, posuwał się po omacku, a latarka rzucała rozchwianą smugę światła. Krzyki i jęki zasypanych dobiegały już zewsząd. To było niczym potworny pociąg widmo złożony z poranionych torsów, okaleczonych twarzy, odciętych kończyn. Nie uwierzyłby, gdyby mu powiedziano, że ta kopalnia jest tak głęboka – po kilku tygodniach wydobycia górnicy wyczyścili już setki metrów skały, kując i odskrobując każdy załomek kamienia, każdą żyłę koltanu.

Miał przed sobą rozgałęzienie korytarza. Kopalnia działała jak ośmiornica, wsuwając macki w skałę. Wybrał najszerszy korytarz, potknął się, ale zdołał utrzymać równowagę. Nawet przez maskę czuł smród gazu. Temperatura podniosła się o kilka stopni. Morvan ociekał potem i cały był w błocie. Szedł ku rozpalonemu sercu Ziemi, ku wrotom piekła, ku…

– Jest tu ktoś?

Uderzał głową o strop, ocierał się ramionami o ściany. Jego lampa roztaczała drżącą poświatę, która wiodła chyba donikąd.

Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz.

Znów pomyślał o farmie, na której się chował, o swoim więzieniu, o tym koszmarze.

Ogól mi głowę… i cipkę też!

Czego tu właściwie szukał? Rannych? Ocalonych? Trupów? A może po prostu chciał na dobre z tym wszystkim skończyć? On, olbrzym ledwie przeciskający się tymi korytarzami, na pół oszalały w zamkniętej przestrzeni Europejczyk, zafascynowany trzewiami Ziemi…

Odłamki skał tarasowały drogę. Dalej iść się już nie dało.

– Jest tu ktoś?

Bez namysłu wbił kilof między dwa kamienie i rozsunął je.

– Jest tu ktoś? – powtórzył w obłoku pyłu.

Jęk. Wcisnął się w szczelinę i znów znalazł się w zasypanej komorze. Nic już nie widział, nie mógł oddychać, ale wrócił do własnego ciała, bo był tu, żeby walczyć. Jego stopy zapadały się w grząskie podłoże. Odruchowo spojrzał w dół, pochylając głowę, a razem z nią latarkę. Ciała. Roztrzaskana głowa, zmiażdżona klatka piersiowa. Dopiero po kilku sekundach zrozumiał, że jego noga utknęła w płucach trupa, i wrzasnął, szybko ją wyciągając.

Szedł dalej, nie patrząc na twarze, oczy, usta.

Znów rumowisko, tym razem zwarte jak solidny mur.

– Gdzie jesteś? – krzyknął w suahili.

Kolejny jęk zza kamieni. Nie było szans na utorowanie przejścia, mimo to Morvan na kolanach szukał jakiejś szczeliny. Już nie ciążyła mu ta góra, już nie brakowało powietrza. Myślał wyłącznie o jednym – nie po to dotarł aż tu, żeby pozwolić temu biedakowi skonać kilka metrów dalej.

Szczelina. Kilof. Udało mu się przebić otwór dość szeroki dla jego potężnego ciała. Wsunął się, mając nadzieję, że skały go nie przysypią.

Strong and hard punishment, w sam raz dla niego. Tunel po drugiej stronie był tak wąski, że Morvan mógł tylko pełznąć. Widział wyłącznie tyle, ile oświetlała latarka. Gdyby nie to światełko, czułby się jak trup albo pogrzebany żywcem. Czołgał się, trzymając łokcie przed sobą, zamknięty w kamiennym sarkofagu. Pokonywał tak centymetr po centymetrze.

Wsłuchiwał się w coraz bliższy jęk, ale wspomnienia i tak wracały. Wsuwał się pod śmieci, żeby unikać razów. Odbijał się od ścian i zabitych deskami okien w nadziei, że zdoła roztrzaskać drewno głową.

Starał się uciec za wszelką cenę, a ten bełkotliwy głos mówił do niego: *Kleiner Bastard!*

Ryknął, rozszlochał się, zaczął wyć.

Ranny leżał przed nim, jak wtopiony w skałę. Chłopiec był cały w pyle, skała zmiażdżyła mu nogę. Mógł mieć najwyżej dwanaście lat. Znów zlekceważono jego polecenia. Już chciał podnieść kamień, kiedy przypomniał sobie, że do przygniecionej kończyny nie dopływa krew, toteż błyskawicznie gromadzą się w niej zabójcze toksyny. Uwalniając przygniecionego, pozwala się, by te jady własnego wyrobu natychmiast zainfekowały krew, mięśnie, uszkodziły nerki, a prawdopodobnie także inne narządy. O ofiarę nie warto było się już martwić, bo właśnie się ją zabiło.

Te zasady udzielania pierwszej pomocy poznał dziesiątki lat temu. Teraz przed usunięciem skały zdjął pasek i zacisnął go na udzie chłopca. Podjął decyzję – ocali jego i tylko jego. Dopiął pasek tak, jakby dokręcał śruby. Mały górnik zemdlał. Czy było już za późno?

Wyciągnął go. Noga przepadła. Morvan ciągnął go tą samą drogą, którą tu dotarł. Nie potrafiłby powiedzieć, jak długo potrwa droga powrotna ani czy chłopiec jeszcze żyje. O niczym nie myślał, nic nie czuł. Słyszał tylko własny oddech, który oszczędzał jak płomyk świecy. W końcu mógł wstać i zarzucić sobie dzieciaka na plecy.

Kawałek dalej osunął się na kolana i wlókł się z trudem, a każda sekunda wydawała mu się tą ostatnią. Nawet nie zauważył, kiedy zgasła latarka. Był jak robot, na oślep szukał światła dziennego.

Na zewnątrz już nie padało. Afrykańskie słońce powitało go triumfalnie. Oddał rannego ochotnikom, którzy prowadzili akcję ratunkową, i padł. Leżąc z twarzą w błocie, obiecał sobie, że komuś się dziś oberwie – surowo

zakazał posyłania dzieci pod ziemię. A potem parsknął śmiechem – może robić, co chce, czarni i tak postąpią po swojemu.

Podniósł się i wypił kilka butelek wody, przede wszystkim zaś łapczywie wdychał rozgrzane słońcem powietrze. Czuł, że tlen odżywia jego krew, przywracając mu prymitywną siłę. Ale światło rozbudziło także cierpienie. Poczuł rany, krwiaki, skaleczenia. To nic – żył i triumfował.

Misja wykonana, Kleiner Bastard.

Dwa dni temu dobił dziecko. Dziś uratował inne. To potwierdzało jego teorię – cokolwiek się zrobi, nie odmieni się prawa równowagi w Afryce.

51

Od wczesnego ranka przemierzali hotele Florencji.

Loïc i Sofia zgadzali się w sprawie tego, co musiało się stać: Montefiori spotkał się przed południem w dniu śmierci ze wspólnikami albo z kupcami broni przerzucanej nielegalnie do Konga. Coś poszło nie tak i Kondotier przypłacił to życiem. Samo spotkanie nie odbyło się wprawdzie w eleganckim hotelu przy śniadaniu, bo bronią nie handluje się jak tonami metalu czy baryłkami ropy, jednak mordercy mieszkali w takim właśnie miejscu.

Oto, czego szukali: czarnych, którzy zatrzymali się w pięciogwiazdkowym hotelu, prawdopodobnie generałów, ministrów albo dyplomatów. Na pewno zaś ani Kabongo, ani Mumbanza, ani Bisingye nie mogli popełnić morderstwa – po sprawdzeniu okazało się, że żaden z nich nie przyleciał do Toskanii.

Od rana krążyli po hotelach w centrum miasta, willach pamiętających XV wiek, w których powstały luksusowe apartamenty, po dawnych klasztorach przeobrażonych w rezydencje słynące z komfortu i doskonałej kuchni. Jednak ostatnio nigdzie nie zawitali goście z Afryki.

Śledztwo, które prowadzili, było osobliwe, choć bowiem nic nie uprawniało ich do takich działań, wszystkie drzwi stały przed nimi otworem. A to dlatego, że w tej parze detektywów znalazła się hrabina Sofia Montefiori, należąca do sławnego rodu Balduccich. Miasto patrzyło, jak rosła, podziwiało jako promienną przedstawicielkę toskańskiej arystokracji. We Florencji wszyscy śledzili jej podróże, mówili o jej małżeństwie, czytali w kolorowych magazynach o przyjściu na świat Milli i Lorenza. A poza tym, jako dziecko Sofia biegała po ogrodach tych hoteli, podczas gdy jej ojciec załatwiał interesy w prywatnych salonach, wydawał przyjęcia albo jadł obiad z bliskimi.

Mimo to niczego się nie dowiedzieli.

O trzynastej byli już bliscy wniosku, że lepiej się wycofać, ale właśnie wtedy szczęście się do nich uśmiechnęło. Wychodząc z toalety w ostatnim hotelu, Loïc, który musiał opłukać twarz zimną wodą i połknąć pigułki, żeby nie dopuścić do zapowiadającego się ataku, zobaczył Sofię rozmawiającą z kelnerem jak z dawnych czasów – w kremowej marynarce i czarnej muszce, z uprzejmym uśmiechem na ustach. Mężczyzna miał koło sześćdziesiątki, ale wydawał się równie wiekowy jak posągi z Piazza della Signoria.

– Przedstawiam ci Marcella – uśmiechnęła się Sofia. – Pracował u nas w Fiesole przez dwadzieścia lat.

Loïc lekko skłonił głowę. Ich poszukiwania zaczynały przypominać przeglądanie rodzinnego albumu, a on czuł dolegliwości, które odwracały jego uwagę od wszystkich innych spraw.

– Marcello coś widział – dodała.

Nie odzywać się, nie ruszać. Poczekać, aż słabość minie, a leki zaczną działać. Nie rozumiał, jakiej to sensacji mógł oczekiwać – portier z tego hotelu powiedział im przecież, że od tygodni nie widział ani jednego gościa z Afryki.

– To nie działo się tu – wyjaśniła Sofia, jakby czytała w jego myślach. – Opowiadaj, Marcello.

– Była dziewiąta rano – Włoch powiedział to po francusku, bez najlżejszego akcentu. – Wyjeżdżałem z Comeany, wsi, w której mieszkam. To piętnaście kilometrów od Florencji.

– I co? – warknął zniecierpliwiony Loïc, czując, że kryzys nie słabnie, ale się nasila.

– W okolicach Signy zauważyłem w lesie kilka samochodów.

– Każdy mógł je zobaczyć z drogi?

Marcello uśmiechnął się i głęboko skłonił. Był tak zakodowany, że uśmiech i ukłon nie istniały dla niego z osobna.

– Wręcz przeciwnie. Były ukryte. Jechałem skrótem, którego używam, kiedy jestem spóźniony.

Skinienie głową oznaczające: „Mów dalej”.

– Przy samochodach kręcili się masywni faceci, na pierwszy rzut oka – ochroniarze. Trochę dalej mężczyźni w garniturach prowadzili rozmowę. Scena wydała mi się dość osobliwa: ci dobrze ubrani panowie rozmawiający pod drzewami. I wtedy zauważyłem samochód, który dobrze

znałem – maserati *signora* Montefiori. Nie mogłem się pomylić, zajmowałem się nim przez tyle lat! Toteż wychyliłem się i przez liście zobaczyłem *il Condottiere*.

Loïc trzymał ręce w kieszeniach, żeby ukryć, że drżą. W gardle zaschło mu tak, jakby łykał ogień. Serce waliło mu o żebra – puk, puk, puk. *Odrobinę zimnej krwi! Zachowaj zimną krew!*

– Coś ci jest?

Sofia położyła mu rękę na ramieniu. Miał ochotę strzelić ją w twarz.

– A co miałoby mi być?

Zwrócił się do Marcella i rozkazał niczym glina złoczyńcy:

– Mów dalej. Byli wśród nich czarni?

Marcello spojrzał na niego zaskoczony.

– Nie. Dlaczego czarni?

– Widziałeś wcześniej któregoś z tych mężczyzn?

– Tak, jednego z nich znam.

Loïc nagle się wyprężył, bo jego kręgi wkręciły się w maglownicę. Nie mógł opanować tików – twarz wymykała mu się spod kontroli, wykręcała się. Zadał pytanie zupełnie bezmyślnie, nie spodziewał się odpowiedzi twierdzącej.

– Kto to?

Marcello znów się uśmiechnął – mimo że Francuz zachowywał się niegrzecznie, a obecność hrabiny go onieśmielała, mówił spokojnym, życzliwym tonem.

– Florencja to małe miasto. Tu się urodziłem i tu umrę. W końcu zna się tu wszystkich…

– Do diabła, kto?!

– Uspokój się, Loïc.

Loïc otarł pot z czoła i cofnął się o krok, dając Sofii do zrozumienia, że przekazuje jej pałeczkę.

– Kto to był, Marcello?

– Giancarlo Balaghino.

– Gość od utylizacji śmieci?

– Właśnie on.

Sofia zwróciła się do Loïca, musiała mu to wyjaśnić.

– Balaghino jest we Florencji powszechnie znany i ma fatalną reputację. Zaistniał w latach osiemdziesiątych, kiedy zbił majątek na utylizacji śmieci.

Odsiedział wieloletni wyrok więzienia, a potem zatrudnił poznanych tam kumpli do wywozu odpadów i pracy w zakładach recyklingu. Na pozór to wspaniały przykład resocjalizacji, ale nikt nie wie, co właściwie robili ci ludzie ani jakie powiązania z władzami miejskimi miał Balaghino. Dużo mówiło się o łapówkach, o sprzeniewierzeniu funduszy publicznych, o wymuszeniach. We Włoszech to rutyna.

Wszystko to nie pasowało ani do Konga, ani do handlu bronią.

– Był przyjacielem Giovanniego?

– Nie.

– Wrogiem?

– Ojciec nie miał ani przyjaciół, ani wrogów. Miał tylko partnerów biznesowych.

Te banalne sformułowania stały się tym bardziej puste, gdy Montefiori leżał w grobie.

– Spotkałaś go kiedyś w Fiesole?

– Nigdy. Ten typ cuchnie siarką i chociaż ojciec nie był aniołem, nigdy nie pokazałby się w towarzystwie takiego śmiecia.

– Za co siedział w więzieniu?

Marcello włączył się do rozmowy. Chyba zachwyciło go, że nieoczekiwanie znalazł się w tak szykownym zespole śledczym.

– Jeżeli państwo pozwolą – szepnął. – Balaghino należał do NAR, zbrojnych komórek rewolucyjnych, zmilitaryzowanego skrzydła włoskiej skrajnej prawicy. Mówiono o nim *il Nazista*. Został zatrzymany za porwanie z bronią w ręku. Potem próbowano obarczyć go innymi przestępstwami, jak zabójstwo pewnej dziennikarki i zamach na dworcu w Bolonii, ale zarzutów nie udało się udowodnić. We Włoszech nie da się oddzielić prawdy od legendy.

Loïc czuł się trochę zagubiony, ale bóle kostne i drżenie już słabły. Może powinien po prostu uciąć sobie drzemkę w jednym z głębokich foteli w holu.

– Kto jeszcze, poza moim ojcem i Balaghino, był tam tego ranka? – podjęła Sofia.

– Jeszcze tylko jeden. Potężnie zbudowany. Koło czterdziestki. Blondyn o bardzo bladej cerze. Wyglądał na Szweda albo kogoś w tym rodzaju.

– Widziałeś go wcześniej?

– Nigdy.

– Co jeszcze możesz nam powiedzieć?

Marcello uśmiechnął się z satysfakcją majordoma zawsze uprzedzającego życzenia swojego pana.

– Zapisałem numery samochodu.

– Skąd wiesz, że to jego auto?

– Kiedy przejeżdżałem, poszedł po dokumenty do jednego z samochodów. To marea. To wszystko wydawało mi się bardzo… dziwne.

– Podasz je nam?

Marcello wyciągnął złożoną na cztery kartkę, jakby od tamtego ranka nosił ją w kieszeni, czekając na hrabinę.

– Będziesz zeznawał na policji? – zapytała, chowając kartkę.

– Nie, dobrze pani wie, że nie.

Sofia uśmiechnęła się i spojrzała na Loïca: czuł, że odpływa. Musiał oprzeć się o stolik, żeby nie stracić równowagi.

– Dziękuję, Marcello.

– Dla pani ojca…

Dawny służący o mało nie zepsuł wszystkiego kilkoma schematycznymi zdaniami, ale w porę się opanował, wspominając prawdopodobnie dziewczynkę, która bawiła się w ogrodach Fiesole i już wtedy nie miała zwyczaju użalać się ani nad sobą, ani nad innymi.

Pocałowała go w policzek, a Loïc zauważył, że ten stary człowiek o mało się nie rozpłakał. Dla równowagi on pożegnał go oschłym skinieniem głowy, przybierając postawę wyniosłego i twardego. *Żałosne*.

Wyszli z hotelu i skierowali się w stronę samochodu. Żwir skrzypiał pod ich stopami. Mimo zmęczenia Loïc przywołał odległe obrazy z tych bajecznych chwil, które spędzali razem w Toskanii, delektując się starożytnym spokojem, jakiego nie zazna się w żadnym innym zakątku świata.

Otwierając samochód, Sofia warknęła:

– Albo się opanuj, albo zacznij brać kokę, ale nigdy więcej nie zachowuj się w taki sposób.

52

– Nie chce mi się wierzyć, że to zrobiłem, szefie.

– Ale tobie też jest to na rękę?

– Szefie, narażamy życie tych ludzi.

Była druga po południu. Po błyskawicznym ataku, do jakiego doszło rano, barki sunęły po wodzie. Strzelanina trwała kilka sekund, więc nikt nie zdążył zrozumieć, co właściwie się stało. Według płynących z nimi żołnierzy, Tutsi znajdowali się na prawym brzegu rzeki, a regularne oddziały FARDC oraz Hutu na lewym. Między nimi znów cierpieli cywile, poczynając od pasażerów barek, stanowiących potężne magazyny żywności, ofiar, bogactw (względnych), które można było ograbić. Kapitan „Vintimille” przekazał już informację – żadnego postoju w Lontano. Najbliższy przystanek pięćdziesiąt kilometrów na północ.

Erwanowi przyszła do głowy tylko jedna myśl – sabotaż. Salvo chwalił się, że zna się na mechanice wystarczająco dobrze, żeby spowodować awarię i zmusić ten wodny tramwaj do postoju w okolicach Lontano. Wślizgnął się do maszynowi i wyszedł po godzinie. Był przerażony.

– Nie podoba mi się to, szefie. Bawimy się w kawalarzy, a tymczasem demony…

– Staniemy czy nie?

– Zablokowałem dopływ oleju. Silniki się przegrzeją. Nawet na tym gracie zapalą się lampki ostrzegawcze. Tak czy inaczej, śmierć zajrzy nam w oczy. Kapitan zatrzyma silniki i pójdzie sam wszystko sprawdzić.

– Ile czasu zajmie naprawa?

– Trzeba poczekać, aż silniki wystygną, więc około trzech godzin.

– I kapitan nie zdecyduje się dryfować?

– Nie. Lontano słynie z silnych prądów. Będzie musiał zakotwiczyć. Nie podoba mi się to, papciu, wcale mi się to nie podoba.

– Przestań jęczeć. Przecież musisz dotrzeć z przesyłką, co?

Salvo niechętnie skinął głową. Erwan był uparty jak osioł. Jego ojciec nie wahałby się ani przez chwilę, gdyby doprowadzenie śledztwa albo jakiejś

operacji do końca wymagało poświęcenia życia wielu ludzi. Ta sama niezłomna krew płynęła w żyłach syna.

Rozległy się krzyki. Pasażerowie, którzy podczas strzelaniny ukryli się pod plandekami, teraz tłoczyli się tuż przy burcie, krzycząc, pokazując coś palcami, zasłaniając oczy. Erwan powiódł wzrokiem w tamtym kierunku i uważnie wpatrywał się w wywołujący całą tę wrzawę punkt na brzegu. Niczego nie dostrzegł. Wzdłuż rzeki ciągnęła się jednolita zielona ściana roślin.

A potem nieoczekiwanie zobaczył.

Z trzcin sterczały tyczki. Tyczki, na które nabito ścięte głowy. Zakrwawione gardła rysowały się niczym makabryczne koloratki, przypominające plisowane kołnierze z czasów Henryka IV. W połowie wysokości każdej tyczki zwisały przybite do niej genitalia. Ciała wrogów zredukowano do ich najprostszej ekspresji…

– Tutsi… – szepnął drżącym głosem Salvo. – Wkraczamy na ich terytorium.

Było już za późno, żeby zrezygnować z planu wymuszonego kotwiczenia. Erwan wzniósł oczy na ten przerdzewiały piec chlebowy, który pełnił funkcję kabiny kapitańskiej. Przez szybę widział wykrzywioną gębę kapitana, a w oczach błysk satysfakcji. Dowodzący barką gratulował sobie pewnie, że postanowił ominąć najbliższy port, chociaż nie wiedział jeszcze, co go tam czeka. Prawdopodobnie domyśli się, że awaria to podstęp białego, ale nie będzie miał czasu się tym przejmować. Najważniejsze stanie się wyłączenie silników, uporanie z prądami na rzece i naprawa.

Erwan wrócił na swoje miejsce, jak wszyscy. Kilka minut później Afryka i jej piekielny upał znów niepodzielnie rządziły tutejszym światem. Niebo było szare i gorące. Zamazane, monotonne brzegi. Zupełnie jakby totemy nie istniały, jakby pasażerowie barki padli ofiarą zbiorowych halucynacji. Wkrótce hipnotyczna moc rzeki jeszcze się wzmogła. Ludzie zasypiali pod plandekami albo popadali w tępe zobojętnienie. Świadomość, jak bardzo są narażeni, jak blisko są Tutsi, którzy mogą wziąć ich na cel, przygasała podczas tej monotonnej podróży w nieznośnym skwarze.

Erwan, jakby pod wpływem przeczucia, obudził się i zauważył, że zbliżają się do dawnego miasta. Ubłocone kadłuby samolotów. Porośnięte lianami

i zaschniętym błotem szkielety willi. Na brzegu śnięte ryby, sporo porzuconych w trakcie czyszczenia i filetowania, jakby rybacy i ich rodziny uciekali w panice zaledwie kilka godzin temu.

Salvo jeszcze spał.

– Dopływamy! – krzyknął mu do ucha Erwan, szarpiąc go za ramię.

– Co z tego? – zapytał czarny, unosząc powiekę.

– I jakoś nie zapowiada się na żadną awarię.

– Nie czujesz tego smrodu?

Od dwóch dni dusili się spalinami, więc Erwan nie wyczułby trupa gnijącego mu pod nosem. Ale Salvo miał rację – woń spalenizny dominowała nad wyziewami paliwa. Rozgrzane do białości silniki musiały być już bliskie eksplozji. Wyszedł z kabiny i rozejrzał się, szukając kapitana. Nie było go. Prawdopodobnie poszedł już do maszynowni i próbował rozwiązać problem.

Zaraz potem silnik zaczął głośniej warczeć, barka zwolniła – sabotaż się udał.

Ludzie się ożywili. Nikt nie wiedział, czy barka wkrótce się zatrzyma, ale lepiej było się przygotować. Kapitan wrócił na mostek wyraźnie wściekły. Z jego odmienionej twarzy Erwan wyczytał dwie informacje – po pierwsze, zatrzymują się w Lontano, po drugie, z *mzungu* policzy się potem.

Ponton na powierzchni wody. Wciąż takie same przystanie: woda, półcień, cuchnący zgnilizną las, próchniejące mostki, rodziny czekające na bliskich, pirogi czekające na towary i na kupców. To nie miało nic wspólnego ze scenami, jakie widzieli, i z nadciągającym zagrożeniem.

– Wiesz, gdzie jest lecznica? – zapytał Erwan, zapinając plecak.

Salvo mocno tulił do piersi walizkę.

– Chyba dalej nic nie rozumiesz, szefie. Lontano to rumowisko. Lecznica jest w lesie. A to znaczy, że trzeba przejść przez miasto, negocjować z Tutsi, ze…

– Masz przecież walizkę?

– Nigdy nic nie wiadomo. Pozostaje mieć nadzieję, że suma w środku się zgadza, że się nie popili, a duchy są z nami…

Dziesięć po trzeciej. Tłoczyli się w grupie schodzących na ląd, a na pokład wsiadali już nowi pasażerowie. Trwał wyładunek żywności, beczułek, skrzyń, worków. Chyba nikt się nie przejmował, że mogą zostać wykryci. W takich chwilach i miejscach zachowanie dyskrecji było

niemożliwe. Tutsi zdecydują o ich losie. To była afrykańska ruletka – brakowało jednego naboju.

Wreszcie wyskoczyli na brzeg skąpany w przenikającym przez bujną roślinność, bajecznym świetle. Pnie drzew, ziemia, deski pomostu – wszystko zdawało się chronić cenne, świetliste, szmaragdowe nasienie.

Przed Lontano – miastem umarłym – było inne, kipiące życiem: prowizoryczna osada sklecona z opon, kawałków drewna, plastikowych płacht. Zbudowali je ludzie-amfibie. Było wśród nich kilku żołnierzy w ogrodniczych gumiakach – rogatki. Opłata była nieunikniona, ale Salvo załatwił to tym razem tanio. Schował pałkę, wchodzili do krainy kałasznikowa.

Erwan odruchowo zerknął na „Vintimille”. Trudno było określić, jak długo potrwa naprawa, ale z pewnością kapitan odpłynie, kiedy tylko będzie mógł, na nikogo nie czekając. Jeżeli biały nie wróci, to trudno. A właściwie to nawet lepiej.

Zdjęli buty, podwinęli nogawki i razem z innymi brnęli przez błotniste rozlewiska. Rozmaite odpady uderzały ich po łydkach, woda była ciepława jak szczyny. Szli tak przez kwadrans, patrząc, jak ci z przodu znikają jedni po drugich, jakby przenikali przez mur trzcin i liści. Nikt nie myślał o dotarciu do miasta w ruinie, do którego trzeba było iść prosto. Tam urządziły sobie kwatery krwiożercze oddziały.

Na cyplu pojawili się żołnierze z bronią gotową do strzału i okiem przy celowniku. Salvo zaczął wymachiwać ręką, pokazywać walizkę i coś krzyczeć. Erwan szedł tuż za nim. Pamięć podsunęła mu mgliste wspomnienie o tym, jak Loïc, owładnięty buddyjskimi rojeniami, powtarzał mu, że być może wszyscy jesteśmy tylko wytworem snu.

W tej chwili czuł się jak wypluty z paskudnego koszmaru.

53

Pozwolono im podążać ścieżką, nie domagając się ani dolara zapłaty. Spod roślinności wyłaniały się gdzieniegdzie ślady dawnej architektury. Zduszone przez porosty mury, zawalone tarasy na dachach, ruiny pokryte warstwami liści, prześwity okienne cięły promienie słońca, formując smugi światła w kwadraty i owale, resztki dachów prezentowały wyblakłe od deszczu kolory: jasnoróżowy, wodnistozielony, błękitny.

Erwan sądził, że oddala się od rzeki, wkrótce jednak znów znalazł się na jej brzegu. Wijąca się pośród drzew i trzcin ścieżka zataczała koło. Odgłosy dżungli rozbrzmiewały nad ich głowami niczym w gigantycznej wolierze.

– Tędy, szefie.

Salvo stracił głos. Z jego ust wydobywał się tylko szmer, który dowodził, jak niewiele zostało z jego brawury. O dziwo, szli przez to odludzie zupełnie sami. Tylko czasem na brzegu, zwrócone ku wodzie, wznosiły się wille – dawne rezydencje białych budowniczych. Nie zostało z nich nic oprócz tych niszczejących murów: story, rury, meble, okiennice – co tylko dało się ukraść, dawno zniknęło. Zabrano nawet skrzynki klimatyzacji – na fasadach pozostały ich ślady, jak wyblakłe, jednobarwne obrazy.

– Te domy grabiono od lat dziewięćdziesiątych – wyjaśnił szeptem Salvo. – Mobutu przestał wtedy wypłacać żołd swoim żołnierzom. Zabierali wszystko.

Ścieżka wślizgiwała się pod sploty lian.

– Ktoś tu jeszcze mieszka? – zapytał zniżonym głosem Erwan.

– Nikt poza Tutsi. Wszystkie domy są pełne pułapek. Wchodzisz i zamyka się wokół ciebie klatka. Albo musisz się czołgać, żeby przejść, i utykasz połową ciała. A w dodatku Tutsi cię duszą, jeżeli im się nie spodobasz.

Usłyszeli dudnienie.

– Co to? – zaniepokoił się Erwan, któremu nagle zaschło w gardle.

– Kobiety Tutsi. Przywołują duchy przed bitwą.

– Myślałem, że Tutsi to chrześcijanie.

– To nie ma nic wspólnego, tu chodzi o walkę.

Rozbrzmiały krzyki wysokie jak gwizd, przypominające trochę okrzyki ludów Sahelu. Trudno było powiedzieć, czy to jęki rozpaczy, czy radosne wołanie. Drzewa jakby zasklepiły się w sobie, więc w dole panował zimny, rozdygotany półmrok. Erwan nawet nie pomyślał, żeby spojrzeć na zegarek. Wokół niego wszystko było zielone. Mchy okryły ruiny futrem. Roślinność zagarniała każdy skrawek miejsca, wciskała się w szczeliny i w fundamenty.

I wreszcie je zobaczyli.

Siedziały w kręgu, przed stosem z liści, zawodząc modlitwę. Czarna tkanina zakrywała ich twarze. Były afrykańską wersją wiedźm z *Makbeta*. Erwan wyobraził sobie, że ich ramiona to korzenie, a ich twarze to pająki.

– Masz kasę, człowieku?

Odwrócił się. Za nim stało trzech wzorowych żołnierzy. Wysocy, smukli, ubrani w mundury khaki ściśnięte w talii pasami z zapasem amunicji, kaburą na broń krótką i pochwą na nóż. Wszyscy nosili czerwone berety i za duże kalosze, które wyglądały śmiesznie.

Jednak ich twarze odbierały ochotę do śmiechu: kościste i nienawistne, o przekrwionych oczach dosłownie wychodzących z orbit. Albo byli naćpani, albo sfanatyzowani do granic szaleństwa. Tak czy inaczej, Erwan i Salvo nie mieli już odwrotu.

– Gdzie forsa, panie?

Erwan nie słyszał już litanii kobiet. Po raz kolejny jego umysł oderwał się od rzeczywistości jak alpinista od ściany. Nie czuł ukąszeń komarów ani przytłaczającego upału, nie docierały do niego głosy żołnierzy ani bzyczenie owadów, które tworzyło nad wszystkim kopułę.

– Ej, ty!

W końcu w głowie zapaliła mu się lampka alarmowa. W tej scenie brakowało pewnego elementu, i to niezwykle ważnego. Salvo zniknął.

54

Żołnierze nie słuchali jego wyjaśnień. Zabrali mu paszport i plecak, związali ręce i – z zachowaniem dobrych manier oraz szyderczej uprzejmości – kazali mu iść. Erwan robił, co w jego mocy, żeby odnaleźć się w tej rozpaczliwej sytuacji. Salvo wyparował z pieniędzmi. Dlaczego opuścił go dopiero, kiedy znaleźli się na terytorium Tutsi? Z pewnością zaplanował to dawno temu, a on z jakichś powodów stał się elementem gry.

Spojrzał na zegarek – ręce związano mu z przodu. Dochodziła czwarta po południu. Jakie to mogło mieć teraz znaczenie? Czy istniał choćby cień szansy, że opuści to miejsce żywy? Gdyby Żółta Koszulka chciał go załatwić, mógłby zrobić to właśnie tak.

Dotarli na polanę, która kiedyś była pewnie głównym placem Lontano. Pośrodku zniszczony cokół nie wspierał już żadnej rzeźby. Wokół monumentalne ruiny, szerokie schody wiodące na przestronne ganki, galerie z kolumnami… Przemalowane na zielono ruiny antycznego miasta. Na jednej z fasad dało się jeszcze przeczytać różowy napis: LA CITÉ RADIEUSE. To tu ojciec w każdy sobotni wieczór tańczył z matką, gdy seryjny morderca siał postrach w mieście. Erwan znalazł się na miejscu dawnych zbrodni, ale dotarł tu o wiele za późno.

Dziesiątki patykowatych żołnierzy z bronią w ręku otoczyły teren. Pływali w za luźnych mundurach i może dlatego przypominali wycięte z blachy postaci. Szczupłe twarze, orle nosy, gładkie policzki. Ich oczy wypełniały całą górną część twarzy. Ku zaskoczeniu Erwana używali MK12 Special Purpose Rife – specyficznej broni US Navy.

Erwan przypomniał sobie potworności, o których czytał na stronach radia Okapi i w książkach o wojnach kongijskich: gwałty, tortury, kanibalizm. Ci żołnierze mogliby być zdyscyplinowanymi studentami, jednak cechowała ich zdolność do makabrycznych czynów przeczących istocie człowieczeństwa. Byli psychopatami w starannie wyprasowanych mundurach.

Dwaj oficerowie oraz mężczyzna w dżinsach i koszuli w kratkę, trzymający w ręku notes, podeszli do Erwana.

– Gdzie moje pieniądze? – zapytał po francusku oficer, który zachowywał się najswobodniej.

– Ma je Salvo – odparł bez namysłu Erwan.

Tutsi wolno kiwał głową, po jego ustach błąkał się uśmiech. Miał insygnia pułkownika i prawdopodobnie odebrał gruntowne wykształcenie uniwersyteckie. To był Duch Śmierci we własnej osobie. Ilu ludobójców wykształcono na Sorbonie i w Oksfordzie?

– Salvo… – szepnął. – Jak tu zaufać jakiemuś Banyamulenge? – Odwrócił się do tego w dżinsach. – James, ile jest nam winien?

Księgowy otworzył notes.

– Trzysta czterdzieści tysięcy dolarów, panie pułkowniku.

Pułkownik znów pokiwał głową. Wolno kartkował paszport Erwana, jakby przeglądał pięknie ilustrowaną książkę.

– Jak oddasz nam te pieniądze, ty francuski psie?

– Nie mam nic wspólnego z tą sprawą. Salvo był moim przewodnikiem, i tyle.

– Przewodnikiem? A dokąd?

– Do lecznicy siostry Hildegardy.

Pułkownik wybuchnął śmiechem, ale jego kompani byli tak poważni jak biskupi podczas soboru. W rogach polany piętrzyły się niczym trumny długie metalowe skrzynie. W jednej, uchylonej, widać było szarozielony kadłub z uchwytem. Wyrzutnia rakiet. Nawet z tej odległości Erwan poznał specyficzny zarys FGM-148 Javelin, amerykańskiej broni, której niszczycielską siłę sprawdzono na irakijskich czołgach.

– Chcesz zobaczyć się ze starą?

– O ile jej jeszcze nie zabiliście.

Z niepojętych przyczyn Erwan usiłował go sprowokować. Źle trafił – Duch Śmierci był gościem na luzie. W jego wyglądzie zewnętrznym nie było nic szczególnego. Zwyczajny Tutsi, równie chudy i równie obłąkany jak inni.

– Ochraniamy ją. To ona leczy nas po walkach. Ta kobieta jest święta. W każdą niedzielę proszę wiernych, by modlili się za nią.

– Pan… jest duchownym?

– Pastorem adwentystów dnia siódmego – oznajmił, uśmiechając się szeroko. – Dzięki temu, że Bóg jest z nami, możemy zwyciężać.

Erwan wskazał skrzynie.

– I to on przysłał wam ten sprzęt?

Pułkownik schował paszport Erwana do kieszeni na piersi i wziął się pod boki. Wyglądał w tej pozie jak plastikowy żołnierzyk naturalnych wymiarów. Z jego oczu wyzierały chłodne wyrachowanie i wiara we własną nieomylność, w nieomylność człowieka, od którego zależą losy świata.

– Dlaczego nie? Prowadzimy świętą wojnę, krucjatę, by odzyskać naszą ziemię.

– Powiedz raczej, że chodzi o kopalnie.

Duch Śmierci i tym razem nie dał się sprowokować. Przez chwilę przechadzał się niczym nauczyciel, który zastanawia się nad karą, jakiej powinien poddać jednego z uczniów.

– Czego właściwie szukasz?

– Jestem policjantem – odparł Erwan, decydując się postawić na szczerość. – Badam pewną sprawę sprzed czterdziestu lat. Rozegrała się dokładnie tu, w Lontano.

Ludobójca wpatrywał się w rozmówcę, usiłując wytropić istotę kłamstwa, bo tak nieprawdopodobna historia musiała być bajką. Albo ten *mzungu* był wariatem.

– Wasza wojna nic mnie nie obchodzi – ciągnął Erwan. – Chcę tylko dotrzeć do lecznicy, zadać kilka pytań siostrze Hildegardzie i jak najszybciej znaleźć się na pokładzie „Vintimille”.

Tutsi nie reagował. Jego źrenice błyszczały spod półprzymkniętych powiek. Erwanowi zostało niewiele czasu i ta presja nie pozwalała mu myśleć o niczym poza chwilą obecną. Twarzą w twarz ze śmiercią, nie rozpamiętywał przeszłości i niczego nie żałował.

– Gdzie jest Salvo, panie Morvan?

– Powtarzam ci po raz kolejny: nie mam pojęcia. Choćbyś mnie torturował, nie powiem, bo nie wiem.

Duch Śmierci skinął głową. Na ten znak jeden z jego kompanów wyciągnął pistolet i przytknął go do skroni Erwana. Francuzowi wydawało się, że rozpoznaje markę Heckler & Koch. Kto mógł sprzedać taką broń tym seryjnym mordercom?

– Przyjechałeś z Tuty? – zapytał pastor.

– Tak, przypłynąłem barką.

– Widziałeś ludzi z FARDC?

– Nie.

– A Mai Mai?

– Nie.

– A kogoś innego?

Erwan uznał, że lepiej zapomnieć o *kadogos* i trupach.

– Od Tuty nie widziałem ani jednego żołnierza.

Dowódca Tutsi wyszczerzył w uśmiechu białe zęby. Dziąsła miał czerwone jak miąższ arbuza. Wahania nastroju, gwałtowne zmiany tempa – Erwan zaczynał się z tym oswajać.

– Szukają nas, szefie… – szepnął pułkownik, wracając nieoczekiwanie do akcentu człowieka z buszu. – Szukają nas, ale Bóg nas ukrywa… – spoważniał. – Pytam po raz ostatni: gdzie jest Salvo? Nie mam czasu na takie żarty, musimy się przygotować do ataku.

– Chyba nie użyjecie javelinów?

Erwan właśnie uchwycił istotę problemu: te grupy toczyły między sobą wojnę i wszystko, co nadawało się do strzelania i niszczenia, było już przygotowane. A tymczasem wyrzutnie rakiet leżały w skrzyniach. Bo Tutsi nie potrafili się nimi posługiwać!

Duch Śmierci uniósł broń. Z jakiegoś powodu dostarczono im sprzęt bez instrukcji obsługi albo oni jej nie rozumieli.

– Zetknąłeś się z czymś takim? – zapytał, podchodząc bliżej.

– Zanim zostałem policjantem, byłem żołnierzem.

W Gujanie Francuskiej uczestniczył w ćwiczeniach z użyciem FGM-148, które wyrzucały rakiety Javelin z systemem samonaprowadzania na podczerwień.

– W jakiej formacji?

– Powietrzno-desantowa szósta PRIMA.

Pułkownik zastanawiał się nad czymś. Być może Erwan znalazł sposób, żeby pożyć kilka minut dłużej. Nagle Tutsi złapał go za kołnierz i popchnął w stronę skrzyń.

– Wiesz, jak to działa?

– Tak.

– Pokaż mi.

– Co na tym zyskam?

– Kuzynie, w twoim położeniu trudno negocjować.

– Ale mogę uznać, że lepiej umrzeć, niczego wam nie wyjaśniając.

Duch Śmierci teatralnie westchnął:

– Pokaż nam, jak używać tych machin, a pozwolę ci wrócić na barkę. Nie możesz plątać się nam pod nogami podczas szturmu.

Tutsi zabiłby go, kiedy tylko zrozumiałby, jak oddać strzał, jednak Erwan mógł zyskać kilka sekund. Skinął głową. Duch Śmierci gestem rozkazał swoim ludziom rozwiązać jeńca. Erwan ukląkł i wyjął ze skrzyni części wyrzutni. Nie był pewien, czy pamięta pokaz sprzed lat, ale liczył na zdrowy rozsądek.

– Najpierw trzeba zamocować element zwany CLU na złączce FGM-148…

Wkładając pudło przypominające duży aparat fotograficzny, udzielał Tutsi wyjaśnień głosem, który nie drżał. Bez reszty skupił się na ciągu ruchów, a każdy jego gest pociągał za sobą kolejny. Wytłumaczył, jak załadować rakietę Javelin, jak odbezpieczyć, a potem wycelować.

– To pociski typu *fire and forget*, „strzel i zapomnij”. Samonaprowadzające. Kiedy masz obiekt na celowniku, patrzysz, naciskasz tu i strzelasz. Uruchamiasz wtedy kilka technologii: naprowadzanie inercyjne, GPS, system radarowy i wykrywanie na podczerwień.

– Można używać tego nocą?

– Bez problemu. Ekran CLU ma pozycję nocną. Tu.

– Wystarczy, kuzynie. Z resztą poradzimy sobie bez ciebie.

– A nasz układ? – zapytał Erwan obcym głosem.

– Jak to powiedziałeś? „Strzel i zapomnij”…

Huk zatrzymał czas. Eksplozja zmiotła wszystko, dziurawiąc czas i przestrzeń. Po detonacji rozległ się świst, może zresztą było odwrotnie. Liście otaczające polanę nagle poruszyły się niczym rozdygotana fala, a podziemny wstrząs wyrzucił w powietrze błoto rozpadające się na krople odwróconego deszczu.

Erwan wzbił się w górę jak ptak. Zdążył tylko się zdziwić, że śmierć wcale nie boli.

55

Twarde lądowanie zmusiło go do otwarcia oczu. Wszystko wokół zamieniło się w szkarłatną chmurę. Drzewa były połamane. Gałęzie latały. Małpy przeskakiwały z pnia na pień. Z Ducha Śmierci zostały dwie nogi trzymające się zakrwawionych lędźwi. Odcięty tułów leżał kilka metrów dalej. Erwan nie słyszał nic poza brzęczeniem i świstem. FARDC uprzedzili Tutsi. Zaatakowali moździerzami zza rzeki.

Tutsi biegali jak obłąkani pod deszczem liści i gliny, a tymczasem kilkudziesięciu żołnierzy wkraczało już na ich teren. Erwan uświadomił sobie, że celuje z czterdziestki piątki pułkownika. Zupełnie odruchowo wyciągnął ją z kabury przy osieroconych biodrach. Ale to była już przeszłość. Teraz nikt nie zwracał na niego uwagi.

Jakiś Tutsi zataczał się i bełkotał – wybuch urwał mu rękę tuż przy tułowiu. Inny, z którego eksplozja zerwała ubranie, próbował ukryć się wśród lian. Plecy miał najeżone odłamkami metalu. Jeszcze inny podtrzymywał splecionymi rękami jelita, a brunatna maź spływała mu z brzucha.

Erwan wciąż stał jak wryty, zaciskając ręce na broni, w odruchowej dla niego pozycji strzeleckiej. Smród palących się ciał i przeoranej przez eksplozję ziemi zatykał mu nozdrza. Nie był ani zaszokowany, ani przerażony. To działo się gdzieś indziej, gdzieś poza jego świadomością, nie oddziałując na jego nerwy i mózg.

Ale w końcu uświadomił sobie, jaka jest skala zagrożenia. Pociski wciąż spadały w kompletnej ciszy, a on rzucił się na ziemię, między skrzynie z rakietami. Nie wiedział, co zawiera ta broń, ale takie nazwy jak ładunek kumulacyjny HEAT, „gaz rozżarzony”, „ognista strzała”, „K-kill”, brzmiały dość jasno. Gdyby moździerz trafił w javeliny, szczątki Erwana rozrzuciłoby w promieniu kilkuset metrów.

Ratuj się! Błyskawicznie się obejrzał, ale nie znalazł żadnych ran, więc ruszył przed siebie. Do huku bombardowania teraz doszły serie z broni

automatycznej – Tutsi ripostowali. Atak, ciężkie karabiny maszynowe ustawione na trójnogach i to nieustające terkotanie.

Przyspieszyć kroku. Przejść przez plac. Znaleźć drogę nad rzekę. Kapitan „Vintimille” odpłynął pewnie po pierwszych wystrzałach. Biegnąc, Erwan miał jeszcze szansę dogonić barkę na rzece. Ziemia chwiała mu się pod nogami, niebo groźnie chyliło się nad nim, ale wciąż parł do przodu. Kilka metrów dalej zobaczył różowy napis LA CITÉ RADIEUSE, który zdawał się puszczać do niego oko. Ta nazwa zadziałała jak iskra.

Zawrócił i pobiegł tam, skąd przyszedł. Umrzeć – dobrze, ale zdobywając to, czego tu szukał. Podniósł plecak i stanął nad szczątkami tułowia Ducha Śmierci. Wstrzymał oddech, obmacał przesiąknięte krwią kieszenie i znalazł swój paszport. Przy okazji chwycił także karabinek szturmowy, a potem zniknął w dżungli, oddalając się od rzeki.

56

– Jesteś ranny? – zapytała stojąca w progu kobieta.

Była niska, chuda i nieprzyjazna jak lalka z drutu kolczastego. Jej suknia i skóra zlewały się, miały bowiem tę samą barwę. Nie odpowiedział, tylko splunął na ziemię, żeby uwolnić gardło od pyłu.

– Niech mnie pani wpuści – niemal rozkazał i odepchnął ją, żeby przejść.

Biegł od krzewu do krzewu, omijając leje po bombach i słysząc świst kul. Mijał inne ruiny, inne polany, schodził do wąwozów, staczał się na ich dno, wstawał, aż wreszcie na skraju miasta zobaczył cementowy budynek z wymalowanym krzyżem.

Zamknęła za nim drzwi na zasuwę. Stał pochylony, z dłońmi opartymi o kolana. Paliło go w płucach, w głowie dudniło. Ból pulsował wzdłuż prawej nogi, krew spływała z ust, lewa ręka odmawiała posłuszeństwa, ale Erwan był przekonany, że to nic poważnego. W końcu uniósł głowę i po kilku sekundach oswoił się z półmrokiem.

Pokój wypełniało dziesięć pustych łóżek. Czwórka czarnych w białych bluzach siedziała na ziemi. Ale tu zdolność percepcji i myślenia ograniczał duszący upał. Ten żar zawładnął miejscem i pokazywał całą swoją moc. Jedyną możliwością było… wtopić się w niego.

– Jesteś ranny? – powtórzyła.

Siostra Hildegarda wyglądała tak, jak powinien wyglądać ktoś pracujący w tym miejscu. Na pozór krucha, a przecież zahartowana, twarz miała drobną, pokrytą zmarszczkami, jakby Afryka nie przestawała się nad nią pastwić. Prawdopodobnie przekroczyła osiemdziesiątkę. „Ostatnia Mohikanka” – powiedział o niej ojciec Albert. Erwan mimowolnie uległ poczuciu irracjonalnego triumfu. Udało mu się. Dotarł do celu podróży.

– Wszystko w porządku – odburknął. – Siostra Hildegarda?

– A któż by inny? – wzruszyła ramionami. – A ty kim jesteś?

– Nazywam się Erwan Morvan. Jestem policjantem z Paryża… synem Grégoire’a Morvana.

– To jakiś żart?

– A wyglądam, jakbym żartował?

– Szczerze mówiąc, tak – odparła, mierząc go ostrym spojrzeniem. – Ale to żart w kiepskim guście.

Na zewnątrz wybuchy i strzały rozbrzmiewały coraz rzadziej.

– Pozwól, że cię zbadam.

– Już mówiłem, że nic mi nie jest!

Siostra Hildegarda zamarła w pół ruchu, patrząc na niego z gniewem. Wyciągnęła do niego rękę, ale on ją odtrącił. Drugiej szansy nie zamierzała mu dawać. Podeszła do stolika na kółkach, na którym leżały na pół zardzewiałe narzędzia chirurgiczne.

Erwan chciał się do niej zbliżyć, ale powstrzymała go spojrzeniem.

– Zdejmij buty.

– Słucham?

– Ściągnij te cholerne zabłocone buciory!

Wykonał polecenie, choć uważał, że to śmieszny przejaw troski o sterylność sali, która przypominała przechowalnię rowerów. Przy okazji uwolnił się od MK 12 i plecaka.

– Jak tu dotarłeś?

– Barką.

– Jaka jest teraz sytuacja na zewnątrz?

– FARDC zaczęli atak.

– Krążyły takie pogłoski – powiedziała do siebie – ale nie byłam pewna… Kongijczycy dostali nową broń.

Niemiecki akcent siostry Hildegardy sprawiał, że sylaby szły wolno i jakby w ciężkich butach. Co prawda jej ojczystym językiem był chyba holenderski.

– Myli się siostra, to Tutsi odebrali dostawę broni.

Zareagowała serdecznym śmiechem. Zęby miała w idealnym stanie, kontrastującym z poszarzałą twarzą. Erwanowi przemknęło przez myśl, że te wspaniałe zęby to wynik stosowania niemieckiej higieny życia codziennego – porannych kąpieli w rzece, gimnastyki w lesie.

– Przemytnicy zaopatrują obie armie. Jedna podróż, dwie wypłaty. Czysty zysk.

Teraz rozumiał już siłę ataku przeciwników.

– Kto sprzedaje broń?

– Tego się nie dowiemy. Tutaj nie ma ognia bez dymu. Natknąłeś się na Tutsi?

Skinął głową, wciąż jeszcze zadyszany. Sięgnęła po butelkę spirytusu i skropiła nim narzędzia.

– Darowali ci życie?

– Ocaliło mnie bombardowanie.

– Wracaj na barkę. Duch Śmierci nie da ci spokoju.

– Proszę o nim zapomnieć. Ten przydomek nigdy tak dobrze do niego nie pasował.

Zapaliła zapałkę i rzuciła ją na narzędzia, które zapłonęły. Te płomienie były niczym epitafium.

– Czego chcesz? Pojawiłeś się w kiepskim momencie.

– Przyszedłem zadać siostrze kilka pytań.

– O co chcesz zapytać?

– O Człowieka Gwoździa, mordercę z lat siedemdziesiątych.

Sięgnęła po resztę skalpeli i gołymi rękami włożyła je w pomarańczowo-niebieskie płomienie. Jakby była nieczuła na oparzenia.

Ponieważ milczała, Erwan mówił dalej:

– Przemierzyłem siedem tysięcy kilometrów, żeby usłyszeć te odpowiedzi, i nie mam czasu, żeby tłumaczyć siostrze, z jakich powodów to robię.

Otworzyła stary autoklaw i włożyła do niego instrumenty, które skwierczały jak opalane banany. Żadna z tych czynności nie sprawiała jej chyba bólu.

– Posłuchaj, mój śliczny. Słyszysz, co się dzieje na zewnątrz? Za kilka minut lecznica będzie przepełniona, dotrą tu ranni. Jeżeli ci się wydaje, że mam czas na te stare sprawy…

– Siostro, tylko kilka pytań i zniknę.

Chwyciła piłę. Potem zapałkę. Autoklaw. W innych okolicznościach wszystko to byłoby śmieszne: staruszka przy piekielnym zmywaniu… Wyczerpany Erwan osunął się na jedno z łóżek polowych. Krew i błoto przemieszały się z jego potem, tworząc organiczną maź.

– Nie ma tu żadnego chorego? – zdziwił się, rozglądając się po sali.

– W dni konsultacji przed drzwiami ustawia się kilkusetmetrowa kolejka. Przychodzą już o piątej rano. Tutaj każdy jest chory, każdy ma jakieś rany, i wewnętrzne, i zewnętrzne. Ale nie trzymam tu nikogo dłużej niż jeden

dzień. Ta wojna jest jak zatonięcie statku. Przy każdej awarii wybiera się wodę, umacnia się brzeg. Ale następnego dnia znów robi się wyrwa i trzeba zaczynać od nowa.

Jakby dla wzmocnienia jej słów wybuch wprawił ściany w drżenie.

– Nie idzie siostra się schronić? Nie boi się siostra?

– Ufam Bogu. Powierzył mi tę pracę, muszę wykonać ją do końca.

Siostra Hildegarda chyba nie wiedziała, że Bóg już dawno opuścił Kongo.

– Tutsi siostrze nie grożą?

– Czym mieliby mi grozić – uśmiechnęła się drwiąco. – Że mnie zgwałcą? Albo zabiją? Leczę ich. To ja mogłabym im grozić.

Zamknęła autoklaw i wytarła ręce o habit. Potem westchnęła, jakby pogodziła się z obecnością Erwana. Kolejna eksplozja, potem seria z karabinu.

– Chcesz kawy? – zapytała nagle bardziej przyjaznym tonem.

Może to było zaproszenie do zadania tych pytań.

– Bardzo chętnie.

Postawiła włoski ekspres do kawy na palniku i pewnym, precyzyjnym ruchem zapaliła ogień. Wciąż skupieni w mrocznym zakątku, nieruchomi, czarni w bluzach czekali chyba na znak, żeby się ożywić. Hildegarda po chwili wróciła do gościa z dwoma poobijanymi metalowymi kubkami.

– Z cukrem?

– Siostro…

Usiadła na łóżku na wprost niego. Byli jak dwoje rannych na wojnie, którzy próbują zachować salonowe maniery.

– Co chcesz wiedzieć?

57

Postanowił zacząć od Morvana.

– Nie znałam go osobiście – powiedziała, popijając kawę. – Kilka razy widziałam go w lecznicy. Wiedziałam o nim tylko to, co mówiła mi Catherine. Był ciężko chory. – Popukała się palcem w czoło. – Miał coś w rodzaju… napadów. Gorączka, drgawki, no i przede wszystkim agresja.

– I bił ją w czasie takich napadów?

Zapaliła grubego i chyba mocnego papierosa.

– Cathy utrzymywała, że trzeba go leczyć.

– Dlaczego „utrzymywała”?

– Bo cierpiała na syndrom kobiety maltretowanej. I sama szukała dla niego usprawiedliwienia, chorób… Mówiła, że miewał halucynacje, że słyszał głosy.

– Mówiono mi o pewnym psychiatrze.

– Michel de Perneke. Przejęłam jego gabinet w klinice Stanleya, ale nie miałam okazji go poznać. Cathy mu nie ufała. Mówiła, że jest niebezpieczny, że manipuluje Grégoire’em, że trzyma w garści całe Lontano.

Chciał zapytać o dokumentację zebraną przez psychiatrę i pozostawioną w klinice, ale uznał, że za wcześnie na to. Najpierw musiał pozyskać zaufanie siostry miłosierdzia.

– Może miała nadzieję, że sama go wyleczy?

– Była ostatnią osobą, która mogłaby to osiągnąć.

– Dlaczego?

– Bo w pewnym sensie to ona była jego chorobą.

– Nie rozumiem.

– Zna pan historię swojego ojca?

– O jakiej historii siostra mówi?

– O narodzinach, dzieciństwie, pochodzeniu.

Już miał potwierdzić, ale zdał sobie sprawę, że zna tylko kilka fragmentów tego życia. Sierota urodzony w Côtes-d'Armor, syn rybaka, który zatonął na morzu, matka zmarła na gruźlicę trzy lata po jego przyjściu na świat, w 1948 roku. Na pewno była to kanwa kłamstw, ale, o dziwo, Erwan nigdy nie kwestionował tej części mitu Morvana. Zresztą stary nigdy o tym nie mówił. „Nic ciekawego" – powtarzał.

– Ojciec niewiele mówił o swoich najmłodszych latach. On…

Wstała i przez chwilę szperała w metalowej szafie, pełnej zakurzonych papierów i zatęchłych teczek. Wyjęła oklejony płótnem, przewiązany tasiemką segregator, a potem położyła go przed Erwanem na metalowym łóżku.

– Nie marnujmy czasu. Tu jest wszystko. De Perneke zlecił przeprowadzenie we Francji wywiadu na temat pańskiego ojca.

Erwan nie mógł oderwać oczu od segregatora – to istny cud, że dokumenty przetrwały. W głębi ducha zawsze się obawiał, że te papiery już nie istnieją.

– Nie mam teraz czasu na czytanie tego wszystkiego na miejscu – wydukał.

– Więc proszę je wziąć. W końcu jest pan jego rodziną.

Położył drżącą rękę na teczce. Była jak puszka Pandory.

Siostra Hildegarda już nie usiadła.

– Teraz proszę już iść – uniosła palec. – Słyszy pan tę ciszę? Zabawa się skończyła. Zaraz na nas ruszą.

– A kto leczy ich na tamtym brzegu rzeki?

– Nie mam pojęcia.

– Jakaś organizacja pozarządowa?

Skrzywiła się z odrazą, odsłaniając białe zęby. Dopiero teraz zauważył, że musiała być piękna – nordycka modelka: blondwłosa, pełna werwy i zimna. Uroda Leni Riefenstahl z lat, gdy była najpiękniejszą Niemką i oficjalnym filmowcem Rzeszy.

– Nie ma tu już żadnych organizacji pozarządowych ani innej pomocy. W tej chwili w promieniu tysiąca kilometrów jesteśmy jedynymi białymi.

Te słowa przywołały go do rzeczywistości. Dokąd pójdzie, kiedy przekroczy próg lecznicy? Pomyślał o ojcu. Siostra Hildegarda nie wiedziała, że w okolicy przebywa jeszcze jeden Europejczyk, jednak natychmiast odrzucił pomysł, by wezwać go na pomoc.

– Kto, zdaniem siostry – zapytał, wstając – zamordował Catherine?

– Wszyscy wiedzą, że to Człowiek Gwóźdź.

– A czy nie mógł tego zrobić Morvan, kiedy wpadł w szał?

– Nie rozumiem, co pan ma na myśli. Biedna Cathy została… Krótko mówiąc, okaleczono ją tak jak inne.

– Ktoś mógł upozorować działania Człowieka Gwoździa. Nie przypomina sobie siostra jakichś niejasnych okoliczności tej zbrodni? Albo wydarzeń poprzedzających noc trzydziestego kwietnia.

Zamyśliła się.

– Nie. Pamiętam jej ostatni dzień. Opuściła lecznicę późnym popołudniem i… mój Boże, przecież to było czterdzieści lat temu!

Na zewnątrz busz wracał do normalnego życia. Kakofonia krzyków i trzasków obwieszczała przebudzenie zwierząt i owadów. Tak samo jak po deszczu.

Podeszła do innej szafy i wyjęła sterylny fartuch z plastiku, który zapinał się na plecach.

– Proszę zapiąć.

Nie bez trudu spełnił jej życzenie, bo palce wciąż jeszcze mu drżały.

– Jest ktoś, kto być może mógłby panu pomóc – szepnęła, nie dziękując. – Nazywa się Faustin Munyaseza. To Hutu.

Erwan poczuł się, jakby biegł w sztafecie: świadek przechodził z rąk do rąk, ale meta wciąż była nieosiągalna.

– Co może wiedzieć?

– Był wtedy nocnym stróżem w Cité Radieuse. A poza tym, ze względu na strach, jaki tu wtedy panował, Morvan nie pozwoliłby Cathy wracać samotnie w środku nocy. Ale może nie chciała, żeby jej towarzyszył.

– Czy ten Faustin nadal tu mieszka?

– Oczywiście.

– Gdzie mogę go znaleźć?

– Po tamtej stronie rzeki, ale trudno będzie się do niego zbliżyć.

– Dlaczego?

– Ponieważ dowodzi Interahamwe sprzymierzonymi z FARDC. Te moździerze przed chwilą to właśnie on.

Nigdy sobie z tym wszystkim nie poradzi – wojna, która go nie dotyczyła i przerażała, wojna, której nie potrafił zrozumieć, wciąż stawała mu na

drodze. Czy miał szansę znaleźć pirogę, żeby przeprawić się na drugi brzeg Lualaby?

– Ten Faustin ma jakiś przydomek wojenny?

– Przy tym imieniu wybrał go bez namysłu, nazywają go Mefisto.

– Zna go siostra?

– Od dziecka.

– Odpowie na moje pytania? Będzie pamiętał coś z tamtych lat?

– Jeżeli narkotyki i potworności, których dopuszcza się dzień w dzień, nie zżarły mu mózgu, a przede wszystkim jeżeli ma pan dużo pieniędzy, żeby mu za to zapłacić.

Pomyślał o coraz cieńszym pasie i o walizce Salvo. Musiał odszukać tego łotra, zabić go i zabrać pieniądze. Erwan zamierzał zadać następne pytanie, kiedy drzwi otworzyły się z trzaskiem.

Weszli dwaj czarni, którzy nieśli kolegę z rozerwaną klatką piersiową. Erwan nigdy nie widział czegoś takiego: żeber sterczących z ciała, opłucnej zwisającej na udach, odsłoniętych, pulsujących trzewi. Wokół rany widniały powbijane w ciało kawałki metalu.

Siostra Hildegarda podbiegła do nich i wydała im polecenie w suahili. Pielęgniarze byli już w pogotowiu. Przybysze ściągnęli buty, opierając nogi piętą o podłogę, i ułożyli rannego na stole operacyjnym.

Erwan odepchnął żołnierzy i pielęgniarzy, żeby zbliżyć się do siostry Hildegardy, która zdążyła już wsunąć dłonie w rękawiczki chirurgiczne.

– Siostro, błagam, tylko słowo…

Hildegarda chwyciła butelkę alkoholu, polała nim ranę i otworzyła autoklaw.

– Siostro!

– Niech mi pan da spokój!

Mogła mu jeszcze coś powiedzieć, czuł to. Pomyślał o innym tropie – o drugiej tajemnicy Człowieka Gwoździa.

– Znała siostra rodziny rządzące w Lontano?

Milczenie. Mężczyźni trzymali wijącego się z bólu rannego.

– Dlaczego Pharabot zabijał właśnie te dziewczyny?

Znów cisza. Zakonnica zakładała pacjentowi kroplówkę.

– Po co rysował w błocie te schematy?

– Drzewa genealogiczne.

– Co takiego?

Pojawiły się kompresy wchłaniające krew, ocierające spalone tkanki i przechodzące z rąk do rąk jak karty w śmiertelnej grze.

– Pański ojciec zrozumiał ogólny sens tych rysunków. Thierry Pharabot był powiązany z rodzinami z Lontano. Może nawet był z nimi spokrewniony.

– Chce siostra powiedzieć, że mógł należeć do jednej z tych rodzin?

– Niech się pan wynosi i pozwoli mi operować!

Wyjęła narzędzia z autoklawu. Leżący na stole Tutsi zemdlał. A może nawet umarł. Dwaj inni wpatrywali się w niego wytrzeszczonymi oczyma. To nie była już operacja, ale jakiś animistyczny rytuał, magiczna ceremonia.

Erwan schował płócienną teczkę do plecaka, wziął broń i podszedł do drzwi. Upalne powietrze na zewnątrz wydało mu się niemal chłodne po duchocie, jaka panowała w sali operacyjnej. Inni milicjanci nieśli już na prowizorycznych noszach poszarpane ofiary, skąpane w brei z krwi i ziemi.

Z plecakiem zarzuconym na jedno ramię, a MK 12 na drugie, chciał podjąć dalszą wędrówkę, kiedy usłyszał dźwięk, którego wcale się nie spodziewał.

Sygnał „Vintimille”.

Nawet pośród takiego chaosu niektóre obyczaje są niezmienne – barka odpływała, rykiem uprzedzając o tym cały busz.

Erwan rzucił się biegiem ku rzece.

58

Czas.

Mógł przebiec Lontano i w ciągu dziesięciu minut znaleźć się na „Vintimille”. Już widział miasto lian i mchu, kiedy znów cała sceneria rozpadła się na kawałki. Zdążył tylko paść na ziemię. Osłoniwszy głowę rękami, czuł, jak spada na niego deszcz laterytu i posiekanych liści. Znowu się zaczęło.

Bez namysłu wstał, chwycił plecak i znów pobiegł. Terkot broni maszynowej, detonacje pojedynczych strzałów – ręce olbrzyma ugniatały rzeczywistość.

Lontano – zielone miasto – stało się czerwone, pociski wywróciły warstwę laterytu, przysypały nim wszystko jak trumnę. W polu widzenia nie było ani jednego Tutsi. Gdzie się podziali? Ogłuszony Erwan nie był w stanie określić, skąd padały strzały.

Kolejna eksplozja. Jeszcze bliższa.

Budynek kilka metrów od niego stanął w płomieniach. FARDC urozmaicali sobie zabawę i zamiast moździerzy używali teraz pocisków zapalających. Erwan znów biegł, coraz bardziej głuchy, coraz bardziej oszołomiony, ale wciąż trzymający się nadziei, że nie pomylił drogi. Nieustannie powtarzał sobie: *Brzeg, w ciągu pięciu minut mogę dobiec do brzegu*…

Plac Cité Radieuse – trupy, leje, porzucona broń. Kolejna eksplozja. Lawina żwiru i kory. Gdzie byli Tutsi? Pojawił się samotny żołnierz – z oczu płynęła mu krew, strzelał na oślep. Dopiero ten szokujący widok sprawił, że Erwan uświadomił sobie, że zgubił swój MK 12. Wyciągnął czterdziestkę piątkę, uzbroił i jedną kulą roztrzaskał głowę ślepca. A potem ruszył dalej chwiejnym krokiem.

Do diabła, gdzie oni byli? Czyżby wszyscy uciekli? Na skraju placu rozpoznał ścieżkę prowadzącą nad rzekę. Przeszedł jeszcze kilka kroków i przystanął, nie wierząc własnym oczom. Linia frontu była przed nim,

biegła wzdłuż rzeki, osłonięta wzniesieniem terenu. Setki żołnierzy, ramię w ramię, strzelało bez chwili przerwy, parząc sobie ręce kałasznikowami, a zakamuflowane stanowiska kryły ciężką broń maszynową, której łuski wypadały niemal tak gwałtownie jak kule.

Najwspanialszy był jednak drugi brzeg rzeki – monotonna zielona wstęga, którą Erwan od dwóch dni miał przed oczyma, prezentowała teraz pokazy ogni, wybuchów, dymu – wróg prowadził ostrzał. O przejściu nie było co marzyć. Erwan osunął się pod drzewo. Bliski płaczu, zauważył, że zaczyna się ściemniać. Może to szansa, na jaką już nie liczył…

Dźwignął się po raz kolejny i podjął bieg, zapominając o ranach i lekceważąc zwróconych do niego tyłem żołnierzy. Miał nadzieję, że przejdzie między kulami z tamtej strony rzeki. Mrok dawał mu złudzenie, że jest niewidzialny i chroniony.

Jeszcze pięćset metrów, żeby dotrzeć na barkę. Potykał się o połamane karabiny, przeskakiwał nad ciałami. Zauważył na pół zatopionego kałasznikowa, więc go wziął. Znalazł też magazynki i wsunął je do kieszeni spodni. Ręce drętwiały mu, całe w zasychającym błocie. Szedł wolniej, korzystając z rozbłysków rakiet, żeby odnaleźć drogę i ocenić pokonany dystans. FARDC używali teraz wyrzutni rakiet, jak na wojnie w Afganistanie, i dosłownie zalewali nimi cały brzeg rzeki.

Jakieś miauknięcie rozdarło noc, potem niebo rozbłysło, na ułamek sekundy rozświetlając krąg wokół Erwana i ukazując dwóch Tutsi, którzy szli z bronią w ręku w jego stronę. Erwan odskoczył w prawo, zniknął za ścianą trzcin i zanurzył się w wodzie, niosąc plecak na głowie.

Żołnierze minęli go, niczego nie zauważywszy. Mógłby ich zabić, ale paraliżowały go potworne zmęczenie, nadmiar krwi i śmierci. Trzymając plecak i AK-47 pod pachą, płynął na boku wzdłuż brzegu. Po stu metrach wyszedł na ląd i umazał twarz laterytem – czerwień i czerń czyniły go mniej widocznym. Stopniowo odzyskiwał słuch, chociaż wciąż szumiało mu w uszach. Adrenalina pobudzała organizm – także zmysły i odruchy.

Zrozumiał, że błyski na niebie to już nie eksplozje, ale burza. Po chwili spadły pierwsze krople dreszczu, a uderzały z taką siłą jak kule Kongijczyków z tamtej strony rzeki.

Wreszcie poczuł pod stopami deski pomostu. Miał przyspieszyć, gdy uderzenie w pierś zwaliło go z nóg. Nie mogąc złapać tchu, padł na plecy, rzucił plecak, uderzył głową o spróchniałe deski.

To już koniec. Zdechnie gdzieś między lasem a wodą, zeżrą go krokodyle. Upłynęło kilka sekund, zanim uświadomił sobie, że ból słabnie. Uniósł rękę do klatki piersiowej i się obmacał – nie krwawił. Krople deszczu rozpryskiwały się na jego twarzy jak iskry z kamienia zapalniczki. Odwrócił się na plecy i wreszcie zrozumiał, że to pas karabinu zahaczył o jeden z bali pomostu i trzymał go na uwięzi.

Zmarnował jeszcze chwilę, żeby się oswobodzić, a potem odszedł, chwiejąc się na nogach. „Vintimille”. Mozolnie, krok po kroku…

Zaraz zobaczy barkę.

Skoczy na pokład.

Zaraz…

Z gardła Erwana wyrwał się przeraźliwy krzyk.

Przystań była pusta – „Vintimille” odpłynęła do Tuty, zostawiając go samego w piekle.

CZĘŚĆ DRUGA
MAŁY BĘKART

59

Tym razem nie było wątpliwości – na rzece rozpętała się wojna. Około pięćdziesięciu kilometrów na południe, czyli w Lontano. Próbował dzwonić do Erwana, ale telefon milczał. Salvo również nie odpowiadał. Morvan natychmiast podjął decyzję – pojedzie odnaleźć syna tam, gdzie spadają bomby. Z upływem lat nauczył się, że zawsze można negocjować z ludźmi, zwłaszcza jeżeli jest się białym i ma się do czynienia z czarnymi. Ale nie da się dogadać z pociskami i rakietami, które spadają na oślep. Życie Erwana było poważnie zagrożone.

Wysłał Michela, żeby zdobył pirogę z silnikiem. Zadzwonił do Czepika i polecił mu jak najszybciej przylecieć po siebie i zabrać do Kongolo albo Kalemi, ponieważ lądowanie w Lontano było teraz wykluczone. Rosjanin, którego to zadanie wcale nie cieszyło, podwoił stawkę. Morvan uprzedził też Crossa: „Masz ochotę na rejs po Lualabie?”. Luba, bazaltowy tytan w świeżutko wyprasowanej panterce (miał kilka żon, które dbały o jego odzież), przytaknął, unosząc beret. Można było na niego liczyć. Dawny legionista, żołnierz FAZ, lubił śmierć, ale jak ktoś, kto jest na diecie – smakował ją, by zapamiętać, o jaki przyprawia dreszcz.

Morvan był wściekły. Nie powinien pozwolić, żeby Erwan wsiadł na tę przeklętą barkę. To poszukiwanie prawdy było absurdem samo w sobie, a śmierć w Lontano od zbłąkanej kuli czystym szaleństwem.

Tymczasem, w świetle lampy, analizował mapę Lualaby z czasów Elisabethville. To była karykatura rzeki. Odległości, prądy, przeszkody, które trzeba omijać. Kiedy tylko Michel zdobędzie jakąś łódkę, wypłynie z busolą i kilkoma żołnierzami. Pięćdziesiąt kilometrów tej rzeki to, zależnie od łodzi, dziesięć do piętnastu godzin, nie uwzględniając kłopotów, z jakimi przychodzi się borykać w Afryce, czyli na przykład zwyczajnego zatonięcia. Oceniając szanse tego przedsięwzięcia, pomyślał o Salvo: w co znowu się wdał? Dlaczego nie odpowiadał?

Zadzwonił telefon. Erwan? Nie, Loïc.

– Mamy świadka – oznajmił syn, nie mówiąc nawet dzień dobry. – Ktoś widział Giovanniego, gdy rano w dniu śmierci rozmawiał z kilkoma mężczyznami.

Morvan potrzebował kilku sekund, żeby przestawić się na tamten oddalony świat.

– Co ja ci mówiłem? Nie wyraziłem się jasno? Pakuj rodzinę do samolotu i…

– Chcesz usłyszeć, co ci mam do powiedzenia, czy nie?

– Wykrztuś – westchnął, ale trudno mu było skupić się na tej rozmowie.

– We wtorek o dziewiątej rano Giovanni rozmawiał w lesie w okolicach Signy z dwoma gośćmi.

– Czarnymi?

– Białymi. Nasz informator rozpoznał jednego z nich. To Giancarlo Balaghino. Faszyzujący, zamieszany w afery korupcyjne i…

– Wiem.

To nie miało najmniejszego sensu, Montefiori nigdy nie robiłby interesów z łajdakiem, który okradał własne miasto.

– Kim jest twój świadek?

– Majordomusem z jednego z florenckich hoteli. Przepracował u Montefiorich, w Fiesole, dwadzieścia lat.

Człowiekowi, który tak długo cieszył się zaufaniem Kondotiera, można było wierzyć.

– Drugiego nie poznał?

– Nie. Powiedział tylko, że to mocno zbudowany blondyn koło czterdziestki. Towarzyszyli im ochroniarze.

Co to za narady? Handel bronią? Coś innego? Balaghino zawsze maczał palce w interesach paramilitarnych, gdyby jednak chciał się pozbyć Montefioriego, działałby dyskretnie – kąpiel w kwasie albo zbrojony beton były w jego stylu. Gdyby jednak chciał sięgnąć po robiące wrażenie symbole, ściąłby mu głowę, powiesił albo – co także było mafijną klasyką – użyłby broni myśliwskiej z obciętą lufą.

– Sofia i ja mamy pewien pomysł – ciągnął tonem godnym detektywa z powieści kryminalnej. – Majordomus zapisał numery rejestracyjne jednego z samochodów. Uważa, że to wynajęty wóz. Sofia przypuszcza, że dzięki swoim znajomościom zdoła ustalić, kto wypożyczył ten pojazd.

Grégoire sam nie wiedział, czy mu nawymyślać, czy parsknąć śmiechem. Ten synek tatusia i rozpieszczona hrabina tropiący mordercę, który wyrywa ofierze serce! Ale prawdę mówiąc, mocno go to zaniepokoiło.

– Mam wrażenie, że jednak nie wyraziłem się dość jasno, bo…

– Wiem, co mam robić. Możemy okazać się skuteczniejsi niż policja.

Połączenie było kiepskie, ale czuł, że Loïc jest niezwykle nabuzowany. Morvan zawsze liczył, że Sofia zrobi z niego faceta z jajami, ale się pomylił. Może śmierć Kondotiera tego dokona. Nawet Loïc musiał chyba zachować w głębi siebie to czarne jądro, twarde i nieprzekupne, które nazywa się „wolą”, a które u Morvanów było tylko pychą.

– Zadzwoń, kiedy dowiesz się czegoś nowego – poddał się wreszcie.

Ledwie się rozłączył, gdy telefon znowu zadzwonił. Kudłacz.

– Mam łódź, szefie. Z pilotem.

– Coś porządnego?

– Cholernie porządnego!

– Silnik?

– Enduro 40 CV.

– Co z paliwem?

– Musimy mieć własne.

– Ile osób pomieści?

– Trzy razem ze sternikiem.

Michel łgał. Podając taką liczbę, miał nadzieję, że sam zostanie na lądzie. Morvan nie popłynąłby bez Crossa, na którego sile mógł polegać, ani bez doświadczonego pilota.

– Ile czasu potrzebuję, żeby do ciebie dotrzeć?

– Jeżeli wyjedziesz teraz, będziesz na miejscu o dwudziestej drugiej.

Pozycja Michela została zapamiętana w Iridium. Grégoire obliczył, że może dotrzeć do Lontano tuż przed południem. Gdyby Czepik nie przyleciał, zostałby z synem na miejscu, ale przynajmniej byliby razem. I mogliby przecież wydostać się stamtąd rzeką. *Wziąć odpowiedni zapas paliwa*.

– Udało ci się dowiedzieć, jaka jest sytuacja na miejscu?

Teraz, kiedy poruszanie się po buszu było prawie niemożliwe, telefony na kartę stały się nową wersją tam-tamów.

– Urządzili sobie pokaz fajerwerków, szefie. Strzelali z moździerzy, z wyrzutni rakiet. Czegoś takiego jeszcze tu nie było.

– Kto ma broń? FLHK?

– Obie strony, szefie. Hutu mają ciężką broń. A dokładnie sto dwudziestki. Tutsi mają rakiety samonaprowadzające. W tej chwili, szefie…

Morvan nie słuchał, zamyślony. Handlarze zaopatrzyli obie armie. Szaleńcy! Jeśli tak dalej pójdzie, będzie musiał pożegnać się z kopalniami. Ktokolwiek zwycięży, dotrze tu, zwabiony zapachem koltanu.

– Wynik walk?

– FARDC wycięli Tutsi.

Zadał pytanie pro forma. Informacje Michela, który był Lubą, pochodziły z frontu kongijskiego. Gdyby zwrócił się do strony przeciwnej, okazałoby się, że triumfowali Tutsi.

– Barki przepłynęły?

– „Vintimille” zatrzymała się w Lontano. Ludzie mówią, że z powodu awarii.

Przypadek czy sprawka Erwana? Ten dzieciak był zdolny do wszystkiego. Tak czy inaczej, dotarł do celu i zszedł na ląd. Grégoire’a ogarnęło poczucie dumy – Morvanowie wiedzą, czego chcą.

– Kto dowodzi FARDC?

– Tam są dwa fronty, szefie. Kongijczykami dowodzi generał Étienne Egbakwe, a Interahamwe podlegają Mefistowi.

– Faustinowi Munyasezie?

– Właśnie.

Tym razem Morvanowi zachciało się wyć: jak ta zjawa z przeszłości mogła właśnie teraz pojawić się wśród pierwszoplanowych aktorów?

– Wiesz coś o moim synu?

– Mówiłem o nim, szefie, wypytywałem ludzi. Nikt nic nie wie.

Zadał kolejne bezsensowne pytanie. Erwan był na brzegu Tutsi, w Lontano. Wśród Kongijczyków wiadomość o jego pojawieniu się rozeszłaby się jak wieść o aniele Gabrielu albo o cennej zwierzynie do upolowania. Jaja Europejczyka wśród trofeów wodza to prawdziwy rarytas.

– Mam twoją pozycję, czekaj na mnie.

– Nie zapomnij o paliwie.

Rozłączył się i wydał rozkazy. Prawdę mówiąc, chętnie wyruszał na tę nocną wyprawę. Afrykańska noc potrafi dostarczyć tylu wrażeń, że cała reszta świata już zawsze wydaje się bezbarwna i obojętna.

Przez moment myślał o Faustinie zwanym Mefisto: chłopak pokonał daleką drogę z Cité Radieuse. *On jeden zna prawdę o śmierci słodkiej pielęgniarki*. Teraz pozostało już tylko modlić się, żeby Erwan nie zechciał go szukać i przesłuchiwać. Grégoire był pewien, że jego syn przycisnął siostrę Hildegardę, a ta stara szkapa mogła mu coś powiedzieć.

Trzeba ruszać.

Odnaleźć syna.

A w razie potrzeby zabić tego Hutu.

60

O dwudziestej drugiej południowo-wschodnia część 8 dzielnicy wygląda jak wymarła. Większość domów pustoszeje, w niektórych zamieszkują ludzie władzy. Na ulicy spotkać można tylko służących, samochody mają tablice dyplomatyczne albo należą do policji. Co noc domyka się klosz nad dzielnicą, cierpliwie czekając do rana, jakby obowiązywała tu godzina policyjna.

Gaëlle spoglądała w dół przez okienko. Przez cały wieczór stała tak i paliła, obserwując cynkowane dachy, ciche i zamknięte jak groby. Od rana konała z nudów. Po wyprawie na cmentarz Audrey i jej ochroniarze zgodnie uznali, że nie ma już mowy o wychodzeniu z domu, a wszystkie kontakty – telefony czy esemesy – podlegają kontroli.

W południe zadzwoniła do niej Audrey. Nie dowiedziała się niczego nowego. Policjantka obiecała, że wieczorem znów pogadają. Tym razem pojawiła się w mieszkaniu z ociekającym kebabem w dłoni i komputerem pod pachą. Widząc podniecenie Gaëlle, natychmiast ją uspokoiła – znowu nic.

– Zacznijmy od Katza. Sprawdziłam go na wszystkie strony. Komórka organizacyjna Ministerstwa Spraw Wewnętrznych zajmująca się kontrwywiadem i zwalczaniem terroryzmu, centrala brygady z trzydziestki szóstki: nikt nigdy nie słyszał tego nazwiska, ani jeden glina nie kojarzył go z rysopisu. Sprawdziłam sprawy sądowe, w których uczestniczył psychiatra, ale i to bez skutku. Przejrzałam dokumenty ubezpieczeniowe, dzwoniłam do Stowarzyszenia Psychiatrów, na uniwersytety. Kilku lekarzy nosi takie nazwisko, ale żaden nie ma z nim nic wspólnego. Wykorzystałam program do identyfikacji wizualnej i przejrzałam zdjęcia psychiatrów należących do rozmaitych stowarzyszeń, wszystko na próżno.

– A jego komórka?

Audrey wbiła zęby w soczysty kebab, a po chwili powiedziała:

– Nie mam wystarczającego materiału. Dostałam tylko bilingi z ostatnich dni, a i to dzięki dobremu znajomemu u operatora.

– Masz nagrania?

– Katz nie jest na podsłuchu i szybko nie będzie. Na to trzeba uzyskać nakaz, a wcześniej wnieść skargę i podjąć postępowanie. Sprawdziłam numery. To na pewno pacjenci, umawianie wizyt. Rozmowy trwały najwyżej minutę.

– A jego żona i dzieci?

– Też nic.

– Mieszkanie na ulicy de la Tour?

– Wynajął je na swoje nazwisko. Nie wiem, jak sobie poradził z dokumentami. W każdym razie bezprawnie używa tego nazwiska.

– Ale na skrzynkach nie ma żadnego Katza.

– Chce zachować dyskrecję. Dziwi cię to?

Gaëlle miała wrażenie, że wpatruje się w ścianę bez żadnych rys ani pęknięć.

– Co z Hussenotami?

– Potwierdzam wszystko, co powiedziałam dziś rano. Zakończył karierę w klinice Chatou. Kierował nią, gdy zginął razem z dziećmi w wypadku.

Gaëlle zamyśliła się nad tym zdarzeniem. Jej ojciec przebywał w Feuillantines i może znał Hussenota, nie zamierzała jednak dzwonić na jego afrykański numer.

– Żadnych problemów z wymiarem sprawiedliwości?

– Żadnych. Sprawdziłam go w kartotece: nigdy nie był karany, nie popełnił nawet żadnego wykroczenia. Hussenot był czysty jak jego kitel. Problem stanowi jego rodzina.

Otworzyła komputer, wciąż trzymając w drugiej ręce obrzydliwy kebab. Gaëlle bała się, że tłuszcz poplami jej stolik, ale w tej sytuacji nie mogła grać doskonałej pani domu.

– Robię, co mogę, ale nie potrafię znaleźć śladu jego żony i dzieci. Ani daty ślubu, ani aktów urodzenia dzieci. Rozmawiałam tylko z lekarzem z kliniki w Chatou, który pamięta, że Hussenot rozwiódł się około dwutysięcznego roku. To wszystko. Powiedział mi, że Hussenot nigdy nie wspominał o żonie, jednak zaczął pracę w klinice kilka miesięcy przed śmiercią szefa. Szukałam także w sądzie rodzinnym, ale nie ma tam

żadnych śladów sprawy. Wygląda to tak, jakby zablokowano dostęp do informacji na ten temat.

Audrey drwiła, kiedy wcześniej Gaëlle wspomniała o takiej możliwości, ale ta myśl kiełkowała w głowie policjantki jak ziarno. Toteż Gaëlle odważyła się wysunąć kolejny scenariusz, te bowiem tworzyła z łatwością.

– A może jego żona była świadkiem w jakiejś sprawie kryminalnej. Objęto ją programem ochrony i…

– Oglądasz za dużo filmów, kotku. Odkąd pracuję w policji, nie słyszałam o takim programie.

– A wypadek?

– Jeśli można to tak nazwać, czysta sprawa. Jego samochód wypadł z drogi na małej wyspie Naksos na Cykladach. To było w sierpniu dwa tysiące szóstego roku. Ciała przewieziono do kraju i pochowano w Paryżu.

Audrey ugryzła kęs kanapki. Jej palce lśniły od tłuszczu. Gaëlle już wyobrażała sobie, jak jego kropelki ściekają na rękaw.

– Kto zajmuje się grobem?

– Nie wiem.

– Ale na aktach zgonu musi być nazwisko matki?

– Nie. Wypadek zdarzył się w Grecji i wystarczyło nazwisko ojca, a on już rozwiódł się z żoną.

– Prosiłaś o policyjny raport z wypadku?

– Kontaktowałam się z greckim oficerem łącznikowym w Paryżu. Zajął się tym. Masz może coś do picia? Jakieś piwko?

Gaëlle wstała i przyniosła jej jedno z piw, które trzymała dla Erwana. Przy okazji wzięła z kuchni kilka serwetek.

– Mam wrażenie, że nie spieszysz się za bardzo, szukając informacji – powiedziała z rozżaleniem, rozkładając papierowe serwetki na stoliku.

Audrey beztrosko rzuciła na jedną z nich resztkę kanapki, a potem wytarła palce jak mechanik samochodowy po przerwie śniadaniowej.

– Rozumiesz, co do ciebie mówię? Nie mając podstaw, żeby go oskarżyć, nie można zrobić nic więcej.

– Oskarżę Katza o prowadzenie nielegalnej praktyki lekarskiej.

Audrey oparła kapsel butelki o róg stolika i otworzyła piwo, uderzając ręką. Przy okazji odłupała kawałek blatu. *Robi to specjalnie.* Policjantka wypiła łyk pieniącego się piwa i beknęła. Nie raczyła nawet odpowiedzieć na propozycję Gaëlle, ta zaś nie potrzebowała wyjaśnień. Gdyby wniosła

oskarżenie, nie potraktowano by jej poważnie – powtarzające się pobyty w szpitalu psychiatrycznym, problemy psychiczne… Poza tym policjantka chciała złapać Érica Katza za powiązania ze sprawą Człowieka Gwoździa, a nie za taki banał jak nielegalna praktyka lekarska.

Ale główny problem tkwił w czym innym – jedyne dowody łączące Katza z mordercą czarownikiem, czyli pieczołowicie zbierane wycinki prasowe, dokumentacja pacjentki Anne Simoni oraz dane ofiar zanotowane przed morderstwami, zostały zdobyte podczas nielegalnej rewizji, a policjantka włamała się do gabinetu. Lepiej było o nich zapomnieć, jeśli Audrey i Gaëlle nie chciały same stanąć przed sądem.

– Mogę się z nim spotkać i zdobyć próbki DNA.

– Mała, powtarzam jeszcze raz: oglądasz za dużo filmów.

– Dzięki takiemu materiałowi można by było go zidentyfikować – upierała się Gaëlle.

– Pod warunkiem, że figuruje w bazie danych genetycznych FNAEG. Ale osobiście nie liczyłabym na to.

– Ten człowiek zmienił tożsamość i musiał mieć poważne powody, żeby to zrobić.

Audrey wstała, znów wycierając palce przed zamknięciem komputera.

– Lecę. Spróbuj się przespać.

Gaëlle poderwała się z miejsca.

– To wszystko? Na tym koniec?

– Jutro znów się tym zajmę. A tymczasem ty nie ruszaj się z domu i do nikogo nie dzwoń.

Na myśl o spędzeniu kolejnego dnia w zamknięciu Gaëlle wpadła w panikę.

– A jeżeli skłamał? – zaimprowizowała.

– Wiemy, że stale kłamie.

– Mówię o Hussenocie. Jeżeli nie zginął w wypadku w Grecji? Mógł doprowadzić do podpisania fałszywego aktu zgonu przez przekupionego lekarza. Przywiózł zwłoki dzieci i swoją pustą trumnę.

Audrey parsknęła śmiechem. Gaëlle odebrała to jak policzek.

– Posłuchaj! – krzyknęła. – Wraca do Francji, zmienia nazwisko i otwiera gabinet.

– Widziałyśmy zdjęcia! Fizycznie Katz nie jest ani trochę podobny do Hussenota.

– A chirurgia plastyczna?

– Idź już spać – poradziła Audrey. – Jutro do ciebie zadzwonię.

– Ma klucz do tego grobowca!

Policjantka szła do drzwi, ale Gaëlle stanęła jej na drodze:

– Pojedziemy tam teraz, obie.

– Dokąd?

– Na cmentarz w Lilas. Włamiemy się do mauzoleum. Jestem pewna, że jedna z trumien jest pusta.

– Naprawdę jesteś szurnięta. Puść mnie.

Gaëlle nie drgnęła.

– Gdyby tu był Erwan, już siedzielibyśmy w samochodzie.

Audrey przełożyła pasek torby przez głowę i skapitulowała.

– Jesteś potwornie upierdliwa. Wskakuj w dżinsy, te fatałaszki ledwie zakrywają ci tyłek, a na zewnątrz jest zimno.

61

Włoska noc. Dla Loïca nie była ona pełna wspomnień, bo tu za każdym razem doznawał zupełnie nowego olśnienia, które nie zostawiało miejsca na nic, co było przeszłością. Tego wieczoru znów dokonał się cud. Siedząc na balkonie sypialni, dostrzegał wszystko – drżenie cyprysów, zapach jałowca, lawendy, drzewek oliwnych, niezliczone głosy przyrody, gdy ciemność zaczynała już skrzypieć, zgrzytać, świstać. Dostrzegał też chłód dnia, który czaił się na obrzeżu basenu. To nic, że był tylko ćpunem na głodzie, że obsesyjnie toczył walkę o każdy dzień, że się zagłodził i miał dziesięć kilogramów niedowagi, bo teraz, nieruchomy, dryfował z bezkresnym, szemrzącym i pachnącym nurtem, znieczulony mnóstwem leków, którymi nafaszerował się przed kolacją.

Dzwonił do wypożyczalni samochodów, szukając modelu fiata marea w kolorze białym, zgodnie z opisem Marcella. Ale na jego pytanie odpowiadano, niczego nawet nie sprawdzając, ponieważ tego samochodu nie produkowano od 2000 roku, a takiej starzyzny nikt nie zaproponowałby klientowi. Loïc i Sofia doszli w końcu do gorzkiej konkluzji: nie wystarczy chcieć być gliną, a oni – nawet królowa Florencji – wyczerpali już swoje możliwości. Prawdopodobnie handlarze bronią wykorzystali samochód należący do którejś ze spółek Balaghina. *Basta cosi*.

Mimo wszystko obiecali sobie, że jutro rano zaczną kolejną przechadzkę po florenckich hotelach, szukając tym razem sprecyzowanego obiektu: jasnowłosego osiłka towarzyszącego mafiosom. Nie mieli jednak jego zdjęcia i nie potrafili podać żadnych znaków szczególnych. A w eleganckich hotelach pełno było czterdziestoletnich facetów pasujących do tego opisu. Postanowili, że jeśli niczego nie znajdą, wieczorem wyjadą do Paryża.

– Śpisz?

Sofia stała w progu jego pokoju. Jeszcze nie oduczyła się wchodzenia bez pukania. Myśl, która nasunęła mu się pierwsza, wprawiła go

w przerażenie: przyszła się kochać. Druga była niewiele lepsza: chciała zawrzeć pokój. Nie potrafił już cieszyć się tak intymnymi chwilami z nią. Kłótnie, separacja, wojna o dzieci zabiły w nim czułość i dawne zrozumienie. Jedynym, co ich łączyło, była teraz miłość, jaką darzyli Millę i Lorenza, musieli jednak dbać, by trzymać się od siebie na dystans, jak podczas pojedynku na pistolety.

Prawdę mówiąc, po śmierci Montefioriego nawet wzajemna nienawiść przygasała, wypierana przez pustkę, która miała swój urok. Buddyjska rezygnacja? A może ataraksja greckich filozofów? Nie czuli do siebie już nic i być może była to jedyna trwała rzecz, jaką niosła im przyszłość.

– Myślałam o tej marei – powiedziała, siadając obok niego i opierając nogi o kolumnadę parapetu.

Leniwie zapaliła papierosa. Loïc poczuł ulgę – to tylko banalna rozmowa śledczych.

– Ta marea nie została wypożyczona i nie należy do Balaghina.

– Skąd wiesz?

– Wszyscy przyjechali na spotkanie własnymi pojazdami: mój ojciec, Balaghino i nieznajomy.

– I co z tego?

Woń tytoniu mieszała się z zapachami wieczoru. Pomyślał o gorzkim dymie wypalanych pól, unoszącym się tuż nad ziemią. To skulone, zwęglone powietrze zawsze przyprawiało go o dreszcz rozkoszy. *Woń śmierci*…

– Mareę wypożyczył mu po prostu hotel. To grzecznościowa przysługa. We Florencji oferuje się taką możliwość, żeby pomóc klientom. Jutro rano przejedziemy się po hotelach i sprawdzimy to.

Zapadła cisza, którą odmierzał rechot ropuch. Niski, nieharmonijny, ponury. Loïc obawiał się, że teraz Sofia zacznie przywoływać wspomnienia z tej dużej willi albo, co gorsza, wykona jakiś czuły gest. Równie prawdopodobny wydawał mu się inny scenariusz – wypytywanie współczującym tonem o jego uzależnienie.

Jak zwykle powiedziała jednak coś, czego nigdy by nie przewidział:

– Spałam z twoim bratem.

Podskoczył i wreszcie na nią spojrzał. Idealny, niewzruszony profil, nakreślony jednym pociągnięciem. I te cholerne azjatyckie oczy, które

zawsze przydawały jej twarzy dwuznaczności, wyostrzając ją i jakby osłaniając woalem tajemniczości.

Natychmiast przyjął to do wiadomości, bo jego brat, ten samiec alfa, zawsze miał bzika na punkcie nieprzystępnej bratowej. Uosabiała wszystko, czego sam nie miał: szlachectwo, wyrafinowanie, snobizm. Ale co mogło się podobać Sofii w tym brutalnym glinie? Właściwie Loïc nie wiedział, co naprawdę lubi Sofia.

– Kiedy? – zapytał jak każdy rogacz na tej ziemi.

– We wrześniu.

– Kiedy prowadził śledztwo w sprawie Człowieka Gwoździa?

Jej milczenie było potwierdzeniem.

– To jeszcze trwa?

– Nie.

– Sprawa jest zakończona czy tylko się zastanawiacie?

Zaśmiała się cicho. W ten sposób dała mu do zrozumienia, że nie zna odpowiedzi. Loïc nie miał nic do dodania. Nie byli już razem, Sofia była wolna, a on nic do niej nie czuł, więc trudno było mówić o zazdrości. Prawdę mówiąc, wolał wyobrażać sobie byłą żonę w ramionach swojego brata niż z którymś z tych błyskotliwych i hałaśliwych przedstawicieli włoskiej *jet-set*. Myślał przede wszystkim o dzieciach. Gdyby sprawa stała się poważna, Milla i Lorenzo po prostu częściej widywaliby się z wujkiem – trochę niezdarnym w kontaktach z nimi, ale życzliwym.

Najważniejsze jednak, że Erwan gwarantował stałe i silne oparcie, był kimś bliskim. Tego nie potrafił zapewnić Loïc. Dla dobra dzieci Loïc gotów był oddać Erwanowi swoje miejsce. Już myśl o tym związku uspokajała go tak samo jak świadomość, że Erwan jest przy Gaëlle, że obserwuje jej szaleństwa i chroni, podczas gdy on myśli tylko o tym, żeby odpłynąć w jakimś squacie, albo handluje własną dupą, marząc o złapaniu AIDS.

Nagle zrozumiał, co naprawdę czuje, i zachciało mu się rzygać. Jego brat wszedł na pokład, więc on, Loïc, mógł rzucić się do wody.

I nareszcie umrzeć.

62

Już dawno nie spędziła tak miłego wieczoru.

W tej nocnej wyprawie wszystko ją podniecało. Wyruszyła incognito wraz z dziewczyną ubraną w Emmaus. Opustoszałe przedmieście przypominało odlane z betonu mrowisko. Ulice, którymi jechała tego ranka taksówką, tropiąc Katza, teraz dawały jej przewagę nad Audrey. Nawet samochód policjantki, rozklekotany hyundai, który cuchnął McDonaldem, wydawał się egzotyczny. Drażniło ją tylko, że ochroniarze wciąż trzymali się jej jak rzepy psiego ogona, ale przecież wsparcie mogło im się przydać.

Nawet jej strój był wydarzeniem – ubrała się w czarny dres, który nosiła wyłącznie na gimnastykę. Była Irmą Vep, bohaterką *Wampirów* Louisa Feuillade'a, wślizgującą się do domów, by siać w nich śmierć i chaos.

A teraz była już przed cmentarzem.

Minęły bramę i zaparkowały nieco dalej. Cofnęły się i bez problemu przeszły przez ogrodzenie, nie zwracając uwagi na ochroniarzy, którzy oniemieli. W parę sekund dostały się na cmentarz i zanurzyły w wielkim jeziorze kamienia i niezmąconej ciszy.

– Tędy – szepnęła Gaëlle.

Noc pogłębiała monotonię cmentarza. Setki grobów tego samego, szaroczarnego koloru, niemal identycznych. Olbrzymia, już ostatnia sypialnia.

– Powiedz mi: to cię bawi? – zapytała z lekką niechęcią Audrey.

– A ciebie nie?

Policjantka nie odpowiedziała. W końcu doszły do grobowca Hussenotów i wsunęły dłonie w rękawiczki chirurgiczne. Teraz ta budowla wydała się Gaëlle potężniejsza niż rano, a przede wszystkim – bardziej posępna.

Kute żelazne drzwi, zupełnie jak z filmu, którego akcja rozgrywa się w starożytności, były nabite masywnymi czarnymi ćwiekami. Audrey

otworzyła torbę, w której przyniosła imponujący jak na tak kruchą kobietę zestaw narzędzi.

– Patrz, czy nie zbliża się tu strażnik albo ktokolwiek inny.

Gaëlle posłusznie rozglądała się po alejkach, obserwowała strefy mroku między krzyżami. Kamienny las odpłacał jej zimnym jak lód, obojętnym spojrzeniem. Tymczasem Audrey majstrowała przy zamku, klnąc pod nosem. Im bardziej się denerwowała, tym mniej była ostrożna, a niepotrzebne narzędzia rzucała na dno torby, nie zważając na głośny brzęk metalu. Gaëlle miała wrażenie, że te hałasy słychać było aż na obwodnicy.

W końcu policjantka odetchnęła z ulgą i otworzyła drzwi. Gaëlle pomyślała, że podobne chrapliwe jęki jej towarzyszka wydaje, przeżywając orgazm. W grobowcu, za kilkoma schodkami, znajdował się przedsionek, a dalej krata o niezwykłym wzorze – tworzące go sylwetki i symbole nawiązywały do egipskich hieroglifów. Przyniesione rano kwiaty stały przed tą kratą, jeszcze piękne i świeże. Gaëlle przypomniała sobie niosącego je Katza. W tej historii kryła się jakaś tajemnica, coś graniczącego z obłędem.

Krata była zamknięta. Audrey znów sięgnęła po narzędzia, a Gaëlle wzięła latarkę i próbowała zajrzeć przez kratę do komory.

– Przyświeć mi, do cholery! – warknęła Audrey.

Gaëlle zwróciła strumień światła na zamek. Zaraz potem usłyszała charakterystyczny dźwięk. Zawiasy nawet nie zgrzytnęły, co mocno ją zdziwiło, bo wszystko tu przypominało film grozy. Weszły i zobaczyły trzy trumny – po jednej stronie dwie małe, po drugiej dużą, wszystkie na katafalkach. Popatrzyły na siebie: dlaczego nie złożono ich pod płytą?

Ustawiony na wprost klęcznik sugerował, że ktoś szuka tu skupienia, że w samotności pogrąża się w smutku, co potwierdzały ślady kolan na aksamicie wyścielającym mebel.

Gaëlle starała się opanować drżenie lampy. Podszedłszy bliżej, stwierdziła, że trumny nie są drewniane. Wykonano je z matowego materiału – niepolerowanego kamienia. Na półce stały trzy urny, odtwarzające w odpowiedniej skali różnicę wielkości trumien. Przejmujący widok. Mimo wszystko Gaëlle położyła rękę na największej trumnie i znów się zdziwiła – wieko było z drewna, ale pokrytego ciemną farbą. To nie był koniec niespodzianek – pokrywa się ruszała.

– Kurwa – wycedziła przez zęby – nie jest zamknięta.

Bez namysłu wsadziła latarkę do ust, a potem pchnęła pokrywę – w trumnie były zwłoki, ale od stóp do głów owinięte szarą taśmą. Wyglądało to tak niesamowicie, że cofnęła się, odruchowo biorąc latarkę do ręki. Potem z niedowierzaniem patrzyła na mumię, do złudzenia przypominającą te z Luwru. Bandaże były tak samo poczerniałe, sylwetka ściśnięta, jakby przyduszona i skrępowana, co nie pozwoliło jej urosnąć.

Kobiety stały nieruchomo. To dziwne odkrycie, a także atmosfera sanktuarium i groźny charakter zwłok zmroziły im krew w żyłach. Otrząsnąwszy się ze zdumienia, Gaëlle powróciła do pierwotnej idei: w tej trumnie nie spoczywał Philippe Hussenot. Bez wahania zaczęła obmacywać twarz nieboszczyka. Jedna z taśm zsunęła się na wysokości skroni. Chwyciła ją i rozwinęła. Domyślała się, że stojąca po drugiej stronie trumny Audrey obserwuje ją, pełna oburzenia, jednak nie próbuje powstrzymać jej ani słowem, ani gestem, bo w gruncie rzeczy także chce poznać prawdę.

Gaëlle odsłoniła już czoło – szarą, wygładzoną przez dotyk bandaży powierzchnię, a potem oczy – dwie czarne jamy, do których dna przylgnęły powieki. Pochyliła się, żeby potwierdzić to, co przeczuwała – gałki oczne zostały usunięte. Równie zimna jak mumia, nadal zdejmowała bandaż z twarzy. Kiedy doszła do brody, musiała pogodzić się z faktami: to był naprawdę mężczyzna ze zdjęcia. Philippe Hussenot spoczywał w trumnie, w pozieleniałej, zasuszonej postaci. Kto kazał poddać go takim zabiegom? Katz? Była żona? Jakiś krewny?

Zwróciła oczy na trzy urny ustawione nieco wyżej, na półce. Kiedy je zauważyła, myślała, że zawierają prochy. Ale złożono w nich narządy wewnętrzne. Starożytni Egipcjanie umieszczali trzewia zabalsamowanych zmarłych w wazach, które nazywano kanope. Przypomniała sobie inne szczegóły (jako nastolatka przez pewien czas fascynowała się czasami faraonów) – jak przed balsamowaniem wyjmowano przez nozdrza mózg zmarłego, posługując się specjalnym hakiem, jak myto oczyszczoną z trzewi jamę brzuszną winem palmowym, a potem posypywano tłuczoną mirrą, cynamonem i innymi wonnościami…

Cofnęła się. Teraz była już pewna – cały ten cyrk to dzieło Katza. Wyobrażała go sobie w masce Anubisa: głowie czarnego psa o szpiczastych uszach, nakładanej przez zajmujących się zwłokami Egipcjan, i moczącego bandaże w gumie przed owinięciem nimi zwłok.

Po co to zrobił?

Co łączyło go z Hussenotem?

W blasku latarki Audrey kobiety popatrzyły na siebie i zrozumiały się bez słów. Nie mogły stąd wyjść, nie zaglądając do sarkofagów dzieci.

63

Kiedy słońce wreszcie wstało, Erwan był innym człowiekiem.

Skulony pod spróchniałym pniem, zagrzebany pod stertą liści, nie czuł już ani ukąszeń komarów, ani innych owadów, od których roiło się w jego kryjówce. Otulony peleryną przeciwdeszczową – nieodzowną w Afryce – stał się po prostu częścią chaosu.

Gdy dotarło do niego, że „Vintimille” naprawdę odpłynęła, poderwał się do biegu, żeby jak najbardziej oddalić się od Tutsi. Szukał jakiegoś osłoniętego kąta, gdzie mógłby wylizać rany. Już nie myślał, nie miał żadnej nadziei – pozostało mu sprowadzić swoje zachowania do tych prymitywnych, żeby przetrwać. Wędrował tak przez ponad godzinę, zanim ukrył się w spróchniałym pniu, między korzeniami i trzciną. Zasłonił jamę liśćmi i gałęziami. Strzały, wybuchy, trupy, drżenie strachu i śmierci – to wszystko krążyło, iskrzyło w jego ciele jak ładunki elektryczne. Wtulił się w pień i po prostu czekał, aż ten huk ucichnie i jego mózg wreszcie zacznie funkcjonować.

Przez długie godziny nie ruszył się nawet o milimetr, obawiając się, że ktoś go wyciągnie z jego nory. Miał nadzieję wtopić się w pejzaż, ale stało się inaczej – to żarłoczna dżungla wtopiła się w niego. Przeniknęła go, wchłonęła, roztopiła. Stał się wydzielaniem, mchem, pleśnią – i to wtedy, gdy jego umysł odzyskiwał pewną autonomię.

W środku nocy, kiedy miał pewność, że wokół nie ma żadnej innej istoty ludzkiej, zaczął zastanawiać się nad swoim położeniem. Powinien za wszelką cenę znaleźć jakiś sposób, żeby wydostać się ze strefy walk. Ale przedtem musiał znaleźć pirogę, przepłynąć na drugi brzeg i spotkać się z Faustinem zwanym Mefisto, dawnym nocnym stróżem z Cité Radieuse. Nie zamierzał opuszczać Lontano, dopóki nie pozna wszystkich odpowiedzi.

Próbował dodzwonić się do ojca, ale mu się nie powiodło. Potem wpadł na pewien pomysł: Danny Pontoizau, kanadyjski komendant MONUSCO,

który ostrzegał go, że w żadnym razie nie powinien jechać do Górnej Katangi. Erwan zdołał się z nim połączyć około północy. Powitały go przekleństwa, łajanie, kanadyjskie obelgi. Kiedy oficer w końcu się uspokoił, Erwan opisał mu sytuację.

– Zagotowało się tam? – zapytał Pontoizau.

Świat stanął na głowie. Erwan, cywil, obcy na tej ziemi, opowiadał mu o rzezi. Wiadomość o wznowieniu walk nie była dla oficera dobra.

– A broń?

Erwan wspomniał o arsenale, jaki widział (a raczej czuł) – moździerzach, wyrzutniach rakiet Javelin, RPG, karabinach maszynowych, w tym MK 12. Pontoizau pytał go też o FHLK i stan tych sił po starciu. Odpowiedź sprowadzała się jednak do domysłów. Milczenie w słuchawce było wymowne – Kanadyjczyk nie mógł się otrząsnąć. Erwan wykorzystał ten moment, żeby przejść do swojej sytuacji: mógł tu przetrwać najwyżej kilka godzin.

– Mam na myśli „przeżyć”.

– I dobrze ci tak, durniu!

– Pańskim obowiązkiem jest…

– Nie pieprz mi tu o obowiązku! Taki z ciebie chojrak? Wpakowałeś się tam, a teraz myślisz, że nie mam nic lepszego do roboty niż cię ratować?

I znowu się zaczęło. Wojskowy wrzeszczał i Erwan zaczął się bać, że ktoś go usłyszy.

Potem, kiedy Francuz stracił już nadzieję, Pontoizau rzucił to magiczne zdanie:

– Nie ruszaj się, jedziemy po ciebie.

– Podać panu moje położenie?

– Wiem, gdzie jesteś. Twoje Iridium wskazuje pozycję.

Niespodzianka! Czyli ojciec od początku dokładnie wiedział, gdzie znajduje się Erwan. Znów przekonał się, jaki jest naiwny. Stary zawsze go pilnował. Ale to nie była najlepsza okazja, żeby się oburzać, wręcz przeciwnie – mógł przeprawić się przez rzekę i przejść na tereny Hutu, bo Pontoizau i tak z łatwością go znajdzie.

Dorzuciwszy jeszcze parę obelg, oficer obiecał mu odezwać się rano. O pierwszej w nocy, wciąż tkwiąc w tej wilgotnej norze, Erwan nasunął na jej otwór więcej liści i zaryzykował, włączając latarkę. Nadeszła pora na drugi akt: informacje o dzieciństwie Morvana.

I właśnie dlatego sześć godzin później Erwan stał się innym człowiekiem.

Dowiedział się w końcu, kim jest jego ojciec.

64

Na początku 1970 roku Michel de Perneke prowadził we Francji poszukiwania, mające dostarczyć mu informacji o pacjencie, który mocno go zaintrygował. Musiał opłacić detektywa i błagać o pomoc kolegę psychiatrę, poza tym zmobilizować grupę studentów, trzeba jednak przyznać, że informacje zebrano starannie, zyskując wyczerpujący materiał. Raporty policyjne, wycinki prasowe, relacje świadków, dokumenty z urzędu stanu cywilnego, analizy ekspertów. Na podstawie tego materiału można było odtworzyć przerażające dzieciństwo Grégoire'a Morvana.

Wszystko zaczęło się podczas drugiej wojny światowej. Nie tej poronionej wojny, którą Francja (źle) prowadziła z Niemcami, i nie od lądowania aliantów ani nawet nie w latach podziemnej walki Résistance. To stało się w szarym, monotonnym, by nie powiedzieć: banalnym okresie okupacji. Czarny rynek i zielone mundury, kolaboracja i kompromis. Champeneaux, Pikardia, okolice Noyon. Wówczas miasteczko liczyło siedem tysięcy mieszkańców. Niewiele da się o nim powiedzieć poza tym, że znalazło się pod okupacją w 1940 roku, po przełamaniu linii Weyganda. Przez cztery lata ludzie żyli tam pod niemieckim butem (oddalone o trzydzieści kilometrów Compiègne było pierwszą siedzibą naczelnego dowództwa niemieckiego) i z wrogiem dogadywano się całkiem dobrze – administracja podporządkowała się nowym władzom, rolnicy paśli szwabów, mieszkańcy byli potulni wobec najeźdźców. Kiedy nadeszło wyzwolenie, wszystko się zmieniło – ludzie przegrali wojnę, ale nie zamierzali przegrać pokoju. Ci, którzy pokornie przyginali karku, teraz odnaleźli w sobie zdumiewające pokłady patriotyzmu, a przy okazji zapragnęli odwetu. I oto Champeneaux pobiło smutny rekord, osiągając najwyższy odsetek ogolonych kobiet w przeliczeniu na mieszkańca. A golono te, które „sypiały ze szwabami".

Do ich grona należała Jacqueline Morvan, dwudziestodwuletnia sekretarka w sztabie Wehrmachtu w Noyon. Tuż po wyzwoleniu

aresztowano ją za „współpracę z wrogiem” i „kolaborację poziomą”, jak to się wówczas mówiło. We wrześniu 1944 roku wyprowadzono ją z celi, aby osądzić pod pręgierzem przy szkole. Widownia szalała. Jacqueline rozebrano i ogolono. Mężczyźni wycięli jej nożem swastykę na czole, a potem szczególnie agresywna grupa (w tym kobiety) zaciągnęła ją na skraj miasteczka, żeby ją ukamienować. Kiedy biedaczka była jedną wielką raną, sikali na nią. Potem zostawili ją, żeby skonała przy drodze.

Jej zbrodnia? Młoda maszynistka przez dwa lata była kochanką oficera Hansa Jurgena Herhoffera, z zawodu pisarza, kapitana intendentury Wehrmachtu, kierującego służbami zaopatrzenia wojsk niemieckich w Pikardii. Słowem – fryca, jakich wielu – ani lepszego, ani gorszego od całej reszty. Ale przez lata idylli Jacqueline najadała się do syta.

Wiosną 1944 roku Herhoffera wysłano na front wschodni i więcej nikt o nim nie słyszał. Kilka miesięcy potem Jacqueline drogo zapłaciła za swój grzech, ale nie umarła. Dowlokła się jakoś do domu odziedziczonego po rodzicach. O tym, jak się wykurowała i wyżywiła, nie ma żadnej wzmianki, jednak kiedy tylko zaczęła się poruszać, zabiła deskami drzwi i okna domu i żyła w zamknięciu.

Czas mijał. Mieszkańców Champeneaux ogarnęły wyrzuty sumienia, toteż co tydzień nosili dziewczynie żywność, ubrania, papierosy, drewno na opał – i wkładali to wszystko przez róg okna, które Jacqueline otwierała, by odebrać zaopatrzenie. Nikt nigdy jej nie widział. Stała się miejscową tajemnicą. Powodem wstydu i zakłopotania. Karmiąc ją, mieszkańcy mieli nadzieję odpokutować za swoje winy.

Z czasem przywykli do jej obecności. Mówili o niej jak o żebraczce, jak o osobie z marginesu czy wręcz potworze. Jej dom stał tuż pod lasem, a ludzie unikali go, jak mogli. W 1947 roku wybudowano nawet nową drogę, żeby nie zbliżać się do tego miejsca. Czasami przy kominku opowiadano o niej najdziwaczniejsze historie. Mówiło się, że postradała rozum, że wciąż goliła głowę, że okaleczała sobie ciało nożem ogrodniczym, który dostała od swojego fryca. Ponoć czasem słychać było, jak bredzi, ukryta w domu, jak śpiewa po niemiecku, jak się śmieje, płacze, wyje.

Ale przede wszystkim opowiadano o dziecku.

Ta pogłoska rozeszła się w 1945 roku. Zaszła w ciążę ze swoim szwabem i urodziła sama w tym swoim chlewie – smród bijący od domu zwalał

z nóg. Niektórzy wspominali o płaczu dziecka, inni o jakiejś drobnej postaci, która o świcie krążyła wokół budynku. Opowiadano też, że prosiła o ubranka dla chłopca.

Problem Morvan pogłębiał się z biegiem lat. Na każdej radzie regionalnej sprawa Jackie – bo wszyscy nazywali ją wciąż tak jak wówczas, kiedy lizali jej buty, żeby dostać trochę masła i innej świeżej żywności – powracała. Czy należy wejść do jej chałupy? Czy należy powiadomić służby socjalne? A może siły porządkowe?

Miasto zdecydowało się w końcu podjąć działania… w 1952 roku. Żandarmi wyłamali drzwi i ujrzeli sterty śmieci. Dom był całkowicie wypełniony odpadami. W jednym z pomieszczeń niemy, prawie nagi chłopiec siedział przy martwej od tygodni matce. Ciało Jacqueline było wzdęte, sinozielone, naznaczone swastykami. Chłopiec wyglądał jak kościotrup, był cały w strupach i ranach. Tym razem mieszkańcom Champeneaux nie udało się zdusić skandalu. Regionalne media ściągnęły do miasteczka. Robiono zdjęcia. Pisano artykuły.

Dla Erwana ta część dokumentacji byłą najcięższą lekturą. Artykuły z pożółkłych gazet, publikowane na pierwszych stronach brukowców. Kto je odnalazł? Detektyw. Erwan przez całą noc oglądał fotografie: zwłoki matki, chłopiec owinięty kocem, odrażające wnętrze domu. Zmuszając się do patrzenia na te obrazy w blasku latarki na czole, musiał wciąż sobie powtarzać, że rozkładający się trup to jego babka, a to dzikie dziecko o osłupiałych, pełnych przerażenia oczach to Grégoire Morvan, Padre.

Szpiclowi albo szpiclom Perneke’a udało się dotrzeć do raportów służb socjalnych, wyników badań psychiatrycznych. Na tej podstawie można było prześledzić dalsze losy chłopca, który nie nosił jeszcze imienia Grégoire, a sam znał tylko to, jakie nadała mu matka – *Kleiner Bastard* – po niemiecku mały łajdak albo mały bękart.

Podczas kolejnych godzin spędzanych z lekarzami dziecko w ciężkiej traumie zaczęło z trudem wypowiadać się we francusko-niemieckim pidżynie. Powoli sączyło różne szczegóły – matka włócząca się w zawsze tym samym brudnym szlafroku, jej łysa głowa (wciąż się goliła, a potem kazała to robić synowi), swastyka na czole – paskudząca się, zainfekowana rana, ich bydlęce życie na ekskrementach.

Jacqueline funkcjonowała w innym świecie – roiła o zemście na mieszkańcach miasteczka i wciąż do szaleństwa kochała swojego szwaba,

a do syna czuła wstręt i pastwiła się nad nim, chyba że właśnie pomyliła go z kochankiem. Domyślano się ze słów chłopca, a raczej z tego, co się między nimi kryło, że wykorzystywała go seksualnie. Pewne fragmenty tych zapisów były makabryczne: jak przypalała jego ciało papierosami, jak je cięła, jak ścigała syna na śmietnisku, w tym zamkniętym, wyziębionym domu, żeby „mu to robić”.

Dziecko trafiło pod opiekę państwa. Z dokumentów nie wynika, dlaczego nadano mu imię Grégoire. Po kilkumiesięcznym pobycie w instytucie psychiatrii dziecięcej przeniesiono go do domu dziecka pod Soissons, a następnie do ośrodka w Beauvais i wreszcie do rodziny zastępczej na przedmieściach Paryża. W teczce znalazły się też informacje o tych latach integracji – Grégoire adaptował się do życia, ale nigdy nie nadrobił opóźnienia w nauce.

Erwan próbował sobie wyobrazić, jak funkcjonował mózg dzieciaka, który przeszedł taką udrękę – urazy, niedobory, frustracja tylko czekały, żeby znaleźć ujście w brutalności i szaleństwie. Zresztą w opiniach szkolnych wspominano o problemach z wychowankiem: kradł, znieważał, wdawał się w bójki.

Uzyskawszy w końcu świadectwo ukończenia szkoły, Grégoire odbył służbę wojskową i został „strażnikiem pokoju” czy – jak wówczas mówiono – „sierżantem miejskim”, i pilnował porządku na ulicach. Nauczył się zachowywać jak należy. Dzięki mundurowi i dyscyplinie powrócił do stanu normalności, przynajmniej na pozór.

Erwan zrozumiał, ile kłamstw przez całe życie szło za starym, który wymyślił sobie bretońskie korzenie, podbudował się przodkami – on, mały bękart, owoc zdrady i grzechu. Bulwersowało go coś jeszcze – te karty czytał przed nim Perneke. Opatrzył je notatkami, podkreśleniami całych stron, komentował na marginesie. Ten niezwykły przypadek zafascynował psychiatrę, który zrobił z Grégoire’a, młodego policjanta zagubionego w tropikach, swojego królika doświadczalnego, przedmiot studium i eksperymentów.

Dalsza część dokumentacji nie była dla Erwana tak interesująca, bo odnajdywał w niej ojca, którego znał. To już była historia początkującego szpiega, żądnego władzy, skłonnego wykorzystać informacje zbierane na prawo i lewo. Raporty departamentów wywiadu i bezpieczeństwa wewnętrznego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych dowodziły, że młody

rewolucjonista z maja 1968 roku bawił się już w potrójnego agenta, lawirując między trockistami, SAC a socjalistycznymi policjantami. W końcu poplątał się w tych rolach i pod wpływem amfetaminy rzucił się na faszyzujących bojowników, chociaż walczył u boku swoich niby-kolegów z SAC. Wyrzucono by go z policji, ale uniknął tego dzięki informacjom zdobytym podczas akcji policji równoległej. Skończyło się na wygnaniu do Gabonu, gdzie miał szkolić straż osobistą Omara Bongi. Tak narodził się legendarny Morvan, pogromca morderców i szpieg.

Aż do świtu Erwan przetrawiał te informacje, raz po raz powracając do początków, do *Kleiner Bastard* z najmłodszych lat. Nie zakładał, że te odkrycia jakoś wykorzysta, jednak wnioski były wstrząsające – inaczej patrzył na ojca, na potwora i kata własnej matki, na skrajnego łotra…

Właśnie nad tym rozmyślał, kiedy poczuł wibracje telefonu. Upłynęło kilka sekund, zanim odebrał ten bodziec, bo leżał skulony, w pozycji płodowej, a odrętwiałe ciało zatraciło wrażliwość. Potem wolno wyjął aparat z wilgotnej torby i spojrzał na ekran: ojciec.

Zanim odebrał, zauważył dwie rzeczy.

Po pierwsze, wzeszło już słońce.

Po drugie, płakał rzewnymi łzami.

65

Morvan przez całą noc płynął po rzece w pirodze z silnikiem. Towarzyszyli mu Cross i milczący pilot – łatwo można by o nim zapomnieć, gdyby nie sprawność, z jaką radził sobie ze zdradzieckimi prądami i z bystrzynami. Około trzeciej nad ranem Morvan zauważył, że syn próbował się z nim skontaktować. Jak mógł to przeoczyć!? Oddzwonił, ale na próżno. Ponawiał próby do świtu, kiedy w końcu Erwan odebrał.

– Jak tam jest? – zapytał bez zbędnych wstępów.

– Gorąco. Walili ze wszystkich stron.

– Słyszeliśmy strzały.

– Już po wszystkim.

– Do następnego starcia. Gdzie Salvo?

– Znasz go?

– A jak ci się wydaje? Myślałeś, że pozwolę, żebyś jechał sam jak palec i bezbronny?

Zapadło milczenie, jakby po drugiej stronie Erwan oceniał, jak dał się oszukać. Ale tego Morvan nie żałował – nad swoimi trzeba czuwać. Zresztą on sam dał się omamić Banyamulendze.

– Zniknął. Z walizką pełną kasy.

– Dla kogo?

– Dla Ducha Śmierci.

To nie było zaskakujące – Salvo, pół-Kongijczyk i pół-Tutsi, zawsze służył jako posłaniec, wędrował między ludami, które się nienawidziły. Upiekł trzy pieczenie na jednym ogniu – najpierw wziął pieniądze od Morvana za towarzyszenie jego synowi, potem od Erwana za pomoc w śledztwie, a do Lontano dotarł po to, żeby przekazać pieniądze za jakiś przemycony towar, i pobrał prowizję. Może zresztą zbił jeszcze czwarty interes, ulatniając się z kasą.

Erwan potwierdził zdyszanym, znużonym głosem:

– Nie wiem, co wymyślił ten łajdak… Pokonał ze mną całą drogę, a w ostatniej chwili wyparował jak kamfora. Kto wie, może zabrał walizkę i wsiadł do samolotu, a teraz jest w Europie.

Morvan domyślił się, co planował Salvo – śmierć Erwana miała stać się dla niego zasłoną dymną. Gdyby Europejczyk zginął w Lontano, wszyscy skupiliby się na tym incydencie, nie myśląc o Salvo. Tutsi musieliby spisać te pieniądze na straty. *Pieprzony czarnuch!* Jakiś afrykański Sun Tsu powinien w końcu napisać *Sztukę siania zamętu*.

– Co z „Vintimille”?

– Nie czekała na mnie.

Morvan zaśmiał się szyderczo.

– Mój koteczku, masz szczęście, tato już po ciebie płynie.

– Co takiego?

– Myślałeś, że pozwolę, żeby te dzikusy cię zżarły?

– Oszczędź sobie wysiłku. Dzwoniłem do Pontoizau, dowódcy sztabu MONUSCO w Lubumbashi. Zabiorą mnie stąd za kilka godzin.

Niegłupi pomysł – w katangijskiej dżungli żołnierze ONZ, mimo że dawano im miliony, byle nie ruszali się z miejsca, byli jedyną formacją zasługującą na zaufanie. Morvan tylko raz widział Kanadyjczyka. Facet wyglądał jak sejf z białą głową, a mówił, używając trudnej do zrozumienia mieszanki języków. Trudno powiedzieć, co był wart – to można będzie ocenić po efektach jego działania.

Rozmyślając, podziwiał krajobraz. Piroga rozcinała wodę, otaczając się dwoma skrzydłami złocistej piany. Czekał na tę chwilę przez całą noc. Wschód słońca. Busz, jak okiem sięgnąć, drżał, roztaczając cudowny blask.

– O której mają się pojawić?

– Rano. Helikopterem. Mają do mnie dzwonić.

Pontoizau na pewno nie wziął Pumy – była za ciężka i zbyt hałaśliwa, nie użył też Apache’a ani Tigre’a – zbyt agresywnych. Wybrał raczej Dauphina, nadając w ten sposób wyprawie charakter akcji ratunkowej na morzu. Tak czy inaczej, koszty były znaczne jak na jednego idiotę, który wpakował się na teren ogarnięty wojną. O tym, że jakiś szaleniec z RPG mógł wziąć ich na cel, bo w Katandze wszystko było możliwe, nie warto nawet wspominać.

– Dobrze się ukryłeś?

– W spróchniałym pniu.

Morvan parsknął śmiechem, ale pomyślał, że nie należy okazywać, jak bawią go rozpaczliwe zachowania zagubionych w Afryce.

– Nie ruszaj się stamtąd. Będę w Lontano koło dziesiątej.

– Tato, doceniam twoje starania, ale możesz wracać tam, skąd przybyłeś.

– Coś mi się wydaje, że twoje położenie nie pozwala na takie dyskusje.

– Powiedziałem ci przecież, że Pontoizau…

– Nas dwóch to wcale nie za dużo, żeby podcierać ci tyłek. Zostań tam, gdzie jesteś, i spokojnie na mnie czekaj.

– Nie. Muszę jeszcze spotkać się z kimś za rzeką.

Faustin Munyaseza.

– Gdybyś był psem, dawno by cię uśpili. Kiedy wreszcie dasz sobie spokój? Do diabła, myślisz, że możesz bawić się w marną namiastkę Maigreta i świecić tyłkiem na polu bitwy, kiedy wokół świszczą kule? Że helikoptery za miliony euro sztuka będą po ciebie latały, a ojciec zawsze wskoczy do jakiejś gównianej łupiny, spiesząc ci z pomocą?

Teraz to Erwan się roześmiał: kontrast między sprzętem, jakim dysponowała MONUSCO, a tym, co zdobył ojciec, najwyraźniej go rozbawił.

– Tato, powtarzam, że doceniam twoje dobre chęci…

– Kim jest ten świadek? – zapytał Grégoire, próbując zachować pozory.

– To Mefisto, dowódca Interahamwe. Podejrzewam, że jego nazwisko nie jest ci obce.

– Myślisz, że coś z niego wyciągniesz? – zapytał, ignorując uwagę syna.

– Warto spróbować.

– Jak chcesz go znaleźć?

– Pójdę śladem trupów.

– A co z przeprawą przez rzekę?

Erwan nie odpowiedział. Prawdopodobnie dotarło do niego, jak absurdalna jest jego sytuacja. Ale Morvan nie pokładał większych nadziei w problemie z przeprawą, wiedział, że ten uparty osioł jakoś sobie poradzi.

– Radzę ci nie wychylać nosa z tego pnia – perswadował. – Nie prowokuj losu. Dotąd szczęście ci dopisuje, nie nadużywaj go.

Nagle piroga zwolniła. Wpływali w korytarz z liści. Warczeniu silnika zawtórowały krzyki małp i śpiew ptaków. Z wyciągniętego ramienia Boga przemieszczali się teraz do jego domu, do katedry. Strzelista architektura, witraże na sklepieniach, zapachy wydzielane przez rozkładającą się korę.

Potęga Afryki, kiedy przechodziła od bezkresu do skromnych rozmiarów intymności, otchłań nieba kuszącego jak konfesjonał – to wszystko chwytało za gardło. W Europie przyszłość odczytuje się z linii ręki. Tutaj z żyłkowania liści.

– Tato… czytałem twoją dokumentację.

Erwan powiedział to z powagą, niemal podniośle.

– Jaką dokumentację?

– Tę, którą zgromadził de Perneke.

Grégoire zawsze wiedział, że te papiery istnieją. Szukał ich całymi tygodniami i miesiącami po ucieczce tego drania. W końcu uznał, że Belg zabrał je ze sobą. Pomylił się.

– Co z tego? – zapytał na pozór obojętnie.

– Wiem, co wydarzyło się w Champeneaux.

Morvan skupił się na pejzażach, żeby nie słuchać. Piroga znów płynęła w słońcu. Wydawało się, że leci ku światłu, jak na obrazie Chagalla. Zmrużył oczy, chroniąc je przed gorącym blaskiem. I nagle zauważył, że syn milczy.

– Nie wychodź z ukrycia – powtórzył. – Przyjdę po ciebie.

Rozłączył się i spuścił oczy, pozwalając, by przeniknęło go staccato silnika i szmer wody. Czuł, jak te drgania ogarniają jego nerwy, jak zapach paliwa przesącza skórę, a krople wody chłoszczą twarz… Rozegra to jak Salvo – dwie pieczenie na jednym ogniu – odzyska syna i zabije Mefisto w imię starych dobrych czasów. Hutu był nie tylko kłopotliwym świadkiem, ale w dodatku obrzydliwym śmieciem i miał na sumieniu setki zabitych. „Jeden Hutu mniej to jeden kwiat więcej” – mówiło przysłowie Tutsi.

Zauważył, że rzeka się zmieniła. Woda stała się teraz czarna jak strumień gorącej, dymiącej smoły. Bura piana zdawała się kalać źrenice. Uniósł głowę – nadciągały poranne burze, powolny korowód mrocznych myśli i przepowiedni Kasandry.

Nie obawiał się śmierci. Bał się tylko osądów.

Erwan, co dokładnie wiesz?

66

Erwan znalazł nową ścieżkę nad brzegiem rzeki, także osłoniętą gęstym pasem wysokich traw. Czasami brodził po kostki w błocie, czasami lateryt odzyskiwał czerwoną barwę i stawał się śliski. Oddychał oparami wody. Naciągnął kaptur i spuścił oczy, uważnie patrząc, gdzie stawia stopy. Zdarzało się, że na lewo od niego na powierzchni wody bulgotały kropelki.

Odkąd ruszył w drogę, nie natknął się na żadną łódkę ani na ludzi. Salvo opowiadał mu, że dawniej wystarczyła duża miednica, żeby przedostać się z jednego brzegu na drugi, ale to było przed wojną. Jak przeprawić się przez nią w obecnej sytuacji? Erwan szacował swoje marne szanse, kiedy zza ściany trzcin dobiegł go jakiś hałas.

Odruchowo zacisnął ręce na kałasznikowie. Podszedł po cichu i zobaczył lekką pirogę wyżłobioną w pniu i wyposażoną w nowiutki silnik Enduro Yamaha 45. Dokładnie tego potrzebował. Zbliżył się jeszcze o krok i zamarł. Minęło kilka sekund, zanim uwierzył w to, co widział.

Czarny kończył przygotowania, sprawdzając ładunek, silnik i zapas paliwa. Potem ubrał się w pomarańczową kamizelkę ratunkową, chyba po to, żeby stać się celem dla obu walczących stron, prawdopodobnie jednak po prostu nie umiał pływać.

Poczciwy stary Salvo był już gotów do wielkiej podróży.

Erwan stanął po przekątnej od pirogi i szybkim ruchem uzbroił kałasznikowa. Banyamulenge podskoczył i o mało nie wpadł do wody.

– Szefie – jęknął, wznosząc ręce do góry.

– Stul pysk.

– Nie mogłem postąpić inaczej, ja…

– Powiedziałem: zamknij się.

Wsiąść do pirogi i nie pośliznąć się. Wyprzedzić jej kołysanie. Nie spuszczać czarnego z oczu.

– Szefie – jęczał Salvo, nadal trzymając ręce w górze. – Zaraz ci to wyjaśnię.

– Opowiesz mi po drodze.

– Po drodze?

Erwanowi udało się wsiąść do łódki.

– Płyniemy na drugą stronę.

– Szefie, to bardzo zły pomysł. Moździerze… zaraz znowu się zacznie albo…

Erwan usiadł między bagażami Salva, tuż obok jego walizki. Skinął na czarnego, każąc mu zająć miejsce z tyłu, przy sterze.

– Ruszaj.

Salvo wypełnił polecenie, złorzecząc pod nosem, a tymczasem Erwan uwierzył, że i ten etap wyprawy zakończy się sukcesem.

Kiedy silnik ruszył, czarny zaczął się usprawiedliwiać.

– Nie zamierzałem cię zostawiać, szefie. Ja…

– Skąd masz tę forsę?

– Nie znam nazwisk, przysięgam. Wielkie firmy chcą koltanu.

– To nie ma nic wspólnego z bronią?

– Nie. Trzymam się z daleka od przemytu.

– Ale wiedziałeś o dostawie.

– Usłyszałem o tym w drodze. I tak wpadłem na ten pomysł.

– Jaki pomysł? Żeby mnie zostawić na pastwę Tutsi i pewną śmierć?

– Szefie, na wojnie jak to na wojnie. Kiedy zrozumiałem, że zaraz się zacznie, powiedziałem sobie: Salvo, najwyższy czas zacząć pracować na własną rękę.

– To znaczy?

– Mieć własną kopalnię, własnych pracowników.

Tragedia Afryki: nikt tu nie myśli o zmianie systemu – przemoc, korupcja, barbarzyństwo panoszą się na każdym poziomie. I wszyscy chcą stosować te metody, byle zdobyć dla siebie wygodne miejsce.

– Kłamiesz. Nawet ta piroga to dowód, że wszystko zaplanowałeś.

– Kupiłem ją wczoraj. Przysięgam!

– Z takim silnikiem?

– Kradziony z kopalni, szefie.

– Dlaczego nie wypłynąłeś nocą?

– Ze względu na patrole, szefie. Krążą bez przerwy, jak nie po jednej, to po drugiej stronie.

Salvo marszczył czoło, robiąc zasępioną minę, żeby jego słowa brzmiały bardziej wiarygodnie.

– A ja? Nie przejmowałeś się, że zostawisz mnie z pustymi rękami wśród tych rzeźników?

Banyamulenge z wahaniem kręcił głową – prowadził łódź na niskich obrotach silnika, żeby nie robić hałasu. Teraz płynęli po odsłoniętym odcinku rzeki i stanowili idealny cel. Erwan ukrył się na dnie łódki, żeby nie być aż tak widocznym. Salvo pochylił się, jakby dźwigał na plecach chmury, które uporczywie wisiały na niebie.

– Szefie, biali zawsze wydostają się stąd cało. Jak to się u nas mówi, kiedy Bóg nas tworzył, była noc…

Erwan pomyślał, że gdyby zabił Salva na środku rzeki, nurt zrobiłby resztę. Ale detonacja ściągnęłaby na łódź uwagę wszystkich. A poza tym problem tkwił w czym innym – po prostu nie potrafił z zimną krwią zabić człowieka, za to burząca się krew zabijała go wolno od początku afrykańskiej podróży…

– Co właściwie zamierzasz?

– Już ci mówiłem: opłacić żołnierzy i przejąć kopalnię. Taki mały, spokojny biznes.

– W tym chaosie? – zdziwił się Erwan.

– Wojna kiedyś się skończy, a ja będę miał kieszenie wypchane forsą.

Salvo odzyskał pewność siebie i po każdym zdaniu robił miny, którymi zastępował znaki przestankowe.

– Mój ojciec ci zapłacił?

– Niewiele, szefie. Naprawdę niewiele. Miałem ci tylko pomagać.

– Pomagać czy opóźniać podróż?

– Szefie… – Zaśmiał się mimowolnie. – Zrobiłem, co mogłem.

Erwan w końcu też się uśmiechnął. Można by pomyśleć, że w tym świecie, który istniał jakby w zawieszeniu, człowiek delektował się każdą chwilą, dostrzegając całe jej piękno. Było odwrotnie: życie tu cechowała niepojęta lekkość – było jak pieniądz, który dewaluuje się z sekundy na sekundę.

– Po co chcesz się tam dostać? – zapytał z niepokojem Salvo.

– Muszę się z kimś zobaczyć.

– Z kim?

Wciąż ukryty między torbami a kanistrami z benzyną, Erwan sięgnął po lornetkę i popatrzył na drugi brzeg. Nie dostrzegł najlżejszego ruchu. Widział tylko spalone chaty, powalone drzewa, zmaltretowaną dżunglę. Tutsi także narobili mnóstwo szkód swoimi wyrzutniami rakiet. Domyślał się, że za tymi ruinami kryła się druga część Lontano – dawne getta górnicze, dzielnice chat, które chyba lepiej oparły się upływowi czasu i nie dały się pochłonąć dżungli.

– Z Faustinem Munyasezą – odparł w końcu, odkładając lornetkę.

– Z Mefisto? To niemożliwe! On jest dowódcą Interahamwe!

Chmury zaczynały się rozpraszać i ogromne lazurowe oko nagle poprawiło nastrój Erwana. Zrozumiał, dlaczego zrobiło mu się cieplej na sercu: to za sprawą dokumentacji przedstawiającej dzieciństwo ojca. Przeżyte w tak makabrycznych warunkach najmłodsze lata dawały Grégoire’owi to, czego Erwan nigdy by mu nie przyznał – pewnego rodzaju usprawiedliwienie, okoliczności łagodzące.

67

Od rozmowy telefonicznej z synem Morvan trwał w osłupieniu. Burza nie oczyściła jeszcze nieba i chmury dusiły ziemię, podnosząc temperaturę do iście piekielnego poziomu. Według obliczeń Crossa wkrótce mieli dotrzeć do Lontano.

Twierdzenie, że Grégoire rozpoznawał okolicę, byłoby kłamstwem – przez lata wszystko porosło tu jednakową roślinnością. To normalny cykl – busz zawsze tu był, przed przelotnym marzeniem o podboju przez białych i po nim. W pewnym sensie czarny człowiek, prowadząc wojny, grabieże i siejąc przemoc, wpisywał się w niezmienny ład natury – tutaj nie powinno wyrastać nic oprócz bujnego lasu, tej delikatnej ziemi, która żywiła się sama sobą.

Champeneaux… Szeptał tę nazwę, nie przypominając sobie właściwie żadnych szczegółów. Te sylaby wiązały się w jego pamięci tylko z zamazanym obrazem, ze splotem potworności, z którymi musiał negocjować w lepszych i gorszych fazach życia. Bolało go, że jedno z jego dzieci podniosło głaz i odkryło makabryczną prawdę, która się pod nim kryła. Czy i jego będzie musiał zabić? Chyba osiągnął już granicę swoich możliwości, bo przez całe życie niszczył wszystko, co mogło ożywić przeszłość. Teraz czynił to jego syn i zapowiadał się kres szaleńczych starań Morvana, by zanegować własne pochodzenie.

Piroga wciąż sunęła po rzece. Po nocy spędzonej z tyłkiem na silniku czuł, jak drgają mu gacie.

W kieszeni rozdzwonił mu się telefon. Erwan? Loïc.

– Dzwonisz z samolotu? – zapytał od razu, skupiając się na sytuacji we Florencji.

– Nie.

– Powiedziałem ci, że…

– Mam nowe informacje.

Morvan nie spodziewał się niczego dobrego także po młodszym synu. O ile Erwan drążył zbyt głęboko, o tyle Loïc robił to na opak.

– Chodzi o drugiego uczestnika spotkania z Giovannim – ciągnął Loïc. – To wspólnik Balaghino.

Morvan potrzebował chwili, żeby oswoić się na nowo z tą nieprawdopodobną sceną: Montefiori podczas leśnej narady z mafiosami, obok kilku osiłków – ochroniarzy pilnujących, by sprawy przemytu broni do Kongo załatwiono w spokoju. *A wszystko po to, żeby*…

– Co dalej? – warknął.

Loïc wdał się w skomplikowane wyjaśnienia, w których była mowa o maître d'hôtel, wypożyczonym grzecznościowo samochodzie i…

– Streszczaj się.

– Wczesnym rankiem w poniedziałek dwunastego listopada Villa San Marco wypożyczyła mareę. Sprawdziliśmy: numery rejestracyjne są zgodne z podanymi nam przez maître d'hôtel.

Prawdę mówiąc, historia handlu bronią niewiele obchodziła Morvana. Jak zwykle brali w nim udział łajdacy, jak zwykle była to bezwzględna pogoń za forsą.

– Komu pożyczyli ten samochód? – zapytał mimo wszystko.

– Niejakiemu Danny'emu Pontoizau. To dziwne, bo podał nowojorski adres, ale, zdaniem recepcjonisty, mówił po angielsku z silnym akcentem francuskim.

Morvan nagle zapomniał o silniku łodzi i połyskliwej tafli wody. Zrobiło mu się ciemno przed oczyma.

– Chcesz mi powiedzieć, że Pontoizau macza palce w dostawach broni do Katangi?

– Znasz go?

W gruncie rzeczy nie było to takie dziwne, bo Kanadyjczyk mógł bez problemu uzbrajać dowódców różnych sił w północnej Katandze. Już w terenie, uzbrojony po zęby, prawdopodobnie przehandlował część zapasów. W afrykańskim zamęcie nie było to zbyt skomplikowane.

– Kim on jest? – wydusił z siebie Loïc.

Zakłócenia, a do tego warkot silnika, sprawiały, że Grégoire prawie go już nie słyszał, chociaż może po prostu nie chciał już niczego słyszeć. Balaghino, Pontoizau… Montefiori pewnie rzuciłby żartobliwie: „Kiedy się ma takich przyjaciół, nie potrzeba już wrogów…".

– Przyspiesz! – polecił pilotowi.

Erwan wezwał na pomoc ostatniego człowieka na ziemi gotowego go ratować. Pontoizau albo zostawi go na miejscu, żeby zginął od bomb, albo pofatyguje się osobiście, by go zabić. W końcu Erwan węszył w samym sercu nielegalnego procederu i przesłuchiwał jego najważniejszych klientów – Ducha Śmierci i Mefista.

Uwzględniając wszystko, oficer MONUSCO na pewno wybrał możliwość dającą większą pewność. Nie mógł narażać się na ryzyko z tym Francuzem, który wtykał nos we wszystko. Poleci helikopterem i zniszczy faceta, który mógłby go posłać przed sąd wojenny. A ten dureń Erwan kontaktował się z nim przez podający pozycję telefon Iridium…

Kiedy Loïc nerwowo opowiadał o swoich sprawach, Morvan błyskawicznie rekonstruował zdarzenia, wściekły na siebie za to, że wcześniej trochę nie pomyślał. Pontoizau był mordercą z piłą tarczową. Musiał mieć układ z Nseko, dyrektorem Coltano (zawsze pierwszym do krętactw). Coś poszło nie tak i Kanadyjczyk pozbył się go metodą, która kojarzyła się z porachunkami między czarnymi. Spór był na tyle poważny, że dotyczył także Montefioriego, więc Pontoizau poszedł za ciosem, ale tym razem wspierał go osobiście Balaghino. Idąc krok dalej, można było założyć, że także Mumbanza, następca Nseko, maczał w tej sprawie palce, podobnie jak jego zastępca, Tutsi Bisingye. Grégoire zawdzięczał życie wyłącznie brakowi przenikliwości. Dopóki jak struś chował głowę w kopalniach, był bezpieczny…

– Mam nadzieję, że teraz dotrę do tego typka i…

– Loïc, przede wszystkim jak najszybciej wsiadaj do samolotu i wracaj do Paryża.

– Mam już dość twoich poleceń. Wyrosłem z wieku, kiedy słucha się tatusia.

– Nawet nie wiesz, w co wdepnąłeś.

– Kim jest Danny Pontoizau?

Morvan westchnął.

– Dowódcą sztabu MONUSCO, odpowiedzialnym za utrzymanie pokoju w Górnej Katandze. Innymi słowy, to wcielenie sprzeczności.

– To on sprzedaje broń?

– Zostaw to. Zabieraj dzieci i żonę…

– Byłą żonę.

– Zwijajcie manatki i nie oglądajcie się za siebie. Jeżeli Balaghino dowie się, że węszysz wokół niego, wpadniesz w tarapaty. Ciężkie tarapaty.

Trzaski przeszły w warczenie. To nie sprzyjało pouczaniu syna, ale Loïc najwyraźniej usłyszał najważniejsze. Świadczyła o tym odpowiedź odbiegająca od tematu.

– Tato, problem z tobą polega na tym, że pomyliłeś czasy. Epoka *Il Padrino* przeminęła. Jest prawo, jest policja, są struktury państwowe. A poza tym Montefiori są nietykalni.

– Zapytaj Giovanniego, czy też tak myśli.

– Zamierzam…

– Wracaj do Paryża i ulokuj rodzinę w bezpiecznym miejscu, a jeśli chcesz bawić się w zwalczanie mafiosów, wróć na arenę sam.

Argument był chyba celny, ale głos Loïca niknął w zakłóceniach. Pozostawało tylko się modlić, żeby chłopak jak najszybciej zabrał dzieci i odleciał do domu.

Morvan rozłączył się i rzucił pod adresem pilota:

– Mówiłem, żebyś dodał gazu!

Erwan – brak połączenia. Ponowna próba – też nic. *Cholerne gówno*! W tym tempie mogli dotrzeć do Lontano za niespełna czterdzieści minut. Czy to wystarczy, żeby zapobiec najgorszemu?

– Afryka – szepnął – ta słodka Afryka…

68

Przychodziła tu, kiedy była mała – żeby zobaczyć się z ojcem. Potem, już starsza, po brata. Sławna „36” nie robiła piorunującego wrażenia. Ciasne korytarze, biura jak szafy, wszędzie wiązki kabli biegnących po sufitach. Gdyby nie obecność legendarnych policjantów i gdyby nie te głośne sprawy, które prowadzili, byłoby to kolejne obskurne biuro.

Skierowała się do brygady kryminalnej – klatka A, piętra trzecie i czwarte – a potem zaczęła szukać biura Audrey, która kazała jej przyjść przed południem. Gaëlle pokonała drogę z 8 dzielnicy piechotą, zmuszając swoich dwóch olbrzymów do podążania za nią w odpowiednio dużej odległości. Mogli podwieźć ją samochodem, ale chciała rozładować stres ostatniej nocy.

Odnalezienie pokoju Audrey okazało się bardzo trudne. W końcu skierowano ją do wspólnej sali, gdzie czekała policjantka. Krótkie powitanie bez cienia uśmiechu. Sylwetkę Audrey siedzącej pod światło przed komputerem spowijała zmienna poświata w kolorach kamieni i deszczu.

Gaëlle usiadła na wprost niej, podziękowała za proponowaną kawę i czekała. Audrey zbierała informacje na temat technik balsamowania, stosowanych środków, firm specjalizujących się w takich usługach. Najwyraźniej poświęciła się teraz wyłącznie temu śledztwu.

Ale dlaczego nie aresztowała jeszcze Érica Katza?

– Na ogół – mówiła policjantka – wstrzykuje się środki biobójcze, jak formalina, do tętnicy. Równocześnie dodaje się fluidy balsamujące. To nie takie skomplikowane i…

– Co ty wyprawiasz? – przerwała jej Gaëlle. – Kiedy mamy jakiś trop, jakiś dowód, wycofujesz się. Od dwóch dni gromadzimy podejrzane informacje o Éricu Katzu, a ty nie potrafisz zacząć prawdziwego śledztwa.

Audrey wstała, otworzyła okno i zwinęła sobie papierosa

– Ile razy mam ci to powtarzać? Żeby zacząć śledztwo zgodnie z prawem, potrzebna jest decyzja prokuratury, a przedtem skarga albo wykryte przestępstwo. Jak dotąd niczego takiego nie mam.

– Możesz podciągnąć tę sprawę pod inne śledztwo. Od dziecka słyszę, jak robią to mój ojciec i brat.

– Zapomniałaś o pewnej bardzo ważnej rzeczy. Odkąd Erwan jest w Afryce, ludzie z naszej grupy pracują przydzieleni do innych zespołów. I niczego nie da się w tej sytuacji wykombinować.

– Jeżeli szukasz przestępstwa Katza, to dlaczego tracisz czas na sprawę balsamowania zwłok? Nic nam do tego.

– Mylisz się. Po pierwsze, chcę sprawdzić, kto mógł to wykonać. Dzwoniłam do specjalistycznych firm, do zakładów pogrzebowych w Paryżu i okolicy Lilas, przyjmując datę sprowadzenia zwłok do kraju. Dzwoniłam też na cmentarz, ale to informacje poufne. Na razie nic nie wskórałam.

– Wciąż ta sama śpiewka.

Audrey udała, że nie słyszy. Zapaliła papierosa i wyrzuciła z siebie kłąb dymu w stronę Sekwany.

– Jest inny możliwy scenariusz – ciągnęła. – Amator o dużej wiedzy. Taki musiałby sam kupić potrzebne materiały. Kontaktowałam się z dostawcami takich produktów, prosząc, żeby sprawdzili zamówienia po dacie wypadku w Grecji. Na ogół zaopatrują profesjonalistów.

Przypomniała sobie widok dwojga zasuszonych i poczerniałych dzieci w bandażach. Odsłoniła tylko górną partię ich małych twarzy – dalej nie mogła się posunąć.

– I co?

– Znalazłam tylko jedną osobę prywatną, niejakiego Thomasa Sanzio. Kupił formalinę, fluidy i inne biocydy we wrześniu dwa tysiące szóstego roku, ale rozdzielił to zamówienie na kilka firm, jakby chciał wtopić się w masę.

– Katz?

– Sanzio nie istnieje w żadnych aktach stanu cywilnego. Ludzie, z którymi rozmawiałam, nie zetknęli się z nim, rozmawiali tylko przez telefon i odbierali przelewy.

– A rachunek bankowy?

– Czekam na odpowiedź, ale nie robię sobie nadziei.

– Adres dostawy?

– Cmentarz w Lilas.

Przebiegł ją dreszcz, bo przypomniała sobie, co zobaczyła w urnach przed wyjściem z grobowca. Pozostawiono w nich nierozpoznawalne szczątki organiczne, które być może potrafiłby zidentyfikować specjalista.

Obraz, który towarzyszył jej w drodze powrotnej z cmentarza, to Katz otwierający trumny przy każdej wizycie i trwający w skupieniu przy mumiach, klęcząc na klęczniku. Scena rodem z horroru.

Postanowiła przyspieszyć bieg spraw.

– Przestańmy marnować czas i zapytajmy o to samego Katza.

– Już ci mówiłam, żeby go przesłuchać…

– Mówię o sobie. Przesłuchanie przy dobrej kolacji.

– Chcesz do niego zadzwonić?

– Nie muszę. Dziś w nocy zostawił mi wiadomość głosową: chce się ze mną spotkać wieczorem.

69

Przeprawa przez rzekę okazała się znacznie trudniejsza, niż oczekiwali. Salvo musiał zrobić wiele kółek, omijając wiry, a najwyraźniej nie radził sobie dobrze na wodzie. W dodatku brakowało mu dobrej woli – Salvo nie spieszył się na brzeg Hutu.

Wreszcie zakotwiczyli pod osłoną wysokiego, urwistego brzegu. Na piasku ujrzeli trupy. Ręce i nogi zaplątane w korzenie i trzcinę, bezgłowe ciała unoszące się na wodzie w groteskowych pozach. Na brzegu pozostała też broń – zbyt ciężka, żeby ją zabrać: na pół zatopione działa, pociski, nierozpoznawalne kawałki metalu.

– Co robimy? – zaniepokoił się Salvo.

– Wysiadamy. Weź walizkę.

Salvo wyskoczył na brzeg, krzywiąc się, i przywiązał pirogę, starając się omijać zwłoki. Przyprawiający o mdłości smród świadczył o rozkładzie ludzkich szczątków.

Wdrapali się po laterytowej ścianie i ruszyli ścieżką biegnącą wzdłuż rzeki.

– Gdzie, twoim zdaniem, może być ten Faustin? – zapytał Erwan, przeładowując AK-47.

– Po każdym szturmie FARDC cofają się do bazy na tyłach. Interahamwe zostają w dawnej wiosce górniczej. Teraz prawdopodobnie okradają z broni poległych z regularnej armii.

– Nie są sojusznikami?

Salvo nie zdołał się powstrzymać i wybuchnął śmiechem. Tutaj przymierza trwały najwyżej przez jedną bitwę i nikt nie zrezygnowałby dla nich z kałacha albo pary butów.

– Idź – rzucił posępnym głosem Erwan.

Kiedy minęli wysokie trawy, otworzyła się przed nimi rozległa polana. Wszystko tu było czarne: drzewa, krzewy, zwłoki, lateryt. Kratery wskazywały miejsca eksplozji. Palmy nie miały już liści. Nie przetrwał nikt

żywy. Same trupy, niektóre w mundurach, inne w pstrokatych strojach. Na oko – koło setki. Nad nimi legiony much tworzyły ciemne chmury, ale pierwszeństwo miały sępy, które już ucztowały, zaczynając od oczu i genitaliów.

Nieco dalej natknęli się na istoty żywe albo prawie żywe. Zombi poruszające się chwiejnym krokiem przy wózkach, na które ładowano broń, amunicję, buty i mundury. Grabieżcy zabierali nawet fetysze, zrywali z szyi zmarłych talizmany, choć te okazały się mało skuteczne.

Nikt nie zwrócił na nich uwagi. Wreszcie doszli do wioski. Blaszane dachy były pokryte przez rdzę i mech. Ściany z desek i płyt gipsowych trzymały się chyba tylko cudem. Tu rozgrywało się to, co najważniejsze. Z chat dobiegało wycie, mężczyźni z gołymi torsami albo w bluzach chirurgicznych na krótko wychylali się na zewnątrz, żeby opróżnić miskę pełną krwi, a wyglądające jak czarownice kobiety z osłoniętymi twarzami nosiły narzędzia: piły, siekiery, maczety. To była prymitywna chirurgia, która miała tylko jednego wroga – gangrenę.

Ani śladu mundurów. Tylko Hutu, wyglądający jak meksykańscy bandyci z pasami amunicji na piersi, bosi, wylizywali tu rany, palili albo jedli, patrząc tępym wzrokiem. Byli zmęczeni nie tylko brakiem snu i wysiłkiem fizycznym, ale przede wszystkim tym mentalnym krwotokiem, którego nic nie mogło powstrzymać. A jednak w ich oczach palił się jeszcze ogień i to on budził obawę, że w każdej chwili ci ludzie mogą skoczyć komuś do gardła.

– Zapytaj, gdzie jest Faustin – polecił Erwan.

– Szefie…

– Zrób to.

– Oni są głusi, szefie. To przez bomby.

Erwanowi nagle zachciało się śmiać.

– To pytaj głośno – rzucił, żeby nie tracić fasonu.

Salvo krzyknął coś do jednej z grupek. Odpowiedzieli w suahili albo innym dialekcie. Erwan z palcem na spuście powtarzał sobie jak mantrę to, co postanowił – po raz ostatni zaryzykuje życiem, może nie na próżno, żeby zebrać brakujące okruchy prawdy. Tej gwiazdy, która już dawno zagasła, ale jej światło wciąż mógł ujrzeć.

– Mówią, że jest tam – przetłumaczył Żółta Koszulka. – Mówią, że ponieśli wczoraj duże straty. Mefisto jest rozwścieczony. To kiepski pomysł

iść dziś…

Dwunastoletni dzieciak w berecie i z kałachem podszedł do nich. Miał przymknięte oczy, twarz bez wyrazu. Wyglądał na zamroczonego.

– Chłopak może nas do niego zaprowadzić – wyjaśnił Salvo.

– Idziemy.

Górnicza wioska nie tonęła w roślinności jak miasto na drugim brzegu. Tu wciąż toczyło się normalne życie. Ciasne uliczki, byle jak sklecone baraki, śmieci przed drzwiami – wszystko przypominało miasteczka biedoty, jakie widuje się wszędzie na świecie.

Erwana ogarnęło wrażenie, że ten świat jest nierealny – wojownicy w dziwacznych strojach, obwieszeni fetyszami i stojący w progach chat jak leniwi sprzedawcy, błotnista ziemia zasypana łuskami i śmieciami, woń śmierci mieszająca się z zapachami przyrody, spokój tych, którzy przeżyli i nie słyszeli już świergotu ptaków, krzyki małp w koronach drzew…

Spędziwszy długie minuty w tym labiryncie – z własnej woli, w jaskini lwa – doszli na plac otoczony chatami, na których widniały wyblakłe napisy.

– A co to takiego?

Grupa żołnierzy rozstąpiła się, żeby ten, kto zadał pytanie, mógł zobaczyć przybyszy. Prawdopodobnie był to Faustin Munyaseza. Siedział przy blacie ułożonym na trójnogach i pełniącym w jego polowej kwaterze głównej funkcję biurka. Przed sobą miał mapy, między nimi butelki piwa.

Mefisto wyglądał, jak przystało na zbira – przysadzisty, w podkoszulce i spodniach od dresu, obwieszony złotą biżuterią i fetyszami z kości i muszli. Jego oczy pałały, twarz miał pokrytą szramami. Trudno było określić jego wiek, ale musiał przekroczyć pięćdziesiątkę, co tu równało się prawie nieśmiertelności. Ci, którzy go otaczali, mieli najwyżej po dwadzieścia lat.

Mefisto stanowił przeciwieństwo Ducha Śmierci. Tutsi był wysoki i smukły, on szeroki i barczysty. Przywódca FLHK miał twarz o ostrych rysach, Faustin – okrągłą i jak z wyklepanej blachy falistej. Pierwszy dorastał na rozległych równinach, drugi w jakieś norze. Uosabiali dwa najgorsze stereotypy swoich ludów.

Erwan szedł dalej, nie zważając na ciszę i wrogość. Od Faustina dzieliło go już zaledwie kilka metrów. Nikt nie zabrał mu broni – trzymał ją lufą do ziemi, żeby pokazać, że ma pokojowe zamiary.

– Czego chce ten *mzungu*?

Mówił po francusku kiepsko, z akcentem, który gubił sylaby. Pod tym względem także różnił się od dowódcy Tutsi.

– Przyszedłem zadać ci kilka pytań.

Faustin gwizdnął z podziwu. Jego oczy były tak przekrwione, że wyglądały jak befsztyk.

– Jesteś dziennikarzem?

– Nie, gliną. Z Paryża.

– Niezły numer!

Jego niski głos chrzęścił.

– Przypłynąłem zza rzeki – ciągnął Erwan, nie dając się zbić z tropu. – Wielokrotnie narażałem życie, żeby tu dotrzeć. A teraz chcę usłyszeć odpowiedzi.

– Jakie?

– O Cité Radieuse, o śmierci Cathy Fontany.

Spodziewał się, że tamten wybuchnie śmiechem, ale czarny diabeł zmarszczył brwi, zakłopotany. W jego wampirzych oczach rozbłysnął ogień.

– Jesteś synem Morvana?

Nawet w tym oszalałym świecie podobieństwo do ojca czyniło go wiarygodnym.

– Jego najstarszym synem. Urodziłem się w Lontano.

Na ustach Mefista majaczył drwiący uśmiech. Wódz miał dwa atuty – bystry umysł i zdolność adaptacji.

– Dlaczego miałbym ci coś powiedzieć?

Erwan wskazał Salvo i jego walizkę.

– Dla forsy Ducha Śmierci. Przyszliśmy ci ją dać.

– Tutsi już nie żyje.

– Nazwijmy to spadkiem po nim.

Faustin skwitował te słowa śmiechem, a zawtórowały mu małpy wrzeszczące z wysoka.

– No bracie, daję słowo, masz…

Nagle zamilkł, słysząc warkot helikoptera na niebie.

– Pontoizau… – szepnął Erwan.

Prawie zapomniał, że wzywał go na pomoc. Maszyna nie wyglądała na przeznaczoną do akcji ratunkowych. Wyposażona w karabiny maszynowe

i wyrzutnie rakiet, zapowiadała gry wojenne: sto procent zniszczenia, zero szans na przeżycie. Apache uzbrojony po zęby.

– Biały *niklé* – warknął Mefisto, patrząc w górę.

Wycelował z czterdziestki piątki do Erwana, który zdążył tylko cofnąć się i schować za plecami Salvo. Pierwsza kula ugodziła Banyamulenge w tors. Ludzie Faustina ostrzeliwali helikopter, opierając kałasznikowy o biodro. Salvo i jego walizka oberwali. Erwan wsunął lufę pod pachę Żółtej Koszulki i strzelał na oślep. W tej samej chwili helikopter zalał ogniem całą polanę, przemieniając ją w gejzer błota.

Jakby tego było mało, walizka Salvo otworzyła się i plunęła tysiącami banknotów w cuchnące prochem powietrze. Obojętni na kule z Apache’a Hutu biegali na czworakach, zbierając pieniądze.

Erwan cofnął się, puszczając Salvo, który zwalił się na ziemię i z niedowierzaniem patrzył na widowisko, które rozgrywało się przed jego oczyma: żołnierze pełzali między dolarami w błocie i we własnej krwi. Faustin Munyaseza uciekał, ile sił w nogach, po labiryncie uliczek górniczej wioski.

70

Erwan ruszył za nim w pościg siecią wyboistych uliczek między byle jak skleconymi chatami. Nie było tu ani żołnierzy, ani tubylców, ani nawet żadnego rannego. Tylko te wąskie jak rury kanalizacyjne przesmyki, zasypane oponami, plastikowymi torbami, gruzem, łuskami. Mefisto pędził jak oszalały szczur, Erwan gnał, popychany tą samą energią. Było ich dwóch, a „do tanga trzeba dwojga", jak mówi piosenka. Erwan wciąż trzymał w ręce AK-47 i czuł, jak plecak podskakuje i uderza go w rytm biegu. Uspokajało go to – wciąż miał przy sobie Iridium, paszport i dokumenty ojca.

– Faustin! – wrzasnął, ale turkotanie helikoptera zagłuszało go.

Przekonany, że Pontoizau przyleciał tu osobiście, żeby go zabrać, bał się już tylko jednego – że Kanadyjczyk w tym zamęcie zabije dowódcę Hutu.

– Faustin!

Erwan usłyszał huk serii z broni maszynowej. Dowódca MONUSCO rzeczywiście chciał pozbyć się Mefista. Po śmierci Ducha Śmierci była to dobra metoda przesunięcia konfliktu na inne tereny.

– Faust…

Kule świsnęły między ścianami. Erwan wpadł do jednej z ruder. Musiał jakoś przekonać Faustina, że jest jego jedyną szansą na przeżycie. Gdyby czarny pozwolił mu się dogonić, byłby ocalony – Pontoizau nie ryzykowałby postrzelenia człowieka, po którego przyleciał.

Francuz wyszedł z kryjówki i znowu kule świsnęły mu koło ucha. Ciekawe, gdzie uczyli strzelać tego gościa! Ani śladu Faustina. Erwan nie zdążył przejść trzech kroków, gdy kule roztrzaskały ścianę. Padł na ziemię i obejrzał się za siebie – sylwetki przemykały z baraku do baraku. *Kurwa*. Wierni Jego Wysokości polowali na niego.

Erwan puścił serię, wstał i przebiegł w inną uliczkę. Faustina i tu nie było. Instynktownie skręcił w prawo, omijając chatę, która się waliła. Przeskoczył przez rumowisko i przyspieszył, licząc, że wypatrzy diabła

w podkoszulku. Z góry znów sypnęły się kule. Albo żołnierzom MONUSCO potrzebne były okulary, albo strzelali właśnie do niego.

Uciekł. Zewsząd padały strzały, cała okolica była zadymiona, w powietrzu unosił się smród prochu… Miał wrażenie, że już to widział, tyle że tym razem pojawił się nowy element: był usidlony, znalazł się w pułapce. Przeturlał się na bok i schronił pod blaszanym dachem. Kule go ścigały, przebijały jego kryjówkę, odrywając ziemię jak ciasto…

Teraz stracił resztki złudzeń – to on był celem. *Dlaczego*? Próbował wyjść, ale już w progu spotkało go paskudne powitanie. Cofnął się, ściskając broń. Był przerażony – wiedział, że jego kryjówka długo nie wytrzyma. Musiał stąd wyjść, musiał…

Eksplozja pogodziła wszystkich. Erwan przeszedł przez gipsową ściankę. Wstał w tumanach pyłu. Był oszołomiony. Nie potrafił powiedzieć, kto strzelał – ci z góry czy ci z dołu – ale wszyscy polowali na niego. Nowa uliczka, a raczej tunel z opon zadaszony blachą i gałęziami. Kilka sekund w ukryciu. A że szczęście przyciąga szczęście, w polu widzenia, pięćdziesiąt metrów przed nim – Mefisto.

– Faustin! – krzyknął, dostając w odpowiedzi dwa strzały. – Zaczekaj na mnie!

Rzucił się w pościg, biegnąc między uliczkami, unikając ostrzału z powietrza i ziemi. Wokół niego błyskało. Mefisto zniknął. Hutu nawoływali się w suahili i choć Erwan nic nie rozumiał, to domyślał się, że mówią: „Zabić białego!”. Nad nimi przesuwał się cień śmigłowca, który leciał jak ogromny trzmiel.

– Faustin! – krzyknął jeszcze raz. – Muszę z tobą porozmawiać!

Wiedział, że to wołanie nie ma sensu – cóż mógłby mu teraz zaoferować? Jaką ochronę mógłby zapewnić, będąc celem całego tego nalotu? Nie potrafił pojąć, dlaczego z rozbitka, któremu spieszono na ratunek, przeistoczył się w człowieka do zabicia.

Mefisto pojawił się po prawej stronie. Po plecach spływał mu pot. Erwan skręcił, potknął się o stertę desek, o mało nie upadł i zobaczył przed sobą garstkę Hutu. Jeden z nich miał wyrzutnię rakiet, dwaj inni kałasznikowy, czwarty broń snajperską. Te wycelowane w niego lufy miały w sobie coś komicznego, jak obwoluta komiksu, jednak Erwan padł na kolana, uznając się za pokonanego.

Zakrył twarz rękami i usłyszał własny szloch, kiedy potężny ryk wszystko zagłuszył. Uniósł głowę i zobaczył, jak helikopter kończy manewr z uzbrojonymi karabinami maszynowymi, pilotem i strzelcem przy drążkach. Zdążył nawet zauważyć małpią gębę Pontoizau za pancerną szybą kokpitu.

Nastąpiły dwie równoległe eksplozje – jedna na ziemi, druga w powietrzu. Każda miała dwie fazy: biała kula, czerwony huk. Rozpalony podmuch znów odrzucił Erwana w tył. Kiedy uniósł głowę, ujrzał otwarte bramy piekła. Hutu z wyrzutnią rakiet zataczał się nad kipiącym kraterem, a w dali, jakby w zwolnionym tempie, spadał helikopter.

Wystrzały się minęły – człowiek z RPG celował do Apache'a, który już wystrzelił pocisk. Erwan przeczołgał się, aby szukać schronienia z dala od ognia. Bał się, że ładunki na pokładzie śmigłowca wybuchną. Zalane paliwem miasteczko płonęło. Rozum podpowiadał mu, że jest tylko jedna szansa – rzeka. Dotrzeć do niej, zanim pochłonie go morze płomieni. Najpierw szersza droga, potem druga. Ubłocony, z ustami zasłoniętymi kołnierzem koszuli, był jak Golem, praski olbrzym, gliniany posąg zrodzony z ludzkiej magii.

Próbował jeszcze przyspieszyć, kiedy sto metrów przed sobą znów zobaczył plecy Mefista. *Zmobilizować resztki sił*. Nie doganiać, ale po prostu iść za nim: Hutu przecież wiedział, gdzie jest Lualaba. Wlekli się tak przez kilka sekund, a może wieków, ale Faustin ani razu nie obejrzał się za siebie.

Nagle, zapewne za podszeptem intuicji, Hutu błyskawicznie się odwrócił. Erwan zamarł. Za czarnym płynęła rzeka – spokojna, błotnista, obojętna na pożar.

Mefisto już prostował rękę, żeby nacisnąć na spust. Ale rozległ się tylko suchy trzask.

Pusty magazynek, biedaku.

Hutu odruchowo sięgnął do pasa, ale Erwan wziął go na muszkę.

– Daj spokój, Faustin.

Tamten bez wahania rzucił broń i uniósł ręce jak dziecko wyciąga palec, żeby przerwać zabawę.

– Gadaj prawdę – warknął Erwan. – Potem możesz wracać na swoją wojnę.

– Jaką prawdę?

Hutu ciężko dyszał, ale jego spięta twarz, zakrwawiona i umazana pyłem, mówiła otwarcie, że dużo jeszcze wytrzyma. Faustin zaprawiał się do tej pracy od dziecka.

– Noc trzydziestego kwietnia… – wycedził Erwan. – Cité Radieuse…

Ogień wokół nich tworzył śmiertelny krąg. Z płonących chat dobiegało nieludzkie wycie – ranni palili się żywcem. Nawet na rzece tłuste plamy tworzyły się wokół łodzi i zajmowały się ogniem, który trawił korzenie i kadłuby z żarłocznością psa gryzącego kość.

– Jesteś nieodrodnym synem swojego ojca – wydyszał czarny. – Masz…

Kula rozdarła mu tętnice, powodując dwa potężne krwotoki po dwóch stronach szyi. Padł twarzą na ziemię, zaciskając ręce na gardle. Błyskawica rozdarła niebo. Chmury skrapiały ziemię drobnym deszczem, który falował na wietrze jak zasłona z pereł. Zaszokowany Erwan nie ruszał się z miejsca.

Warkot silnika. Łódź za ścianą ognia. A na niej Morvan w kamizelce kuloodpornej i z karabinem w ręku.

– Jeżeli masz jakieś pytania – krzyknął do syna – to powinieneś zadać je mnie!

71

Gaëlle nie wyobrażała sobie tego spotkania. Zakładała, że będzie to intymna randka z Katzem, rozmowa w cztery oczy, ale Audrey zdecydowała, że będzie ją zabezpieczała z grupą kolegów. Policjantka bała się, że psychiatra mógł zauważyć ślady przeszukania gabinetu i podejrzewa, że Gaëlle ma z tym coś wspólnego. Dodatkowo mieli być obecni dwaj wierni ochroniarze panny Morvan. Gaëlle planowała uroczą schadzkę, a przyszło jej uczestniczyć w zasadzce w stylu brygady śledczo-interwencyjnej.

Plac przed Narodowym Centrum Georges'a Pompidou, rozległy i lekko pochylony, umożliwiał niezauważalną obserwację, nawet kiedy był tam tłum. Gaëlle kazała Audrey obiecać, że nie dojdzie do interwencji – uważała, że sama potrafi pociągnąć Érica Katza za język. Zamierzała zaproponować jakąś cichą restaurację w jednej z przecznic ulicy du Renard, tuż za muzeum.

Stała oparta o murek otaczający plac na rogu ulicy Saint-Martin i drżała, ale była zdeterminowana. Przeszkadzał jej tylko mikrofon, który miała na piersi. Po pierwsze, musiała ubrać się jak zakonnica – w biały golf i czarny sweterek, po drugie, wiedziała, że będą słuchać, jak uwodzi Katza.

Zapaliła kolejnego papierosa, zastanawiając się, czy psychiatra przyjdzie. A może zauważył „komitet powitalny"? Ludzie Audrey, podobnie jak jej ulubiony tandem, stali w czterech rogach placu i – jej zdaniem – rzucali się w oczy jak gwardia republikańska. Co gorsza, nieco dalej, w ceglanym budynku dawnych łaźni miejskich, znajdował się posterunek policji.

Katz nie przychodził. Skupiła się na pstrokatej fasadzie centrum. Uwielbiała to dziwaczne miejsce o wyglądzie fabryki, te zaokrąglone kominy, które wyrastały z ziemi, i krzyże świętego Andrzeja pomalowane jak zabawki.

I nagle go zobaczyła. Katz, trzymając ręce w kieszeniach, stał pod ogromnym afiszem informującym o wystawie Salvadora Dali, tuż przy

głównym wejściu.

Rzuciła papierosa i ruszyła w jego stronę. Jak zawsze był ubrany specyficznie: niemodnie, ale stylowo, i miał bardzo osobistą manierę noszenia się. Pas trencza, za mocno ściśnięty, podkreślał szczupłą talię i upodabniał go do gestapowców. I ktoś taki miał nadzieję oczarować dziewczynę jej pokroju? Ale czy naprawdę chciał ją oczarować?

Kiedy dzieliło ich już tylko kilka metrów, przypomniała go sobie szperającego w jej torebce, a potem idącego marszowym krokiem przez cmentarz. To przywołało obraz mumii w grobowcu i tajemniczego Thomasa Sanzio, nabywcę środków do balsamowania, a także problemy z ustaleniem prawdziwej tożsamości psychiatry. Pomachała mu, myśląc: „Kim jesteś, sukinsynu?”.

– Dobry wieczór. – Ani pocałunku, ani uścisku ręki. – Miło, że pani przyszła.

– Miło, że mnie pan zaprosił.

– To pani wybrała miejsce. Chce pani obejrzeć wystawę? Zamykają dopiero za godzinę.

– Już ją widziałam, ale dziękuję. Po prostu przejdźmy się trochę. Potem zjemy kolację.

– Jak pani sobie życzy – zgodził się, rozkładając ręce, które wciąż trzymał w kieszeniach, i w ten sposób rozpościerając płaszcz.

Gaëlle znów doznawała tych dziwnych wrażeń, widząc go prywatnie – mężczyznę, który przez rok był tylko głosem i człowiekiem pniem. Nie zyskiwał przy bliższym poznaniu – wydawał się niedostosowany do współczesnego życia, nie pasował do paryskiej codzienności.

Żeby dodać sobie pewności, zapaliła papierosa. Szli w stronę fontanny Strawińskiego. Katz rozglądał się wokół. Czyżby się zdradziła? Zwęszył podstęp?

– Kontaktowała się pani z moim kolegą? – zapytał niepewnym głosem.

– Panie psychiatro, to już nie pańska sprawa.

– To prawda.

– Jeszcze do niego nie dzwoniłam. Muszę się oswoić z myślą o zmianie ucha.

– Ale… jak się pani czuje?

– Wydaje mi się, że spokojnie wytrzymam jeszcze kilka tygodni.

– To dobrze.

Brzmienie jego głosu przeczyło słowom. A może po prostu miał na jej punkcie paranoję? Była przekonana, że psychiatrzy, podobnie jak dilerzy, lubią uzależnienie swoich pacjentów.

– Jak się miewa pańska rodzina? – zaatakowała, myśląc tylko o jednym.

– Moja rodzina? – powtórzył zaskoczony. – Ależ… doskonale.

Mechaniczne rzeźby fontanny odcinały się na tle nocy żywymi barwami i lśniącymi zarysami. Niestety, nie było wody i automaty stały w suchym basenie.

– Zapomniałam już… – ciągnęła Gaëlle. – Czy pańska żona pracuje?

– Tak… A właściwie nie… – bąknął, odwracając wzrok. – Z wykształcenia jest psychiatrą. Od czasu do czasu bierze udział w seminariach.

– Od jak dawna jesteście małżeństwem?

– Od tak dawna, że przestałem już liczyć. To chyba dwadzieścia lat…

Już miała powiedzieć: „Po co kłamiesz, łajdaku?”, ale zapytała tylko lekko rozbawionym i prowokującym tonem:

– I pozwala panu spotykać się wieczorami z młodymi kobietami?

– Już pani mówiłem, że nie mamy tego typu relacji.

– A jakie macie?

Katz machnął ręką, jakby się bronił – jego androginiczna twarz na tle nowoczesnych rzeźb i gotyckich okien kościoła Saint-Merri to był naprawdę dziwny widok.

– Błagam panią – zaprotestował, śmiejąc się – nie przyszedłem na przesłuchanie!

Zamiast rozegrać to z większą finezją, znów zaatakowała wprost.

– Pamięta pan, jak zaczęły się nasze sesje?

– Prawdopodobnie… zadzwoniła pani do mnie.

– Nie pamiętam.

– Naprawdę? Może to jakaś blokada, która…

– Teraz to ja proszę: nie dziś.

Znów się roześmiał, ale był coraz bardziej spięty. Przyspieszył kroku.

– A może spotkaliśmy się na jakimś przyjęciu – podjęła – i może byłam wtedy naćpana albo pijana?

– Wydaje mi się, że nie bywamy w tych samych kręgach.

– A na jakie przyjęcia pan chodzi?

Zadała to pytanie tak napastliwym tonem, że Katz gwałtownie się zatrzymał.

– Czy na pewno ma pani ochotę spędzić ten wieczór w moim towarzystwie?

– Przepraszam – powiedziała spokojniej.

Kolejny papieros. Dym, który wydychała, wydał jej się nagle bielszy niż zwykle. *Nie naciskaj tak.*

Wybrała nowy kierunek i zaczęła tonem, który miał być lekki.

– Śledził pan sprawę Człowieka Gwoździa?

– Skąd to pytanie? – spiął się jeszcze bardziej.

– Przecież pan wie, jak dotknęła mnie ta historia.

– Co z tego?

– Jestem ciekawa pańskiej opinii o tym mordercy. Pytam pana jako psychiatrę.

– Ale o którym Człowieku Gwoździu pani mówi? O tym z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku czy o tym, który wprawił Paryż w przerażenie dwa miesiące temu?

Przynajmniej nie udawał, że nic nie wie. I nagle wszystko stało się dla niej jasne – Katz interesował się nią, bo była powiązana z obiema sprawami. W końcu to jej ojciec aresztował pierwszego mordercę, a brat znalazł drugiego. *Ale to ja go zabiłam* – powtarzała sobie, żeby uwierzyć, że w razie potrzeby potrafi się bronić.

Psychiatra ruszył nierównym krokiem, jakby utykał.

– Nie wiem, co powiedzieć. Czytałem o tym sporo w gazetach i…

– I co?

Milczał. Uchwyciła jego spojrzenie i tym razem była już pewna – zauważył Audrey. Odwróciła się i o mało nie krzyknęła: policjantka, która wyglądała jak bezdomna, stała z legitymującymi ją mundurowymi. Pokazała im odznakę, a cała scena zwróciła uwagę wielu osób.

– Popełniła pani błąd – szepnął Katz.

– Éric – powiedziała błagalnym tonem.

Zawrócił w stronę ulicy du Renard. Gaëlle wahała się przez chwilę. Audrey podbiegła do niej, a w ślad za nią cała policyjna ekipa. Zamieszanie spotęgowali mundurowi.

Gaëlle błyskawicznie ruszyła za psychiatrą. Właśnie wtedy zerknął przez ramię, a potem zaczął biec. Gaëlle też.

U zbiegu z ulicą du Renard Katz się zawahał – zaintrygowani przechodnie obserwowali tę tyczkę, która zdawała się uciekać przed własnym cieniem. Po chwili wszedł na jezdnię i znów się rozpędził. Samochody hamowały, kierowcy wciskali klaksony, jakiś skuter wyminął go w ostatniej chwili.

Katz był już na chodniku po drugiej stronie i spokojniej biegł w stronę Rivoli. Gaëlle zatrzymała się na krawężniku, wyczekała na lukę między samochodami i pognała, ile sił w nogach. (Całe szczęście, że wybrała dziś buty na niskim obcasie). Jej także towarzyszył koncert pisku opon i trąbienia. Znalazła się przed kościołem Saint-Merri, potem szła wzdłuż rampy wiodącej do podziemi Halles. Wtedy zauważyła wóz policyjny jadący pod prąd, na sygnale.

Ten samochód wprawił Katza w panikę. Zawrócił i wbiegł do tunelu, z którego z dużą prędkością wyjeżdżały samochody. Kiedy Gaëlle w ślad za nim okrążała balustradę, usłyszała pisk opon – a może krzyk człowieka? – dobiegający z betonowej paszczy.

Wiedziała, że to już koniec.

Zagrodziła drogę furgonetce, która miała właśnie wjechać pod prąd do tunelu, zmuszając ją do hamowania, a potem, ciężko dysząc, zbiegła w dół. Samochody w tunelu stały. Dym i smród spalonych opon unosiły się między brudnymi murami. Po asfalcie wiła się strużka krwi, wyciekająca spod zderzaka terenówki. Katz leżał dziesięć metrów dalej, tuż przed Gaëlle, która z rozpędu o mało się o niego nie potknęła.

Z ust wyrwał jej się krótki krzyk, prawie szloch. Sylwetka psychiatry, w płaszczu wciąż zbyt mocno ściśniętym paskiem, nigdy dotąd nie wydawała jej się tak krucha. Jego szczęka była potwornie przekrzywiona, kręgi szyjne złamane.

Uklękła. Kierowcy wysiadali z samochodów i podchodzili. Słyszała, jak nadbiegają policjanci, prawdopodobnie z bronią w ręku. Każda sekunda była jak uderzenie obuchem, ściskała jej serce, dławiła myśli i życie. Wbrew wszelkim zasadom pierwszej pomocy wsunęła rękę pod głowę psychiatry – lepką od krwi i nienaturalnie lekką – i uniosła ją.

Katz próbował coś powiedzieć, ale z jego ust wydobywały się tylko różowe bańki. Gaëlle myślała o pierwszych sesjach na ulicy Nicolo. O rodzącej się miłości do tego zagadkowego lekarza. O wybiegach, jakie

stosowała, żeby go uwieść. O chandrze, w jaką wprawiał ją jego chłód. Zalała się łzami.

Policjanci, kierowcy, Audrey i jej ludzie otoczyli ich kręgiem, nikt jednak nie śmiał podejść bliżej.

Katz wciąż bełkotał. Jego usta były jak mroczna otchłań naznaczona połamanymi zębami. Gaëlle pochyliła się tuż nad nim, ale zrozumiała tylko ostatnie słowa:

– Człowiek Gwóźdź nie umarł…

72

Przez całe popołudnie Erwan siedział przygnębiony.

Po apokalipsie na terenie kontrolowanym przez Hutu Morvan chwycił go za kołnierz, zmusił do włożenia kamizelki kuloodpornej połączonej z ratunkową i wrzucił do pirogi. Na pokładzie zobaczył zakazaną gębę czarnego za sterem i uzbrojonego olbrzyma – pierwszych tubylców, z których twarzy nie wyzierał ani strach, ani obłęd. Kucnął na dnie i zamknął się na świat zewnętrzny. Płomienie lizały kadłub, rzeką targały konwulsje, woda iskrzyła, a on czekał już tylko, aż pochłonie ich koniec świata.

Pilot dodał gazu. Morvan został na dziobie, gotów puścić kilka serii do ocalałych, którym spieszyło się na tamten świat. O starcie samolotu z tego ogarniętego ogniem i spływającego krwią regionu nie mogło być mowy. Zdaniem starego, trzeba było wracać na północ, do tajemniczej strefy kopalń, gdzie Czepik – o ile Erwan dobrze zrozumiał, pilot maszyny– zgodził się wylądować.

I na tym urywały się wspomnienia Erwana. Prawdopodobnie po południu wyszło słońce. Na pewno zasnął. Nic nie widział ani nie słyszał. Kiedy otwierał oczy, widział tylko jedno: ojca na dziobie, z MK 12 w ręku, nieruchomego. Biały wojownik w czarnym świecie – stary nigdy dotąd nie wydawał mu się tak realny, tak spójny.

O osiemnastej wygaszono światła. Noc i jej niezwykła łagodność spadły na nich jak zdradziecka choroba. Erwan wciąż czekał, by jego świadomość wylazła z nory, w której się przyczaiła, ale na razie mózg fundował mu tylko napady paniki i drżenie.

– Prześpimy się tu – oznajmił ojciec, kiedy łódka przybiła do ciemnego brzegu. – Jesteśmy w połowie drogi.

– Drogi dokąd? – zdołał wydusić ze spieczonego gardła.

– Do lądowiska. Nazwy nie będę wymieniał. Zresztą to miejsce nie ma nazwy. Jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, będziemy tam jutro

w południe i Czepik nas zabierze. Zabawa się skończyła, chłopcze.

Padre kazał swoim ludziom rozbić obóz na brzegu, blisko łodzi. Rzucił synowi świeże ubranie i wyciągnął z plecaka dokumenty. Szybko je przekartkował i rzucił do rzeki, gdzie natychmiast poszły na dno.

Erwan nie miał nawet siły protestować. Nie był już śledczym, ale żebrakiem prawdy. Teraz był gotów brać to, co inni zechcą mu dać.

– Chodź ze mną – polecił Morvan.

Dwaj czarni rozpalali ognisko pod dachem z liści, bo wkrótce należało się spodziewać wieczornego deszczu.

– Nie zostaniemy z nimi?

– Powiedziałem: chodź.

Z trudem wstał i podreptał za ojcem. Stary wziął ze sobą tylko to, co było potrzebne do rozbicia drugiego obozowiska w lesie. Pewnie wypatrzył tu gdzieś VIP-owską polankę. Rzeczywiście, zatrzymali się na osłoniętym skrawku ziemi. Morvan poszedł uzbierać suchego drewna, a Erwan oparł się o pień drzewa, instynktownie starając się ułożyć w takiej samej pozycji jak poprzedniej nocy. Deszcz zbliżał się do nich coraz bardziej, jego krople dudniły o liście.

Teraz wyraźnie widział twarze, przypominał sobie nazwiska. Salvo, który zginął pod lawiną dolarów, Mefisto zabity za prawdę sprzed czterdziestu lat, Pontoizau, który chciał go zgładzić z niewiadomego powodu i który zginął w eksplozji helikoptera. Wszyscy anonimowi ranni, którzy spłonęli w dawnej wiosce górniczej. Wielkim zwycięzcą tej batalii był Morvan. Znów panował nad swoją przeszłością.

Erwan otworzył oczy. Padre rozpalił ognisko i ustawił nad nim rondel. Teraz wlewał do niego sos pomidorowy z puszki. Surrealistyczna scenka!

– Co jemy? – zapytał bez cienia ironii Erwan.

– Małpę. Ale trzeba ją gotować co najmniej godzinę, żeby te ochłapy zmiękły.

Morvan zabrał się za krojenie cebuli. Erwana znów ogarnęło dziwne przeświadczenie, że dżungla jest naturalnym środowiskiem ojca. Wszyscy się co do niego mylili, przypisując mu wygórowane ambicje i wyrafinowane kalkulacje. *Machiavelli z placu Beauvau, dobry dowcip*… Stary był drapieżną bestią, myśliwym kochającym samotność, otwarte przestrzenie i bliskość świata zwierząt. Przetrwać – tak. Pamiętać – nie.

Szef kuchni zadał jedno istotne pytanie:

– Co właściwie chcesz wiedzieć?

Ukryty pod peleryną przeciwdeszczową Erwan był tylko głosem w ciemności.

– Kto zabił Cathy Fontanę?

– Ja.

Rozczarowanie. Już dawno się domyślił, że to brutalność ojca – ta przemoc, która zniszczyła życie jemu, jego bratu i siostrze, a przede wszystkim matce. Pielęgniarka z Afryki przypłaciła to życiem. Ale czuł, że ta historia jest bardziej skomplikowana.

Morvan, jakby czytając w jego myślach, dodał:

– Byłem narzędziem zbrodni, ale to Maggie i Perneke wszystko przygotowali. Wykorzystali mój obłęd, żeby zrealizować ten zamiar. – Dorzucił kilka gałęzi do ognia, a potem śmiesznym teatralnym gestem wyciągnął ręce, na które padał blask ognia. – Tak czy inaczej, to te wstrętne łapy mordercy wykonały czarną robotę.

Erwan nie roześmiał się tylko dlatego, że bolały go gardło i struny głosowe, zdarte od krzyku w wiosce górniczej, podrażnione przez dym i błoto.

– De Perneke był młodym psychiatrą, a w Lontano nie miał nic do roboty – ciągnął stary. – Nie dowiedziałem się, co go rzuciło do tej dziury, ale, moim zdaniem, musiał mieć jakieś kłopoty w Belgii. Miał specyficzne podejście do swojego zawodu i metod, jakie wolno stosować. Był skuteczny, chciał jednak, żeby odpowiednio mu za to płacić, i to nie tylko pieniędzmi. Pragnął władzy, kobiet i krwi. W dodatku chciał zdobywać wiedzę i robić eksperymenty, a nas traktował jak króliki doświadczalne. Trzymał Lontano w garści: zwierzały mu się żony sypiające z kim popadło, mężczyźni ogarnięci megalomanią, znał wyrzuty sumienia i nienawiść czarnych, słabości wszystkich nerwicowców, psychotyków, ludzi z obsesjami… Zbierał te wyznania, bawił się w drobne szantaże, czerpał z tego pieniądze i zyskiwał wpływy. Miał też kontrolę nad młodym pokoleniem, zwłaszcza nad Salamandrami, którym dostarczał psychodeliczne narkotyki własnego wyrobu, bo zamienił piwnice kliniki Stanleya w prywatne laboratorium. Rozdawał je także za darmo, grając wyluzowanego psychiatrę, a w zamian sypiał z dziewczynami, które chciały okazać mu wdzięczność. Ale osioł zawsze chce dostać tę marchewkę, której

mu nie dają. Ten łotr szalał na punkcie Maggie, a ona nie zwracała uwagi na nikogo oprócz mnie.

– A wtedy ty znów spotkałeś Cathy.

Morvan nie odpowiedział, pogrążając się we własnych myślach. Potem otrząsnął się i podjął.

– Wrócimy do tego później. Sytuacja wyglądała z grubsza tak: Maggie pragnęła mnie, de Perneke pragnął Maggie, a ja byłem na łasce tego psychiatry. Wyobraź sobie, w jakim byłem wtedy stanie: miałem halucynacje, słyszałem głosy. Nawet maj tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku odrzucił mnie jak wściekłego psa. W Gabonie trochę się uspokoiłem, ale kiedy spotkałem Cathy, ataki wróciły w najlepsze. Nie wiedziałem, co robię. Biłem ją, kiereszowałem, dusiłem. Kochałem ją i nienawidziłem równocześnie. W Port-Gentil di Greco wielokrotnie interweniował, żeby uniknąć najgorszego.

Di Greco – Erwan prawie już zapomniał o tym starym duchu. A przecież i on był w pewnym sensie ofiarą tej historii.

– Człowiek Gwóźdź był dla mnie drogą wyzwolenia. Spakowałem walizki i uciekłem do Konga, żeby odzyskać spokój i chronić kobietę, którą kochałem. Salamandry bardzo mi pomogły. Miałem tam Maggie, pojawił się Perneke: jego pigułki, jego uwaga. Nawet drepczące w miejscu śledztwo oddalało ode mnie cierpienie, ponieważ morderca stał się moją obsesją, odwracał uwagę od mojej choroby. Aż do sylwestra tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku.

– I powrotu Cathy.

Morvan pokiwał głową, wrzucając cebulę do garnka.

– Uciekając, chciałem ją ocalić, chronić przed moimi atakami, a ona znów stała przede mną. Nadal miała nadzieję, że mnie uzdrowi, ale nie wiedziała, że właśnie ona jest moją chorobą.

Już siostra Hildegarda wypowiedziała te zagadkowe słowa. Co mogły oznaczać?

– Kiedy przyjechała do Lontano, ucieszyłem się, że ją widzę, ale też potwornie się bałem, że znów będę ją krzywdził. I rzeczywiście, bardzo szybko zacząłem ją bić.

– A leczenie pod okiem Perneke’a?

Morvan wolno mieszał swoją potrawkę. Zakończone pazurami łapy małpy co pewien czas wynurzały się z czerwonego sosu.

– Ten obłąkaniec znał się na rzeczy, ale ja wciąż nie chciałem opowiedzieć mu o swoim dzieciństwie. Zepchnąłem je tak głęboko, że musiałbym doznać wstrząsu, żeby je odgrzebać. On zaś uważał, że nie można robić postępów, dopóki nie rozprawię się z przeszłością, która stała się przyczyną całego zła. Do leków i psychoanalizy dorzucił hipnozę, choć i tak niczego ze mnie nie wydobył. Wtedy skontaktował się z kimś we Francji, żeby przeprowadzić śledztwo. Jego człowiek przysłał mu pełną dokumentację. W gruncie rzeczy nie były to żadne tajemnice, bo nawet nie zmieniłem nazwiska. Kiedy de Perneke poznał całą prawdę, wiedział już, jak mnie wykorzystać.

Erwan przerwał mu gestem.

– Nie rozumiem. Co właściwie mógł wykorzystać? I po co? Jaki to miało związek z Cathy?

– Po prostu nie widziałeś kluczowego elementu tej układanki.

– To znaczy?

– Tego, który wykradłem za czasów Perneke’a.

Stary wsunął rękę do kieszeni na piersi i wyjął zdjęcie jak z dokumentu tożsamości – en face, prawdopodobnie z akt sądów działających podczas czystek po wyzwoleniu.

– Przedstawiam ci Jacqueline Morvan.

Erwan patrzył w osłupieniu na twarz babki – sobowtóra Catherine Fontany. Identyczny owal twarzy, takie same duże oczy. Nie trzeba było nazywać się Freud, żeby zrozumieć, dlaczego *Kleiner Bastard* kochał i nienawidził Cathy. Była nowym wcieleniem koszmaru jego dzieciństwa.

– Najdziwniejsze – ciągnął Padre – że wtedy tak mocno zepchnąłem te gówniane lata w niepamięć, że wcale nie widziałem ich podobieństwa. Za to kiedy Perneke dostał tę fotografię, zrozumiał istotę mojego piekielnego związku. I uknuł plan, który podsunęła mu Maggie.

– Co to był za plan?

– Maggie była królową Lontano. Nigdy niczego jej nie odmawiano. Zniewaga, jakiej doznała w sylwestrową noc, bo Cathy odzyskała mnie bez najmniejszego problemu, była dla niej nie do zniesienia. Chciała zniszczyć tę dziewczynę w dowolny sposób. A od psychiatry mogła żądać wszystkiego w zamian za swoje względy.

– Chcesz powiedzieć…

– Zawarli przymierze: noc z nią w zamian za głowę Cathy. De Perneke najpierw powiedział jej, że może mnie zmusić do zerwania z Cathy. Maggie czekała. On kazał mi częściej przychodzić na sesje, pokazywał zdjęcie matki, powtarzał, że problem nie tkwi we mnie, ale w Cathy, że powinienem przepędzić ten obraz, który rozbudzał dawne cierpienie. Kiedy wreszcie zrozumiał, że nie nakłoni mnie do pogodzenia się z prawdą, postawił na brutalne metody i podsycał wyniszczającą mnie nienawiść. Już nie mówił o katharsis. Przekonał mnie, że muszę zniszczyć tę twarz, wymazać obraz, który był źródłem szaleństwa. Do dziś pamiętam jego głos, gdy szeptał: „Musisz przejść katharsis, Grégoire…”.

Zamilkł na chwilę, a potem podjął niemal rozmarzonym głosem:

– Wiesz, co napisał Freud do Sabiny Spielrein, kochanki Carla Junga?

– Nie.

– „Sądzę, że nadal kocha Pani doktora Junga, i to tym mocniej, że dotąd nie wyjawiła Pani nienawiści, jaką do niego pała”. Nie szukam usprawiedliwienia, ale stało się to, co musiało się stać. W tę okropną kwietniową noc miałem wyjątkowo silny napad. Udusiłem Cathy z głębokim przekonaniem, że taka jest cena mojego wyzwolenia. Zaciskając palce na jej szyi, słyszałem, jak krzyczy: „*Kleiner Bastard!*”. Chciałem ją uciszyć, nie pozwolić, żeby zadawała mi ból, żebym…

Stary odetchnął i mówił nieco ciszej.

– Wszystko stało się w pokoju w Cité Radieuse. Urządziłem sobie tam kwaterę główną. Sąsiedzi słyszeli krzyki, zawołali stróża nocnego.

– Faustina Munyasezę?

– Tak. Zaskoczył mnie z nożem w ręku, kiedy już skręciłem Cathy kark i wycinałem jej swastykę na czole. Udało mu się mnie powstrzymać. Potem wezwał Perneke’a.

Erwan zrozumiał teraz coś, czego nigdy by się nie domyślił: Thierry Pharabot, prawdziwy Człowiek Gwóźdź, nigdy nie golił ofiarom głów, ale legenda podchwyciła ten element jako charakterystyczny ze względu na Cathy. Z tego faktu wynikała kolejna prawda: Kripo, drugi Człowiek Gwóźdź, doskonale o tym wiedział, bo przecież jako dziecko asystował mordercy w składaniu ofiar, a zatem mimo wszystko goląc ofiary we wrześniu tego roku, dawał Morvanowi do zrozumienia, że zna jego tajemnicę.

Ojciec pogrążył się w posępnych myślach, wciąż mieszając łyżką w rondlu, jakby przyrządzał trucicielską miksturę.

Drgnął i powiedział:

– De Perneke przywlókł się do Cité Radieuse z Maggie.

– Dlaczego z Maggie?

– Nie byłby w stanie poradzić sobie sam w takiej sytuacji, a nikt poza Maggie o niczym nie wiedział.

– Prościej byłoby cię aresztować.

– Chyba naprawdę przypiekło ci neurony. De Perneke chciał się przespać z Maggie, a Maggie chciała mnie odzyskać. Dlatego trzeba było zwalić morderstwo na jedynego możliwego podejrzanego: Człowieka Gwoździa.

– Jak przenieśliście ciało?

Grégoire wstał. W przeciwdeszczowym ponczo, z kędzierzawą grzywą, wyglądał jak mityczny łowca przygód. Człowiek, który tworzył swoją legendę cięciami maczety.

– Pogadamy jutro. Teraz jedz małpę i idź spać. FARDC na pewno już wrócili. Uznają, że dzisiejsza rzeź to sprawka Tutsi. Za kilka godzin zrobi się tu piekło. Musimy wypłynąć o świcie.

Erwan wziął miskę. Kawałki mięsa pływały w sosie, który kłuł w oczy. Zrogowaciały pysk makaka zdawał się chwytać oddech na powierzchni. To nic – teraz zjadłby nawet oponę. Jadł jak w koszarach – palcami, a potem zasnął, nie mając nawet czasu pomyśleć o tym, co wyznał mu ojciec.

73

Trzecia nad ranem. Oddział reanimacji szpitala Hôtel-Dieu.

Po wypadku przy Beaubourgu Gaëlle i Audrey pojechały za karetką na ostry dyżur na wyspie Cité, po drugiej stronie Sekwany. Inne wozy policyjne mknęły za nimi, a jadąca nimi gromada gliniarzy zastanawiała się, co się właściwie stało i na jakie kłopoty będą teraz narażeni.

Gaëlle była wściekła i oburzona, a winą za porażkę obarczała Audrey. Dlaczego nie pozwoliła jej samodzielnie doprowadzić spotkania do końca? Policjantka broniła się, mówiąc, że skrzyknęła grupę Erwana – olbrzyma zwanego Tonfa i wypomadowanego chłopaka nazwiskiem Favini – na wszelki wypadek. Reszta, czyli gliniarze z posterunku i wóz, który nagle się pojawił, to już zwyczajny pech.

Kłóciły się przez całą drogę, a pozostały każda przy swoim zdaniu, wysiadając na wewnętrznym dziedzińcu szpitala. Potem personel ostrego dyżuru kazał im się wynosić – na blok nikt nie miał wstępu, więc usiadły na zewnątrz, na wózkach, które stały przed wyjściem, i paliły papierosa za papierosem.

Gaëlle modliła się w duchu, ale nie do Boga, tylko do losu – Éric Katz musiał żyć. Po pierwsze, chciała, żeby odpowiedział na ich pytania, po drugie, życie psychiatry nie mogło się skończyć w tak głupi sposób. Mimo podejrzeń, jakie na nim ciążyły, wciąż darzyła pewną czułością tego dziwnego faceta. Nie chciała się do tego przyznać, ale sesje z nim – pomijając jej miłosne rojenia – dobrze jej zrobiły. Teraz wspominała je jak rytmiczne fale, które przyniosły jej ulgę i wewnętrzny spokój.

Lekarze nie robili im większych nadziei. Psychiatra wpadł prosto na maskę dużego samochodu. Uderzenie spowodowało krwotoki w klatce piersiowej i jamie brzusznej. Katz doznał też urazu kręgosłupa i jego życie było zagrożone.

Przez całą noc Gaëlle i Audrey nie rozmawiały z nikim z personelu szpitala i nie uzyskały żadnych dodatkowych informacji. Pozostało im tylko

palić w tych smętnych fotelach na kółkach i patrzeć na pacjentów przywożonych na ostry dyżur w sobotni wieczór, a także na oskarżonych transportowanych na szpitalny oddział więzienny w Hôtel-Dieu.

Około drugiej nad ranem Gaëlle postanowiła ujawnić tajemnicę, która leżała jej na sercu – zdanie, które wyszeptał jej do ucha Katz: „Człowiek Gwóźdź nie umarł”. Nie wzbudziła jednak żadnej reakcji Audrey. Na pewno potwierdzało to jej obawy – Katz miał bezpośredni związek z wrześniowymi morderstwami, a może także z tymi z lat siedemdziesiątych. Ale kogo miał na myśli? Czy Philippe’a Krieslera, zwanego Kripo, a uznanego za winnego morderstw popełnionych jesienią? A może ducha z Lontano, Thierry’ego Pharabota, który grasował od 1969 roku w Górnej Katandze? Żadna z tych hipotez nie miała sensu. Pharabot zmarł na skutek wylewu w instytucie psychiatrii w 2009 roku, a Kripo 20 września, kiedy Gaëlle własnoręcznie poderżnęła mu gardło.

W końcu chudy jak szkielet mężczyzna, jeszcze w zielonym fartuchu ochronnym, podszedł do nich. Zsunąwszy maskę, odsłonił pociągłą twarz i pełne melancholii oczy. Mimo zmęczenia wielogodzinną operacją biła od niego energia, którą zdawał się czerpać właśnie z wysiłku i adrenaliny.

– Bardzo mi przykro – powiedział, wyciągając paczkę papierosów – ale to już koniec.

– Zmarł? – zapytała głupio Gaëlle.

Lekarz zamrugał powiekami, potem zapalił papierosa.

– Serce nie wytrzymało. Krwotok był zbyt silny. Próbowaliśmy dokonać cudu, ale walka była przegrana z góry.

– Nie powiedział nic przed śmiercią? – zapytała Audrey.

Chirurg znów spojrzał na nią spod oka. Jego zmęczona twarz miała czarodziejski urok.

– Nie pod narkozą.

Cofnęły się między wozy policyjne i karetki pogotowia. Już miały odejść, gdy zapytał:

– Wypełniły panie dokumenty przed hospitalizacją?

– Nic o nim nie wiemy.

– A ubezpieczenie? Jakaś rodzina?

– Powtarzam panu, że nic nie wiemy! – zdenerwowała się Gaëlle. – Po prostu byłam z nim dziś umówiona. Z przyczyn, których nie da się wyjaśnić w kilku słowach, rzucił się do ucieczki i wpadł prosto pod samochód.

Lekarz zrobił krok w jej stronę. Na jego ładnej twarzy odcisnęły się piętnem trudy tej nocy.

– Drwicie sobie ze mnie?

– Co takiego? – Gaëlle podniosła głos. – O co panu chodzi?

Patrzył na nie, skonsternowany.

– Dlaczego obie mówicie „on”? – zapytał, przypalając papierosa od papierosa.

Gaëlle spojrzała na Audrey i doznała olśnienia: nie zrozumiały z tej historii absolutnie nic.

– A jak powinnyśmy mówić?

Lekarz gniewnie wypuścił z ust kłąb dymu.

– Ofiara, którą do nas przywieziono, jest kobietą.

74

– Dobrze spałeś?

Szósta rano. Erwan próbował wstać, ale utknął między korzeniami, które służyły mu za łóżko, w dodatku zapadł się w błotnistą kałużę, a jego kamizelka kuloodporna utworzyła pod peleryną skorupę na wzór skarabeusza. W końcu, po wielu porażkach, zdołał się wygrzebać z zielonkawej pułapki.

Poranne deszcze już minęły. Gdyby znalazł dobrze nasłonecznione miejsce, po godzinie byłby suchy. Tymczasem zrzucił nieprzemakalną pelerynę i kamizelkę kuloodporną i nareszcie mógł się przeciągnąć. Z pewnym zaskoczeniem stwierdził, że po wczorajszym kataklizmie słońce świeciło jakby nigdy nic. Światło, bogactwo zapachów, głosy zwierząt – wszystko wróciło na swoje miejsce. I znów wraz z pierwszym uniesieniem powiek odradzał się świat.

Morvan dorzucał do ognia i można było pomyśleć, że nie pozwolił mu zagasnąć przez całą noc.

– Śniadanko!

Nie pamiętał, żeby cokolwiek mu się śniło. Tylko wczorajsze słowa snuły mu się po głowie. Spowiedź ojca, morderstwo w cieniu innych morderstw, obłęd zmanipulowany przez cudze szaleństwo. Morvan robił *chikwangue*, tę cuchnącą łajnem kulę z manioku, którą Erwan jadł już na barce.

– Siadaj.

Erwan usadowił się na kamieniu. Polana była pocięta oślepiającymi smugami światła, które przebijało się przez dach lasu: pyłki, kurz i owady wirowały w tych promieniach słońca. W dali przekrzykiwały się ptaki i małpy, tworząc kakofonię, która mogłaby doprowadzić do szału, gdyby się w nią wsłuchać.

– Czekam na zakończenie opowieści – powiedział Erwan, odrywając kawałek *chikwangue* i maczając go w odgrzanym wczorajszym sosie. On też nabierał afrykańskich zwyczajów.

Morvan uśmiechnął się. Wyglądał na odprężonego, jakby uwolnił się od ciężaru, wyznając prawdę. Od z górą czterdziestu lat żył z tajemnicą, o której mówił tylko w jeden sposób – bijąc żonę dla przypomnienia dawnych dobrych czasów.

– Nie mam już wiele do dodania – odparł, unosząc do ust kęs jedzenia. – Tamtej nocy Perneke zrobił mi zastrzyk i zasnąłem w samochodzie Maggie. Kiedy się obudziłem nazajutrz rano, wciąż siedziałem na tylnym siedzeniu, nad brzegiem rzeki.

– Gdzie dokładnie?

– De Creeftowie mieli hangar na łodzie trzy kilometry od Lontano. To tam zamknęli się Maggie i de Perneke, żeby okaleczyć ciało.

– Maggie też?

– Przede wszystkim ona. Perneke był tchórzem. Nie znosił ani przemocy fizycznej, ani widoku krwi. Zapewniam cię, że to ona odwaliła całą robotę. Wbijała gwoździe, odłamki szkła, wyrwała wątrobę i nerki, wycięła srom. Doskonale znała sposób działania Człowieka Gwoździa, bo podobnie jak ja była świetnie poinformowana.

– Myślisz… to znaczy… wydaje ci się, że czerpała z tego przyjemność?

– Podnieciła się tak, że miała mokro w majtkach.

Jeszcze kęs manioku. *Nie zamierzam wymiotować*. Erwan czuł już pod stopami rozgrzewającą się i zastygającą glinę. W południe będzie twarda jak asfalt.

– A czy… dotrzymała obietnicy danej Perneke’owi?

– Maggie dostała to, czego chciała, przespali się więc ze sobą jeszcze tej nocy, w jednej z łodzi w hangarze, zaraz po wyrzuceniu zwłok Cathy na pobocze drogi. A ja spałem kilka metrów dalej, w samochodzie, nafaszerowany narkotykami. Jak ci się podoba twoja rodzinka, synu?

Erwan powinien być w szoku, tymczasem czuł się po prostu wyczerpany. Zło jest jak wszystko inne – po przekroczeniu pewnego progu obojętniejemy na nie.

– Co zrobiłeś, kiedy się ocknąłeś?

– Maggie odegrała wspaniałą rolę: twierdziła, że upozorowała działanie Człowieka Gwoździa, żeby odsunąć podejrzenia ode mnie, ale nie chciałem się na to zgodzić. Postanowiłem się przyznać. Przedtem chciałem jeszcze zobaczyć się z moim psychiatrą, żeby zrozumieć, jak mógł posunąć się do czegoś takiego. Na mój widok wpadł w panikę i o wszystkim mi

opowiedział. Jak mnie uwarunkował, jak przekonał, że tylko śmierć Cathy pozwoli mi się oswobodzić, jak za pomocą słowa „katharsis” wbił mi do głowy rozkaz zabójstwa. Żeby ratować skórę, wyjawił też, że za tym wszystkim stała Maggie. To ona zaplanowała śmierć Cathy. Nie uwierzyłem mu, ale wtedy podał mi szczegóły: ich potajemny układ, noc spędzona razem tuż po porzuceniu zwłok w buszu. Skatowałem go niemal na śmierć… Chciałem, żeby jego kara trwała długo, pozbawienie go życia jednak mnie nie satysfakcjonowało. Wróciłem do Maggie, żeby i jej wymierzyć sprawiedliwość. Nawet się nie broniła. Potem wędrowałem po buszu, bez celu i powodu. Moje życie legło w gruzach, już zawsze miały mnie dręczyć wyrzuty sumienia i potworna wściekłość. Najchętniej bym się zabił, ale miałem jeszcze moją misję: schwytać Człowieka Gwoździa, tego prawdziwego. Nikt poza mną nie mógł tego zrobić. Byłem to winien ofiarom, a nawet Cathy: zakończyć pracę, zanim skończę ze sobą. Podjąłem śledztwo, udając, że dopisuję śmierć Cathy do listy zbrodni tamtego. Perneke zniknął na dobre, a Maggie dyskretnie umieszczono w szpitalu. Chodziłem jak błędny, uzależniłem się od leków, ale najpoważniejsze problemy miałem z de Creeftami. Kiedy ojciec zobaczył, do jakiego stanu doprowadziłem jego córkę, wyznaczył cenę za moją głowę. Nie zdążyłem przedstawić ci człowieka, który został potem moim teściem, ale dziedzictwo było trudne: gwałtowny, sadystyczny, władczy, zwolennik umiarkowanego kazirodztwa chroniącego pochodzenie, czarnych umieszczał w cyklu ewolucji na szczeblu poniżej małp, a na swoich ziemiach władał jak feudalny pan, stanowiący o życiu i śmierci. Istna karykatura. Słowem, mając przeciwko sobie białych budowniczych, byłem bez szans. Byli myśliwymi, chodzili uzbrojeni po zęby, a busz znali niemal tak jak czarni. Mój los był przesądzony.

Erwan słuchał jak dziecko zafascynowane zbyt okrutną baśnią i bezwiednie łykał cuchnące kulki manioku.

– Jak sobie poradziłeś?

– Miałem dwie monety przetargowe. Po pierwsze, szperając w ich przeszłości, poznałem sporo rodzinnych tajemnic: potworności, o których lepiej było nie mówić ani Mobutu, ani światowej prasie. Drugim atutem była znajomość sprawy Człowieka Gwoździa. Chociaż nie ustaliłem jeszcze, kim był, wszyscy zdawali sobie sprawę, że tylko ja mogę go dopaść. Biali mnie oszczędzili za dwie obietnice: miałem zabić mordercę,

kiedy go odnajdę, i poślubić córkę de Creeftów, kiedy tamta sprawa zostanie zakończona. Te kontrakty spisano krwią fetyszysty.

Erwan przerwał jedzenie – ta historia, chociaż szalona, miała swoją logikę, a teraz coś w niej zgrzytało.

– Dlaczego chcieli, żebyś ożenił się z Maggie?

– Bo ona tego pragnęła, a dla ojca jej życzenie było rozkazem. Wracając do Człowieka Gwoździa, to dopiero po dwóch kolejnych morderstwach wykryłem szaleńca, który szczepił się przeciwko tężcowi po każdej zbrodni. Śmierć Cathy wprawiła Pharabota we wściekłość. Zaczął zabijać, kogo popadło – Colette Blockx i Noortje Elskamp nie należały do rodzin białych budowniczych – i robił to z jeszcze większym okrucieństwem. Kiedy stanąłem twarzą w twarz z Pharabotem w sercu buszu, nie byłem w stanie go zabić. Pewnie poczułem solidarność wściekłych psów. Zrobiło mi się żal tego szurniętego biedaka. Tak jak ja był porzuconym dzieckiem wykorzystywanym seksualnie i torturowanym przez dorosłych. W gruncie rzeczy nie byłem lepszy od niego. Przekazałem go władzom Lubumbashi, żeby nie dopuścić do linczu, i ożeniłem się z Maggie. Biali budowniczowie zrezygnowali z zamiaru dokonania egzekucji, kiedy się dowiedzieli, że Pharabot nic o nich nie powie, a przynajmniej, że nikt nie da mu wiary. *Nganga* miał skończyć na szubienicy albo w domu wariatów, co wychodziło na jedno. Pozostało więc wyprawić piękne wesele.

Morvan zamilkł i chwycił bukłak z filtrowaną wodą. Gdy mówił tak długo, jego głos się zmieniał, stawał się chrapliwy. Wypił co najmniej pół bukłaka, nie odrywając od niego ust.

– Mam jeszcze kilka pytań – odważył się wtrącić Erwan.

Grégoire już wstał i patrząc na zegarek, odparł:

– Przykro mi, synu, ale musisz uzbroić się w cierpliwość. Teraz musimy już ruszać w drogę, żeby zdążyć na spotkanie z Czepikiem.

– Jesteś pewien, że przyleci?

Stary wziął rondel i kucnął, żeby opłukać go w kałuży. Istny domowy duszek.

– Zobaczymy.

– A co potem?

– Potem? – powtórzył, zasypując ognisko kilkoma ruchami nogi. – Wskakujemy do pierwszego lotu do Kinszasy, a tam odprowadzam cię do

samolotu do Paryża. Chciałeś prawdy? Już ją znasz. Teraz koniec wygłupów i powrót do punktu wyjścia.

Erwan podchwycił tę grę.

– Z pominięciem punktu więzienie?

– Dla kogo? Dla mnie? Spróbujemy unikać przepaści i labiryntów – odparł ojciec, mrugając do niego okiem. – I dobrze, jeżeli nam się uda.

75

Zgodnie postanowili, że Sofia jeszcze przed południem wyleci z dziećmi do Paryża. Ostrzeżenia starego tak wystraszyły Loïca, że zarezerwował dla nich bilety na godzinę dziewiątą czterdzieści pięć, sam jednak nie zamierzał się poddawać i przerywać śledztwa. Chciał dowiedzieć się czegoś więcej o roli, jaką odegrali w przemycie broni Balaghino i Pontoizau, a także o zabójstwie Montefioriego.

Przebudzenie było ciężkie. Mimo że wspomógł się środkami nasennymi, przez całą noc zmagał się ze sobą, żeby nie pobiec do sypialni Sofii i wypłakać się w jej ramionach. *To nie czas na słabości*. Jego postawa przywracała w oczach hrabiny blask jego herbowi i chociaż nie to było dla niego ważne, mogło poprawić relacje między nimi.

O ósmej spakowali walizki do bagażnika, pożegnali się z królową matką i osieroconymi siostrami. Musieli opuścić posiadłość przez boczną bramę, żeby zmylić czatujących przed willą reporterów. Z tej strony prowadzące w dół zbocza drogi były wąskie i kręte, otwarte na ostry stok. Kiedy mijali inne samochody, Loïc musiał się cofać, żeby znaleźć miejsce na poboczu i przepuścić jadących w górę. Często pozostawało mu tylko wsuwać się w otwarte bramy przed willami.

Był mocno rozdrażniony i żałował, że pijąc kawę, nie przyjął lekarstw. Co gorsza, prowadził jednego z jaguarów Kondotiera. Samochód zmarłego, w dodatku piekielnie droga zabawka. Przy każdym manewrze czuł, jak ściska go w podbrzuszu. Tarcie trawy o karoserię, bliskość murków albo przepaści, droga tak wąska, że dwa auta prawie się o siebie ocierały – wszystko to przyprawiało go o siódme poty. Miał wrażenie, że Montefiori siedzi z tyłu i obserwuje każdy jego ruch.

A jednak krajobraz był pogodny – ceglasta wstęga drogi, tarasowe ogrody, cyprysy po bokach, by chronić parki przed wiatrem, wysokie wille, które – przeciwnie – wystawiono na podmuchy, bo latem odrobina

przewiewu była upragniona. W dole miasteczko Fiesole skuliło się jak śpiący żołnierz, którego strzelbą była kampanila Duomo.

Powinien wykorzystać tę poetycką chwilę wytchnienia, ale czuł się naprawdę marnie: ten samochód, głód narkotykowy, myśl o tym, że wkrótce zostanie tam na górze sam z dwiema histerycznymi czarownicami i przygnębioną teściową. Ale wyniki śledztwa elektryzowały go. Sofia i on, traktowani zawsze jak para beztroskich dzieciaków, karmieni platynową łyżeczką na jedwabnym obrusie, wykryli zabójców Kondotiera i ich motyw!

– Niedobrze mi… – jęknął siedzący z tyłu Lorenzo.

– Mnie też – pocieszył go Loïc.

Kawa, którą wypił przed wyjazdem, ciążyła mu w żołądku.

– Przesiądę się – zdecydowała Sofia.

Odpięła pas, zgięła się i wsunęła między fotele, rozsiewając wokół zapach perfum, który coś Loïcowi przypominał, choć nie potrafiłby powiedzieć co. *Cholerny przeżarty prochami mózg*.

Po wyjściu z agrafki natknęli się na samochód. Minięcie się było niemożliwe. Pojazd cofnął się, ale nie wjechał w otwartą bramę po prawej. Najwyraźniej kierowca uznał, że ma to zrobić Loïc. Wykonywał manewr na wdechu, a kiedy tamten ruszył w dalszą drogę, był już na dziedzińcu.

Właśnie cofał, kiedy zobaczył w lusterku wstecznym, że dwaj mężczyźni biegną do bramy i zamykają ich na dziedzińcu.

– Co to ma…

Chwilę później jeden z osiłków zapukał w szybę, równocześnie odchylając połę marynarki i pokazując broń. W bezgranicznej naiwności Loïc pomyślał, że to policjant.

– Wysiadaj – rozkazał tamten po włosku.

Loïc nie drgnął. Ojciec znowu miał rację. A on znowu za późno to zrozumiał.

– Powtarzam: wysiadaj…

Mężczyzna mówił spokojnie, ale jego sycylijski akcent sprawiał, że zza słów wyzierała brutalność. Ostry, krwiożerczy wiatr krain południa wiał przez jego usta. Loïc wysiadł, a tymczasem drugi zbir otworzył tylne drzwi i wyrwał Sofii telefon. Milla i Lorenzo szlochali, tuląc się do matki, która z trudem powstrzymywała się od krzyku.

– Nie krzywdźcie ich – wybełkotał Loïc.

Mężczyzna uśmiechnął się i chwycił go za kark jak kłusownik zająca. Przy odrobinie szczęścia skończy się na obiciu mordy. Kiedy zmusili go, żeby ukląkł przed maską jaguara, zrozumiał, że zabiją go na oczach żony i dzieci.

Regularna egzekucja miała posłużyć Montefiorim za nauczkę.

Zdążył jeszcze tylko zobaczyć, jak siedząca w samochodzie Sofia zmusza dzieci do pochylenia się, żeby nie patrzyły na rozpryskujący się po szybie mózg ojca. Ta troska wzruszyła go do łez.

Spodziewał się, że zobaczy czarną paszczę pistoletu, ale mężczyzna rozpiął tylko rozporek.

– Popytaliśmy o ciebie, *garrusu* – szepnął, uwalniając nabrzmiały członek. – Podobno to uwielbiasz…

76

Isabelle Barraire, dawniej Hussenot. Czterdzieści siedem lat, rozwiedziona, psychiatra. Zmarła w niedzielę 18 listopada 2012 roku o drugiej czterdzieści siedem w Hôtel-Dieu w Paryżu.

Tożsamość zmarłej ustalono w najprostszy sposób – przez odciski palców. Zatrzymywana za zakłócanie porządku publicznego i napaści w 2000 roku, wielokrotnie trafiała do aresztu tymczasowego, miała więc kartotekę.

Potem wystarczyło już tylko dotrzeć po nitce do kłębka. W ciągu kilku godzin Audrey nakreśliła jej profil. Akta stanu cywilnego. Kartoteka policyjna. Sąd rodzinny. Świadkowie wyrywani ze snu. Audrey nie bawiła się ani w subtelności, ani w dbałość o działanie zgodnie z prawem. Groziła, wrzeszczała, wykorzystywała znajomości. Nie cofnęła się przed niczym, co mogła zrobić, żeby jak najszybciej zebrać maksimum informacji o kobiecie, która po czterdziestce przeistoczyła się w mężczyznę.

Audrey ścigała się z czasem – wiedziała, że zostało jej kilka godzin. I tak oberwało jej się już dwa razy, kiedy pojawiła się w „36”, najpierw od Jean-Pierre’a Fitoussiego, dowódcy brygady kryminalnej, potem od nowego szefa grupy, Patricka Abreu. Ale to były tylko skromne przystawki przed daniem głównym, jakie zaserwuje jej Generalna Inspekcja Służb. A na deser stanie przed komisją dyscyplinarną, która odda ją do dyspozycji dowództwa.

Gaëlle poszła do domu, żeby się trochę przespać. Po głowie tłukły jej się sprzeczne myśli, dręczyły ją wyrzuty sumienia, była zmęczona. O dziesiątej obudził ją telefon – Audrey znów zapraszała ją do „36” na naradę. Gaëlle wskoczyła do taksówki. Z każdym dniem bardziej imponowała jej ta fatalnie ubrana dziewczyna, która żyła – i to marnie – chyba wyłącznie pracą.

Tym razem raport był kompletny i szczegółowy.

Isabelle Barraire urodziła się w Clermont-Ferrand w 1965 roku w zamożnej rodzinie (od XIX wieku Barraire'owie byli właścicielami pralni w całej Francji). Po ukończeniu szkoły z doskonałym wynikiem studiowała w Paryżu medycynę, w 1992 roku uzyskała dyplom i wybrała psychiatrię. Jako rezydentka w Szpitalu Świętej Anny poznała starszego o pięć lat Philippe'a Hussenota i wyszła za niego w 1994 roku. Pierwsze dziecko, Hugo, przyszło na świat w 1995 roku. Potem, w 1998 roku, urodził się Noah. Separacja i rozwód orzeczony w 2002 roku.

Na pierwszy rzut oka klasyczna droga pary w zachodnioeuropejskiej stolicy. Miłość, ślub, praca, dzieci, potem znużenie, zniechęcenie, wrogość. I tak aż do zerwania. Odzyskuje się wolność i zaczyna się od początku, mając trochę więcej lat. Ale historia Hussenotów była bardziej skomplikowana.

Jako nastolatka Isabelle zaczęła mieć zaburzenia psychiczne – agresywne zachowania, skandale w miejscach publicznych, napastowanie. Wielokrotnie trafiała do instytutu psychiatrycznego dla północno-wschodniej części Paryża (w okresie studiów mieszkała przy placu Saint-Georges).

Audrey przeglądała raporty specjalistów. Mówiło się o schizofrenii, obsesjach paranoidalnych, o dwubiegunowości – typowa mieszanka, ale o dużym natężeniu. Trudno było zliczyć rozmaite fazy choroby Isabelle: halucynacje, głosy wewnętrzne, przemoc…

Mimo wszystko dziewczyna dostała się na studia medyczne w Paryżu, co graniczyło z cudem. W okresie remisji poznała Hussenota i udało jej się grać normalną. Jak na psychiatrę, nie wykazał się intuicją ani przenikliwością. W tym okresie funkcjonowała dzięki neuroleptykom, zresztą tylko one pozwoliły jej uniknąć gnicia latami w zakładzie dla psychicznie chorych. U schyłku lat dziewięćdziesiątych, kiedy pracowała w szpitalu Paul-Guiraud w Villejuif, Hussenot zażądał rozwodu – nie mógł już wytrzymać choroby żony. Potem dokonał się zwrot o sto osiemdziesiąt stopni: poczęli drugie dziecko. Na próżno, bo para rozstała się po dwóch latach. W sądzie stoczyli zaciekłą walkę. Nie było mowy o pogodzeniu ich. Na podstawie ekspertyz psychiatrycznych Hussenot uzyskał wyłączną opiekę nad synami, których Isabelle mogła widywać tylko dwa razy w miesiącu.

W tym okresie już nie praktykowała, a noce często spędzała w I3P, czyli na oddziale psychiatrycznym prefektury policji w 14 dzielnicy – jako pacjentka. W 2002 roku zatrzymano ją przebraną za nazistowskiego oficera (miała już wtedy krótkie włosy), otuloną w czarną pelerynę. Nieco później dokonano jej aresztowania pod oknami Philippe'a Hussenota, gdy krzyczała, że to impotent i że nie jest ojcem jej dzieci. W tym samym roku złapano ją, gdy usiłowała podpalić ośrodek dla imigrantów w 20 dzielnicy (nie znosiła tej dzielnicy Paryża po pobytach w pobliskim szpitalu psychiatrycznym). Adwokaci, eksperci, szpitale – Barraire'owie zdusili skandal w zarodku.

Po fascynacji faszyzmem Isabelle oddała się kaligrafii japońskiej. Robiła to bez umiaru, niszcząc sobie oczy. Mieszkała wtedy przy Faubourg-du-Temple. Lżyła Maghrebczyków i czarnych na ulicach. Twierdziła, że jest dziewicą, że dzieci – Hugo i Noah – nie są jej, że Hussenot kupił je w Albanii i że poddaje je eksperymentom medycznym. W 2003 roku, wyczerpana i zrozpaczona, poderżnęła sobie gardło nożem. Uratowano ją w ostatniej chwili, ale uszkodziła sobie struny głosowe. Pamiątką po tym był bezdźwięczny, metaliczny głos.

W końcu wróciła do Owernii i chyba się uspokoiła – mniej tam było okazji do zaczepek, więcej leków. Ale w 2006 roku Philippe i chłopcy zginęli w wypadku samochodowym w Grecji. Isabelle zniknęła bez śladu.

Mimo starań Audrey nie natrafiła na jej ślad – ani na ubezpieczenie, ani na prawo jazdy, ani na kartę kredytową czy oficjalną aktywność. Właściwie Isabelle Barraire przestała istnieć. Gdzie się wtedy leczyła? Kiedy stała się Érikiem Katzem? Tym, który otworzył gabinet w 2009 roku. Audrey prosto ze szpitala poszła tam jeszcze raz, żeby przejrzeć archiwa i wynieść kilka dokumentów. Skoro posunęła się już tak daleko… Odkryła, że Isabelle przejmowała głównie pacjentów swojego byłego męża. A to potwierdzało kryjący się za jej postępowaniem scenariusz: zmieniając płeć i osobowość, dawna pani Hussenot przechodziła katharsis. Stała się awatarem byłego męża.

Warunki tej metamorfozy stworzyło pewne zdarzenie – śmierć ojca w 2008 roku. Isabelle straciła nagle jedyne oparcie, ale odziedziczyła fortunę. Od tej chwili obłęd mógł swobodnie się rozwijać.

Łącząc te wszystkie elementy, Gaëlle nie odrywała oczu od zdjęcia Isabelle Barraire wykonanego dziesięć lat temu po kolejnym zatrzymaniu.

Mimo krótkiej fryzury widać było wyraźnie, że jest kobietą. Później jej rysy stały się twardsze, ostrzejsze, aż w końcu nabrały męskich cech (z pewną budzącą wątpliwości nutką).

– Kawy?

– Nie.

Było niedzielne południe, a Gaëlle i Audrey nie miały już sobie wiele do powiedzenia. Ten głupi wypadek bardzo je zasmucił. Czuły się sfrustrowane, znowu odbijając się od ściany. I bezsilne wobec tylu pytań, które pozostały bez odpowiedzi. Co wspólnego z Człowiekiem Gwoździem mogła mieć Isabelle Barraire? O którego mordercę jej chodziło? Tego z Afryki czy tego z Paryża? Dlaczego Anne Simoni była jej pacjentką? Po co trzymała u siebie dokumentację Ludovica Pernauda? Czy w jakiś sposób zwabiła do swojego gabinetu Gaëlle? Czy wypełniała rozkazy osoby kryjącej się w cieniu?

Człowiek Gwóźdź nie umarł…

Musiały zacząć od zera. Odkryć, kogo miała na myśli Isabelle. Tymczasem nie miały żadnych podstaw, żeby kwestionować wyniki śledztwa Erwana, który wykazał winę Kripo. Trzeba było jednak włączyć do kręgu sprawy obłąkaną panią psychiatrę. Czy znała Philippe’a Krieslera? Albo któregoś z czterech podejrzanych uważających się za Człowieka Gwoździa, którego szpik kostny im przeszczepiono? Śledztwo ujawniło tylu szaleńców na drodze *nganga*…

Poza tymi pytaniami Gaëlle nękało coś jeszcze: intymne, niemal fizyczne rozdarcie. Świadomość, że przez ponad rok zwierzała się oszustowi – jak się okazało, kobiecie, która słuchała, przyjmowała jej wyznania, jej spowiedzi, jak pajęczyca chwytająca ofiarę w lepką sieć. Żeby wbić nóż w ranę, przypominała sobie oznaki kobiecości, które zawsze ją uderzały u Katza: tę twarz, te wysokie kołnierzyki, które upodabniały go do staromodnego buchaltera, a prawdopodobnie miały zasłonić blizny po nieudanej próbie samobójczej, za długie ręce przypominające szpony, ten bezdźwięczny głos, który nigdy nie wybierał między tonami niskimi a wysokimi. Jak mogła być tak ślepa? Éric Katz miał wszelkie cechy transwestyty, tylko że jego przemiana była… odwrócona.

Próbowała wyobrazić sobie potajemne życie Isabelle Barraire, kulisy jej szaleństwa. Widziała, jak wchodzi do grobowca Hussenotów na cmentarzu w Lilas, jak wyjmuje z trumien ciała, a potem otwiera je i oczyszcza

z narządów, balsamuje, zawija w taśmy nasączone żywicą, wykorzystując wiedzę medyczną i informacje na temat egipskich technik. Wyobrażała ją sobie także rozmodloną na klęczniku i otwierającą trumny podczas każdej wizyty.

Najgorsze było jednak, że wcale nie czuła się tak bardzo różna od tej obłąkanej kobiety. Ona też wielokrotnie trafiała do I3P, a potem do szpitala Henri-Ey, do jednej z izolatek, do łóżka z pasami. Ją także ojciec zamykał w najelegantszych klinikach, przeważnie w les Feuillantines.

A teraz?

Sytuacja stała się jasna. Audrey nie miała już żadnych podstaw, żeby prowadzić śledztwo, a Gaëlle wróciła na swoje miejsce, czyli na boczny tor. Liczyła już tylko na dwie rzeczy: powrót starszego brata i nową katastrofę, cokolwiek miałoby to być. Strach jest jak zimno – trzeba się ruszać, być aktywnym, żeby nie dać mu się uwięzić.

Cokolwiek miało się stać, Gaëlle na to czekała.

77

W południe dotarli zgodnie z planem w rejon kopalni. Poranek spędzili w pirodze tnącej brunatną wodę jak nóż konopie, w wypadku Erwana – na katowaniu się tym, co powiedział mu ojciec. Nie było mowy o zatrzymaniu starego w prawnym tego słowa znaczeniu. Wszystko wydarzyło się na terytorium Konga-Kinszasy, w dodatku czterdzieści lat temu, co z punktu widzenia prawa oznacza całe wieki. Przede wszystkim jednak Erwan nie miał na to żadnych dowodów, pomijając wyznania, których ojciec z pewnością by nie powtórzył.

Prawdziwą kwestią było co innego: winny czy niewinny? Erwan był jedynym sędzią – równocześnie przewodniczącym trybunału, prokuratorem, adwokatem i ławą przysięgłych. Kiedy wcielał się w poszczególne role, pękała mu głowa. Zupełnie nieoczekiwanie w procesie nastąpił zdumiewający zwrot. Ojciec, postać znienawidzona, zabójca i szpieg, kat matki, przeistoczył się w ofiarę swojego dzieciństwa, zaburzeń psychicznych i duetu zdegenerowanych obłąkańców. Winny czy niewinny?

– Zaraz będziemy na miejscu – oznajmił Morvan. – Włóż kamizelkę kuloodporną.

Erwan konał w upale, ponadto dusił się w kamizelce ratunkowej. Nie zareagował na słowa ojca. Prawdę mówiąc, nie miał już energii, żeby czymkolwiek się przejmować.

– Włóż ją – powtórzył Grégoire. – Jeszcze nie czas na rozluźnienie.

– Sygnalizowano obecność wojsk w tym rejonie?

– Nie tych, które znasz. Tu są Mai Mai, *kadogos*, równie groźni, ale mniej widoczni. Byliby zachwyceni, gdyby mogli nas zgarnąć.

Erwan spojrzał w górę, obawiając się przybycia kolejnego śmigłowca MONUSCO. Błękitne hełmy na pewno odpłacą represjami za śmierć swojego dowódcy.

Ta refleksja nasunęła mu inne pytanie: dlaczego Pontoizau chciał go zgładzić?

– Kanadyjczyk był handlarzem broni – wyjaśnił z posępnym uśmiechem Morvan. – To on przyczynił się do tych rzezi z ostatnich dwóch dni, bo wyposażył dzikusów. Nie wiem, jak to załatwił, ale przehandlował własne zapasy tym zbrojnym bandom. Nawiasem mówiąc, to on zamordował Montefioriego, zamieszanego w ten handel. Wezwałeś na pomoc największego wroga. Dla niego byłeś tylko świadkiem, którego trzeba się pozbyć.

Kolejna informacja do przetrawienia, kolejne maski, które spadły w tej coraz bardziej splątanej sadze.

– Skąd to wszystko wiesz?

– Od twojego brata. Dowiedział się o tej sensacji dziesięć tysięcy kilometrów stąd.

Erwan nie widział związku między piekłem na rzece a Loïkiem, ale powstrzymał się od drążenia tematu. Przecież nie ten epizod go interesował.

– Za ile dopłyniemy? – zapytał.

– Pół godziny.

Wystarczająco dużo, żeby wrócić do Człowieka Gwoździa.

– Opowiedz mi resztę.

– Jaką resztę?

– Dziś rano stwierdziłeś: „Biali budowniczowie zrezygnowali z zamiaru wykonania egzekucji, kiedy się dowiedzieli, że Pharabot nic o nich nie powie”. Co właściwie wiedział? Zgodnie z tym, co powiedziała siostra Hildegarda, on także należał do klanów założycielskich…

– Już ci mówiłem – westchnął Morvan – że w tamtym okresie szperałem w sprawach tych rodzin. To pozwoliło mi dostrzec ich brutalność, ich okrucieństwo. Odkryłem też, że ta banda wariatów wierzyła w czary Yombe. Byli przesiąknięci animizmem i przeświadczeni, że są przeklęci. Opuszczając Dolne Kongo, zawarli pakt z czarownikami, żeby na innej ziemi móc żyć spokojnie.

Erwan poczuł zawrót głowy. Ta sprawa działała na niego jak narkotyk albo alkohol. Im głębiej w nią wchodził, tym wyraźniej tracił grunt pod nogami. I chciał się dowiedzieć wciąż więcej i więcej. Do czego dojdzie ta historia?

– Co to był za pakt?

– Musieli oddać czarownikom dziecko. To typowe żądanie fetyszystów, trybut na rzecz magii opłacany w świeżym mięsie.

– Chcesz powiedzieć, że…

– Zanim opuścili Mayombe, porzucili tam jedno ze swoich dzieci. Przyszłego Thierry’ego Pharabota.

– Czyim był synem?

– Tego nie udało mi się ustalić. Wywróciłem do góry nogami akta stanu cywilnego wszystkich rodzin, ale w Kongu…

– Jak się tego domyśliłeś?

– Dzięki Perneke’owi. Tej nocy, kiedy obiłem mu gębę, próbował się ratować, podając mi między innymi tę informację. Kobiety z klanu miały wyrzuty sumienia i o wszystkim mu opowiedziały. Myślały, że duch chłopczyka powraca, żeby je straszyć. I miały rację, ale jego powrót wyglądał inaczej.

– Czarownicy nie zabili dziecka?

– Przeciwnie, poddali go inicjacji. Szczegóły poznałem znacznie później, kiedy przesłuchiwałem Pharabota. Wszyscy uważali, że ma niespójną osobowość. Ale to nieprawda. Był szalony, zachował jednak bardzo dokładne wspomnienia. Jak w tej bajce dla dzieci, mężczyźni z klanu zostawili go razem z rowerem w środku lasu. Chłopiec jeździł po ścieżkach, niczego się nie obawiając. Kiedy wrócił, jego bliskich już nie było. Zaczął ich wołać, krzyczeć, aż zdarł sobie struny głosowe, lecz nie wrócili po niego. Zapadła noc i *nganga* przyszli go zabrać. Pharabot nie powiedział mi nic o swojej nauce, ale dziś wiesz już dość, żeby wyobrazić sobie, ile wycierpiał. Miał zdolności, które ułatwiły mu naukę. Jako nastolatek był już budzącym respekt fetyszystą.

Te fakty przypominały samego Pharabota – były spójne w swoim obłędzie. Psychoza paranoidalna opętania nasiliła się pod wpływem zimnej determinacji porzuconego dziecka.

– Jak uciekł czarownikom?

– Nie wiem. Po latach jezuici odnaleźli go w Kasai Zachodnim. Nazwali go Thierry Pharabot i umożliwili nadrobienie zaległości w nauce. Pod tym nazwiskiem zaczął studia na wydziale geologii w Lontano. W rzeczywistości, jak się mówiło, obserwował „swoją jedyną rodzinę, jedynych wrogów”. Już po pierwszym morderstwie zostawił przy ofierze szkic drzewa genealogicznego. To był znak dla założycieli miasta: porzucony syn powrócił.

– Zrozumieli to przesłanie?

– Nie. Myśleli, że fetyszyści Mayombe nie dotrzymali słowa i uwolnili demona, który wcielił się w robotnika. Dlatego chcieli wybić wszystkich imigrantów z Dolnego Konga. Wierzyli w czarną magię, ale jeszcze mocniej w białą, to znaczy w .375 Holland & Holland Magnum.

Nagle warkot samolotu zawtórował silnikowi łodzi.

– Czepik – stwierdził Morvan, wznosząc oczy i patrząc na maleńką sylwetkę dwusilnikowca przesuwającego się po białym niebie. – Za kwadrans będziemy na pokładzie.

Erwan wiedział, że kiedy znajdą się na lądzie, nie zada ojcu już żadnego pytania. Stary zamykał się jak wnyki na wilki. To była ostatnia okazja, żeby czegoś się dowiedzieć.

– A Perneke – powiedział głośniej, żeby przekrzyczeć silnik enduro – spotkałeś go jeszcze?

– Nie. Po tym, jak wydał białych budowniczych, musiał trzymać się jak najdalej od Lontano. No i bał się, że jego rola w sprawie Cathy wyjdzie na jaw.

– Dlaczego cię nie wydał?

– Naprawdę jesteś taki głupi? Przecież poszedłby na dno razem ze mną, za współudział.

– I nigdy już o nim nie słyszałeś?

– Pytasz, czy przysyłał mi pocztówki? Nie. A ja nigdy nie próbowałem go szukać. Wiem, że pracował jako psychiatra gdzieś w Walonii. Zmarł kilka lat temu. Rak.

Pozostała Maggie. Erwan potrafił zrozumieć, że Morvan ją oszczędził i że bał się gniewu rodzin, ale dlaczego się z nią ożenił? Zakładać rodzinę z Gorgoną, która tak nim manipulowała?! Trudno uwierzyć, że zrobił to, bo go poprosiła. Albo ze strachu przed białymi budowniczymi. *To się nie trzyma kupy*.

Zbliżali się do brzegu. Cross chwycił kotwicę, a Morvan, który już zdjął kamizelkę ratunkową, zbierał torby, gotów wyskoczyć na ląd.

– Nie powiedziałeś mi wszystkiego – zawołał Erwan, chwytając go za rękę.

– Co jeszcze?

– Dlaczego ożeniłeś się z Maggie? Dlaczego nie przyznałeś się, kiedy Człowiek Gwóźdź już siedział? Masz wiele wad, ale nigdy nie byłeś tchórzem.

Morvan zatrzymał się i szeroko uśmiechnął się do syna. Na jego byczej gębie malowało się poczucie ulgi i triumfu. Przecież otworzył serce i dotarł do syna. Czego więcej chcieć?

– Wiedziałem, że jeśli zacznę tę opowieść, będę ją musiał w jakimś sensie zakończyć…

– Odpowiedz: dlaczego się ożeniłeś?

Stary zszedł jedną nogą z łodzi do wody – Cross był już na brzegu, Murzyn wyłączył silnik. Uwolnili się z pomarańczowych kamizelek ratunkowych, ale zachowali kuloodporne.

Morvan wyciągnął rękę do syna i przeciągnął go na brzeg.

– Cathy mieszkała w willi na uboczu. Nikt nigdy tam nie bywał. Nazajutrz po zbrodni, zanim jeszcze znalazłem jej zwłoki, zdobyłem jej adres i poszedłem tam. Chciałem sprawdzić, czy w jej domu nie ma czegoś, co mogłoby mnie obciążyć.

– Wszyscy wiedzieli, że jesteście parą.

– Mam na myśli moje… problemy. Chciałem być pewien, że nie poniewiera się tam nic w rodzaju pamiętnika… No i znalazłem niespodziankę.

– Co takiego?

– Dziecko. Dwa miesiące wcześniej Cathy urodziła dziecko, którego byłem ojcem. To dlatego przyjechała do Lontano, chciała mi o tym powiedzieć.

– Dziecko?

– Przez cały ten czas nie zdobyła się na odwagę, żeby przekazać mi nowinę. Może wszystko potoczyłoby się inaczej… Zawsze myślałem, że umówiła się ze mną w Cité Radieuse tej ostatniej nocy, żeby w końcu mi o tym powiedzieć. Ale moje szaleństwo było silniejsze.

– Dziecko?

Erwan jakby się zaciął. Trzciny kołysały się wokół nich jak potężna kurtyna teatralna – sztuka się skończyła, ale aktor wciąż wypowiadał tę samą kwestię.

– Kiedy zobaczyłem tego niemowlaka, musiałem mieć taką minę jak ty teraz – ciągnął Morvan. – Potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. To dziecko w pewnym sensie rozwiało wszystkie wątpliwości, wszystkie pytania. To był mój syn i nie zamierzałem go porzucać, a chociaż może się to wydawać niepojęte, Maggie, ta, która uknuła zabójstwo jego matki,

natychmiast zaproponowała, że go wychowa. Do dziś widzę jej posiniaczoną gębę i opatrunki, kiedy trzyma maleństwo w ramionach i proponuje ten szaleńczy układ: jeżeli się z nią ożenię, do końca życia będzie dbała o chłopca jak o rodzonego syna.

Zza ściany trzcin Cross przywołał ich do porządku.

– Ruszcie się – powiedział po francusku. – Nie podoba mi się tu.

Morvan nie zareagował.

– Wyjechała do Kisangani, w rejon Wielkich Jezior, żeby – jak oficjalnie mówiono – dojść do siebie po szoku. Dziewięć miesięcy potem obwieściła wszystkim, że urodziła dziecko. W tym czasie byliśmy już po ślubie. I nigdy nie wróciliśmy do Lontano.

Erwan stał na brzegu jak słup soli.

– To dziecko… Kto to?

Morvan czule położył mu rękę na karku.

– A jak ci się wydaje?

78

W tej samej chwili padły strzały. Wszyscy rzucili się na ziemię.

– *Ni nani?* – wrzasnął Morvan do Crossa, wciąż wysuniętego do przodu i ukrytego w zaroślach.

– Mai Mai.

Najemnik trzymał broń w ręku i sprawiał wrażenie niewzruszonego. Erwan odwrócił głowę i zauważył, że także leżący obok pilot miał MK 12. Najprawdopodobniej broń od Pontoizau. *Próbka ze źródła*. Żeby nie zostawać w tyle, wyciągnął glocka i wprowadził nabój do komory. Nie wiedział, czy ojciec rozkaże odpowiedzieć na atak, czy też spróbuje wymknąć się spod ostrzału.

Na razie panowała cisza. Nawet ptaki i owady zamilkły. Słychać było tylko coraz bliższe warczenie cessny. Samolot już po nich leciał, tylko jak się do niego dostać?

– Ilu ich widzisz? – zapytał tym razem po francusku Morvan.

– Co najmniej dziesięciu.

Stary zaklął, nie był jednak zdziwiony. Dla takich rabusiów Morvan – sam albo prawie sam, w pirodze na rzece – był nie tylko doskonałą okazją, ale wręcz podarunkiem, którego się nie odrzuca. Erwan uświadomił sobie, jak duże ryzyko podjął ojciec, żeby go ratować.

Kolejne serie. Znów padli twarzą w błoto. Grégoire wciąż się rozglądał, obawiając się prawdopodobnie ataku od tyłu, od strony rzeki. Kule świstały, ścinały trzciny i gubiły się w lśniącym błękicie nieba.

Erwan wziął wdech i uniósł głowę. To była już trzecia afrykańska bitwa, więc zaczynał się przyzwyczajać. Uczył się nawet, jak wykorzystywać takie incydenty. Srebrzyste łuski na tafli wody, zielona wstęga brzegu odcinająca się na tle lazuru, gorące, mieniące się w słońcu powietrze przesycone wilgocią i rozbuchanym życiem, a nawet wystrzały – rytmiczne, z synkopami, wznoszące przejmujący hymn na cześć śmierci – wszystko to

nagle wydało mu się wspaniałe i dziewiczo czyste. Ale może to on był dziewiczy, jakby oczyściły go te dwa dni, przez które nieustannie umierał.

– Cross – rozkazał w końcu Morvan – osłaniaj nas, dopóki nie wejdziemy do puszki. A ty – powiedział do pilota, może bezimiennego – wracaj do łodzi i uruchom silnik. Wrócicie do kopalni od północy. Z naszymi ludźmi wytrzymacie kilka dni. Przybędę z posiłkami.

Tamci nie odpowiedzieli – lądowa armia Morvana nie potrzebowała słów. Jakby na podsumowanie kolejne strzały zerwały liście i korę, a błoto tryskało jak gejzer, rozpryskiwane siłą kul.

Erwan nie miał tu żadnej orientacji, ale ryk samolotu stał się tak bliski, jakby dobywał się spod ziemi. Od lądowiska dzieliło ich więc tylko kilka metrów. Przebiec między zaroślami – wykonalne. Dreptać po odsłoniętej ubitej ziemi lądowiska – znacznie bardziej ryzykowne.

– Za mną!

Morvan założył plecak, wstał i pobiegł ścieżką, której Erwan nawet nie zauważył. Trzymał się tuż za ojcem. Truchtali i przyczajali się w nieludzkim upale, w świetle sączącym się przez liście. Silnik cessny, coraz bliższy, mruczał za zaroślami. Erwan z zaskoczeniem stwierdził, że ożyła w nim nadzieja. Opuścić tę przeklętą ziemię. Odzyskać trzeźwość myśli. I cieszyć się naukami…

Nie zauważył, skąd zaatakowano. Morvan wystrzelił serię spomiędzy pni. Żołnierze w drelichach podrygiwali, rażeni kulami zaledwie kilka metrów od nich. I nagle zobaczył to, na co czekał: pas laterytu, na którym cessna drżała, jakby rwąc się do lotu.

Morvan doszedł do skraju lasu, omiatając spojrzeniem okolicę. Szepnął:

– Idziemy.

Ruszyli biegiem. Erwan liczył się z tym, że lada chwila trafi go kula, a prawdopodobieństwo tego zdarzenia rosło, w miarę jak zbliżali się do samolotu – ten poobijany dwusilnikowiec wyglądał, jakby służył na wszystkich frontach Konga.

Sto metrów. Pięćdziesiąt. Trzydzieści.

Drzwi maszyny otworzyły się. Żadnej drabinki do wejścia. Morvan podsadził syna, a ten wturlał się do środka i natychmiast zawrócił na czworakach, żeby podać ojcu rękę. W ich stronę biegli już Mai Mai, strzelając na oślep.

Starego nie dało się dźwignąć – był jak mamut. Erwan wychylił się i ciągnął go z całej siły, gdy woń paliwa biła w górę rozgrzanymi słupami. Cessna ruszała, a nogi starego zwisały jeszcze z kabiny.

– Drzwi! – wrzasnął pilot.

Erwan opadł do tyłu, żeby wciągnąć ojca. Potoczyli się obaj na przeciwną ściankę kabiny. Nie było tu ani foteli dla pasażerów, ani hełmów, tylko podłoga z falistej blachy, w sam raz na worki koltanu. Nie tracąc czasu, Erwan podszedł do drzwi, wyciągnął rękę i zdołał je zamknąć, po raz ostatni spoglądając na przesuwający się szybko pas startowy.

Obrócił zamek i podszedł do ojca, który unosił się wpatrzony w człowieka siedzącego obok pilota – Tutsi o ostrych rysach, ubranego w mundur i zwróconego do niego profilem.

– Bisingye? Co ty tu robisz?

– Mumbanza o tobie myśli.

Wojskowy oddał dwa strzały przez oparcie fotela. Krew trysnęła na sufit, a Grégoire bez jęku skulił się w końcu kabiny. Erwan wciąż trzymał w dłoni swoją dziewiątkę. Wyciągnął ramię i nacisnął na spust, rozwalając głowę Tutsi, którego mózg rozprysnął się na szybie kokpitu.

– O kurwa! – wrzasnął Rosjanin.

Erwan przyłożył lewą rękę do szyi ojca, żeby powstrzymać krwotok, a równocześnie przytknął lufę broni do karku pilota.

– Do diabła, startuj! Startuj, bo wszyscy zginiemy!

Cessna nabierała prędkości i w końcu oderwała się od ziemi. Erwan zwrócił oczy na ojca i natychmiast zrozumiał. Osunął się, tuląc nieruchome ciało, gdy maszyna wzbijała się pod niebo, które nie dawało nadziei na ucieczkę.

79

Gwałt nie trwał długo.

Zrobił to każdy z tych łajdaków, ale na szczęście żaden nie miał problemów z erekcją ani z ejakulacją. *Z pedałem można się zabawić*.

Loïc patrzył na tę scenę z daleka, jakby nieobecny – może wreszcie osiągnął to nauczane przez Buddę oderwanie od spraw tego świata? Raczej jednak piekielny horror sprawił, że jego świadomość zamknęła się na bodźce zewnętrzne. Gdy składał się w ofierze, trzymał się tylko myśli, że dzieci nie mogą tego zobaczyć, a Sofia doskonale wywiązała się z roli matki, nie pozwalając, by podniosły głowy, i szepcząc uspokajające słowa.

Sycylijczycy pozwolili mu odejść – to było tylko ostrzeżenie. Zataczając się, zbrukany, siadł za kierownicą i ruszył krętą drogą prowadzącą na lotnisko, łapiąc chusteczki podsuwane przez Sofię. To był już koniec ich śledztwa. Nie było mowy o pójściu z tym na policję ani o dalszym pobycie w tym barbarzyńskim kraju. Kupił dodatkowy bilet na ten sam lot i razem z rodziną wrócił do Paryża.

Przez całą podróż samolotem nie odezwał się ani słowem. Milczał też w taksówce, która wiozła ich na plac Iéna.

– Może zostaniesz z nami? – zapytała Sofia, kiedy stanęli przed wejściem do budynku.

Wyczuwał jej drżenie pod płaszczem, jednak dla dzieci zachowywała pozorny spokój. W tej chwili to one i tylko one pomagały im wytrwać, a raczej – zmuszały ich do tego.

– Nie, ale dziękuję.

– Poradzisz sobie?

Blady uśmiech znaczył: „To dla mnie nic nowego”. Była w tym prawda, lecz także kłamstwo. Wiele razy o mało nie umarł w odrażających okolicznościach, równie podłych jak to, co wydarzyło się rano. Ale to zawsze działo się z powodu narkotyków, kiedy nie był sobą. *Junkie* za każdym razem ma nadzieję, że kolejna dawka okaże się fatalna i wszystko

ostatecznie się zakończy. I wie, że jeśli tak się stanie, to nawet tego nie zauważy. Narkoman nie umiera, on odlatuje.

– Zadzwonię wieczorem – obiecał, zachowując się tak, żeby nie całować dzieci na pożegnanie.

Płukał sobie usta w samochodzie, później na florenckim lotnisku Peretola, potem jeszcze dwukrotnie w samolocie i znowu na lotnisku w Paryżu. Pewnie będzie zmywał tę hańbę bez końca, żeby pozbyć się jej śladów spod dziąseł, ze skóry i z duszy. Ale teraz nie chciał tracić czasu. Pragnął jak najszybciej zmierzyć się sam na sam z obrzydliwym wspomnieniem, tak jak chce się szybko zakończyć nieprzyjemną, ale konieczną pracę.

Szedł aleją Président-Wilson, z rękami w kieszeniach (nie chciał nawet wrócić do willi Fiesole po swoje rzeczy) i zadartą głową, niemal beztroski. Między masywnymi kamienicami z początku XX wieku i jeszcze potężniejszymi budowlami z czasów wystawy światowej w 1937 roku wyglądał jak niedzielny spacerowicz zagubiony w tej scenerii na nie swoją miarę. Przypominał zwykłego Loïca, który unosi się w świetle, ale to nie on, tylko zupełnie inny mężczyzna wracał dziś do domu. Mężczyzna skulony w sobie, zniszczony, zdruzgotany.

Wybrał kod i wszedł do budynku sąsiadującego z Francuską Szkołą Dalekiego Wschodu. Otuliło go ciepło holu i ten znajomy zapach przykurzonych dywanów. To dało mu pewne poczucie bezpieczeństwa, jednak bardziej podniosła go na duchu własna determinacja. Prawdę mówiąc, dojrzewał do tego już od pewnego czasu.

Po odstawieniu przyszedł czas na następny etap: działanie. Działać. Uderzyć. Zaistnieć na terytorium siły i przemocy.

Nauczką z tej podróży nie była świadomość, że Montefiori co najmniej dorównywał jego ojcu w łajdactwie, a nawet go przerastał, ani to nieszczęście, które łączyło go teraz z Sofią więzią osobliwą, lecz znajomą, jak powiedziałby Verlaine, silniejszą teraz niż wszelka namiętność, nawet miłość czy nienawiść. Morałem z podróży do Florencji było to, że godzina wybiła.

Godzina, w której miał się stać prawdziwym Morvanem.

80

Wszystko zaczęło się tu, na płycie lotniska w Lubumbashi. I tu wszystko miało się dziś skończyć, zamykając ostatni krąg piekła.

Podczas lotu Erwan wyrwał się z tego stanu odrętwienia graniczącego z duchową śmiercią i odzyskał kontrolę nad teraźniejszością. Opuścił oparcie fotela Tutsi, przeciągnął trupa do tyłu, potem otworzył boczne drzwi i wyrzucił go w pustkę. Następnie usiadł obok Rosjanina, żeby coś z niego wycisnąć, uderzając go rękojeścią broni w gębę. Pilotując swojego grata, Czepik zaczął mówić, wplatając rosyjskie słowa, i w końcu udzielił odpowiedzi, które brzmiały sensownie.

Nseko, Pontoizau, Montefiori i jakiś mafioso, którego nazwiska nie zapamiętał, zorganizowali przemyt broni – najpierw do Kiwu, potem do Katangi, a wszystko pod przykrywką MONUSCO. Czepik zajmował się transportem. Wystarczyło kilka ryzykownych operacji w buszu, żeby nikt nie mógł się doliczyć, co w ogniu walki zagubiono, co ukradł wróg. Zmyślone szturmy, skorumpowani oficerowie, wspólnicy na wszystkich szczeblach – i machina działała jak należy. Strefy ogarnięte wojną miały tylko jedną zaletę: nikt nie chciał wtykać nosa w to, co się tam działo. Łatwe pieniądze uderzyły Pontoizau do głowy – postanowił działać na swoim terenie samodzielnie, za wspólników mając tylko mafiosów z Florencji. Załatwił Nseko, a potem Montefioriego, przyjmując stary dobry styl afrykańskiego barbarzyństwa, żeby zmylić swoich.

Jednocześnie intrygi czarnych doprowadziły do postawienia na czele Coltano Trésora Mumbanzy, który był też kandydatem na stanowisko gubernatora prowincji. Luba, również oszołomiony swoją władzą, pomyślał, że dzięki zbrojnym oddziałom i środkom technicznym Coltano będzie mógł eksploatować nowe kopalnie Morvana na własny rachunek… o ile te kopalnie istnieją. Przyjazd Grégoire’a do Lubumbashi upewnił go, że tak właśnie jest. Wystarczyło go śledzić, żeby zlokalizować złoża. Wyprawa starego stanowiła dogodną okazję, bo przemieszczając się po

zagrożonych terenach, wystawiał się na poważne niebezpieczeństwo. Mumbanza na pewno liczył, że trwający w tym rejonie konflikt wyeliminuje Francuza. W regionie, gdzie roiło się od Tutsi, Hutu, Mai Mai i *kadogos*, łatwiej było oberwać zbłąkaną kulą niż zarazić się dyzenterią albo malarią. Niestety, *mzungu* miał grubą skórę – przeżył wszystko, nawet akcję ratunkową, jaką przeprowadził, żeby wyciągnąć z tarapatów syna, cholernego szperacza, który wpadł w sam środek wojny. Mumbanza wysłał więc swojego etatowego zabójcę, Bisingye'a, żeby dokończył robotę. Czepik miał przywieźć zwłoki Francuza do Lubumbashi. To, że wsiadając do samolotu, Morvan jeszcze żył, nie miało znaczenia. Oficjalnie poinformowano by, że zachłanność skłoniła go do podjęcia absurdalnego ryzyka i że zginął w jakiejś potyczce.

Podczas lotu Erwan powtarzał sobie tę historię, nazwiska, okoliczności i skrywane pobudki kierujące jej uczestnikami. Wolał to niż dopuszczenie do siebie myśli, że ojciec nie żyje. Gdyby choć na minutę powrócił do rzeczywistości, wpadłby w otchłań. Bez względu na to, jakie uczucia wzbudzał w nim Morvan – podziw, nienawiść, odrazę, szacunek, miłość – to właśnie ten kolos utrzymywał go na powierzchni.

Erwan nie miał żony ani dziecka. Tylko pracę, którą kochał, chociaż była koszmarna. I wzorzec – ojca.

Niewiele znaczyło, że to, co robił przez całe życie, było albo naśladowaniem starego łotra, albo reakcją na jego czyny. Fundamenty spękały, kolumny świątyni legły w gruzach. Jak się z tego podźwignąć? Bił się z myślami, drżał, zakrwawiony, a jednocześnie słuchał łamanej francuszczyzny Rosjanina i wpatrywał się w szybę zbryzganą kawałkami mózgu i odpryskami kości Bisingye'a, nie mając odwagi zerknąć na zwłoki Morvana.

Cessna 310 wylądowała w Lubumbashi po niecałych dwóch godzinach. Erwan polecił Czepikowi zdobyć na lotnisku trumnę, choćby nawet miał wyrzucić jakieś ciało z pudła. Zagroził mu, że podpali jego samolot i doniesie o zdradzie państwa, jeżeli nie przyniesie czystego ubrania dla ojca. Rosjanin nie kazał się długo prosić.

Kolejny etap: telefon do ambasadora Francji – jego numer komórkowy znalazł w plecaku Morvana. Erwan znał procedurę sprowadzania zwłok obywatela Francji, wielokrotnie jako oficer policji nadzorował te czynności poza granicami kraju. Dyplomata najpierw zachowywał się nieufnie, potem

się zaniepokoił i wreszcie wpadł w panikę. Śmierć Grégoire’a Morvana na terytorium Demokratycznej Republiki Konga to był poważny problem.

Erwan nie dał mu szansy na uniki.

– Chcę, żeby sporządził pan miejscowy akt zgonu i żeby tożsamość zmarłego została ustalona ponad wszelką wątpliwość. Oficjalnie ojciec doznał wylewu krwi do mózgu.

Inspiracją tego kłamstwa był przypadek Thierry’ego Pharabota, który zmarł nagle w Instytucie Charcota w listopadzie 2009 roku.

– Ale pański ojciec nie umarł w Kinszasie!

– To bez znaczenia. Zdobędzie pan wszystkie pieczątki. Trumna ma być zaplombowana.

– Muszę mieć akt zgonu wystawiony przez lekarza!

– To niech pan jakiegoś poszuka. W Kongu wszystko da się kupić.

– Nie mogę tego zrobić.

– Ależ może pan. Pamięta pan Dieuleveulta?

– Ani słowa więcej.

Philippe de Dieuleveult był prezenterem francuskiej telewizji i zginął w 1985 roku na rzece Kongo. Choć od tego czasu minęło prawie trzydzieści lat, zagadka jego śmierci wciąż inspirowała do snucia najbardziej nieprawdopodobnych pogłosek.

– Ale to władze konsularne mają… – protestował jeszcze dyplomata, przerywając milczenie.

– Poradzi pan sobie z nimi.

– A sekcja?

– W przypadku wylewu? Ojciec miał sześćdziesiąt siedem lat. To całkiem rozsądny wiek, żeby umrzeć. Proszę poszukać lekarza, który podpisze zgodę na pochówek. I niech pan wprowadzi akt zgonu do rejestrów stanu cywilnego. Będę w Kinszasie późnym popołudniem. Spotkajmy się na płycie lotniska Ndżili. Proszę przynieść kopie aktu zgonu z potwierdzeniem zgodności z oryginałem i zezwolenie na przewóz zwłok. Chcę lecieć rejsem do Paryża o dwudziestej drugiej, oczywiście z ciałem ojca. Nie zamierzam spędzać w tym kraju ani jednej nocy więcej. A przeciąganie tej sprawy nie leży w niczyim interesie.

Dyplomata zachował milczenie, ale ta cisza nabrzmiała niechęcią.

– Proszę sprawdzać przyloty i podejść do samolotu.

Rozłączając się, zobaczył Czepika, który zbliżał się z dwoma czarnymi niosącymi jakąś długą drewnianą skrzynię. Chociaż trochę krzywa, mogła posłużyć za trumnę.

81

Przez lata pracy Erwan widział dość nieboszczyków, żeby dokładnie poznać etapy rozkładu ciała: kwaśnienie krwi, zesztywnienie, plamy pośmiertne, bakterie i grzyby namnażające się w szaleńczym tempie i powodujące powstawanie gazów, które z kolei nadają ciału zgniłozielony kolor i prowadzą do jego puchnięcia, a w końcu gnicia. Przyspieszenie tych procesów następuje za sprawą legionów śmierci – insektów żerujących na trupach.

Erwan wiedział, że w tym piekielnym upale wszystko potoczy się w galopującym tempie. Szukanie chłodni w Lubumbashi nie miało sensu, ciało przewieziono by do magazynu na towary organiczne – pomieszczenia wyłożonego kafelkami, obskurnego i pełnego czerwonego pyłu, który cuchnie psującymi się owocami. Dlatego ułożył deski na dwóch pustych beczkach po paliwie, poprosił o dwa wiadra wody i środek do mycia podłóg.

– Idźcie stąd – polecił Czepikowi i dwóm czarnym, kiedy już ułożyli zwłoki Morvana.

Rozebrał ojca, wziął do ręki gąbkę i zabrał się do roboty. Prawdę mówiąc, nie bardzo wiedział, co robi. Może ta mętna woda tylko przyspieszy proces rozkładu. Może detergent uszkodzi ciało ojca. Był jednak pewien, że musi usunąć zakrzepłą krew, zanim złoży zwłoki w trumnie.

Zaczął od stóp i przesuwał się w górę. Trąc ciało, w myślach wygłaszał mowę żałobną. Nikt nigdy nie podejrzewał, jaka motywacja kryła się za działaniem Morvana. W każdej sekundzie swojego życia był tym *Kleiner Bastard*, który postanowił o siebie zawalczyć. To zabójca Cathy przez całe życie bił żonę, wciąż na nowo każąc jej płacić za noc 30 kwietnia 1971 roku. To psychotyczny gliniarz, słuchający wewnętrznych głosów i dręczony halucynacjami, poruszał się na oślep po otchłaniach polityki,

sondując najbardziej mętne wody Francji i Afryki, żeby wydobyć z nich pieniądze dla własnych dzieci.

Tors. Erwan dokładnie mył każdy jego centymetr, ani przez moment nie patrząc na całość: na szarą, zwiędłą skórę, na tę rozdartą masę z fałdami jak u słonia. Był na automatycznym pilocie. Prawdziwy Erwan pozwolił myślom na swobodną żeglugę i próbował włączyć w to inne wydarzenia dnia. *To wcale nie takie łatwe*. A zatem nie był synem Maggie, ale pielęgniarki, którą zabił jego ojciec zmanipulowany przez histeryczną hipiskę i szurniętego psychiatrę, gotowego na wszystko, byle się z nią przespać. *To naprawdę trudne*.

Ręce, ramiona – bał się chwili, gdy dojdzie do samych ran – okolonych czarnym obrzeżem dziur w szyi. Erwan dorastał u boku morderców swojej matki, jak dzieci za czasów argentyńskich dyktatur, adoptowane przez katów swoich rodziców. W głębi ducha nie zadziwiła go ta historia, która wręcz tłumaczyła chaos towarzyszący jego wychowaniu. Brutalność ojca i potulność matki. Niechęć Morvana do podawania szczegółów związanych z jego pochodzeniem, choć tak mocno podkreślał przywiązanie do bretońskich korzeni. Można wierzyć albo nie wierzyć w intuicję, interesować się sferą podświadomości albo ją lekceważyć, ale Erwan zawsze czuł, że za piekłem, jakim był jego dom rodzinny, kryje się straszna tajemnica. Choć nie zdawał sobie z tego sprawy, przyjechał do Afryki nie tylko po to, żeby odkryć prawdę o Cathy Fontanie, ale także po to, żeby poznać przeszłość własnej rodziny. Przebudzenie było straszne. Jak na ciężkim kacu.

Szyja. Zanurzył gąbkę w brudnej wodzie, a potem zamknął oczy, żeby zmyć zakrzepłą krew i oczyścić rany. Zmusił się do myślenia o powrocie do Paryża. Nie wiedział, co czuje. To nie prawda spadła mu na barki, ale bryły lodu. Był jak alpinista, który odpadł od ściany, a ponieważ nie czuje bólu, sądzi, że uniknął najgorszego, choć w rzeczywistości jest już po nim.

Zakończył toaletę zmarłego. *Nieźle*. Teraz trzeba było jak najszybciej ułożyć go w trumnie – upał w ciasnej przestrzeni stał się już nieznośny. Automatycznie nasunęło mu się pytanie, czy w luku bagażowym samolotu, który startował do Kinszasy o siedemnastej, jest regulowane ciśnienie, bo jeśli nie, to zwłoki mogłyby zamarznąć albo dosłownie eksplodować, a wolał nawet nie wyobrażać sobie takiej sceny.

Był spocony, więc zdjął ubranie, jednak zrezygnował z mycia się – woda w wiadrach była czarna od krwi. Założył koszulę i dżinsy przyniesione przez Czepika. Dla ojca miał spodnie z kiepskiej jakości tergalu, w dodatku za krótkie, i koszulę w afrykańskie wzory. Ubierał go niezdarnie i po dwa razy próbował „pogodzić Pawełka z Jacusiem”, jak mówiła Maggie, ucząc go zapinać guziki.

Chociaż czasu szybko ubywało, przez chwilę patrzył na ten nieprawdopodobny widok: ojciec leżał z zamkniętymi oczyma, skórę miał poszarzałą, a na sobie marne, niedopasowane ciuchy, do tego bose stopy. Wyglądał jak ofiara południowoamerykańskiej rewolucji. Erwanowi przypomniały się zdjęcia martwego Che z Boliwii – obnażony tors, puste spojrzenie. Zaraz potem obcięto mu dłonie, żeby udowodnić, że nie żyje. Morvan bohaterem rewolucji?

Skupił się na stojącej na ziemi trumnie. Ordynarne deski wyglądały tak, jakby przed chwilą przyniesiono je z dżungli. Taki wojenny pochówek idealnie pasował do ojca. Problemem mogło jednak okazać się ułożenie zwłok w tej trumnie. Co najmniej sto kilo martwego mięsa. Poprosić o pomoc? Nie, to sprawa prywatna. Ustawił trumnę równolegle do deski, a potem pchnął ciało tak, żeby się przetoczyło i wpadło do skrzyni.

Głuche uderzenie, w ślad za nim cykl trzasków i skrzypnięć. W obłokach czerwonego pyłu Erwan kasłał, machał rękami, aż wreszcie zobaczył, co się stało – gwoździe nie wytrzymały. Deski leżały wokół zwłok. Jedyne, co się powiodło, to obrócenie ciała o trzysta sześćdziesiąt stopni, bo Padre znów leżał na plecach. Prawdziwy Erwan może by się rozpłakał, może by się modlił albo zadumał na chwilę, ale ten – automatycznie pilotowany – szybko pozbierał gwoździe, wziął przyniesiony przez Czepika młotek i zastanawiał się, czy uda mu się jakoś zreperować skrzynię.

Pracował, nie oszczędzając sił. W kilka minut wszystko było pozbijane. Założył nawet wieko. Teraz to jego wersja – wyłącznie jego wersja – będzie obowiązywała aż do Paryża. Wylew i basta. Inną poda w „36”, w bezpiecznym miejscu. Jeszcze jej nie dopracował, ale z pewnością będzie bliższa prawdy – świszczące kule i nagła śmierć.

Teraz trzeba było opłacić odpowiednie osoby, podpisać papiery i wyprawić przesyłkę w drogę. I w końcu sam wsiądzie do samolotu. Lepiej, żeby nie znajdował się w zasięgu strzału, kiedy Mumbanza dowie się, że przeżył.

Czekało go jednak jeszcze to naprawdę najtrudniejsze zadanie – zawiadomić bliskich.

82

Erwan zadzwonił do niej i tylko do niej. Gaëlle poczuła się niemal wyróżniona taką troską (była najsilniejsza), równocześnie jednak ciążyło jej to, bo teraz musiała zawiadomić Maggie i Loïca.

Grégoire Morvan nie żyje… Podczas rozmowy telefonicznej nie do końca dotarło do niej, jak potężne trzęsienie ziemi to oznacza. Erwan ograniczył się do powiedzenia kilku słów – ojciec zginął w strzelaninie gdzieś w kongijskim buszu. Tylko tyle. Gaëlle wiedziała, że kiedy brat wróci, spokojnie wyciągnie z niego prawdę. Zresztą wiadomość nie była zaskakująca – od wyjazdu ta podróż do Katangi wydawała się zbędnym ryzykiem.

Wielokrotnie wyobrażała sobie tę śmierć i zawsze myślała, że będą ją świętowali całą rodziną. *Nic podobnego*. Szok był na miarę starego. Przerażał ich przez całe życie. I pogłębił traumę, ginąc.

Gaëlle zadzwoniła do Loïca, a potem razem poszli przekazać wiadomość Maggie. Nieco później dołączyła do nich Sofia. Teraz siedzieli wszyscy razem w dużym salonie – w kręgu, jak banda pijaków podczas spotkania w klubie anonimowych alkoholików.

To było prawdziwe czuwanie przy zmarłym, ale brakowało nieboszczyka.

Gaëlle mimowolnie myślała o tym, że jest niedziela, więc w pewnym sensie dochowali tradycji. Obiady, na które zapraszała ich matka, mimo bicia, kłótni i zaciekłej nienawiści, kończyły się tego wieczoru w salonie, gdzie nikt nie odważył się zapalić światła. Oszołomieni, jakby powaleni tą wiadomością, każde z osobna, ale razem – trawili wspomnienia i rozważali perspektywy na przyszłość.

Grégoire Morvan był zwykłym śmieciem. Równocześnie był też podporą rodziny, zwalonym pniem drzewa. Realizował misję mentora wobec najstarszego syna, opiekuna wobec młodszego. Gaëlle nie potrafiła powiedzieć, kim był dla niej. Chciał ją uczyć, kształtować, ochraniać.

Poniósł totalną klęskę, a jego wysiłki doprowadziły do skutku przeciwnego od oczekiwanego. Kształtowała się w kontrze do niego – do jego rad, życzeń i nadziei.

Była gołębicą Kanta, która „tnie powietrze, czując jego opór" i „mogłaby sobie wyobrazić, że osiągnęłaby znacznie więcej w próżni", podczas gdy to tylko przeciwna siła wiatru utrzymuje ją i pozwala szybować. Gaëlle zawsze walczyła z ojcem i to ta walka pozwalała jej żyć.

Ale czy kiedykolwiek wzbiła się w powietrze?

Kiedyś przestała jeść. Próbowała popełnić samobójstwo. Była kurwą. Wszystko dla niego. Udało jej się zatruć mu życie, ale niszcząc siebie. Teraz mogło być tylko gorzej, bo nie miała nawet tego punktu, do którego ustawiała się tyłem. Jej *tour du monde* pod prąd dobiegł końca.

Ponura pociecha – innym z pewnością też przyjdzie się zmierzyć z pustką. Matka, ubrana w malinową tunikę i zielony jedwabny szal, miała niewielkie szanse przeżyć męża. Morvan był zarazem jej bogiem i demonem, jej totemem i katem. Przy alei Messine rolę więzi małżeńskiej odgrywał syndrom sztokholmski. Maggie, która siedziała z rękami splecionymi na kolanach, już wyglądała na martwą.

Loïc to zupełnie inna historia. Usiłował zastąpić tę tyranię innym rodzajem niewolnictwa – najpierw alkoholem, następnie narkotykami. Ojciec zmarł właśnie wtedy, kiedy jej brat próbował uwolnić się od kokainy. Teraz wytworzy się wokół niego potworna pustka.

Ale tego wieczoru Gaëlle dostrzegła coś innego. W półmroku salonu piękna twarz brata, blada i napięta, roztaczała niezwykłą aurę.

Znała Loïca na wylot. Najinteligentniejszy, najwrażliwszy, najbardziej niespokojny z całej rodziny. A teraz nie wyglądał ani na załamanego, ani na wstrząśniętego. Ale co go tak pobudzało? Czyżby znów sięgnął po kokę? Nie, miał objawy głodu – drżenie, rozgorączkowanie, niepokój. Czy uznał śmierć ojca za wyzwolenie? A może przeciwnie – za coś, co wymagało zemsty? Wątpiła, żeby zamierzał chwycić za broń i wydać wojnę Kongu…

Coś musiało się stać we Włoszech.

W ciągu kilku dni zginęli obaj patriarchowie rodów, obaj zostali zabici. „Tak się wysrasz, jak się najesz" – powiedziałby Morvan. Czy te dwa morderstwa coś łączyło? Czy Loïc coś odkrył podczas pobytu we Włoszech?

Gaëlle instynktownie spojrzała na Sofię. Obecność Włoszki to potwierdzała. Nie przyszła tu ze względu na Morvana, ale dla Loïca – żeby go wspierać, pomagać mu w realizacji jakiegoś planu lub w uporaniu się z czymś, co nie miało nic wspólnego ze śmiercią Padre. Gaëlle wyczuwała w niej tę samą determinację podszytą urazą.

Co się stało we Florencji? Co tam odkryli?

Nagle przeszył ją tak silny ból, że złamała się wpół. Przez chwilę wierciła się na krześle, próbując zamaskować, że uderzył w nią piorun.

„Człowiek Gwóźdź nie umarł”. Bezdźwięczny głos Isabelle Barraire-Hussenot, alias Érica Katza, brzmiał jej w głowie. A jeśli to było ostrzeżenie? Jeżeli wciąż wisiało nad nimi zagrożenie? Coś, co łączyłoby wszystkich zabitych w oczekiwaniu na kolejnych? Gaëlle ogarnęła pozostałych spojrzeniem i wreszcie uzmysłowiła sobie rozmiary katastrofy: starego już przy nich nie było, nie mógł ich dłużej chronić.

83

Sen dzięki pigułkom. Amfetamina na przebudzenie. Jazda na Roissy. A potem oczekiwanie przy drzwiach hali przylotów. To nie problem, pod warunkiem że się nie myśli i nie wybiega nawet o dzień w przyszłość. *Akcja po akcji, proszę*.

Pasażerowie lotu z Kinszasy do Paryża mijali go bez końca, a Erwana wciąż nie było – na pewno musiał dopełnić formalności, żeby odebrać ciało. Loïc starał się zachować spokój, czekać, myśląc o wszystkim i o niczym, byle nie skupiać się na tym, co ważne – że Erwan wracał, zamiast bagażu wioząc zwłoki ojca.

Wreszcie się pojawił – blady, prawie szary. Nie był dziś tym barczystym mężczyzną, który wyjeżdżał z Paryża, ale szkieletem powleczonym skórą. I jeszcze ten komiczny szczegół: miał na sobie pstrokatą koszulę w kongijskim stylu. Zmęczony czterdziestolatek ostrzyżony na jeża i świeżo ogolony, wracający z misji humanitarnej, która przybrała fatalny obrót. Zresztą taka mniej więcej była prawda, chociaż Loïc wciąż nie rozumiał, po cholerę brat pojechał do Konga.

Erwan, który oprócz plecaka nie miał żadnego bagażu, przeprosił za spóźnienie i przyznał, że musiał podpisać stertę dokumentów w biurze celnym.

– Co dzieje się teraz? – zapytał Loïc. – Pytam o… ciało.

– Umieszczą je w strefie kwarantanny, a potem przetransportują do Instytutu Medycyny Sądowej. Następnie znana mi firma zajmie się złożeniem go do trumny.

Słowo „firma” wydało mu się niestosowne, ale powstrzymał się od uwag.

– Cmentarz, pogrzeb… Jak to urządzimy?

– Porozmawiam o tym z mamą. Najlepsza byłaby kremacja. I to jak najszybciej.

– Przeprowadzą sekcję?

Erwan wbił źrenice w Loïca. W wychudzonej twarzy jego oczy wydawały się ogromne.

– Przeprowadzą, ale to absurd. Byłem przy tym, jak go zabito. Nie ma sensu grzebać mu w brzuchu, żeby ustalić, co się stało.

Mówił spokojnie, ale kości jego czaszki poruszały się pod skórą jak mechanizmy pistoletu. Napięcie dodatkowo wyostrzało jego rysy, ujawniając skrywaną brutalność, która wzbudzała lęk. Przede wszystkim jednak dygotał z zimna, więc Loïc natychmiast dał mu swój płaszcz.

– Jak to się właściwie stało?

– Powiem ci w samochodzie. Gdzie zaparkowałeś?

Chciał zmienić temat, żeby rozluźnić atmosferę, ale nic mu z tego nie wyszło.

– Na parkingu – odparł krótko Loïc, bawiąc się kluczykami.

Na autostradzie Erwan schrypniętym głosem opowiedział mu o tym, co się wydarzyło. Wciąż drżał i wydawało mu się, że struny głosowe lada chwila odmówią mu posłuszeństwa. Najpierw próbował krótko przedstawić bratu toczący się w Kongu konflikt, a przynajmniej to, co działo się w rejonie Lontano, ale Loïc szybko się w tym pogubił. Koncentrował się na drodze i upływie czasu. Nie miał koki, ale nie wpadał z tego powodu w panikę.

Starszy z braci doszedł do najważniejszego epizodu. Ucieczka pirogą, potyczka z rebeliantami, bieg do samolotu, strzały w kokpicie. Brzmiało to jak fragmenty powieści przygodowej, jednak głos Erwana bardziej przystawał do reportażu. Im więcej pojawiało się szczegółów, tym trudniej było nadążyć. Mnożyły się postaci – czasem znane, czasem nie: Bisingye, Mumbanza, Pontoizau, Salvo… I miejsca: Muyumba, Tuta, Ankoro, Lontano… Nie dało się w tym połapać.

Loïc zjechał na obwodnicę, mówiąc sobie, że ta relacja pasuje do ojca – niejasne okoliczności, tajemnicze interesy, brutalne fakty. Przy Porte d’Asnières w samochodzie zapadła cisza. Loïc o nic już nie pytał, wolał analizować poszczególne elementy układanki, nie próbując ich łączyć, patrzeć na wszystko jak na abstrakcyjny fresk.

– Dokąd jedziesz? – zapytał nagle Erwan, kiedy brat skręcił w stronę Porte Maillot.

– Do Maggie. Nie?

– Nie. Muszę wpaść do trzydziestki szóstki.

Loïc pojechał aleją Grande-Armée. Pomyślał, że prawdopodobnie brat musi jak najszybciej sporządzić oficjalny raport z tych zdarzeń. I oby sformułował go jaśniej niż relację w samochodzie.

Ale Erwan znów go zaskoczył.

– Muszę coś sprawdzić. Gaëlle opowiadała mi o czymś dziwnym.

Loïc domyślał się, o co chodzi, bo i jemu napomknęła wczoraj wieczorem o androginicznym psychiatrze, a raczej o kobiecie, która podawała się za mężczyznę i w sobotni wieczór wpadła pod samochód na skutek źle prowadzonej obserwacji. *Z tego też nic nie zrozumiałem*.

Od powrotu z Włoch bardziej niż kiedykolwiek czuł się rodzinnym idiotą, ale mało go to obchodziło. Przeciwnie – podobało mu się to niejasne, łagodne wrażenie, ten świat docierający do niego jako niezrozumiały szmer.

Wjeżdżając w bulwary, postanowił jednak przejść do ataku.

– Gdzie trenujesz strzelanie?

– Co?

– Wszyscy wiedzą, że jesteś mistrzem. Musisz przecież gdzieś ćwiczyć.

– A ty masz ochotę zacząć? – zapytał podejrzliwie Erwan.

– I to jak najszybciej.

– Mam nadzieję, że nie planujesz zemsty albo innej podobnej głupoty.

– Odstawiłem kokę. Muszę się jakoś rozładować.

– Skoro tak, to lepiej pograj sobie w squasha.

– Znasz jakieś miejsce czy nie?

– Daj komórkę.

Loïc podał mu telefon, nie puszczając kierownicy. Erwan wpisał numer do pamięci urządzenia. Byli właśnie na moście, który zrobił na nim wrażenie skamieniałego z zimna. Delikatny szron pokrywał balustrady.

– To w Épinay-sur-Seine. Ośrodek strzelectwa sportowego. Właścicielem jest Gérard Combe.

– Nie wyślesz mnie do ośrodka treningowego dla policji?

– Po co? A może chcesz jeszcze odznakę i spluwę?

Loïc bez słowa wsunął telefon do kieszeni i skręcił w lewo, w Quai des Orfèvres. Byli już na miejscu, a to, co najważniejsze, udało się ocalić. Przez całą drogę wytrzymali, nie wspominając ani słowem o cierpieniu czy choćby nastrojach w tym czasie żałoby. Cokolwiek by zrobili, pozostaliby dwoma zasklepionymi w swojej samotności ludźmi, ale to właśnie ten dystans najbardziej ich do siebie zbliżał.

Bo tylko w ten sposób można być Morvanem: być samemu w kilkoro.

84

Erwan cieszył się, że znów jest w „36”. Atmosfera biura, koledzy, automaty z kawą, standardowe poniedziałkowe zadania. To, co zwykle doprowadzało go do szału, dziś odbierał jako uspokajające i przyjazne. Wiadomość o śmierci Morvana już się rozeszła. Nie zamierzał opowiadać nikomu o swojej podróży, ale właśnie ten dramat chronił go przed atakami z zewnątrz. Mógł poprzestać na ściskaniu dłoni, dziękowaniu za kondolencje i rzucaniu mrocznych spojrzeń, które znaczyły: *No comment*. I mógł odchodzić, nic nie mówiąc.

Kiedy znalazł się w swoim pokoju, zamknął drzwi na klucz. Najpierw musiał załatwić najpilniejszą sprawę – przebrać się w ciepłe rzeczy. Od wyjścia z lotniska drżał z zimna i bolał go brzuch. Wyjął z szafy dwa swetry i włożył je jeden na drugi. Modlił się w duchu, żeby się nie okazało, że złapał malarię albo inne afrykańskie paskudztwo w rodzaju ameby czy czerwonki bakteryjnej.

Powrót do Francji był trudny. Problemy zaczęły się na Roissy, bo Erwan wykazał się naiwnością, licząc, że uda się nie otwierać trumny Morvana i pozostać przy wersji wylewu. Ale rozmowa z celnikami nie była taka prosta. Nie zamierzali pozwolić na wwiezienie na terytorium kraju zwłok bez badań analitycznych. Nieunikniona okazała się także kwarantanna. Automatycznie nie dało się trwać przy kłamstwach, ponieważ ślady po kulach były widoczne gołym okiem.

Erwan schował do kieszeni fałszywe zaświadczenia, krótko opisał okoliczności śmierci ojca i przyznał, że okłamał kongijskie służby, żeby jak najszybciej opuścić Kinszasę. Ten problem zamierzał załatwić później, z Quai d’Orsay. Tymczasem udało mu się tylko załatwić sprawę sekcji, którą miał przeprowadzić Riboise z Instytutu Medycyny Sądowej.

Teraz musiał omówić z przełożonymi oficjalną wersję śmierci Grégoire’a Morvana – w ciągu dnia komunikat miał być podany w mediach, a do przełożonych należało też krycie Erwana w Ministerstwie Spraw

Zagranicznych, bo jego ucieczka z Kongo ze zwłokami w walizce z pewnością wywoła dyplomatyczne tsunami.

Podczas jazdy samochodem próbował opowiedzieć tę historię Loïcowi – zakończyło się to kompletną klapą. Ale Erwan najbardziej bał się innej konfrontacji – z Maggie. Jeszcze nie podjął decyzji, jak z nią postąpić: przytulić? A może skuć kajdankami? Jedno i drugie? Albo nigdy więcej się z nią nie spotkać.

Zrobił sobie kawę, potem sięgnął po komórkę. Zebrało się sporo wiadomości. Po trzeciej przestał je odsłuchiwać, ograniczył się do przeczytania nazwisk osób, które dzwoniły. Grube ryby z PJ i z placu Beauvau, szefowie gabinetów, doradcy, prefekci… Nawet minister obrony wysilił się na telefon. Nie zapomniały o nim policyjne związki zawodowe, dowództwo GIGN, RAID i wszystkich innych brygad.

Erwan nie wiedział, że ojciec miał tylu przyjaciół. Pełno było też esemesów od dziennikarzy, blogerów i wszelkiego rodzaju szperaczy, którzy pragnęli wyrazić żal z powodu jego śmierci. Erwan zastanawiał się, skąd wszyscy ci ludzie wzięli jego numer. Niektórzy przedstawiali się jako „współpracownicy”, inni jako „starzy przyjaciele”. *Nigdy o nich nie słyszałem*.

Postanowił do nikogo nie oddzwaniać. Podniósł słuchawkę służbowego telefonu i zadał kilka pytań telefonistce – również w biurze zaczął się już taki cyrk. Nawet nie poprosił o listę wiadomości, poprzestając na wydaniu instrukcji: nie pojawił się, nikt nie wie, gdzie teraz jest, a jego numer jest zablokowany.

Potem zwrócił oczy na czarny monitor komputera – nie miał ochoty zaglądać do skrzynki pocztowej, prawdopodobnie pełnej po brzegi, a tym bardziej sprawdzać sieci społecznościowych i portali informacyjnych, które wypisują byle co i rozpowszechniają najohydniejsze plotki. Wypił kawę, wziął głęboki wdech i wyszedł, żeby przed spotkaniem ze swoim zespołem wypełnić jedyny obowiązek – pomówić z Fitoussim.

Dowódca czekał na niego w towarzystwie szefa policji śledczej. Erwan przywitał się z nimi, wysłuchał krótkich kondolencji, po czym zasypał ich stekiem bzdur. Nie wspomniał ani o kopalniach, ani o pokątnym handlu bronią, a tym bardziej o Cathy Fontanie, tylko o podróży służbowej współwłaściciela Coltano, w której postanowił uczestniczyć, żeby lepiej

poznać to pole aktywności ojca. Morvan zginął od strzału Tutsi, którego powiązań ani motywów nie udało się ustalić. Wygłaszał te kłamstwa beznamiętnym tonem, posługując się urzędniczym żargonem i uczestnicząc w całej scenie jak widz ukryty za lustrem.

Policjanci słuchali w milczeniu, a potem zaproponowali jeszcze bardziej złagodzoną wersję: zbłąkana kula podczas wymiany ognia między lokalnymi milicjami, bez precyzowania, o jakie formacje mogło chodzić (zresztą nikt nie był w stanie tego określić). Priorytetem było wykluczenie odpowiedzialności rządu Kabili, bo zaognianie stosunków dyplomatycznych z Demokratyczną Republiką Konga nie leżało w interesie kraju. Należało przede wszystkim zadbać o to, by władze tego kraju przełknęły ucieczkę Erwana z trumną. Trzeba również było dać do zrozumienia, że Morvana cechowała brawura, żeby nikt nie pomyślał, że Francja nie jest w stanie chronić swoich obywateli. Ostatecznie uznano, że podanych zostanie jak najmniej szczegółów, a żadne drażliwe słowa, jak choćby koltan, MONUSCO, francuska pomoc dla Hutu, nazwy ludów i plemion, nie padną.

Mówił *Big Boss*, Fitoussi tylko mu przytakiwał, robiąc poważną minę. Malowany dowódca nie potrafił podjąć żadnej decyzji. Po „36” krążył nawet dowcip: „Jeżeli spotkasz na schodach faceta i nie będziesz mógł stwierdzić, czy wchodzi, czy schodzi, to masz przed sobą Fitoussiego”.

Erwan przystał na proponowane rozwiązanie. Wiedział, że i tak pogrzebowi ojca będą towarzyszyć liczne kondolencje, puste mowy, kłamstwa, które absolutnie nie ukażą Morvana takim, jaki naprawdę był. To nic. Stary zawsze uważał się – słusznie czy niesłusznie – za kogoś stojącego ponad albo obok praw i ludzi. Nawet leżąc w grobie, odpowiedziałby wszystkim tym oficjelom wzgardliwym uśmieszkiem.

– Potrzebuje pan kilku dni, żeby zająć się pogrzebem?

– Wolałbym jak najszybciej wrócić do pracy.

Policjanci popatrzyli na siebie – skoro Erwanowi na tym zależało, mógł podjąć pracę. *Niezwłocznie*. Pożegnał przełożonych jak dobry żołnierz i dołączył do swoich ludzi w sali narad brygady kryminalnej. Wszedł bez pukania i zastał Audrey, Tonfę i Faviniego w trakcie rozmowy.

Z boku siedziała Gaëlle.

– A co ty tu robisz? – zapytał, nawet się nie witając.

– Czekam na ciebie.

Spojrzał pytająco na kolegów. Z ich oczu wyczytał tylko konsternację – zaskoczyło ich, jak wychudł i jak był blady.

– Chodzi o tego psychiatrę? – zwrócił się do Gaëlle.

– Chodzi o nazwisko mordercy mojego ojca.

85

Spojrzał na kolegów: „Zostawcie nas samych”. Nikt nie zdążył nawet wyrazić współczucia i sympatii. *I bardzo dobrze*. Kiedy drzwi się zamknęły, Erwan zwrócił oczy na skuloną na krześle młodszą siostrę. Porównanie z Loïkiem nie wypadło pochlebnie – dla niego. Brat sprawiał wrażenie wymiętego jak folia aluminiowa, Gaëlle – odlanej z hartowanej stali z dodatkiem kadmu. Istna rzeźba Brâncuşiego: subtelna, wygładzona i mocna, delikatna w dotyku, groźna w kontakcie.

– Kto zabił tatę?

– Winny już nie żyje, jeżeli cię to pocieszy.

– Dopadłeś go?

– Tak.

– Kto to?

– Pułkownik Tutsi, który przeszedł na stronę kongijskiej armii.

– Jak się nazywał?

– Co za różnica?

– Podaj mi jego nazwisko.

– Laurent Bisingye.

– Komu służył?

Erwan westchnął i przysunął sobie krzesło. Loïc zapragnął nauczyć się strzelać, siostra planowała wojenkę z Katangą. Ale w pewnym sensie po takim powitaniu zrobiło mu się ciepło na sercu – oni wciąż byli tak samo zwariowani.

– To się wydarzyło siedem tysięcy kilometrów stąd – westchnął. – W ogniu walk, w świecie, jakiego istnienia nawet się nie domyślasz.

– Kto stoi za tym Tutsi?

– Wieki nienawiści, dwa stulecia wojny i pięć milionów zabitych.

– Odpowiedz na moje pytanie.

Patrzył na Sekwanę przez zakratowane okna (zabezpieczono je w 2002 roku, po samobójstwie Richarda Durna[4]). W porównaniu z czarnym nurtem

Lualaby paryska rzeka wyglądała raczej jak strumyk.

– Przypuszczam, że Bisingye działał z polecenia niejakiego Trésora Mumbanzy – poddał się. – To Luba, generał z Katangi, a od śmierci Nseko także dyrektor Coltano. Facet ma duże ambicje finansowe i polityczne.

– Dlaczego kazał zabić tatę?

– Już ci powiedziałem: forsa i władza. Nseko maczał palce w handlu bronią, coś poszło nie tak. Zabili go we wrześniu. Mumbanza zajął jego miejsce w Coltano. Mniej więcej wtedy dowiedział się o nowych złożach. Pomyślał, że może upiec dwie pieczenie na jednym ogniu: pozbyć się historycznego założyciela firmy i przechwycić złoża.

Erwan dostrzegł w szaroniebieskich oczach siostry blask, jakby ogarnęły ją wyrzuty sumienia. W końcu to ona wydała tajemnicę złóż i wywołała fatalną w skutkach reakcję łańcuchową, która przyspieszyła decyzję Morvana o podróży do Katangi. To wszystko była jej wina – tak przynajmniej musiała myśleć.

W rzeczywistości nie miała na to żadnego wpływu. Nie większy niż on sam. Nikt nie był w stanie wpływać na losy Morvana, zwłaszcza tego z ostatniego okresu: sześćdziesięciosiedmiolatka o wadze ponad stu kilogramów, od czterech dekad oddającego się afrykańskim krętactwom i krwawej grze szpiegowskiej. Był jak stalowa lokomotywa ciągnąca czarne myśli i pędząca przez kongijskie piekło.

– Czy tato wplątał się w handel bronią?

– Absolutnie nie. Zresztą Mumbanza też nie. To zwykły zbieg okoliczności.

Miał wrażenie, że Gaëlle rejestruje w pamięci każdy szczegół. Co ona knuła?

– Czy Mumbanza bywa czasami w Paryżu?

– Wolę nie odpowiadać.

– Bywa tu czy nie?

– Chcesz przeprowadzić z nim wywiad? Rozprawić się z nim? A może podziękować?

Milczała, nadąsana. Erwan wstał i zaczął chodzić wzdłuż okien. Był zdenerwowany i nawet w swoich swetrach wciąż drżał.

– Regularnie wyjeżdżał do Brukseli – powiedział w końcu. – Zdaniem taty, to potworny łajdak, miłośnik białych cipek, a w Europie ma swoje ulubione miejsca. Kto wie, może zetknęłaś się z nim w pracy.

– Świnia!

Żałował tej ostatniej uwagi, ale Gaëlle zawsze potrafiła wytrącić go z równowagi.

– Przepraszam – powiedział spokojniej. – Ale nie mieszaj się w te sprawy.

– Nie jestem dość duża, żeby zrozumieć?

– To inny świat. Świat, który tato dobrze znał i którego reguły akceptował. Wyrwałem się z tego koszmaru i zamierzam zrobić wszystko, żeby wymazać go z pamięci.

– Mumbanza ma swoje ulubione miejsca w Paryżu? Mów.

Erwan stanął przed nią i włożył ręce do kieszeni.

– Cholera, kiedy wreszcie z tym skończysz? – wybuchnął. – Nie znudziło ci się zatruwanie nam życia? Jedyne chwile, kiedy mogliśmy odetchnąć, to te, kiedy byłaś w domu wariatów!

Było już za późno, żeby cofnąć tę kolejną złośliwość. Jak to możliwe, że dochodziło między nimi do takich rozmów? Tego nie da się już naprawić.

– Nadal nie odpowiedziałeś na moje pytanie – wycedziła przez zęby.

– Po prostu nie mam pojęcia! Przed wyjazdem do Katangi nie wiedziałem nawet o jego istnieniu.

I w tej samej chwili zrozumiał, co się właśnie działo. Kataklizm sprawił, że każde z Morvanów chwytało się byle czego, żeby utrzymać się na powierzchni. On sam – najbanalniejszych procedur stosowanych w „36”. Jego brat – walki z uzależnieniem i pseudonauki strzelania. Gaëlle – mętnego planu śledztwa w sprawie Mumbanzy. A wszystko to, żeby nie zdechnąć. Tylko Maggie podda się bez walki.

– Nie przejmuj się – dodał po chwili, kucając przy niej. – Będzie śledztwo. Mumbanza przegra, bo Kabila nie udzieli mu wsparcia. Straci stanowisko w Coltano. Nie będzie miał żadnych szans w sferze polityki. Zostanie aresztowany, a może nawet dojdzie do jego ekstradycji. W takiej sytuacji sąd dobierze się do niego za wiele innych przestępstw. Drogo zapłaci za śmierć taty.

Gaëlle, nic nie mówiąc, wyciągnęła papierosa. W sali nie wolno było palić, ale Erwan uznał, że może pozwolić siostrze na to, na co pozwalał mordercom, kiedy wreszcie zaczynali zeznawać.

– A ty? – zapytała, zaciągnąwszy się kilka razy. – Zamierzasz siedzieć z założonymi rękami?

– To już nie moja sprawa.

– Obcięli ci je tam czy co?

Wstał i rozgarnął dym znużonym gestem. Typowe środki bezpieczeństwa Morvanów – obelgi, prowokacje i ani odrobiny wspólnoty, ani słowa wyrażającego solidarność.

– Opowiedz mi lepiej o Isabelle Hussenot – rzucił, żeby zmienić temat.

Wzruszyła ramionami, a potem znowu wypuściła z ust kłęby dymu, który wił się jak w kreskówce, wyrażając jej znużenie, niesmak i rozgoryczenie.

– Poznałam ją jako Érica Katza. Podawała się za psychoanalityka.

– Jak do niej trafiłaś?

– Nie mogę sobie przypomnieć. Chodziłam do niej na terapię przez mniej więcej dwanaście miesięcy, w dwa tysiące dziesiątym i dwa tysiące jedenastym roku.

– I niedawno znów nawiązałaś z nią kontakt?

– Nie, to on… raczej ona do mnie zadzwoniła. Rzekomo chciała się dowiedzieć, jak sobie radzę.

A potem Gaëlle opowiedziała mu intrygującą historię, gestykulacją wyrażając swoje odczucia i puszczając kłęby dymu. Psycholog zapraszał ją na kolację, ukradkiem szperał w jej torebce, o świcie chodził na cmentarz… Prawdę mówiąc, nic szczególnego.

Razem z Audrey – tej się jeszcze oberwie – włamały się do gabinetu i znalazły teczkę z artykułami prasowymi o Człowieku Gwoździu z Paryża, a także adresy Anne Simoni i Ludovica Pernauda, zapisane w kalendarzu pod datami sprzed morderstw. Anne była nawet pacjentką tej prawdziwej i fałszywej pani psychiatry. W końcu doszło do fatalnej porażki przy Beaubourgu, gdzie niby-Katz rzucił się do ucieczki i wpadł pod samochód. Konając, Isabelle Hussenot wyszeptała: „Człowiek Gwóźdź nie umarł”.

Co to znowu za afera? Ani wydarzenia, ani ich znaczenie, w tym możliwa powtórka wrześniowego koszmaru, nie wydawały mu się jasne, jednak wzbudzały niepokój.

Erwan właśnie znalazł swoje koło ratunkowe. Załatwienie tej sprawy pozwalało mu przynajmniej na kilka dni zapomnieć o śmierci ojca.

– Zawołam ludzi – powiedział.

86

Ekipa nieliczna, ale jedyna w swoim rodzaju.

Audrey o matowych włosach, w drelichowej kurtce, zwiesiła głowę. Favini, marsylski uwodziciel zwany w „36” Sardynką, był wyraźnie podniecony obecnością Gaëlle. Tonfa, jak zwykle w czarnym garniturze, był poważny i podniosły niczym miecz sprawiedliwości.

Erwan w kilku słowach opowiedział im o swojej podróży – po rozmowach z Loïkiem, z Fitoussim i z siostrą nabrał już wprawy – skracał, uogólniał, mówił lodowatym tonem. Przedstawił okoliczności śmierci starego, nawet słowem nie wspominając o prawdziwych powodach swojej podróży ani o tym, co odkrył. Akta Cathy Fontany na zawsze zarchiwizował w pamięci.

Potem, kiedy poruszył dziwną sprawę doktor Isabelle Barraire-Hussenot, do głosu doszli jego ludzie. Wykorzystali niedzielę, żeby zebrać informacje uzupełniające wstępne poszukiwania Audrey. Erwan słuchał ich, przeglądając dokumentację, która dotąd powstała.

– Skontaktowano się już z jej rodziną? – zapytał.

– Rodzice zmarli, ale znalazłam młodszego brata, Oliviera – odezwała się Audrey. – Mieszka w Clermont-Ferrand i prowadzi spółkę Domanges.

– Co to za firma?

– Rodzinna sieć pralni. Mają ich setkę we Francji, z franszyzą i tak dalej. Niezły biznes.

– Co ci powiedział?

– Nic. Już przed laty zerwał wszelkie kontakty z siostrą.

– Dlaczego?

– Z powodu jej zaburzeń umysłowych. Teraz robiło mu się niedobrze na samą myśl o tym, że będzie musiał wspominać problemy, jakich im przysparzała. Jeżeli dobrze zrozumiałam, miał przez nią także kłopoty z przejęciem spadku, ale nie wchodził w szczegóły.

– Miała udziały w firmie?

– Nie wiem. W każdym razie nigdy nie została uznana za niepoczytalną ani nie miała kuratora.

– Dobrze. Później do niego zadzwonię.

Audrey lekko się skrzywiła – nie lubiła, kiedy ktoś poprawiał to, co zaczęła.

– Co zrobią ze zwłokami?

– Olivier przyjechał wczoraj wieczorem do Paryża. Podpisał dokumenty. Chce przewieźć ciało do Clermont-Ferrand i pochować w rodzinnym grobie.

– Widziałaś się z nim?

– Nie.

– Zamierza nas oskarżyć?

– Nie ma powodów do…

– Mógłby uznać, że ma powód – uciął Erwan. – A nawet kilka. Nękanie przez policję. Naruszenie prywatności. Nielegalne śledztwo – mówił, spoglądając to na Audrey, to na Gaëlle, która nie ruszyła się z krzesła. – A jeśli jest sprytny, dorzuciłby nawet kradzież z włamaniem.

W sali zapadła cisza ciężka jak stal.

– Gdyby to zrobił – odważyła się na ripostę Gaëlle – ujawniłby niewygodny fakt: jego siostra prowadziła praktykę lekarską pod fałszywym nazwiskiem. Ja jestem tu raczej ofiarą…

Erwan uciszył ją nerwowym gestem. Audrey próbowała jeszcze załagodzić sprzeczkę.

– Kiedy rozmawiałam z nim przez telefon, odniosłam wrażenie, że od dawna spisał siostrę na straty. Była rentierką. Robiła ze swoimi pieniędzmi, co chciała, i kropka.

– Masz coś do dodania? – zapytał, nie spuszczając siostry z oczu.

– Nie.

– W takim razie znikaj stąd.

– Ale…

– Nie masz tu nic do roboty, to zebranie grupy operacyjnej brygady kryminalnej. Wyjdź, zanim wyliczę wszystkie głupstwa, jakie popełniłaś pod moją nieobecność.

Gaëlle wolno wstała.

– Odprowadzisz mnie?

Zadała to pytanie tonem niedopuszczającym sprzeciwu. Zeszli po schodach, nie odzywając się do siebie, i zatrzymali się na dziedzińcu.

– Co robimy z moimi aniołami stróżami? – zapytała.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Tato znowu zwalił mi na kark dwóch ochroniarzy.

– Gdzie teraz są?

– Na zewnątrz – powiedziała, wskazując Quai des Orfèvres za bramą.

– Wiedzą, że tato nie żyje?

– Oczywiście. Powiedziałam im już, żeby wracali do domu, ale żaden nie posłuchał. Są jak psy pasterskie. Czekają na rozkazy, nie wiedzą jednak, na czyje.

– Zaczekaj tu.

Erwan wyszedł za bramę, zastanawiając się, czy Gaëlle wciąż była w niebezpieczeństwie. Wprawdzie wydawało się, że doszła do siebie po próbie samobójstwa, jednak pojawienie się Isabelle Barraire było jak nowa lampka alarmowa. *Człowiek Gwóźdź nie umarł*…

Ostatecznie postanowił zwolnić dwóch cerberów, ale patrząc, jak odchodzą, już żałował tej decyzji. Nie można było ufać jego stukniętej siostrzyczce. Żeby podnieść się na duchu, obiecał sobie, że zajrzy do niej wieczorem, po nieuniknionym spotkaniu z Maggie.

Polecił jednemu z podwładnych odwieźć Gaëlle do domu nieoznakowanym samochodem i biegiem wrócił do swojej grupy.

– Bierzemy się do tego bagna od początku – oznajmił. – Chcę, żebyście ustalili powiązania między Isabelle Barraire a Człowiekiem Gwoździem. Fakt, że zanotowała dane ofiar, jest wysoce niepokojący, pomijając już dość agresywne osaczanie Gaëlle.

Na ustach Audrey majaczył uśmiech: nie pomyliła się, uznając, że sprawa jest poważna.

– Zamknijcie raporty, nad którymi pracujecie w tej chwili w grupach, do których was przydzielono. Weźmiemy kilka spokojnych spraw, żeby oficjalnie czymś się zajmować. Daję wam dwadzieścia cztery godziny na dopracowanie profilu Barraire. Favini, przyjrzyj się historii jej małżeństwa i ustal, gdzie i kiedy hospitalizowano tę wariatkę. Tonfa, skupisz się na aktywności zawodowej pod fałszywym nazwiskiem, a poza tym na

Clermont-Ferrand i pralniach. Chcę wiedzieć, skąd pochodziło każde euro, które dostawała.

– A ja? – zapytała Audrey.

– Ty zajmiesz się sprawami bieżącymi. Narobiłaś już i tak dość głupstw.

– Ale…

– Zaangażowanie funkcjonariuszy w operację, na którą nie było zezwolenia? – ryknął nagle, dając ujście powstrzymywanemu od przyjazdu gniewowi. – Wciągnięcie ich w sprawę, która nie istnieje? Przyczynienie się do śmierci świadka? Włamanie do niego? Kradzież dokumentów? Nie wspomnę nawet, że naraziłaś na niebezpieczeństwo moją siostrę, która z pakowaniem się w tarapaty radzi sobie doskonale bez niczyjej pomocy.

– Ale ja…

– Zamknij się. Czekaj tu grzecznie na wezwanie IGS. Aż trudno uwierzyć, że po tej aferze przy Beaubourgu nie wywalili cię na zbity pysk.

Chyba chciała mu odpowiedzieć, ale ugryzła się w język. Erwan wziął pod pachę teczkę z informacjami o Isabelle Barraire.

– I jeszcze jedno – dodał przed wyjściem. – Gaëlle wspomniała o „sprawie zastrzeżonej”. Kto użył tego określenia?

– Ona – szepnęła Audrey. – Miałam wrażenie, że dobrze wie, co to znaczy.

– Specjalność naszego ojca. Skąd jej to przyszło do głowy?

– Trudno było dotrzeć do pewnych informacji.

– Jakich?

– Wszystkich, które mogłyby łączyć Philippe’a Hussenota z Isabelle Barraire. Ani śladu po ich małżeństwie i rozwodzie. Brak aktów urodzenia dzieci. Po wypadku Hussenota w Grecji żadnej wzmianki o matce dzieci. Nawet w dokumentach ubezpieczeniowych nie wymieniono jej nazwiska. To wygląda tak, jakby chciano zapobiec powiązaniu tych dwóch nazwisk.

Takie dane nie mogły zniknąć, gdyby ktoś się tym nie zajął. Po wszczęciu śledztwa tylko prokurator, sędzia śledczy albo komendant odpowiedzialny za sprawę mogli zdecydować o uznaniu jej za wrażliwą i zastosować takie środki. Wówczas nie było już możliwości ustalenia, kto prowadził sprawę, a nawet czy prowadzono jakąś sprawę.

– Favini, nadstaw ucha i zobacz, czego zdołasz się dowiedzieć na ten temat. Spotkamy się o dziewiętnastej.

– A co z… co z pogrzebem?

Erwan dopiero teraz zauważył, że zapomniał o najważniejszym: o pogrzebie ojca.

– Jeszcze nie wiem. Ale powiem wam, kiedy tylko coś ustalę.

Odwrócił się i wyszedł, zamykając za sobą drzwi, żeby nie wysłuchiwać kondolencji.

87

Osiemnasta, bar w hotelu Meurice. Dyskretna atmosfera, łagodne oświetlenie, aksamitne zasłony i stare obrazy na ścianach. Szykownie, ze smakiem, przytulnie – wygodne i spokojne gniazdko, by wypić koktajl, przebudować świat albo znaleźć partnera na jedną noc.

Zaraz po powrocie do domu Gaëlle skontaktowała się z Michelem Payolem, alfonsem z 16 dzielnicy. Czekało ją niemiłe powitanie – facet o zębach wielbłąda nie zapomniał przesłuchania Erwana, które przypłacił utratą palca.

– Masz tupet, żeby dzwonić do mnie po tym wszystkim. – Trzymał usta za blisko słuchawki i w jego oddechu było coś obscenicznego. – Nie potrzebuję małych burżujek, które uważają się za kurwy! Przywykłem raczej do odwrotnej sytuacji.

– Możemy pogadać o interesach?

– Co to, to nie.

– W takim razie poskarżę się bratu jak na szkolnym podwórku.

Po chwili milczenia umówił się z nią. Sama wybrała miejsce. Przyszła wcześniej, usiadła w rogu, na skórzanym fotelu, i zamówiła kieliszek szampana. Było wprawdzie wcześnie, ale dzień nie należał do tych zwyczajnych.

Czuła się obolała, połamana po trzęsieniu ziemi, do którego doszło. Jej świat, wytrwale budowany z nienawiści, ze złości i z jeszcze czegoś, czego nie potrafiła nazwać, właśnie legł w gruzach. Była jak biedna Sycylijka, która po trzęsieniu ziemi uświadomiła sobie, że żyje, ale utraciła wolę życia.

Spokojnie, mam przynajmniej jeden powód, żeby żyć…

W tym momencie Payol stanął w drzwiach, ubrany w dwurzędowy blezer, z czerwoną saszetką pod pachą i w modnych mokasynach. Jego ostentacyjna elegancja raziła w dyskretnym barze. *Powinnam się z nim umówić w Costes*. Usiadł na wprost niej. Nawet się nie uśmiechnął i był

wyraźnie zdenerwowany. Duży palec prawej ręki kończył się na pierwszym paliczku i nadal był zabandażowany.

– Czego chcesz? – zaczął ostro.

– Najpierw zamów.

Zawahał się, ale skinął na kelnera i poprosił o małą czarną. Gaëlle czekała, pozwalając sekundom upływać i delektując się zdenerwowaniem tego łotra, który wyglądał teraz jak ledwie kontrolowana kupa strachu.

– Trésor Mumbanza – powiedziała w końcu.

– Co „Mumbanza”?

– Pamiętam, że załatwiasz dziewczyny dla bogatych Afrykanów.

– Co z tego?

Wypiła łyk szampana i poczuła w gardle zimne łaskotanie, tak rozkoszne i tak odmienne od wrażeń, jakich dostarczało jej to spotkanie w cztery oczy.

– Mumbanza jest jednym z twoich stałych klientów, kiedy przebywa w Paryżu.

Gaëlle blefowała, ale Payol nie zaprzeczył. Miał gębę dromadera: wąską, złą twarz, wydatne szczęki i duże, za długie zęby.

– On ma coś wspólnego ze śmiercią twojego ojca?

Media podały już wiadomość, a Payol nie był idiotą.

– Co o nim wiesz? – nalegała, ignorując jego pytanie.

Payol wstał:

– Zastanawiam się, dlaczego zgodziłem się na to spotkanie.

Otworzyła torebkę, wyjęła komórkę, coś wystukała i wyciągnęła ją jak broń. Alfons pochylił się odruchowo, poprawiając okulary tak, żeby widzieć migoczący ekran.

– Co to?

– Dziewczyny, które zatrudniasz w ósmej dzielnicy. Jedno moje słowo, a ta lista trafi na biurko dowódcy BRP[5], że nie wspomnę o słówku szepniętym bratu. Wrócił dziś z Afryki, nasz ojciec nie żyje, więc Erwan jest w złym nastroju.

Payol usiadł. Właśnie podano mu kawę. Z filiżanką w długich, kościstych palcach wydawał się niemal cherlawy.

– Czego tak naprawdę chcesz?

– Najpierw odpowiedz na moje pytanie: jak scharakteryzujesz Mumbanzę?

– Afrykański dyktator w starym stylu – odparł, wzruszając ramionami. – Ma pieniędzy jak lodu, ciągle jest napalony, bez skrupułów.

– Powiedz mi coś charakterystycznego.

Payol oparł łokcie o stół i wysunął teleskopową szyję.

– Wiadomo, że jest seropozytywny, ale lubi tylko *barebacking*, nigdy nie używa prezerwatywy. Płaci podwójnie, a nawet potrójnie tym, które są skłonne zaryzykować.

– To wszystko?

Payol skrzywił się z niesmakiem. Jego czerwone dziąsła wyglądały jak otwarta rana.

– Mówi się, że kazał zabić wszystkie dziwki, które mogły go zarazić. Poza tym daje swoje dziewczyny ochroniarzom jeszcze tej samej nocy i sprawdza, czy na pewno użyto ich na wszystkie strony. Nazywa to „wypełnianiem szczelin”.

– Świetnie.

– Co „świetnie”?

– Ten gość mi się podoba. Kiedy znowu do ciebie zadzwoni, załatw mi spotkanie.

– Nie ma mowy. Nie wiem, co kombinujesz, ale nie zamierzam się mieszać w żadne wendety.

Gaëlle z przyjemnością rozejrzała się po przytulnym wnętrzu. Przytłumione światła, srebrne okucia, miękka skóra i drewno na wysoki połysk. Ale najbardziej ceniła sobie bliskość pokoi – tuż nad ich głowami. Miała wrażenie, że plafon obniża się tu wraz z nastaniem nocy. Potężne skrzydła grzechu…

– Mumbanza nie ma nic wspólnego ze śmiercią mojego ojca. Chodzi o spadek.

– Jaki spadek?

– Mój. Moich braci i matki. Mumbanza kieruje Coltano, firmą założoną przez Morvana i wydobywającą koltan. Nie chcę żadnych sporów, kiedy przyjdzie czas przejęcia schedy.

– Dlaczego nie poślesz do niego adwokatów?

– Duża część tego, co jest nam winien, pochodzi ze złóż, które oficjalnie nie są eksploatowane. Domyślasz się, że stary przewidział ewentualność własnej śmierci. Muszę się zobaczyć z tym facetem i wyjaśnić mu pewne zasady.

Kłamstwo brzmiało wiarygodnie i było na tyle ogólnikowe, żeby Payol połknął haczyk. Przez chwilę patrzył na nią niepewnie.

– Dobrze trafiłaś – rzucił, dopiwszy kawę.

– Mumbanza jest w Paryżu?

– W Brukseli. Jutro będzie w Lozannie. Chce mieć towarzystwo.

Jego obecność tam nie była przypadkowa. Generał na pewno ukrywał w Szwajcarii pieniądze, bojąc się, że Morvanowie spadną mu na głowę i wetkną nos w rachunki Coltano. A przy okazji na wszelki wypadek oddalił się od zamieszania, jakie śmierć Padre miała wywołać w Katandze.

– Chce prawdziwej blondynki, ale wydepilowanej od stóp do głów.

Gaëlle zabrała telefon i wstała.

– Możesz uznać, że przysłał mnie tu sam diabeł.

88

Poświęcił popołudnie ojcu i problemom związanym z jego śmiercią. Zabrał z „36” samochód i osobiście pojechał do Instytutu Medycyny Sądowej dopilnować, żeby sekcję przeprowadził Riboise. Poprosił anatomopatologa, żeby nie badał zbyt dokładnie odległości, z jakiej padł strzał – Bisingye strzelał do Morvana z dystansu niespełna metra, a to nie pasowało do wersji zagubionej kuli na polu walki. Riboise uspokoił go, że nie zamierza wdawać się w szczegóły.

Z instytutu medycyny pognał na Quai d’Orsay, gdzie odbywało się kryzysowe spotkanie w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Kongijskiemu rządowi nie spodobał się jego dyskretny wyjazd z trumną pod pachą. A jeszcze mniej fakt, że francuskie media rozpisują się o tym, bo wielki szum już się zaczął w radiu, telewizji, Internecie, a jutro miał ogarnąć wszystkie gazety. Erwana zobowiązano do zredagowania stosownych przeprosin, raczej zaś do napisania ich pod dyktando specjalistów do spraw Afryki z ministerstwa, wytrawnych znawców koronkowej dyplomacji. Pismo przesłano ambasadorowi Demokratycznej Republiki Konga w Paryżu. Czekano, aż napięcie opadnie.

Co do pogrzebu, to wszystko wymykało mu się z rąk. Pomysł kremacji poszedł w zapomnienie. Protokół ceremonii ustalono na górze. Msza w Saint-Louis des Invalides, parada wojskowa na dziedzińcu, mowa wygłoszona przez ministra obrony – albo spraw wewnętrznych (co do tego były jeszcze wątpliwości) – a potem pochówek na cmentarzu Montparnasse, w grobie rodzinnym. Teatr. Erwanowi robiło się niedobrze na myśl o mowach żałobnych i wszystkich pochwałach, które się posypią. Bohater Francji. Superglina. Wielki mąż stanu. Nikogo nie zasmucała jego śmierć, ale wszyscy obawiali się skutków jego odejścia. Bo teraz mogły wypłynąć różne dokumenty. Dlatego chciano stłumić żar, przysypując go złotem i słowami. Niepotrzebnie. Erwan wystarczająco dobrze znał ojca, żeby wiedzieć, że nie zostawił niczego ważnego. Robiąc to, uczyniłby zbyt

duży zaszczyt bandzie zachłannych urzędasów. W jego oczach człowiek był podłym i miernym zwierzęciem, a klasa polityczna tworzyła podgatunek, który upadł jeszcze niżej.

Co do mediów, Erwan wybrał rozwiązanie pośrednie i uzyskał poparcie przełożonych – ani kompletna cisza, ani konferencja prasowa, ale po prostu lakoniczny komunikat AFP. Po podaniu wiadomości ustawił telefon na tryb samolotowy i wreszcie spojrzał na zegarek. Była siódma wieczorem. Nie mógł dłużej zwlekać z wizytą u Maggie. *W drogę*.

Wcześniej zajrzał jeszcze do Audrey, która siedziała wściekła w swoim pokoju. Erwan grał przed innymi, ale nie był pewien, czy miał rację. Był jednak przekonany, że Audrey to jego najlepszy człowiek i że ma dla niej pracę. Bąknął coś na przeprosiny, a potem zlecił jej przejrzenie od A do Z akt sprawy drugiego Człowieka Gwoździa, Philippe'a Krieslera. Było to siedem już zarchiwizowanych teczek, w których drobiazgowo analizowano serię morderstw popełnionych we wrześniu.

Erwan nie mógł pojąć, że nie natknęli się na nazwisko Isabelle Barraire ani Éric Katz. Wariatka była psychoanalitykiem Anne Simoni. Miała adres Ludovica Pernauda. Krążyła po terenie łowieckim Człowieka Gwoździa. Czy znała Kripo? Czy miała kontakt z czterema ludźmi, który poddali się przeszczepowi szpiku, żeby na poziomie komórkowym stać się Człowiekiem Gwoździem? Zadaniem Audrey było przetrząsnąć wszystkie dokumenty, notatki i raporty, dostrzec każdy szczegół, który pozwoli wpaść na trop Barraire, choćby między wierszami. Powierzył jej również delikatniejszą misję badania okolicy adresów Katza – ulicy Nicolo i ulicy de la Tour: wypytywać sąsiadów i sklepikarzy, żeby odtworzyć dzień powszedni kobiety, a może nawet jej zachowania w dniach zabójstw. Audrey zgodziła się na wszystko, ale z zaciśniętymi zębami. *Jutro będzie lepiej*.

Wsiadł do taksówki, a potem do pozostawionego na parkingu przy ulicy Bellefond samochodu i pojechał w aleję Messine, czując, jak strach skręca mu trzewia. Wciąż jeszcze nie wiedział, jak zachować się wobec Maggie. Nie wiedział nawet, co do niej czuje.

Wszedł wejściem służbowym, żeby uniknąć fotoreporterów zgromadzonych przed domem. Loïc dał mu klucze do mieszkania.

Procedura kryzysowa. Wszystko tonęło w ciemnościach. Przeszedł przez kuchnię, a dalej korytarzem, który prowadził do salonów.

– Maggie?

Cisza.

– Maggie?

Jego oczy oswoiły się z mrokiem. Siedziała w salonie, przy małym stoliku. W ciągu dnia wielokrotnie próbował się do niej dodzwonić, ale na próżno. Nie robił z tego problemu – Maggie nigdy nie należała do wielbicielek telefonów komórkowych: szkodliwe promieniowanie, nadmiar zbędnych słów. Dziś wyłączyła prawdopodobnie nawet telefon stacjonarny.

Ciężkie zasłony zamykały się na jeszcze cięższej ciszy. Nieruchome cienie i przedmioty. Zapach pasty kojarzący się ze starannie wypolerowanymi ławkami w kościele. Mimowolnie rozkoszował się tym grobowym spokojem. Wiedział, że wokół domu panuje zamieszanie. Że próbują się tu dodzwonić albo dostać politycy, dziennikarze, reporterzy, że wiadomość powtarzana jest w informacjach telewizyjnych i radiowych, komentowana na Twitterze i Facebooku, ale tu nic z tego nie docierało.

Przesunął fotel i usiadł przed Maggie, po przeciwnej stronie stolika. Odkaszlnął. Nie był nawet pewien, czy się obudziła, czy drzemie.

– Chcesz się czegoś napić?

Drgnął, zaskoczony. W jej głosie pobrzmiewał strach, jak wtedy, kiedy Morvan był w pobliżu.

– Nie, dziękuję – odpowiedział.

– Na pewno?

Widział tylko kontur jej twarzy, łagodny owal, maskę, która stopiłaby się w zetknięciu z ogniem. Gdyby Maggie niczego mu nie zaproponowała, wiedziałby, że jest ostatecznie zgubiona.

Od czego zacząć?

Postanowił, jak przystało na policjanta, najpierw mówić o faktach.

– Mogę ci powiedzieć, jak to się stało. To nowy dyrektor Coltano z Lubumbashi…

– Nie chcę wiedzieć.

Cisza spadła im na barki.

– Mogę zapalić światło?

Nie odpowiedziała. Erwan wciąż dygotał – skoro nie zdołał rozgrzać się w biurze, w otoczeniu kolegów, którzy tworzyli jego prawdziwą rodzinę, to

na pewno nie uda mu się to tu, w tym sanktuarium.

– Pogrzeb odbędzie się w Bréhat – odezwała się nagle.

– W Bréhat? Ale mówi się o ceremonii państwowej, już…

– Twój ojciec tam głosował. Ma prawo do miejsca na cmentarzu. Zawsze chciał, żeby pochować go właśnie tam, bez rozgłosu.

– A grób na Montparnasse?

– Pusty. To wybieg Grégoire’a, nie wiem, czemu miał służyć.

Pewnego dnia, w napadzie szaleństwa, Morvan zamknął tam Maggie na całą noc.

– A… wiesz, z kim się skontaktować? – podjął Erwan.

– Z parafią w Paimpol. Wyznaczą księdza, który odprawi nabożeństwo. Nie chcę żadnych gości. Będziemy tylko my.

Jej słowa zdawały się ociekać śliną – prawdopodobnie od wczoraj brała neuroleptyki. Na ogół te leki powodują suchość w ustach, ale u Maggie wywoływały nadmierne wydzielanie śliny.

– I oczywiście ta informacja nie może przedostać się do mediów.

Erwan wyobraził sobie ich klan, szary jak granit, zbity w małą grupkę w strugach zimowego deszczu nad grobem, i zaczął dygotać jeszcze bardziej.

– Rozmawiał z tobą? – podjęła po chwili milczenia.

Jej głos wciąż pobrzmiewał pluskiem lodowatych fal podczas nocnej kąpieli. Maggie płynęła pod prąd.

– Nie miał wyboru – odparł, nagle szyderczy, żeby nie okazać słabości. – Moje śledztwo w sprawie Cathy Fontany…

Zamilkł w pół zdania, bo Maggie parsknęła śmiechem.

– Wydaje ci się to zabawne?

– Wybacz… – szepnęła. – Śmieję się, bo prawda nie istnieje. Albo może: już nie istnieje.

– Mylisz się. Wracam z…

– Erwanie, wychowałam cię jak własnego syna. Kochałam cię jak Loïca i Gaëlle, a pewnie nawet bardziej. Zawsze uważałam, że mam wobec ciebie dług…

– Bo zorganizowałaś śmierć mojej matki?

Maggie gwałtownie uniosła głowę. W mroku jej wytrzeszczone oczy wpatrywały się w niego.

– Twój ojciec powiedział ci tylko to, co wiedział…

89

– Ojciec był silny, odważny, władczy – zaczęła monotonnym głosem – w głębi ducha jednak pozostał zastraszonym dzieckiem. Twarz Cathy przerażała go i przyciągała jak magnes. W jego oczach symbolizowała najstraszliwsze zagrożenie, ale także to, czego nigdy nie miał, a zawsze pragnął: miłość matki. Jakaś cząstka jego osobowości dopominała się jej czułości, jej troski. Inna zaś chciała ją zniszczyć.

Erwan nie przyszedł tu na wykład prymitywnej psychologii.

– Nie musisz go bronić – odparł. – Wiem o nim wystarczająco dużo, żeby ocenić sytuację.

– Nie. Nie wiesz. Nie…

– Widziałaś się potem z tym Perneke?

To pytanie wyrwało mu się z ust. Żeby rozwiązać sprawę, trzeba określić wszystkich protagonistów, to znaczy usytuować ich po tej lub innej stronie życia.

– Kochanie – powiedziała łagodnym głosem – musisz zrozumieć… To nie są dobre wspomnienia.

Banały.

– Widziałaś się z nim czy nie?

– Nie. Ale wielokrotnie się z nim kontaktowałam. Nie mówiłam o tym ojcu.

– Po co?

– Właśnie z powodu Grégoire’a. Tylko Perneke znał źródło jego psychozy.

Erwanowi trudno było wyobrazić sobie kurację na odległość, prowadzoną przez wspólnika w morderstwie.

– Czyli leczył tatę za twoim pośrednictwem?

– Nie. To było kilka telefonów w ciągu dziesięcioleci. Kiedy Grégoire nie chciał konsultować się z lekarzem w Paryżu, dzwoniłam do Perneke’a, żeby uzyskać poradę.

– Jak długo trwała ta komedia?

– Moje kontakty z nim ustały w latach dziewięćdziesiątych.

– Wiesz, co się z nim teraz dzieje?

– Kontynuował praktykę w Belgii. Zmarł w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym roku w Namur. Ale to nie on jest tu ważny.

Erwan też tak uważał. Jednak nie był w stanie porzucić tego wątku.

– Kochałaś go?

Usłyszał ponure cmoknięcie, które w ciemnościach przypominało rechot żaby w błotnistej sadzawce.

– Widzę, że nic nie zrozumiałeś. Dla mnie liczył się tylko Grégoire. Perneke był narzędziem, którego użyłam, żeby go odzyskać.

Świt 1 maja 1971 roku. Morvan, oszołomiony psychotropami, siedział w samochodzie. Była ulewa. Maggie przebijała ciało Cathy gwoździami i odłamkami szkła. Pracowała sama, jakby oprawiała zwierzęta w ubojni. Potem ona i Perneke idący ścieżkami i szukający miejsca, by porzucić zwłoki. Ona i Perneke uprawiający seks w hangarze, na łodzi. W święto pracy ta ekipa nie próżnowała.

– Przez te wszystkie lata – podjęła, jakby wciąż rozwijała tę samą myśl – nie zdołałam odpokutować zbrodni.

Szósty zmysł gliny podpowiadał mu, że Maggie zaraz powie coś wstrząsającego.

– Ona nie była martwa – wyszeptała. – To znaczy, nie była martwa, kiedy zabraliśmy ją do hangaru…

Zamknął zmysły przed światem zewnętrznym, jak blokuje się płuca pod wodą. Odczekał tak kilka sekund, zanim dopuścił do siebie ten diaboliczny głos.

– Długo się jej przypatrywałam. Fascynowało mnie to ciało, ta twarz. O tym na pewno wiesz: twój ojciec ogolił jej głowę. Zaczął jej wycinać swastykę na czole. W przypływie szału przemieniał Cathy w Jacqueline Morvan. Nie dowiedzieliśmy się, co jeszcze jej zrobił, kiedy była nieprzytomna, ale możemy się domyślać różnych rzeczy.

Morvan uprawiający miłość z nieruchomym ciałem uwielbianej kochanki i znienawidzonej matki, jak jeden z tych seryjnych morderców, których opisuje się w literaturze specjalistycznej. Jak ktoś taki mógł wieść potem na pozór normalne życie? Jak mógł kierować policją, prowadzić śledztwa kryminalne, dowodzić operacjami o znaczeniu państwowym?

– Ty ją zabiłaś? – zapytał nagle.

– Mogłabym ci powiedzieć, że nie miałam wyboru, że Cathy oskarżyłaby Grégoire’a, ale to nieprawda. Znów by mu wybaczyła, jestem tego pewna. Dobiłam ją przez czystą zazdrość. Kiedy zobaczyłam, że dochodzi do siebie, owładnęły mną nienawiść i wściekłość. Ta dziwka była niezniszczalna. Chciała mi ukraść życie, dzieci, które miałam urodzić Morvanowi… Chwyciłam młot i uderzyłam ją w głowę, potem uderzałam w piersi, w boki. Już się nie ruszała. Wzięłam gwoździe i powbijałam je w jej skronie. Znowu się poruszyła. Związałam ją, zakneblowałam i…

Zamilkła, jakby chciała nabrać tchu, ale szukała własnego rozumu. Na wspomnienie tamtej nocy jej umysł znów pogrążał się w przepaści.

– Oszczędzę ci szczegółów – powiedziała w końcu. – Zrobiłam, co było trzeba.

Wyciągnęła rękę i zaczęła gładzić Erwana po głowie jak pajęczyca o włochatych odnóżach. Już nie reagował, jakby doznał uszkodzenia nerwów.

„Oszczędzę ci szczegółów…” A jednak przypominały mu się fragmenty protokołu z sekcji spisanego przez lekarza z kliniki Stanleya. Odłamek szkła doprowadził do wyłupania lewego oka. Gwóźdź rozerwał prawy policzek aż do dziąsła. Wypruto jej wszystkie trzewia, cięcie brzucha rozpłatało całe krocze. Maggie de Creeft pokonała Thierry’ego Pharabota na jego terenie. W odpowiedzi Człowiek Gwóźdź zaczął szaleć: Colette Blockx, Noortje Elskamp… Makabryczna licytacja.

– A jak załatwiliście problem dziecka? – zapytał nagle.

Nie był w stanie zamiast „ono” mówić „ja”.

– To nie było takie trudne. Kiedy Morvan mnie skatował, przeniosłam się do Kisangani, w rejon Wielkich Jezior. Dziś trudno to sobie wyobrazić, ale wtedy było to ciche miasto z szerokimi ulicami i tonącymi w kwiatach domami. Zabrałam cię ze sobą. Morvan prowadził dalej swoje śledztwo i w końcu aresztował Człowieka Gwoździa. Wszystko się jakoś poukładało. Ożenił się ze mną i mogliśmy poinformować o twoich narodzinach, oszukując co do dat. To nie była bajka, o jakiej marzą dziewczęta, ale dostosowałam się do sytuacji.

Maggie zawsze potrafiła trafnie dobierać słowa. Dziecko zrodzone z szalonego ojca, wychowane przez zabójczynię jego matki, której śmierć zrzucono na seryjnego mordercę. *Przedstawiam wam Erwana Morvana*.

Czterdzieści dwa lata koszmaru i kłamstw wciśnięte, jak się dało, między kaliber 9 mm i fryzurę na jeża.

Chciał się wyprostować. Był tak połamany, że przypomniał sobie, że ma jeszcze byt fizyczny – w ciemnościach, zahipnotyzowany przez odcieleśniony głos, zatracił świadomość swojego ciała.

– Proszę, żebyś mnie nie osądzał.

– Pogubiłaś się, Maggie. Tu nie chodzi o osądy i kary. Ty po prostu zabiłaś moją rodzoną matkę!

– To były inne czasy.

Teraz on wybuchnął śmiechem i ten śmiech ranił mu usta jak brzytwa.

– Musisz się leczyć.

Dłoń pajęczycy cofnęła się i wreszcie mógł wstać. Teraz wyraźnie widział Maggie, jej zawieszone w powietrzu palce. Chuda sylwetka podstarzałej *baba cool*, zasuszonej jak idee, których starała się bronić. Nie wiedział, że *Flower Power* obejmowało także morderstwa i barbarzyństwo…

– Nie rozumiesz, co chcę powiedzieć – szepnęła, nie patrząc na niego. – Mam na myśli miejsce i czas. W Lontano wszystkich nas wciągnął ten wir. Człowiek Gwóźdź stał się katalizatorem wszystkich uśpionych szaleństw. Afryka, klątwa rzucona na nasz klan, pieniądze z kopalni, przemoc, rasizm…

Erwan skapitulował. Czuł się pusty jak wydmuszka. Nie miał już w sobie ani gniewu, ani odrobiny energii, żeby potępić Maggie, wydać ją albo rozgrzeszyć. Przed wyjazdem powiedział do ojca: „Przedawnienie jest dla sądów, nie dla ludzi”. Mylił się. Przedawnienie jest wpisane w ład świata. Przedawnienie to zapomnienie. Na poziomie nie pamięci, ale ciała: za mało hormonów, za mało adrenaliny, żeby się burzyć.

– Dlaczego teraz ze mną o tym rozmawiasz? – zapytał, zdenerwowany. – Bo tato to zrobił? Już do końca to on będzie decydował?

Spuściła głowę i milczała. Można było pomyśleć, że płacze albo się modli. Ale Erwan przypuszczał, że teraz śmieje się pewnie z własnej naiwności.

– Dzisiaj, kiedy go już nie ma, wszystko straciło sens. A w każdym razie ja straciłam sens…

90

Kiedy wrócił do siebie – między białe ściany, do zapachu chlorku i pustej lodówki, czyli do osobistej wersji domu – nadal nic nie czuł. Był w takim samym stanie jak na lotnisku w Lubumbashi: oszołomiony, ogłuszony. Próbując znaleźć jakiś punkt zahaczenia, zadzwonił do swoich ludzi. U Audrey odezwała się poczta głosowa. Favini ustalał, w których szpitalach była leczona Isabelle Barraire – lista okazała się długa. Tonfa skontaktował się z pacjentami Érica Katza i nieźle się nasłuchał. Teraz zbierał informacje o rodzinie Barraire'ów i ich pralniach. Wszyscy obiecali mu przesłać pisemne raporty nocą, ale Erwan nie zamierzał się łudzić – mógł liczyć na coś nowego dopiero rano.

Zrobił sobie kawę i przyjął gościa, którego się nie spodziewał: Afrykę. Nie Afrykę Cathy Fontany czy Maggie de Creeft, ale swoją – tę z ostatnich dni. Odstawił filiżankę i osunął się na krzesło, żeby przetrwać pierwszą falę obrazów: mieniąca się w słońcu rzeka, przeplatające się czerwień i zieleń brzegów, *kadogos* patroszący w gumowych rękawicach ofiary, przecięty na pół Duch Śmierci, płonące getto w Soso…

Miał nadzieję, że pozbył się tej traumy. Łudził się, że powrót do cywilizacji zadziała jak cudowny lek. Był jak ci, którym się wydaje, że uniknęli malarii i ameby, bo wrócili w dobrej formie i nie domyślają się, że się zarazili, że w ich trzewiach wykluwa się choroba, która nie opuści ich do końca życia. Odtąd mroczne siły Afryki miały już zawsze wynurzać się z jego pamięci niczym napady gorączki, które zwalają z nóg nawet czarnych.

Kiedy wydawało mu się, że te wizje odpłynęły, z kokpitu wynurzył się ojciec z poszarpanym gardłem. Erwan skulił się na krześle. Nie płakał – dusił się. Nie był wzburzony, ale walczył, żeby nie zemdleć. Afrykańskie wspomnienia były jak walka wręcz, nie jak melancholijne marzenia. O dziwo, jego umysł skupił się na pyle koltanu w każdym załomku kabiny. Nabrał dystansu i to pozwoliło mu dostrzec wyjście – spadek. Nie myślał

o tym ani przez chwilę. Majątek z pewnością był duży, jednak miał swoje tajemnice i przykre niespodzianki – ojciec potrafił przygotować dla każdego pikantne danie w diabelskiej kuchni.

Komu przypadną udziały w Coltano? Loïcowi, jak było zaplanowane za czasów Sofii? A może stary zmienił testament i podzielił majątek, uwzględniając ich rozwód? Nie. Erwan pamiętał, że ojciec sprzedał we wrześniu wszystkie akcje, żeby wybrnąć z finansowego zamieszania, jednak on nie rozumiał wszystkich tych manipulacji. Pozostawała gotówka. I pewnie sporo innych „źle nabytych" dóbr, jak to nazywano w Kongu.

Erwan zawsze obiecywał sobie, że odrzuci spadek, ale sytuacja nieco się zmieniła: widział ojca w akcji, miał okazję przekonać się, jakie ryzyko podejmował w Katandze, żeby zostawić dzieciom jeszcze trochę więcej. Tu nie chodziło o spadek, lecz o trud życia. *Zobaczymy*. Jednak na myśl o skontaktowaniu się z notariuszem i zagłębianiu się w sprawy pieniędzy i dziedziczenia ścisnęło go w żołądku.

Loïc lepiej sobie z tym poradzi. Zadzwonił do brata, jednak ten kazał mu się odczepić, więc Erwan podniósł głos i natychmiast przeszedł do kwestii pogrzebu, który trzeba było zorganizować w Bréhat. W końcu to Loïc był wilkiem morskim rodziny. Loïc klął, ale po chwili zgodził się tym zająć. Erwan słuchał go ze zdumieniem, nie poznawał brata. Najdziwniejsze było, że Loïc chyba się nie bał, chociaż brutalna śmierć Montefioriego i zgładzenie Morvana powinny go przerazić. Zwykle należał do gatunku tych, którzy krzyczą: „Odwagi, uciekajmy!". Co on knuł?

Skoro już mowa o strachu, to Erwan miał powody obawiać się o własny los i musiał zadbać o siebie. Po tym, co przeżył w Katandze, stał się świadkiem, którego należy szybko wyeliminować. Kogo miał się obawiać? Mumbanzy? Wspólników Pontoizau? Jakichś innych morderców?

Z zadumy wyrwał go dźwięk telefonu. Audrey. W samą porę.

– Gdzie jesteś? – zapytał.

– Czytam akta Krieslera.

– I co?

– To, co było niesamowite dwa miesiące temu, dalej takie jest.

– Żadnych powiązań z Isabelle Barraire?

– Okaże się. Kripo leczył się psychiatrycznie, zanim wstąpił do policji. Mam listę placówek. Trzeba je porównać z tymi, przez które przewinęła się

Barraire, ale wątpię, żeby spotkali się w kaftanach bezpieczeństwa. W tym okresie ona mieszkała jeszcze w Clermont-Ferrand.

– A kiedy włamałyście się do jej gabinetu, nie znalazłyście nic podejrzanego?

– Dobrze wiesz, co znalazłyśmy.

– Ale poza wycinkami prasowymi i adresami.

– Była jeszcze teczka Anne Simoni.

– Gdzie jest?

– W teczce, którą dostałeś.

– I to już wszystko?

Po chwili namysłu Audrey dodała:

– W bibliotece było sporo książek o magii afrykańskiej.

– O *nganga*?

– Słuchaj, byłyśmy zdenerwowane – odparła z żalem. – Nie zagłębiałam się w szczegóły.

– A ten drugi adres w pobliżu ulicy Nicolo, na de la Tour?

– Jutro rano. Nie mogę robić wszystkiego jednocześnie.

Audrey znała się na swojej pracy. Wtopi się w dzień powszedni okolicy, zajrzy do kafejek, do dozorców, sklepikarzy, i zrobi to wtedy, kiedy cały ten światek budzi się do życia.

– Pracuj spokojnie – stwierdził.

– Chcesz, żebym tam wróciła? – zaproponowała.

– Gdzie?

– Do Katza.

– Chora jesteś czy co?

Audrey nie odpowiedziała. Rzeczywiście była chora i właśnie dlatego najlepsza.

– Nie ma mowy – dodał, jakby chciał przekonać samego siebie. – To zbyt ryzykowne. Kontynuuj poszukiwania zgodnie z procedurą. Musimy się zadowolić tym, co mamy. Jutro rano rozejrzysz się po okolicy, ale nie chcę już słyszeć o żadnych nielegalnych poczynaniach. Przełożeni mają cię na oku, pamiętaj o tym, do diabła!

Rozłączył się i przygotował kolejną kawę. Soki trawienne paliły mu żołądek, ale zamierzał pracować przez całą noc. Usiadł na kanapie i w końcu otworzył teczkę Isabelle Barraire.

Jego ludzie dobrze wykonali swoją pracę. Przeczesali wszystko, co mogli, szukając informacji o psychiatrze stukniętej tak samo, a może nawet bardziej niż jej pacjenci. Śledząc jej przygody (trzeba przyznać, że Isabelle celowała w obłąkańczych pomysłach), Erwan przypomniał sobie Ottona Grossa, najlepszego ucznia Zygmunta Freuda, a przy tym szaleńca i toksykomana, który umarł na ulicy, z wyziębienia. Erwana fascynował przypadek psychiatry szaleńca, dostrzegał w nim tę samą logikę, co w swoim fachu: czy można być dobrym gliną, nie mając potencjału przestępcy? Trzeba znać takie otchłanie, żeby się w nich zanurzać czy choćby bardzo do nich zbliżyć. Morvan zawsze mówił: „Oni są złem, a my szczepionką: nosimy w sobie te same jady”.

Do akt dołączono zdjęcia. Uroda Isabelle była mroczna i niepokojąca. Tajemniczy wdzięk łączył wszystkie jej podobizny, bez względu na stylizację, fryzurę, makijaż. Zaczynało się od młodej studentki o nastroszonych włosach, niespokojnym spojrzeniu i buzi lalki, po twarz martwego hermafrodyty – Érica Katza. Szczególnie uderzające było zdjęcie antropometryczne – miała na nim krótkie włosy i nazistowski mundur, którego galony widać było spod czarnej peleryny. To zdjęcie przypomniało mu film z lat siedemdziesiątych zatytułowany *Nocny portier*, opisujący sadomasochistyczne relacje niemieckiego oficera z deportowaną Żydówką. Isabelle zdawała się wcielać w obie te role. Była zarazem Charlotte Rampling i Dirkiem Bogarde’em, ofiarą i katem.

Czego ta wariatka chciała od Gaëlle? Co łączyło ją z Człowiekiem Gwoździem? Dlaczego i w jaki sposób Anne Simoni została jej pacjentką? Skąd wzięła adres Ludovica Pernauda? Faszystowski najemnik, szpieg i morderca, stosownie do czasu i potrzeb, nie należał do osób, które figurują w książce telefonicznej.

Przeszedł do dokumentacji ogólnej. Barraire’owie to znana rodzina z Clermont-Ferrand. Od pokoleń byli właścicielami pralni. Obecnie stali na czele imperium obejmującego sto dużych zakładów w całym kraju. Liczne wycinki prasowe przedstawiały ich potyczki z ekologami i związkowcami, zwłaszcza w związku z użyciem perchloroetylenu, środka wykorzystywanego do prania na sucho, rakotwórczego i szkodliwego dla środowiska.

Erwanowi opadała już głowa, bo lektura nie była pasjonująca, kiedy przypomniał sobie, że brat Isabelle, Olivier, przyjechał do Paryża po zwłoki

siostry. Przerzucił stertę papierów i znalazł numer jego komórki zanotowany na marginesie raportu.

91

Erwan miał nadzieję, że spotka się z nim osobiście, jednak z tonu głosu wywnioskował, że musi się zadowolić krótką rozmową telefoniczną. Przedstawił się, wyjaśnił, że potrzebuje pewnych informacji, aby zamknąć śledztwo w sprawie śmierci Isabelle, i uzyskał zgodę. Zdecydowanie złagodził pytania, które zamierzał zadać panu Barraire.

– Od jak dawna nie widział się pan z siostrą? – zaczął tonem pełnego zrozumienia.

– Od dziesięciu lat. Jej choroba… Powiedzmy, że zerwaliśmy wszelkie kontakty.

Kłótnia po śmierci rodziców, wspomniana przez Faviniego, na pewno dotyczyła spadku.

– Czy Isabelle miała nadal udziały w firmie?

– To nie pańska sprawa. Czego właściwie chce się pan dowiedzieć? Nie dość wam, że spowodowaliście jej śmierć?

Skoncentruj pytania. Masz mało czasu.

– Przed śmiercią – podjął Erwan ostrzejszym tonem – Isabelle wypowiedziała słowa, które mogą ją łączyć z innym naszym śledztwem.

– Moja siostra miała poważne zaburzenia psychiczne. To, co mówiła i czego nie mówiła, nie ma żadnego znaczenia… realnego znaczenia.

– A jednak była w posiadaniu bardzo precyzyjnych informacji, dość wstrząsających i dotyczących sprawy kryminalnej. Chciałbym zweryfikować z panem kilka faktów.

Znużone westchnienie pobrzmiewało niechęcią. Olivier Barraire zawsze się spodziewał, że siostra ściągnie na siebie jakąś katastrofę. Śmierć na ulicy Renard, pod kołami samochodu, w męskim przebraniu, była po prostu jedną z wielu możliwości.

– W dwa tysiące szóstym roku straciła męża i dwoje dzieci… – podjął Erwan.

– Philippe nie był już jej mężem. Rozwiedli się cztery lata wcześniej.

– Ale poinformowano państwa o wypadku?

– Oczywiście. Cała rodzina uczestniczyła w pogrzebie. Biedne dzieciaki…

Załamanie głosu skłoniło Erwana do kolejnego pytania.

– Czy Isabelle też tam była?

– Nie – przyznał Barraire po krótkim wahaniu.

– A gdzie była?

– Kto wie?

Erwan wyobraził sobie cmentarz w Lilas, grobowiec, w którym psychiatra zabalsamowała byłego męża i dzieci na modłę egipską. Nie pojawiła się na pogrzebie, ale przyszła nocą, żeby wydobyć ciała i zrobić z nimi to, co uważała za stosowne. Okazało się, że nikt nie wiedział o tych poczynaniach.

Zmiana wątku.

– Wiedział pan, że znów zaczęła… leczyć?

– Nie.

– Że praktykowała pod fałszywym nazwiskiem?

– Też nie.

– Że podawała się za mężczyznę?

– Nie! Po jakiemu mam do pana mówić? Ani ja, ani nikt z naszej rodziny nie miał z nią kontaktu. Odtrąciła nas. Nie chciała o nas słyszeć…

– Dlaczego?

Mężczyzna westchnął.

– Urojenia paranoiczki. Myślała, że chcemy ją zabić, okraść, zamknąć w domu wariatów. Co dzień coś nowego. Moja siostra była chora. To straszna choroba. Już późno, komendancie.

Właściciel firmy miał lekki owernijski akcent, ale ważniejszy był ton jego głosu, sprawiający wrażenie, że zwraca się do rozmówcy z czubka jednego z wulkanów tego regionu.

– Był pan w jej gabinecie? – spróbował jeszcze Erwan.

– Nie. Tym razem przyjechałem tylko załatwić sprawę przewozu zwłok. Zależy nam, żeby Isabelle mimo wszystko spoczęła w rodzinnym grobie w Clermont-Ferrand.

– I nie odwiedził pan jej mieszkania przy ulicy de la Tour? Nie zabrał pan jej rzeczy?

– Przyjadę po pogrzebie. Dobranoc, komendancie.

– Chwileczkę.

– Co jeszcze?

– Ostatnie pytanie. Pańska siostra wynajmowała na nazwisko Éric Katz zarówno gabinet, jak i mieszkanie. Jednak, biorąc pod uwagę majątek rodzinny, przypuszczam, że odziedziczyła w Paryżu jakąś nieruchomość albo kupiła po rozwodzie mieszkanie.

Po chwili namysłu Oliver przyznał.

– W Louveciennes jest dom, który należał do rodziców. Odziedziczyła go Isabelle. Po rozwodzie mieszkała tam, ale krótko. Miała nadzieję, że będzie tam mogła przyjmować dzieci, ale… nic z tego nie wyszło.

– Czy zechciałby pan podać mi adres? Chodzi tylko o zamknięcie śledztwa.

Kłamstwo było grubymi nićmi szyte, a rozmówca Erwana nie należał do naiwnych.

– Plecie pan bzdury. Isabelle padła ofiarą waszych brutalnych metod, a teraz usiłuje pan wydobyć ze mnie informacje o charakterze prywatnym? Nie ma pan podstaw, to bezprawne. A jeżeli zostanie wszczęte śledztwo, to przeciw wam!

Policjanci nie są wprawdzie obdarzeni nadzwyczajną władzą, mają jednak dżokera – pogróżki.

– Zapytałem o to raczej, żeby uchronić pana przed kłopotami.

– Słucham?!

– Pańska siostra wynajmowała mieszkanie przy ulicy de la Tour jako Éric Katz, posługiwała się fałszywymi dokumentami. To już wykroczenie. Wynajmowała też lokal na gabinet przy ulicy Nicolo…

– Isabelle nigdy nie została wykreślona z listy lekarzy!

– Ale nie prowadziła praktyki pod swoim nazwiskiem. To kolejne naruszenie prawa, znacznie poważniejsze. W niczyim interesie nie leży wszczynanie postępowania post mortem. Jeżeli jednak pacjenci dowiedzą się prawdy, zwrócą się przeciwko rodzinie, żądając naprawy szkód moralnych i finansowych.

– Co to ma wspólnego z Louveciennes?

– Wolałbym w raporcie podać jej oficjalny adres.

– To ulica des Domaines osiemdziesiąt dwa, tuż nad Sekwaną – rzucił w końcu Olivier. – Nie zamierza pan…

– Proszę się nie obawiać, chodzi tylko o papiery. Kiedy jednak będzie pan znowu w Paryżu, chciałbym się z panem spotkać i…

– Zobaczymy.

Barraire rozłączył się, nawet nie pytając go o dane.

Erwan najchętniej pojechałby do tej willi natychmiast – może Isabelle zostawiła tam coś naprawdę istotnego. *Skończ z tymi wygłupami*. Taka wyprawa oznaczała: włamanie do domu, nielegalne przeszukanie, kradzież rzeczy i dokumentów… Poza tym żadne zdobyte w ten sposób informacje nie mogłyby być wykorzystane jako dowody, chyba że w procesie policjanta.

Mimo to ta myśl nie dawała mu spokoju. Właściwie mógł liczyć w tej sytuacji tylko na jedną osobę – Audrey.

– Robisz sobie ze mnie jaja? – wykrztusiła, kiedy przedstawił jej swój plan przez telefon.

Tym razem musiał naprawdę ją przeprosić. Audrey tylko na to czekała, żeby podjąć kolejną przestępczą akcję – miała w sobie więcej z nocnego włóczęgi niż z odpowiedzialnej funkcjonariuszki.

– Ale nie mogę cię zabezpieczać… – uprzedził.

– Nie żartuj! Tylko się rozejrzę. Zadzwonię jutro rano.

Erwan odłożył telefon i poczuł lekki niepokój. Postanowił przejrzeć wreszcie maile albo przynajmniej nadawców. Znów było ich bardzo dużo. Teraz, po śmierci, Morvan wszędzie wzbudzał szacunek. Nawet poza granicami Francji. Włoscy ministrowie (którzy kilka dni temu uczestniczyli w pogrzebie Montefioriego), dyplomaci niemieccy, angielscy, amerykańscy, no i oczywiście cała masa osobistości z Afryki…

W tym natłoku Erwan zauważył nazwisko Trésora Mumbanzy – łajdak był naprawdę bezczelny. Z czystego masochizmu otworzył właśnie tę wiadomość. Luba w misternych zdaniach wyrażał smutek i podziw dla Morvana, założyciela imperium Coltano. Przez chwilę Erwan zapragnął wrócić do Konga tylko po to, żeby zadźgać tego świra. Ale przesłodzone słowa miały też inny sens: jeżeli Erwan będzie się trzymał wersji oficjalnej, potężny czarnuch zostawi go w spokoju. Mogą dogadać się nad grobem Padre.

Zamknął pocztę i obiecał sobie, że jak najszybciej zmieni adres, bo ten rozprzestrzeniał się szybciej niż choroby weneryczne. Maggie miała rację –

pogrzeb w ścisłym gronie rodzinnym był jedynym wyjściem i ripostą dla wszystkich tych zakłamanych drani. Scena, która niedawno go zmroziła – Morvanowie zbici w gromadkę w strugach normandzkiego deszczu – teraz wydała mu się całkiem miła.

Rozległ się dźwięk przypisany do esemesów od jego ludzi. Favini przesłał mu pełną listę miejsc, w których hospitalizowana była od 1990 roku Isabelle Barraire-Hussenot. Kliknął i rzucił okiem – po 2003 roku już nic. To dość dziwne, bo w trakcie rozwodu Isabelle pewnie była wrakiem. Gdzie się leczyła? Erwan odrzucił scenariusze godne kiepskich thrillerów z nielegalnymi klinikami i bezprawnym przetrzymywaniem w izolacji.

Skupił się na nazwiskach, datach i adresach placówek. Kobieta spędziła jedną trzecią dorosłego życia za ślepymi murami szpitali psychiatrycznych. Nie licząc czasu praktyki lekarskiej. Jej brat twierdził, że nie została wykreślona z listy lekarzy. To było do sprawdzenia, ale zapewne mówił prawdę. Lekarz, który systematycznie zmienia stronę w społeczności – raz leczy, raz jest leczony…

Erwan drgnął, natykając się na znajomy adres. Klinika Feuillantines w Chatou. To tam Morvan umieścił Gaëlle po strasznej nocy w Świętej Annie. A stary też się tam leczył. Czy mogło się zdarzyć, że zetknął się tam z Isabelle? *Daty*. Dziedziczka była hospitalizowana trzykrotnie – przez miesiąc wiosną 1996 roku, przez pięć tygodni od listopada 1997 roku, a potem przez ponad dwa miesiące w 2000 roku. Poczuł dreszcz. Nie wiedział, kiedy przebywał tam ojciec, ale warto to było sprawdzić. Zakładając, że się tam poznali, Morvana należało uznać za brakujące ogniwo między paranoiczką, która przebierała się za nazistowskiego oficera, a *nganga* mordującym kobiety. *Niesłychane*.

Tak czy inaczej, Barraire i Morvan mieli wspólnych psychiatrów, co mogło wskazywać na inne powiązania, pośrednie i dalekie, ale Erwan brał pod uwagę każdą ewentualność.

Wybrał numer. Trafił na pielęgniarkę dyżurną – było już po północy. Przedstawił się i zażądał, aby natychmiast podano mu pełną listę lekarzy pracujących w Feuillantines w interesującym go okresie.

– To niemożliwe, panie komendancie – odparł słodki głosik pielęgniarki, dla której ten telefon był niespodziewaną rozrywką. – Niczego nie mogę panu przekazać telefonicznie i doskonale pan o tym wie. Radzę zadzwonić rano i zwrócić się do dyrektora…

– Zaraz przyjadę.

92

W deszczu volvo D13 sunęło w stronę lasów Saint-Germain-en-Laye jak szara rzeka ku szmaragdowemu morzu. Miał wrażenie, że widział już tę scenę. Może kiedy szukał siostry w Bièvres, na tej satanistycznej imprezie. Albo kiedy jechał do kliniki de la Vallée w Szwajcarii, tropiąc fanatyków, którzy przeszczepili sobie szpik kostny Człowieka Gwoździa.

Nie myślał już ani o śledztwie, ani o Afryce. Nie miał już siły. Jak oszołomiony bokser w szatni, który nawet nie wie, czy wygrał, czy przegrał. Nie myślał też o śmierci ojca. Zabrakło mu energii. W tej chwili obok niego przemykały tylko cienie. Obawy, przeczucia, niejasne podszepty intuicji. Znów podążał śladem ojca. Znów nazwisko posłuży mu za klucz, którym otworzy kolejne drzwi…

Za wycieraczkami strugi deszczu uderzały w przycięte w kostkę przydrożne drzewa. Niewiele widział, zdał się na wskazówki GPS, jak ślepiec, który podąża za psem przewodnikiem. Od dłuższego czasu skręcało go z głodu. Zatrzymał się na stacji benzynowej, napełnił bak i kupił batonik czekoladowy. Rozkoszna słodycz przyprawiła go o zawrót głowy – nie zobojętniał przynajmniej na takie doznania.

Znów GPS. Za Rueil-Malmaison zjechał z drogi krajowej na wysoki brzeg Sekwany i dotarł do labiryntu uliczek między domami i pełnymi drzew ogrodami. Klinika Feuillantines mieściła się przy ulicy de l’Asile. *Trudno to lepiej wymyślić*. Zatrzymał się przed ogrodzeniem z czarnej blachy zwieńczonym fryzem z metalowych kolców. Wolał zaparkować na zewnątrz, żeby nie bawić się o północy w oczekiwanego gościa.

Zadzwonił do furtki przylegającej do dwuskrzydłowej bramy – dla tych, którzy przybywali z dużym szumem. W progu zabłysło światło, a z głośnika popłynął kobiecy głos:

– To pan jest tym policjantem, który niedawno dzwonił?

Erwan przypomniał sobie słodki ton pielęgniarki i zachował się jak uwodziciel.

– Zawsze dotrzymuję słowa – powiedział, pokazując do kamery odznakę.

Kobieta zaśmiała się i otworzyła furtkę. Idąc alejką oświetloną reflektorami ukrytymi w trawniku, nastrajał się tak, żeby przekonać dziewczynę – najprawdopodobniej samą na dyżurze, chyba że wystraszona wezwała policjantów z Chatou. Trójkolorowa legitymacja nie była wystarczającym argumentem, bo ze względu na klientelę do kliniki z pewnością próbowało wchodzić wielu paparazzich, nawet przebranych za policjantów. Jedynym dodatkowym atutem był więc urok osobisty.

W końcu alei zobaczył duży budynek z piaskowca. Wieżyczki i blanki sprawiały, że przypominał nieco zamek.

Wnętrze zdecydowanie odbiegało od tego stylu – nieskazitelne, nowoczesne, oślepiające. Kobieta w recepcji czekała, cudownie uśmiechnięta.

– Czego dokładnie pan potrzebuje?

– Chciałbym przejrzeć rejestry z lat dziewięćdziesiątych.

– Ma pan nakaz rewizycji? Cokolwiek?

Erwan uśmiechnął się. Cywile często używają niewłaściwych terminów, które usłyszeli w jakimś serialu. Czasem jest to zabawne, czasem irytujące. *Postaw na szczerość*.

– Nie mam żadnego nakazu ani nawet solidnej podstawy. Nie prowadzę jeszcze oficjalnego śledztwa. Mogę panią zapewnić, że ta sprawa w żadnej mierze nie dotyczy obecnych pacjentów. Interesują mnie fakty z lat dziewięćdziesiątych i z początku następnego stulecia.

– A jakie fakty? – zapytała, pochylając się nad blatem i błyskając bujnym biustem.

Nie miał nastroju na zaloty, wolał trzymać się roli, którą najlepiej znał – silnego gliny, który nie ma czasu do stracenia.

– Co najmniej tuzin morderstw z torturami, okaleczeniami, patroszeniem i kradzieżą narządów. Zabójca używa gwoździ i odłamków szkła, żeby zrobić z ofiary afrykański fetysz. Jeżeli chce pani poznać więcej szczegółów, będę zmuszony zaprosić panią do trzydziestki szóstki.

Kobieta pobladła i położyła rękę na piersi. Wystarczyło jeszcze trochę przykręcić, a byłaby ugotowana.

– Morderca, o którym mówię, zostawił naśladowców, a nie mogę wykluczyć, że niektórzy z nich gościli u was. Powtarzam: rzucę tylko okiem na rejestry i znikam.

Pielęgniarka już wstała – na szczęście była bystra.

– Zapraszam do biurka. Z mojego komputera można to wszystko sprawdzić.

Zaczął od łączonego poszukiwania „Isabelle Barraire-Hussenot, Grégoire Morvan” – brak wyników. Spróbował jeszcze „Isabelle Barraire”, a potem „Isabelle Hussenot”. W skojarzeniu z jego ojcem nic nie uzyskał. Padre i pani psychiatra nie przebywali równocześnie w Feuillantines.

Sprawdził więc pobyty Isabelle. Daty Faviniego potwierdziły się – maj 1996 roku, październik 1997 roku, lipiec 2000 roku. Erwan porównał je z historią małżeństwa. Pierwsza hospitalizacja na prośbę osoby trzeciej – Isabelle zamknięto siłą – nastąpiła kilka miesięcy po narodzinach starszego syna Hugo. Kolejna, także wbrew woli pacjentki, rok przed urodzeniem Noah. Ostatnie takie leczenie nastąpiło w schyłkowej fazie związku, dwa lata przed oficjalnym rozwodem.

Przechodząc do Grégoire’a, Erwan zauważył, że komputer proponuje mu inne powiązania z nazwiskiem Hussenot. Nie wśród pacjentów, ale wśród psychiatrów. Jak mógł o tym zapomnieć? Philippe był dyrektorem Feuillantines. Wbrew wszelkim zasadom etycznym zamknął tu własną żonę. Na razie Erwan mógł wybierać, czy empatyczny lekarz pragnął mieć żonę przy sobie, czy też brutal więził ją, powodowany sadyzmem, zazdrością, paranoją.

Ale nadal nie wpadł na trop powiązań z Człowiekiem Gwoździem.

Przed wyjściem wpisał jeszcze nazwisko ojca i uzyskał dwa wyniki – przebywał tu w 2004 i 2007 roku (Erwan nie zapamiętał żadnej z tych jego nieobecności), czyli po okresie Barraire-Hussenot. Nie mogli spotkać się w Chatou.

Pierwsza w nocy. Właśnie teraz Audrey była o kilometr czy dwa stąd, w Louveciennes, i myszkowała po willi Barraire’ów. Czy powinien do niej dołączyć? Rozsądniej będzie dać jej spokój i pozwolić działać naturze.

Sprawdzę jeszcze jedno i wychodzę. Wrócił na stronę kliniki, żeby przejrzeć informacje ogólne – historię właścicieli, działalność. Zdjęcie założycieli. Kliknął i aż odskoczył. W życiu policjanta zdarzają się chwile prawdziwej radości, kiedy prowadzone po omacku poszukiwania wieńczy sukces. Klinikę Feuillantines założyli w 1994 roku Philippe Hussenot i… Jean-Louis Lassay.

Erwan nie mógł marzyć o bardziej oczywistym powiązaniu. Jean-Louis Lassay, obecny dyrektor Instytutu Charcota, gdzie dokonał żywota Thierry Pharabot… Scenariusz był oczywisty. Lassay znał Philippe'a Hussenota, a także jego małżonkę Isabelle. Z pewnością utrzymywali kontakty również po odejściu Lassaya, który nie figurował na listach pracowników od 1998 roku. Psychotyczna Isabelle usłyszała o Człowieku Gwoździu od samego Lassaya.

Postać dyrektora Instytutu Charcota, wysokiego playboya o wyglądzie angielskiego studenta (mimo że był dobrze po sześćdziesiątce), stanęła mu przed oczyma. Nie sądził, że spotkają się ponownie po tak krótkiej przerwie. Już idąc do samochodu, szukał lotów do Brestu na jutrzejszy ranek. Philippe Hussenot i Isabelle Barraire nie żyli, więc jedyną osobą, która chodziła jeszcze po tej ziemi i mogła odpowiedzieć na jego pytania, był Lassay.

93

– Żeby udoskonalić uchwyt broni, zamontowałem nakładkę i poszerzyłem wylot komory nabojowej. To broń dla prawo- i leworęcznych.

Gérard Combe umówił się z nim o ósmej rano na parkingu w Épinay-sur-Seine. Loïc z trudem zwlókł się z łóżka, bo w nocy nie mógł zmrużyć oka. Szykując się do pierwszej lekcji strzelania, nie wziął żadnego leku – o świcie musiał przecież być w dobrej formie. W rezultacie zdrzemnął się godzinę czy dwie, a teraz miał głowę jak balon.

Nauczyciel manipulował półautomatycznym pistoletem, jakby miał w ręku ósmy cud świata. Nie podał dokładnej nazwy modelu, ale Loïc nie odważył się o to zapytać. Jako brat Erwana był traktowany jak osoba choć z grubsza obeznana z tematem.

– Polerowałem każdą część papierem do karoserii nasączonym olejem, żeby mechanizm działał miękko.

Loïc słuchał w roztargnieniu. Zresztą słowa, które tu padały, niewiele dla niego znaczyły: „okno wyrzutowe łusek”, „język spustowy”, „kurek zewnętrzny”…

W końcu Gérard spojrzał mu prosto w oczy, jakby zamierzał wyjawić mu sekret Graala:

– Najważniejsze, żeby dopracować każdy zwój sprężyny. A potem naoliwić, wyregulować, oddać setki strzałów, oliwić… Dopiero wtedy można mówić o wprawie.

Żeby zapobiec nieporozumieniom, Loïc postanowił przyznać się do całkowitej ignorancji:

– A ile strzałów oddaje ten typ broni?

Ekspert wytrzeszczył oczy, bo nagle zrozumiał, że od początku mówił językiem, którego rozmówca nie zna.

– Przejdźmy do praktyki – odparł z mniejszym zapałem.

Znajdowali się w długim, niskim bunkrze o ścianach z surowego betonu. Loïc dokładnie tak wyobrażał sobie to miejsce. Z odległości kilkudziesięciu

metrów straszyły go cele – czarne sylwetki ludzkie na białym tle, ustawione w pozycji strzeleckiej.

Combe nie strzępił języka. Kilkoma gestami pokazał uczniowi, jak uzbroić broń, wycelować i strzelić, a kiedy już magazynek był pusty – jak bezpiecznie oddać mu broń.

Trzymając pistolet w ręce, Loïc mógł wreszcie sam zgromadzić trochę informacji – logo na rękojeści, pod nim napis R BERETTA, napisy na lufie: US 9 mm M9-P BERETTA – 65490, czyli zapewne „9 mm Parabellum". Z wagi wywnioskował, że broni nie wykonano z polimeru, ale ze stali – jej ciężar przekraczał chyba kilogram. Przede wszystkim jednak jej kształt kojarzył mu się z wieloma filmami akcji, które oglądał jako chłopiec. Poza tym ta broń była mu znana także dlatego, że takiego pistoletu używał ojciec i zawsze odkładał go do gabinetu, zanim usiadł do kolacji. Czasami zdarzało się jednak, że sięgał po niego przy stole, grożąc, że zabije żonę, jeżeli się nie zamknie. *To budzi wspomnienia*…

Loïc nie chciał słuchawek ochronnych. Poszedł na wskazane miejsce i zajął „pozycję gotowości". O ile dobrze zrozumiał, Combe służył w brygadach interwencyjnych typu RAID. Terminologia, której używał, nie miała nic wspólnego ze sportem – mówił tylko o „wrogim kontakcie", „decyzji wkroczenia", „wieżyczce czołgu". Świetnie – właśnie o to mu chodziło.

Ustawić lufę pod kątem czterdziestu pięciu stopni do ziemi. Stanąć na prawdopodobnej linii strzału. Odbezpieczyć i wyciągnąć palec wskazujący wzdłuż kabłąka spustu. Na znak Gérarda uzbroił zamek i stanął twarzą do celów. Pozycja *weawer*. Najlepsza do nowych technik strzelania bojowego. Broń trzymana oburącz. Pozycja trzy czwarte. Ręka mocno wyprężona, druga wspierająca.

Trener rzucił jeszcze kilka wskazówek, ale Loïc już nacisnął na spust. Nie posłuchał żadnego z zaleceń Combe'a. Nie wstrzymał oddechu. Nie zablokował postawy. Przeciwnie – miękko przyjmował siłę odrzutu, a potem wyciągnął ręce i znowu strzelał. Każda detonacja wydawała się kruszyć rzeczywistość i robić w niej czarny, dymiący wyłom. Uwielbiał to. Ta dziura była jak narkotyk. Wymknąć się raz na zawsze wyjściem dla artystów…

Loïc był znacznie silniejszy, niż się wydawało. Dziesięć lat intensywnego uprawiania żeglarstwa wyrzeźbiło jego ciało. Był jak atleta, bo chociaż

zmagania z heroiną upodobniły go do kościotrupa, to jednak struktura mięśni przetrwała w doskonałym stanie.

Broń pulsowała pod jego palcami i nawet nie wiedział, w co tak naprawdę celuje. W niesprawiedliwość, która zabiła jego ojca? Na pewno nie. W przejmujący ból głodu? Też nie. W ohydną przemoc, której doznał niemal na oczach własnych dzieci? Nie. Strzelał do swojej roli młodszego brata, do miejsca tego drugiego, nadającego się do podrzędnych obowiązków i zadań. Strzelał do brata, który zadzwonił do niego wczoraj wieczorem, żeby zobowiązać go do kontaktu z notariuszem i zajęcia się pogrzebem w Bréhat. *Samym gównem*.

Rodzina stała się dla niego tak nieznośna, jak nigdy dotąd. Erwan już uważał się za głowę rodu. Matka, która przez całe życie pozwalała się katować, wczuła się w rolę zrozpaczonej wdowy. Tylko młodsza siostra zasługiwała w oczach Loïca na życzliwość i sympatię – tak piękna, tak rozbita psychicznie, pełna nienawiści, była tą jedyną, która czuwała nad nim, kiedy wymiotował na głodzie i wył z tęsknoty za kokainą.

Odgłos pustego magazynka przyhamował jego szał. Trochę się naprężył – bardziej zebrany w sobie, bardziej zaangażowany, pochylił się do przodu, wyciągając prawą rękę, a lewą cofając. Uśmiechał się. Miał wrażenie, że robi to od urodzenia.

Zapadła cisza, którą mąciło tylko dogasające echo wystrzałów. Czuł jeszcze w mięśniach konwulsje broni. Było mu gorąco, stał pusty jak jego magazynek i było mu dobrze. Minęła dłuższa chwila, zanim zauważył, że Gérard rozdziawił usta, kilka kolejnych, zanim zrozumiał przyczynę tego osłupienia. Wbił wszystkie kule, czyli co najmniej piętnaście, w środek celu. Tors kartonowego człowieka stał się zwęgloną dziurą.

– Następny – rozkazał nowicjusz.

Combe ostrożnie chwycił pistolet, wyjął magazynek i zastąpił go nowym. Loïc obserwował instruktora – jego rola mistrza prysnęła jak bańka mydlana, kombatant zastanawiał się pewnie, czy ten spryciarz zadrwił sobie z niego. Morvan wyszkolony przez ojca. Ale stary nigdy nie rozmawiał ze swoim młodszym synem o broni ani nie zachęcał go do oswojenia się z nią. Bo choć Padre należał do najlepszych strzelców swojego pokolenia, to szczerze nienawidził broni palnej. Ironia losu sprawiła, że Loïc, o dziwo, odziedziczył talent rodzinny.

Podając mu berettę, Combe podejrzliwie mu się przyglądał. Loïc wziął pistolet lewą ręką i uśmiechnął się do niego. Teraz to on miał udzielić lekcji. Zdecydowanym ruchem prawej ręki załadował broń i zaczął strzelać jeszcze szybciej, nie przerywając, naciskając na spust szesnaście razy, zawsze w kierunku nowej tarczy. Wsłuchiwał się w swoje ciało zespolone z pistoletem. Ręka go paliła, dzwoniło mu w uszach. Cały skupił się na niszczycielskim ogniu. To niesamowite doznanie znacznie przerastało jego kruche człowieczeństwo.

On, były alkoholik, narkoman, yuppie, buddysta, był stworzony właśnie do tego. Geny Morvanów żyły w nim i ujawniały swoją prawdziwą naturę.

Pusty magazynek. Serce celu wydarte. Rozwścieczony Gérard wyrwał mu berettę z rąk.

– Nie lubię, kiedy się ze mnie kpi.

– Nie kpię z pana.

Instruktor sprawdził broń, a potem włożył ją do pudła i uniósł głowę.

– Doprawdy? Może jeszcze mi powiesz, że nigdy nie strzelałeś?

– Nigdy.

– I za każdym razem trafiasz? I prawą, i lewą ręką, tak?

– Jestem oburęczny.

– A ja jestem Spidermanem.

Loïc dotknął palcami pudła z logo BERETTA.

– Ile za pistolet, walizeczkę i kilka magazynków?

94

Erwan uprzedził przełożonych, że pogrzeb Grégoire’a Morvana odbędzie się jednak w Bretanii, a on musi się tam udać, żeby dopilnować detali. Prawdę mówiąc, nie wiedział, po co jedzie do Instytutu Charcota, ale perspektywa ponownego spotkania z profesorem Lassayem warta była nadłożenia drogi, pod warunkiem że lekarz zechce go przyjąć.

Tymczasem tkwił w samolocie, wciśnięty w za wąski fotel i oparty o okno, myśląc o kimś innym – o Sofii. Odkąd wrócił z Afryki, nie odezwała się do niego. Nie dzwoniła, nie wysłała nawet esemesa z kondolencjami. Odruchowo wyjął komórkę i wpatrywał się w nią jak w kostkę plastiku z detonatorem. Może powinien zrobić pierwszy krok? Zawahał się, ale w końcu zapiekła męska duma, ta, która niweczy większość trudnych związków, przyszła mu z pomocą. Wykluczone. Przecież to on właśnie stracił ojca.

Już miał schować telefon, kiedy przypomniał sobie, że i ona pochowała ojca, który zginął przed Morvanem. A on nie odezwał się ani słowem, nie zadzwonił. Nawet nie przeszło mu to przez myśl. Co prawda mógł się usprawiedliwiać, bo znalazł się wtedy w ogniu walki, między javelinami a czarnymi rzeźnikami. Ale dlaczego milczał po powrocie?

Znów się wahał. Czy nie za późno się obudził? Aż trudno uwierzyć, że facet w jego wieku miota się jak pryszczaty nastolatek. Ale w gruncie rzeczy w relacjach z kobietami nigdy nie wyszedł poza ten etap.

I po tym fatalistycznym stwierdzeniu schował telefon jak okruchy zamiecione pod dywan, przywołując w myślach wszystko, co mogłoby posłużyć mu za wymówkę – śmierć starego, kolejną tajemnicę Człowieka Gwoździa, traumatyczne przeżycia w Kongu, szokujące informacje o jego pochodzeniu. Wszystko, byle tylko nie wyciągać ręki, która mogłaby zostać odepchnięta.

Żeby definitywnie skończyć z rozterkami, podszedł do kokpitu i zajął się przeglądaniem porannej prasy. Na pierwszych stronach wszystkich gazet

można było zobaczyć zdjęcia Morvana. Artykuły przypominały jego karierę, mówiły o oddaniu Francji, ale także o piekielnej aurze, jaka otaczała jego postać. Zręcznie omijano kwestię okoliczności śmierci supergliny – nie znał ich nikt, a nazwa „Kongo” tworzyła zasłonę dymną. Wszyscy jednak wracali do jego ostatniej akcji z bronią w ręku w Forcie Chabrol w Locquirec, gdzie ten sześćdziesięciosiedmiolatek zabił w pojedynkę trzech szaleńców uzbrojonych jak komandosi.

Erwan czytał te wspomnienia z mieszanymi uczuciami. Kryła się za nimi niesprawiedliwość wobec ich rodziny, bo Morvan był zwykłym na pół obłąkanym łotrem, który przez długie lata pastwił się nad żoną i wprawiał w przerażenie swoje dzieci. Zakłamywały też to, co naprawdę zrobił dla swojego kraju – połowę z jego osiągnięć należało uznać za knowania, szantaże albo morderstwa, choć oczywiście dokonał równie wielu bohaterskich czynów, zawsze kierując się racją stanu i działając w pełnej tajemnicy. Brudził sobie ręce, żeby ratować honor Francji. Nurzał się w błocie, żeby odkupić grzechy polityków, ich zbrodnie, ich kłamstwa, ich kombinacje. Morvan, ten szalony olbrzym, postrzegał samego siebie jako męczennika Piątej Republiki.

Ale o tym nie napisano, rzecz jasna, ani słowa. Stary byłby zadowolony z tych przemilczeń. O oddaniu – jeśli ma ono być bezgraniczne – nikt nie może wiedzieć. Grégoire ureguluje rachunki już w zaświatach, jakikolwiek jest sąd, przed którym tam stanie. Zresztą jego najcięższą zbrodnią (a w każdym razie jedyną, za którą gotów byłby odpowiedzieć) jest zabicie Cathy Fontany. A tej zbrodni wcale nie popełnił.

– Proszę wracać na miejsce. Za chwilę lądujemy.

Erwan przeprosił z uśmiechem na ustach. Cieszył się, że jest daleko od Paryża, anonimowy pośród podróżujących służbowo pasażerów, na których już czekano w salach narad o plastikowych ścianach i wytartych wykładzinach. Biuro, do którego się wybierał, nie wyglądało lepiej.

Na płycie czekał go szok: deszcz, chłód, beton. Przykry powrót. Trudno mu było uwierzyć, że to już czwarty raz ląduje w Breście. Podobnie jak inni pasażerowie, wyciągnął telefon i sprawdził wiadomości – nic ważnego. A przynajmniej żadnej wiadomości od współpracowników. Nawet od Audrey. Jej milczenie zaczynało go niepokoić. Czy nie znalazła w Louveciennes nic godnego uwagi? A może miała jakieś problemy? Albo

po prostu od rana zajęła się zbieraniem informacji w pobliżu ulicy de la Tour?

Właśnie zamierzał do niej zadzwonić, kiedy zobaczył roztargnioną twarz pułkownika Verny’ego za szybą hali przylotów. Wciąż jeszcze spod golfu wysuwał się bandaż, który miał na szyi – w Locquirec kula trafiła go tuż nad kołnierzem kamizelki kuloodpornej.

Widząc go tu, jak zawsze w czarnym nieprzemakalnym płaszczu, Erwan poczuł silny smutek – był ostatnim z trzech muszkieterów, bo Archambault zginął podczas szturmu, a Le Guen ze sztabu w Kaerverec miał teraz inne zajęcia. Tylko żandarm wiernie trwał na posterunku. Erwan szybko napisał ZADZWOŃ DO MNIE i wysłał esemesa do Audrey, a potem schował telefon do kieszeni.

Z niepewnego uśmiechu Verny’ego Erwan wywnioskował, że oficer liczy się z najgorszym (nie znał powodu tej nagłej wizyty paryżanina). Krótki uścisk dłoni. Banalna pogawędka o podróży i pogodzie. Tym razem nie weszli na kawę do piekarenki. Rozmowa miała się odbyć w samochodzie, w drodze do Instytutu Charcota.

Erwan zapamiętał szaro-zielony pejzaż, dziś jednak ujrzał jego wersję zimową, jednolicie szarą. Strugi deszczu spadały na równiny, zdawałoby się – spłukane aż do skalnego podłoża. Zima usunęła już rdzawe barwy jesieni, a teraz polerowała metal strumieniami wody.

W kilka sekund streścił sprawę Barraire-Katz. Niby nic, a jednak wiele. Kolejny zaciemniony obszar na tym i tak już niezbyt wyraźnym obrazie. Należało dokładniej wyjaśnić tę kwestię. Verny nic nie mówił, wpatrzony w wycieraczki, które tańczyły z deszczem. Wreszcie na równinie pojawiły się ślepe ściany instytutu i otaczające go ogrodzenie.

– Uprzedził ich pan o naszym przyjeździe?

– Nie – odparł Verny. – A powinienem?

– Wręcz przeciwnie.

Przeszli kontrolę bezpieczeństwa, okazując broń i dokumenty pierwszemu ze strażników, a po chwili znaleźli się przed bramą instytutu.

Verny przerwał milczenie dopiero, kiedy przekraczali próg ze stali.

– Czego właściwie szukamy?

– Nie mam pojęcia, ale bardziej niż na odpowiedź liczę na kropkę nad i.

95

– Jak poznał pan Philippe’a Hussenota?

– Byłem jego wykładowcą na Uniwersytecie Paris-Descartes, uczyłem go terapii kognitywnych.

– W którym to było roku?

– W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym albo osiemdziesiątym siódmym, nie pamiętam.

– Ile pan miał wtedy lat?

– Koło czterdziestki.

Jean-Louis Lassay kazał im czekać prawie godzinę. Twarde prawo wojny – Erwan mógł złożyć psychiatrze najwyżej „przyjacielską wizytę”. Siedzieli w jego ciasnym gabinecie, pełnym dokumentów i książek, które wznosiły się jak ściany, parawany i kolumny w każdym kącie pomieszczenia.

Lekarz dziś też pojawił się ubrany jak angielski student – pod rozchylonym białym kitlem miał kamizelkę w romby i oksfordzką koszulę, co tworzyło dziwne połączenie z jego siwymi włosami i twarzą starego playboya. Z niezrozumiałego powodu psychiatra nie zaprosił do gabinetu Verny’ego.

– Po kilku latach założyliście razem klinikę Feuillantines w Chatou. Skąd wzięliście na to fundusze?

– Tym zajął się Philippe. A przy moim doświadczeniu banki udzieliły nam kredytów.

– A skąd Hussenot wziął pieniądze? Od żony, Isabelle Barraire?

Lassay mimowolnie się uśmiechnął: to nazwisko pozwoliło mu zrozumieć powody przesłuchania – to Isabelle była przyczyną skandalu.

– Isabelle, tak… początkowo należała do kierownictwa kliniki.

Ironia losu – psychiatrzy założyli klinikę dzięki pieniądzom kobiety, która stała się jedną z jej stałych pacjentek.

– Byli już małżeństwem?

– Tak.

– Odszedł pan z kliniki u schyłku lat dziewięćdziesiątych. Dlaczego?

– Nie mogliśmy się dogadać co do wizji kliniki. Philippe zamieniał Feuillantines w azyl dla znerwicowanych bogaczy. Nie interesował mnie tego typu biznes.

Erwan wskazał ręką okno – za zielonym gazonem widać było druty kolczaste, zbrojone drzwi i szyby pancerne.

– Wolał pan kryminalistów?

– Owszem.

– Sprzedał pan swoje udziały?

– Kiedy odchodziłem, klinika była niewiele warta. Dziś jest znanym instytutem.

– Przeniósł się pan tu?

– Nie, kierowałem różnymi publicznymi zakładami psychiatrycznymi. W dwa tysiące piątym roku zaproponowano mi to stanowisko. To była wielka szansa.

Erwan powstrzymał się od zrobienia uszczypliwej uwagi na temat obłąkanych morderców. *Nie rób z siebie agresywnego durnia*.

– Proszę mi opowiedzieć o Isabelle. Dobrze ją pan znał?

– Tak. Pod koniec lat osiemdziesiątych byliśmy przyjaciółmi.

Erwan, choć nie wiedział dlaczego, pomyślał o trójkącie miłosnym.

– Jest pan żonaty? – zapytał pod wpływem tej myśli.

– Nie. Nie rozumiem, do czego pan zmierza.

– Wróćmy do Hussenotów. Czy początkowo ich małżeństwo dobrze się układało?

– Nie powiedziałbym. Kochali się, ale choroba umysłowa Isabelle nastręczała zbyt wielu problemów. Isabelle to uosobienie stereotypu psychiatry zaburzonego tak jak jego pacjenci. Dlaczego pan o to pyta?

Lassay przyjął Erwana bez najmniejszych oporów, zasłużył więc, by powiedzieć mu prawdę.

– Isabelle Barraire zmarła nocą z siedemnastego na osiemnastego listopada.

– Zamordowano ją?

– Skąd ten pomysł?

– Przecież pracuje pan w brygadzie kryminalnej…

– Potrącił ją samochód. To się stało w pobliżu Beaubourgu w Paryżu.

– Samobójstwo?

– Nie. Zwykły wypadek.

– Jest pan pewien?

– Tak. I nie przyjechałem tu w tej sprawie – mimowolnie przybrał ton autorytarnego policjanta. – Powróćmy do zdrowia psychicznego Isabelle. Z informacji, jakie posiadam, wynika, że była wielokrotnie hospitalizowana w Feuillantines.

– Sprzeciwiałem się temu. To nie godzi się z… deontologią. Ale Philippe mnie przekonał. Powtarzał, że jeżeli będzie ją miał blisko siebie, lepiej ją wyleczy. Nie tracił nadziei, że Isabelle zdoła wrócić do zawodu.

– Ale nie udało mu się jej pomóc.

– Isabelle cierpiała na różne psychozy, jednak najpoważniejszy problem stanowiła schizofrenia paranoidalna.

– Jak w przypadku Thierry’ego Pharabota?

– Dlaczego pan o nim mówi?

– Dojdziemy do tego. Proszę mówić dalej.

– Leczenie przynosiło krótkotrwałe efekty. Zresztą Isabelle przeważnie nie stosowała się do zaleceń.

– Hussenot nie wykazał się przenikliwością jako psychiatra, skoro ożenił się z taką kobietą.

– Co pan sugeruje? Że kochać można tylko ludzi w pełni zdrowia?

– Dobrze pan wie, co mam na myśli. Philippe powinien zdawać sobie sprawę, że życie z Isabelle będzie nie do zniesienia.

– Wierzył… – W jego głosie pobrzmiewała rezygnacja. – Zawsze staramy się wierzyć…

– Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, powiedział pan, że nie da się wyleczyć choroby umysłowej.

– To prawda. Można liczyć tylko na… poprawę.

– Dlaczego w takim razie miał z nią dzieci?

– Z tego samego powodu. Miał nadzieję, że wszystko jakoś się ułoży.

– Myślał, że macierzyństwo ją uzdrowi?

– Nigdy w życiu. Jesteśmy psychiatrami. Płacą nam za to, że nie wierzymy w takie bzdury – obruszył się, nagle zaskakująco ostry, jakby kiedyś, dawno temu, sam padł ofiarą takich poglądów. – Nie. Sądził po prostu, że razem zdołają stworzyć rodzinę, on…

Elegant nagle zamilkł.

– Co ma znaczyć to przesłuchanie? – krzyknął, odpychając leżący na biurku notes. – Powie mi pan w końcu, dlaczego ciągnie mnie pan za język,

wypytując o ludzi, których nie widziałem od ponad dziesięciu lat?

Erwan wolałby uniknąć wyjaśnień, ale jego pozycja była na to zbyt słaba, a miał jeszcze sporo pytań. Odkaszlnął i zdecydował się wprowadzić psychiatrę w sprawę.

– Zanim doszło do wypadku, Isabelle podawała się za Érica Katza i prowadziła gabinet psychoanalityczny w Paryżu. Chodziła w męskim przebraniu. Przejęła pacjentów byłego męża. Być może nawet w jakimś stopniu uważała się za niego. Dziwi to pana?

– Nie.

– Jak można pozwalać takim ludziom swobodnie chodzić po ulicach?

– Nie zamierzam wdawać się z panem w tego rodzaju dyskusje – odparł ostro Lassay, patrząc na niego z góry. – Pozwala pan sobie oceniać stulecie badań, doświadczeń, wiedzy psychiatrycznej i…

Erwan uśmiechnął się – już miał argumenty.

– Nawiasem mówiąc, ustaliliśmy, że Isabelle, która nie pojawiła się na pogrzebie byłego męża i dzieci, przyszła na cmentarz po ceremonii i ekshumowała zwłoki.

– Co pan opowiada?

– Usunęła wnętrzności, a następnie zabalsamowała je na egipską modłę, namaszczając olejkami i zawijając taśmami płótna. Regularnie odwiedzała zmarłych w grobowcu na cmentarzu w Lilas.

Psychiatra ukrył twarz w dłoniach z teatralną emfazą.

– Dlaczego mi pan o tym opowiada? – zapytał, unosząc głowę.

– Kiedy widział pan Isabelle Barraire po raz ostatni?

– Około dwutysięcznego roku, kiedy się rozwodzili…

To trwało tylko ułamek sekundy, ale Lassay się zawahał. Kłamał i właśnie za tym kłamstwem kryła się informacja, po którą przyjechał tu Erwan.

– Gdzie się wtedy leczyła?

– Ależ… nie mam pojęcia.

Erwan nagle zrozumiał, co się wydarzyło: po Hussenocie, który trzymał małżonkę we własnej klinice, Lassay przyjął ją do placówki, którą kierował.

– Doskonale pan wie – krzyknął, uderzając ręką w blat biurka – bo to pan ją leczył. Tu, w Instytucie Charcota!

Lassay wcisnął się w fotel i poczerwieniał. Erwan znalazł powiązanie wariatki w nazistowskim mundurze z białym *nganga*.

– Philippe poprosił mnie po rozwodzie, żebym się nią zajął – szepnął po chwili. – Robiła się niebezpieczna dla dzieci.

– Kiedy tu trafiła?

– W dwa tysiące trzecim roku.

– Jak długo pozostała w instytucie?

– Wydaje mi się, że… trzy lata.

Erwan osłupiał – nic dziwnego, że cała ta gromadka dobrze się znała.

– Odwiedzała Thierry’ego Pharabota?

– Oczywiście, że nie!

Lassay poderwał się z miejsca, dając wyraz oburzeniu. Psychiatra był naprawdę komediantem. Kilka sekund upłynęło w trochę śmiesznej ciszy.

– Już panu mówiłem – podjął spokojniej – że Pharabot nie miał kontaktu z innymi pacjentami. Zresztą Isabelle nie trafiła na oddział chorych niebezpiecznych. Przez cały czas przebywała w budynku szpitalnym, tu, gdzie teraz jesteśmy.

Kolejne kłamstwo. *Trzeba go przycisnąć*.

– Doktorze, mamy dowód, że Isabelle znała Thierry’ego Pharabota. A z całą pewnością człowieka, który we wrześniu mordował w Paryżu.

– To niemożliwe.

– Im szybciej powie mi pan prawdę, tym szybciej położymy kres złu.

Lassay znowu wcisnął się w fotel, prawie znikając za stosem papierów.

– Doktorze – powtórzył głośniej Erwan – prędzej czy później uzyskam te informacje. Lepiej nie traćmy czasu. Niech to pan od razu powie mi prawdę. Uznamy to za dowód pańskiej dobrej woli.

– O co dokładnie mnie pan oskarża?

– Jeszcze o nic, ale jeżeli nie przestanie pan wodzić mnie za nos, zarzucę panu współudział w zabójstwach.

Lekarz pokręcił głową, zagubiony.

– W naszej dziedzinie badania posuwają się czasem bardzo szybko. Pewne substancje…

– Darujmy sobie dygresje.

– Ale to istota sprawy. Dzięki lekom u Isabelle nastąpiła poprawa i w końcu… w końcu pozwoliłem jej ze mną pracować.

Erwan nie krył zaskoczenia.

– Pracowała z panem w Instytucie Charcota?

– Zupełnie nieformalnie. Ale jej współpraca przynosiła doskonałe skutki. Isabelle była wybitnym psychiatrą. Miała podejście…

– I tak poznała Pharabota?

– Nie byłem z nią przez cały czas. – Psychiatra uchylił się od odpowiedzi. – Thierry był szczególnym przypadkiem, tylko nieliczni pracownicy mieli prawo się do niego zbliżać. Być może, korzystając z odwiedzin…

Lassay usiłował rzucić przynętę, ale Erwan nie dał się złapać. Lekarz podjął niedopuszczalne ryzyko. Doprowadzenie do spotkania Barraire z Pharabotem było jak zapalenie zapałki nad beczką prochu.

Od tej chwili wszystko było możliwe. Fascynacja Isabelle Człowiekiem Gwoździem. Przebudzenie bestii na widok pięknej kobiety. Wtajemniczenie w magię Yombe. Knowania fetyszystów za murami instytutu. Można było posunąć się jeszcze dalej. Może Kripo nawiązał z nią kontakt, żeby przekazywać wiadomości Pharabotowi? I odwrotnie? Może Człowiek Gwóźdź za pośrednictwem Isabelle kierował nową serią morderstw. Tych wrześniowych? Nie. Pharabot zmarł w 2009 roku. Jednak Barraire stanowiła okno na koszmar. *Podziwiajcie ten widok!*

– Jak długo została z panem?

– Do dwa tysiące szóstego roku. Kiedy Philippe zginął razem z dziećmi w wypadku samochodowym, zniknęła.

– Nie starał się pan z nią spotkać?

– Oczywiście, że próbowałem. Martwiłem się. Powtarzam: dzięki specyficznemu leczeniu poczuła się lepiej, ale po śmierci dzieci przerwała kurację. Dzwoniłem do niej, szukałem jej, robiłem, co w mojej mocy, żeby nawiązać z nią kontakt. Nie reagowała.

Erwan znów zrozumiał coś oczywistego.

– Od jak dawna pan z nią sypiał?

Lassay poderwał się z fotela jak z katapulty. Trząsł się ze złości, zaciskał pięści i chyba rozglądał się, szukając czegoś, co można potłuc. Sprawiał wrażenie drażliwego, a zatem Erwan dotknął czułej struny.

– Ja… zabraniam panu… – szepnął.

– Przecież zadałem tylko proste pytanie.

Psychiatra chodził po małym gabinecie – trzy kroki w jedną stronę, trzy w drugą.

– Nie wiem, nie pamiętam.

Erwan nie nalegał. Zresztą Isabelle uległa mu prawdopodobnie tylko po to, żeby nim manipulować. Ale jaki właściwie mogła mieć w tym interes?

– Nie pojawiła się po śmierci Pharabota?

– Nie. Proszę mi wierzyć, zrobiłem wszystko, żeby ją odnaleźć. Powtarzam: bardzo się o nią bałem i… byłem do niej mocno przywiązany.

Policjant również wstał. Zaschło mu w gardle. Czuł się odwodniony. Przyszedł tu, szukając ostatecznej odpowiedzi, a dowiedział się o zupełnie nowym wątku całej historii.

– Dlaczego nie powiedział mi pan o tym poprzednim razem?

– To się wydarzyło wiele lat temu, nie przyszło mi do głowy…

– Chociaż poszukiwaliśmy mordercy naśladującego Pharabota?

– Co pan insynuuje? Że to Isabelle zabijała we wrześniu?

Erwan niechętnie machnął ręką – nie myślał tak. Między schizofreniczką a *nganga* był jeszcze ktoś – Kripo, a może nie tylko on…

Kończąc, przybrał oficjalny ton.

– Pułkownik Verny i jego ludzie przesłuchają pacjentów i personel medyczny. Chcę wiedzieć, z kim przyjaźniła się Isabelle, czy ktoś dostrzegł wówczas coś nienormalnego, czy…

– Coś nienormalnego? Zapomina pan chyba, gdzie jesteśmy…

– Kilka lat po odejściu z instytutu, mimo choroby umysłowej i śmierci dzieci, Isabelle, już w innym wcieleniu, wciąż pamiętała Pharabota. Może miała tu dobrych znajomych albo wspólników. Może jacyś pacjenci, którzy zostali zwolnieni…

– Już panu mówiłem, że nasi pacjenci są nieuleczalnie chorzy.

– I wszyscy umierają w tym szpitalu?

– Albo są przenoszeni do innych ośrodków. Jednak pańska wizja Międzynarodówki Człowieka Gwoździa jest śmieszna.

Erwan rzeczywiście wyobrażał sobie Isabelle w roli łącznika. Pharabot nie rozmawiał z nikim oprócz pani psychiatry, ale ona rozmawiała z innymi. W końcu opuściła instytut i być może utrzymywała kontakt z pacjentami, którzy – cokolwiek mówił Lassay – także wyszli ze szpitala. A może było odwrotnie, może to adepci Człowieka Gwoździa zwrócili się do niej? Erwan pomyślał o di Greco, Lartigues’u, Redlichu, Irisuandze, ale taki spisek go nie przekonywał. Ktoś inny? Przerażająca wizja – zarażeni

złem uczniowie rozchodzili się po świecie. Taki rodzaj sekty mógłby nadal się rozwijać i… atakować.

Lassay otworzył drzwi – koniec spotkania. Playboy nie był już zły, ale raczej przybity. Prawdopodobnie żadna ze sformułowanych tu dziś myśli nie była mu obca, obecność Erwana czyniła je jednak groźnie realnymi.

– Nie powiedział mi pan jeszcze najważniejszego, panie komendancie. Jaki związek ma śmierć Isabelle z morderstwami Człowieka Gwoździa?

Erwan nie widział powodu, żeby nie ujawnić Panu Oksfordzkiemu prawdy.

– Jej ostatnie słowa brzmiały: „Człowiek Gwóźdź nie umarł”.

– Nie mówiła o istocie ludzkiej – odparł bez wahania Lassay – ale o jego duchu, o jego wpływie.

– Być może, a jednak nawet to jest bardzo złą wiadomością – wyszedł za próg. – Trzymając tu Pharabota, pozwolił pan namnażać się wirusowi, który wciąż się szerzy.

Psychiatra pobladł.

– Chce pan powiedzieć, że… to nie koniec morderstw?

Erwan odszedł, nie odpowiadając. Paliło go z pragnienia. Przed oczyma stanęła mu koszmarna wizja. Rozklekotany pociąg sunął po torach pośród nocy. Przedziały były ostro oświetlone. A wewnątrz siedział cały legion szaleńców z kieszeniami pełnymi gwoździ, kawałków metalu i szkła. Wszyscy byli nafaszerowani wierzeniami Yombe.

96

Gaëlle była już kiedyś w Lozannie na wystawie poświęconej Arnoldowi Böcklinowi, twórcy obrazu *Wyspa umarłych*. Z Mumbanzą miała się spotkać w Château Rappaz, dużym neoklasycystycznym gmachu z XIX wieku, w dzielnicy Ouchy. Był to jeden z luksusowych szwajcarskich hoteli, w których znane osobistości przeczekiwały dwie kolejne wojny światowe, by potem pojawić się, oczekując oklasków. Hotel zapewniał spokój i pogodną – w szwajcarskim stylu – atmosferę: w dole rozpościerało się Jezioro Genewskie, w górze były Alpy, a między nimi ścieliła się mgła. Pozostawało tylko dać się ukołysać postukiwaniu łodzi żaglowych z mariny, unoszących się na wodzie za oknami.

Ojciec często jej mówił, parafrazując Edgara Allana Poego: „Najlepszy sposób na to, żeby cię nie zauważono, to nie ukrywać się”. Dwie po ósmej wsiadła w Paryżu do TGV i po trzech godzinach przekroczyła granicę. Sprawdzono jej paszport, zajrzano do torby. Nie miała żadnych problemów. Pożyczyła dokumenty od koleżanki, do której była podobna, i ubrała się jak typowa młoda paryżanka na co dzień – w granatową kurtkę, dżinsy i czapeczkę, a do tego ciemne okulary marki Tom Ford. Na każdym kroku natykała się na takie dziewczyny – jedne były kurewkami polującymi na klienta, inne młodymi żonami z pieniędzmi męża milionera w torebce.

O wpół do dwunastej wsiadła do taksówki, za kwadrans dwunasta zameldowała się w hotelu. Przejazd z dworca wystarczył, żeby przypomniała sobie to płaskie i kanciaste miasto, które – choć łagodnie opadało ku jezioru – zdawało się sztywne i wyniosłe. Gaëlle lubiła Szwajcarię. Jej zdaniem, ten kraj cechowała pewnego rodzaju czystość: czystość pieniądza, wyniosłości, wszechwładnego egoizmu. Uważała to za dowód szczerości, otwartości na prawdę o naturze człowieka, wykutego z kamienia autentyzmu.

Dlaczego zamieszkała w tym samym hotelu co tamten śmieć? Kolejna wskazówka ojca: „Najlepszy sposób, żeby nie zauważono, że przyszłaś, to

być już na miejscu”. Kiedy znalazła się w pokoju, odprawiła boya, wręczając mu pięćdziesiąt franków szwajcarskich – czyli właściwie tyle samo w euro – i otworzyła okno, żeby odetchnąć pełną piersią helweckim powietrzem.

Zamierzała zjeść obiad w pokoju, a potem wybrać się na zakupy do Flon, słynącego z topowych sklepów. Po powrocie chciała spędzić trochę czasu w hotelowym spa i pogawędzić z kosmetyczką o zakupach. Łagodna, naoliwiona, niewinna. I wreszcie przyjdzie czas, żeby posnuć się po korytarzach i piętrach, sprawdzając, gdzie znajdują się kamery monitoringu hotelowego.

Aż wybije osiemnasta.

Pora podwieczorku, skarbie[6]*.

97

W drodze powrotnej Erwan milczał jak zaklęty. Analizował informacje, które zebrał, i starał się powiązać je z wrześniowym śledztwem. Ale nic się nie kleiło. Niepostrzeżenie zewsząd wyłaniał się Philippe Kriesler. Czyżby jesienią Erwan się pomylił?

Człowiek Gwóźdź nie umarł.

– Jesteśmy na miejscu.

Za szybą widać było lotnisko, którego falisty dach wyglądał jak szeroki szary pas. Wciąż padało – deszcz bębnił z nieznośną regularnością chronometru. Wysiadając, Erwan poinstruował Verny'ego: zebrać grupę żandarmów, przesłuchać pacjentów i pielęgniarzy z instytutu, pytając głównie o powiązania i kontakty z Thierrym Pharabotem i Isabelle Barraire.

– Lassay się na to zgodził?

– Pozwolił pracować w swoim szpitalu lekarce stukniętej jak pacjenci, być może zamieszanej we wrześniowe morderstwa. W dodatku z nią sypiał. Dlatego nie bardzo może stawiać nam warunki.

Verny mimo wszystko miał wątpliwości.

– Wie pan, że zawsze chętnie panu pomagałem – powiedział ostrożnie. – Nawet wtedy, kiedy wykraczaliśmy poza ramy legalności.

– I? – zniecierpliwił się Erwan.

– Wówczas działaliśmy jednak zgodnie z procedurą. Dziś nie mamy nic: ani przestępstwa, ani dochodzenia. Jak mam zażądać, żeby przydzielono mi ludzi? Skąd wziąć czas na tę sprawę, kiedy prowadzę kilka innych?

– Ufa mi pan czy nie?

– Oczywiście, że tak, ale…

– Niech pan wybierze najlepszych ludzi. Proszę wrócić z nimi do instytutu, potrząsnąć personelem i pacjentami. Niech pan wyciśnie ich jak cytrynę. Proszę też przyjrzeć się telefonom i Internetowi. Jakie informacje wychodzą z instytutu, do kogo są adresowane. Za tymi murami dzieje się coś dziwnego i trzeba to wykryć, zanim nas przerośnie.

Zatrzymali się przed budynkiem lotniska, pod dachem, który chronił ich przed deszczem. Verny, któremu wiatr dął prosto w twarz, stał wyprostowany, trzymając ręce w kieszeniach. Choć kiwał głową, przyjmował słowa Erwana bez entuzjazmu.

– Przede wszystkim – powiedział z naciskiem policjant – proszę nie spuszczać z oka Lassaya.

– O co konkretnie pan go podejrzewa?

– O to, że albo jest skrajnym idiotą, albo coś przed nami ukrywa.

Verny zapalił papierosa, osłoniwszy się kapturem.

– Patrzy pan na instytut jak na wylęgarnię intryg.

– Jako wylęgarnia Instytut Charcota ma ogromny potencjał. Trzymali u siebie mordercę jedynego w swoim rodzaju, typ… – Erwan szukał słowa, nie chcąc popaść w stereotypy z seriali telewizyjnych, a potem skoczył na głęboką wodę – guru zła.

Żandarm nie drgnął, wciąż okazując sceptycyzm. Ale przecież na pewno nie zapomniał o operacji w Locquirec i o śmierci Archambault. Idea źródła zła brzmiała w tym regionie dość trafnie.

– Proszę zrobić, co się da – stwierdził Erwan, po przyjacielsku klepiąc go po ramieniu. – Zadzwonię dziś wieczorem. Zresztą wkrótce i tak muszę przyjechać do Bretanii.

– Po co?

– Żeby pochować ojca.

Wszedł do budynku, zmierzając w stronę stanowisk odprawy, wyjął telefon. Zagłębiając się w niemal spiskowej działalności instytutu, przypomniał sobie o ewentualnym aktorze tej gry, kimś wyjątkowym.

– Tonfa? Mówi Erwan. Jak wam idzie?

– Pacjenci Katza jeden po drugim odprawiają mnie z kwitkiem.

Ślepa uliczka. Tych ludzi chroni poufny charakter terapii, tak zwana tajemnica lekarska.

– W takim razie przerwij to. I tak już narobiliśmy sporo głupstw. A co z rodziną Barraire?

– Też niezbyt pasjonująco. Musiałeś zauważyć w Paryżu punkty o nazwie „Domanges”. Właściwie to oni pierwsi opracowali proces prania na sucho, mniej więcej w połowie dziewiętnastego wieku. Najpierw używano do tego nafty, potem tri.

Tonfa mówił o tym, ledwie powstrzymując się od ziewania. Erwan doskonale go rozumiał – nawet entuzjazm nowicjusza nie pomaga w wykorzystaniu takich informacji.

– Interesujące jest wyłącznie to, że Isabelle Barraire do końca była akcjonariuszką grupy.

– Ile miała udziałów?

– Tego nie da się ustalić, spółka jest anonimowa, ale jej decyzje były uwzględniane.

Nie przystawało to ani do portretu psychologicznego Isabelle, ani do zeznań jej brata, który twierdził, że nie utrzymywali żadnych kontaktów. Pomysł, by mogła uczestniczyć w jakimkolwiek spotkaniu rodzinnym albo zgromadzeniu ogólnym w męskim przebraniu, wydawał się absurdalny.

Erwan przeszedł do najpilniejszych spraw.

– Mam dla ciebie zadanie. We wrześniu zatrzymaliśmy pielęgniarza z Instytutu Charcota, niejakiego José Fernandeza.

– Pluga? Doskonale go pamiętam.

Mówili o podrzędnym wspólniku operacji przeszczepu szpiku kostnego. Tym, który pobrał materiał od zmarłego Pharabota przed kremacją zwłok.

– Chcę wiedzieć, czy nadal siedzi, czy może go zwolniono. Z tego, co słyszałem, miał oczekiwać na proces we Fleury.

Erwan był przekonany, że Plug sam zabił Thierry’ego Pharabota w listopadzie 2009 roku, dusząc go w łóżku i pozorując zawał. Jednak nie dysponując dowodami, można było oskarżyć go jedynie o umyślną kradzież komórek ciała, co nie było zagrożone zbyt wysoką karą. Co gorsza, ponieważ do zeznań zmuszono go, używając przemocy, adwokat mógł wyśmiać takie oskarżenia.

– Coś nowego w jego sprawie? – zapytał Tonfa, jakby się budził.

– Nie wiem. Isabelle Barraire przebywała w instytucie. Wygląda mi to na plątaninę wątków. Znajdź tego czubka i postaraj się, żebym mógł go jak najszybciej przesłuchać. Audrey się odezwała?

– Nie. Nie przyszła dziś rano do biura. Ale po tym, jak wczoraj zmyłeś jej głowę…

Nikt nie wiedział o zadaniu, jakie nocą powierzył jej Erwan. Gdyby stało się cokolwiek złego, nigdy by sobie tego nie darował.

Uznał, że musi być z Tonfą szczery. W paru słowach wyjaśnił mu historię willi w Louveciennes. Może to tylko dom, a może tajna kryjówka Katza-

Barraire.

– Wysłałem ją tam dziś w nocy – wyznał.

– Samą?

Erwan milczał. *Kompletny brak odpowiedzialności*! Nikt nie wiedział przecież, do czego mogła posunąć się w swoim obłędzie pani psychiatra, jeśli miała wspólników. Posłał Audrey do jaskini lwa. Audrey, którą rozpierała ambicja, chciała za wszelką cenę udowodnić, jak jest sprytna i kompetentna, nawet gdy działa na pograniczu prawa.

– Zapisz adres – szepnął w końcu. – Ulica des Domaines osiemdziesiąt dwa. Zostaw wszystko i jedź się tam rozejrzeć.

– Mam wziąć jeszcze kogoś?

– Faviniego. I natychmiast do mnie dzwońcie.

– O której lądujesz?

– O siedemnastej czterdzieści.

– Wyjedziemy po ciebie. Z Audrey – dodał Tonfa, chcąc rozładować napięcie.

Rozłączając się, Erwan zauważył, że dostał esemesa. Riboise. Zakończył sekcję zwłok Padre. Potwierdził jego wersję. *Czas na pogrzeb*.

Szesnasta. Pasażerowie wsiadali do samolotu. Przyspieszył, mówiąc sobie, że za dwa dni wróci tu z ciałem Morvana. Stary zawsze wciskał im, że mają celtyckie korzenie. Po tylu trupach Erwan miał szansę poczuć, że naprawdę pochodzi z Bretanii.

98

Château Rappaz, godzina osiemnasta. Gaëlle pokonała schodami służbowymi dwa piętra dzielące ją od apartamentu Trésora Mumbanzy. Nie inwestowała w fatałaszki – najlepsze kryło się w środku. Ołówkowa sukienka z czarnego streczu, wysokie obcasy, srebrne kolczyki, torebka.

Miała też płaszcz – ani Mumbanza, ani jego ludzie nie powinni się domyślić, że mieszka w tym hotelu. W zasadzie powinna przecież przyjść z zewnątrz i, nie zgłaszając się do recepcji, wejść od razu na górę. Jej wizyta była zupełnie nieoficjalna – i nikt się nie domyślał jak bardzo.

Z tego, co zdołała zauważyć (jej okno wychodziło na dziedziniec główny hotelu), Mumbanza przyjechał ze swoją bandą około szesnastej. Pan podróżował z wielką pompą w towarzystwie jednej albo dwóch żon, gromadki dzieci, niań, lokajów, stada ochroniarzy – w tym, jak powiedział jej Payol, dwóch Luba, którzy nie odstępowali go na krok. Całe to plemię zamieszkało na drugim piętrze, jak Gaëlle, miała więc okazję przekonać się, ile narobili przy tym hałasu. Generał zajął apartament na czwartym piętrze – 418, skąd rozciągał się wspaniały widok na jezioro i Alpy.

Gaëlle nie miała kontaktu z Bossem (tak nazywano go w Lubumbashi). Payol zapłacił jej w Paryżu połowę ustalonej kwoty trzech tysięcy euro, resztę miała dostać po powrocie. Gdyby klient był zadowolony z jej usług, mogła liczyć na premię z ręki do ręki.

Czwarte piętro. Nie była ani zdenerwowana, ani wystraszona. Karminowe ściany korytarza przypominały jej *Szepty i krzyki* Ingmara Bergmana – szwedzki reżyser powtarzał, że czerwień to kolor „wnętrza duszy”.

Apartament 418 zajmował zachodni róg budynku, w pobliżu schodów służbowych. Na drodze Gaëlle nie było ani jednej kamery monitoringu. Dwóch śmiertelnie znudzonych ochroniarzy stało przed drzwiami. Jej pojawienie się trochę ich rozerwało. Przeszukali ją, nie marnując okazji – obmacywali i cmokali, bo przecież i oni mieli prawo pobawić się towarem.

Jeden z cerberów otworzył jej torebkę i wyjął plastikową saszetkę.

– Powiedziano ci: żadnych prezerwatyw.

– To rękawiczki chirurgiczne.

– A po co?

– A jak myślisz?

Czarny cmoknął z podziwu. Oddał jej saszetkę i zapukał do drzwi. Mumbanza sam otworzył. Z komórką w ręku, bez słowa wpuścił Gaëlle. Był w złym nastroju. Dostosowała się i w milczeniu zdjęła płaszcz.

Zebrała informacje o generale i widziała jego zdjęcia w Internecie. Wersja trójwymiarowa była bardziej przerażająca – facet miał co najmniej metr dziewięćdziesiąt wzrostu i sto dwadzieścia, sto trzydzieści kilogramów wagi. Przywykła do potężnych mężczyzn, jej ojciec był podobnej budowy, jednak olbrzym z apartamentu go przerastał. Ubrany w ciemny garnitur, poruszał się z cichym szelestem tkaniny, delikatnie pobrzękując – prawdopodobnie miał w kieszeni pęk kluczy od sejfów. Jego stopy w butach z długimi noskami wydawały się ogromne.

Mumbanza operował telefonem, nie zwracając uwagi na dziewczynę. Światło ekranu tańczyło po jego wykutej z bazaltu twarzy. Gaëlle nie zdołała powstrzymać się od drobnej prowokacji.

– Skoro tak to ma wyglądać, to może mogłabym obejrzeć jakiś film?

Czarny chyba rzeczywiście o niej zapomniał. W takich chwilach Gaëlle dziękowała niebiosom za to, że tak długo nienawidziła własnego ciała. Krok po kroku przezwyciężyła tę chorobę i zyskała poczucie własnej wartości. Dziś kochała każdy milimetr swojej sylwetki. A raczej – była pewna tego ciała jak żołnierz swojej broni. Znała swoje powaby, siłę, potęgę temperamentu.

Myślała, że generał na nią wrzaśnie, jednak jego twarz wykrzywiła się w grymasie, który można było uznać za uśmiech.

– Nie brak ci tupetu.

– Przecież nie mamy dla siebie całej zimy, prawda?

Śmiech. W porządku, Afrykanin zrozumiał, z kim ma do czynienia. Taką białą kurewkę trzeba dobrze zerżnąć. Już się na to ślinił.

– Napijesz się czegoś? – zaproponował, chowając telefon do kieszeni.

– Szampana.

Wskazał niski stolik przy obitej aksamitem kanapie. Stało na nim wiaderko z lodem, a w nim butelka, na której lśniły kropelki wody. Dalej

widać było łoże wielkie jak arena.

– Zajmę się tym! – powiedziała Gaëlle, wyciągając butelkę.

Mumbanzie chyba spodobał się sposób bycia dziewczyny, jednak jego oczy pałały okrucieństwem. Rozbudziły je wieki niewolnictwa, wzgardy, rasizmu. Gaëlle ze swoim drobnym, mlecznobiałym ciałem miała zapłacić za arogancję swojej rasy. Mumbanza nie należał do tych, którzy pragną walczyć za swój lud, chciał tylko odwrócić relację na swoją korzyść. Jego oczy mówiły: „Zerżnę ci dupę, kuzynko, a zrobię to na cześć ONZ”.

Rozkręciła stalowy drut utrzymujący korek i zapytała, naiwna i wesoła:

– Twoje psy stróżujące są uzbrojone?

– Oczywiście.

– I wolno im przekraczać granicę ze spluwami?

– Jestem Kongijczykiem, ślicznotko.

– Ty też jesteś uzbrojony?

Mumbanza położył rękę na kroczu.

– Czyżbyś w to wątpiła, moja mała?

– Nie, ale pytam… o prawdziwą broń.

Powiedziała kilka słów za dużo. W oczach czarnego zapalił się ognik nieufności.

– O co ci chodzi, mała?

– Podobno jesteś generałem.

– Co z tego?

– Nie nosisz munduru? Nie masz medali?

Odchylił połę marynarki, odsłaniając skórzany holster i półautomatyczny pistolet.

– To cię podnieca? Teraz masz mokro w majtkach?

Przesunęła czubkiem języka po wargach.

– Taaak… Uwielbiam to… – mruczała, otwierając szampana.

Lubiła nurzać się w idiotycznej, wręcz obrzydliwej wulgarności. Zwłaszcza dziś. Za każdym razem myślała w takich chwilach o ojcu. O jego despotyzmie, kiedy usiłował wychować ją na subtelną i wykształconą panienkę. Zburzyła jego nadzieje, rozwiała złudzenia. Wybierała najgorsze drogi, zaciskając zęby i wierząc, że się na nim mści. Dziś było odwrotnie – nie przyszła tu, żeby zadać mu ból, ale żeby złożyć mu hołd. Musiała go pomścić. Po prostu. Okazało się, że wszystkie drogi prowadzą do ojca…

Szampan płynął do kieliszków. Mumbanza zdjął marynarkę, potem odłożył broń na fotel, daleko od Gaëlle. Żeby ostatecznie go zdobyć, dziewczyna zsunęła ramiączko sukienki po ręce. Żeby uwieść mężczyznę, nie trzeba zawracać sobie głowy kalkulacjami. Samiec to nauka ścisła. Jest niezwykle przewidywalny.

Mumbanza, wciąż stojąc, patrzył na nią pożądliwie. W prawej ręce trzymał kieliszek, lewą, bez skrępowania, macał przez spodnie swoją męskość.

Zaśmiała się gardłowo, jakby potrząsała kośćmi w kubeczku, i mrugnęła do niego. Strach przenikał do jej krwi jak lodowata kroplówka.

W ręce trzymała korek.

Narzędzie zbrodni.

99

Kilka minut potem, zamknąwszy się w łazience, Gaëlle szykowała się na orgietkę Jego Ekscelencji.

Powtarzana często legenda głosi, że podczas wojny w Algierii kobiety z wiosek, żeby chronić się przed gwałtami, jakich dopuszczali się francuscy żołnierze, wciskały żyletkę w kawałek ziemniaka, który wsadzały sobie do waginy. Czy to prawda, czy nie, pogłoska dotarła do Azji i podczas wojny w Wietnamie tamtejsze kobiety postępowały tak samo. Potem w Kongu, gdzie w 2007 roku co minutę dochodziło do gwałtu, potencjalne ofiary stosowały tę metodę, używając owoców z pestką, która zatrzymywała ostrze w chwili penetracji.

Do tej listy trzeba będzie dopisać Szwajcarię.

Gaëlle wyjęła z puderniczki pół ostrza golarki. Szybko wsuwając je i wysuwając, wcisnęła je w korek, potem splunęła na ręce, żeby zwilżyć sobie pochwę. Zamknęła oczy, wsunęła korek, który znalazł tam naturalne miejsce, i podciągnęła majtki.

Zrobiła kilka kroków, żeby sprawdzić, czy może się swobodnie poruszać. *Idealnie*. Przejrzała się w lustrze i stwierdziła, że strach bierze nad nią górę – była już trupioblada. Pociła się na całym ciele i zaczynała czuć lekkie pieczenie. Ręce zaczynały jej leciutko drżeć. Wyciągnęła je przed siebie – nie mogła poddać się strachowi. *Tylko nie to*.

Kiedy wyszła z łazienki wyperfumowana i rozebrana – miała na sobie białą bieliznę zdobioną cekinami, bo to właśnie lubił Mumbanza: szyk, blask i seks w stylu Cristal Roederer – sprawiała wrażenie odprężonej i wyuzdanej. Olbrzym mruknął z zadowolenia. Był w koszuli i spodniach, ale wyjął członek sterczący jak róg myśliwski. Różowa żołądź wyglądała jak *golliwog*, ta czarna lalka z XIX wieku o grubych wargach klauna, produkowana także w jasnej wersji.

Wtedy rzucił tonem rozkazu:

– Bierz go do ust, dziwko.

Szkliste oczy, drżące usta, krew niemal tryskająca z białek oczu. Gaëlle poczuła, że strach przeszywa jej żołądek. Wdzięcznym ruchem obnażyła nabrzmiałą waginę.

– A gdybyśmy tak zamienili się rolami? – zaśmiała się chrapliwie. – *All you can cat, łajdaku*?

Strzelił ją w twarz i rzucił na łóżko. Mrucząc, unieruchomił ją, leżącą na plecach, zerwał z niej majtki i rozsunął uda, jakby był gołowąsem szukającym podniety.

– Ty biała zdziro – warknął – podzielę się z tobą moim AIDS…

Wszedł w nią brutalnie i nagle zamarł, jakby dławił się własnym krzykiem. Odepchnęła go obunóż, z całej siły. Mumbanza uderzył o ścianę, rozbijając głową wiszącą na niej plazmę. Kwiczał teraz jak zarzynany wieprz, zaciskając obie ręce na kroczu. Jego ochroniarze już pukali do drzwi.

Mam kilka sekund.

Pobiegła do łazienki, wsunęła dłonie w rękawiczki, wróciła do sypialni i chwyciła leżący na fotelu pistolet Mumbanzy, który wciąż wił się na podłodze, krwawiąc z członka. Nie wiadomo dlaczego w ułamku sekundy zapamiętała inicjały na broni: HK USP.

Ochroniarze zabierali się już do wyważania drzwi – bum, bum, bum. Jeszcze kilka uderzeń i zamek puści. Odbezpieczyła dziewiątkę, wprowadziła nabój do komory – od września zdążyła opanować sztukę posługiwania się takimi spluwami – i zbliżyła się do podskakujących na zawiasach drzwi. Stojąc po lewej, wyciągnęła wolną rękę i przekręciła zamek.

Dwaj Luba wpadli z bronią w ręku do pokoju, o mało nie potykając się o stolik. Strzeliła jednemu z nich prosto w głowę. Zanim drugi zdążył się odwrócić, wpakowała mu kulę w twarz. Wszystko zamarło – przynajmniej tak jej się wydawało. Czarna dziura w czasie i w przestrzeni.

Wzięła się w garść i oszacowała szkody. Dwaj olbrzymi w eleganckich garniturach, miazga roztrzaskanych czaszek i strzępów mózgu zalegająca pod kwiecistą narzutą na łóżko, między potłuczonymi kieliszkami i rozrzuconymi kostkami lodu. W głębi pokoju Mumbanza pełznący po ścianie jak odrażający ślimak bez skorupy.

Rzuciła HK USP na łóżko, siadła okrakiem na ochroniarzu leżącym bliżej generała, po czym obiema rękami chwyciła zaciśnięte na broni palce

trupa. Uniosła bezwładne ramię, sprawdziła, czy broń jest uzbrojona, i położyła palec na spuście. Zapach prochu i krwi odurzył ją jak działka koki.

Mumbanza patrzył błagalnie przekrwionymi oczyma. Wił się jak monstrualny robal rozcięty na pół, a na jego lśniącej od potu twarzy pojawił się grymas niedowierzania.

Uśmiechnęła się i celując do niego, szepnęła:

– Jestem córką Morvana, łotrze…

Patrzył na nią w osłupieniu – miała zachować w pamięci wyraz jego twarzy niczym cenny talizman. Nacisnęła na spust. Raz, żeby odstrzelić mu kutasa, drugi – żeby rozwalić mu serce. I ostatni, żeby roztrzaskać mu twarz. Potem puściła rękę trupa, wzięła HK z łóżka, umieściła go w dłoni generała i strzeliła raz, nie celując – ślady prochu na palcach Kongijczyka potwierdzą, że trzykrotnie strzelił.

Wbiegła do łazienki i umyła zbryzganą krwią twarz, wciągnęła sukienkę bez suwaka ani guzików – przewidziała, że będzie się spieszyć – zebrała swoje rzeczy i ruszyła korytarzem, ściągając rękawiczki.

Na piętrze nie natknęła się na nikogo. Wszędzie panowała jeszcze zadziwiona cisza. Doszła do schodów służbowych i zbiegła na drugie piętro. Wiedziała, że nie filmuje jej żadna kamera. Że miejsce zbrodni wygląda jak po porachunkach między panem a niewolnikami. Że nikt nie będzie miał powodu, żeby podejrzewać ją bardziej niż innych klientów hotelu.

A nawet mniej.

Na drugim piętrze zaczęło się już poruszenie. Ona też zrobiła wystraszoną minę. Goście hotelowi stali w drzwiach, pokojowi biegali. Wróciła do pokoju, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi. Panikujący tłum patrzy wszędzie, ale nie dostrzega żadnych szczegółów.

Zatrzasnęła za sobą drzwi plecami i czekała, aż jej serce znów zacznie bić. Wciąż miała między nogami korek od szampana. Teraz pozostało jej już tylko modlić się, żeby nie złapała zabójczego wirusa.

100

Powrót do Paryża zamienił się w koszmar.

Był jak sen, w którym wszystko się wali, a my niczego nie jesteśmy w stanie ocalić. Po lądowaniu na Orly Tonfa z grobową miną przekazał Erwanowi wiadomość, która ścięła mu krew w żyłach: w Louveciennes przy ulicy des Domaines 82 znalazł zwłoki Audrey Wieniawski. Morderca poderżnął jej gardło i wyłupał oczy. Prawdopodobnie to mieszkaniec willi, który nocą zaskoczył policjantkę. Nie zdążyła nawet sięgnąć po broń. Zresztą jej glock zniknął.

Erwan nie usłyszał już ani słowa z tego, co mówiono do niego przez całą drogę. Nie słyszał ani wycia syreny, ani uwag wypowiadanych jednym tchem przez kolegę, ani telefonów od przełożonych. W jego głowie pulsowała jedna jedyna myśl – to on i tylko on posłał Audrey na śmierć. Naraził ją na niebezpieczeństwo, każąc wypełnić nielegalne zadanie. Co gorsza, w tym czasie sam przebywał w pobliżu tej willi. Czy gdyby dołączył do Audrey, zdołałby zapobiec nieszczęściu?

Rezydencja Isabelle Barraire spoglądała w stronę głównej bramy z głębi rozległego, ale źle utrzymanego parku, który tulił się do stawu. Willa wznosiła się na trawniku jak ogromny karawan, który przypominała kolorem przełamanej bieli i jakby prowizorycznym wyglądem. Mimo wszystko dominujący był architektoniczny styl Trianon – jedno piętro, płaski dach otoczony balustradą. Fasada była spękana i mchy obrastały okna, atakując wszystko, w co mogły zapuścić korzenie.

– Niczego nie dotykaliśmy – uprzedził Tonfa, wjeżdżając w aleję, w której tłoczyły się już wozy policyjne. – Czekamy na zastępcę prokuratora. Powiadomiono także Riboise’a.

Zaparkowali na trawniku i poszli dalej pieszo – teren w promieniu pięćdziesięciu metrów od domu został zabezpieczony. Kolorowe światła samochodów pulsowały pod drzewami w rytm pracy serca. W tym agresywnym blasku trwał taniec techników kryminalistyki ubranych w białe

kombinezony, które rzucały się w oczy, podczas gdy inne mundury wtapiały się w pejzaż.

Erwan zauważył Levantina, koordynatora IJ, który krążył po terenie w białym papierowym kapturze. Zobaczył sporo znajomych twarzy – policjantów z „36”, ludzi z zakładu pogrzebowego. To była typowa nocna akcja.

– Na razie jednego jesteśmy pewni – powiedział Tonfa, zanim weszli do domu – ktoś tu mieszkał.

– Isabelle Barraire?

– Nie, raczej bezdomny.

Włóczęga zaskoczony nocą przez Audrey miałby poderżnąć jej gardło? To się nie trzymało kupy. Sama wychowała się na ulicy, zachowała odruchy konieczne, żeby tam przetrwać. Nigdy nie zwróciłaby się przeciwko nędzarzowi. A poza tym taki zbieg okoliczności w domu podejrzanej wydawał się absolutnie niemożliwy.

Założyli ochraniacze na buty i lateksowe rękawiczki, a potem weszli z przedsionka do dużego przedpokoju. Skrzyżowane taśmy zamykały już wszystkie drzwi, żyrandole, lampy i kinkiety rzucały ostre światło na przykurzone, staromodne wnętrze. Kiepskiej jakości meble w stylu Ludwika XV, zniszczone ramy luster, łuszcząca się farba, wytarte dywany i zasłony. Wszystko to potwierdzało wrażenie, jakie dom robił już z zewnątrz – był zaniedbany i byle jaki. Ani zamieszkiwany, ani opuszczony.

– To w głębi – powiedział idący przodem Tonfa.

– Powiadomiłeś Fitoussiego?

– Musiałem. Byłeś w samolocie.

– Jak mu wyjaśniłeś, że tak szybko ją znaleźliśmy?

Policjant uśmiechnął się do niego przez ramię z goryczą i ze smutkiem człowieka, który stracił w pożarze całą rodzinę, ale zdołał ocalić pudełko ze zdjęciami.

– Kiedy tu przyszedłem, włączyłem jej telefon i powiedziałem, że udało mi się ją zlokalizować.

Taki wybieg – o ile nie znajdzie się nikt, kto zechce zbyt wnikliwie analizować godziny – mógł uratować tyłek Erwana. Wersja oficjalna – z natury uparta Audrey poznała ukrywany adres Isabelle Barraire i chciała sama rozejrzeć się po domu.

Erwan podjął decyzję w ułamku sekundy. Na razie musiał się na to zgodzić, zrzucając z siebie wszelką odpowiedzialność, bo tylko tak mógł prowadzić normalne śledztwo. Gdyby powiedział prawdę, natychmiast by mu je odebrano i zamiast ścigać mordercę koleżanki, traciłby czas na niekończące się przesłuchania w Generalnej Inspekcji Służb.

Weszli do pokoju, w którym dokonano zbrodni. Pod ścianami półki pełne książek, skórzane fotele i mały sekretarzyk z politurowanego drewna zepchnięte w kąty. O dziwo, w pierwszej chwili Erwana uderzyło, że to pomieszczenie, jak wiele innych, potwierdzało brutalną prawdę: nagła śmierć zawsze otacza się scenerią jak z planu filmowego. Reflektory, kable na podłodze, technicy w kombinezonach kręcący się z pipetami i torbami – to wszystko przypominało atmosferę zdjęć.

Zaraz potem zauważył, że ktoś tu koczował: w kącie rzucono śpiwór, resztki jedzenia pleśniały na parkiecie, ubrania zaścielały fotele.

Ale najsilniejszym akordem sceny – tym, czego potwornie się bał – było ciało Audrey, które leżało na podłodze w bordowej kałuży. Jej pozycja – uniesione przedramiona i zaciśnięte pięści – nasuwała skojarzenie ze śpiącym niemowlęciem. Tylko lewa noga, wygięta pod niemożliwym kątem, ze stopą na wysokości biodra, opisywała agonię.

Dwadzieścia lat zajmowania się morderstwami, trupami i wszelkiego rodzaju sadystycznymi czynami hartuje. Erwan podszedł bliżej i patrzył na ciągnącą się od ucha do ucha ranę pod brodą. Ręka zabójcy nie zadrżała. Był mistrzem pewnych, zimnych gestów.

– Mamy broń? – zapytał głosem, którego sam nie poznawał.

– Nie.

Wyobraził sobie nóż, który posłużył zabójcy. Ponad wszelką wątpliwość tego samego użyto do oczu. *Weź się w garść, to twoja praca*… Skupił się na udręczonych oczodołach i o mało nie zemdlał. Te powieki, przecięte mięśnie, cała ta makabryczna robota były nie do zniesienia.

Już po ilości krwi można było się domyślać, że Audrey żyła, kiedy jej to robił. Praca serca, choćby spowolniona, wyrzuciła przez oczodoły wszystko, co pozostało w tętnicach.

Ale nie to było najgorsze.

Zauważył na szyi coś, co było dziełem obłąkańca – język wyciągnięty w dół i wysunięty przez ranę w ohydnym, potwornie sarkastycznym grymasie.

Erwan wyszedł z pokoju. Szukał toalety. Drzwi, zakątki, ślepy korytarz. W końcu znalazł ubikację obitą welurem i przypominającą buduar cuchnący zastałą wodą. Żółć, która wydobywała się z jego ust, paliła przełyk, a nawet nozdrza.

Wsadził głowę pod wodę nad maleńką umywalką, która dopełniała wystroju wnętrza, a potem przejrzał się w lustrze. Zobaczył tylko czerwony i pulsujący cień własnego wizerunku winowajcy. Jeszcze trochę zimnej wody i jakoś się pozbierał. Winien był tej dziewczynie z torbą myśliwską obiektywne, fachowe śledztwo. Kiedy dopadnie bydlaka, który jej to zrobił, przyzna się do winy i uzna swoją odpowiedzialność za jej śmierć.

Po powrocie na miejsce zbrodni znów był komendantem Morvanem, szefem grupy w „36”, tym, który w ciągu ostatnich trzech lat osiągnął rekordowy poziom rozwiązanych spraw. Policjant zbrodni, rutyniarz zła, skazany na te same czynności i te same słowa, chwytający morderców… Nie mógł jednak naprawić rozlewu krwi, do którego wciąż dochodziło.

Powiódł wzrokiem po pokoju i tym razem jego uwagę zwróciły oznaki dzikiego zamieszkania. Brudna, pomięta kurtka puchowa. Psujące się resztki jedzenia – chipsy, szynka, ser… Odrażające łachy. Musiał zgodzić się z Tonfą – mieszkał tu jakiś kloszard. Dziki lokator czy podopieczny Isabelle Barraire? Czy zapewniła azyl sadystycznemu, obłąkanemu włóczędze? Dawnemu pacjentowi? Staremu kumplowi z psychiatryka? Ale dlaczego oddała mu bibliotekę?

– Znaleźliście jakieś ślady w innych pomieszczeniach?

– W kuchni. Isabelle Barraire miała tu swój pokój, ale sądząc po kurzu na meblach, nie zaglądała tam od niepamiętnych czasów.

Utwierdził się w przekonaniu, że ulokowała pensjonariusza w willi, w której już nie mieszkała.

– Przy kurtce znaleźliśmy jeszcze to – powiedział Tonfa, biorąc foliową torebkę z sekretarzyka, wykorzystywanego przez techników jako stół do pracy: to na nim kładli wszystkie dowody.

W torebce znalazły się setki tabletek, pigułek i flakoników bez nazw i etykiet. Anonimowe lekarstwa, tak jak te podawane w szpitalu. Prawdopodobnie szaleniec zapomniał o nich, uciekając. Scenariusz, jaki wyobrażał sobie Erwan, stawał się coraz bardziej prawdopodobny. Psychopata, którego próbowano poskromić dawkami leków, żeby przestał czynić zło.

Kto?

Éric Katz udzielił odpowiedzi na to pytanie: „Człowiek Gwóźdź nie umarł”.

Erwan otrząsnął się, żeby odpędzić od siebie taką hipotezę: Thierry Pharabot wciąż żył i od września ukrywał się u Barraire. Wzniósł oczy i intuicja podpowiedziała mu oczywisty fakt – to „gość” wybrał sobie bibliotekę, żeby być blisko książek. Rysował się jego pełen sprzeczności profil psychiczny: człowiek, który mieszkał w dużym domu, ale zaszył się w jednym jedynym pokoju, dzikus jedzący rękami, ale pochłaniający książki, psychopata podrzynający gardło temu, kto zakłócił mu spokój, ale rozmyślający nad *Próbami* Montaigne’a.

– Zdejmijcie odciski ze wszystkich książek – rozkazał. – Chcę mieć analizę wszystkiego, co znajdziecie.

Kolejna hipoteza: ponieważ Isabelle się nie pojawiła – a nie żyła od trzech dni – wariat spanikował na widok Audrey. Nie patyczkował się: wyeliminował wroga nożem i dokonał rytualnych okaleczeń.

Człowiek Gwóźdź nie umarł.

Czy mylili się od samego początku?

Był tylko jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć:

– Przeszukajcie cały dom.

– Ale już…

– Nie, macie wywrócić wszystko do góry nogami, od piwnicy po strych. Rozłóżcie wszystko na kawałki i szukajcie, dopóki nie znajdziecie tego, co trzeba znaleźć.

– Ale co to jest?

– *Minkondi*.

Tonfa, który nie był w najlepszej formie, zapytał:

– Masz na myśli te afrykańskie lalki?

– Rozwalcie tę cholerną ruderę, ale znajdźcie mi te figurki.

Rosły policjant dreptał w miejscu, patrząc na ochraniacze na nogach.

– To oznacza mnóstwo papierkowej roboty. Nie jestem pewien, czy…

– Kiedy na miejscu leży policjantka z poderżniętym gardłem? Jeżeli będzie trzeba, zdobędziemy pozwolenie na wyburzenie całej ulicy!

Favini, który do nich dołączył, położył Erwanowi rękę na ramieniu, dając mu znak, żeby się odwrócił.

– Będziesz mógł sam to ustalić. Przyszła zastępczyni prokuratora.

101

– Za chwilę zamykamy trumnę. Jeżeli państwo chcą zobaczyć jeszcze zmarłego…

Loïc nie miał ochoty ryzykować, więc zapytał:

– Wygląda w miarę dobrze?

– Oczywiście. Przyznaję, że niektóre szwy są widoczne…

Lekarz sądowy Yves Riboise obserwował Maggie siedzącą w holu Instytutu Medycyny Sądowej. Loïc odruchowo zwrócił na nią oczy. Skulona, ubrana w swoje gałganki *baba cool*, zacisnęła ręce na torbie z juty, którą trzymała na kolanach. *Wygląda jak bezdomna*.

Bo tak właśnie się czuła od dwudziestu czterech godzin. Zbłąkana dusza wyrzucona z własnego życia. Przez te wszystkie lata miała tylko jeden punkt oparcia – Morvana. Po jego śmierci została bez niego.

Loïc zadzwonił do niej rano i obiecał, że przyjedzie po nią, kiedy tylko będzie można zobaczyć zwłoki. Zastał ją siedzącą po ciemku, przy zasłoniętych oknach. Prawdopodobnie nie ruszyła się od wczoraj.

Tymczasem on przez cały dzień był w ruchu. Załatwiał przewóz ciała. Zmagał się z merostwem Bréhat. Dzwonił do parafii w Paimpol. Umówił spotkanie z notariuszem na przyszły tydzień. A do tego zredagował nekrolog, który miał się pojawić w „Le Monde”. Wszystko to robił z gniewem w sercu. Był wyrobnikiem klanu. Rodzinnym lokajem.

– Potwierdził pan wersję mojego brata?

– W pełni. Wysłałem mu już wiadomość. Dwie kule w gardło. Analiza balistyczna określi, z jakiej broni padły strzały. Doszło do rozerwania tętnicy, a to spowodowało krwotok zewnętrzny i poważne obrażenia wewnętrzne.

Słowa Erwana. Kokpit cessny. Tutsi siedzący z przodu. Strzały przez oparcie fotela. Loïc nie pamiętał już nawet, czy jego brat zabił mordercę.

– Przygotował pan zezwolenie na pochówek?

– Proszę.

Riboise wręczył mu dokument, nie okazując cienia emocji, chociaż, jak słyszał Loïc, lekarz często pracował z oboma Morvanami, ojcem i synem. Zobojętnienie? Wypalenie zawodowe? Prawdopodobnie raczej zmęczenie. Lekarz nauczył się patrzeć na policjantów jak na normalnych klientów.

Był niskim, barczystym mężczyzną koło sześćdziesiątki, owiniętym w fartuch z zielonej flizeliny. Nosił grube okulary i muszkę. Nie wiedząc dlaczego, Loïc pomyślał, że te dodatki są charakterystyczne dla korporacji, jak alpejskie berety i halabardy dla gwardii szwajcarskiej z Watykanu.

– Wytrzyma to?

Riboise patrzył wciąż na Maggie, która siedziała nieruchomo na krześle. Tu, między popiersiami dawnych dyrektorów Instytutu Medycyny Sądowej, wydawała się należeć do kolekcji. Jeszcze jedna gipsowa masa wśród wielu.

– Proszę się nie martwić – zapewnił z cynicznym uśmiechem Loïc, powstrzymując się od dodania: „Widziała gorsze rzeczy”.

Poszedł po matkę, już żałując tego, co powiedział. Bał się, że rozpadnie mu się w rękach. Odkąd dowiedziała się o śmierci męża, przybyło jej dziesięć lat – lat samotności i schyłku, opłaconych z góry. Oboje szli za lekarzem przez dziwnie zimny i wentylowany korytarz. Nie panowała tu szpitalna duchota, ale raczej atmosfera alejek cmentarza Allori, gdzie jego i Sofię tak uporczywie przesłuchiwał *ispettore superiore* Sabatini.

W tej chwili Loïc nie myślał ani o śmierci ojca, ani o odejściu teścia. Nie myślał też o rozpaczy matki. Bez reszty zaprzątała go lekcja strzelania. Ta moc, która eksplodowała w jego ręce, ta zręczność palców, którą się popisał. Jak wykorzystać nową siłę, wcielić się w nową skórę? Wrócić do Włoch i załatwić Balaghino? Nie zasługiwał na taki zaszczyt. Jechać do Afryki i pomścić ojca? Skoro Erwan wrócił, to albo robota została wykonana, albo też sprawa nie była warta zachodu. *Trzeba jeszcze poczekać*. Ciążąca nad klanem klątwa z pewnością da mu okazję do zabijania. Nie było co do tego wątpliwości.

– Zapraszam.

Riboise otworzył drzwi chłodni. Loïc wsunął się przed Maggie do wyłożonego białą terakotą pomieszczenia. Pośrodku, na metalowym stole, leżało przykryte prześcieradłem ciało. Lekarz z namaszczeniem, niemal z nabożną czcią, odchylił płótno, odsłaniając lwią paszczę pokonanego Morvana.

Nikt z obecnych nie zareagował. Loïc patrzył na tę twarz jak przez szybę – czuł, że obręcz ściska mu skronie. Czuł lęk, strach, poruszenie. Maggie stała nieruchomo, z oczyma, które wystawały z twarzy, upodobniając ją do czujnej jaszczurki.

– Zostawię państwa na chwilę – powiedział Riboise, zerkając na telefon. – Muszę oddzwonić.

Loïc spoglądał na głowę i ramiona ojca, jakby chciał wypoliturować go niczym mebel, który zatracił blask, stojąc w magazynie. Próbował ożywić w myślach jego splendor, ale na próżno. Nie tylko życie opuściło tę skorupę, ale także szlachetność, moc, duma. Pozostały zwłoki bez zalet, bez charyzmy.

W końcu smutek wziął górę. Igła przebiła się przez warstwy mózgu. Był bliski szlochu, kiedy głuchy odgłos zwrócił jego uwagę. Maggie zniknęła. Obszedł stół i ujrzał ją na posadzce, u stóp mężowskiego katafalku. Miała konwulsje.

Tylko tego brakowało. Podbiegł i wsunął dłoń pod pomarszczoną szyję matki. Ledwie jej dotknął, a poczuł krew uderzającą o ścianki naczyń jak rękawice bokserskie. Pochylił się nad jej piersią – serce waliło jej jak młot.

Wyprostował się i zaczął wzywać pomocy, krzycząc w pustej sali. Znał tylko jeden rodzaj zagrożenia życia – przedawkowanie. Ale nie miało to nic wspólnego z tym atakiem padaczki. Maggie się dusiła, jej usta drżały jak membrana gwizdka.

Wciąż krzyczał, ale nikt się nie pojawiał. *Kurwa!* Wstał i pobiegł do drzwi, uderzając o stół, a potem bezskutecznie szarpiąc się z klamką. Przez moment bał się nawet, że zostanie tu, zamknięty na całą noc z konającą matką i ojcem zimnym jak lód.

Koszmarne *memento mori*.

W końcu udało mu się otworzyć drzwi.

– Jest tu jakiś prawdziwy lekarz, żeby pomóc żywemu? – wrzasnął na cały korytarz.

Cisza. Wokół panowała pustka. Spocony, zadyszany, Loïc wyciągnął telefon i wybrał ostatni numer, pod który spodziewał się dzwonić: Sofia.

102

Dyskusja z zastępczynią prokuratora trwała ponad godzinę i przyjęła nieoczekiwany bieg – ponieważ ofiara należała do grupy Erwana, prokurator uznała za słuszne powierzyć śledztwo innemu komendantowi, żeby uniknąć zaangażowania osobistego. Erwan bronił się, sięgając po silny argument – czy on, czy inny, sprawa będzie miała charakter osobisty. „Na Boga, przecież tu zamordowano policjantkę!” Każdy, kto żyje i nosi mundur w Île-de-France, najchętniej sam dopadłby mordercę Audrey Wieniawski, trzydziestodwulatki, która zginęła na służbie. Prokurator, młoda, niezbyt ładna i dziwnie podobna do Audrey, jeszcze się wahała. Tym razem Erwan postanowił wezwać na pomoc przełożonego, a Fitoussi natychmiast skontaktował się z grubymi rybami i uzyskał poparcie Policji Śledczej w Paryżu, Dyrekcji Głównej Policji Śledczej w Nanterre, placu Beauvau.

Ostatecznie uznano słuszność argumentacji komendanta, jednak podczas gdy on planował śledztwo skupiające się na Isabelle Barraire i jej praktyce psychiatrycznej, wybrano wariant „zastawienia sieci”. Hipoteza bezdomnego, który koczował w pustym domu i zaatakował Audrey, wydawała się najbardziej realna. Na razie nikt nie zastanawiał się nad powodem, z jakiego policjantka włamała się i nielegalnie przeszukiwała dom zmarłej. To nie miało w tej chwili większego znaczenia. Najpilniejsze było schwytanie szaleńca, który pogorszył jeszcze sytuację, kradnąc broń ofiary.

W tym polowaniu na człowieka rozpisano role i wyznaczono zadania. Louveciennes już zablokowano – teren od Port Marly na północy po drogę N186 na zachodzie i D913 oraz Sekwanę na wschodzie, a las na południu, dokładnie przeczesano. Sprowadzono psy, dano im do obwąchania znalezione w bibliotece ciuchy. Zaangażowano też policję municypalną, ludzi z BAC[7], wszystkich policjantów mundurowych, mobilne jednostki żandarmerii. W okolicach domu rozmawiano z sąsiadami, przesłuchiwano

sklepikarzy, przeglądano nagrania monitoringu, a funkcjonariusze z komisariatów w Rueil-Malmaison, Saint-Germain-en-Lay i Nanterre wzięli na siebie dużą część tych prac.

Wszyscy myśleli o kloszardzie mordercy, o włóczącym się Francisie Heaulmie ze scyzorykiem w kieszeni, nie zaś o cywilizowanym mordercy, który mógłby wtopić się w tłum i ukraść samochód, a potem zniknąć. Mimo to na głównych drogach zorganizowano blokady, kontrolując autostrady, drogi krajowe i departamentalne… Patrole sprawdzały przedmieścia zachodnie od Wersalu po Saint-Germain-en-Laye. Brygady terytorialne, oddziały porządkowo-interwencyjne Żandarmerii Narodowej (PSIG) udzielały wsparcia policji, a ich helikoptery czekały w gotowości. Nawet brygada rzeczna patrolowała Sekwanę, na wypadek gdyby bestia próbowała uciec drogą wodną.

Sprawa wymknęła się Erwanowi z rąk. Komisarze, komendanci, oficerowie żandarmerii wpraszali się do ogrodu willi, gdzie powstała polowa kwatera główna. Niektórzy chcieli nagłośnić sprawę i szukać świadków. Ale jakich świadków? Inni uważali, że warto przeanalizować zgłoszenia i interwencje z ostatnich tygodni, bo może poszukiwany powodował już problemy w okolicy. Jeśli chodzi o prokuratora Republiki, który pojawił się na miejscu osobiście, to interesowały go wyłącznie kwestie komunikacji – przygotowanie oświadczenia dla mediów, troska o to, żeby pogłoski nie krążyły po Internecie, organizacja konferencji prasowej już nazajutrz rano.

Erwan był wściekły. Uważał, że cały ten zgiełk może tylko szkodzić sprawie – morderca popełnił zbrodnię poprzedniego wieczoru, minęła zatem doba i z pewnością był już daleko. Klucz do ustalenia jego tożsamości można było znaleźć w przeszłości Isabelle Barraire. Nikt nie koczował bez jej wiedzy w tym domu. To ona i tylko ona wpuściła szaleńca do swojej willi. Erwan miał już gotowy scenariusz – *Człowiek Gwóźdź nie umarł*, ale taka teza była zbyt szokująca, żeby móc ją przedstawić, nie mając przekonujących dowodów. Poza tym poszukiwany mógł wpaść w zasadzkę własnego położenia – był bez pieniędzy, bez znajomych, jego zdrowie psychiczne szwankowało, wyglądał jak kloszard, więc istniała nadzieja na szybkie schwytanie takiego ptaszka.

Minęły dwie godziny, a Riboise wciąż się nie pojawił. Nikt nie rozumiał, dlaczego Erwan nie godzi się na ściągnięcie któregokolwiek lekarza

sądowego do wydania „papierka”. Nie. Chciał, żeby Riboise, a nie ktoś inny potwierdził fakt zgonu Audrey. Liczył, że lekarz zwróci uwagę na pewne szczegóły na miejscu zbrodni. Kazał zgasić reflektory i przerwać prace analityczne, obawiał się bowiem, że ciepło przyspieszy rozkład zwłok i utrudni precyzyjne określenie godziny śmierci.

O dwudziestej pierwszej wszyscy dowódcy wsiedli do samochodów, obiecując sobie wzajemnie kontakt telefoniczny w ciągu nocy. Erwan kiwał głową, ale nic go to nie obchodziło. Przekazał pałeczkę oficerowi z Wersalu, Pierre’owi Sandovalowi, który doskonale znał swój fach.

Ściskał dłonie, zapisywał numery, żegnał wszystkich jak po grillu. Już nie drżał, ale to nie był dobry znak – przeszedł w stan wewnętrznego wychłodzenia: co trzy minuty temperatura obniża się o jedną kreskę, serce zwalnia, kończyny są niedokrwione, przychodzi moment paraliżu i odmrożeń. Erwan czuł się tym gorzej, że odczuwał – ale jakby przebywając poza własnym ciałem – że wcale nie jest tak zimno. To nie noc była jego wrogiem, lecz własne ciało.

W dodatku czuł zwiastuny migreny, piekły go powieki. Od dwóch godzin ogród oświetlały tylko migające koguty radiowozów, światła jodowe i reflektory samochodów.

Odczekał chwilę i zwołał swoich ludzi pod stary dąb nad stawem, gdzie mógł wreszcie zorganizować osobistą partyzantkę. Jego siły sprowadzały się teraz do Tonfy i Faviniego, ale wiedzieli już bardzo dużo o życiu Isabelle Barraire. Mogli jeszcze raz je przegrzebać, sprawdzić, czy z któregoś ze szpitali, gdzie pracowała lub była leczona – zwłaszcza z Feuillantines, bo Chatou dzielił od Louveciennes zaledwie kilometr – nie wypuszczono jakiegoś chorego umysłowo.

Najpierw jednak Erwan chciał załatwić najtrudniejszą sprawę.

– Kto powiadomi rodzinę Audrey?

– Nie miała nikogo – odparł Favini. – W każdym razie nigdy nie mówiła o rodzinie.

Marsylczyk miał rację – Audrey miała słowiańskie korzenie i zawsze podawała się za sierotę, nigdy nie ukrywając, że przeżyła ciężkie lata, na pograniczu bezdomności.

– Na wszelki wypadek sprawdźcie to.

Policjanci kiwali głowami, przygnębieni tą śmiercią. Wokół nich szeleściły liście, ich nogi zapadały się w wilgotną ziemię nad stawem.

– Czy rewizja coś dała? – zapytał Erwan.

– Na razie nic, ale ludzie tam jeszcze pracują.

Odruchowo zerknął na budynek i wyobraził sobie, jak zamienia się w stertę gruzu i jak po chwili z chmury pyłu wynurza się jego sekret.

– Idźcie na ulicę Nicolo. Wyważcie drzwi, zabierzcie całą dokumentację pacjentów. Zajrzyjcie też na ulicę de la Tour. Weźcie wszystko, co pomoże nam odtworzyć życie Katza. I tu, i tu ma z wami być ślusarz i oddział interwencyjny z bronią w ręku. Nie wolno wam podejmować najmniejszego ryzyka. Nie wykluczam, że morderca ukrył się w jednym z tych mieszkań.

– Nie rozumiem – wtrącił Tonfa. – To znaczy, że ma do nich klucze?

Erwan nie odpowiedział, niczego nie był pewien.

– Jeszcze raz przejrzyjcie jej bilingi i pocztę elektroniczną.

– Isabelle Barraire nie miała już abonamentu – stwierdził Favini.

– Mam na myśli Katza.

– Sprawdzaliśmy. Same połączenia z pacjentami.

– Czy ja mówię po chińsku?! Morderca może być jednym z nich. Jestem pewien, że leczyła tę bestię.

Favini uniósł brwi, a Tonfa rzucił nieśmiało:

– Nie mamy nakazu ani podstaw…

Ból głowy stawał się coraz ostrzejszy. *Do diabła, nie zniosę tych świateł!*

– Nie będę tego powtarzał: naszym nakazem i podstawą naszych działań jest pościg za zbiegłym mordercą. Koniec z ceregielami. Wchodzimy wszędzie, gdzie nam się podoba.

– Ale rodzina Barraire’ów…

– Mam ich gdzieś. Isabelle ukrywała wariata, którego nazwisko figuruje w dokumentacji medycznej.

W tym momencie podszedł do nich policjant z brygady z Rueil. Na jego twarzy malowało się zmęczenie, a w ręce osłoniętej lateksową rękawiczką trzymał przed sobą jakiś przedmiot.

– Znaleźliśmy to w piwnicy, ukryte pod piecem grzewczym.

Erwan wciągnął nowe rękawiczki i wziął od niego znalezisko. Była to dwudziestocentymetrowa figurka człowieka ulepiona z gliny, w stylu naiwno-ekspresjonistycznych statuetek afrykańskich, fetysz najeżony zardzewiałymi gwoździami i kawałkami szkła.

Nkondi, które niedawno wyszło spod ręki twórcy. Ta figurka miała wartość podpisu.

Zapadła grobowa cisza. Tonfa i Favini poczuli się, jakby nagle wepchnięto ich w koszmar, o którym starali się zapomnieć od dwóch miesięcy.

Erwan był w innej sytuacji, bo nie obudził się jeszcze z tego makabrycznego snu.

Potrzebował dowodu na to, że spełniają się najgorsze przypuszczenia, i już go miał. Natknęli się na kolejnego kandydata na następcę mordercy z Katangi. A może, jakkolwiek mogłoby się to wydać szalone, Thierry Pharabot we własnej osobie powrócił z zaświatów.

– Zabezpiecz to jak należy – polecił policjantowi z Rueil.

Funkcjonariusz odszedł. Tonfa i Favini wciąż milczeli. Ich twarze wyłaniały się z ciemności w blasku kogutów: niebieskie, białe, pomarańczowe.

– Zaczekajcie chwilkę.

Odszedł i wybrał numer pułkownika Verny’ego. Żandarm ledwie zdążył odebrać, a Erwan już domagał się podsumowania przesłuchania personelu i pacjentów Instytutu Charcota.

– Dotąd nic. Przesłuchaliśmy około połowy…

– Jest pan tam jeszcze?

– Nie, wszyscy wróciliśmy do domów. Już po dziewiątej. Jutro pracujemy dalej. Profesor Lassay jest dość przychylny, więc…

– Niech pan tam jedzie i zatrzyma go. Natychmiast.

– Co? Z jakiego powodu?

Erwan zachichotał jak wariat.

– Załóżmy, że za ukrywanie dowodów, utrudnianie śledztwa, fałszywe zeznania, a do tego, czemu nie, uprowadzenie i zawłaszczenie zwłok.

– Nie rozumiem, o czym pan mówi.

– Nie szkodzi. Proszę mi go przechować w zamrażarce.

– Wraca pan?

– Proszę go wsadzić jeszcze dziś w nocy. Zadzwonię rano i powiem panu, kiedy przyjeżdżam. Do diabła, niech go pan zapuszkuje!

Rozłączył się, mówiąc sobie, że mimo pewnych niespójności, ta historia zaczynała się układać w logiczną całość. Wszystkie tropy prowadziły do Instytutu Charcota. Isabelle Barraire była tam leczona w pierwszych latach

XXI wieku, potem tam pracowała. Thierry Pharabot – rzekomo – dokonał tam żywota w 2009 roku. Czterej opętańcy ukradli – albo tak im się wydawało – komórki seryjnego zabójcy. Uczeń dawnego *nganga* – Kripo – krążył w pobliżu tego miejsca, aż w końcu uznał się za nowe wcielenie swojego mistrza.

W sercu Instytutu Charcota promieniował Pharabot. Czarna gwiazda, wokół której krążyły planety. Materializacja pierwotnych instynktów i morderczych żądz, które przyciągały zło jak magnes drobiny żelaza.

W głębi ducha Erwan czuł to przyciąganie. Ten mroczny magnetyzm, który decydował o biegu spraw.

Wrócił do swoich ludzi, potykając się o grudki ziemi. Miał wrażenie, że wychodzi z symulatora lotów.

Mimo wszystko miał jeszcze dość zimnej krwi, żeby zapytać Tonfę:

– Pamiętałeś, żeby zająć się José Fernandezem?

– Kim?

– Plugiem. Pielęgniarzem z Charcota.

Policjant uderzył się ręką w czoło, pełen skruchy.

– Cholera, zapomniałem o nim! Przez tę historię z Audrey zupełnie…

– Zrób to. Teraz. Chcę z nim pomówić jutro rano, bez względu na to, czy siedzi w więzieniu, jest w Bretanii czy na Marsie.

Oficjalnie Thierry Pharabot zmarł nocą 23 listopada 2009 roku. Lekarz z Cavale Blanche przyjechał, żeby wystawić akt zgonu. O świcie José Fernandez z kolegą odwieźli zwłoki do krematorium w Breście, w strefie działania pułkownika Verny’ego. Tuż przed spaleniem Plug pobrał fibroblasty z ud nieboszczyka. Miały być wykorzystane do przeszczepu szpiku kostnego. Potem Człowiek Gwóźdź obrócił się w popiół.

To wszystko było kłamstwem.

Istota sprawy rozegrała się w ciągu tych kilku godzin. Trzeba przycisnąć Pluga. Wrócić do Bretanii. Przesłuchać Lassaya. Znaleźć lekarza, który wydał zezwolenie na pogrzeb. Odszukać, jednego po drugim, autorów tego oszustwa.

Erwan splótł ręce na piersi i mamrotał jak wariat, klepiąc się po ramionach, żeby się rozgrzać, kiedy wreszcie pojawił się Riboise. Komendant zrobił krok w jego stronę i wrzasnął:

– Kurwa! Co ci odpieprzyło?! Czekamy tu od dwóch godzin!

Lekarz, idąc z teczką w ręce, milczał. Z jego twarzy buldoga wyzierało zdumienie – nie spodziewał się zastać tu Erwana.

– Nie rozumiem… – powiedział w końcu. – Nikt cię nie zawiadomił o chorobie twojej matki?

103

Diabeł jest przy mnie.

Przekonywał ją o tym każdy etap po korridzie w apartamencie 418. Najpierw dyrekcja hotelu Château Rappaz poprosiła gości, aby pozostali w pokojach do chwili wezwania do jednej z sal konferencyjnych. Personel wspomniał coś o „wypadku” na czwartym piętrze.

Przed dziewiętnastą zaprowadzono ją na parter. Wyczuwała panującą wszędzie atmosferę przerażenia. Dostosowała się do tego klimatu, nieśmiało zadając pytania, ale i nie kryjąc oburzenia (w końcu była klientką hotelu i nie mogła pojąć takiego zamieszania). Skupiła się na tej roli, żeby nie myśleć o jatce. Czuła się jak tuż po przebudzeniu – nic nie było jeszcze jasne, dopiero odzyskiwała trzeźwość myślenia, ale odsuwała od siebie wyłaniające się z pamięci sceny.

Przesłuchanie okazało się czystą formalnością. Policjanci, dociekliwi jak ten znudzony celnik z lotniska, zadali jej kilka podstawowych pytań, nie odrywając oczu od papierów, w których starannie coś zakreślali. Paszport. Powody przyjazdu. Krótka relacja z dnia i czasu spędzonego w hotelu.

Dziewczyna, od której Gaëlle pożyczyła paszport, nie tylko była do niej podobna, ale też dawała jej dobre alibi – należała do wielu stowarzyszeń ekologicznych, a jedno z nich, domagające się ochrony zagrożonych gatunków w europejskich lasach, miało siedzibę w Lozannie. Gaëlle powiedziała przesłuchującym ją, że robiła zakupy (podała adresy dwóch sklepów i orientacyjną godzinę pojawienia się w każdym z nich), udała się do biura stowarzyszenia, żeby przedstawić projekt ratowania orłosępa. „Trzeba o nie walczyć!” Żeby uwiarygodnić tę bajkę, wyjęła z torby wydrukowaną wcześniej broszurkę o tym ginącym gatunku. Policjanci tylko na siebie popatrzyli: rozpieszczona córeczka tatusia, która nie ma nic lepszego do roboty, więc zajmuje się ochroną jakiegoś drapieżnego ptaszyska. Kilka ruchów długopisu. „Dziękujemy pani”.

Gaëlle posunęła się w bezczelności aż do prośby o zgodę na jak najszybsze opuszczenie hotelu. Uzyskała ją. To śledztwo było rutynowe, wszystko bowiem wskazywało, że zamach na Trésora Mumbanzę, osobistość wpływową w Katandze, przyszłego kandydata na gubernatora prowincji, zakończył się rzezią. Dlaczego mieliby podejrzewać taką głupią gąskę?

Diabeł jest przy mnie.

Udało jej się zdążyć na TGV o dwudziestej czterdzieści pięć. Wszystko potoczyło się jak najlepiej i mogła właściwie uważać się za profesjonalną zabójczynię, przed którą otwiera się świetlana przyszłość. Ale w wagonie puściły jej nerwy. Teraz łzy tryskały jej z oczu jak woda z fontanny Petrarki, a pociąg mknął przez helwecką noc z prędkością ponad trzystu kilometrów na godzinę.

Nad czym tak płakała? Na pewno nie nad tymi trzema łajdakami, których załatwiła jak w transie. Ani nad Padre, którego pragnęła pomścić z niezrozumiałego powodu. Płakała chyba nad sobą. Dotąd trzymała ją przy życiu nienawiść, jaką pałała do ojca. Kiedy starego zabrakło, natychmiast znienawidziła jego zabójców. *Who's next?* W polu rażenia pozostała już tylko ona.

Oparła się o szybę. W czapce naciągniętej na brwi, otuliwszy resztę twarzy szalem, cicho płakała. Nagle uświadomiła sobie, że stała się atrakcją wagonu – pasażerowie zerkali na nią ukradkiem, inni, przechodząc obok, rzucali współczujące spojrzenia.

Musiała rozprostować nogi. Wypić kawę w wagonie restauracyjnym albo chociaż opłukać twarz w toalecie. Wstała i dla dodania sobie pewności wyjęła telefon. W korytarzyku na końcu wagonu włączyła go. To, co zobaczyła, kompletnie wytrąciło ją z równowagi: dwanaście połączeń, w tym trzy w ciągu ostatniej godziny, od Loïca. *Cholera*. Zapomniała o roli osobistego trenera brata.

Najwyraźniej się załamał i sięgnął po narkotyki albo był tego bardzo bliski.

Przeszła do esemesów i uzyskała zaskakujące wyjaśnienie: Maggie miała atak w Instytucie Medycyny Sądowej, około dziewiętnastej, kiedy czuwali przy zwłokach ojca. Przewieziono ją na intensywną terapię Szpitala Georges-Pompidou. Loïc mówił o reanimacji, o migotaniu przedsionków, o tarczycy…

I nagle przestała płakać. Połączyła się z bratem, odchrząknęła. W ciągu kilku sekund znów stała się dziewczyną z żelaza. To była jedyna zaleta klanu Morvanów: jeśli się załamywali, to najwyżej na godzinę czy dwie.

Klątwa to pełnoetatowa praca.

104

– Panów matka ma nadczynność tarczycy. Nastąpił przełom tarczycowy.

– Co to znaczy? – zapytał Loïc

Erwan potrafiłby mu to wyjaśnić. Maggie już dwukrotnie miała takie ataki. Przypadek sprawił, że młodszego syna wtedy nie było, on zaś znalazł się w pobliżu – arytmia serca, konwulsje, gorączka. Za drugim razem, w 2000 roku, lekarze zalecili wycięcie części gruczołu. Prawdopodobnie usunęli za mało.

– Podniesienie poziomu hormonów T3 i T4 spowodowało silne migotanie przedsionków – powiedział lekarz. – Najwyraźniej już wcześniej chorowała na serce… W ostatniej chwili udało się zapobiec zatrzymaniu akcji serca.

Poinformowany przez Riboise'a Erwan zadzwonił do Loïca. Maggie trafiła do Szpitala Georges-Pompidou. Nie zwymyślał brata – to mogło poczekać, ale natychmiast pojechał do kliniki. Nie wiedział już, gdzie jest, prawdę mówiąc, nie wiedział nawet, czy jeszcze żyje. Ojciec zamordowany. Audrey złożona w ofierze. Kolejny – albo znowu ten sam – zabójca na wolności. A teraz jeszcze Maggie.

– Jaki jest jej stan? – przerwał.

– Zaintubowaliśmy ją i monitorujemy.

– Proszę mówić jasno.

Nie silił się na uprzejmości, ale lekarza to nie uraziło. Kiedy patrzy się w oczy śmierci, nie ma miejsca na kurtuazję.

– Ustabilizowaliśmy pracę serca i zbiliśmy temperaturę. Stopniowo obniżamy poziom hormonów tarczycy i podajemy antybiotyki o szerokim zakresie działania, żeby wyeliminować ryzyko infekcji.

– Jak ona się czuje?

Erwan znów podniósł głos. Jego zdenerwowanie dawało o sobie znać w każdym słowie. Tym razem lekarz zagryzł usta. Obrzucił go spojrzeniem, z którego nie wyzierało zdziwienie, ale raczej chłodny profesjonalizm.

Drżenie, zaczerwienienie, pocenie się – Erwan lada chwila sam mógł wylądować na ostrym dyżurze.

– Musieliśmy wprowadzić ją w stan śpiączki.

– W stan śpiączki? – powtórzył jak echo Loïc.

– To odwracalne – uspokoił ich lekarz. – Inaczej nie zdołalibyśmy jej ustabilizować. Tu nie chodzi tylko o serce… Cały metabolizm jest w rozsypce. Trzeba co najmniej miesiąca, żeby doprowadzić do normy hormony tarczycy i żeby organizm się wyciszył. Musi zostać tu, na intensywnej terapii.

Erwan oparł się o ścianę. Jego brat i on mieli na sobie papierowe fartuchy, czepki i ochraniacze na obuwie. Wszyscy trzej stali w typowym szpitalnym korytarzu. Był biały, ale budził czarne myśli. Ciepły i duszny. Aseptyczny, a jednak skażony śmiercią. Jedno tylko było pozytywne – Erwan nie czuł już zimna.

– Czekamy na jej dokumentację medyczną – powiedział lekarz. – Przeszła zabieg usunięcia tarczycy, tak?

– Częściowy. W dwutysięcznym roku.

– Obawiam się, że trzeba będzie go powtórzyć, kiedy poczuje się lepiej. Nie można już dłużej ryzykować.

Erwan skinął głową, ale właściwie już nie słuchał. Zaprzątało go coś innego. Kiedy przyszedł do szpitala, zastał Loïca w objęciach Sofii. Siedzieli skuleni na krzesłach jak dwa płochliwe zwierzątka. Nie dałby złamanego euro za ich zgodę, ale jedno było pewne – pasowali do siebie. Dwójka rozpieszczonych dzieciaków, które miały problemy tylko wtedy, kiedy same je sobie stworzyły. Ta scenka nawet go wzruszyła, bo zawsze nad nimi czuwał, był ich ochroniarzem, aniołem stróżem. I nie zamierzał przestać.

Włoszka nawet nie raczyła na niego spojrzeć. Nie robił z tego dramatu. W głębi duszy już ją zarchiwizował. Ale dlaczego Loïc do niego nie zadzwonił? Dlaczego skontaktował się z tą babą, z którą się rozwodził? Erwan poczuł się urażony jako głowa rodziny.

Automatycznie pomyślał o Gaëlle. Loïc próbował się do niej dodzwonić, ale bez skutku. Gdzie się znowu podziała? Co nowego wymyśliła? Czy morderca z Louveciennes jej zagrażał?

Głos lekarza przebił się przez te myśli.

– Staramy się ustalić przyczynę tego ataku. Sprawdziliśmy już poziom cukru we krwi, ale nic nie wskazuje na cukrzycę. To mogłoby być czynnikiem wyzwalającym. Poza tym wydaje się, że leki, które regularnie przyjmuje, są dobrze dobrane. Zastanawiam się… – wodził wzrokiem po twarzach braci – czy przeżyła ostatnio jakiś wstrząs?

Loïc nie zdążył mu powiedzieć o okolicznościach, w jakich doszło do ataku.

– Jej mąż – rzucił Erwan – a nasz ojciec, zmarł przedwczoraj. Właśnie żegnała się z nim w Instytucie Medycyny Sądowej.

– Rozumiem – lekarz zdjął papierową czapkę i wzburzył siwe włosy. – Chciałbym jeszcze o coś panów zapytać… Koledzy wspomnieli mi o licznych bliznach na ciele pacjentki – mówił zażenowany. – Ja również zauważyłem pewne ślady. Świadczą o trwającym przez długie lata znęcaniu się. To mogą być skutki samookaleczania się…

Dwaj Morvanowie bez słowa patrzyli na lekarza. Ich milczenie wydawało się wrogie.

Po chwili Erwan rozciął ten wrzód.

– Mąż nieustannie ją bił. Przypalał ją, dręczył, lżył. Dlatego teraz, kiedy wreszcie ma go z głowy, powinna jeszcze trochę pożyć. Choćby po to, żeby nacieszyć się tym światem i…

Loïc trącił go w ramię i przerwał tę cyniczną tyradę, pytając:

– Czy moglibyśmy ją zobaczyć?

105

O dwudziestej trzeciej bracia nadal czuwali przy matce.

W plątaninie rurek i kabli, otoczona przez skomplikowaną aparaturę z monitorami świetlnymi, wyglądała na filigranową. Widać było tylko żółtawe czoło i potwornie podkrążone oczy. Dolna część twarzy ginęła pod oddychającą za chorą maską.

Loïc i Erwan nie rozmawiali. Było im gorąco, byli głodni i mieli tego dość. Ale czekali – Gaëlle w końcu oddzwoniła i obiecała przyjść koło północy. Skąd wracała? Tego nie wiedzieli.

Erwan co kwadrans wychodził na korytarz, żeby ukradkiem odsłuchać wiadomości – używanie telefonów na tym oddziale było zabronione. Polowanie na mordercę Audrey nie posunęło się ani o krok. Sąsiedzi podawali sprzeczne informacje. Poszukiwanie świadków zaowocowało jedynie fałszywymi albo mętnymi wiadomościami. Blokada dróg doprowadziła do korków. Erwan wiedział, że jutro rano te środki zostaną ograniczone – nikt nie będzie bez końca angażował potężnych sił policyjnych do poszukiwania zabójcy, którego rysopis nie był znany.

Polowanie jego grupy też nic nie dało. Chorzy leczeni przez Isabelle Barraire w okresach jej pracy w szpitalu wciąż pozostawali w jego murach albo kontrolowano ich dzięki terapii farmakologicznej. Ci z Feuillantines, których nazwisk nie dało się ustalić, spokojnie spali, a Erwan wątpił, by którykolwiek z nich odpowiadał profilowi mordercy. Co do tych z gabinetu Katza, żaden nie przejawiał skłonności do przemocy. Zwykle cierpieli na nerwice.

Pozostawał Człowiek Gwóźdź, zmarły morderca, duch Instytutu Charcota.

Ale tym Erwan miał zająć się osobiście nazajutrz rano, kiedy pojedzie przesłuchać Lassaya. Przed wyjazdem miał nadzieję przycisnąć José Fernandeza, czyli Pluga, ale Tonfa dotąd nie ustalił miejsca jego pobytu.

Poza tym jego ludzie byli na ulicy Nicolo i na de la Tour – ani śladu intruza czy jakiejkolwiek podejrzanej osoby w okolicy. Erwan się mylił – morderca na pewno nie miał kluczy do mieszkania Isabelle i nawet nie znał jej adresu. Jak jednak zdołał się ulotnić?

W tym natłoku złych wiadomości odebrał także niepokojący telefon od Gérarda Combe'a z klubu strzeleckiego w Épinay-sur-Seine, który poinformował go, że Loïc chciał kupić od niego udoskonaloną berettę 92. Idąc korytarzem, Erwan widział za uchylonymi drzwiami brata drzemiącego przy łóżku Maggie.

– Mam nadzieję, że odmówiłeś?

– To znaczy…

– Co?

– Zaproponował mi istną fortunę.

– Nie ma pozwolenia.

– Ale to jeden z najlepszych strzelców, jakich kiedykolwiek spotkałem.

– Loïc?

– Trafiał za każdym razem, i to obiema rękami.

Jego brat był oburęczny, ale skąd takie umiejętności strzeleckie? I co chodziło mu po głowie? Co zamierzał zrobić z bronią, skoro poruszał się tylko między aleją Matignon a Trocadéro?

– Odbiorę mu spluwę – stwierdził Erwan. – Ale jeżeli mi się nie uda, oskarżę cię o nielegalny handel bronią.

– Morvan, ja…

Po powrocie do pokoju próbował wycisnąć coś z brata, ale bez powodzenia. Loïc nie zamierzał mu się tłumaczyć i nie chciał oddać pistoletu. Pokłócili się szeptem przy łóżku matki – to naprawdę nie było miejsce na awantury.

Po godzinie znów zadźwięczał telefon i znów pojawił się powód do lęku. Fitoussi przekazał mu najnowszą wiadomość – Trésor Mumbanza, który wpadł do Lozanny trochę się zabawić, został zastrzelony w pokoju hotelowym przez swoich dwóch ochroniarzy, ale przed śmiercią zdążył ich zabić. Fitoussi nie był zbyt bystry, jednak wiedział dość dużo o Coltano, Katandze, zabójstwach Nseko i Montefioriego, żeby połączyć tę jatkę ze śmiercią Morvana. Przed spotkaniem na Quai d'Orsay chciał poznać opinię Erwana, ten jednak zachowywał ostrożność – ani słowa

o odpowiedzialności Mumbanzy za śmierć Morvana czy o kombinacjach związanych z Coltano i nowymi złożami.

Prawdę mówiąc, Erwan nic nie wiedział, ale ta śmierć przyszła w samą porę. No, może trochę za wcześnie. Dalszy ciąg porządków Balaghina? Zemsta za śmierć Pontoizau? Kolejne potyczki o stołki w zarządzie Coltano? „Sprawa czarnuchów” – jak by powiedział Morvan?

Rozłączył się i usłyszał stukot obcasów w holu na piętrze. Przez szybę w drzwiach wahadłowych zobaczył zaróżowioną twarz Gaëlle i jej czarną czapeczkę.

– Gdzie byłaś? – zapytał, podchodząc do niej.

– W Szwajcarii.

– O cholera… – syknął przez zęby.

– Jak się czuje mama?

Chwycił ją za rękę i popchnął w stronę schodów służbowych.

– Zwariowałeś? – krzyknęła.

– Idź.

W ciągu paru sekund zaciągnął ją na dół i wypchnął przed szpital daleko od zaduchu i smrodu środków dezynfekujących, od łuszczącej się farby.

– Tylko mi nie mów, że Mumbanza to ty.

– A co?

– Zupełnie oszalałaś?

– Przecież to on kazał zabić tatę, nie?

Erwan przetarł twarz rękami. Nie wiedział, jak zareagować.

– Postanowiłaś zabić tymi rączkami człowieka, nawet nie wiedząc, czy jest winny i kim jest?

– Przecież sam mi powiedziałeś…

– Podałem najbardziej prawdopodobną hipotezę. Ale to nie wystarcza, żeby kogoś osądzić, a tym bardziej zabić. Za kogo ty się uważasz? Za miecz sprawiedliwości?

W odpowiedzi prychnęła, nadąsana.

– Zdajesz sobie sprawę, jakie podjęłaś ryzyko? Jesteś kompletną wariatką!

Spokojnie otworzyła torbę i wyjęła papierosa.

– Tak czy inaczej był śmieciem – szepnęła, zaciągając się.

– A co ty o tym wiesz?

– Wobec kobiet na pewno.

Erwan poczuł, że krew nie dopływa mu do mózgu. Miał zawroty głowy, jakby gwałtownie się podniósł. Na samą myśl o tym, że ten łajdak mógł dotknąć jego siostry, pożałował, że nie da się go wskrzesić tylko po to, żeby zabić własnymi rękoma.

– Jak to uknułaś? – zapytał w końcu.

Gaëlle opowiedziała mu o swoim planie. To była niesamowita historia z paszportem koleżanki, korkiem od szampana, żyletką i sztuczkami z bronią. Jako policjant pomyślał z żalem, że on i jego koledzy trawią czas, włócząc się po ulicach, żeby łapać zabójców, a teraz ta mała przedstawia mu scenariusz z pogranicza kreskówki i diabelskiego horroru.

Najbardziej szokujące było jednak to, że Gaëlle się udało. „Im grubszymi nićmi szyte, tym skuteczniejsze” – powiedziałby Morvan. Śledztwo pewnie już zamknięto. Trajektorie kul potwierdziły hipotezę porachunków. Szwajcarscy policjanci nie mieli powodu drążyć tej sprawy, tym bardziej że w 2001 roku Laurent-Désiré Kabila, prezydent Konga, także został zabity przez własną ochronę. Erwan był pewien, że Gaëlle o tym wie.

Na zakończenie sięgnął po check-listę zbrodni doskonałej.

– Kamery monitoringu?

– W tej części korytarza ich nie ma. Pokój sąsiadował ze schodami służbowymi.

– Jesteś pewna?

– Tak. Nikt mnie nie widział. Nikt nie wiedział, że czeka na dziewczynę. Tylko jego ochroniarze.

– Przez kogo do niego trafiłaś?

– Przez Payola.

No jasne. Wykluczone, żeby ten luksusowy stręczyciel pisnął słowo. Prawdopodobnie zrobił, co się da, żeby nikt nie skojarzył go z tą sprawą.

– Dworzec, odprawa celna?

– Kupiłam bilet na nazwisko koleżanki.

Jedynym szczegółem, który mógłby wzbudzić podejrzenia szwajcarskiej policji, było nazwisko Morvana, zamordowanego dwa dni wcześniej na terytorium Mumbanzy. Ale pożyczając paszport, Gaëlle uniknęła takich skojarzeń. Im dłużej Erwan analizował sytuację, tym sprytniej wydawała mu się zaaranżowana.

Zacisnął zęby i powiedział:

– Trudno mi uwierzyć, że wyszłaś cało z takiej afery.

– Szczęście debiutantki.

– Bawi cię to?

Gaëlle znów zapaliła papierosa. Jej twarz pobladła.

– Za to ty wcale mnie nie bawisz. Przecież odwaliłam kawał dobrej roboty – zripostowała, zaciskając wargi na papierosie.

– Nie denerwuj mnie.

– Wróciłeś z Konga z ojcem w trumnie i nie kiwnąłeś palcem, żeby go pomścić?

– Przypominam ci, że zabiłem jego mordercę.

– A ja zabiłam tego, który kazał go zgładzić.

Erwan bezsilnie machnął ręką. Nie miał ochoty się tłumaczyć ani nawet kontynuować tej rozmowy.

Mimo to, chyba z przyzwyczajenia, dorzucił jeszcze:

– Nie poznaję cię. Zawsze nienawidziłaś ojca, a teraz podejmujesz bezsensowne ryzyko, żeby go pomścić? Może raczej powinnaś podziękować Mumbanzie?

– Erwan – rzuciła ze złością – nie udawaj głupszego, niż jesteś.

Wycofał się. Loïc, Gaëlle i on niby to nienawidzili ojca, jednak od jego śmierci żadne z nich nie poczuło zadowolenia ani nawet ulgi. Przeciwnie – niewypowiedziany, silny, nieprzenikniony smutek narastał w nich z każdą godziną, niszczycielski jak tsunami. Czy od zawsze błędnie interpretowali swoje uczucia?

Jedynym, który miał podstawy zmienić opinię o ojcu, był Erwan, bo na mokradłach Lontano dowiedział się wiele nowego. Ale oni? Czy też się domyślali, że na korzyść starego przemawiają „okoliczności łagodzące”? Czy w głębi duszy zawsze czuli, że Grégoire był wart więcej, niż myśleli, widząc, jak tłucze żonę?

A on? Czy powinien powiedzieć im, co odkrył w Kongu? Dotąd nawet nie przyszło mu to na myśl. *To sprawy osobiste*. Prawdę mówiąc, Gaëlle i Loïc też mieli prawo poznać pochodzenie ojca i dowiedzieć się, jak zginęła Cathy Fontana. Nie – nie mógł oczerniać Maggie, żeby wybielić Morvana. I nie chciał godzić się na status „elementu dodanego”.

Już miał rzucić jakiś frazes, żeby załagodzić sytuację, kiedy Gaëlle rzuciła papierosa i weszła do budynku.

– Idę do mamy – powiedziała, zimna jak posąg z lodu.

106

Erwan poszedł za nią. Ledwie znalazł się w holu, rozdzwonił się jego telefon. Favini.

– Zaraz przyjdę – mruknął do siostry, zawracając.

– Znalazłem Pluga – powiedział Favini.

– Gdzie jest?

– Na Cmentarzu Południowym przy bulwarze Dieu-Lumière w Reims.

Już adres brzmiał jak drwina. Erwan z przyjemnością wdychał zimne powietrze. Ten stary wróg przywrócił mu ochotę do walki.

– Mów jaśniej.

– Wypruli mu flaki w październiku, w więzieniu centralnym w Condé-sur-Sarthe. Bójka między więźniami.

– Czekał na proces w więzieniu centralnym?

– Rzeczywiście, to dziwne. Muszę sprawdzić dlaczego. Zwłoki przewieziono do jego rodzinnego miasta, gdzie nadal mieszkają jego rodzice.

– Mają winnego?

– To niejaki Patrick Benabdallah. Kartotekę ma długą jak mój fiut. Z akt wynika, że to psychopata. Zresztą po tym zabójstwie trafił do zakładu psychiatrycznego.

To już nie było śledztwo, tylko statek szaleńców, jak z Boscha.

– Tylko mi nie mów, że wysłali go do Instytutu Charcota.

– Wręcz przeciwnie: stamtąd przyszedł. Powiedziałem ci, że Benabdallah ma na sumieniu ciężkie grzechy. Zabójstwa, gwałty, bestialstwo, kazirodztwo. Jak zwykle eksperci sobie przeczyli, a on przez jakiś czas czekał w instytucie, zanim trafił w końcu do Condé-Sur-Sarthe.

– W jakich latach był w instytucie?

– Od dwa tysiące piątego do dwa tysiące siódmego roku.

– Czyli znał Pluga?

– Na pewno. Można założyć, że to były porachunki z dawnych dobrych czasów.

– Gdzie jest teraz?

– Czekaj, czekaj…

Favini powiedział to, lekko podśpiewując, bo lubił czasem nagle się „wyluzować”. To bywało irytujące, ale tej nocy każdy sposób rozładowania napięcia wydawał się dobry. Śmierć Audrey była dla nich tragedią, z którą nie mogli się pogodzić.

– To Henri-Colin w Villejuif. Sektor 94D00, oddział intensywnej terapii. Sam widzisz, z kim mamy do czynienia.

Erwan wiedział. Najstarsza taka placówka we Francji, ośrodek referencyjny. Było już po północy, mógł jechać do domu, przespać się kilka godzin i jechać tam w porze śniadania.

– Uprzedź ich, że będę z samego rana. W Louveciennes wciąż nic?

– Levantin i jego ludzie jeszcze przetrząsają dom.

– Miałem na myśli sąsiadów, blokady.

– Nic. Gość jest już daleko. Równie dobrze można łowić raki w kałuży.

Erwan zamierzał się rozłączyć, kiedy Sardynka dodał:

– Mam dla ciebie coś innego. Philippe Hussenot. Prosiłeś, żebym zasięgnął języka na temat tej sprawy zastrzeżonej…

Rojenia Gaëlle urastały do rangi informacji, które trzeba było weryfikować…

– I co?

– Jeden z moich kumpli z narkotyków zna to nazwisko. W dwa tysiące szóstym, kiedy był w BRB, proszono go o nawiązanie kontaktu z naszym oficerem łącznikowym w Grecji w sprawie wypadku samochodowego. Chodziło o Hussenota.

– Kto go o to prosił?

– Jego ówczesny przełożony, Pascal Viard.

Kiepska nowina. Viard był błyskotliwym i ambitnym gliną, dawniej z brygady kryminalnej. Robił karierę, wdeptując kolegów w ziemię jak niedopałki papierosów. Zachowywał pozory – dbał o wizerunek artystycznej duszy, ekologa, sympatycznego faceta, ale umysł miał jak brzytwa, był twardy i zimny jak stal.

– Coś jeszcze?

– To wszystko. Mój kumpel nic więcej nie wie. Ale jeśli ktoś zadbał o brak dostępu do informacji o Hussenocie, to właśnie Viard.

Przed laty ten geniusz opuścił Quai des Orfèvres i przeniósł się na Beauvau. Erwan nie wiedział, jakie zajmuje stanowisko, ale zapowiadał się na najlepszego następcę Morvana w departamencie „dyskretnych operacji, szantażu i manipulacji”.

– Znajdź mi jego prywatny adres, zaniosę mu rogaliki na śniadanie.

Rozłączył się, odetchnął jeszcze chłodnym powietrzem na asfaltowym dziedzińcu, na który raz po raz wjeżdżały karetki SMUR. Erwan zaczynał odczuwać brak snu. Bał się szoku termicznego – prosto z afrykańskiej spiekoty trafił do mokrego, oszronionego Paryża.

Zerknął jeszcze na komórkę, idąc pożegnać się z rodzeństwem. Nieodebrane połączenie. Cyril Levantin. *Cholera*. Koordynator Policji Śledczej od kilku godzin kręcił się po willi w Louveciennes.

– Wszędzie pełno jego odcisków – oznajmił niemal radosnym tonem, kiedy Erwan oddzwonił.

– Czyich?

– Zgadnij! Thierry’ego Pharabota, który ożył jak Łazarz!

Paskudny ból w splocie słonecznym. Levantin przynajmniej znał sprawę na pamięć.

– Nie wygłupiaj się.

– Wcale się nie wygłupiam. We wrześniu ściągnąłem jego odciski. Porównanie z dzisiejszymi nie pozostawia cienia wątpliwości. A jeżeli chcesz, to mam sporo próbek DNA, które nam to potwierdzą. Mogę cię zapewnić, że twój czarownik jest całkiem żywy i że przeczytał dziesiątki książek z biblioteki Louveciennes, a camembert je palcami.

To, czego tak się obawiał, stało się faktem – morderca z Konga żył. Spaprali całe wrześniowe śledztwo. Ofiar nie zabił ani Kripo, ani żaden z czterech panów po przeszczepie szpiku.

Erwan poprosił Levantina o jak najszybsze przygotowanie szczegółowego raportu.

– Poza tym – podjął ekspert – ten język…

– Co?

– Mówię o ranie Audrey.

W głosie Levantina pobrzmiewał niezwykły u niego szacunek. Erwanowi stanął przed oczyma ten straszny obraz: język wystający spod brody Audrey.

– Wiedziałeś, że to klasyczne okaleczenie kolumbijskie? Nazywają to *corte de corbata*, „wiązanie krawatu”.

Erwan o tym wiedział, ale nie skojarzył. Okaleczenie nie miało nic wspólnego z Kolumbią, było raczej wariantem afrykańskich potworności, jakie widywał, albo nowym szaleństwem Człowieka Gwoździa. Pharabot nie miał czasu na dopełnienie rytuału. Chciał tylko zaznaczyć podobieństwo ofiary do *minkondi* z Dolnego Konga. Duże ciemne oczy, czubek języka wystający z wykrzywionych w drwiącym uśmiechu ust.

Bąknął coś i rozłączył się, zapominając nawet powiedzieć dobranoc. Oparł się o furgonetkę i próbował sformułować pierwsze wnioski z tej sensacyjnej informacji. Podstawienie zwłok w Instytucie Charcota nocą 23 listopada 2009 roku. Izolacja Pharabota do 2012 roku. Ucieczka bestii w piątek 7 września 2012 roku i zabójstwo Wissy Sawirisa. Szaleniec kontynuował łowy, ukrywając się u Isabelle Barraire.

Ból przesuwał się od splotu słonecznego w stronę gardła. Jak mogli tak bardzo się pomylić? To była seria kardynalnych błędów. Taka, jakiej każdy szanujący się glina boi się przez całe życie. Ścigano, podejrzewano i zabito ludzi może nie niewinnych, ale z pewnością nie tych, którzy byli sprawcami zbrodni.

Przed oczyma stanęła mu twarz Lassaya, dyrektora Instytutu Charcota. W ten czy inny sposób wszystkie tropy prowadziły do niego. Przymknął oczy na upozorowaną śmierć Pharabota, a może nawet sam ją organizował. Przez długie lata ukrywał *nganga*. Jaki miał w tym interes? Dlaczego potem nagle go uwolnił? A może Pharabot po prostu uciekł? Czy Lassay i Barraire nie utrzymywali ze sobą kontaktu?

Musiał wsiąść jutro do samolotu i dopaść psychiatrę. Poddać go przesłuchaniu w gestapowskim stylu i zmusić do wyznania prawdy. Tym razem Erwan miał zabrać ze sobą własny fetysz: ciało ojca. *Dwie pieczenie na jednym ogniu*. Wyciśnie tę historię z sześćdziesięcioletniego playboya i pogrzebie Grégoire’a tak, by mógł patrzeć na morze.

Telefon, który trzymał w ręce, dzwonił już dobrych kilkanaście sekund, gdy to zauważył. Poznał sygnał przypisany do esemesów swoich ludzi.

Prywatny adres Pascala Viarda w 12 dzielnicy. Mistrz od trudnych spraw mieszkał wśród podobnych sobie, przy bazarze Aligre.

Zdecydował, że nie zajrzy już tej nocy do Maggie, i pobiegł do samochodu. Nie mógł czekać na wschód słońca, by odwiedzić tego łajdaka. Nie będzie rogalików ani względów na późną porę. Musiał załatwić to w stylu Morvana, z garścią kamieni zamiast wazeliny.

– Erwan?

Odwrócił się i zobaczył Sofię ubraną w czarne palto – prawdziwą kwintesencję stuleci elegancji. Hrabina prawdopodobnie wracała z kolacji i po drodze chciała zajrzeć jeszcze do Maggie. Jej oczy błyszczały w świetle latarni. Albo za dużo wypiła, albo płakała, albo była wściekła. A może i piła, i płakała, i była wściekła.

– Kto jeszcze ma umrzeć, żebyś w końcu do mnie zadzwonił? – zapytała, stawiając kołnierz.

CZĘŚĆ TRZECIA
FARMAKON

107

Erwan jechał drogą ekspresową na wschód Paryża. Stracił w towarzystwie Sofii kilka dodatkowych godzin, chociaż „stracił” nie jest odpowiednim określeniem, bo raczej coś zyskał, mimo że na razie nie wiedział co. Mówić o pocieszaniu byłoby przesadą, mówić o zrozumieniu nie oddałoby pełni tego, co mu dała.

Postanowili okrążyć budynek Szpitala Georges-Pompidou, żeby iść do parku André-Citroën. Przechadzając się wzdłuż trawników i klombów srebrzących się w blasku księżyca, rozmawiali i rozmawiali. Nie jak kochankowie ani nawet przyjaciele, ale jak członkowie rodziny, która się rozpada – jednocząc się, żeby nie dopuścić do ostatecznej klęski. Nikt nie wiedział, jak zaradzić sytuacji, nikt też nie mógł cofnąć czasu i wymazać z pamięci morderstw, podźwignąć się tak, jak odradza się pogorzelisko – z czasem znów żyzne i zdrowsze, czyste.

Erwan nie ośmielił się wspomnieć o wciąż czającym się niebezpieczeństwie – po każdym słowie, które wypowiadał, po każdym zdaniu, które mówiła szeptem, słyszał dziwny zgrzyt, który zakłócał spokój: „Człowiek Gwóźdź nie umarł…”. Straszenie Sofii nie miało sensu – przeżyła już szok, a teraz postanowiła zmienić swój stosunek do Loïca i zapomnieć o nienawiści, jaką pałała do rodziny. Spacer zakończyli na ławce, ale nawet się nie dotknęli. O tym, co zrobią z ciałem i sercem, mieli pomyśleć, kiedy cały ten koszmar stanie się już tylko złym wspomnieniem.

Teraz gdzieś w dali sodowe oświetlenie tuneli odcinało się od lśniącej jak mika, czarnej Sekwany. Wpatrzony w te ostre kontrasty strefy bieli i głuchego mroku Erwan odsłuchiwał wiadomość od Levantina: wszystkie próbki DNA z Louveciennes były zgodne z próbkami Pharabota. Zastanówmy się: piąty morderca mógł poddać się przeszczepowi, podobnie jak podejrzani z września, i teraz miał kod genetyczny mordercy. Ale Erwan w to nie wierzył. Po pierwsze, szwajcarski lekarz, który przeprowadził operację, nie wspomniał o kolejnym chętnym do przeistoczenia. Poza tym

pewne okoliczności śmierci Audrey – sprawca miał być kloszardem, dokonał potwornie brutalnego mordu i ukrywał się – nie pasowały do profilu bogatego fetyszysty.

I tak wrócił do starego poczciwego Człowieka Gwoździa. Zamordowany po bestialsku Wissa Sawiris – Pharabot. Anne Simoni i Ludovic Pernaud – także on, ale z pomocą Isabelle Barraire. Ten, kto napadł na Gaëlle w Świętej Annie, mniej pasował do wizerunku Pharabota – niemal na pewno atleta w kombinezonie zentai nie mógł być sześćdziesięcioletnim psychopatą zbiegłym z domu wariatów, podobnie jak ten sprinter, z którym Erwan spotkał się na kontenerowcu w marsylskim porcie.

To nic. W końcu to wyjaśni. Może nieracjonalnie, bo jak dotąd rozum podsuwał mu same fałszywe tropy. *Wczuj się w niego, postaraj się myśleć jak ta zjawa*. Przeczuwał, że za tym wszystkim kryje się tajemnica łącząca Jeana-Louisa Lassaya, Isabelle Barraire, Philippe'a Hussenota, a teraz także Pascala Viarda, czyli przedstawiciela francuskiej administracji. Dlaczego szpieg z Beauvau utajnił sprawę Hussenota? Dlaczego zatarł wszystkie ślady związku psychiatry z jego byłą żoną?

Erwan liczył, że za kilka minut pozna odpowiedź. Na wysokości Gare du Lyon zjechał z nadbrzeżnych bulwarów w lewo, w kierunku bulwaru Diderota. Żeby dać mózgowi chwilę wytchnienia i nie zadręczać się pytaniami, na które nie było odpowiedzi, pozwolił sobie na przerwę i skupił się na łajdaku, którego zamierzał obudzić.

Odwieczny wróg Grégoire'a Morvana. Przedstawiciel młodszego pokolenia, karmionego iluzjami mitterrandyzmu, Pascal Viard uosabiał w oczach Padre patologię i ohydę, jaką socjalizm skaził ideologię lewicy – połączenie cwaniackiej logiki burżuazji z hipokryzją, która pozwalała zachować spokój sumienia. Morvan uważał, że lepiej popełniać błędy, ale w dobrej wierze, choćby tak jak maoiści albo trockiści, niż nieuczciwie i dwulicowo wykorzystywać system. Pascal Viard był karykaturą pseudoartysty, intelektualisty, socjalisty, ekologa i globalisty. Istny Pan Świętoszek. Na placu Beauvau, gdzie dominował realizm, był prawdziwą osobliwością: glina w sztruksowej marynarce, starannie potargany i niedogolony, nosił szale i wytarte mokasyny, jadał żywność ekologiczną, jeździł na rowerze, wygłaszał podniosłe mowy i palił e-papierosa, więc ludzie woleli omijać go szerokim łukiem.

W „36” nie wiedziano, co o nim myśleć, bo w pracy zachowywał się jak szuja. Twardy glina, zwolennik podstępów i zastawiania sideł, piął się po szczeblach kariery, często idąc po trupach – dosłownie i w przenośni. Niegdyś jeden z najlepszych strzelców PJ, przed czterdziestką został komendantem, ale zawdzięczał to zarówno wynikom pracy, jak i szerokim kontaktom. Wyrastał za Mitterranda, za Chiraca budował pozycję, za Sarkozy’ego uczył się przyginać karku, a za Hollande’a rozwinął skrzydła. W pracy nawet nie starał się być sympatyczny – taki był w życiu prywatnym.

Erwan znalazł się tuż obok cokołu na placu Bastille – o trzeciej rano tu i ówdzie paliły się jeszcze światła. Skręcił w prawo, tuż za operą Bastylii, w ulicę Charenton. Nie potrzebował GPS-u – przy skrzyżowaniu tej ulicy z aleją Ledru-Rollin mieszkała jego dawna *sex friend* (nie znosił tego określenia). Nie zachował żadnych wspomnień o tej znajomości – ani seks, ani przyjaźń nie były więc chyba szczególnie atrakcyjne. Ale za to po najbliższej okolicy mógł jeździć z zamkniętymi oczyma, tak długo krążył zawsze po ulicach, szukając miejsca parkingowego.

Skręcił w prawo w Traversière, minął skwer Trousseau i dotarł na rynek Aligre. Uśpiona dzielnica pełna była staromodnych piwiarni, oświetlona latarniami w stylu Préverta, obfitująca w sklepy rzeźnicze i piekarnie, których szyldy reklamowały żywność „bio” i „wyroby własne” – czego dusza zapragnie. Wszystko to wydawało się równie prawdziwe jak cyrkowe dekoracje. W końcu Erwan natrafił na zaułek, w którym mieszkał Viard. Ujrzał pracownię artystyczną, manufaktury, małe ogródki przed kamienicami.

Wysiadając z samochodu, Erwan uświadomił sobie rzecz oczywistą – skoro mordercą z Louveciennes był Pharabot, to miał jego rysopis. Skontaktował się z Sandovalem, prowadzącym obławę komisarzem z Wersalu, i próbował mu to wyjaśnić. Ale sprawa okazała się trudna – mówiło się o afrykańskim mordercy, trzydzieści lat temu zamkniętym w zakładzie psychiatrycznym, zmarłym i pochowanym trzy lata temu. Teraz ten gość powrócił do świata żywych i szalał po przedmieściach, szukając nowych ofiar. Erwan obiecał dostarczyć w ciągu kilku godzin „postarzone” zdjęcie tego nieprawdopodobnego podejrzanego. Sandoval odłożył telefon, nic z tego nie rozumiejąc.

Zaraz potem Erwan zadzwonił do Tonfy i poprosił, żeby podjechał do jego mieszkania (ustalono, że klucze z kodem wejściowym zawsze będą ukryte na parkingu). Wyjaśnił mu dokładnie, gdzie leżą akta śledztwa z fotografią dwudziestoletniego Pharabota, a przy okazji poinformował podwładnego o zwrocie w śledztwie.

– Co mam zrobić z tym zdjęciem? – zapytał zdezorientowany Tonfa.

– Dzwoń do BPM i IRCGN[8], mają programy postarzające.

– Wierzysz w takie sztuczki?

– Ani moje, ani twoje zdanie nie ma w tej chwili znaczenia. Załatw to jak najszybciej, a potem prześlij portret na numer, który dostaniesz esemesem.

Rozłączył się, weselszy. Przez chwilę próbował przypomnieć sobie twarz Człowieka Gwoździa – widział jedyne policyjne zdjęcie tej anielskiej twarzy nieśmiałego młodzieńca o zapatrzonych w dal oczach, tak uderzająco jasnych. Nigdy nie próbował go sobie wyobrazić jako przygarbionego sześćdziesięciolatka w łachach pacjenta instytutu.

Żeby nie dobijać się do drzwi i nie obudzić sąsiadów, Erwan zadzwonił do Viarda. Po trzech sygnałach tamten odebrał komórkę. Nieźle, biorąc pod uwagę godzinę.

– Halo?

– Dobry wieczór, Viard, mówi Erwan Morvan. Muszę się z tobą natychmiast spotkać.

– Odbiło ci?

– Philippe Hussenot, Isabelle Barraire, Jean-Louis Lassay. Tylko mi nie mów, że nie znasz tych nazwisk.

– Nic nie rozumiem. Wiesz, która godzina?

– Stoję pod twoimi drzwiami.

Po minucie gliniarz wpuścił go do domu, trzymając prawą rękę za plecami – na tyle zaufania było go stać: spluwa zamiast uścisku dłoni.

– Co ty tu robisz? Jesteś stuknięty?

– Pozwól, że wejdę.

Viard cofnął się, ale przedtem wyjrzał na uliczkę. Wyrwany ze snu, wyglądał dokładnie tak samo jak w południe w pracy: potargany, niedogolony, niechlujny.

– Dzieci śpią – uprzedził. – Jeżeli któreś obudzisz, oberwiesz.

Erwan z uśmiechem wszedł do atelier. Wnętrze loftu idealnie pasowało do właściciela: surowe, industrialne, z recyklingu. Około sześćdziesięciu

metrów kwadratowych w jednym kawałku. Po lewej otwarta kuchnia. W głębi metalowe schody prowadzące na antresolę, którą podzielono na pokoje. Pośrodku długi stół rodzinny w stylu lat trzydziestych. Pod sufitem, rzecz jasna, nowojorskie lampy z matowego metalu. Projekt z „Elle Décoration”.

Erwan odruchowo podszedł do blatu, bo tylko tam paliło się jeszcze słabe światło.

– Daję ci pięć minut – rzucił gospodarz, stając za nim. – Mam za dużo własnych problemów, żeby marnować czas z powodu szurniętego Morvana i…

Nie zdążył dokończyć – pod wpływem impulsu Erwan chwycił z kuchenki czajniczek w stylu *vintage* i obrócił się, wyciągając rękę. Viard, nie spodziewając się tego ciosu, zatoczył się i upadł na podłogę, a jego broń wylądowała pod kanapą. Erwan doskoczył do niego i usiadł mu okrakiem na piersi, przygniatając go do ziemi.

– Viard – wycedził, przytykając mu lufę pistoletu do głowy – mojego ojca zabili w Afryce, a moja najlepsza policjantka zginęła makabryczną śmiercią. Wybrałeś kiepski moment na drażnienie się ze mną.

Viard machał ręką, dając znaki, że się poddaje. Policzek już zaczynał mu sinieć.

– Co chcesz wiedzieć? – szepnął, podnosząc się.

108

– Philippe Hussenot był psychiatrą – zaczął Viard, parząc kawę. – Zginął w dwa tysiące szóstym roku w wypadku samochodowym w Grecji.

– Razem z dwójką dzieciaków. Powiedz coś, czego nie wiem.

– Pracował dla nas.

Erwan podszedł do blatu. Gospodarz nie użył ekspresu, żeby nie hałasować – wykorzystał czajnik, na którym, przy odrobinie wyobraźni, można było jeszcze zobaczyć odcisk jego szczęki.

– „Dla nas”? Wydaje ci się, że pracujesz w CIA?

Czekając, aż woda się zagotuje, Viard masował policzek.

– Dobrze wiesz, co chciałem powiedzieć. Był ekspertem w sprawach karnych.

– Jako psychiatra?

– Nie, jako primabalerina.

– Ekspertów są dziesiątki.

– Ale nie tego rodzaju. Pracował tak, jak mu mówiliśmy. Dzięki temu mogliśmy dyskretnie pilotować przypadki… które budziły naszą troskę.

Ekspertyzy zgodne z zamówieniem: góra urodziła mysz. Prefekt parzył kawę, jakby przez całe życie nie robił nic innego. Siniak rozlał mu się już na cały policzek jak plama atramentu.

– Viard, obaj dobrze wiemy, że nie tak się to załatwia. Te pierdoły o psychiatrze możesz wciskać komu innemu. Kolejna ekspertyza podważyłaby wydaną przez niego i tak dalej.

– Kolego, nie zapoznałeś się z aktami. Hussenot był jednym z najlepszych i nie tak łatwo było mu się przeciwstawić.

To, co mówił Viard, nie pasowało do osoby opisanej przez Lassaya – psychiatry, który dobrze się ożenił, a z kliniki zrobił sanatorium dla bogatych cierpiących na depresję.

– W jakich sprawach wam pomagał?

Viard sięgnął po e-papierosa. Najwyraźniej palił o każdej porze.

– Na pewno wiesz, że ustępy pierwszy i drugi artykułu sto dwudziestego drugiego mówią o działaniu oskarżonego bez rozeznania w chwili popełnienia czynu?

– Do rzeczy.

– Hussenot pomagał nam obalać linię obrony adwokatów, którzy próbowali przekonać sąd o niemożności pociągnięcia klienta do odpowiedzialności. Ale znacznie częściej działał w przeciwnym kierunku.

– Nie rozumiem.

– Im trudniejsza sprawa, tym chętniej prokuratura się zabezpiecza, żądając pilnych ekspertyz w okresie zatrzymania albo postawienia zarzutów w trybie doraźnym.

Viard miał rację – nie można już było aresztować mordercy czy gwałciciela bez opinii psychiatrycznej. Najlepiej było, zanim na dobre zaczęło się zabawę, upewnić się, że podejrzany jest przy zdrowych zmysłach, albo ustalić, czy nie wymagał leczenia, czyli dokąd ma trafić: do pudła czy do wariatkowa.

– Kierowałem wtedy antyterrorystami. Kiedy dopadaliśmy brodatego, wzywaliśmy Hussenota, a on pisał raport umożliwiający dobranie się do gnoja. Ci opętani ekstremiści są odporni na wszystko – na bicie, na pogróżki, ale nie na substancje chemiczne.

Ciągnąc parującą tulejkę jak skręta, Viard szykował kawę konesera – istną perełkę aromatu i koloru.

– Chcesz powiedzieć, że Hussenot uznawał ich za niepoczytalnych i trafiali do zakładu, w którym mogliście ich przycisnąć?

– Właśnie. Hussenot podpisywał raport i jazda. A potem wstrzykiwano im wszystkie świństwa, byle zmusić ich do mówienia. Zdobyliśmy w ten sposób sporo informacji.

– Ale takich zeznań nie da się wykorzystać przed sądem.

– A kto ci mówi o trzymaniu się procedur? Nie zależało nam na postawieniu ich przed sądem, tylko ustaleniu nazwisk ich wspólników.

Była to łagodna wersja osławionych czarnych ośrodków – więzień wyjętych spod prawa, gdzie dżihadystów się torturuje albo poddaje działaniu substancji chemicznych.

– Pozwól, że zgadnę. To Hussenot zajmował się pacjentami kierowanymi przez sąd na oddział zamknięty?

– Brodaci trafiali nawet do aneksu jego własnej kliniki.

– W Feuillantines?

– Widzę, że się rozejrzałeś. Instytut został wybrany do „leczenia” więźniów na oddziale zamkniętym. Na ogół mieliśmy tylko kilka dni, do przedstawienia innej ekspertyzy, ale przez ten czas mogliśmy zadziałać na neurony bandziora i wycisnąć z niego wszystko, co wiedział. I to zupełnie bezkarnie.

Wyjaśnienia Viarda brzmiały coraz bardziej prawdziwie i pokrywały się z plotkami na jego temat: za wizerunkiem humanisty krył się glina przekonany o słuszności swojej krucjaty i pozbawiony wszelkich skrupułów.

Trzeba ukierunkować tę rozmowę.

– Nie przyszedłem tu, żeby się dowiedzieć, jakie robiłeś świństwa – przerwał Erwan. – Chcę tylko wiedzieć, dlaczego zatarłeś wszelkie administracyjne ślady Isabelle Barraire, byłej żony Hussenota, i jego dzieci.

– Robiła zamieszanie. Słodzisz?

Erwan pokręcił głową – ten glina doprowadzał go do szału swoimi salonowymi manierami.

– Co przez to rozumiesz?

– W dwa tysiące piątym roku dziennikarze zainteresowali się naszym małym systemem. Mieliśmy też problemy z adwokatami. Nie mogliśmy dopuścić, żeby fakt, że nasz naczelny psychiatra poślubił wariatkę z Chaillot, wyszedł na jaw.

– Ale przecież jej choroba nie była aż tak ciężka, a poza tym Hussenot zginął w wypadku w dwa tysiące szóstym roku.

– Naprawdę nic nie zrozumiałeś? Papugi doprowadziłyby do wznowienia postępowań, w których uwzględniono ekspertyzy Hussenota, a nawet do podważenia wyroków, na które wpłynęły zeznania naszych brodatych, a ta Mimi Świruska stałaby się nowym argumentem. Siłą Hussenota była jego reputacja. Zaufałbyś snajperowi, który strzelił sobie w stopę?

Nie przekonało to Erwana. Rola psychiatry w działaniach Viarda była podejrzana, a jego życie prywatne – nieistotne dla sądu. *Nie wydawaj pochopnych opinii*.

– Nie powiedziałeś mi jeszcze najważniejszego – podjął Viard, splatając ręce jak wódz Siuksów. – Skąd to nagłe zainteresowanie Hussenotami?

Nie było powodu ukrywać faktów.

– Isabelle Barraire zginęła w zeszłym tygodniu pod kołami samochodu w Paryżu.

– Czyżbyś pracował teraz w drogówce?

– U schyłku życia prowadziła praktykę psychiatryczną pod fałszywym nazwiskiem i w męskim przebraniu.

– Co to ma wspólnego z twoją działką?

Erwan po krótkim wahaniu wyjaśnił, ponieważ w tej chwili najbardziej zależało mu na wydobyciu z Viarda informacji.

– Mamy poważne podstawy, żeby sądzić, że miała powiązania z Człowiekiem Gwoździem, seryjnym zabójcą z września.

– Co to za podstawy?

– Moją policjantkę zamordowano w jednym z jej domów, w Louveciennes.

– Wiem o tym.

– Sprawcą prawdopodobnie jest wrześniowy morderca.

– Wydawało mi się, że go załatwiłeś.

– Najwyraźniej to nie był on.

– W policji wciąż roi się od idiotów.

I nagle Erwan uświadomił sobie, po co naprawdę tu przyszedł.

– Masz dokumentację dotyczącą Isabelle Barraire. Wywiad musiał ją dokładnie rozpracować.

– Możliwe, ale nie czytałem ich raportu.

Prefekt odstawił filiżankę i poszedł w stronę drzwi. *Spotkanie dobiegło końca*. Viard wyglądał jak nocny ptak, ale to z czasem zaczynało cechować każdego glinę. Wytwarza się swoista różnica cyklu dobowego między nimi a resztą ludzi i ich normalnym światem.

– I tak powiedziałem ci już za dużo. To wszystko przeszłość. Hussenot nie żyje. Jak mówisz, wykitowała ta jego wariatka. Po sprawie! Już dawno stosujemy wobec terrorystów inne metody. Ci dzisiejsi, zanim trafią do pudła, domagają się adwokatów.

Erwan nadal stał przy bufecie. Nawet nie tknął swojej kawy.

– Wiedziałeś, że Barraire zmumifikowała Hussenota i dzieci w grobowcu w Lilas?

Viard, który już położył rękę na klamce, znieruchomiał pod nowojorskimi lampami.

– Nie.

– A że leczono ją w zakładzie, w którym od lat wegetował Człowiek Gwóźdź?

– Nie.

– Że potem pracowała tam jako psychiatra?

– Nic z tych bredni nie rozumiem. Po śmierci Hussenota po prostu posprzątaliśmy. I nic mnie nie obchodzi, co potem wyprawiała jego żoneczka.

Erwan w końcu się ruszył. Na razie uznał, że wątpliwości musi rozstrzygnąć na korzyść Viarda.

– Znajdź mi te akta – rzucił tonem pogróżki. – W przeciwnym razie zawlokę cię za jaja do trzydziestki szóstki.

Viard skwitował to uśmiechem i serią głupich min. Jeżeli się bał, to zasłużył na Oscara, tak dobrze to ukrywał.

– Uspokój się – powiedział w końcu. – Wydaje mi się, że jesteś za krótki, żeby mi grozić. To, że twój ojciec umarł, nie znaczy, że wszystko ci wolno.

– Im więcej wiem, tym bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że Isabelle była umoczona we wrześniowych morderstwach.

– I co mnie to obchodzi?

Erwan zdecydował się na blef, modląc się w duchu, żeby to było słuszne posunięcie.

– Mogę cię oskarżyć o utrudnianie śledztwa i ukrywanie dowodów. Przez wasze machlojki nie udało się aresztować prawdziwego sprawcy.

Viard bez słowa otworzył drzwi, wciąż pykając w tę swoją fifkę wodną.

– Czekam na wiadomość od ciebie – dorzucił Erwan zza progu. – Jeżeli jej nie dostanę, to daję ci słowo, że urządzimy ci rewizję na placu Beauvau.

Odchodząc, słyszał gromki śmiech Viarda, ale tym razem brzmiał on sztucznie. Lewicowy gliniarz trząsł portkami tak samo jak Erwan.

109

Erwan dostał wiadomość ze Szpitala Georges-Pompidou – lekarze stopniowo wyprowadzili Maggie ze śpiączki farmakologicznej, a jej organizm wracał do normy. Na razie nie mówiła, ale w ciągu kilku godzin powinna odzyskać pełną świadomość. Endokrynolog uważał jednak, że trzeba jak najszybciej poddać ją operacji. Erwan zastanawiał się, czy powinien ją odwiedzić, czy też najpierw wpaść do domu, żeby się przebrać.

Ulica Saint-Antoine. Châtelet. O szóstej rano w Paryżu nadal było ciemno, ale noc zakłócały już pierwsze oznaki dnia – warkot śmieciarek, światła w piekarniach, pierwsi paryżanie zmierzający na stacje metra. Erwan postanowił, że przed odlotem do Brestu zbierze swoją grupę w „36”, żeby podsumować to, co dotąd udało się ustalić. Lassay miał mu jeszcze dużo do powiedzenia.

Skręcił w stronę Opery i uświadomił sobie, że zupełnie zapomniał o innej pilnej sprawie – Patrick Benabdallah, zabójca José Fernandeza, czekał na niego na oddziale dla sprawiających problemy chorych w Henri-Colin w Villejuif. Przesłuchanie psychopaty, który siedział w Instytucie Charcota, mogło dostarczyć nowych argumentów do rozmowy z Lassayem – Benabdallah na pewno zabił Pluga, żeby się zemścić za złe traktowanie w szpitalu. *Warto się nim zająć*. Ostro skręcił w aleję de l’Opéra, a potem szybko pojechał w stronę Luwru. Kierował się prosto na południe, na lewy brzeg.

Kiedy był w 13. dzielnicy, poczuł głód. Uznał, że przed wizytą w Villejuif może sobie zrobić krótką przerwę. Przy stacji metra Maison-Blanche zauważył kawiarnię. Biały Dom – ta ironiczna nazwa zdawała się podkreślać brzydotę okolicy. Nad platanami wznosiły się paskudne budynki, jakby plany tej dzielnicy rysowano na pomiętym papierze, a całość wybudowano z materiału odzyskanego z rumowiska. Usiadł w sali, zamówił kawę i rogaliki. Kiedy śniadanie już przed nim stało, przekonał się, że nic nie przełknie. Po bezsennej nocy czuł mdłości. Dławiło go

w gardle. Bał się spotkania z szaleńcem – z kolejnym szaleńcem. W rezultacie poparzył sobie język lurowatą kawą. Czuł się wyczerpany, a jednocześnie naelektryzowany.

Zamierzał wykonać stąd kilka telefonów, ale było tak cicho, że zmienił plan. Rzucił na stolik kilka monet i wyszedł. Najpierw zadzwonił do Verny'ego, żeby się upewnić, że Lassay siedzi pod kluczem.

– Już go tu nie ma – usłyszał od żandarma.

– Co takiego?

– Miał prawo wezwać adwokata i zatelefonować. A poza tym nie dał mi pan właściwie podstaw…

– Do kogo zadzwonił?

– Nie wiem, ale pół godziny potem prokurator kazał mi go wypuścić. Wszystko, co na tym zyskałem, to bura od przełożonych.

Erwan powinien go przeprosić, ale nie miał na to ani ochoty, ani czasu.

– Ustalił pan, czyj to numer?

– Jest zastrzeżony.

– Proszę mi go przesłać esemesem.

– Już się robi. Kiedy pan przyjedzie? W tej sytuacji nie wiem, czy warto…

Verny chyba się już poddał. Erwan nie kiwnął palcem, żeby go zmotywować, nie poinformował choćby w paru słowach o najnowszych ustaleniach, o rozrastającym się cieniu Pharabota, który najprawdopodobniej żył.

– Zadzwonię i podam dokładną godzinę.

– Jest pan przekonany, że warto? Lassay nie zechce…

– Już mówiłem, że i tak muszę przyjechać, żeby pochować ojca.

Ledwie się rozłączył, dostał numer, pod który dzwonił psychiatra z Charcota. Erwan nie musiał go sprawdzać. Sam użył go dwie godziny temu, uprzedzając Pascala Viarda o nocnej wizycie. Wbrew temu, co opowiadał Pan Szpieg, cała ta sprawa nie była mu tak obojętna, a do nazwiska Hussenota należało teraz dorzucić Lassaya. Cała plątanina faktów i wątków coraz bardziej przypominała kłębowisko żmij.

Na razie odsunął od siebie te myśli i ruszył w kierunku Porte d'Italie. Musiał się skupić na Patricku Benabdallahu, na motywach jego zemsty, wspomnieniach z Finistère. Może uda się wypełnić kolejną białą plamę na obrazie.

Kremlin-Bicêtre. Villejuif. Erwan sunął przez noc jak pilot statku kosmicznego. O niczym już nie myślał, nie miał odrobiny energii. Wreszcie zobaczył budynki szpitalne Paul-Guiraud przy alei République. Wysokie, stalowe ogrodzenie, beżowe mury, czerwone dachy – tradycyjna architektura połowy XIX wieku, której przykładami były wszystkie świeckie szkoły, noszące dziś imię Jules'a Ferry'ego czy Jeana Macé.

Pokazał legitymację, a potem wysłuchał wskazówek strażnika, który siedział w swojej budce tak samo śpiący jak on. Nie zapamiętał ani słowa, ale zdał się na instynkt starego gliny. Zresztą bywał tu już, kiedy prowadził inne sprawy. Minął szereg niewielkich budynków. Noc jeszcze wiała chłodem, czuł to przez uchylone okno. W końcu zobaczył rząd oświetlonych okien jadalni i salowych w białych bluzach, którzy pchali metalowe wózki. *Śniadanie*. Zjechał na parking – dalej musiał iść piechotą. Kraty, zamki, kamery – to było tu.

Wyłączył silnik i zakręciło mu się w głowie – w nagłym przebłysku ujrzał zmasakrowane oczy Audrey, jej język wychodzący z rany na szyi. Ta koszmarna twarz wyrzeźbiona w ciele odtwarzała obdarzone wielką mocą figurki Mayombe. Te okaleczenia coś oznaczały. Pharabot, jeżeli on to zrobił, przekazał im wypisaną ostrzem noża wiadomość. Erwan znał tylko jednego człowieka zdolnego odczytać ten język – ojca Félixa Kraussa, belgijskiego psychiatrę i etnologa, pierwszego, który powiedział mu o Nono-Arno Loyensie, czyli Philippie Krieslerze.

Wiedział, że dzwoniąc o tej porze, nie obudzi białego ojca. Usłyszał energiczny, przyjazny głos. W kilku słowach przypomniał mu, kim jest, i wyjaśnił, po co dzwoni.

– Wczoraj na przedmieściach Paryża popełniono morderstwo. To makabra, która może mieć coś wspólnego z afrykańską magią. A w każdym razie z jej symboliką.

– Nie udało się aresztować mordercy?

– Ojcze, proszę posłuchać. Jestem przekonany, że okaleczenia mają ukryte znaczenie.

– Chce mi pan przesłać zdjęcia zwłok?

Ojciec Krauss dobiegał osiemdziesiątki, ale jego umysł wciąż funkcjonował bardzo sprawnie.

– Zastanawiam się, czy zniesie ojciec ten widok. Jest naprawdę… potworny.

– Jeszcze nie tak dawno przemierzałem ogarnięte wojną Kongo. Doskonale pan wie, co tam widziałem, i nie były to fotografie.

Erwan już chciał powiedzieć, że sam właśnie stamtąd wrócił, ale uznał, że szkoda czasu na dygresje.

– Wyślę zdjęcia mailem. Proszę mi powiedzieć, co ojciec o tym sądzi. Na miejscu zbrodni znaleźliśmy też figurkę.

– *Minkondi?*

– Trochę się różni od tych, które mi ojciec pokazywał, i od tych wrześniowych. Załączę jej zdjęcie.

– Oddzwonię możliwie najszybciej.

– Dziękuję i przepraszam, że ojca kłopoczę.

– Wręcz przeciwnie. Zamierzałem właśnie do pana zadzwonić.

– W jakiej sprawie?

– W północnej Katandze znów rozpętała się wojna. Naszą misję ewakuowano. Od niemal stu lat działała w diecezji Kalemia-Kirungu…

Erwan przypomniał sobie misjonarza ojca Alberta w pelerynie przeciwdeszczowej i kaloszach – on także należał do tej diecezji. Czy udało mu się przeżyć? Powstrzymał się od pytań – otwierała się przed nim brama zakładu. *Kończ rozmowę*.

– Nasi bracia, a także sprzęt i archiwa, zostali już ewakuowani do kraju – ciągnął Krauss. – Z ciekawości przewertowałem dokumenty i znalazłem stare zdjęcia z Lontano. Pomyślałem, że mogą pana zainteresować.

Erwan miał ochotę powiedzieć, że nie chce więcej słyszeć o tym piekielnym mieście. Że interesuje go wyłącznie to, co dzieje się tu i teraz. Ale zakonnik dodał właśnie, że je skopiował i przygotował paczkę do wysłania.

– To bardzo uprzejme z ojca strony – odparł, zniżając głos. – Proszę przesłać mi je na adres domowy.

Podyktował zakonnikowi adres, wiedząc, że nawet nie otworzy przesyłki, i wrócił na chwilę do jedynego tematu, który był dla niego ważny.

– Ojcze, proszę przejrzeć zdjęcia ofiary i oddzwonić.

Po kilku sekundach stał już przed interkomem. Wciskając guzik, zastanawiał się, czy postarzająca obróbka zdjęć pozwoliła uzyskać nowy portret Pharabota – siedemdziesięciolatka, który powrócił z krainy zmarłych. Jak mógł teraz wyglądać?

110

– Nic pan z niego nie wyciągnie.

– Mimo wszystko dziękuję, że zechciał mnie pan przyjąć.

Dyżurny psychiatra – wysoki, masywny mężczyzna o siwych, przerzedzonych włosach i krzaczastych brwiach – powitał go z uśmiechem na ustach i bez problemów zgodził się na poranne przesłuchanie bez nakazu, a nawet żadnego wytłumaczenia. Przedstawił się, ale Erwan nie zapamiętał nazwiska o słowiańskim brzmieniu współgrającym z twardym akcentem.

Szli korytarzami sektora 94D00 i Erwan mimowolnie porównywał ten zakład z Instytutem Charcota. To były dwa różne światy. Teraz znajdował się w typowym szpitalu o pustych korytarzach oświetlonych sinym światłem neonów i o ścianach pożółkłych jak wosk. Te mury z pewnością pamiętały tysiące koszmarów i psychoz, daleko im jednak było do więziennej atmosfery bretońskiego ośrodka, gdzie – mimo wszelkich starań – każdy szczegół przypominał pensjonariuszom, że są zamknięci na zawsze.

Lekarz otworzył drzwi – nie kartą, ale poczciwym starym kluczem, którego zgrzyt przyprawiał o dreszcze. Kolejny korytarz. Tu jednak okna były już zakratowane. Budzący się dzień zlewał się ze światłem elektrycznym, tworząc nieprzyjemną mieszankę. W przegrzanym wnętrzu aż trudno było oddychać.

Lekarz raz po raz tłumaczył się z tak nędznych warunków i mówił o planowanym remoncie. Jego słowiański akcent przypominał o mrocznych latach komunizmu, gdy pielęgniarze w szpitalach psychiatrycznych pod białymi kitlami nosili milicyjne mundury.

Erwan przerwał jego opowieści:

– Chciałbym dowiedzieć się czegoś o Patricku Benabdallahu.

Psychiatra drgnął, zdziwiony tak ostrym tonem, ale zaraz znowu się uśmiechnął.

– Wylądował u nas po epizodzie w Condé-sur-Sarthe.

– Zna pan szczegóły zabójstwa?

– Patrick poderżnął ofierze gardło, a potem rozpłatał jej klatkę piersiową i dosłownie powywracał ciało, mięśnie, wnętrzności. Odsiadywał już siedemnaście lat za podobne morderstwo.

– Jakiej broni użył?

– Własnej roboty majchra. Podobno zrobił go z kości kurczaka, które zbierał po posiłkach i ostrzył. W więzieniach to klasyka. Ale w aktach nie znalazłem żadnej potwierdzającej to wzmianki.

– Gdzie to się stało? Na dziedzińcu?

– Nie. W celi.

– Siedzieli razem?

– Na to wygląda.

To nie mógł być przypadek. W okolicznościach, jakie już ustalił, przy klawiszach zamieszanych w sprawę i pociągającym za sznurki Viardzie, można było założyć, że Benabdallaha celowo umieszczono jak najbliżej pryczy Pluga. Kontrakt specjalny wykonany przez psychicznie chorego i pałającego żądzą zemsty więźnia. Nawiasem mówiąc, Fernandez, zatrzymany za profanację zwłok, nie powinien trafić do więzienia, w którym inni odsiadywali ciężkie wyroki. *To wszystko było zaplanowane*.

– Jaki jest psychiatryczny profil Benabdallaha?

– To opowieść na cały dzień. Jego kartoteka jest grubsza od lekospisu.

– Może da pan radę w kilku słowach?

– Już jako nastolatek był hospitalizowany, potem wypuszczany i znowu zamykany w zakładzie psychiatrycznym. Dzięki lekom zawsze dochodził do siebie i przez jakiś czas zachowywał się normalnie, ale potem jego stan się pogarszał. Nie da się zliczyć tych okresów, kiedy popadał w psychozy, miał urojenia. Patrick cierpi na schizofrenię paranoidalną. Zdarzają mu się okresy remisji, ale częściej jest ostro niewydolny.

– Przepraszam, ale nie rozumiem, co oznacza ta ostra niewydolność.

– Termin przeniesiony z języka medycyny organicznej. Jeżeli ktoś cierpi na jakąś chorobę, przez pewien czas jego organizm kompensuje dysfunkcję. Dzieje się tak, dopóki równowaga się nie załamie i nie pojawią się ostre symptomy. W psychiatrii jest tak samo: chory jest w stanie powściągać napady, tłumić głosy, które słyszy, aż nagle wszystko się wali. Wtedy następuje przejście do czynu, tym ostrzejsze, że było hamowane.

– Powiedział mi pan, że był już skazany za morderstwo.

– W dwa tysiące siódmym roku zabił pod Auxerre dwunastoletnią dziewczynkę. Dokładnie tak samo: podciął jej gardło, poćwiartował, wypruł wnętrzności. Zrobił to bardzo starannie, widziałem zdjęcia. Potrafi tak wywracać skórę, mięśnie i trzewia, żeby stworzyć coś w rodzaju… makabrycznego kwiatu. Pastwił się już w ten sposób nad zwierzętami. Nazywa to „ujawnianiem wewnętrznego piękna”.

Kolejny korytarz. Zgrzyt klucza. Przejmująca aura szaleństwa stawała się coraz cięższa. Ślepe mury jakby się ścieśniały. Metalowe drzwi cel dźwięczały jak zbroje.

– Jak mógł z taką historią trafić do tradycyjnego zakładu karnego?

– Jak zwykle: ekspertyzy były sprzeczne. W końcu górę wzięły względy bezpieczeństwa. Wszystkich do pudła! Uważa się, że lepiej zamknąć umysłowo chorego w standardowym więzieniu niż ryzykować, kierując go do instytutu, gdzie zasady bezpieczeństwa nie są tak ostre.

Lekarz zatrzymał się i zapukał do drzwi. Znów szczęknął zamek, ale tym razem wewnątrz.

– Jest groźny?

– Proszę się nie obawiać. Przyjmuje solian. To lek, który…

– Wiem.

– Chce pan powiedzieć, że…

– Też miewałem problemy – przytaknął Erwan.

W progu pojawił się pielęgniarz o posturze atlety. Splótł ręce na piersi i patrzył na nich podejrzliwie. Erwan odruchowo się cofnął.

– Patrick jest związany – uśmiechnął się psychiatra. – Od przyjazdu do nas twierdzi, że ma AIDS i próbuje wszystkich gryźć. Ale o tej porze, tuż po śniadaniu, zwykle jest spokojny.

Wchodząc do pokoju, Erwan zastanawiał się, jak może wyglądać śniadanie takiego potwora: carpaccio z ludziny czy może jajka sadzone na środkach nasennych.

111

W pierwszej chwili uderzył go zapach. Jak zawsze, cuchnęło tu lekami, ale także pustką samotnych dni, monotonią bezczynnych godzin, moralnym brudem, którego nikt i nic nie mogło zmyć. Nawet ściany, podłoga i sufit zdawały się przesiąknięte desperacją.

Potem zobaczył postać zajmującą środek pokoju. Mężczyzna siedział w fotelu na kółkach. Skrępowano go, używając skomplikowanego systemu pasów i klamer. Szeroki pas otaczał jego brzuch, a biegnące od niego szelki przypięto do oparcia fotela. Ręce spoczywały na podłokietnikach, także unieruchomione, nogi były przywiązane do mebla płóciennymi pasami. Jakby tego było mało, jego głowa wystawała ze sztywnego kołnierza.

Mimo wszystko ubrany w piżamę więzień wciąż się kręcił, usiłując poluzować i zerwać więzy.

– Dzień dobry, Patricku – powiedział przyjaznym tonem psychiatra. – Masz dziś gościa. Przedstawiam ci Erwana. Jest z policji i chciałby ci zadać kilka pytań.

Mężczyzna znieruchomiał. Erwan tylko na niego zerknął i zapamiętał na całe życie. Na pozór wyglądał jak typowy Maghrebczyk: niewysoki, krępy i lekko łysiejący. Jego wiek trudno było określić, twarz nosiła jednak ślady życiowych przejść. Siedział przekrzywiony, z zaciśniętymi pięściami i asymetrycznie ustawionymi biodrami. Patrzył na nich spode łba, co tym bardziej uderzało, że był zezowaty – i to tak bardzo, jak zgodnie z wyobrażeniami są opętani, służący diabłu.

– Zostawię pana – szepnął lekarz. – Pielęgniarze oczywiście tu będą.

Erwan przygotowywał się do podjęcia jak najswobodniejszej rozmowy. W pokoju bez okien nie istniały dzień ani noc.

– Co słychać? – zapytał trochę głupio.

Cisza. Tylko te oczy, z których każde patrzyło w inny punkt, świdrowały go jak wiertarka.

– Założyli mi to przez ciebie – powiedział w końcu szaleniec, poruszając nadgarstkami.

– Przykro mi.

– Zwykle wiążą mnie mokrymi prześcieradłami i patrzą, jak się nimi duszę.

– Patricku, uspokój się.

Uwaga padła z ust jednego z pielęgniarzy stojących za plecami pacjenta.

– A jak chcą – ciągnął – walą mi elektrowstrząsy w tyłek. I nazywają to „lewatywą Magneto”.

– Patrick!

Benabdallah wcisnął głowę w kołnierz, jak ślimak chowa się do skorupy. Cienka warstewka potu lśniła na twarzy szaleńca. Erwan zrozumiał, że niczego nie wyciągnie z takiego świra. *Znów źle wybrałem*.

Zastanawiał się, jak radziłby sobie w takiej sytuacji stary. Po chwili rzucił ostro:

– Powiedz mi, dlaczego zabiłeś José Fernandeza.

– Dostał, na co zasłużył.

– Chciałeś go ukarać?

– Chciałem pokazać, co ma w brzuchu.

– Jego wewnętrzne piękno?

Benabdallah zarechotał, a jego usta zamieniły się w kreskę.

– U niego to raczej piekielna brzydota.

Plug wyglądał jak szafa, był umięśniony i miał ponad metr osiemdziesiąt. Jak ten cherlak mógł go zarżnąć?

– Co właściwie zrobił ci José? Niedawno trafił do Condé…

– Nie chodziło o Condé. Znałem go wcześniej.

– A skąd go znałeś?

– Z Charcota. Spędziłem tam sporo czasu.

– Plug był jednym z dozorców?

Benabdallah zamarł. Teraz na jego twarzy malowała się nieufność.

– Skąd znasz jego przezwisko?

– Znam Instytut Charcota.

– Dlaczego?

– Patricku, jestem policjantem. Odwożę tam więźniów.

– To znaczy, że nie masz serca.

– Przynajmniej was tam leczą.

– Co ty tam wiesz… – szepnął. – Nie masz pojęcia, co tam z nami robią.

– To mi powiedz.

Benabdallah splunął Erwanowi pod nogi.

– Plug zajmował się sadzawką dla kaczek.

– Co to takiego?

Wariat skrzywił się z oburzeniem. Strużka śliny spływała mu po brodzie i ściekała za kołnierz.

– W instytucie – szepnął w końcu – są dwa budynki… Stoją na wprost siebie. To więzienie i szpital.

Erwan przypomniał sobie dwa nowoczesne budynki oddzielone szerokim trawnikiem.

– A w głębi jest staw… Kiedy wyprowadzają nas z cel, żeby zaprowadzić na zabiegi, musimy przejść po kładce nad wodą. Są tam łabędzie, czaple i kaczki…

Nie zwrócił na to uwagi, kiedy tam był, ale taki staw pasował do pejzażu. Wyobraził sobie doktora Lassaya, który przyklękuje na ziemi, między trzcinami i bambusami, żeby karmić ptactwo.

– To Plug was tamtędy prowadził?

– To był kat. Prowadził nas na śmierć.

Erwan patrzył na rachityczne kończyny szaleńca, jego wychudzone ramiona i ptasią szyję, która kołysała się w kołnierzu. Obłęd strawił jego ciało jak ogr, który ogryza kości ofiary.

– Co dokładnie robili z wami w tym zakładzie?

Benabdallah kręcił głową. Drżały mu usta. Erwan podszedł i wziął go za rękę, ale jeden z pielęgniarzy natychmiast się sprzeciwił.

– Nie powinien go pan dotykać.

– Patricku… Co oni wam robili?

Źrenice Benabdallaha krążyły pod powiekami, najwyraźniej nie mogąc się na niczym skupić.

– Patricku…

Obłąkany oderwał się od swoich myśli i zwrócił oczy na policjanta.

– Nic mi nie możesz zrobić… – rzucił z odrazą.

– Patricku – Erwan pochylił się nad nim, ale pielęgniarze nie odważyli się na interwencję. – Przyszedłem tu, żeby ci pomóc. Jeżeli tylko zechcesz mi powiedzieć, co ci leży na sercu.

– Mnie nic nie leży na sercu – zaśmiał się szyderczo. – Ale tamten, ten Plug, miał na nim dużo… Trzeba było popatrzeć na jego trupa.

– Co wam robili w szpitalu?

Wariat zwiesił głowę, uporczywie milcząc.

– Nic mi nie możesz zrobić. Jestem już martwy. Tam mnie zabili.

– Do diabła, Patricku, powiedz, co oni ci zrobili?

Tym razem pielęgniarze chwycili go za rękę, zmuszając, żeby puścił nadgarstek szaleńca, i Erwan zdał sobie sprawę, że z całej siły zaciskał na nim palce. Pielęgniarz odginał je kolejno, jak u nieboszczyka. Policjant cofnął się i otarł ręką czoło.

– Zabił naszego Mistrza – wyszeptał wariat.

Benabdallah wyrażał się jak Renfield, maniakalny zabójca z powieści *Drakula*, pożeracz much nawiedzony przez ducha hrabiego wampira.

– Plug nikogo nie zabił.

– Nic nie wiesz.

Kiedy Erwan zatrzymał José Fernandeza, był przekonany, że pielęgniarz udusił Pharabota poduszką, żeby zdobyć jego komórki macierzyste i sprzedać je czterem fanatykom, którzy chcieli stać się Człowiekiem Gwoździem. Dziś wiedział, że się pomylił – Plug pobrał tylko materiał i zainscenizował kremację.

Zamierzał podjąć przesłuchanie, gdy za jego plecami otworzyły się drzwi.

– Muszę przerwać tę rozmowę – oznajmił psychiatra. – Teraz go pan denerwuje.

Erwan skinął głową, też próbując się uspokoić. *Znów tracę czas.* Skinieniem ręki pożegnał więźnia, który już popadł w zobojętnienie, i poszedł za lekarzem.

– Dlaczego zgodził się pan na to przesłuchanie? – zapytał Erwan, kiedy nieco się oddalili. – Nawet mnie pan nie zapytał, o co chodzi. W normalnym świecie przez dwa tygodnie zbierałbym papierki, żeby zbliżyć się do Patricka, ale i to nie dałoby mi pewności, że cokolwiek wskóram.

– Mam swoje powody.

– Jakie?

– Czytam gazety. Wiem, że prowadził pan śledztwo w sprawie Człowieka Gwoździa i Instytutu Charcota.

– Co z tego?

– Nie słuchał pan Patricka? Sadzawka kaczek… Psychiatria potrafi czasem popadać w skrajności, a ja jestem przekonany, że w Bretanii działy się dziwne rzeczy.

Erwan podchodził z dystansem do krytycznych opinii na temat osób z tego samego środowiska zawodowego. Tu dawały o sobie znać zazdrość, rywalizacja, zła wola… Ale psychiatra mógł wyjaśnić słowa człowieka w kołnierzu.

– Co pan o tym wie?

– Nic. Ale za obsesją Benabdallaha może się kryć prawda o Instytucie Charcota.

– O tutejszych pielęgniarzach też mówi straszne rzeczy.

– Ma pan rację. Tak długo z nimi przebywam, że sam popadam w paranoję.

– Zna pan Jeana-Louisa Lassaya?

– Tylko ze słyszenia. Cieszy się doskonałą opinią.

– I?

Psychiatra spojrzał na zegarek, uścisnął rękę Erwana i rzucił:

– Muszę już iść. Mam nadzieję, że ta rozmowa jednak jakoś panu pomoże.

Erwan szedł do samochodu, depcząc suche liście. Sprawdził komórkę: Favini dwukrotnie próbował się z nim skontaktować. Oddzwonił.

– Może nic cię to nie obchodzi – zaczął wypomadowany – ale odnalazłem ojca Audrey.

112

Pod wpływem impulsu postanowił jechać do Noisy-le-Sec, żeby poinformować starego człowieka o tym, że jego córka „zginęła na służbie”. Zależało mu, żeby podkreślić, jak nadzwyczajną była policjantką. Jak bardzo będzie jej brakowało kolegom i jemu – przynajmniej w codziennej pracy, bo właściwie nikt nie znał Audrey z życia prywatnego. Tak, Brest mógł jeszcze zaczekać.

Jechał, zastanawiając się nad ostatnimi telefonami. Żadnych nowych informacji o zbiegu. Ani o przeszukaniach. Tajemnica Barraire zamykała się jak grobowiec. A skoro już pomyślał o grobowcu… Zadzwonił do brata i dowiedział się, że zwłoki zostaną przewiezione do Bretanii jutro. Ceremonia pogrzebowa odbędzie się tego samego dnia o szesnastej na cmentarzu w Bréhat.

Od dobrego kwadransa jechał przez typowe przedmieścia Paryża, mijając na przemian obskurne osiedla i uliczki, przy których ciągnęły się domy jednorodzinne. W końcu dotarł na ulicę de Romainville. Spodziewał się czegoś znacznie gorszego niż dom z zadbanym ogródkiem. Najwyraźniej stary Wieniawski nie był – jak sugerowała Audrey – kloszardem.

Erwan właśnie wysiadał z samochodu, kiedy dostał esemesa od Tonfy. Zdjęcie nieznajomego z krótkim komentarzem: „Lady Franklin zrobiła FIV. Wrzucamy to Sandovalowi?”. W pierwszej chwili nie zrozumiał, o co chodzi, potem dotarło do niego, że to Thierry Pharabot w wieku sześćdziesięciu lat. Rozpoznał regularne rysy inżyniera, ale odmienione bruzdami i zwiotczałe. Przerzedzone włosy, lekko zamglone oczy. Ile wart był taki portret? Jakie lata brał pod uwagę system? Szybko odpisał: „Wysyłaj”.

Podszedł do furtki i zadzwonił. Nie odpowiedziało mu szczekanie psa, nie słyszał podkręconego na cały regulator telewizora. Czyżby nikogo nie zastał? Ojciec Audrey musiał mieć ponad siedemdziesiąt lat. Trochę za

dużo, żeby wciąż tyrać w fabryce, ale za mało, żeby leżeć na cmentarzu w ojczyźnie.

Po chwili furtka się otworzyła i stanął w niej postawny mężczyzna o siwych włosach związanych w koński ogon. Erwan spodziewał się raczej wyniszczonego przez alkohol starca, tymczasem pan domu wyglądał jak rozważny, doświadczony wiking.

Zaskoczony, odruchowo wyciągnął odznakę. Pierwszy błąd.

– O co chodzi?

Te słowa zabrzmiały, jakby mężczyzna zaintonował basem arię Jana Sebastiana Bacha w katedrze. Był ubrany w ciemny żakardowy sweter, kamizelkę z zamszu i spodnie z grubo prążkowanego sztruksu. Wyluzowany gość, dla którego czas zatrzymał się w Woodstock.

– Przyszedłem do pana w sprawie Audrey.

– Nie znam nikogo takiego.

– Chodzi o Audrey, pańską córkę.

Olbrzym przypatrywał mu się przez chwilę. Tak szybko mrugał powiekami, że jego oczy zdawały się drżeć.

– Ma na imię Grażyna – westchnął w końcu. – To polskie imię.

113

Erwanowi nie przyszło na myśl, żeby zerknąć na akt zgonu koleżanki. To już drugi błąd.

– Mam na imię Piotr. – Uścisk jego dłoni świadczył o nadal sporej sile, wyrobionej w kopalniach na Górnym Śląsku, a może w Stoczni Gdańskiej. – Proszę wejść.

Cofnął się, przepuszczając gościa, a potem zamknął za nim furtkę. Metal nawet nie zgrzytnął. Ścieżka nie była tu żwirowa, ale z żywicy, jak na kortach tenisowych. Najwyraźniej Wieniawski lubił ciszę. I ta czystość – kiedy już weszli do salonu, Erwan bał się usiąść, bo krzesła i kanapa wyglądały jak nowe. Wystrój wnętrza był słowiański: kolorystyka, tkaniny, meble – wszystko tu przypominało mieszkanie w robotniczym domu z najwspanialszych lat „Solidarności”.

– Kawy?

Erwan podziękował, rozejrzał się i usiadł w skórzanym fotelu. Polak zniknął na moment. Na ścianach wisiały krzyże, portrety Lecha Wałęsy i papieża Jana Pawła II. Nigdzie nie było żadnego zdjęcia Audrey. Światło przytłumione abażurem zlewało się z bladym światłem dziennym, tak że pokój i wszystkie sprzęty nabierały złotawej tonacji ikony.

Erwan czuł się coraz bardziej niezręcznie. Nie wiedział, jak przekazać tragiczną wiadomość ojcu, którego wyobrażał sobie zupełnie inaczej.

– Przyszedł mi pan powiedzieć, że ona nie żyje, tak?

Mężczyzna stał w progu pokoju, trzymając w rękach srebrną tacę z filiżankami, dzbankiem kawy i porcelanową cukiernicą, które wyglądały jak wyrzeźbione z piernika.

Zaskoczony Erwan wstał z miejsca.

– Ja… – wziął wdech i przerwał. – Wczoraj wieczorem, pełniąc służbę.

– Jaką służbę?

– Pracowała w mojej grupie śledczej, w brygadzie kryminalnej. Była najlepsza.

Mężczyzna bezszelestnie postawił tacę na stoliku. Promień słońca padł na jego włosy i otoczył je srebrną aureolą. Erwanowi nasunęło się pewne skojarzenie: miał przed sobą białego wdowca, podobnego do tak zwanych białych Rosjan – uchodźcę, który utracił wszystko, ale zachował dumę i godność.

– Może jednak napije się pan kawy? – siedząc już naprzeciwko Erwana, Polak napełnił filiżanki, zanim ten zdążył odpowiedzieć. – Dziękuję, że fatygował się pan osobiście, żeby przekazać mi tę wiadomość, nie ma jednak powodu, żeby czuł się pan zobowiązany mnie pocieszać.

– Skądże, ja…

– Gdzie jest jej ciało?

– W Instytucie Medycyny Sądowej. To na Quai de la Rapée, w pobliżu stacji metra o tej samej nazwie.

– Tak, wiem. W jakim stanie jest moja córka?

Erwan w końcu sięgnął po filiżankę, żeby zająć czymś ręce.

– Audrey padła ofiarą… wyjątkowo brutalnego człowieka. Myślę…

Czuł, jak słowa zamierają mu na ustach. Wieniawski nie odrywał od niego oczu. Miał bardzo jasną i suchą skórę, która, gdyby jej dotknąć, zostawiłaby na palcach podobny do gipsu pył. Zmarszczki na jego twarzy przecinały się i tworzyły zawiłe wzory, które wydawały się nietrwałe jak ślady na piasku.

– Czy muszę tam iść, żeby ją zidentyfikować?

– Nie. Już to zrobiliśmy. Właściwie nie… Po prostu nie wiedzieliśmy, że Audrey ma rodzinę w Paryżu.

Zapadła cisza. W powietrzu zdawał się wisieć ogromny znak zapytania.

Piotr rozwiał wątpliwości.

– Kiedy córka się urodziła, wyjechałem do Francji. Nie zamierzałem uchylać się od obowiązków, przeciwnie, chciałem przygotować grunt, żeby jej matka i ona mogły tu do mnie dołączyć. Przez dziesięć lat tyrałem jak wół na budowach, ani razu nie odwiedzając Polski, bo nie miałem dokumentów. Kiedy wreszcie udało mi się uzyskać kartę pobytu, wróciłem do Krakowa. Żona była umierająca. Rak z przerzutami. Ta idiotka nie mówiła mi o tym, ponieważ bała się, że przyjadę bez dokumentów i w ten sposób zmarnuję wieloletnie wysiłki. Krótko mówiąc, zostałem sam z dziewczynką, której nie znałem i która nie chciała ze mną rozmawiać. Kiedy ją tu przywiozłem, nie znała francuskiego. Załatwiłem jej

obywatelstwo. Po kilku latach nauczyła się języka i zdała maturę, ale wciąż uciekała… Kiedy osiągnęła pełnoletność, zniknęła na dobre. Nie starałem się jej odnaleźć, a w każdym razie kontaktować się z nią. Wiedziałem, że mieszka z młodymi kloszardami, których nazywa się punkami, w pobliżu dworca Montparnasse. Potem znowu wyparowała. Nie martwiłem się, bo była zaradna i energiczna. Zostałem sam ze swoim cierpieniem i poczuciem potwornej pustki. Wszystko, co robiłem, miało służyć osiągnięciu celu, który już nie istniał, a właściwie: nigdy nie istniał. Teraz mówi mi pan, że ona nie żyje. Zachowałem w pamięci tylko niemą dziewczynę, której kręgosłupem była nienawiść. Jestem katolikiem – nie wiem, dlaczego Bóg tak srogo mnie doświadczył, ale czuję, że teraz moja córeczka nareszcie jest wolna.

Erwan pomyślał o wyłupanych oczach ofiary z Louveciennes, o wyciągniętym przez ranę w szyi języku. Stary Polak zapewne słusznie wybrał wymiar pozaziemski, on jednak zamierzał pomścić Audrey na tym świecie. Kula między oczy albo dożywocie – oto, co czekało mordercę.

Nie wiedział, co jeszcze mógłby powiedzieć, ale odczuwał głęboką empatię. Myślał o sobie, o swoim bracie, a przede wszystkim o Gaëlle. W domu Morvanów dzieci też dorastały w aurze nienawiści.

– Kiedyś – ciągnął Polak – przyszła do mnie. Prawdopodobnie pracowała już wtedy z panem. Chciała mi podziękować za wszystko, co jej dałem. Powiedziałem, że nie dałem jej nic, że nie miałem okazji, żeby to zrobić. Odparła: „No właśnie, moje dziedzictwo to czarna dziura”. Tę dziurę próbowała zapełniać dzień po dniu. Stało się to sensem jej życia.

Erwan w milczeniu kiwał głową. Studnia iluzji, otchłań rojeń – tak dobrze to znał. Wypełniał swoją gniewem, rozżaleniem, odrazą, a dziś zrozumiał, że cały jego trud był daremny, bo studnia nie miała dna.

– Proszę do mnie zadzwonić, kiedy ustali pan termin i miejsce pogrzebu – powiedział, wstając. – Przyjdziemy wszyscy.

– To bardzo uprzejme, ale wolałbym nie.

– Pan…

– Zostawcie mi choć tę ostatnią chwilę bliskości – Piotr uśmiechnął się i jego zmarszczki ułożyły się w nowe arabeski. – W pewnym sensie to będzie pierwsza taka chwila.

Erwan pobiegł do samochodu. Było już po jedenastej. Ten dzień zaczynał mu przypominać ostry nurt, wciąż odpychający go od brzegu, do którego chciał przybić – Brestu. A przecież to tam trzeba było szukać rozwiązania zagadki.

Kiedy otwierał drzwi, zadzwonił telefon. Cyril Levantin, koordynator IJ, władca laboratoriów.

– Dzwonię w sprawie tych leków.

– Jakich?

– Tych znalezionych w Louveciennes, w torbie…

– Jasne, już wiem. Co to takiego?

– Nie mamy pojęcia. Chemicy nie ustalili składu. Takich specyfików nie ma na rynku. To musi być coś w fazie eksperymentalnej.

Sadzawka dla kaczek. Potwierdzała się hipoteza, którą Erwan instynktownie już przyjął – doświadczenia kliniczne prowadzone w zamkniętym zakładzie. Placówka pod ochroną dostarczała królików doświadczalnych.

– I nie wiecie nawet, jaki może być zakres działania tych pigułek?

– Najprawdopodobniej to analogi.

– Mów po ludzku.

– Te środki to substytut neuroprzekaźników, które pozwalają blokować albo stymulować neuroreceptory.

Erwan zupełnie się na tym nie znał, ale nie miał teraz czasu na szczegółowe wykłady.

– Jak to działa na mózg?

– To zależy. W pewnych sytuacjach impuls jest blokowany, w innych wzmacniany.

– Uważasz, że tego rodzaju leki stosuje się w psychiatrii?

– To raczej domena neurologii. Ale skutki ich działania są podobne do tych, jakie dają psychotropy, którymi leczy się zaburzenia psychiczne. W istocie rzeczy to nowa metoda regulacji nastroju i…

Jego teoria zaczynała się krystalizować – na obłąkanych przestępcach prowadzono potajemne doświadczenia, nazywając to leczeniem. Kto mógłby to zauważyć? I kto by się tym przejął?

– Twoi ludzie wciąż nad tym pracują? – przerwał Levantinowi.

– Oczywiście.

– Jest szansa, że ustalą coś dokładniejszego?

– Niewielka. Żeby dowiedzieć się czegoś więcej, trzeba by znać nazwę laboratorium, które to wytwarza. Możemy tylko przyjąć, że nasz podejrzany działał pod wpływem tych pigułek, a to oznacza, że wzmagają agresję. Albo – i to byłoby jeszcze gorsze – przyjmował je, żeby się uspokoić, i w takim razie wolę sobie nie wyobrażać, co zrobi z następną ofiarą, nie łykając tych leków.

Wciąż jednak najpilniejsze było odnalezienie szaleńca. Mniejsza o jego tożsamość, przede wszystkim trzeba było położyć kres tym mordom. Erwan wpadł na pewien pomysł – należało pilnie obserwować Instytut Charcota, bo obłąkaniec może zechcieć tam wrócić, żeby się leczyć.

– Zadzwoń, kiedy dowiesz się czegoś nowego. Zrób, co się da, żeby rozpracować te leki.

Kiedy Erwan wjeżdżał na autostradę, zamierzał jechać prosto na Orly i wsiąść do pierwszego samolotu lecącego w stronę Brestu, Lassaya i jego cuchnących eksperymentów. Po chwili jednak zrozumiał, że te wszystkie draństwa nie byłyby możliwe bez przyzwolenia władz państwowych.

Cóż, Pascal Viard zasłużył sobie na kolejne odwiedziny.

I znów trzeba było płynąć z prądem.

114

– Zapewniam cię, że wtedy jego fiut nie lubił próżnować…

Obok niej dwie dziewczyny cmokały i śmiały się, pokazując całe nogi i siedząc na składanych krzesełkach tak, jakby wierzyły, że wystrzelą je one w podróż do sławy. Te kurewki lubią się przechwalać.

Żeby nie wzbudzać podejrzeń, Gaëlle starała się prowadzić życie tak, jak dotąd, a zatem chodziła na wszystkie castingi, jakie jej proponowano. Dlatego znalazła się w południe w dusznej sali na Plaine-Saint-Denis, w gromadzie dziwek. Ta maskarada miała też przekonać ją samą, że życie toczy się dalej.

Zanim tu przyszła, zaryzykowała i umówiła się z Payolem. Z absurdalnym uporem żądała od niego wypłaty drugiej części wynagrodzenia.

– Odbiło ci? – luksusowy stręczyciel o mało się nie udławił. Przez cały czas rozglądał się, wystraszony.

Siedzieli w „Chez Francis” na placu de l’Alma. Mimo chłodu Gaëlle wybrała stolik na tarasie. Wolała marznąć niż zrezygnować z palenia.

– Chcę moją kasę.

– Popełniłem potworny błąd, załatwiając ci to spotkanie.

– Dawaj forsę.

Patrzył na nią w osłupieniu zza grubych szkieł.

– Nie mogę uwierzyć, że masz coś wspólnego z tą jatką.

– Zapomnij o tym i po prostu mi zapłać!

Sama wybrała ten lokal, nawiązując do fragmentu *La Chamade* Françoise Sagan, którą ubóstwiała. Odebrać kasę za schadzkę, która zakończyła się rzezią, i zrobić to w miejscu o konotacjach literackich, było jej zdaniem najdoskonalszym „połączeniem gatunków”.

Payol wepchnął jej w końcu do ręki półtora tysiąca euro.

– Twoja rodzinka to banda wariatów. Nie chcę cię nigdy więcej widzieć.

– Z wzajemnością.

Alfons zniknął w paszczy metra Alma-Marceau jak długa ość ryby połkniętej przez wieloryba. Po chwili Gaëlle wyjęła ze starej torebki resztę wypłaty i zastanawiała się, co zrobić z tymi pieniędzmi. Niech to będzie ostatni hołd złożony ojcu. Poszła piechotą w aleję Montaigne i kupiła sobie wspaniałą kreację Black is Black na jego pogrzeb.

Po tej ekscytującej przygodzie wróciła do domu, zostawiła nowe nabytki i bez przekonania pobiegła na casting. W tej chwili nic nie sprawiało jej przyjemności, czuła się pusta jak wydmuszka. Co najgorsze, od powrotu z Lozanny nic nie jadła. Dla większości ludzi brak apetytu jest oznaką lęku albo smutku, a czasem depresji. Dla niej oznaczał, że znów choruje. Jej ciało wzięło górę, zaburzył się metabolizm i zaczął się przerażający proces destrukcji.

Jak długo wytrzymała? Co najmniej dziesięć lat. Pokonała anoreksję, jak przechodzi się amputację. Uwolniła się od przeżartej gangreny, niebezpiecznej cząstki siebie, ale dziś wszystkie objawy wróciły. Znów będzie czerpała rozkosz z tego, że marnieje, drżała, kiedy poczuje, jak skręca ją głód, jak mdleje.

Zrobi się chuda jak kościotrup, wrażliwa, zgorzkniała. To paskudne ciało pokaże, jakie jest jej wnętrze: rozbite, kanciaste. Świątynia pełna drobnych kości, które aż się proszą, żeby je zmiażdżyć.

– Znasz szefa castingu?

Gaëlle drgnęła – ślicznotka o azjatyckim wyglądzie przypatrywała się jej spod sztucznych rzęs.

– Nie – wydusiła z siebie po chwili.

– Ja przespałam się z nim jakiś czas temu. Może mi to pomoże, a może wcale – zachichotała, jakby miała czkawkę. – Zresztą mam to gdzieś. Mam inne plany.

Gaëlle skupiła się na rozmówczyni. Gęste, czarne i lśniące włosy, na pewno farbowane, prezentowała niczym nowobogacki pokazujący plik banknotów w restauracji, a jej przesadna opalenizna nasuwała skojarzenie z Lazurowym Wybrzeżem i rozleniwiającymi, złocącymi się plażami. Co do azjatyckiego pochodzenia, to sprowadzało się do mocno zarysowanych, wznoszących się ku skroniom kresek.

– Co poza tym robisz?

Gaëlle zadała to pytanie, żeby nie opowiadać o sobie – nie miała nawet siły pozbyć się sąsiadki, co oznaczało, że jest skrajnie słaba.

– Chcę być artystką…

Nie wysilała się, żeby słuchać. Dziewczyna oznajmiła to zresztą takim samym tonem, jakim powiedziałaby „chcę być kiełbasą”. Prawdopodobnie myślała, że Le Corbusier to koniak, że muzyka zaczyna się od Beatlesów, a kończy na Shakirze, że malarstwo to lokata finansowa, a Pasolini to nazwa włoskiego makaronu. „Artystka…”

Gaëlle poczuła się kompletnie zagubiona. Jej kariera rozbijała się o mur, a prawdę mówiąc, już dawno w nim utknęła. Nie miała żadnych innych perspektyw ani siły, żeby znaleźć klientów na godziny i zarobić na kieszonkowe. W dodatku nie miała faceta, a nawet żadnej przyjaciółki.

Była sama. Sam na sam ze swoimi kośćmi. Ze swoim głodem. I ze wspomnieniami.

– A ty?

– Co ja?

– Co poza tym robisz?

Mózgi Kongijczyków rozbryznęły się po suficie. Éric Katz wypowiedział w tunelu swoje ostatnie słowa. Krew Kripo spływała jej po rękawie, kiedy wbijała nóż w jego szyję. Liście platanów ocierały się o nią, kiedy spadała z trzeciego piętra.

– Nic szczególnego.

115

Kiedy Pascal Viard otworzył drzwi gabinetu, Erwan czekał z bronią w ręku.

– Wpadłeś zaprosić mnie na obiad?

– Cofnij się.

– Jeszcze ci mało? Jesteś…

Erwan uderzył go w policzek lufą pistoletu, a potem nogą zamknął za sobą drzwi. Viard zatoczył się i wpadł na biurko. Zanim się pozbierał, Erwan zdążył go rozbroić. Krwawił z nosa. Jeśli dodać do tego siniak po uderzeniu czajnikiem, alterglobalista miał całkiem interesujący makijaż.

– Tylko krzyknij, rusz się, spróbuj jakiejś sztuczki, a rozwalę ci łeb.

– Czyś ty zwariował?! Zdajesz sobie sprawę, gdzie jesteś?

– W paszczy lwa – powiedział drwiącym tonem Erwan, chwycił go za kołnierz marynarki i pchnął na fotel.

Celowo przesadzał, udając, że jest nieobliczalny, żeby zmusić tego łajdaka do rozmowy. Po chwili dodał:

– Nieźle sobie ze mnie zadrwiłeś, wciskając mi historyjki o terrorystach. Teraz masz mi powiedzieć wszystko, co wiesz o Jeanie-Louisie Lassayu, Instytucie Charcota, Isabelle Barraire, Philippie Hussenocie. I żadnych głupstw! Wystarczy mi tego, co było rano.

– Możesz zapomnieć o dalszej karierze. Jesteś skończony – syknął Viard, chwytając kartkę papieru, żeby zahamować krwawienie.

– Jaka kariera? Lepiej zajmijmy się normalną pracą. Słucham cię.

– Nie wiem, o co ci chodzi.

Erwan wciąż trzymał go na muszce.

– Powiedziałem wyraźnie: dość tych wygłupów. Lassay, Hussenot, Barraire. Powiesz mi, co ich łączy, i spadam. Nie pisnę słowa.

– Naprawdę nic nie rozumiesz.

– I dlatego znów cię odwiedziłem.

– Chłopie, wszystko ci się pomyliło. Prawo stoi po mojej stronie.

– Na razie widzę tylko łotra, który ukrywa draństwa.

– Ale przecież to dla ciebie nic nowego?

Erwan nie chciał dać się wciągnąć w osobiste rozgrywki – nienawiść między Viardem a Morvanem była powszechnie znana, obaj mieli na koncie wiele machinacji. Zresztą on sam nie poparłby ani jednego, ani drugiego.

Postanowił zarzucić przynętę i w końcu złowić grubą rybę.

– Wczoraj Jean-Louis Lassay dzwonił do ciebie, kiedy go zatrzymano. Po godzinie prokurator z Quimper kazał go zwolnić. Wyjaśnij mi ten cud.

Viard westchnął. Kartka, której rożek wsunął do nosa, zasłaniała mu pół twarzy. Wyglądał żałośnie. W końcu wstał i podszedł do biurka.

– Nie tu. Chodź na sofę.

Gabinet był stosunkowo duży, a w rogu urządzono miejsce spotkań – wokół okrągłego stołu ustawiono krzesła i sofę. Viard opadł na poduchy i odrzucił głowę do tyłu. Jego koszula i sweter były poplamione krwią.

Cisza. Erwan, nie opuszczając broni, odsunął krzesło i siadł przy stole, na wprost Viarda. To starcie dwóch policjantów w gmachu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych było czymś niewyobrażalnym. W głębi ducha Erwan zawsze marzył o takiej chwili. *Zabić ojca. Złamać ostatnie tabu. Zrobić pieprznik w tej cholernej świątyni*. Ale złość przerodziła się w bolesny smutek. *Nie strzela się do nieboszczyka*.

– Lassay pracuje dla nas – rzucił w końcu Viard, świdrując Erwana oczyma.

– Rano powiedziałeś mi już to samo o Hussenocie.

– To długa historia.

– Mamy mnóstwo czasu.

Viard uśmiechnął się pobłażliwie.

– W latach dziewięćdziesiątych Lassay i Hussenot otworzyli klinikę w Chatou.

– Już o tym mówiliśmy.

– W tym okresie współpracowali z laboratoriami farmaceutycznymi i kierowali programem testów klinicznych na ochotnikach.

– Na ochotnikach? W domu wariatów?

– Wiesz, co chcę przez to powiedzieć. W rzeczywistości prowadzili własne badania. Nie znam się na tym, ale wtedy badacze stawiali głównie na neuroprzekaźniki.

– Dziś rano próbowałeś mi wmówić, że Feuillantines było tajnym ośrodkiem, w którym przesłuchiwano islamskich ekstremistów, a teraz chciałbyś mnie przekonać, że stworzono tam laboratorium farmaceutyczne na najwyższym poziomie? Przecież to tylko ośrodek dla ludzi chorych na depresję.

– Feuillantines było po trosze każdą z tych rzeczy. Ale nie trwało to długo. Po dwutysięcznym roku Hussenot się wyłamał. Głęboko przeżywał rozwód, zależało mu już tylko na pieniądzach. Chciał, żeby jego biznes przynosił jak największe zyski. W końcu zabił się z dziećmi w Grecji.

– A Lassay?

– On nie chciał się wycofać. Dołączył do placówek państwowych, podobnie jak Charcot, ale laboratoria mu nie ufały. To Hussenot był neurologiem.

Viard wyjął wreszcie postrzępiony papier z nozdrza i wstał. Erwan uzbroił pistolet. Odgłos, jaki wydaje broń, zawsze robi wrażenie, nawet na takich ludziach jak Viard.

– Mogę się napić kawy?

Znów ten sam numer – tajniak o wyrafinowanych upodobaniach. Czy istnieje coś równie groźnego jak faszysta w mundurze? Faszysta z bronią w ręku.

– Tobie też zrobić? – zapytał, stojąc przy ekspresie.

– Chcę, żebyś mi wreszcie powiedział prawdę.

– Ristretto Intenso, proszę…

– Jeżeli masz ochotę, pij nawet kozie szczyny, tylko dokończ wreszcie tę historię. Nad czym pracowali Lassay i Hussenot?

Viard wziął filiżankę i usiadł na kanapie: odzyskał osobowość. Tymczasem Erwan postanowił słuchać. Nadał już ton rozmowie, nie warto było stale bawić się w kowboja.

– Nie znam szczegółów, ale, o ile wiem, był to jakiś regulator brutalności. Nazywa się to „inhibitorami”. Planowali wprowadzenie czegoś w rodzaju szczepionki przeciw agresji. Program nosił nazwę Farmakon.

– Co to znaczy?

– Nie mam pojęcia. Nigdy nie orientowałem się w mechanizmach działania tych środków. Wiem tylko, że to, co uzyskano, nie działało jak należy. Program został ostatecznie zakończony po śmierci Hussenota. A mnie poproszono tylko, żebym po nim posprzątał.

– Na czym polegała interwencja rządu?

– Na finansowaniu i wspieraniu obu badaczy. Ich prace, gdyby przyniosły spodziewany rezultat, mogłyby pozwolić na rozwiązanie poważnych problemów. Na przykład uspokojenie przestępców w więzieniach, utemperowanie recydywistów wypuszczonych na wolność.

– Jaki interes miały w tym prywatne laboratoria?

– To, co działałoby na gwałcicieli, mogłoby – w innych dawkach – służyć leczeniu jednostek agresywnych albo mających problemy z panowaniem nad sobą.

Erwan, dla którego wszystko to było jasne, domyślał się dalszego ciągu.

– W rzeczywistości Lassay przerwał te prace dopiero w dwa tysiące szóstym roku. Kontynuował badania i testował swoje wynalazki na pensjonariuszach Instytutu Charcota – powiedział.

– Jeżeli to robił, to bez zgody władz. Nikt nie kryłby jego nadużyć. Powtarzam, że w tej domenie liczył się Hussenot. Bez niego Lassay byłby tylko jednym z wielu świrów.

Viard udawał idiotę – wiedział znacznie więcej o indywidualnych badaniach w Instytucie Charcota, ale to nic, Erwan zamierzał zażądać odpowiedzi od samego badacza.

– Co się stało z Pharabotem?

– Naprawdę nie mam pojęcia! Prawdopodobnie testowali na nim farmakon. Wykitował w dwa tysiące dziewiątym roku. Prawdopodobnie Lassay stosował za silne dawki. Sprawę wyciszono. Pharabot nie miał krewnych, od kilkudziesięciu lat żył na koszt państwa. Szczęśliwej drogi!

– Pharabot nie umarł. To on mordował we wrześniu. I on zabił moją policjantkę.

– Bredzisz.

Analizując wszystkie informacje, Erwan umacniał się w swoich przekonaniach.

– Lassay wszystkich oszukał. Oficjalnie uśmiercił Pharabota, żeby dalej na nim eksperymentować. Problem w tym, że ptaszek we wrześniu zwinął manatki i uciekł. I natychmiast zaczął mordować. Dzięki pomocy Isabelle Barraire, którą też leczono w instytucie, ukrył się i mógł zabijać bliskich mojego ojca. Pharabot po tych wszystkich latach pałał żądzą zemsty. Chciał zniszczyć człowieka, który go schwytał. Miał kryjówkę w domu w Louveciennes. Audrey Wieniawski go tam zaskoczyła, więc ją zabił.

Viard gwizdnął, wyrażając drwiący „podziw” dla tej skomplikowanej konstrukcji. Wystarczająco długo był gliną, żeby wiedzieć, że rzeczywistość przeważnie jest bardziej banalna i mniej spójna od scenariusza filmu.

– Trudno ci będzie to wszystko udowodnić – stwierdził, wstając, żeby zrobić sobie jeszcze jedną kawę.

– Niczego nie chcę udowadniać, zależy mi tylko na tym, żeby powstrzymać tego szaleńca. Uciekając, Pharabot zostawił leki, które prawdopodobnie go uspokajały. Teraz to żądna krwi bestia i musimy go znaleźć.

– Wyjąłeś mi to z ust. Daj sobie spokój z tymi bredniami i wracaj w teren. Powiem ci tylko, że to na pewno nie Pharabot. On umarł i został spalony, uwierz mi. Miałem piekielnie dużo roboty z ukryciem przyczyny jego śmierci i załatwieniem sprawy, bo na karku siedziała mi administracja więzienna i szpitalna. Wracaj do policjantów, którzy penetrują okolicę. Złapiecie tego gościa dzięki świadkom, blokadom i…

Erwan zamierzał mu przerwać, kiedy w kieszeni zadzwonił mu telefon. Loïc. *Odbierz*.

– Mama miała kolejny atak.

116

Czegoś takiego nigdy jeszcze nie widział. Maggie leżała na łóżku obłożona prostokątnymi płytkami, które wyglądały jak tabliczki białej czekolady. Tors, brzuch i nogi miała owinięte dziwnym bandażem. Tylko twarz i ręce zostały wolne.

– Chodzi o to, żeby ją wychłodzić – wyjaśnił lekarz. – Te okłady pozwalają na obniżenie temperatury pacjenta o kilka stopni. Wprowadziliśmy panów matkę w stan terapeutycznej hipotermii. W tej chwili jej temperatura wynosi trzydzieści cztery stopnie.

– Czemu to ma służyć? – zapytał Loïc.

On i Erwan przyjechali równocześnie i zastali zapłakaną Gaëlle siedzącą na brzegu łóżka.

– To spowalnia procesy biochemiczne organizmu – powiedział lekarz – zwłaszcza zużycie tlenu. Poza tym zimno chroni mózg przed ewentualnymi uszkodzeniami, które mogłyby okazać się nieodwracalne, a nawet uniemożliwić wybudzenie pacjentki. Można by powiedzieć, że wprowadziliśmy ją w stan hibernacji.

Erwan dopiero teraz się zorientował, że nie jest to lekarz, z którym rozmawiali wczoraj. Prawdopodobnie ten był specjalistą od reanimacji.

– Nic nie rozumiem – odezwał się znowu Loïc. – Wprowadziliście ją w śpiączkę, potem wybudziliście, a teraz znowu straciła przytomność, tak?

– Wyjdźmy stąd. Na zewnątrz będziemy mogli swobodnie porozmawiać.

Poszli za lekarzem, zostawiając załamaną Gaëlle przy matce. Erwan przypomniał sobie, że psychiatra z Villejuif użył terminu „dekompensacja”. Od tygodni Gaëlle kompensowała to, co niszczyły traumy, na jakie była narażona. Teraz popadała w chorobę, z której już raz wyszła – wróciła anoreksja i ten stan głębokiego chronicznego bólu istnienia.

Zatrzymali się w korytarzu, zawinięci w papierowe kitle.

– Jak powiedziałem przez telefon, ogólny stan panów matki ustabilizował się, uznaliśmy więc, że możemy ją wybudzić. Niestety, wkrótce potem

doszło do zawału mięśnia sercowego i zatrzymania akcji serca, a w konsekwencji do kilkusekundowego niedotlenienia mózgu, co spowodowało, że pacjentka zapadła w śpiączkę.

– To nieuleczalne?

Tym razem Erwanowi wyrwało się to dość naiwne pytanie.

– Wyniki pierwszych badań nie napawają optymizmem. Rezultat badania według skali Glasgow jest bardzo niski. Źrenice nie reagują na bodźce. Jutro wykonamy elektroencefalografię i dowiemy się, jakie są szanse.

– Może z tego wyjść czy nie?

– Nie zamierzam opowiadać panom bajek, pacjentka jest w stanie krytycznym.

Loïc, coraz bardziej agresywny, zapytał znowu:

– Jak to możliwe, że pod okiem lekarzy matka przeszła zawał?

Powiedział to tonem człowieka, który już trzyma w ręku telefon, żeby zadzwonić po adwokata. Lekarz bezradnie rozłożył ręce.

– Problemy z tarczycą od dawna wyniszczały jej organizm. Ten atak w kostnicy zrobił swoje. Jednak nic nie wskazywało, że może dojść do takich komplikacji.

Erwan miał ochotę powiedzieć mu prawdę: Maggie nie chciała do nich wracać, bo świat bez Morvana dla niej nie istniał.

Nagle zauważył, że brat zniknął. Szybko pożegnał lekarza i zbiegł po schodach, przeskakując po cztery stopnie, a potem jak błyskawica pognał przez hol.

– Loïc! – krzyknął, widząc go między lśniącymi w słońcu samochodami. – Dokąd idziesz? Zaczekaj na mnie.

Dogonił go i znów dostrzegł uderzającą zmianę w jego zachowaniu. W Loïcu coś się umocniło. W miarę jak Gaëlle się zapadała – parowały z niej kilogramy ciała, zżerały ją nerwy – Loïc zyskiwał siłę i pewność siebie. Przepływ fluidów w rodzinie Morvanów… Gaëlle zabawiła się już w morderczynię, ciekawe, czym zaskoczy go młodszy brat?

– Co z pogrzebem?

Loïc uśmiechnął się, rozgoryczony, i pokiwał głową, jakby chciał powiedzieć: „Tylko to cię interesuje”.

– Mamy samolot jutro rano. Trumna dotrze z nami do Lannion. Potem karawan zawiezie ją na cypel Arcouest.

– Kto organizuje transport?

– Zakład, którego adres mi podałeś.

– A droga z lotniska?

– Łódź przewiezie trumnę na Bréhat.

Ojciec miał być przerzucany z samolotu do karawanu, potem z karawanu na łódź, by wreszcie ludzie ponieśli go do kościoła. Erwanowi stanął przed oczyma widok zwłok wciśniętych między te cztery deski, ubranych po afrykańsku, bosych. *A wszystko po to*…

– Ubrali go?

– Zaniosłem im garnitur i koszulę Charvet.

Grégoire Morvan od dziesięcioleci ubierał się zawsze tak samo – w szyte na miarę garnitury Ermenegilda Zegny, błękitne koszule z białym kołnierzykiem i szelki. W trumnie musiał spocząć w takim stroju, niczym generał w mundurze.

– Przyjadę do was do Arcouest.

– Nie pojedziesz z nami?

– Nie. Lecę za chwilę. Muszę się z kimś tam spotkać. To sprawa osobista.

Loïc podejrzliwie patrzył na brata – przecież nie znał tam nikogo, a od dwudziestu lat bardzo niechętnie jeździł na Bréhat.

– Wyjaśnię ci to – szepnął Erwan, żeby rozładować atmosferę. – Wracaj do szpitala po Gaëlle. Nie możemy jej tak zostawić.

– A ty?

– Przykro mi, ale mam pilne sprawy.

Jakby na usprawiedliwienie tego zachowania rozdzwonił się jego telefon. Zerknął na ekran. Krauss, zakonnik i psychiatra z Louvain-la-Neuve.

– Idź – rzucił, zanim odebrał. – Zadzwonię do was wieczorem. Opiekuj się nią.

117

– Charakter tych obrażeń nie pozostawia żadnych wątpliwości – ojciec Krauss przeszedł od razu do sedna, pomijając uprzejmości, i Erwan był mu za to wdzięczny. – Z punktu widzenia magii Yombe mają bardzo mocną symbolikę. Przede wszystkim oczy. Załóżmy, że morderca traktował ofiarę jak figurkę wotywną. Jeśli tak, to „otworzył" jej oczy, żeby zobaczyć za jej pośrednictwem tamten świat. To niezwykle ważny gest, bo przejście może dokonać się tylko raz. Przez oczy *nkondi* zabójca dostał się do świata duchów.

Erwan starał się wczuć w tę mentalność. Tak nagle musiał przenieść się w świat czarowników i *nganga*.

– A język?

– To również charakterystyczny symbol. W świecie duchów symbolizuje słowa, magiczną mowę. Dlatego bardzo często figurki wystawiają język, żeby pokazać swoją siłę. Pamięta pan zapewne, że *nganga* ssie gwoździe i kawałki szkła, zanim wbije je w fetysz. Ślina zwiększa moc prośby uzdrowiciela i…

Krauss zapomniał już chyba, że najważniejsze jest teraz zrozumienie rytuału mordercy.

– Skupmy się na konkretach – przerwał mu Erwan. – Dlaczego wyciągnął język ofiary przez ranę w szyi?

– Nie potrafię tego dokładnie powiedzieć, z pewnością jednak zabójca przeżył z ofiarą chwilę… potężnej magii. Liczył, że to ona podpowie mu, co powinien robić. To fetysz, który będzie symbolicznie „ssać" każdy jego czyn, wspierać próby ucieczki i wymykania się panu. Ta rana to swoiste wzmocnione zaklęcie. Obrażenia uczyniły *nkondi* silniejszym. Teraz sprawca zyskał wizję i mowę, oczy i słowa. Dwie nadzwyczajne moce duchów.

To wszystko było szaleństwem, ale szósty zmysł policjanta podpowiadał mu, że zabójca – czy to Pharabot, czy ktoś inny – kierował się taką logiką.

Erwan wiedział, że musi go tropić, idąc śladem jego wierzeń, tak jak uczynił ojciec, gdy wczuł się w obłęd Człowieka Gwoździa.

– Antyczarownik powrócił! – wykrzyknął misjonarz.

Ta nowina zdawała się go podniecać, jednak Erwan był zbyt przybity, żeby podzielać ten entuzjazm. Nikt nie mógł tańczyć na grobie Audrey.

– Proszę też nie zapominać – podjął spokojniej etnograf – że to okrucieństwo w zadawaniu ran stanowi o gniewie *nkondi*. Im głębsza rana, tym straszliwsza reakcja fetysza. Wyłupienie oczu jest niezwykle rzadkie w rytuałach Yombe, ponieważ oznacza prowokowanie ducha przez naruszenie jego najświętszej intymności.

Erwan przypomniał sobie specyficzne postępowanie *nganga* – obrażając swoje figurki, opluwając je albo wbijając im gwoździe w boki, budzili duchy od wewnątrz. Nazywali to „wbijaniem zemsty”. Co do intencji mordercy nie było więc wątpliwości.

– Zabójca stacza z panem pojedynek na śmierć i życie – podsumował Krauss. – Innego starcia nie będzie.

Bez żartów… Wszystko to idealnie pasowało do Pharabota i zemsty, którą pałał od czterdziestu lat.

– Dziękuję, ojcze, ja…

– Chwileczkę. Wysłał mi pan także zdjęcia *minkondi* ulepionego z gliny.

– To prawda. Słucham.

– O rzeźbie jako takiej nie mam nic szczególnego do powiedzenia. Widać, że jej twórca dobrze zna tradycję Yombe. Przypuszczam, że materiał został poddany analizom.

Erwan nie pomyślał o tym, zbyt zaprzątnięty śladami DNA i tajemniczych leków.

– Jeszcze trwają – powiedział. – Dlaczego wydaje się to ojcu ważne?

– Skąd, pańskim zdaniem, podejrzany wziął tę glinę?

– Z ogrodu otaczającego jego kryjówkę.

– Czy jest tam jakieś źródło albo staw?

Erwan przypomniał sobie o stawie w pobliżu domu w Louveciennes. Dotąd czuł, jak błoto oblepiało jego buty podczas odprawy.

– Owszem, staw.

– Jestem gotów się założyć, że *nganga* wydobywał materiał z tej wody.

– Dlaczego?

– Ponieważ to siedziba duchów zmarłych. To tam zamieszkują. Rzeźbiąc *nkondi* z takiej ziemi, zyskuje zdwojoną moc. Podejrzany używa teraz… potężnej, niszczycielskiej broni.

– Dziękuję, ojcze.

– I jeszcze jedno. Wysłałem panu moje dokumenty zwykłym listem i…

– Jakie dokumenty?

– Zdjęcia naszej misji z lat siedemdziesiątych.

Krauss zaczynał go zamęczać tymi archiwaliami. Mimo wszystko Erwan uprzejmie podziękował i pożegnał się z rozmówcą.

Usłyszał zbilżające się kroki. Loïc.

– Co ty tu robisz? Powiedziałem przecież, żebyś…

– Gaëlle posłała mnie do diabła. Chce zostać z Maggie.

Erwan westchnął. Telefon znów zaczął wibrować w jego dłoni. Tym razem dzwonił Tonfa.

– Mam coś – powiedział zdenerwowany. – Gorące, aż parzy. Zastanawiałem się, czy Barraire nie ma w Paryżu innych mieszkań, w których mógłby się przyczaić ten obłąkaniec.

Niegłupi ten Tonfa. Intuicja podpowiedziała Erwanowi, że to był dobry pomysł.

– Sprawdziłem Île-de-France, tereny przemysłowe, franczyzę. Dość szybko udało mi się coś znaleźć. To w Gennevilliers. Ogromny zakład piorący szpitalne ubrania. Pracownicy zauważyli, że od dwóch dni dzieje się tam coś dziwnego, jakby zamieszkał tam jakiś włóczęga.

– Żaden zamek nie został wyłamany?

– Nie.

– Powiadomili policję?

Tonfa roześmiał się i powiedział:

– Prawdopodobnie połowa pracuje na czarno. Coś mi się wydaje, że większość z nich to Chińczycy. Gratulacje dla spółki Domanges!

– Dlaczego zgodzili się z tobą rozmawiać?

– Powiedziałem, że nic mnie nie obchodzą ich karty pobytu, że pracuję w kryminalnej i to zrobiło na nich duże wrażenie. Ale przy okazji jeszcze bardziej się wystraszyli. Pozwolą nam przeszukać zakład. Jedziemy?

Erwan musiał to przemyśleć. Albo trafili w dziesiątkę, albo nic nie znajdą. Może to tylko zwykły bezdomny, który znalazł sobie ciepłe schronienie, a może bestia w ludzkiej skórze, morderca, którego szukają.

Godziny mijały, on zaś nie dostał żadnej informacji od służb poszukujących zbiega. *Nie mamy nic do stracenia*.

– Ruszamy – zdecydował. – Ale tylko ty i ja.

– Jesteś pewien?

– Mogę tam być za pół godziny. Prześlij mi dokładny adres. I przede wszystkim niech pracownicy nie odrywają się od normalnych zajęć. Mają się zachowywać jakby nigdy nic.

Miał już pobiec do samochodu, kiedy zauważył, że Loïc wciąż stoi obok niego.

– Znaleźli go, tak? – zapytał starszego brata.

– Pojadę tam tylko na chwilę, żeby się rozejrzeć.

– Jadę z tobą.

– Zwariowałeś? Nie mogę cię zabrać, nie jesteś…

– Erwan, nic nie rozumiesz. Cała ta historia to sprawa rodzinna.

– Jeżeli znowu coś ci się uroiło po kokainie, to…

– Od miesiąca jestem czysty.

Erwan zawahał się, zanim otworzył drzwi samochodu.

– Jeżeli wychylisz nos na zewnątrz, zatłukę jak psa.

118

Strefa gospodarcza Marais w Gennevilliers, usytuowana między autostradą A86 a Sekwaną, pod żadnym względem nie przypominała dawnych ośrodków przemysłowych z kominami z cegły i zębatymi dachami. Dziś był to nowoczesny, imponujący zespół budynków otoczonych drzewami i strzeżonych przez pracowników ochrony. Tonfa czekał na niego przy samochodzie, tuż przed bramą. Widać było, że jest zdenerwowany. Po tragedii w Louveciennes myśl o takim szturmie bez wsparcia i bez nakazu nie wzbudzała w nim entuzjazmu.

Kiedy zobaczył samochód Erwana, wyszedł mu na spotkanie.

– Pojedziesz za mną? – zapytał, pochylając się. – Wejdziemy od tyłu.

– Dlaczego?

– Szef tej firmy mówi, że tak będzie dyskretniej.

Prowadząc tę rozmowę, oficer nie odrywał oczu od siedzącego na miejscu pasażera Loïca. Jego obecność dodatkowo go zaniepokoiła, jednak nie odważył się zapytać, co tu robi cywil, i wrócił do swojego wozu. Przy szlabanie zatrzymał ich nadgorliwy ochroniarz. Kiedy Tonfa prowadził z nim negocjacje, Erwan z uśmiechem na ustach podszedł do nich. Owszem, zależało mu na dyskrecji, ale nie zamierzał trząść portkami.

Przytknął legitymację do szyby budki i kazał cieciowi głośno przeczytać, co na niej napisano: „Władze cywilne i wojskowe zobowiązuje się do umożliwienia posiadaczowi tej legitymacji wejścia i swobodnego poruszania się po…”.

Skierowali się do głównej alei, zgodnie ze wskazówkami ochroniarza. Jadąc bardzo wolno, Erwan obserwował rzędy kolorowych pawilonów, w których mieściły się zakłady produkcyjne. Co można było wytwarzać w tych klockach Lego dla olbrzymów?

Budynek 2F – pralnia Domanges – był największy. Tu wszystko wskazywało na działalność przemysłową: kominy buchające kłębami białego dymu, chromowane zbiorniki na tyłach hali, strefa rozładunku,

gdzie stało kilka ciężarówek w firmowych kolorach. Objechali budynek i zaparkowali obok nich.

Robotnicy w fartuchach palili przed drzwiami. Sami Chińczycy. Napięcie malujące się na ich twarzach i podejrzliwe spojrzenia już z daleka zdradzały, że pracują nielegalnie. Erwan nie spodziewał się takiego lekceważenia prawa w zakładach Barraire'ów. Zwłaszcza po rozmowie z bratem Isabelle, kreującym się na szacownego przemysłowca.

– Nie ruszaj się stąd – polecił Loïcowi, wysiadając z samochodu.

Jego brat siedział wyprężony jak struna i z zaciśniętymi zębami obserwował żółtków. Skinął głową, ale Erwan ufał mu jak hienie, która zerka na przeżartą gangreną nogę. *Do diabła, po co go tu zabrałeś?*

Podchodząc wraz z Tonfą do robotników, dostrzegł w ich oczach coś innego niż typowy strach nielegalnych imigrantów. Oni nie bali się policji. Miał nadzieję, że nie wszyscy opuścili stanowiska pracy, żeby tu czekać na przyjazd kryminalnych. Jeśli Pharabot przebywał w budynku, to lepiej, żeby niczego się nie domyślił.

Z grupy wysunął się wysoki mężczyzna. Barczysty, w nieokreślonym wieku, miał na sobie roboczą bluzę, dżinsy i bluzę z nadrukiem Psy, twórcy Gangnam Style. Prawdopodobnie był przełożonym pozostałych.

– Przecież mówiłem, żebyście nie przerywali pracy – ofuknął go Tonfa.

– To tylko część zmiany – uśmiechnął się mężczyzna. – Większość pozostała na stanowiskach pracy.

– Ilu jest was łącznie? – zapytał Erwan.

– Setka.

Policjanci zerknęli na siebie – poziom ryzyka był naprawdę wysoki. Erwan pomyślał o SIG-Sauerze Audrey – jeżeli Człowiek Gwóźdź ukrywał się w pralni, to mógł się bronić, wystrzeliwując szesnaście razy.

– Proszę za mną – powiedział Chińczyk, rzucając peta.

– Chwileczkę – zatrzymał go Erwan. – Ile tu jest wyjść?

– Te drzwi, wejście główne i pięć wyjść awaryjnych.

– Czy można je zamknąć?

– Nie po to są.

– Na czas przeczesania hali. Proszę je zablokować od zewnątrz. Tak, żeby nikt nie mógł już wyjść.

– A co z ludźmi?

Zamknięcie robotników z mordercą nie było genialnym pomysłem. Erwan znalazł inne rozwiązanie.

– Proszę się nie obawiać – powiedział, wyobrażając sobie Pharabota strzelającego w tłum. – Wiemy, co robimy. Stopniowo wyprowadzimy ludzi głównym wyjściem – niech im pan to dyskretnie przekaże. Mają wychodzić pojedynczo, bez pośpiechu, możliwie naturalnie.

Mężczyzna wybuchnął śmiechem. Chyba tylko on zachował tu spokój. Po mandaryńsku, jakby siekał mięso, wydał polecenia.

– Idź tam i pilnuj wyjścia – szepnął Erwan do swojego zastępcy. – Dopilnuj, żeby wszyscy spokojnie wyszli. Utrzymujemy kontakt przez komórki. Ten, który zobaczy podejrzanego, dzwoni. Żadnych indywidualnych akcji. I w żadnym wypadku nie sięgaj po broń, jasne? Jeżeli nas zauważy, wzywamy posiłki.

Tonfa skinął głową i pobiegł w stronę wyjścia.

Erwan jeszcze raz ogarnął wzrokiem halę, która musiała mieć ponad tysiąc metrów kwadratowych. Robotnicy ustawiali już beczki pod wyjściami ewakuacyjnymi. Kryjówka była olbrzymia, jeżeli jednak wariat gdzieś tu był, znalazł się w pułapce.

– Te hałasy, o których mówił pan mojemu koledze… – Erwan zwrócił się do Chińczyka – jak by pan je opisał?

– Osobiście ich nie słyszałem. Podobno dobiegają z piwnic, gdzie trzymamy zapasy środków piorących.

– Może to któryś z robotników?

– Nikt nigdy nie zostaje dłużej, niż musi, w magazynie Per. Między sobą nazywamy to miejsce „salą zmarłych”.

Perchloroetylen. Trucizna używana do czyszczenia na sucho, jeden z silnych środków rakotwórczych. Firma Domanges stosowała więc nadal odrzucone gdzie indziej chemikalia, które zabijały wolno, ale skutecznie. Zaczynało się od podrażnienia dróg oddechowych i oczu, a kończyło na chemioterapii. Sprawy niekiedy przybierały bardziej gwałtowny obrót – w 1997 roku, po wycieku w pralni w Chatou, właściciel chciał szybko wytrzeć płyn ścierką. Po dziesięciu minutach już nie żył.

– Zaglądał pan tam?

– Nic nie znaleźliśmy, ale facet może być przebiegły. Tutaj jest dużo schodów i miejsc, w których można się ukryć. Może przenosić się z jednego w drugie.

– Od jak dawna to trwa?

– Zaczęło się nocą z wtorku na środę.

Czas się zgadzał. Jeżeli Pharabot po śmierci Audrey uciekł prosto do Gennevilliers, to dotarł mniej więcej wtedy.

– Ochrona niczego nie zauważyła?

– Ci z zewnątrz są do niczego.

– Czy poza hałasami coś jeszcze świadczy o obecności intruza?

– Zdarzają się kradzieże jedzenia.

Erwan, nie wiedzieć czemu, wyobraził sobie uciekającą kaczkę po pekińsku. Zachichotał nerwowo, głupio, ale w ostatniej chwili zdołał pokryć ten śmiech kaszlem. *Tracisz panowanie nad sobą*.

– O której zamykacie zakład?

– Nie zamykamy. Pracujemy w systemie zmianowym. Pierzemy dla połowy szpitali i stołówek w Hauts-de-Seine.

– Proszę zaprowadzić mnie do magazynu.

Zeszli na pierwszy poziom podziemi. Było to betonowe pomieszczenie wysokości co najmniej trzech metrów. Pomalowane lakierem ściany lśniły jak wypolerowane srebro. Przestrzeń przedzielały rury, tworząc wodny i powietrzny labirynt. Wszystko tu było czyste i obojętne, można by powiedzieć – „zimne”, gdyby z każdym krokiem nie wzmagało się ciepło. Hala była pełna rozwieszonych ubrań: fartuchów, bluz, kombinezonów, które przesuwały się po szynie przymocowanej do sufitu.

– To pakowalnia – powiedział Chińczyk, pokazując kobiety wsuwające każdą sztukę pod plastikowy pokrowiec, w którym miała wzbić się w górę.

Wydał im polecenia, znów po mandaryńsku. Robotnice kolejno opuszczały stanowiska pracy i znikały.

– Zbliżam się do kryjówki – powiedział Erwan do telefonu. – Jak dotąd nic. A u ciebie?

– To samo. Ludzie zaczynają wychodzić.

W następnej sali mieściła się prasowalnia. Świsty, para buchająca z żelazek, szelesty rozdzierały przesiąknięte wilgocią powietrze. Mężczyźni i kobiety w maskach podobnych do chirurgicznych wprawnie manipulowali żelazkami, których kable unosiły się za ich plecami. Inni obsługiwali prasowalnice wypuszczające białe kłęby pary. Erwan mimowolnie pomyślał o dim sumach, które czekają, żeby po nie sięgnąć i zjeść. Znów te kulinarne skojarzenia – zupełnie nie na miejscu. *Kurwa, weź się w garść!*

Seria poleceń. Robotnicy nie kazali się prosić – gęsiego ruszyli do wyjścia.

– Nadal się zbliżam – Erwan zwrócił się do Tonfy. – Wszystko w porządku?

– Tu wciąż wychodzą. Tłum.

Z osłoniętych czepkami i maskami twarzy widać było tylko skośne oczy robotników, którzy nieufnie obserwowali komendanta. Poczuł, że są do niego wrogo nastawieni.

– Każ im zdejmować maski – polecił Tonfie.

– A jak to się mówi po chińsku?

– Na migi. Zerwij maski kilku pierwszym.

Idąc, jego przewodnik wyjaśniał mu system zmianowy, dzięki któremu pralnia nigdy „nie stygła”. Przeszukanie zamieniało się w wycieczkę. Erwan raz po raz ocierał pot z czoła. Para gęstniała i przenikała przez tkaninę koszuli. Przynajmniej nie było mu już zimno.

– Gdzie ta piwnica? – wpadł mu w słowo.

– Dalej.

Drzwi ognioodporne. Bębny olbrzymich pralek wirowały. W okienkach widać było obracające się ubrania i pianę. Wysokie wózki, wypełnione po brzegi brudną bielizną, czekały na swoją kolej. *Pranie*…

– Coraz bliżej – powiedział do Tonfy. – Masz coś?

– Wietnamcy panikują. Zajrzę do środka.

Tonfa powiedział to zmienionym głosem – napiętym, zadyszanym.

– Kurwa! – wrzasnął Erwan. – Zostań na zewnątrz! Do diabła, gdzie ten magazyn? – zapytał Chińczyka.

Mężczyzna wyciągnął palec:

– Jeszcze jedna sala i…

Przerwał mu huk strzału.

119

Erwan wyciągnął broń i pobiegł w kierunku, z którego dobiegł strzał, mijając uciekających w przeciwną stronę robotników. Niektórzy potykali się o rozrzuconą bieliznę, inni przewracali wózki. Erwan nie musiał już szukać piwnicy – intruz wyszedł na powierzchnię. Dotarłszy do kolejnych drzwi, policjant przywarł plecami do ściany i wtedy uświadomił sobie, że w lewej ręce wciąż trzyma telefon.

– Tonfa? – szepnął.

Cisza.

– Tonfa?

Znowu nic. Erwan wsunął telefon do kieszeni i uzbroił pistolet. W tej sekundzie wydało mu się, że całym ciałem czuje, jak kula naciskana przez inne naboje przesuwa się do komory. Zaczął się proces śmierci.

Wsunął się do następnej hali, wciąż trzymając się lewej ściany, i na ugiętych nogach pokonywał kolejne odcinki drogi. Był w suszarni. Bębny wypluwały idealnie czystą bieliznę przez długi rękaw. Kilku robotników wycofywało się na czworakach albo czołgając się. Chwycił jednego z nich za bluzę. Przerażony Chińczyk wskazał palcem metalowe drzwi po prawej.

Erwan gwałtownie je pchnął i ujrzał pogrążony w półmroku korytarz – nagie ściany, a wzdłuż nich rury kanalizacyjne. Zmrużył oczy, żeby trochę się rozejrzeć: w ciemności świeciły tylko czerwone lampki wskazujące drogę ewakuacji. Szum dmuchaw stał się ogłuszający.

Z twarzą mokrą od skraplającej się pary szedł ostrożnie, nie chcąc jeszcze dopuścić do siebie najczarniejszego scenariusza – że kolejna nielegalna operacja zakończy się klęską. Znowu drzwi. Kilka metrów dalej Tonfa na ziemi, skulony na boku, z pistoletem poza zasięgiem.

Erwan zapomniał o ostrożności i podbiegł do niego. Spodziewał się, że zobaczy kałużę krwi, ale nie: Tonfa obrócił się i wskazał na kamizelkę kuloodporną, którą miał pod marynarką. Tym razem na szczęście ten najmniej przenikliwy okazał się najrozsądniejszy.

– Jedna utkwiła w tym kaftanie, ale chyba nic mi się nie stało.

Nawet dla kogoś tak potężnie zbudowanego energia kinetyczna kuli kalibru 9 mm to potężne uderzenie. Nazywa się to oględnie „efektami wtórnymi”. Kula nie wbija się w ciało, ale powoduje takie obrażenia jak potężne uderzenie – od kilku złamanych żeber po krwotok płucny.

– Ruszaj! – ciężko dysząc, wskazał drzwi za sobą.

Zbieg zawrócił. Tkwi tam jak szczur w norze.

Erwan wyjął telefon, żeby ściągnąć posiłki.

– Mówię ci, goń go! – powtórzył Tonfa. – Ja sobie poradzę.

– Zajmę się tym – powiedział głos w ciemnościach.

Chiński szef zmiany, drżąc, podążał za komendantem. Jego twarz wyglądała jak odlana z wosku, ale mina świadczyła o determinacji. W tym momencie padły dwa kolejne strzały.

– Do kurwy nędzy!

Erwan ruszył szybkim krokiem wzdłuż ściany maszyn wielkości sauny. Do następnej sali wszedł w samą porę, żeby zobaczyć przeciwnika, zanim ten zdążył zamknąć drzwi w jej drugim końcu. Uciekinier szarpał się z nimi dość długo, zanim zauważył, że głowa robotnika, którego zastrzelił, zablokowała je. Strzelił na oślep i zniknął.

Na siatkówce Erwana odcisnęła się postać w czarnej kurtce z kapturem naciągniętym na głowę tak, jak robią chuligani. Człowiek był dobrze zbudowany i w świetnej kondycji. Wcale nie wyglądał na staruszka wyniszczonego przez lekarstwa i dziesięciolecia zamknięcia w szpitalu psychiatrycznym. Za to bardzo przypominał tamtego zamaskowanego łotra z redy w Fos. Tym razem strach eksplodował w głowie Erwana jak szklana butelka, odpryskami szkła tnąc nerwy i żyły. Kim był ten facet?

Erwan mijał prasowalnice o wyglądzie warsztatów tkackich, a potem zwolnił, zbliżając się do uchylonych drzwi. Zabójca mógł czaić się tuż za nimi. Policjant ukląkł przy leżącym na ziemi robotniku, którego tors rozdarły dwie rany średnicy rozgniecionych pomidorów. Był jeszcze ciepły, ale nie żył. Erwan wstał, ostrożnie pchnął drzwi i przeszedł nad ciałem. Zerknął w lewo, potem w prawo – nikogo, jeśli nie liczyć kilku głów w czepkach, ukrytych za taśmą, która przesuwała się pusta.

Chwycił wózek pełen prania i ruszył, osłaniając się nim jak tarczą. Nikt nie strzelał, nie słychać było żadnych hałasów, poza szmerem wody. Podeszwy miał lepkie, marynarka kleiła mu się do ciała, strach parował

wszystkimi porami skóry, a on czuł się, jakby wchłonęła go cała ta wilgoć. W głowie dudniła mu tylko jedna myśl: położyć kres rzezi, za wszelką cenę i w dowolny sposób.

Znów drzwi, a za nimi następna hala. Duże, ponumerowane worki z płótna przesuwały się po szynie i otwierały przed ostatnim zakrętem, wyrzucając zawartość do pojemników, które odjeżdżały po innych torach. Nieobecność robotników potęgowała surrealistyczną wymowę tego mechanicznego baletu.

Na końcu nie było drzwi, ale klatka schodowa prowadząca w dół. Erwan zbliżył się do niej, poruszając się tym razem w rytm pojemników. Ta klatka schodowa doskonale nadawała się na cholerne okienko strzelnicze. Tamten na pewno schował się na schodach, a teraz celował do niego jak do kaczki.

Już tylko kilka metrów. Wstrzymał oddech i, zacisnąwszy ręce na pistolecie, zwrócił się w stronę schodów. Zobaczył cień, który skoczył ku niemu. Erwan zatrzymał się w ostatniej chwili – niewiele brakowało, by oddał strzał, a tymczasem zobaczył spanikowanego robotnika, który bełkotał coś w swoim dialekcie.

Mimo to zdołał zrozumieć powtarzające się raz po raz słowo: Per! Per!

Erwan dopiero teraz rozpoznał ten smród – Chińczyk z daleka cuchnął eterem. Jeszcze raz zerknął w dół. Pod schodami w półmroku błyszczała kałuża. Po nieudanej próbie ucieczki wyjściem awaryjnym morderca „zabarykadował się” w swojej norze i otworzył pojemniki, żeby odstraszyć wroga. To było czyste samobójstwo. Uwięziony na dole, był najbardziej narażony na śmierć.

Osłaniając nos i usta rękawem, Erwan zszedł z bronią gotową do strzału. Na dole zobaczył kolejne drzwi. Stanął przed nimi i pchnął potężnym kopnięciem, a potem przywarł plecami do ściany po prawej stronie futryny, spodziewając się, że powita go grad kul. Cisza. Rozejrzał się błyskawicznie – w mroku widać było tylko zeskładowane tu pojemniki.

Wśliznął się do środka i ukrył za kontenerami. Jego oczy oswajały się z ciemnością, ale zaczynał widzieć podwójnie. Ból rozsadzał mu głowę, a przy każdym wdechu – ostrożnym, ustami – kasłał i pluł.

– Pharabot! – wrzasnął zachrypniętym głosem. – Wyłaź stąd, jeżeli nie chcesz zdechnąć!

Odpowiedziała mu cisza. Zrobił jeszcze kilka kroków, zastanawiając się, czy nie powinien po prostu wyjść i zamknąć za sobą drzwi, żeby zabójca

nie wydostał się z pułapki. Ale czy tamten naprawdę tu był?

– Pharabot! Zabawa skończona. Rzuć broń i wyjdź!

Nic nawet nie drgnęło. Wydawało się, że są tu tylko ściany kanistrów z Per. Podeszwy butów Erwana lepiły się do podłoża, a toksyczne opary mąciły mu zmysły. Jeszcze kilka kroków. Erwan myślał wyłącznie o ojcu, który ścigał Pharabota w buszu. Musiał pokazać, że jest równie silny. Musiał dopaść mordercę. Był to winien Staremu, Audrey, no i …

Hałas po prawej. Obrócił się i odruchowo zacisnął obie ręce na broni, wystawiając twarz na wyziewy trucizny. Nic nie zobaczył, wiedział tylko, że zmysły coraz bardziej go zawodzą. Łzawiły mu oczy, paliło w gardle, a migrena rozsadzała czaszkę, powodując, że chwilami tracił orientację. I nic nie świadczyło o obecności innego człowieka w tej niebezpiecznej piwnicy.

Znajdował się teraz na środku sali, otoczony kanistrami. Oddalił się od drzwi jak pływak od brzegu. Cokolwiek działo się z Pharabotem, on nie miał już czasu, bo każdy oddech silnej zatruwał jego organizm.

Przypomniał sobie, że Per, szkodliwy także dla nerek i układu nerwowego, powoduje zaburzenia umysłowe i jest uważany za czynnik wywołujący objawy schizofrenii. Jakby Pharabotowi było to potrzebne. On…

Erwan obrócił się – człowiek w kapturze stał w jasnym prostokącie drzwi, trzymając go na muszce. Szybka analiza sytuacji: powinien paść na ziemię, ale wtedy wchłonąłby śmiertelną dawkę rozlanego płynu. Powinien wycelować w przeciwnika, nie mógł jednak ruszyć zdrętwiałą ręką. Powinien strzelać, lecz nie mógł sobie przypomnieć, czy Per jest łatwopalne. Prawdę mówiąc, nic już nie widział i mąciły mu się myśli. Wszystko, co miał przed oczyma i w głowie, po prostu się rozpadło.

W końcu przygotował się do strzału, jednak było już za późno – tamten strzelił pierwszy i cofnął się w stronę schodów. Erwan szykował się na śmierć, patrząc za niknącą w ciemnościach kulą. Potem przed oczyma stanęła mu inna scena. Bójka w rozświetlonym progu. Ktoś rzucił się na mordercę. Walczący stracili równowagę i padli w kałużę chemikaliów.

Nie mógł celować, bo mgła przesłaniała mu oczy, a tamci dwaj szamotali się i gwałtownie przemieszczali. Chwiejnym krokiem próbował do nich podejść. Gwałtowny kaszel rzucił go na kolana. Odbicie własnej twarzy w kałuży Per było jak zaproszenie, by zanurzyć się w nim na dobre.

Dwa strzały. Zmrużył oczy, żeby zorientować się, co się dzieje, jednak wszystko się rozpływało. Rozpaczliwym gestem zasłonił oczy i padł. Niemal w tej samej chwili czyjaś ręka chwyciła go i pociągnęła do wyjścia. Ślepy, bronił się i krzyczał, usiłując chwycić odrobinę tlenu. Czuł, że kona. Światło na schodach. Stopnie, które uderzały o jego żebra, potem powleczony lakierem beton, po którym sunęły jego plecy.

Nagle jakieś inne dźwięki boleśnie podrażniły mu uszy. Woda spływająca do sedesu. Ledwie rozpoznał ten hałas, poczuł coś nowego. To była lodowata woda. Chciał krzyczeć, ale wlewała mu się do ust. Próbował się wyprostować, jednak ręka mocno trzymała go w sedesie.

Nareszcie uniesiono mu głowę. Odruchowo uwolnił się z uchwytu i otarł oczy. Nie wiedział, czy odzyska sokoli wzrok, widział jednak wystarczająco dobrze, żeby rozpoznać twarz wybawcy.

– Co się mówi młodszemu bratu?

120

Pokonał śmierć. Trzymała go już w ramionach i (prawie) nad nim górowała. Ta myśl towarzyszyła Loïcowi od starcia w pralni. Cudowne odwrócenie relacji sił, do jakiej przywykł od dziecka. Przez dwadzieścia lat ćpania zawsze był zabawką Kostuchy. Wysysała z niego krew i szeptała do ucha słodkie słówka, kiedy wciągał biały proszek albo wstrzykiwał sobie inne świństwa. Dziś udało mu się wyzerować licznik.

A przy okazji uratował bratu życie.

Nic nie było w stanie zmącić tego poczucia triumfu. Ani ucieczka mordercy, który w końcu mu się wyrwał, pobiegł schodami w górę i utorował sobie przejście, oddając kilka strzałów i na szczęście nikogo nie zabijając. Ani Per, który wcisnął się w każdy załomek nozdrzy i zatok jemu i jego bratu. Ani to, że przewożono ich do szpitala Lariboisière w takim pośpiechu, jakby właściwie byli już skazani. Nie zepsuła mu tego nastroju także brutalna kuracja, jakiej ich poddawano przez całe popołudnie – strumienie wody, pełny zestaw badań (krwi, oskrzeli, płuc, siatkówki i tak dalej), a do tego niezliczone tabletki i pigułki.

Przez tych kilka fatalnych godzin Loïc tryskał dobrym humorem i triumfował. Przekroczył Rubikon – on, największy tchórz w rodzinie, narkoman, pedał, rzucił się do walki i zwyciężył. Nie z Pharabotem, ale ze sobą, a to już bardzo dużo.

Diagnoza postawiona wczesnym wieczorem potwierdziła jego zwycięstwo – wyniki były negatywne. Nie zatruł się chemikaliami, a te nie spowodowały żadnych podrażnień czy uszkodzeń. Tytanowe płytki, które wszczepiono mu kiedyś w ścianki nosa – dzięki ci, kokaino – zapewniły mu nieoczekiwaną ochronę. Jego brat musiał jednak przejść kolejne badania, bo w magazynie wchłonął pewnie sporą filiżankę trucizny.

O osiemnastej Loïc był już w domu, w alei Président-Wilson. Wypucowany, pomięty, wyczyszczony i… szczęśliwy. Przeszedł cykl prania na sucho i odrodził się po nim jak Feniks z popiołów.

Zmieniło się nawet jego spojrzenie na rzeczywistość. Mieszkanie wydało mu się teraz fantastycznym puzderkiem z lakierowanego parkietu i wspaniałych obrazów. Zachwycał go widok na Sekwanę i wieżę Eiffla. Wszystko było takie, jak wcześniej, ale jego spojrzenie zyskało zdolność przemieniania – albo tylko przywracania prawdy: nigdy dotąd nie widział całego piękna, jakie go otaczało, bo był oślepiony przez narkotyki, a potem udręczony ich brakiem.

Wziął jeszcze jeden prysznic, żeby zmyć z siebie smród szpitala. Pod strumieniem perlistej wody przypominał sobie dzisiejsze dokonania. W samochodzie, na parkingu w Gennevilliers, ogarnęło go przeczucie. Potem przebiegł krótkimi odcinkami przez kłęby pary i skoczył na schody właśnie wtedy, gdy ten bandzior celował do jego brata. Rzucił się na niego bez namysłu. To była chwila prawdy – kilka sekund, które wystarczyły, żeby ostatecznie zerwać z dawnym Loïkiem.

Kiedy wyszedł z kabiny, stanął nago przed lustrem i przyjrzał się sobie. Przemiana wydała mu się widoczna także pod względem fizycznym. Zniknęła warstwa tłuszczu, na którą zapracował sobie, przesiadując w biurze. Zwiotczałe mięśnie odzyskiwały jędrność. Ramiona uniosły się i wyprostowały. Znowu był szczupły, twardy, zahartowany. Jego siła i energia – ten metabolizm, dzięki któremu przed piętnastu laty zwyciężał w prestiżowych regatach i był jednym z najbardziej znanych skiperów swojego pokolenia – powróciły.

Wciągnął slipy i koszulkę, a potem zaparzył sobie mocnej kawy – szybko, pomijając nieoczekiwanie ten drogi sercu ceremoniał. Teraz uważał się za twardziela. *Nie marnuj czasu na bzdury, człowieku*.

Nagle naszły go inne myśli. Chciałby wykrzyczeć tę radość, dzielić się nią. Ale z kim? Brat był jeszcze w szpitalu, a może w pracy, bo musiał jakoś wyplątać się z kolejnej już wpadki. Oczywiście uzgodnili, że po prostu zapomną o obecności Loïca na miejscu akcji. Siostra nie potrzebowała dodatkowych emocji. Nie zamierzał też pukać do drzwi Sofii, bo mogłaby pomyśleć, że szuka u niej pociechy po gwałcie w Fiesole.

Zostawali jeszcze przyjaciele, ale którzy? Połowa z nich żyła tylko po to, żeby ćpać, reszta – żeby zbijać szmal. Często zresztą jedno łączyło się z drugim. Jakimi słowami zdołałby im wytłumaczyć, jak podniecające było to napięcie, to rozgorączkowanie, które czuł właśnie wtedy, kiedy ryzykował, że straci nie tylko jaja, ale także życie?

Spojrzał na zegarek. Było już po dziewiątej. Przypomniał sobie, że Gérard Combe co wieczór urządzał strzelanie w swoim klubie w Épinay. Kiedy instruktor rozpoznał jego głos przez telefon, parsknął śmiechem – ale bladym. Loïc domyślił się, że Erwan z nim rozmawiał.

– Myślałem, że jedna sesja ci wystarczy – zażartował.

– Dopiero się wprawiam.

121

– Gdzie jest Loïc?

– Myślałem, że dzwonisz, żeby zapytać, co u mnie.

– Słabsi mają pierwszeństwo.

– Dziś nie wyglądał na takiego słabego.

– Co się właściwie stało? – zapytała Sofia, podnosząc głos. – Gaëlle powiedziała mi, że zniknęliście na całe popołudnie.

– Powiedzmy, że mieliśmy… problem.

– Pokłóciliście się?

Erwan westchnął. Z Sofią zawsze łączył go pakt – chronić młodszego brata przed światem zewnętrznym i przed jego własnymi demonami. Zabierając go w teren, złamał ten układ.

– Nie, to sprawy zawodowe.

– Wziąłeś go ze sobą?

– Był ze mną i…

– Cała wasza rodzina jest stuknięta. Ile razy…

Niech sobie pogada. W gruncie rzeczy miała zresztą rację. I nie zdziwiłby się, gdyby zareagowała znacznie ostrzej. Erwan był oszołomiony. Po wyjściu z Lariboisière chciał zająć się śledztwem, ale nic z tego nie wyszło. Nie dość, że zwierzchnicy mieli do niego pretensje, to groziło mu, że zasiądzie na ławie oskarżonych.

Pierwszy telefon, jaki odebrał w szpitalu, był od Fitoussiego, który zmył mu głowę za tę niewydarzoną akcję. Absurdalną, przeprowadzoną bez odrobiny rozsądku, a poza tym – bezprawnie. Zginął robotnik, policjant odniósł rany (prawdę mówiąc, miał parę siniaków i żadnego złamania), a setka cywilów została narażona na niebezpieczeństwo. I oczywiście morderca nadal był na wolności.

Ten piekielny nadzorca niewolników nie oszczędził mu drobiazgowej opowieści o wszystkich problemach, jakie spowodował jego wybryk. Grube ryby z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych wydzwaniały do „36”, media zaś

zwęszyły sensację i nie zamierzały rezygnować z rozdmuchania sprawy. A wszystko przez głupka, który robił, co mu się podobało!

Erwan pokornie opróżnił ten kielich goryczy, ale na razie chroniła go ważna okoliczność – żałoba po ojcu. Nie strzela się do idącego za trumną. Przyznał się więc do winy i oświadczył, że gotów jest ponieść konsekwencje, przedtem jednak chce spokojnie pochować ojca. Fitoussi odkaszlnął, potem coś burknął. Erwan przypomniał mu, że on i jego rodzina postanowili zrezygnować z oficjalnej ceremonii w Paryżu i pochować Komandora w gronie najbliższych, na wyspie Bréhat. Fitoussiemu pozostało zezwolić mu na przelot do Bretanii, ale nazajutrz, wieczorem nie było już bowiem takiej możliwości, toteż Erwan miał podróżować wraz z rodzeństwem. Po powrocie czekał go inny pogrzeb – własnej kariery.

Potem zadzwonił do komisarza Sandovala, który kierował polowaniem na zabójcę. Rzecz jasna, siły zmobilizowane na zachodnich przedmieściach błyskawicznie przerzucono na północ, aby przeczesały Gennevilliers i okolicę. Kto żyw i kto nosił w tym rejonie mundur, został wezwany na odprawę, poinstruowany i wysłany z bronią w teren. Rozkaz był prosty – dopaść go żywego albo martwego. Jak dotąd morderca pozostawał nieuchwytny. Nie natrafiono na żaden jego trop. Nikt też go nie widział. Najwyraźniej miał dar wtapiania się w tłum.

Poza tym wariant z wciąż żywym Thierrym Pharabotem, który najpierw ukrywał się w podziemiach Instytutu Charcota, a następnie skorzystał z opieki Isabelle Barraire, spalił na panewce. Teraz, kiedy Erwan zmierzył się z prawdziwym mordercą z Louveciennes, tym, który jadł camembert palcami i ukradł broń służbową Audrey – bo o osiemnastej znane już były wyniki analiz balistycznych, te zaś potwierdziły, że kule i łuski z Gennevilliers pochodziły z SIG-Sauera SP 2022 Audrey Wieniawski – pozostało przyznać, że poszukiwany nie miał nic wspólnego ze starcem faszerowanym od czterdziestu lat psychotropami. „Radzę ci znaleźć inny trop niż schizol skremowany w 2009 roku” – powiedział Fitoussi. Przeciwnik z pralni uderzająco przypominał napastnika z portu Fos i zabójcę w kombinezonie zentai ze Świętej Anny.

Kiedy Erwan przechodził jeszcze badania radiologiczne i pobierano mu krew do analiz, Sandoval pojawił się w Lariboisière.

– Widziałeś jego twarz?

– Nie. Nosił maskę, chronił się przed Per.

– A ten roboczy portret, który mi przesłałeś, jest jeszcze aktualny?
– Nic pewnego.
– Mam go brać pod uwagę czy nie?
– Nie.
– Czyli to nie Pharabot?
– Nie wiem.
– Nic nie rozumiem z tego twojego śledztwa.
– Nie ty jeden.

Sandoval był rzeczowym, doświadczonym, metodycznym policjantem. Doskonale nadawał się do tropienia przestępcy na drogach Île-de-France. Ale wyobrażanie sobie różnych wariantów złowieszczej intrygi, której źródłem były wydarzenia sprzed czterdziestu lat i z odległego Zairu, intrygi wymierzonej dziś w rodzinę Morvanów, uknutej zapewne przez ducha fetyszysty – to było stanowczo ponad siły tego dobrego gliny.

Erwan skupił się na faktach.
– Facet miał na sobie czarną bluzę z kapturem.
– Spodnie?
– Dresowe z prążkami na boku.
– Ile tych prążków?
– Odbiło ci?
– Trzy pasy to Adidas, jeden to Puma, a dwa…
– Słabo go widziałem – westchnął Erwan. – Facetowi grunt pali się pod nogami, musicie go dopaść.

Policjant zaśmiał się ponuro i obiecał, że będzie go informował na bieżąco.

O dziewiętnastej lekarze przekazali Erwanowi dobrą wiadomość – nic nie wskazywało na zapalenie skóry ani na zatrucie. Mimo to, na wszelki wypadek, miał przez najbliższe dni przyjmować węgiel Belloca, środki przeciwkaszlowe i przemywać oczy specjalnym płynem. Tuż po powrocie do domu napisał raport z interwencji w Gennevilliers, usiłując znaleźć sensowne uzasadnienie albo przynajmniej usprawiedliwienie swoich poczynań. Wysłał ten dokument mailem do osób uprawnionych i czekał na kolejną falę połajanek. Tymczasem jednak nikt nie reagował.

Zawieszony, a może postawiony przed komisją – oto, co go prawdopodobnie czekało, toteż mógł tylko wymknąć się jutro, żeby przesłuchać Lassaya. Teraz walczył o honor, jeśli zaś nie zdoła wyciągnąć

z psychiatry ważnych informacji, nie będzie miał szans starać się o pozostanie w policji. Miał nadzieję, że służby schwytają zbiega, a ktoś z kryminalnej zastąpi go i doprowadzi śledztwo do końca.

Głos Sofii wciąż brzmiał w słuchawce. Od dobrych dziesięciu minut nawet jej nie słuchał. Znał tę mowę na pamięć – dla niej Loïc mógłby wpaść pod pociąg, a Erwan dać się pożreć milicji Górnego Konga. Nic sobie z tego nie robiła, dla niej ważne były tylko dzieci. A przecież ta dwójka malców to też Morvanowie, więc prosi ich starszych krewnych, żeby się uspokoili, bo Milla i Lorenzo potrzebują ojca i wujka, najlepiej całych i zdrowych.

Erwan bronił się dla zachowania pozorów. Ta rozmowa była formą rozładowania napięcia i służyła wyłącznie Sofii. Cóż z tego, że urodziła się hrabiną i w najrozmaitszych okolicznościach potrafiła zachowywać zimną krew, niekiedy sprawiając wrażenie wyniosłej, skoro kiedy już się zdenerwowała, przeistaczała się w histeryczną neapolitankę. Nagle uświadomiła sobie chyba, że mówi tylko ona i że bezsensownie wylewa z siebie całą złość.

– Opowiedz mi, co się stało.

– Nie teraz. I nie przez telefon.

– W takim razie wieczorem. U mnie – rzuciła rozkazującym tonem. – Czekam na ciebie.

Rozłączyła się, zanim zdążył odpowiedzieć. Wyjął z lodówki piwo i otworzył je, lekko się uśmiechając. Hrabina trochę sobie poczeka. Zostało mu ledwie kilka godzin na odzyskanie siły przed wylotem i nie zamierzał trwonić tego czasu.

Właśnie chciał się położyć, kiedy ku swojemu zaskoczeniu poczuł głód. Wydało mu się to niesamowite. Człowiek mógł stracić ojca, patrzeć, jak dogasa matka – dzwonił do Szpitala Georges-Pompidou: nic nowego, czyli nic dobrego – spowodować śmierć niewinnych ludzi i spieprzyć śledztwo życia, a żołądek o stałych porach przypominał o nędznej kondycji istoty ludzkiej. Uświadomił sobie jednak, że ostatnio myślał o jedzeniu czternaście godzin wcześniej i że wtedy odłożył to na później.

W normalnej sytuacji poszedłby do McDonalda albo do chińskiej restauracji na dole, teraz jednak nie miał siły ruszyć się z domu. Zdesperowany, otworzył lodówkę i odkrył, że – co graniczyło z cudem – były w niej jajka, mleko i trochę innych podstawowych produktów

spożywczych, które najprawdopodobniej po jego powrocie do Francji kupiła mu gosposia. Bez entuzjazmu zabrał się do przygotowania tortilli po hiszpańsku.

Obrał i pokroił stare ziemniaki, które leżały na dnie szafki, potem niewiele świeższą cebulę. Ziemniaki w plasterkach i cebulę pokrojoną w kostkę rzucił na gorącą patelnię i przykrył. Roztrzepując jajka, ujrzał w masie, którą tworzyły, doskonały obraz swojej klęski. Chciałby uczestniczyć w pościgu za mordercą albo, czytając ponownie notatki, odkryć szczegół, który pomógłby go pojmać, ale znalazł się pod ścianą. Nie miał już czego drążyć i analizować. Pozostały mu tylko powracające w bezładzie twarze zabitych – Morvana, Audrey, Salva, Bisingye'a, chińskiego robotnika, którego głowa zablokowała drzwi ognioodporne…

Zostawił ziemniaki i cebulę na małym ogniu i poszedł do salonu, żeby zadzwonić do kilku osób. Zaczął od Tonfy, który na szczęście wrócił już do domu. Nafaszerowany środkami przeciwbólowymi, kładł się spać. Potem rozmawiał z Sandovalem – wciąż nic. Jakim cudem mordercy zawsze udawało się przecisnąć przez zastawione na niego sieci? Czy nadal ktoś mu pomagał? Chcąc postawić kropkę nad i, Erwan zadzwonił jeszcze do Verny'ego, żeby poprosić go o dyskretne rozstawienie ludzi w pobliżu Instytutu Charcota – bestia mogła przecież próbować wrócić do starego gniazda.

Zapach spalenizny przerwał mu rozmowę. Ziemniaki! Odłożył telefon i pobiegł do kuchni, żeby stwierdzić, że wszystko przepadło. Właśnie chwytał patelnię, kiedy rozległ się dzwonek domofonu.

122

Sofia stała w progu, ubrana w płaszcz i buty z czarnego zamszu, z ciepłym szalem na szyi. Zestaw był tak ciemny, że dopiero uważniejsze spojrzenie pozwalało dostrzec, jak jest wyrafinowany. I jeszcze coś – choć nigdy się nie malowała, tego wieczoru użyła karminowej szminki, jakby szal otarł się o jej usta. Sofia wyglądała jak uczta, nie był jednak pewien, czy zostanie zaproszony do stołu.

– Niepotrzebnie się fatygowałaś.

– Musiałam, skoro ty się na to nie zdobyłeś.

– Muszę wcześnie wstać, bo rano wyjeżdżamy, więc…

– O tym między innymi chciałam z tobą pomówić. Mogę wejść?

Cofnął się bez słowa. Zanim wjechała na górę, zdążył otworzyć okna, żeby pozbyć się smrodu spalenizny, i wskoczyć w dżinsy. Na wszelki wypadek przejrzał się w lustrze w łazience: oczy jak u królika, opuchnięta, czerwona twarz, skóra zmaltretowana po zabiegach, jakim go poddano. Makabra.

Lecz widząc ją tak piękną, tak nieprzystępną, pomyślał, że to i tak bez znaczenia. Ich związek był niemożliwy, więc każdy powinien trzymać się własnej roli. Piękna i bestia… Królowa i pirat.

– Ale o czym? – zapytał, zamykając drzwi. – O czym jeszcze mamy rozmawiać?

– Próbowałeś gotować? – zignorowała go, wskazując na pozostałości po jego wysiłkach.

Bez słowa wrócił na pobojowisko i włączył wyciąg. Potem wyjął z lodówki dwie puszki coli zero. Sofia podzielała jego upodobanie do tych bąbelków i sztucznych barwników. Metal szczęknął jak zamek pistoletu.

– Chcesz, żebym pojechała na Bréhat? – zapytała, kiedy już usiedli.

– Co? – rzucił, zbity z tropu. – Nie. Absolutnie nie. Będziemy… To znaczy… Maggie chciała, żebyśmy byli sami.

– Maggie chciałaby, żebym tam była.

Wypił łyk coli i usiadł na taborecie na wprost Sofii. *Pozbieraj myśli*.

– O co ci właściwie chodzi? – odparł. – Nienawidziłaś mojego ojca. Od dwóch lat toczysz z Loïkiem wojnę, a ja wciąż nie wiem, jak każesz mi tańczyć. Co cię obchodzi pogrzeb na Bréhat? Jeszcze tydzień temu chciałaś zniszczyć naszych ojców i…

– Tydzień temu obaj żyli. A teraz wszystko dzieje się tak szybko. Usiłuję się przystosować do sytuacji.

Wstała i zdjęła płaszcz. Miała na sobie dziwną sukienkę – prostą i ciemną, uszytą z czegoś w rodzaju frotté. Naprawdę dziwne, ale o niepodważalnej elegancji. Poczuł, że poprawia mu się nastrój. Obecność tej kobiety w jego mieszkaniu była znakiem. Cokolwiek się stanie, musi kontynuować śledztwo. Przesiedzieć tę noc nad notatkami. Pracować, dopóki zmęczenie nie zwali go z nóg. A może nawet kochać się z tą boginią w koszuli nocnej, zanim zniknie.

– Sofia – powiedział bardziej ugodowo – wszyscy tkwimy w tym bagnie, ale staraj się trzymać na uboczu, tak będzie lepiej. Na razie nic jeszcze się nie skończyło.

Zbliżyła się do niego i przyklękła na jednym kolanie, żeby patrzeć mu prosto w oczy. Często zdarzało jej się robić coś zupełnie nieoczekiwanego i to tak, że wydawało się to równie naturalne jak wschód słońca.

– Coś pali cię od środka i całkiem zniszczy – szepnęła, dotykając palcem jego piersi.

– Jak na razie spaliłem kartofle…

Nie reagując na ten żarcik, pocałowała go, obejmując ręką jego kark. Erwan o mało nie spadł z taboretu. Kiedy po omacku szukał coli na stoliku, na myśl przyszło mu tylko to jedno zdanie:

– Wydaje mi się, że Loïc wciąż cię kocha.

Natchniony jak zawsze!

Wstała, śmiejąc się głośno.

– Naprawdę nic nie rozumiesz.

– Dlaczego? – zapytał i szybko napił się coli.

– On już nie może mnie kochać. Nie chce już być tym, kim był, kiedy mnie kochał. Rozumiesz?

Kolejny łyk. Bąbelki, chłód, cukier, a przynajmniej jego ersatz. Bez przekonania pokiwał głową.

– Loïc ostatnio bardzo się zmienił. Nie wiem, czy to śmierć ojca, ale…

Przysiadła na rogu stolika i znów znaleźli się na tej samej wysokości.

– Jest coś, co go dotyczy i o czym muszę ci powiedzieć.

Nareszcie zrozumiał, po co przyszła. Ujęła go za ręce – nie w geście miłości, ale przyjaźni i powrotu do ich dawnego przymierza, gdy oboje chronili smarkacza. Nabrała tchu.

– To się stało we Florencji.

123

Do Lannion lecieli małym, czterdziestoosobowym samolotem ATR 42-300, co sprawiało, że ta podróż upodobniła się do rodzinnej wycieczki. Nie miała uroczystego charakteru, zupełnie też nie przypominała lotu zwyczajnym czarterem.

O ósmej rano Gaëlle była jeszcze zaspana, chociaż nie wiedziała nawet, czy tej nocy zmrużyła oko. Jej kompani tryskali jednak energią. Erwan z telefonem przy uchu czekał, aż zaproszą ich na pokład, i nerwowo krążył po sali. Loïc załatwiał z szefem pokładu ostatnie szczegóły dotyczące transportu zwłok. Chyba trochę za późno przypomniał sobie, że powinien ubrać się na czarno, i teraz paradował w mocno pasowanym garniturze, jak włoski dandys, a pod szyją miał krawat związany niczym stryczek. Za to obaj bracia wyglądali z twarzy na bodyguardów nazajutrz po ostrej walce.

Lot przebiegał zresztą w atmosferze żałobnej, ale zarazem serdecznej. Gaëlle czuła się przy braciach bardzo dobrze – przypominało jej to dzieciństwo, kiedy w tych gorszych i lepszych chwilach mogła zawsze liczyć na ich opiekę.

Gdy koła samolotu dotknęły płyty lotniska, drgnęła i uświadomiła sobie, że przespała część podróży. Jak dziewczynka wsunęła rękę pod ramię Erwana, a drugą potargała włosy Loïca, który siedział przed nimi. Wsparcie docenia się przecież wtedy, kiedy stoi się na skraju przepaści.

Torby wzięli ze sobą do kabiny, żeby nie czekać na rozładowanie, ale na próżno, bo z tym bagażem, który wieźli, i tak musieli opuścić salę przylotów ostatni.

Erwan i Loïc nadzorowali transport trumny na parking, a Gaëlle wyszła zapalić. Lotnisko było małe jak zagubiony na pustkowiu dworzec kolejowy. Stojąc pod wieżą kontrolną, skręciła sobie papierosa – kupiła tytoń i bibułki, żeby wyglądać na Bretonkę. Niestety, ten zwyczaj przypomniał jej o Audrey. Zmarnowała sporo tytoniu i bibułek, zanim drżącymi rękami zrobiła wreszcie namiastkę papierosa.

Zapalając go, zrozumiała, co sprawiło, że ta ponura podróż była dla niej miła. Bracia wyrwali ją z groźnej samotności. Lepiej już grzebać ojca na skałach, niż siedzieć samotnie w domu i nie jeść. Nie mogli jej zmusić, żeby się odżywiała, ale przynajmniej byli obok i pozbieraliby ją, gdyby zemdlała. Przy nich mogła się poddać, jak w szpitalu. Już nie myśleć, nie decydować, nie walczyć. Dla anorektyka wszystko jest nie do udźwignięcia, poczynając od samego życia.

Karawan ruszał, dwaj bracia na pewno wkrótce się pojawią. O dziwo, po chwili stanęli za jej plecami. Ledwie na nich zerknąwszy, zgadła, że znowu się kłócili. Erwan był rozmowny jak gość z CRS, Loïc tak blady, że aż przejrzysty. Tworzyli naprawdę dobraną parę.

– Weźcie taksówkę. Mam tu jeszcze coś do załatwienia – oznajmił starszy.

– Słucham?!

– Ten kretyn nas zostawia – rzucił Loïc. – Pan ma spotkanie.

Gaëlle wodziła wzrokiem po twarzach braci.

– Wygłupiacie się?

– Wypożyczyłem samochód – powiedział Erwan, unosząc kluczyk. – Będę o czternastej.

Zadrżała tak mocno, że papieros wypadł jej z ręki. Nie miała już dość siły, żeby walczyć z zimnem.

– Czy to spotkanie ma coś wspólnego z tatą?

– Daj spokój – powiedział Loïc.

Ale potem on też się zirytował.

– Przestań patrzeć na nas z góry. Dokąd idziesz?

– Muszę przesłuchać pewnego psychiatrę w związku ze śledztwem.

– Uważasz, że nie mamy dziś ważniejszej sprawy?

– Ten wariat wciąż jest na wolności.

– W takim razie jest was co najmniej dwóch – syknęła Gaëlle.

Erwan podszedł do niej i z przerażeniem dostrzegła, jak bardzo jest podobny do ojca. Zupełnie jakby wiatr porwał wszystko, co ich różniło. Została tylko ta obnażona jak kość, zwapniała obecność starego. O dziwo, już po chwili to podobieństwo dodało jej otuchy.

– A tylko spróbuj nie zdążyć na czas, wariacie.

124

– Chwileczkę, już idę.

Głos Jeana-Louisa Lassaya płynął z interkomu zainstalowanego w pierwszej wartowni Instytutu Charcota. Erwan nie tak to sobie wyobrażał. Po numerze z zatrzymaniem i po serii przesłuchań zdziwiło go, że psychiatra po prostu zgodził się na to kolejne już spotkanie.

Erwan czekał na parkingu, rozmyślając nad informacją, która nie pozwoliła mu zmrużyć oka – gwałcie oralnym na Loïcu na wzgórzach Fiesole. Niech no tylko ich dopadnie! Ale teraz trzeba było pilnować Loïca. Jego nagłe zainteresowanie bronią palną nie wróżyło nic dobrego. Pewnie tak jak Gaëlle, która zabawiła się w mścicielkę w hotelowym pokoju w Lozannie, Loïc szykował się do rozprawy z florenckimi mafiosami. To już nie były rozgrywki między siedmioma rodzinami, ale pojedynek siedmiu samurajów. Kiedy to się wreszcie skończy?

Sofia nie została. Rozmowa o włoskim koszmarze stłumiła w zalążku namiętne myśli. Erwan nie mógł sobie wyobrazić, że kiedy to się stało, jego bratanica i bratanek byli tuż obok. Ale nie mógł poddać się nowemu cierpieniu. Próbował się ratować, powtarzając sobie, że przecież Loïc był biseksualny, że w najgorszych latach często igrał z ogniem i miewał kochanków zakażonych AIDS albo żółtaczką typu C. Że oszołomiony środkami uspokajającymi, mógł nawet nie zdawać sobie sprawy, co go spotkało. *Brednie*.

Przez całą noc przemywał oczy i łykał węgiel. Chociaż czuł się oszołomiony (lekarze uprzedzali go, że Per może wywołać podobne objawy jak narkotyki), nie udało mu się zasnąć. O trzeciej nad ranem pozbierał szkolne zeszyty, w których robił zapiski z obu śledztw – wrześniowego i kongijskiego, dołączył do nich zdjęcia, raporty, protokoły przesłuchań, zapakował wszystko do dużych toreb na mrożonki, a potem ukrył paczkę na parkingu pod domem. Spodziewał się, że Viard wpadnie do niego z hukiem, żeby przeprowadzić rewizję (albo ciche przeszukanie) i zgarnąć wszystko,

co mogłoby dotyczyć tego tajemniczego programu i zaangażowania władz w to draństwo.

– Czego jeszcze pan ode mnie chce?

Jean-Louis Lassay stał za ogrodzeniem instytutu, trzymając ręce w kieszeniach ciepłej kurtki, która rozchylała się, odsłaniając granatowy blezer i wąski, prążkowy krawat – Lassay, jak zawsze elegancki i wierny oksfordzkiemu stylowi.

– Mam jeszcze kilka pytań.

– Zadał mi ich pan już sporo.

– Rozmawiałem z Pascalem Viardem.

Nie okazał zdziwienia. Ten mężczyzna o wysokim czole, prostych brwiach i zmysłowych ustach prawdopodobnie często słyszał, że jest podobny do Dominique’a de Villepina albo Richarda Gere’a. I pewnie za każdym razem przyjmował komplement z pobłażliwością, niemal z żalem.

– Dla mnie to wszystko już nie istnieje.

Erwan stanął przed nim, zerkając na zbliżających się strażników, którzy uznali, że należy chronić szefa. Mżawka sprawiła, że powietrze było jak nasiąknięta bibuła.

– Niech pan uważnie posłucha, Lassay, bo nie zamierzam tego powtarzać. Trzy dni temu jakiś szaleniec po bestialsku zamordował młodą porucznik z mojej grupy. Wczoraj wieczorem zranił innego z moich ludzi i zabił robotnika, który stanął mu na drodze.

Lassay pobladł – najwyraźniej o niczym nie wiedział.

– Za kilka godzin mam pogrzeb ojca – ciągnął – a jego żona jest na najlepszej drodze, by do niego dołączyć (nie był już w stanie mówić „moja matka”), a ja prawdopodobnie straciłem już pracę. Zapewniam, że jeżeli teraz – i to szybko – nie wykaże się pan dobrą wolą, pociągnę pana za sobą i ten upadek będzie naprawdę bolesny.

Stary elegant dreptał po nasiąkniętej ziemi, jakby tańczył w miejscu. Po chwili postawił kołnierz i skinął brodą, wskazując parking.

– Przejedźmy się.

Przez drogę nie powiedział ani słowa. Pejzaż rozpływał się w potężnych strugach wody za wycieraczkami. Erwan zastanawiał się, czy Lassay nie zepchnie go z urwistego brzegu, czy nie wyda go na pastwę jednego ze swoich obłąkańców, wariata nafaszerowanego nieznanymi pigułkami. A może po prostu odwiezie go na posterunek żandarmerii.

Przejechali kilometr czy dwa po równinie płaskiej jak boisko piłkarskie, zanim ujrzeli posępne, szare morze. Nie było tu wysokiego brzegu, ziemia ostrożnie wchodziła do wody, mocząc w niej kamień po kamieniu. W dali pinie wyciągały się ku niebu, podobne z tej odległości do poletka rosnących na piasku brokułów.

Wysiedli z samochodu i skierowali się ku skałom. Erwan już wiedział, że tym razem Lassay powie mu wszystko, powodowany dumą naukowca i poczuciem, że jest niepokonany. Z pewnością nie powodowały nim wyrzuty sumienia.

– Czasami organizuję tu wycieczki dla moich pensjonariuszy – powiedział w końcu psychiatra.

– I przy takiej okazji uciekł Pharabot?

Lekarz lekko się uśmiechnął i Erwan pomyślał, że jest potwornie sztuczny. Tak bardzo, że nawet deszcz nie mógł przeniknąć jego włosów. Profesor był wodoodporny i bez względu na okoliczności analizował wszystko na sucho.

– Jest pan w błędzie. Chodźmy. Jest tu ścieżka, która biegnie wzdłuż plaży. Mam nadzieję, że nie włożył pan butów na śliskich podeszwach.

125

– Od lat – zaczął Lassay – istnieje narodowy program badawczy skupiający się na kwestii przemocy. Ma część oficjalną, obejmującą statystyki, analizy policyjne, spekulacje polityków, regulacje prawne i wszystko to, co prowadzi donikąd, oraz część tajną, opierającą się na naukowych badaniach jednostek wyjątkowych, czyli kryminalistów.

– Tych, którzy siedzą w więzieniu?

– Innych dość trudno obserwować. Wybrana przez nas populacja obejmuje morderców i gwałcicieli, których określiłbym mianem klasycznych, a także psychotyków o niebezpiecznych instynktach, jak ci, których leczymy w instytucie. Przeprowadzamy na nich testy, pobieramy materiał do analiz, poddajemy ich szczegółowym badaniom, żeby dokładniej zrozumieć mechanizmy ich agresji.

– Posunęliście się dalej, wprowadzając farmakon.

Pokiwał głową, nie kryjąc, że docenia wiedzę Erwana.

– Widzę, że przygotował się pan do rozmowy.

– Proszę opowiedzieć mi o pracach, które prowadził pan z Hussenotem.

Lassay westchnął. W mżawce, z tymi idealnie uczesanymi włosami i profilem zwycięzcy, przypominał trybuna czasów współczesnych.

– Philippe był doskonałym neurologiem, ja znacznie słabiej znam tę dziedzinę. To on wskazał mi zupełnie nową drogę neuronalnego obiegu agresji. Stopniowo zdołaliśmy zlokalizować obszary mózgu odpowiedzialne za agresję i neuronowe drogi tych impulsów w ludzkim ciele. Wtedy Hussenot zrobił kolejny krok – farmakon to dzieło jego intuicji.

– Proszę mi to wyjaśnić.

Szli brzegiem morza w stronę pinii. Mimo drobnego deszczu ta okolica przypominała Lazurowe Wybrzeże i łagodny śródziemnomorski świat. Brakowało tylko śpiewu cykad. Godnie zastępowały je mewy, których przenikliwe krzyki brzmiały jak ostrzenie noża o własne kości.

– To dość skomplikowane.

– Nie jestem aż taki głupi. Zacznijmy od nazwy: co ma oznaczać?

– Słowo pochodzi ze starożytnej greki. Tak nazywano ofiarę składaną w celu przebłagania bogów na skraju miasta, żeby symbolicznie oddalić wszelkie zagrożenie przemocą. Potem termin nabrał znaczenia „leku” i „trucizny”. Tę ambiwalencję można dostrzec w naszym programie.

– To znaczy?

– Wie pan, jak funkcjonują neurony?

– Mniej więcej.

– Każda emocja, każda decyzja, każdy gest wymagają, by w mózgu powstał impuls, który wyzwala reakcję łańcuchową w całym ciele, zgodnie z określonym obiegiem. Poczynając od pierwszego bodźca, każdy neuron przez ładunek elektryczny wyzwala neuroprzekaźnik, który dociera do receptorów kolejnego neuronu, ten powtarza proces i tak aż do fizycznego wykonania rozkazu. Naszym celem było zablokowanie w kanale przemocy receptorów jednego albo wielu neuronów.

– Co konkretnie miałoby to spowodować?

– Rozkaz wydany przez mózg nie może już być wypełniony, bo informacja umiera po drodze.

– Jak zablokować te receptory?

– Wypełniając je produktem zastępczym, który nazywamy w naszym żargonie analogiem i który nie pozwala prawdziwym neuroprzekaźnikom na przesłanie informacji.

„Analogi” to słowo, którego używał także Levantin. Substancje zawarte w tajemniczych lekach bestii z Louveciennes.

– Niech pan sobie wyobrazi mikroskopijne zagłębienia, które zostają wypełnione. Dzięki lekowi receptory neuronowe byłyby zatkane, a skłonność do przemocy okiełznana i nie mogłaby nigdy przekroczyć określonego poziomu.

– Jakie substancje wykorzystano do produkcji analogów?

– To substancje chemiczne produkowane przez wielkie laboratoria farmaceutyczne.

– Współpracowały z wami?

– Oczywiście. Środek, który daje efekty u kryminalistów, w mniejszych dawkach może okazać się przydatny także dla pacjentów skłonnych do agresji lub mających problemy z panowaniem nad popędami. Laboratoria

dostarczały nam analogi, a my sporządzaliśmy dokumentację badań, aby ustalić dawkowanie, co jest najważniejsze.

Wszystko to wydawało się uderzająco aktualne. W czasach, gdy ludzka psychika jest regulowana, leczona, stymulowana całą gamą pigułek pod okiem wielu specjalistów, można sobie wyobrazić, że wreszcie zatriumfuje sprawiedliwość, a w społeczeństwie nie będzie już morderców, przynajmniej recydywistów. Skorzystałyby na tym także laboratoria farmaceutyczne, dla których byłby to sposób na osiąganie krociowych zysków, bo z fazy sporadycznego zażywania specyfiku przez „groźnych szaleńców" medycyna przeszłaby do fazy ordynowania go, a zatem uzależnienia od niego szerokiego kręgu ludzi. To byłby już czas farmaceutycznej dyktatury. Nastąpiłby kres wojny chemicznej, zarazem zaś początek opresji molekularnej.

– Czy ta szczepionka już istnieje?

– Istnieje. Udoskonaliliśmy ją. Hussenot, prowadząc klinikę w Chatou, negocjował bezpośrednio z laboratoriami. Ja testowałem analogi na pacjentach… ochotnikach.

Sadzawka kaczek. Instytut Charcota rzeczywiście był centrum doświadczalnym i prowadził podejrzane badania na tak zwanych ochotnikach, którzy poddawali się im równie ochoczo jak żołnierze idący na pewną śmierć.

– Czy te testy były bolesne?

– Problemem w tego typu leczeniu jest konieczność podania dużych dawek leku, aby wypełnić receptory wybranych neuronów. Na etapie wstępnym oznacza to nasilenie agresji osobnika. Dopiero potem na dobre się uspokaja.

Erwanowi przemknęły przed oczyma straszne rzeczy – brutalni szaleńcy, których patologię pogłębiano, żeby potem ją stłumić. Kaftany bezpieczeństwa, izolatki, środki uspokajające – działania represyjne i zapobiegawcze musiały być podejmowane z całą bezwzględnością w podziemiach fabryki potworów, która naprawdę zapracowała na taką nazwę.

– W jakim okresie prowadzono tu takie działania?

– Prace wkroczyły w decydującą fazę po dwutysięcznym roku. Wyniki były na tyle istotne, by uznać, że jesteśmy na właściwej drodze. Niestety, na Hussenocie nie można już było polegać.

– To znaczy?

– Zmieniło się jego nastawienie. Rozwód go przytłaczał, stał się jego obsesją. Myślał wyłącznie o dzieciach, o klinice i o tym, jak czerpać z niej duże zyski. Nasze fundamentalne badania nagle przestały go interesować. Potem los zrobił swoje: zginął wraz z dziećmi w wypadku samochodowym.

– Kontynuował pan badania bez niego?

Lassay wciągnął w płuca wilgotne powietrze, a potem rozłożył ręce, zwracając się ku morzu. Jego gest był komiczny, ale Erwanowi nie chciało się śmiać. Ten patetyczny błazen ponosił odpowiedzialność za mnożące się od września morderstwa.

– Nie miałem wyboru! Nasze prace mogły odmienić oblicze świata.

– Zdaje pan sobie sprawę, że ma pan krew na rękach?

Psychiatra sceptycznie wydął usta.

– Dzieje postępu, jaki niesie rozwój nauki…

– Fakty, do jasnej cholery – przerwał mu zniecierpliwiony Erwan.

– Państwo mnie zdradziło, to Hussenot cieszył się zaufaniem władz.

Te ostatnie słowa wypowiedział z niesmakiem, jakby żółć podeszła mu do gardła. Erwan przyjął jego relację ze zdziwieniem, ponieważ w pełni przystawała do tego, co usłyszał na temat farmakonu od Viarda. Wyjątkowo ten bękart policji i szpieg zagrał uczciwie. Prawdopodobnie i on, i psychiatra byli przekonani, że są zupełnie bezkarni.

– Miałem analogi. Miałem dokumentację, ale brakowało mi pieniędzy i musiałem patrzeć, jak wszystko idzie na marne z powodu głupiej forsy.

– Mógł pan finansować doświadczenia z funduszy instytutu…

– To niemożliwe. Raz po raz poddaje się nas audytom, a ministerstwo wciąż obcina nam budżet.

Teraz Erwan zrozumiał, co się wydarzyło.

– I wtedy do pańskich drzwi zapukali wielbiciele Człowieka Gwoździa.

– Zgadza się. To było w dwa tysiące dziewiątym roku. Lartigues i jego wspólnicy zaoferowali mi majątek za szpik kostny Thierry’ego Pharabota. Nie liczyłem na taki cud. Oczywiście zgodziłem się bez chwili wahania.

– Ile panu zaproponowali?

Psychiatra milczał. Człowiek, który manipulował najgroźniejszą materią – ludzkim mózgiem – i który stał za dziesiątką morderstw, nagle zrobił się wstydliwy, kiedy przyszło mówić o pieniądzach.

– Ile, Lassay?

– Pięć milionów euro.

– I to bez podatku.

– Po co takie uwagi? Ja przecież tylko…

– Pan zrobił to tylko dla dobra nauki, rozumiem. I co stało się potem?

– Mogłem wznowić prace. Potrzebowałem jeszcze dwóch lat, żeby doprecyzować dawkowanie, technikę podawania leku, ustalić skutki uboczne. Ale w zeszłym roku farmakon był już gotowy.

Erwan znowu przeniknął skrywaną logikę tej historii.

– I wybrał pan tego, dzięki któremu zdobył pan pieniądze: samego Pharabota.

– Przyznaję, że to był najgorszy pomysł, na jaki kiedykolwiek wpadłem.

126

Deszcz ustał. Szli teraz brzegiem zatoki po piasku zarzuconym pokruszonymi muszlami i wyblakłymi śmieciami – strzępami plastiku, potłuczonym szkłem. Morskie wysypisko.

Nawet te odpady nie były w stanie zniszczyć piękna pejzażu: ściana ze skał zaokrąglonych jak kule miała barwę różowo-fioletową, a na dalszym planie pinie i krzewy tworzyły ciemnozielony fryz.

– Potrzebowałem zabójcy czystego chemicznie – podjął Lassay, podnosząc głos, żeby przekrzyczeć szum morza. – Takiego, którego jedynym motywem byłaby żądza krwi.

– To nie zgadza się z profilem Pharabota.

– Nie. Pożywką jego agresji były strach i wierzenia. Nie czerpał zadowolenia ani z zabijania, ani z okaleczania.

– Skoro tak, to dlaczego pan go wybrał?

– Ponieważ miałem go pod ręką i oficjalnie uśmierciłem go w dwa tysiące dziewiątym roku. Poza tym był przecież mordercą… doskonałym, jeśli mogę tak to ująć. Jego brutalne instynkty pozostały nienaruszone. Bestialstwo nie miało granic. Nie wiedział, co to moralność czy litość. Wpływ farmakonu na takiego osobnika byłby decydującym testem.

Sprytnie to sobie wymyśliłeś: kto może wszystko, może najmniej.

– Jeszcze jeden szczegół: kto w dwa tysiące dziewiątym roku podpisał zgodę na kremację Pharabota?

– Stary lekarz z okolicy. Ledwie spojrzał na ciało. Zwykle wystawiał akty zgonu naszych pacjentów.

– A kto go spalił w krematorium w Vern?

– Nikt. Plug sam zamknął trumnę. Dał w łapę obsłudze i do pieca.

– Gdzie pan ukrył Pharabota?

– W pewnym walońskim zakładzie, który dobrze znałem. Płaciłem za niego. Nie było z tym żadnych problemów. Kiedy farmakon był już gotowy, czyli w lutym dwa tysiące dwunastego roku, sprowadziłem go do instytutu.

Umieściłem w izolatce i wymieniłem personel na tym oddziale. Opiekował się nim tylko jeden pielęgniarz.

– Plug.

– Oczywiście. Wiosną podjąłem kurację. Pharabot znosił ją dość dobrze, problemem okazały się jednak skutki uboczne. A właściwie: wstępne skutki. Jego agresja stała się… nie do opanowania.

– Wpędził go pan w jeszcze głębszy obłęd.

Lassay zrobił minę człowieka, któremu jest przykro. Pewnie długo ćwiczył ją przed lustrem i przywoływał na twarz, aby informować krewnych o zgonie pacjenta, a wierzycieli o braku wyników badań. Za nim znów zbierały się chmury. Niebo przypominało rozległy pejzaż z odwróconymi szarymi górami, których wierzchołki muskały zakrzywioną, czarną linię morza.

– Jak długo trwała ta… faza wstępna?

– Nie wiem.

– Jak to?

– Pharabot uciekł w trakcie leczenia.

Teraz wszystko stało się jasne – ten kretyn farmakologicznie pobudził bestię i pozwolił jej się wymknąć, kiedy toczyła już pianę z pyska. Jak mawiał Morvan: „Zawsze może zdarzyć się najgorsze”.

– Pharabot złagodniał. Napady szału zdarzały mu się coraz rzadziej. Niesłusznie myślałem, że wkraczamy w drugą fazę, która prowadzi do okiełznania. Krótko mówiąc, we wrześniu udało mu się uciec i ukraść szpitalnego Zodiaca.

Kolejny błąd. Nikt nie sprawdził, czy Instytut Charcota jest właścicielem jakiejkolwiek jednostki pływającej, a przecież placówka miała dostęp do morza.

– Kurwa… dlaczego mi pan o tym nie powiedział?

– Bałem się, że zostanę aresztowany. A poza tym chciałem kontynuować badania.

Strach winnego nierozerwalnie łączył się z szaleństwem naukowca w chorym mózgu psychiatry. Pierwszy i drugi ustęp artykułu 122 zostaną z pewnością zastosowane wobec tego strażaka piromana. I chociaż jego odpowiedzialność nie budziła wątpliwości, sąd uzna go za… niepoczytalnego.

– Pharabot popłynął w kierunku Kaerverec – ciągnął Lassay. – Przybił do brzegu i natknął się na Wissę Sawirisa. Przeobraził w *nkondi* pierwszego człowieka, którego spotkał.

Koło się zamknęło – trzeba było wrócić do pierwszego morderstwa. Rozerwane na strzępy ciało nieszczęsnego studenta otwierało ponury korowód.

– To się nie trzyma kupy. Skąd wziąłby gwoździe, lustro? Jak zdołałby usunąć narządy wewnętrzne?

– Nic pan nie rozumie: *nganga* wrócił. Analogi nie tylko pogłębiły jego skłonność do okrucieństwa, ale także pobudziły umysł. Człowiek Gwóźdź znów czuł dawne lęki i stosował radykalne metody ochrony. Ukradł z naszego składziku wszystko, czego potrzebował: narzędzia, gwoździe, kawałki szkła.

Erwan przypomniał sobie otrzęsiny adeptów lotnictwa zwanych Szczurami, których wypuszczono w teren, by uciekali przed Lisami tropiącymi ich z reflektorami. Jak Pharabot mógł prześlizgnąć się pośród nich, niezauważony? Gdzie popełnił zbrodnię?

Lassay odgadł jego myśli.

– Sądzę, że oprawił ofiarę we wraku pancernika, na plaży.

– Mówi pan o „Narvalu”?

– Nie wiem, jak się nazywa.

– Załóżmy, że natknął się na Wissę i zdołał go zaciągnąć do wraku albo zastał go już na miejscu. Po co dodatkowo ryzykował, przewożąc zwłoki na wyspę Sirling, skoro sam musiał uciekać?

– To nie on przewiózł ciało, ale Plug i ja. Kiedy zauważyliśmy, że zniknął, zaczęliśmy go szukać. Znaleźliśmy tylko trupa, więc zdecydowałem, że trzeba go ukryć. Miałem nadzieję, że nie odnajdą go tak szybko. Liczyłem, że do tego czasu dopadnę Pharabota.

– Co było potem?

– Szukaliśmy go w całym regionie. W końcu przestaliśmy. Miałem nadzieję, że wróci.

– Po co miałby to robić?

– Z powodu neuroprzekaźników. Nie wiedziałem, jakie dokładnie mogą być skutki gwałtownego przerwania kuracji, ale byłem pewien, że będzie się czuł jak na głodzie.

Pogoda popsuła się na dobre, niebo zawisło nad ziemią jak potężny wrak. Morze gniewnie ryczało. Fale ciemnej wody rozbijały się o skały i opadały biczami piany między kamienne zębiska.

– Pojawili się żandarmi. Pytali, czy żaden z naszych pensjonariuszy nie uciekł z instytutu. Powiedziałem, że nie, i mundurowi więcej do nas nie przychodzili. Proszę pamiętać, że Pharabot nie żył od dwa tysiące dziewiątego roku. Dopiero później, kiedy zaczął pan węszyć, znów wpadłem w panikę.

– Jak to możliwe, że Pharabot tak skutecznie zniknął?

– Dzięki Isabelle Barraire-Hussenot. Nie zdołałby zorganizować ucieczki bez pomocy z zewnątrz. Nie znam szczegółów, ale musiała gdzieś na niego czekać. Może nawet uczestniczyła w zbrodni, była naprawdę…

Katz-Barraire przygotowująca teren, zabierająca Pharabota z okolicy instytutu, organizująca mord Anne Simoni, Ludovica Pernauda i Gaëlle, której udało się ocaleć, choć i wtedy zginęli ludzie… Cały ten scenariusz wciąż się komplikował. Co powstrzymało Pharabota na tak dobrej drodze? Po napaści w Świętej Annie morderstwa ustały. Ten okres spokoju potwierdził odpowiedzialność Kripo.

Erwan zapytał Lassaya o te szczegóły.

– Odpowiedź jest prosta. Właśnie wtedy Pharabot znowu podjął leczenie. Receptory w końcu się zablokowały, a jego agresja została powściągnięta.

– Jak zdobył lekarstwo?

– Isabelle Barraire odwiedziła mnie pod koniec września. Pharabot całkowicie wymknął się spod kontroli. To był dla mnie wielki szok. Przeraziło mnie, że wplątała się w tę historię. Nawiasem mówiąc, osoba, którą ujrzałem, nie była już tą, którą znałem, bo zamiast Isabelle miałem przed sobą mężczyznę. Domyśliła się wszystkiego – wiedziała o moich eksperymentach, o farmakonie i jego niszczycielskim działaniu. Prosiła mnie o środki uspokajające i o analogi do kuracji.

– Nie chciał go pan zobaczyć?

– Isabelle absolutnie się na to nie godziła.

– Dał jej pan leki?

– Nie miałem wyboru. Trzeba było zapanować nad Pharabotem, a ona groziła, że doniesie o wszystkim policji i mediom. Zniknęła, kiedy podałem jej dawkowanie, i nigdy więcej się nie pojawiła.

Dotarli w końcu do pinii. Zielone igły, szarobrązowa kora, czerwony piasek – świat stawał się abstrakcyjny, nieodgadniony, jak wtedy, kiedy stoi się za blisko obrazu.

– Kiedy Audrey zaskoczyła Pharabota w domu w Louveciennes – odparł Erwan – nie wyglądał na spokojnego. Pańskie pigułki nigdy nikogo nie uspokoiły.

Lassay gniewnie machnął ręką.

– Isabelle nie żyła od dwóch dni. Pharabot nie wiedział, co dokładnie przyjmować, nie znał kolejności podawania leków. Beze mnie i Isabelle nie mógł być leczony.

Załóżmy. Zmiana tematu.

– Kilka tygodni temu Isabelle Barraire-Hussenot, posługując się tożsamością Érica Katza, odnowiła kontakt z moją siostrą Gaëlle. Czy zrobiła to, żeby wciągnąć ją w pułapkę?

– Być może. Pharabot nie dokonał jeszcze zemsty, prawdopodobnie domagał się nowej ofiary.

Erwan wyobraził sobie Isabelle w skórze uczennicy gotowej na wszystko, byle zadowolić mistrza, i podającej mu ofiary na tacy.

– Jak pan sądzi, gdzie on teraz jest?

– Nie mam pojęcia.

– Jeśli do pana wróci, to…

– Proszę się nie obawiać, natychmiast pana zawiadomię. Zrobię, co w mojej mocy, żeby położyć kres tej rzezi. Jestem już zmęczony tymi śmierciami, tym bestialstwem, ucieczką… Jestem też gotów ponieść odpowiedzialność za to, co zrobiłem, jak pan to ujął. Jeżeli mi pan nie ufa, może pan rozmieścić wokół instytutu swoich ludzi.

– Już tam są – powiedział Erwan, którego niepokoił jeszcze jeden szczegół.

Po chwili milczenia dodał:

– Przez ostatnie tygodnie kilkakrotnie zmierzyłem się z Pharabotem. Facet jest w niesamowitej formie fizycznej jak na kogoś w tym wieku. Prezentuje się raczej jak były sportowiec niż jak pacjent domu wariatów, od lat faszerowany lekami.

– To kolejny skutek kuracji. Przynajmniej w pierwszej fazie. Powtarzam jeszcze raz, że to leczenie ma blokować receptory neuronalne. Pharabot funkcjonuje, że tak powiem, na wyższych obrotach.

– Czy pan się go nie boi?

– Nie. Zawdzięcza mi wszystko. Nigdy nie podniósłby na mnie ręki.

Doktor Frankenstein pewnie też tak myślał, dopóki potwór nie zabił jego narzeczonej. Ale tę postawę Erwan zauważał już podczas sprzeczki o Pluga – piękny JL był obdarzony znaczną siłą fizyczną. Może bał się więzienia i życiowej porażki, lecz nie potyczki z przewitaminizowanym wariatem.

– Aresztuje mnie pan? – zapytał, jakby czytał w myślach komendanta.

– Na razie nie, może mi się pan jeszcze przydać. Ale nie zapomnę o panu, kiedy nadejdzie pora rozliczeń. I pogrążę pana, mimo pańskich znajomości. Radziłbym nawet uprzedzić, kogo trzeba – ich też dopadnę.

– Rozumiem.

– Już od dawna niczego pan nie rozumie. Skończy pan między własnymi pacjentami, za kratami.

– Nie potrafi pan docenić stawki, o jaką…

Psychiatra nie dokończył zdania, bo Erwan chwycił go za poły kurtki i przycisnął do pnia pinii.

– Radzę się zamknąć, bo w końcu stracę cierpliwość! – wrzasnął nagle. – Tak naprawdę w całej tej historii zadziwia mnie tylko jedno: że nie rozwaliłem panu łba, tu, teraz, jakbym roztrzaskał skorupę kraba o skały.

Lassay mimo wszystko zdobył się na uśmiech.

– Nie zrobi pan tego – szepnął. – Na tym właśnie polega różnica między człowiekiem takim jak pan a Pharabotem. Hamulce, które usiłuję wytworzyć przez…

Erwan puścił go z obrzydzeniem i oddalił się o kilka kroków, żeby go nie słyszeć.

– Kiedy Pharabot miał lepsze dni, często mówił o pańskim ojcu – ścigał go głos Lassaya. – Twierdził, że byłby nietuzinkowym *nganga*.

Erwan zatrzymał się w pół kroku. W tym deszczu, pod piniami, ten cios poniżej pasa po prostu go zaskoczył.

– Opowiadał o Cité Radieuse – ciągnął psychiatra – i o pewnej kwietniowej nocy, gdy Grégoire Morvan przyłączył się do niego w drugim świecie. Wspominał młodą kobietę i swastykę, którą pana ojciec wyciął jej na…

– Stul ten świński ryj!

Uniósł pięści, ale powstrzymał się, kiedy błyskawica rozdarła niebo, a w ślad za nią przyszedł grzmot, który wprawił w drżenie ziemię.

– Na pańskim miejscu – zakończył niewzruszony Lassay – nie przejmowałbym się tak bardzo Pharabotem.

– A to dlaczego?

– Wydaje się panu, że pan go szuka, ale w rzeczywistości to on podąża pańskim tropem. Zaatakuje za kilka godzin.

127

Minąwszy Paimpol, Erwan skręcił w stronę przylądka Arcouest, wcisnął gaz i jechał jak szalony wzdłuż wybrzeża, zastanawiając się, gdzie ukryło się morze. Na Lazurowym Wybrzeżu nie da się nie zauważyć bliskości Morza Śródziemnego, tu jednak La Manche można zobaczyć dopiero, kiedy jest się tuż obok. Zielona kraina, którą przemierzał, równie dobrze mogła leżeć w Limousin albo w Alzacji.

Nie chciał dłużej myśleć o śledztwie – za dużo było już informacji, za dużo szaleństwa. W tej chwili miał tylko jedną troskę: spóźni się na pogrzeb. Była już czternasta, a on nie wiedział nawet, o której wypływa łódź na Bréhat.

Tak jak myślał, morze pojawiło się zaledwie kilka metrów od Arcouest. Wszedł w zakręt i oto nagle wszystko się zmieniło – po lewej, jak sięgnąć okiem, wzburzona woda, po prawej granitowe urwisko. Niebo zachmurzone, drobny deszczyk – wszystko w normie, panie kapitanie. A jednak coś tu było nie tak: pomost oraz znajdujące się przy nim bar, hotel i sklepik z pamiątkami zostały otoczone przez furgonetki żandarmerii i oznakowane wozy policyjne. Żandarmi czekali albo na kolejną łódź, albo na wroga publicznego numer jeden na jej pokładzie.

Erwan zostawił samochód na usytuowanym nieco wyżej parkingu, a potem z torbą na ramieniu zszedł szybko na brzeg morza. Co tu się znowu stało? Po co to policyjne zbiegowisko? Kiedy był już dość blisko, żeby rozpoznać twarze, niemal osłupiał: funkcjonariuszami dowodził Pascal Viard we własnej osobie. I wszystko stało się jasne – ta warta honorowa została wystawiona na jego cześć. Paryski prefekt pewnie myślał, że jest już po pogrzebnie i że Erwan wkrótce wróci na ląd.

– Przyjechałeś tu ze względu na mnie? – krzyknął do Viarda.

Z miny tamtego wyczytał, że się nie myli.

– Bałem się, że się miniemy – odparł Viard, nieudolnie ukrywając zdziwienie.

– Co tu robisz?

– Na mocy przyznanych mi uprawnień informuję, że jesteś zatrzymany – zerknął na zegarek – o godzinie czternastej czterdzieści. Zgodnie z ustępem drugim artykułu sześćdziesiątego trzeciego masz prawo poinformować o tym kogoś bliskiego. Masz także prawo skontaktować się z adwokatem…

Ubrany w pikowaną chińską bluzę, tybetańską czapkę i drelichowe spodnie z poprzecznymi kieszeniami, Viard wyglądał jak wykładowca, który przystanął na schodach przed budynkiem uniwersyteckim. Erwan wiedział, że wziął tylu ludzi, żeby dodać powagi scenie wielkiego aresztowania.

– Pod jakim zarzutem?

– Skoro pytasz – odparł tamten – to mógłbym mówić o tym przez całą zimę. Od czego by tu zacząć? Może od wizyty, jaką mi złożyłeś? W domu? W biurze? Pobicie i spowodowanie obrażeń u oficera policji? Twoja kowbojska interwencja w pralni Domanges? Nielegalne przesłuchanie Patricka Benabdallaha? Od powrotu z Afryki nie próżnowałeś chyba ani przez chwilę.

Jedyna dobra wiadomość: ani słowa o porannej wizycie u Jeana-Louisa Lassaya.

– Wszystko, co robiłem – odparł Erwan, starając się zachować pełną powagę – robiłem w ramach śledztwa w sprawie śmierci Audrey Wieniawski i…

– Nie strzęp języka, oszczędzaj siły na przesłuchanie. A teraz oddawaj odznakę i broń. Byłoby miło, gdybyś nie stawiał oporu i nie odgrywał przed nami bohatera, któremu świat przeszkodził w samotnej krucjacie.

Odpiął kaburę od pasa, wyjął legitymację i oddał ją żandarmom. Nie warto było dyskutować o kompetencjach terytorialnych – Viard poradziłby sobie z takim zarzutem.

– Przyjechałeś tu tylko z mojego powodu?

– Warto się pofatygować, żeby zobaczyć Morvana w kajdankach.

Na jego rozkaz do Erwana podeszło dwóch gliniarzy ubranych po cywilnemu. W dali widać było niebiesko-białą łódź zbliżającą się do portu. Miała barwy flagi Quebecu.

– Czekaj. Nie zastanawia cię, co tu robię?

– Przecież wiem, właśnie pochowałeś ojca.

– Nie, właśnie wybieram się na pogrzeb. Ceremonia zaczyna się o szesnastej.

Viard zmarszczył brwi. Warkot silnika łodzi unosił się w powietrzu.

– Pogrzeb jeszcze się nie odbył? – zapytał, wyjmując komórkę z kieszeni, żeby coś sprawdzić. – Trumna dotarła na wyspę trzy godziny temu.

– Jesteś dobrze poinformowany – uśmiechnął się Erwan. – Ale musiałem jeszcze wpaść do notariusza. A teraz czekają na mnie, żeby zacząć uroczystość.

Viard położył rękę na sercu i skłonił głowę.

– Proszę o wybaczenie. W takim razie będziemy ci towarzyszyli.

– Twoja gęba jest ostatnią, którą ojciec chciałby zobaczyć na swoim pogrzebie.

Policjant wyciągnął e-papierosa i zaczął wciągać parę.

– Też nie byłbym zachwycony, gdyby Morvan przyszedł obszczać mój grób.

– Oto moja propozycja: pozwolisz mi popłynąć na wyspę, a ja pochowam ojca i przenocuję w jego domu. Rano wrócę pierwszą łodzią i pójdę z tobą na posterunek.

– A potem wystrychniesz mnie na dudka?

– Nie żartuję. Jeżeli popłynę na wyspę, to jak miałbym ci uciec?

– A łodzie?

– Tej nocy jest odpływ. To ostatni kurs, do jutra rana nic nie pływa. Będę więźniem wyspy.

W rzeczywistości Erwan nie miał pojęcia o porach przypływów i odpływów, a zresztą Bréhat nigdy nie była całkowicie sparaliżowana. Mimo to argument przekonał Viarda.

– Niech będzie – rzucił, wypuszczając kłęby pary. – Damy ci spokój do jutra rana. Masz na to moje słowo.

Łódź właśnie dobiła do brzegu.

Nagle przyjacielski Erwan ujął wroga za ramię i szepnął mu do ucha:

– Twoje słowo? Jak ufać facetowi, który pali wodę?

128

Bréhat zawsze go przerażała. Dusił się na tej wyspie. Miał wrażenie, że mieszkańcy, choć na pozór wyluzowani, tłoczą się na tym skrawku ziemi jak rozbitkowie czekający na ratunek. Dziś pocieszało go tylko, że w listopadzie na wyspie nie ma żywego ducha.

Na pokładzie zadzwonił jego telefon. Znowu Gaëlle. To była już piąta próba połączenia tego popołudnia. Erwanowi wydawało się, że wibracje są coraz bardziej nerwowe, natrętne, agresywne i że odzwierciedlają gniew siostry. Zamiast odebrać, uprzedził esemesem: „Jestem na łodzi”.

Przeprawa przez przesmyk Ferlas trwała tylko kwadrans. Wiedział już, że zdąży na ceremonię. Loïc był wystarczająco dorosły, żeby załatwić sprawy z księdzem i grabarzami. Tak czy inaczej, wszystko miało się odbyć zgodnie z życzeniami starego. *Szkoda, że to nie niedziela.*

Rozpadało się na dobre, ale Erwan wolał opuścić osłoniętą część pokładu i stanąć na dziobie. Oparty o burtę, odpędzał już wspomnienie o Viardzie i jego mordzie, która wyglądała jak obsrany zadek. Zastanowi się, jak rozwiązać ten problem, jutro rano, kiedy Padre spocznie już w grobie.

Na wszelki wypadek sprawdził maile i esemesy. Sandoval się nie odzywał, a to oznaczało, że Pharabot wciąż jest na wolności. Pomyślał o przestrodze Lassaya: „To on pana tropi”. *Oby diabeł cię wysłuchał…* Jeżeli morderca się pojawi, zabije go bez wahania. Zresztą jeśli nawet by go zatrzymano, Erwan do niego dotrze i też wyeliminuje – bez względu na wersję zdarzeń, nikt z tego powodu nie wytoczy mu procesu. Wściekłego psa trzeba zabić.

Uniósł głowę, wystawiając twarz na deszcz. Na pokładzie nie było ani jednego pasażera. Potężna łódź przypominała, co jest najważniejsze – powietrze, woda, żelazo. Krople dudniły o dach za jego plecami. Fale rozbijały się u stóp, jakby stał na lodołamaczu. Metalowa poręcz dawała mu zimne i twarde oparcie, wiatr chłostał twarz, osadzając na niej wilgoć.

I pomyśleć, że Morvan oszczędził przed laty Pharabota. Erwan nie będzie tak łaskawy. Może Pharabot padł ofiarą eksperymentów Lassaya, ale i tak trzeba było położyć temu kres. Za Audrey Wieniawski, za Jacques'a Sergenta, za Wissę Sawirisa, Anne Simoni, Ludovica Pernauda i za innych…

A potem zajmie się Lassayem. Wahał się jeszcze, jak z nim postąpić. Postawić go przed sądem, mimo wojny, jaką wytoczy mu Viard i spółka. Albo po prostu wpakować mu trzy kule w serce pośród różowych granitów. Można też… Erwan przerwał te rozważania. W rzeczywistości po pogrzebie ojca pozostanie mu tylko wrócić na ląd, nadstawić ręce i dać się zakuć, a potem wysłuchać zarzutów, które zostaną mu postawione.

Znów dźwięk komórki. Tym razem Szpital Georges-Pompidou. Wrócił na krytą część pokładu i odebrał. Dzwonił lekarz, z którym się wczoraj widzieli.

– I co? – zapytał prosto z mostu.

– Nie mam dobrych wieści. Rano wykonaliśmy dodatkowe badania, ponownie zrobiliśmy elektroencefalogram. Wykres jest prawie płaski.

Erwan nie potrafiłby określić, co czuje. Ani do kogo. Do kobiety, która go wychowała? Do zabójczyni Cathy Fontany? Do ofiary Morvana, która pokutowała za swój grzech?

– Dodam – ciągnął lekarz – że linia wykazuje charakterystyczne wyładowania i stłumienia wyładowań… Na ogół takie objawy zapowiadają najgorsze: nieodwracalną komę.

– Jak długo to może potrwać?

– Co pan ma na myśli?

Deszcz niesiony przez wiatr doścignął go nawet pod dachem. Erwan czuł bolesne pieczenie karku. Za szarą kurtyną wody widać już było Bréhat.

– Jak długo może przeżyć w tym stanie?

– Nie da się tego określić – lekarz przybrał pocieszający ton. – Ale nie należy tracić nadziei. Przebudzenie zawsze jest możliwe.

– A gdyby się wybudziła, w jakim byłaby stanie?

Lekarz wahał się, jednak Erwan czuł, że nie cofnie się przed powiedzeniem prawdy. Ktoś, kto przez cały dzień walczy ze śmiercią, nie może już bać się żywych.

– Problemem mogą być uszkodzenia neurologiczne. Istnieje poważne ryzyko znacznej dysfunkcji mózgu.

Erwan nie wyobrażał sobie, że miałby opiekować się Maggie sprowadzoną do stanu warzywa. Tym bardziej nie wyobrażał sobie, że Gaëlle i Loïc sprostają takiemu zadaniu.

– Jednak pańskim zdaniem – podjął, jakby chciał odpędzić od siebie tę wizję – najbardziej prawdopodobna jest śmierć mózgowa?

– Tak.

– Czy w takiej sytuacji będziemy mieli prawo zdecydować o jej odłączeniu?

Erwan zadawał te pytania *pro forma* – wielokrotnie prowadził śledztwa dotyczące eutanazji. Wiedział, że w sytuacjach takich jak ta prawo zezwala na podjęcie decyzji.

– Owszem, będziemy mogli rozważyć takie rozwiązanie.

Erwan szybko zakończył rozmowę – łódź już dopłynęła do wyspy – tłumacząc, że za chwilę odbędzie się pogrzeb jego ojca w Bretanii i że jutro wraca do Paryża. Poprosił, aby lekarz obiecał mu, że zadzwoni, gdyby do tego czasu coś się wydarzyło. Potem wymienili jeszcze kilka grzecznościowych formułek, słów niemal tak mechanicznych jak maszyny, które utrzymywały Maggie na tej ziemi.

Wsunął telefon do kieszeni i zszedł na ląd. Do Port-Clos, głównego doku Bréhat, miał zaledwie kilkaset metrów. Przez ścianę deszczu widać było zieleniące się pinie, pierwsze szare dachy, hotelik Bellevue z oszkloną werandą i dwiema niebieskimi gwiazdkami. Nagle nastrój Erwana uległ zmianie – może pod wpływem rozczulenia tym znajomym widokiem, który starzał się na jego oczach. Bo przecież Bréhat wcale nie była tak koszmarna, jak lubił o niej myśleć. Zawsze przyjeżdżał tu pełen mrocznych myśli, a wyjeżdżał w nieco lepszym humorze, więc wyspa nawet na niego miała dobroczynny wpływ.

W tym momencie rozpoznał sylwetkę Gaëlle, która stała nad wodą. Jeszcze bardziej krucha, szczuplejsza niż zwykle. Nawet w tym deszczu, pod gąbczastym, szarym niebem, wydawała mu się spalona słońcem. Słońce, które hipnotyzowało bohatera *Pieśni Maldorora*, gdy zabijał swoje ofiary, to samo, które oślepiało Meursaulta w *Obcym*, kiedy naciskał na spust. Wielkie białe słońce śmierci. Zaznała tego ognia, gdy zabijała Mumbanzę i jego ludzi. Teraz wypalał ją od środka.

Wizja się rozwiała, a Erwan dostrzegł uśmiech siostry. Ze zdziwieniem stwierdził, że nie miała do niego pretensji. Pod jej stopami rozpościerały się

czerwone skały wyspy, a Gaëlle stała na nich niczym rzeźba Najświętszej Panny – jakby to ona była patronką Bréhat.

Jak zwykle przygotował kilka paskudnych uwag, żeby bronić się przed ewentualnymi zarzutami, ale nagle poczuł się jak nagi – po prostu przytuli siostrzyczkę i pójdzie z nią do kościoła.

129

„Przypatrzcie się liliom, jak rosną: nie pracują i nie przędzą. A powiadam wam: Nawet Salomon w całym swym przepychu nie był tak ubrany jak jedna z nich”[9].

Loïc nie wiedział, z której ewangelii zaczerpnięto te słowa, jednak mogłyby znaleźć się w buddyjskiej sutrze. Były pochwałą prostoty, obojętności wobec pozorów. Ponura ironia losu sprawiła, że mszę odprawiał czarny ksiądz. Loïc opowiedział mu w kilku słowach o życiu Morvana, zabronił jednak wspominać o wątku kongijskim. Duchowny nadał więc swojej mowie charakter uniwersalny, wypełnił ją aluzjami i cytatami z apostołów.

Teraz tłumaczył, że konsekwencja Grégoire’a, jego wiara w wartości moralne, „przyodziały” go piękniej niż jakakolwiek gonitwa za pieniądzem czy władzą. Można było umrzeć ze śmiechu, a kapłan nawet się nie domyślał, jak komicznie brzmiały jego słowa. Jednak – jeśli zagłębić się w kwestię – mówił prawdę, bo Morvan, który zginął, próbując przemienić glinę w złoto, przeżył swoje życie także w czystości, która „nie pracuje i nie przędzie” – a to z miłości do dzieci.

Loïc czuł niesłychany spokój. Cmentarz na Bréhat znajdował się w pobliżu kościoła Notre Dame i otaczał go murek, za którym rozpościerała się zatoczka szara i otulona jak jezioro. Deszcz ustał, ale wiatr wciąż nękał żałobników.

Z trojga dzieci Morvana tylko on czuł się Bretończykiem. Zdobył tę tożsamość dzięki regatom, dzięki wyprawom na morze i pijaństwom w barach. Pokochał łopot żagli na wietrze, palącą sól na ustach. To było najlepsze, co przeżył. Jeszcze dziś, u schyłku dnia, kiedy patrzył na rodziny wracające z rejsu po morzu albo z pikniku na plaży, dostrzegał na twarzach ten wyjątkowy blask, jakiego morze przydaje istotom ludzkim.

On także zaznał tych wspaniałych powrotów, tych srebrzących się różem zmierzchów. Problem tkwił w tym, że zwykle był już nieźle podchmielony i nie wiedział, co jest źródłem jego wzruszeń. Podziwiał to wszystko przez

denko butelki. W tamtych latach wierzył, że dopiero wkracza w życie, a tymczasem był już na redzie.

Złowrogi zgrzyt wyrwał go z zadumy. Spuszczano trumnę do grobu. Podszedł bliżej – lakierowane wieko znikało już w mroku. Loïc wciąż nie mógł sobie uświadomić, co się stało. Zajmował się organizacją pogrzebu, zadbał o każdy szczegół i, o dziwo, właśnie to pozwoliło mu zapomnieć o najważniejszym. Zresztą rodzina jak zwykle dołożyła wszelkich starań, by nie miał czasu na refleksje – matka zapadła w śpiączkę, brat wypełniał tajną misję…

Na razie drewniana skrzynia była dla niego tylko symbolem problemów logistycznych. Nawet dzisiaj musiał szukać chętnych do przeniesienia jej na cmentarz – Mahé, rdzenny mieszkaniec północnej części wyspy zajmujący się ich domem, znalazł jeszcze kilku poczciwców. To oni nieśli ją na ramionach wąskimi uliczkami wsi, rzecz jasna – w strugach deszczu. *To naprawdę wygląda jak pogrzeb biedaka*.

– Czy chciałby pan coś powiedzieć?

Ksiądz zwrócił się do Erwana, ponieważ Loïc i Gaëlle już uprzedzili, że nie zamierzają wygłaszać mów pożegnalnych. Najstarszy z rodzeństwa pokręcił głową, a jego mina zdradzała, że ma fatalny nastrój. Wszyscy odsunęli się od grobu, nie wykonując żadnego pożegnalnego gestu. Loïc chciał, żeby każde z nich rzuciło na trumnę lilię – specjalnie sprowadził kwiaty z Paryża – ale Erwan sprzeciwił się temu pomysłowi: „Darujmy sobie ten patos”. Potem się posprzeczali i, jak zwykle, młodszy brat skapitulował. Ale czy Morvan chciałby kwiatów na grobie? *Na pewno nie*.

Pojawili się robotnicy. Zamknięto grób. O czym myśleli inni? Prawdopodobnie czuli się jak on – w stanie półświadomości dopuszczali do siebie minimum doznań: wiatr, znużenie, pustkę. Wielkie emocje miały przyjść później. *Albo nie*.

Loïc obserwował przede wszystkim siostrę. Dziś zatraciła swoją promienność. Cerę miała poszarzałą i podobną do brudnej pościeli, a jej oczy, zwykle jasne i świetliste, pociemniały. Zwłaszcza źrenice, te oszlifowane diamenty, jakby się zamazały. Nie zasnuwały ich łzy – zmąciła je jakaś głęboka rezygnacja. Przetrwała tylko szlachetność rysów jej twarzy, tego dnia jeszcze bardziej ujmujących, bo zatartych. Nie był w stanie odgadnąć, o czym myślała i co czuła, zresztą wolał się w to nie zagłębiać, żeby nie wpaść do ukrytego pod śniegiem wilczego dołu.

Z Erwanem było znacznie łatwiej. Nie włożył munduru, lecz duch był ten sam: czarny płaszcz, garnitur grabarza – strój, w jakim zwykł pojawiać się na miejscu zbrodni. Nie miał mentalności wojskowego, jednak kiedy okoliczności zmuszały go do wyjścia poza krąg kompetencji, czyli na przykład do wyrażania uczuć, chował się w zbroi i nawet nie drgnął. Jego zachowanie, jego mimika byłyby stosowne podczas dowolnej uroczystości oficjalnej. Był jak posąg, oddawał cześć zmarłym, standardowo i bezosobowo. Jednak Loïcowi nasunęło się inne skojarzenie – wyprostowany, obojętny na deszcz, jego brat był niczym piorunochron, który ściąga na siebie pioruny uderzające w klan i spycha je pod ziemię.

– Idziemy?

Otrząsnął się – Gaëlle stała przy nim, a czapka i nasunięty na nią kaptur tworzyły podwójny diadem na jej czole. Rozejrzał się – robotnicy już odeszli, stela była na miejscu, na cmentarzu nie było oprócz nich żywego ducha. Mimo wszystko udało im się sprostać zadaniu – pogrzeb sławnego Grégoire’a Morvana odbył się bez udziału kogokolwiek poza trójką zdrowych członków rodziny. „Niech się pieprzą!” – powiedziałby stary.

Powinni umieścić takie epitafium na jego grobie.

130

Dwaj bracia i siostra jadący na rowerach przez archipelag Bréhat to był widok wart zobaczenia. Przemierzyli wioskę, dotarli do mostu Ar Prat, stamtąd udali się na wyspę północną i wzdłuż zatoki Corderie pojechali na zachód do Rosédo. Pedałowali, nie odzywając się do siebie, i tylko skrzypienie kół zakłócało ciszę coraz późniejszej nocy. W dali słychać było, jak rozgniewane morze toczy potężne fale.

Przemierzając wyspę północną z jej śródziemnomorską roślinnością i szeregami domów, wjechali na połyskliwą równinę z wyprężonymi jak wartownicy granitowymi skałami, na których zerkały rozczochrane paprocie. Gaëlle najbardziej lubiła właśnie tę okolicę, dziką i bezludną, omiataną przez ostre wiatry od morza, tak zimne, że szczęka się zębami.

Przejażdżka – trzy kilometry, z tego znaczna część wzdłuż brzegu – pozwoliła im się rozgrzać. Kiedy dotarli do rodzinnego domu, stary Mahé, typowy Bretończyk żywcem wyjęty z muzeum etnograficznego, powitał ich zasmucony. Nawet on, historyczny stróż tego domu, nie odważyłby się zostać na cmentarzu.

Rozpalił w kominku nadającym rustykalny charakter wnętrzu, które wcale takie nie było. Grégoire nie cierpiał wsi i wyposażył dom jak paryski loft, instalując tu amerykańską kuchnię i najnowocześniejszy sprzęt gospodarstwa domowego. Wszyscy byli mu zresztą za to wdzięczni, bo uwolnił ich od zapachu stęchlizny i soli osadzającej się w kątach. Po domu nie hulał zimny wiatr, a pościel nie była wilgotna. Zasady miejskiego życia były tu ściśle przestrzegane – ciepło i sucho.

W kwestii wystroju wnętrz Morvan uległ jednak bretońskiej prostocie – ścianki wykonano z malowanego drewna, stare obrazki i zdjęcia lotnicze wyspy wisiały na ścianach, niezliczone bibeloty przypominały o morzu i korsarzach. Gaëlle nie zwracała już uwagi na te ozdoby, których naiwne piękno od dzieciństwa kołysało ją do snu. To, co w nich dostrzegała, było wręcz wzruszające, bo sprowadzało się do niezłomnej woli ojca, by

przekonać ich o morskich tradycjach rodu. Tego samego pragnął dokonać, pilotując ślizgacz Boston Whaler i udając wilka morskiego.

Wzięła gorący prysznic i usiadła w fotelu w salonie, twarzą do kominka, chcąc patrzeć na polana, które pękały jak kości. Marzyła, by zaznać spokoju, ale bracia znowu wrzeszczeli na siebie w kuchni. Tym razem poszło o sprzedaż domu. Erwan, nie po raz pierwszy brutalny i grubiański, twierdził, że trzeba jak najszybciej pozbyć się „tego gówna z niebieskimi okiennicami", a Loïc tłumaczył mu, że Milla i Lorenzo uwielbiają spędzać tu wakacje.

– A może chcesz uczyć ich bretońskiego?

Gaëlle wstała i założyła sztormiak – miała dość słuchania tych dwóch kogutów, pieklących się i przerzucających argumentami tylko po to, żeby nie przeżywać żałoby. Wyszła, nie uprzedzając ich o tym, i znów starła się z nadmorską nocą, pachnącą jodem.

Księżyc był w pełni, toteż na niebie w kolorze indygo czarne pinie wyglądały jak wycinanki. Oglądana w ten sposób, Bréhat przypominała japońskie pejzaże. Nie widziała jeszcze morza, ale była pewna, że jest odpływ. Od zatoczki za domem czuło się już zapach jodu i alg. Fale cofały się, cicho chichocząc.

Idąc przez ogród, zaplątała się we włoki i w kosze na kraby – stary bawił się także w połowy. Potem wyszła na brzeg i ogarnęła spojrzeniem rozległe połacie mokrego piachu z migoczącymi tu i ówdzie kałużami. Tylko dzieci lubią odpływy – wspaniały moment na łowienie na piechotę. Jej jednak odpływy nadal się podobały – urzekał ją pejzaż z odsłoniętym dnem morskim, jakby odartym żywcem i odkrywającym swoje tajemnice. Uwielbiała te godziny, kiedy morze głęboko kłaniało się ziemi, pozostawiając tylko szczątki mokrego drewna i opary smutnego seksu.

Usiadła na wysokim brzegu: skręciła papierosa, co znowu przypomniało jej o Audrey i jej okrutnej śmierci. Zaraz potem przed oczyma stanął jej pokój w szwajcarskim hotelu, gdzie zabiła trzech ogrów. Wszystko to wydawało się całkowicie nierealne i… daremne. Tyle krwi na skraju przepaści, a przed nią wciąż była tylko pustka? Nie pragnęła nawet zobaczyć Pharabota aresztowanego albo martwego, o czym marzyli jej bracia.

Wypaliła papierosa i szybko ogarnęła ją nuda. Udawała mizantropię, grała niemal socjopatkę, ale kiedy była sama, bardzo szybko zaczynała się

nudzić – zwłaszcza na łonie przyrody. Podniosła się i przez chwilę spacerowała nad zatoką – dla zdrowia. Potem przeszła wzdłuż kołyszących się na wietrze pinii. Najbardziej niesamowita była ta cisza – morze się oddalało, zostały tylko kamienie. Rzuciła niedopałek i postanowiła wrócić, bo nie dość, że się tu nudziła, to jeszcze obleciał ją strach.

Kiedy weszła do domu, bracia nakrywali do stołu, a Mahé kręcił się przy kuchni. Wślizgnęła się tam, żeby nalać sobie gorącej herbaty z czekającego zawsze termosu. Stary Bretończyk dokonywał w zlewie istnej rzezi: szczypce, noże i już otwarte muszle leżały na dnie, a on rozłupywał skorupy krabów.

– Jeżeli nie ma pani ochoty na owoce morza – rzucił, chlapiąc wodą na wszystkie strony – to kupiłem też kiszkę.

Gaëlle zrezygnowała z herbaty i pobiegła do łazienki na parterze, przy swojej sypialni, żeby zwymiotować. Dokładnie opłukała usta. Żółć paliła jej gardło, czuła się, jakby ściany żołądka natarto jej acetonem, ale teraz była już lekka, opróżniona, pogodna. Przejrzała się w lustrze: wyglądała na odprężoną i kwitnącą. Anorektyczka pragnie tylko jednego: zdematerializować się, ulecieć na kropli deszczu, jak maleńkie wróżki z książek dla dzieci.

Kolacja upływała im w ciężkiej atmosferze. Bracia wciąż się na siebie gniewali, a Gaëlle nie miała ochoty grać roli mediatorki. Sporadycznie wypowiadane słowa dotyczyły łodzi – Mahé wyprowadził Boston, więc zastanawiali się po co. Loïc mówił coś o problemach z mechaniką, które zdarzały się zimą, Erwan odpowiadał półgębkiem, a Gaëlle nic z tego nie rozumiała.

Myślała, że tak już będzie, dopóki nie położą się spać, jednak kiedy wstali od stołu, Erwan kategorycznym tonem nakazał:

– Chodźmy do salonu. Muszę z wami pomówić.

Gaëlle zagryzła usta, Loïc mruknął. Podejrzewali, że Erwan poruszy kwestię spadku: gotówki ukrywanej w Szwajcarii, akcji w różnych dziwnych spółkach, udziałów w kopalniach wykutych w twardych skałach, w miejscach, których nazwy były dla Gaëlle za trudne do wymówienia. Za tym wszystkim kryły się kombinacje i nielegalne działania. W dodatku Morvan zostawił po sobie tylu wrogów, ile pieniędzy, i trzeba będzie ostro walczyć o przejęcie dziedzictwa.

A przecież zawsze byli zgodni – nie tkną tej ojcowskiej manny. Żadne z nich nie chciało żyć z bestii – martwej i znienawidzonej. Ale dzisiejszego wieczoru Gaëlle nie była już tak pewna swojej decyzji. Osunęła się na fotel, w którym siedziała przed kolacją. W tej chwili mogła tylko wsłuchać się w pomrukiwanie ognia i w słowa brata.

Nagle ogarnął ją strach – a może chodzi o śpiączkę Maggie. Odłączyć? Nie odłączać? Rozwiązanie takiego dylematu wiązałoby się z obnażaniem uczuć, to zaś byłoby ponad jej siły. Uniknęli melodramatycznych scen na cmentarzu. Czy teraz przyjdzie im je przeżywać?

Ale oczywiście Erwan przygotował dla nich deser, jakiego się nie spodziewali.

– Nigdy wam nie powiedziałem, po co wyjechałem do Afryki.

Gaëlle od razu zrozumiała, że pogrzeb był tylko formalnością, a prawdziwy wstrząs czekał ich teraz. Stojąc przy kominku, brat zaczął mówić monotonnym, prawie nieobecnym głosem, równocześnie dorzucając do ognia polana, jakby podsycał płomienie prawdy.

Przez dwie godziny, w ciszy odmierzanej przez dzwonienie deszczu i wystrzały ognia, opowiadał im niewiarygodną historię pochodzenia ojca. Wszyscy domyślali się zawsze, że Padre nie był ani Bretończykiem, ani potomkiem rodu szuanów, ale nikt nie spodziewał się ani kobiety, której po wyzwoleniu ogolono głowę, ani małego, dręczonego chłopca, ani podłej matki ze swastyką wyciętą na czole, molestującej własnego syna, ani jej trupa gnijącego na oczach Małego Bękarta.

Gaëlle była oszołomiona, rozdarta między żalem, że nigdy nie zrozumiała ojca, że nigdy nawet nie podejrzewała prawdy, a wstydem, że wciąż się nad sobą użalała – ona, rozpieszczona córeczka tatusia. Równocześnie miała żal do starego, bo o niczym jej nie powiedział, i do brata, który powinien powiedzieć im całą prawdę tuż po powrocie. Wtedy przynajmniej pochowałaby ojca, wiedząc, kim był.

Loïc milczał. Taki już był – podczas rodzinnych spotkań zwykle się wycofywał, czasem nawet przysypiał gdzieś w kącie. Jednak tego wieczoru Gaëlle była pewna, że nie zasnął. Wyczuwała jego napięcie, potężne jak burza, która lada chwila ciśnie piorunem przez pokój.

Erwan skupił się na akcie drugim. Lontano, 1969 rok. To nie do wiary, ale historia stawała się coraz bardziej niesamowita. Gaëlle wiedziała, kim był Człowiek Gwóźdź. Słyszała o potwornościach, jakich dopuścił się

w górniczym mieście w Katandze. Prawda okazała się jednak bardziej skomplikowana. Siódma ofiara, Cathy Fontana, kochanka ojca, nie została zamordowana przez Człowieka Gwoździa, ale właśnie przez Morvana. A w każdym razie – to on zaczął brudną robotę, którą dokończyła potem Maggie wspierana przez podejrzanego psychiatrę, niejakiego de Perneke'a. W tym momencie Gaëlle chciała wstać, jednak stojący przy kominku Erwan powstrzymał ją gestem: „Nie ruszaj się".

Od czystego koszmaru – z szopy na łodzi, w której ich rodzona matka torturowała niewinną pielęgniarkę – przeszedł do melodramatu. Cathy Fontana miała dziecko, ale nikt o tym nie wiedział. To było dziecko Morvana. Erwan.

Usłyszawszy to, Gaëlle poderwała się z fotela:

– Siedź!

– Nie. Dość już usłyszałam.

– Nie chcesz wiedzieć, co było potem?

– To, co było potem, wszyscy przeżywaliśmy, durniu.

Pobiegła do sypialni i rzuciła się na łóżko, nie włączając światła. Nie dość, że przyszłość już nie istniała, to zniknęła także przeszłość. Wszystko od początku było fałszem, oszustwem, manipulacją. Nie na próżno była córką morderczyni. Ich życie okazało się nieprzerwanym snem ćpuna.

Wcisnęła twarz w poduszkę, jakby chciała się udusić. Skulona na kołdrze, uświadomiła sobie, że weszła w fazę niepohamowanego płaczu, po której zawsze spała jak zabita. Ale nie – nie wpadła w szloch, nie czuła się nawet zmęczona. Była tylko naelektryzowana cierpieniem, ogarnęły ją potworne mdłości, jak wtedy, kiedy człowiek kładzie się kompletnie pijany, a cały świat wiruje. Tym razem nie kołysała się podłoga, tylko jej życie. Wszystkie punkty oparcia, i tak już kruche, przemieszczały się. Brat nie był już prawdziwym bratem. Ojciec stał się ofiarą. A matka morderczynią…

Zacisnęła powieki, z całych sił starając się przegonić zawrót głowy. W głębi siebie widziała już tylko otchłań jałową jak piasek. Ta przepaść nie miała dna ani nadziei na kroplę wody. Oznaczała tylko niekończący się potworny upadek. Wcisnąwszy głowę w tkaninę, krzyczała, aż zdarła sobie struny głosowe.

Była skazana na dożywocie, bez nadziei na złagodzenie kary.

131

Poderwał się, obudzony miarowym stukaniem.

W pierwszej chwili Erwan nie wiedział, gdzie jest ani nawet – kim jest. Potem świadomość wróciła: pogrzeb, dom na Bréhat, rozmowa przy kominku. Ale pewne elementy pozostały niejasne, postrzępione, nieuładzone.

Rzut oka na zegarek – szósta czterdzieści. Spał kamiennym snem, nie śniąc i nie rozmyślając. Teraz przeniknął go chłód i usłyszał cichy świst wiatru usiłującego wedrzeć się przez futrynę okna.

Znów to stukanie.

Okiennica na dole. Zdecydował się wstać, ale raczej po to, żeby zaparzyć sobie kawy, niż żeby zamknąć te piekielne okiennice. Wiedział, że i tak już nie zaśnie. Usiadł na łóżku i przetarł oczy. W nozdrzach czuł jeszcze zapach ognia, a gardło bolało go od zbyt długiego mówienia. Czy postąpił słusznie, opowiadając o wszystkim rodzeństwu?

Wziął z nocnej szafki komórkę i ustawił ją w pozycji latarki. Przez chwilę szukał timberlandów, wsunął w nie nogi i nie sznurując, z telefonem w zębach, wyszedł do przedpokoju. Tu dotarło do niego, jak głęboka cisza panuje na zewnątrz. Ani podmuchów wiatru, ani deszczu – swoista nieobecność, niezwykła w Bretanii, zupełnie jakby to czerwone wybrzeże przysnęło, by dać ludziom chwilę wytchnienia.

A jednak okiennice wciąż stukały. Nieoczekiwanie ogarnął go strach, który narastał w mózgu i skręcał mu trzewia. Zszedł na dół. W mroku ściany z czereśniowego drewna prezentowały zdobiące je obrazki i zamazane fotografie.

Znów usłyszał hałas. Tym razem gwałtowny jak wystrzał. Salon czy kuchnia? Nie, z tamtej strony wszystko było zamknięte. Zerknął w lewo i zobaczył, że drzwi wejściowe są uchylone. Kolejna fala strachu. Wczoraj, zanim poszedł spać, sam je zamknął. Loïc? Cierpiał na bezsenność, miał problemy spowodowane przez narkotyki.

Stanął w progu. Cisza. Przez chwilę delektował się pejzażem. Noc była jasna i na zewnątrz nie panowały takie ciemności jak w domu. Księżyc, żółty jak rozkrojona cytryna, rzucał poświatę na równinę, która zdawała się fosforyzować. Noc zrobiła na świecie porządki, przegoniła deszcz i chmury, odsłaniając niebo jak fajansowy talerz koloru indygo upstrzony milionami gwiazd. Dalej, za skałami, które w tym świetle wyglądały jak bloki białego marmuru, rozpościerało się morze – gładkie, lukrowane i jakby przecięte szczeliną ciągnącą się w nieskończoność.

Erwan zamknął drzwi na zasuwę i przemarznięty wrócił do kuchni. Zanim zdążył włączyć światło, znów coś puknęło. *Fuck*. Zawrócił i zobaczył, że drzwi pokoju siostry były otwarte. Czyżby wymknęła się o świcie?

– Gaëlle? – powiedział półgłosem.

Wciąż trzymał w ręku telefon, ale zwrócony latarką w dół.

– Gaëlle?

Wchodząc do sypialni, zauważył niebieski kwadrat otwartego okna. Wolno uniósł latarkę. Gaëlle nie było w łóżku. Odruchowo powiódł latarką po obrysie materaca i…

Jego ręka zamarła. Serce stanęło. Krew zastygła w żyłach. Nawet mózg nie godził się sformułować najprostszej myśli. Ostatnia, którą zrodził, zablokowała mechanizm.

Gaëlle nie żyła.

Wystarczył mu rzut oka na jej leżące u stóp łóżka ciało. Po dwudziestu latach oglądania zwłok i bratania się z nimi nie miał co do tego wątpliwości. Zmusił się do skierowania światła latarki na ciało. Gaëlle leżała na ukos od łóżka, z głową zwróconą w stronę drzwi łazienki, w podobnej pozycji jak Audrey w Louveciennes: z uniesionymi dłońmi, ramionami zgiętymi w łokciach pod kątem prostym, jednak całe jej ciało było wyprężone, jakby raził je grom śmierci.

Podciął jej gardło. Równym cięciem noża po szyi otworzył tętnice i serce wyrzuciło z jego siostry życie na posadzkę. Kałuża, w której leżała, tworzyła makabryczną aureolę błyszczącą jak chiński tusz.

Erwan dopiero po chwili uświadomił sobie, że gryzie wolną rękę, żeby nie krzyczeć. Nie chciał obudzić Loïca. Nie teraz. Nie tak szybko. *Popatrz jeszcze*.

Morderca działał szybko, ze zręcznością myśliwego. Obnażył tułów i wprawnym gestem wykonał pionowe cięcie długości trzydziestu centymetrów, pośrodku brzucha, a potem rozsunął brzegi rany. Najwyraźniej grzebał we krwi i w trzewiach, ale po co? Żeby coś tam wsunąć? Wykonać odrażające ablucje? Usunąć narządy?

– Co się stało?

Loïc stał tuż za nim. Erwan błyskawicznie opuścił latarkę i podszedł do drzwi.

– Nie idź dalej!

Loïc odepchnął brata. Światło księżyca wystarczyło, żeby zobaczyć zwłoki, ale wyrwał Erwanowi telefon z ręki i skierował na ciało. Przez moment smuga drgała, potem zniknęła: Loïc osunął się na kolana.

Teraz. Erwan wiedział, co powinien zrobić właśnie w tej chwili. Był policjantem. Był śledczym. Obciągnął rękaw, żeby nie zostawiać nowych odcisków, a potem przycisnął włącznik. Ujrzał ciało w pełnym świetle. Loïc przeraźliwie krzyczał, zasłaniając twarz rękami, żeby tego nie widzieć.

Na białej ścianie morderca napisał krwią Gaëlle:

JUŻ TYLKO DWÓCH

Te czerwone litery były adresowane do nich – do braci, do przeklętych, do tych, którzy zatracili sens życia. *Chyba że jest nim zemsta*.

„Wydaje się panu, że to pan go ściga, ale to on pana tropi…” – powiedział Lassay. Erwan nie potraktował tego ostrzeżenia wystarczająco poważnie. Uważał Pharabota za ścigane zwierzę, które zostanie zabite przy pierwszej okazji. Znowu się pomylił.

To on był ściganą zwierzyną. On i resztki jego rodziny.

Wrócił do teraźniejszości, a profesjonalizm dokonał reszty. Litery jeszcze lśniły, krew na ziemi nie zaschła. Ta bestia miała nad nimi tylko kilka minut przewagi.

– Zabrałeś ze sobą broń? – zapytał Loïca, który wciąż krzyczał.

– Co?

– Pytam, czy wziąłeś ze sobą dziewiątkę, którą sobie kupiłeś.

Erwan nie mógł oderwać oczu od makabrycznego napisu. Morderca był doskonale poinformowany, ale pewnie uznał, że Maggie jest już po tamtej stronie.

– Jest w moim pokoju.

– Idź po broń. Czekam przed domem. Dopadniemy go.

Kiedy Loïc do niego dołączył, oglądał właśnie ziemię pod oknem pokoju Gaëlle. Trzymał w ręce silną latarkę z kuchni. *Żadnego pieprzonego śladu*. Ziemia była zmarznięta i twarda jak kamień.

– Słuchaj! – szepnął Loïc.

Erwan uniósł głowę i wytężył słuch. Dobiegł go jakby wytłumiony przez szron warkot silnika. Bandyta opuszczał wyspę łodzią. Obaj bracia bez słowa pognali w stronę cypla Rosédo. Biegli przez kilka sekund pod latarnię na południowo-zachodnim brzegu.

W samą porę, żeby zobaczyć, jak Zodiac odpływa, zostawiając za sobą spienioną smugę pod rozgwieżdżonym niebem.

– Nic z tego… – szepnął Loïc.

Erwan pomyślał o łodzi Boston Whaler Grégoire’a, ale ślizgacz cumował co najmniej dziesięć minut drogi od domu, a to oznaczało całą wieczność, zwłaszcza jeśli morderca miał przybić do brzegu na cyplu Arcouest.

Zamyślony, spojrzał na morze, ale nic już nie zobaczył – Zodiac zniknął w ciemnościach, a to podczas pełni oznaczało, że popłynął na zachód, nie zaś w kierunku wyspy południowej.

– Szaleniec… – szepnął. – Wraca do domu, do Charcota.

Z tego przekonania zrodziła się nowa myśl. Erwan wyciągnął z kieszeni telefon. Zanim zrezygnuje, musi podjąć jeszcze tę próbę załatwienia sprawy.

132

Siódma rano – pora śniadaniowa w koszarach pilotów. Erwan wybrał numer szkoły lotnictwa marynarki wojennej w Kaerverec, K76. W paru słowach wyjaśnił kapralowi, który odebrał telefon, kim jest, i wypowiedział magiczne nazwisko: Bruno Gorce.

Po chwili połączono go z porucznikiem „Rozwijaj się albo umieraj” – najbardziej obiecującym elewem trzeciego roku.

– Mówi Erwan Morvan.

Po krótkiej chwili milczenia Gorce przeciągle gwizdnął, wyrażając w ten sposób podziw, ale i drwiąc.

– Coś takiego, robaczku…

Mimowolnie pogrążony w totalnej rozpaczy Erwan leciutko się uśmiechnął – poznawał łajdaka, który próbował skopać go na śmierć sabotami w łaźni w Kaerverec. Urodzonego żołnierza, dla którego życie oznaczało szarozielony mundur, a śmierć miała barwy narodowe. Niszczycielską broń o precyzji skalpela w ręce chirurga, ozdobioną złotymi galonami na ramionach, aby te uśmiechały się w słońcu.

– Dzwonisz, żeby umówić się na rewanż?

– Nie. Żeby podać ci na tacy mordercę Wissy Sawirisa.

– A co on mnie obchodzi?

– To on pchnął di Greca do samobójstwa.

Znów zapadła cisza, tym razem znacznie dłuższa. Erwana ogarnęło zwątpienie. Zerknął na ekran – Gorce był na linii.

– Kto to? – zapytał w końcu.

– To skomplikowane, nie mam czasu na wyjaśnienia. Ten szaleniec ma już na sumieniu około dwudziestu zamordowanych, z czego połowę uśmiercił od września.

– Dlaczego sam się tym nie zajmiesz?

– Ponieważ przełożeni nie udzielą mi wsparcia.

– Powiedz raczej, że robią, co w ich mocy, żeby cię aresztować!

– No właśnie.

– A dlaczego ja miałbym ci pomóc?

– Bo zwierzyna jest kilka kilometrów od bazy.

– A dokładnie gdzie?

– Najpierw nas stąd zabierz. Jesteśmy pod latarnią morską na Rosédo, na Bréhat.

– Jacy „my”?

– Mój brat i ja.

Drwiący śmiech. Gdyby Erwan miał Gorce’a przed sobą, pewnie by się nie powstrzymał i dał mu w pysk, ale dystans ułatwił uniknięcie bójki i, być może, dojście do porozumienia.

– Czasy, kiedy wycierałem nosy żółtodziobom, już minęły.

Erwan ugryzł się w język, żeby nie odpowiedzieć obelgą. W świetle księżyca pejzaż przypominał srebrzysty negatyw. Woda się mieniła, morze drgało. Wiatr przenikał ciało, które paliło jak oparzone kwasem.

– Gorce, on zamordował moją siostrę. W naszym domu na Bréhat. Wymknął nam się, uciekł Zodiakiem. Przypuszczam, że płynie na Locquirec. Spróbuje dotrzeć do Instytutu Charcota.

– Do fabryki potworów? – zapytał zmienionym głosem porucznik.

– Stamtąd przyszedł. To tam… go stworzono.

Głos Gorce’a znów zabrzmiał dźwięcznie i ostro – jak na porannym apelu pod sztandarem:

– Nie ośmieliłbym się powiedzieć, że szczęście ci dopisało, ale w tej chwili mamy tu Super Pumę, ćwiczymy na niej manewry. Potem się policzymy, dupku. Jak wróg z wrogiem.

133

Turkot wirnika doprowadzał go do szału. Kabina o gołych ściankach i metalowej podłodze, z usytuowaną centralnie ławką wyposażoną w pasy, bardziej przypominała cessnę, w której zabito ojca, niż wyścielana skórą część samolotu przeznaczona dla VIP-ów. Maszyna mogła zabrać dwunastu żołnierzy, jednak było ich tylko ośmiu, w tym dwóch pilotów. Sześciu w pełnym rynsztunku bojowym siedziało w parach zwróconych do siebie plecami.

Erwan nie wiedział, jak Gorce zdołał doprowadzić do startu to monstrum: AS332 Super Puma, pod nosem dowództwa, ale dziękował za to Bogu. Był też wdzięczny za sprawność działania elewów, bo od telefonu do pojawienia się helikoptera nie minęło nawet dwadzieścia minut.

Jeśli jego przewidywania były słuszne, to mieli jeszcze szansę dopaść Pharabota albo na morzu, albo na lądzie, ale poza terenem instytutu.

Loïc nie potrafił z pewnością określić modelu Zodiaca ani mocy jego silnika, jednak uciekinier miał do pokonania około pięćdziesięciu kilometrów, co wymagało przynajmniej godziny. Mieli więc jeszcze jakieś pół godziny, żeby go wytropić i zabić – bo taki był końcowy cel misji i nikt nie miał co do tego wątpliwości. Łapanie Pharabota nie wchodziło w grę – żaden z nich nie chciał, żeby bestia dokonała żywota w ciepełku instytutu, zajadając bulioniki i oglądając telewizję.

Gorce, który przez okno obserwował wybrzeże, odłożył lornetkę i usiadł obok Erwana. Zsunął kask z jednego ucha i krzyknął:

– Ludzie, których tu widzisz, to najlepsi piloci swoich promocji. Na ziemi są niezawodnymi żołnierzami i wiem, że mogę na nich polegać. A za mnie każdy dałby sobie obciąć rękę.

– Planujesz poddać ich takiej próbie?

Nie przemyślał tych słów, które były czystą prowokacją, aluzją do programu *no limit* i samookaleczeń, jakich Gorce żądał od swoich ludzi.

– Skończ z tymi wygłupami! – rzucił porucznik, wracając na stanowisko obserwacyjne.

Erwan w milczeniu skinął głową. Rzeczywiście, to nie był najwłaściwszy moment na utarczki i złośliwości. On i Loïc byli teraz ubrani tak samo jak żołnierze, w drelichowe kurtki i spodnie typu guerilla, z wodoszczelnej i ognioodpornej tkaniny, taktyczne kamizelki szturmowe i hełmofony. Nie dano im tylko najważniejszego: karabinu FAMAS F1 5,56 x 45 mm z celownikiem laserowym ani półautomatycznego pistoletu HK USP 9 x 91 mm Para. Gorce nie dał się przekonać – Morvanowie mogli uczestniczyć w obławie, ale mieli się trzymać z tyłu. Gdyby się natknęli na bestię, mogli tylko szczekać, czyli powiadomić oddział przez radio. Prawdę mówiąc, to i tak było dużo, choć Erwan nie miał ochoty przyznać, że ta pomoc to cud.

Pokonali już dwie trzecie odległości między Bréhat a Locquirec i minęli rezerwat przyrody Sept Îles, wciąż jednak nie dostrzegli łodzi Pharabota. Należało wziąć pod uwagę możliwość, że morderca skierował się na zachód ku zatoce Saint-Brieuc. W takim razie oddaliliby się od niego.

– Zbliżamy się do zatoki Lannion! – krzyknął Gorce, którego głos ledwie przebił się przez huk wirnika. – Dolecimy do wybrzeża i zejdziemy niżej. Jest odpływ, cel nie mógł popłynąć znacznie dalej. Kiedy go namierzymy, ostrzelamy go i wylądujemy.

Erwan czuł głęboką wdzięczność do porucznika, a nawet swego rodzaju podziw: żołnierz, który dwa miesiące temu usiłował go zabić, teraz, po zwykłym telefonie, odłożył na bok urazy. Nie znalazłby lepszego pomocnika. Gorce był urodzonym dowódcą, a jego zdolność reagowania w sytuacjach nagłych, nawet bez uzgodnienia z dowództwem, była nadzwyczajna.

– A jeżeli go nie znajdziemy? – zapytał, wyrażając własną obawę.

– To będzie znaczyło, że nawet jak na gliniarza jesteś wyjątkowym dupkiem.

– I tyle?

– Nie. To może też oznaczać, że poruszał się szybciej, niż sądzimy, i że zdążył zakotwiczyć w pobliżu Locquirec. Jeśli tak, to przelecimy nad tym rejonem i dopadniemy go na lądzie.

– A jeżeli zdąży dostać się do instytutu?

– Pójdziemy po niego.

– Nawet gdyby miał zakładników?

Gorce parsknął śmiechem.

– Chcesz dopaść tego gnoja czy nie? Bo jeżeli nie, to możemy już wracać.

Erwan ukrył twarz w dłoniach. Nie wolno mu było się załamywać ani torturować najgorszymi scenariuszami. Musi wziąć przykład z tych żołnierzy, którzy podejmowali działanie, o nic nie pytając.

Wstał i spojrzał przez okno na wybrzeże. W świetle dnia zieleniło się odcieniem khaki, tak pasującym do sytuacji. Czarne skały zanurzone w wodzie wyglądały jak bryłki mazutu. Na mokrym piasku zalegały algi, blaszeńce, morszczyny.

Erwan wyobraził sobie Pharabota, który w czarnym kapturze, z bronią w ręku, przemierza biegiem ten smętny teren. Idealny grób. Ale ile kul mogło mu zostać? Nie potrafił sobie przypomnieć, ile strzałów padło w pralni i z pokładu Zodiaca.

Głos porucznika przywołał go do rzeczywistości.

– Zaraz miniemy przylądek Locquirec. Nic tu nie ma…

– Instytut Charcota jest dalej.

– Jeżeli teraz nie widzimy tej łodzi… O kurwa!

Wszyscy zwrócili oczy w kierunku wskazanym przez Gorce’a, który patrzył przez lornetkę.

– Zostawił tu łódź.

Erwan wyrwał mu lornetkę i spojrzał na punkt usytuowany o trzydzieści stopni na południowy zachód. Średniej wielkości Zodiac leżał w kałuży przy dużej żółtej boi. GPS wskazywał: „plaża Moulin de la Rive”. Czarna, lśniąca łódź wyglądała jak natłuszczone ciało foki.

Za załamującą się linią skał, pośród zieleni, wiła się droga. Dalej ciągnęły się pola uprawne. Między kępami drzew połyskiwały szare dachy licznych białych domów. Wszystkie okiennice były zamknięte. Nigdzie ani śladu Pharabota.

Gorce zabrał swoją lornetkę i zwrócił się do oddziału. W ręku trzymał GPS wskazujący ich pozycje i usytuowanie instytutu.

– Ma trzy, najwyżej cztery możliwe drogi do domu wariatów – palcem wskazał wyraźnie zarysowane trasy między obszarami zieleni i szarości. – Siądziemy na plaży i podzielimy się na dwuosobowe zespoły. Nad lądem nie ma sensu latać: może się ukryć w ogrodzie przy jakimś domu, w lesie

czy pod drzewami przy drodze. Teraz ruszamy piechotą i polujemy na tygrysa.

Erwan wyobraził sobie miny miejscowych, kiedy Super Puma wyląduje między żółtymi bojami a chorągiewkami dla kąpiących się.

– Wiemy, dokąd zmierza. Nie ma nad nami dużej przewagi, najwyżej sześć, siedem minut.

– Skąd ta pewność? – zapytał Erwan.

– To widać po odpływie – wyjaśnił Loïc.

– Twój brat jest mądrzejszy od ciebie – mruknął Gorce, pokazując mu ekran GPS-u. – Tu cofanie się wody obliczone jest co do sekundy. Biorąc za punkt odniesienia pozycję Zodiaca, można oszacować, kiedy uciekinier musiał go porzucić.

Erwan milczał. Otaczali go wojownicy skuteczniejsi i inteligentniejsi od niego, nie wyłączając Loïca.

– Teraz pozostaje nam biec i szukać bestii – podjął Gorce. – Ruszamy parami wzdłuż różnych szlaków. Pierwsi, którzy zauważą cel, informują resztę. Proste, co?

– A my?

– Nie rozumiesz po francusku? Tworzycie z bratem parę. Skierujemy was na najbardziej oddaloną drogę, żeby ograniczyć szanse na spotkanie z tym bydlakiem. Jeżeli zauważycie łotra, nawiążcie kontakt radiowy i zaraz będziemy.

– On jest uzbrojony. Musimy mieć odpowiedni…

– GPS i radio, Morvan. Nic innego nie dostaniesz. Ani mi się śni dawać ci wojskowy karabin, żebyś polował na podejrzanego.

Nie ustępuj. Loïc powiedział mu, że piloci zabrali jego pistolet. Erwan pochylił się i spojrzał porucznikowi prosto w oczy twarde jak naboje do M16.

– Gorce, dobrze wiesz, kim jest ten facet, on…

Ale oficer strzelił spustem półautomatu, kończąc dyskusję.

– Zadzwoniłeś do mnie, więc jestem. Teraz to już nasza sprawa. Nigdy nie pozwolę jakiemuś durnemu glinie na udział w operacji wojskowej. Zostaw to fachowcom.

Helikopter zniżał lot. Krajobraz stawał się coraz wyraźniejszy. Lasy wybrzeża. Asfaltowa droga. Pola uprawne i domki letniskowe. Prawdziwy labirynt.

– Zaraz będziemy na miejscu – oznajmił Gorce. – Przekonamy się, czy miałem rację.

Wykonał enigmatyczny gest, który wywołał poruszenie na ławkach. Twarze żołnierzy zamknęły się jak komora pistoletu. Erwan patrzył na brata, który także wzbudził się o kilka stopni we własnej skali Richtera.

Zaczynała się wojna. Pod warunkiem że wróg był w pobliżu.

134

Kilka minut później Loïc i Erwan wdrapywali się po przybrzeżnym zboczu, wykręcając sobie kostki na kamieniach, żeby dotrzeć do drogi. Minęli asfaltową wstęgę, nie widząc nawet w dali żadnego samochodu, a potem ruszyli ścieżką prowadzącą przez zagajnik. Erwan odruchowo zerknął jeszcze w stronę plaży, gdzie Super Puma wciąż warczała, wzbijając wokół słupy wody. Żołnierze już zniknęli.

Po kilku metrach wędrówki pod osłoną drzew bracia znaleźli się na terenie, który wyglądał jak drugie morze. Tu i ówdzie trawa lśniła jak plamy oleju na wodzie. Granitowe skały wyłaniały się z ziemi niczym podwodne rafy.

Dotarłszy na szczyt kolejnego wzgórza, przystanęli. Mogli stąd ogarnąć wzrokiem wszystko w promieniu stu osiemdziesięciu stopni: lasy, pola, zamknięte domy. Nigdzie nie widać było człowieka. Nie zauważyli śladu żołnierzy, a tym bardziej Pharabota. Zadyszani, popatrzyli na siebie. Nie było im zimno dzięki mundurom, ale już czuli zmęczenie.

Bez słowa poszli dalej. Najważniejsze to nie zatrzymywać się i nie myśleć. Na ekranie GPS-u Erwana nie było już żadnych dodatkowych informacji, tylko zwykła mapa turystyczna. Nie znali pozycji Gorce’a i jego ludzi. Nie mieli wskazówek dotyczących dalszej drogi. Prowadził ich tylko podświetlony punkt – położenie Instytutu Charcota. Musieli iść kilometr na południowy wschód.

Erwan podjął decyzję – schodząc ze ścieżki i biegnąc przez pola, mogli zyskać na czasie i przyłączyć się do prawdziwego pościgu. Pharabot był już pewnie kilkaset metrów od instytutu. Erwan bez słowa pokazał Loïcowi ekran i gestem dał do zrozumienia, co chce zrobić. Pobiegli po suchej trawie, która łamała się pod ich stopami.

Niewielki bór piniowy. Tu warstwa igieł tłumiła odgłos ich kroków. Drzewa rosły dość rzadko, ale ich gałęzie tworzyły gęstą sieć, przez którą światło sączyło się jak przez pajęczynę. Właśnie tu Erwan przypomniał

sobie o nieszczęsnych pierwszoroczniakach, wypchniętych w taki teren prawie nago, ubabranych łajnem, a ściganych przez Gorce'a i jego tropicieli. Loïc i on byli dziś niewiele lepiej wyposażeni i gdyby spotkali Pharabota, nie skończyłoby się na zabawie w *paint balls*.

I nagle dotarła do niego prawda – Gorce wcale nie zamierzał mu pomóc. Nie zapomniał o zemście. Zostawił ich tu bez broni i bez wsparcia, wiedząc, że Erwan nie będzie w stanie zrezygnować z pojmania zabójcy, toteż zrobi wszystko, żeby dogonić Pharabota, zanim ten dotrze do instytutu. A Pharabot był uzbrojony i zabiłby ich bez wahania. Doskonały strateg wojenny Gorce zostawił Morvanów na pastwę losu, a raczej – mordercy. *Już tylko dwóch*…

Za lasem krajobraz całkowicie się zmienił. Przed sobą mieli teraz łąkę porośniętą wysokimi trawami i otoczoną drzewami. Spokojnie pasły się tu krowy. Intuicja podszepnęła Erwanowi, że ten sielski obrazek nie zapowiada nic dobrego, tylko usypia czujność. Przeszedł pod drutem kolczastym i uniósł rękę, powstrzymując Loïca.

– Zostań tam.

– Ale…

Erwan podał mu radio morskie.

– Pharabot mógł się tu gdzieś ukryć. Jeżeli go zobaczysz, użyj tego radia. Ja pójdę dalej.

– Dlaczego sam?

– Bo nie wiemy, gdzie jest ten drań. Może się pojawić wszędzie, w każdej chwili. Nie ma sensu, żebyśmy wystawiali się jak kaczki. Kiedy dotrę do ogrodzenia po drugiej stronie, dam ci znak. Wtedy do mnie dołączysz.

Zdenerwowany Loïc skinął głową.

– Schowaj się pod piniami i obserwuj teren, kiedy będę szedł przez łąkę.

Nie czekając na odpowiedź, ruszył biegiem, zostawiając brata za ogrodzeniem. Po kilku krokach zapomniał o morzu, o plaży i skałach. Mógłby być na dowolnym pastwisku we Francji. Zapomniał też o zagrożeniu. Pod błękitnym niebem, po którym sunęły białe obłoki, otoczony przez poczciwe mleczne krowy, nie mógł uwierzyć, że jest celem psychopaty. W tej chwili groziło mu przede wszystkim, że wdepnie w łajno.

Jednak już w połowie łąki zwolnił, czując, że po terenie porusza się bez osłony i że łatwo go tu obserwować. Jednak od lasu dzieliło go jeszcze

około dwustu metrów. Nikt nie strzelałby do niego z takiej odległości.

Ruszył w stronę ogrodzenia, a więc i na spotkanie z potencjalnym zagrożeniem. Z drugiej strony – czy miał szansę natknąć się na Pharabota? Praktycznie nie, chyba że morderca postanowił urządzić sobie piknik na ich drodze.

Kiedy był już przy ogrodzeniu, stracił determinację. Mimo to pochylił się, żeby przejść między drutami, i wtedy kula ugodziła go w pierś.

135

Erwan obrócił się, ale, o dziwo, nie upadł. Chciał się ukryć, jednak tylko się kołysał. Kto do niego strzelił? Pomyślał o poruczniku i jego snajperskim talencie. Nie, to nie Gorce, złamałby kodeks honorowy, strzelając do niego jak do królika.

Oparł się o drut kolczasty, ale wtedy przejmujący ból rozdarł mu tors.

Druga kula.

Odrzuciło go do tyłu. Upadł na plecy. Odgłos wystrzału wciąż jeszcze powracał echem. Loïc na pewno go słyszał. I co? Jedyne, co mógł zrobić, to wezwać Gorce’a przez radio i czekać w ukryciu. Ile czasu minie, zanim ktoś się tu pojawi? Dwie minuty? Trzy? Pięć? Dziesięć? Wystarczająco dużo, żeby umrzeć.

Erwan jakoś się pozbierał i ruszył na czworakach wzdłuż ogrodzenia. Potem skulił się przy słupku i zaczął obserwować skraj lasu. Był przekonany, że Pharabot ukrył się w odległości kilku metrów od niego. Erwan czuł pulsujący w piersi ból. Nie miał jeszcze okazji spojrzeć na ranę, w tej chwili próbował sobie raczej przypomnieć, czy kamizelka taktyczna, którą mu dano, jest kuloodporna. W końcu uniósł rękę i powiódł nią po fałdach tkaniny – była ciepła i lepka – przesiąkła krwią.

Uniósł głowę, słysząc szelest liści. Thierry Pharabot pojawił się po jego prawej stronie, w odległości dziesięciu metrów. Rękę miał jeszcze wilgotną, łokieć cofnięty, trochę jak kowboj. Strzelał z ukrycia w lesie, a sądząc po celności, miał duże doświadczenie w posługiwaniu się bronią palną – wspomnienia z przeszłości zairskiego myśliwego.

Erwan odruchowo wsunął głowę w ramiona i zobaczył, że Pharabot przechodzi pod drutem kolczastym. Przed oczyma mignęła mu scenka z sędzią wchodzącym na ring. *Pojedynek stulecia*.

Osunął się na prawy bok, przyciskając rękę do brzucha, i patrzył na zbliżającego się wolno wroga. Ta morda wcale nie była podobna do portretu opracowanego przez program komputerowy. Mężczyzna nosił grube szkła

w tanich oprawkach. Prawe oko, mocno powiększone, wyglądało tak, jak gdyby lada chwila miało wyskoczyć z oczodołu. Drugie było na pół przymknięte i jakby za głęboko wepchnięte. Twarz miał wychudzoną, niemal pozbawioną mięśni – kości policzkowe sterczały pod napiętą skórą, policzki były zapadnięte, szczęki nieproporcjonalnie wydatne. Ale najgorszy był grymas, który wykrzywiał jego usta i odsłaniał pożółkłe zęby.

Kolejna kula.

Tym razem czarownik strzelił z bliska.

Erwan drgnął, głowa bezwiednie opadła mu na zroszoną trawę. *Śmierć czeka na łące…* Dotknął ramionami ziemi i pomyślał, że czas zacząć odliczanie. Jeden, dwa, trzy… Wtopić się w bezkres nieba, zanim zagaśnie światło. Cztery, pięć, sześć… Ile kul zostało jeszcze temu łotrowi? Siedem, osiem, dziewięć… Pojawił się w jego polu widzenia i przesłonił słońce, celując z pistoletu prosto w twarz Erwana.

Ile masz jeszcze kul, ty świrze?

Pharabot znów nacisnął na spust. Odpowiedzią był głuchy odgłos – albo broń się zacięła, albo magazynek był pusty. Oniemiały, patrzył na broń, potem odrzucił ją daleko, chwycił Erwana za kołnierz i powlókł w stronę ogrodzenia. Pchnął go na druty kolczaste, przeszedł nad nim i rycząc, zerwał z najbliższego słupka drut biegnący górą. Erwan ze zdumieniem stwierdził, że mężczyzna ma ogromną siłę – chociaż wyglądał jak zabiedzony włóczęga, witaminy poczciwego doktora Lassaya dały mu wręcz nadprzyrodzoną moc.

Pharabot wprawnym gestem owinął szyję Erwana kolczastą garotą i przyciskając kolanem jego poraniony tors, pociągnął z całej siły. Erwan czuł już tylko piekielny ból, który przenikał go od góry do dołu.

Pharabot znów pociągnął, trzymając drut obiema rękami. Erwan dyszał jak konająca ryba. Krew nie dopływała mu już do mózgu, wylewała się na wysokości gardła. Nie miał nawet szans na błyskawiczny przegląd własnego życia. Musiał się zadowolić widokiem tej ohydnej, śliniącej się nad nim mordy.

Metalowe kolce wciąż wbijały mu się w szyję. Nie mógł ruszyć ręką ani nogą. Śmiertelne zimno przenikało go do kości. Świadomość, niczym wulkan, wypluwała całe zdania: „Ostrze rozcięło krtań na poziomie głośni”; „Kolec przebił przełyk i żyły szyjne zewnętrze”; „Rana jest usytuowana

między mięśniami mostkowo-obojczykowymi”… Fragmenty protokołu jego własnej sekcji.

Aż nagle pół twarzy Pharabota rozprysnęło się i wzbiło w strzępach ku niebu. Skóra, kości i oczy rozproszyły się w porannym świetle. Ucisk drutu natychmiast zelżał. Głowa Erwana opadła na pierś. Resztkami sił uniósł oczy i zobaczył bardzo wyraźnie odcinającą się od ściany odległych pinii sylwetkę Loïca, który już biegł w jego stronę. A jeszcze wyraźniej zobaczył broń w jego ręce. Pistolet, którego w rzeczywistości żołnierze nie znaleźli i który Loïc ukrył, żeby zabić mordercę siostry.

Erwan starał się nie oddychać, żeby oszczędzać ostatnie krople krwi. *To takie trudne*. I znów absurdalne słowa tłukły mu się po głowie: „zasięg strzału”, „trajektoria”, „energia rozproszona”, „siła wiatru”, a poza tym sporo terminów z dziedziny balistyki, których znaczenia nie pamiętał. Cała masa parametrów, które dawały znikome szanse kuli wystrzelonej z takiej odległości.

Ale nie wtedy, kiedy strzelał Loïc.

Wirtuoz dokonał cudu i zdołał trafić do celu oddalonego o ponad dwieście metrów. I to trafić nie byle jak: to, że najzwyczajniej roztrzaskał mu czaszkę, świadczyło o zachowaniu maksymalnej energii pocisku i uzyskaniu idealnej trajektorii lotu. Loïc zawarł przymierze z ołowiem i z ogniem.

Już niemal tracąc przytomność, Erwan usłyszał hałas nad głową. Próbował się unieść, ale obroża z drutu kolczastego uniemożliwiała mu ruch, a powieki robiły się takie ciężkie… A jednak, choć zziębnięte serce biło coraz wolniej, coraz ciszej, rozpoznał Super Pumę.

Odnaleziono ich. Wygrali. Uratują go. W krótkim przebłysku świadomości otworzył oczy i zamrugał, oślepiony słońcem. Dopiero po chwili zrozumiał, co widzi: na trawie, która chyliła się pod silnym podmuchem helikoptera, Loïc klęczał nad Pharabotem i rozdzierał to, co zostało z jego twarzy, wykrzykując imię Gaëlle.

136

Loïc był sam na pogrzebie Gaëlle. A Gaëlle była sama w grobowcu na cmentarzu Montparnasse.

Nie powiadomił nikogo z wyjątkiem Sofii, która chciała mu towarzyszyć. Nie zgodził się. Ten pogrzeb kończył drogę krzyżową, jaką przemierzał samotnie przez cztery dni – najpierw w Breście, w kostnicy Cavale Blanche, potem w lodowatej sali paryskiego zakładu pogrzebowego – tego samego, który organizował transport zwłok ojca. Po autopsji sprowadził z Paryża najlepszego specjalistę z zakresu tanatopraksji, żeby przywrócił Gaëlle urodę (zaciekle walczył z Clementem, lekarzem sądowym z Brestu, aby nie ogolono jej głowy). Później sam ubrał siostrę w pomieszczeniu zimnym jak kaplica, ale bez woni kadzidła, następnie nadzorował jej transport samolotem. Odbyli drogę powrotną tylko nieznacznie różniącą się od tej do Bretanii, z trumną ojca.

Od starcia z Pharabotem Loïc stał się somnambulikiem, więźniem koszmaru. Skupiony na jedynym celu – zapewnić siostrze dyskretny i należyty pochówek – nie zważał na nic innego i odsuwał od siebie myśli, które nie dotyczyły tej sprawy. Gdyby popuścił cugle psychice, rozsypałby się. I tak żeglował dniem i nocą, ze zwiniętymi żaglami i z silnikiem na niskich obrotach, obawiając się potężnego wiatru rozpaczy i czyhającego obłędu.

Erwan jakimś cudem przeżył. Helikopter przewiózł go bezpośrednio do Cavale Blanche. Tam natychmiast zapadł w śpiączkę. „Tym lepiej” – powiedzieli lekarze. Żeby znieść operacje, których wymagał jego stan, lepiej było z niczego nie zdawać sobie sprawy. Erwan dostał trzy kule. Pierwsza ugodziła go pod lewym obojczykiem, przebiła się przez tkanki i rykoszetem odbiła się od łopatki, żeby przejść na wylot. Ta rana, chociaż najbliższa serca, była najlżejsza. Druga kula trafiła go w brzuch, zmieniła trajektorię po uderzeniu w dwunaste żebro i utknęła w żołądku. Jej

ekstrakcja wymagała ponad dwóch godzin pracy. Trzecia utknęła w prawej pachwinie, niszcząc mięśnie i więzadła, ale nie dotykając żadnego narządu.

Najpilniejsze było zatamowanie krwotoku i ratowanie gardła. Drut kolczasty rozdarł krtań i tchawicę, uszkodził też przełyk. Po zszyciu ran lekarze zajęli się strunami głosowymi, mięśniami tarczowo-nalewkowymi i fałszywymi fałdami głosowymi. Trzeba było jeszcze wielu dodatkowych godzin operacji, a chirurdzy, w tym dwaj ściągnięci z Val-de-Grâce, nie dawali pacjentowi większych szans.

Musiała minąć kolejna doba, aby stało się pewne, że życiu Erwana nic nie zagraża, ale kwestia trwałych uszkodzeń pozostawała otwarta – mocno ucierpiała wątroba i wydawało się mało prawdopodobne, żeby Erwan mógł mówić. Tę ostatnią wiadomość Loïc przyjął ze swoistym fatalizmem: najważniejsze, żeby brat pozostał przy życiu, a co do mowy – pocieszał się w tych dramatycznych dniach – to Erwan i tak nigdy nie był gadułą.

Loïc wynajął w Breście pokój, ale nawet do niego nie zajrzał. Koczował w szpitalu i kiedy odchodził od łóżka brata, to tylko po to, by czuwać dwa piętra niżej, przy zwłokach siostry. Przesiadywał tam, wpatrując się w nią wytrzeszczonymi oczyma. Czasami rozmawiał z nią półgłosem albo śpiewał stary przebój Cata Stevensa:

My lady D’Arbanville
You look so cold tonight
Your lips feel like winter
Your skin has turned to white…

Loïc potrząsnął głową. Kazanie księdza dobiegało końca. Po co ten ksiądz? Nie miał siły odrzucić tradycyjnej formy pogrzebu. Kiedy jednak duchowny poprosił o rys osobowości siostry, odparł: „Nie miała w sobie nic szczególnego. Niech to trwa jak najkrócej”.

Co miałby powiedzieć? Że jako nastolatka nieustannie wyniszczała się głodem? Że potem robiła, co w jej mocy, żeby wywrócić swoje życie do góry nogami, i bawiła się w kurwę? Że jej jedyne marzenie – kino – jej nie chciało?

– Proszę tędy.

Ksiądz wskazał mu wejście do grobowca, gdzie miał stanąć nad grobem, by rzucić różę, którą mu dano. Déjà vu. Erwan słusznie odmówił rzucania kwiatów na trumnę ojca. Loïc powinien zrobić dziś to samo.

– Jeżeli pan chce, może pan posiedzieć tu chwilę w skupieniu.

– Nie – powiedział, rzucając różę na ziemię.

Duchowny popatrzył na niego ze współczuciem, co jeszcze bardziej go rozdrażniło. Cokolwiek robił ten człowiek, wyglądał jak produkt seryjny. Nie było w nim ani odrobiny oryginalności i szczerości.

– Proszę wszystko pozamykać – Loïc zwrócił się do czekających przy wejściu robotników. – Dziękuję, ojcze.

Powiedziawszy to, obrócił się na pięcie i poszedł w stronę bulwaru Edgar-Quinet, przez opustoszałe alejki. Trzymał się prosto, żeby nie doznać zawrotu głowy od tej pustki. Teraz, kiedy Gaëlle spoczęła już w grobie, nie miał co robić i o czym myśleć. A raczej przeciwnie – nie miał już niczego, co mogłoby go chronić przed pogrążeniem się w rozpaczy, która czyhała na niego od Locquirec.

Już na bulwarze zdecydował, że wróci piechotą. Nie jeździł już astonem martinem. Samochód stał porzucony na parkingu jak zabawka, która znudziła się dziecku. Od prawie miesiąca nie zajrzał też nawet do Firefly Company, spółki, którą sam stworzył. Jego partnerzy nie byli gwiazdami, ale ogarniali sprawy na tyle, żeby poradzić sobie bez niego przez kilka tygodni.

Bulwar Montparnasse. Kierując się na plac Inwalidów, a potem idąc bulwarami do Trocadéro, mógł dotrzeć do domu w niespełna godzinę. Odsunął od siebie wszystkie myśli związane z Gaëlle i postanowił prześledzić bieg zdarzeń ostatnich dni.

Po zabiciu Człowieka Gwoździa trzeba było przygotować jakiś sensowny scenariusz. Trup zawsze oznacza problemy. Ale kiedy nieboszczyk oficjalnie już od trzech lat jest zimny, ma się z tym cholerny kłopot. Pascal Viard, najwyraźniej zamieszany w cały ten bajzel, wziął na siebie drugi pogrzeb Thierry’ego Pharabota – wymyślił nowego mordercę zbiegłego z Instytutu Charcota. Przecież zwłoki miały zmasakrowaną twarz.

Wersja oficjalna: Erwan Morvan od kilku dni ścigał zabójcę jednego ze swoich ludzi – policjantki Audrey Wieniawski. Zbieg wymknął mu się po raz pierwszy w strefie przemysłowej Marais w Gennevilliers, ale policjant ruszył za nim do Bretanii i zastrzelił go, działając w obronie własnej. Co do absolutnie nielegalnej interwencji pilotów ze szkoły lotnictwa marynarki wojennej w Kaerverec, Viard chwycił byka za rogi, jak by powiedział Morvan, i oświadczył, że osobiście zwrócił się do najbliższej jednostki wojskowej, prosząc o wsparcie.

Dziennikarze połknęli tę zmyśloną historyjkę podczas konferencji prasowej samego Viarda, w sobotę 24 listopada, w obecności przedstawiciela prokuratury w Quimper, pułkownika Verny'ego, dowódcy prowadzącego śledztwo wydziału śledczego żandarmerii, pułkownika Vincqa, dowódcy szkoły wojskowej w Kaerverec, a także chudego jak szparag, siwego Jeana-Louisa Lassaya, szefa Instytutu Charcota, który nie odezwał się słowem i siedział jak struty.

Loïc, który dyskretnie obserwował to przedstawienie, nie wierzył własnym uszom, ale też nie zależało mu na ujawnieniu prawdy, ponieważ to on zastrzelił Pharabota z półautomatu bez homologacji, nie mając na domiar złego pozwolenia na broń.

Uwaga szybko skupiła się na Instytucie Charcota i zasadach bezpieczeństwa obowiązujących w tego typu zakładach leczniczych. Odwieczna kwestia zagrożenia ze strony umysłowo chorych powróciła jak po „dramacie w Pau" w 2004 roku[10]. Zastanawiano się także nad ewentualnym związkiem między starciem w Locquirec a tym, co przed dwoma miesiącami wydarzyło się w Fort Chabrol, w tym samym regionie, i było szeroko opisywane w prasie. Prokurator kategorycznie zaprzeczył, by te fakty miały ze sobą cokolwiek wspólnego.

Chociaż Loïc nie wiedział, co kryje się za kulisami tej sprawy, miał dwa głębokie przekonania – po pierwsze, że Viard i Lassay tkwili po szyję w aferze dziwnego odrodzenia Pharabota, po drugie, że Erwan odkrył ich niebezpieczne gry i stał się kłopotliwym świadkiem. Tak kłopotliwym, że Loïc sprawdzał podawane bratu w Cavale Blanche kroplówki i zastrzyki i stanął na głowie, żeby już w niedzielę przewieziono go do Paryża, gdzie, jak sądził, panowała „zdrowsza" atmosfera.

Kiedy wpadł do mieszkania Erwana, uzyskał potwierdzenie swoich domysłów. Wszystko zostało przetrząśnięte, porozbijano meble, sprawdzono ściany, zerwano klepkę z podłogi. Nie zaniedbano żadnego szczegółu. Czy ludzie Viarda znaleźli to, czego szukali?

Tak i nie. Tak, ponieważ Erwan zostawił im kość, żeby mieli co ogryzać – laptop i twardy dysk zawierały dane dotyczące głównych kierunków śledztwa oraz informacje o dowodach i fragmenty zeznań. Nie, ponieważ prawdziwe dokumenty i zeszyty z notatkami drobiazgowo przedstawiającymi dochodzenie Erwana były poza domem.

Wszystko to leżało ukryte w skrzynce systemu klimatyzacji na parkingu obok budynku. Loïc skrupulatnie przestrzegał wskazówek brata, gubiąc po drodze dwóch gliniarzy, którzy go śledzili. Najwyraźniej Viard i jego zbiry bardzo chcieli sprawdzić, co naprawdę ustalił Erwan.

Loïc otworzył skrzynkę śrubokrętem, zabrał zeszyty i dokumenty – protokoły przesłuchań i załączone do raportów zdjęcia, pieczołowicie poukładane w plastikowych teczkach albo rozdzielone pergaminem. Ze wzruszeniem patrzył na tę staranność wzorowego ucznia. Po powrocie do domu dokładnie zamknął drzwi. Lektura zajęła mu całą noc z niedzieli na poniedziałek. Erwan opisał wszystko drobniutkim pismem, które zdradzało obsesyjne podejście do sprawy. Zebrało się tego dwa razy po dziewięćdziesiąt sześć kartek. Loïc uważnie prześledził kolejne etapy obu dochodzeń – francuskiego i afrykańskiego. Doszły do tego zeznania, zdjęcia, dowody, do których odsyłały notatki opatrzone numerami i przypisami. Trzeba było też uwzględnić ostatnią rozmowę z Jeanem-Louisem Lassayem, tę odbytą w dniu pogrzebu starego. Erwan zrelacjonował ją w trzecim zeszycie, który Loïc znalazł w Bréhat. Początkowo nic nie zrozumiał z tego pozbawionego kontekstu zapisu, ale okazało się, że doskonale pasuje on do całej układanki.

Teraz wrócił do swojego mieszkania, gotów raz jeszcze przewinąć w pamięci film z kolejnych śledztw. Ponieważ przemókł na deszczu, wszedł pod prysznic, żeby się rozgrzać, a potem wrócił do zeszytów brata, zauważając przy okazji, że od wyjazdu do Bréhat ani razu nie pomyślał o narkotykach i nie czuł dyskomfortu z powodu ich braku: truciznę, która dotąd była dla niego jak powietrze, woda i żywność, zastąpiło skrajne napięcie nerwowe. Mówiąc wprost – ożywiała go żądza zemsty.

Egzekucja Pharabota absolutnie nie uspokoiła Loïca. Z akt Erwana wynikało, jego zdaniem, że jeszcze gdzieś ukrywa się drugi winny. Przynajmniej Loïc miał taką nadzieję. I nie chodziło mu o zakończenie śledztwa, tylko zamknięcie pewnego rozdziału w swoim życiu. Chciał upuścić jeszcze trochę krwi. Zniszczyć, żeby uciszyć własny gniew. Jeana-Louisa Lassaya? Pascala Viarda? Jeszcze innych, usytuowanych wyżej w hierarchii odpowiedzialności? Skądże. Ci szaleńcy byli winni, ale nie w materialnym tego słowa znaczeniu – oni osobiście nikogo nie zabili, przynajmniej nie w tej sprawie.

Cierpliwości… Na pewno znajdzie innego wroga, by zaspokoić pragnienie. Dopiero wtedy będzie mógł zacząć od zera i wrócić do świata normalnych ludzi.

137

Erwan poprosił Loïca o kupienie dwóch tanich komórek na karty. Miał nadzieję, że to pozwoli im wysyłać sobie esemesy, siedząc twarzą w twarz, i mieć wrażenie, że prowadzą normalną rozmowę. Szybko przekonał się, że nie jest w stanie nic napisać, używając klawiatury telefonu, bo trzy rany postrzałowe i pozszywane gardło nie pozwalały mu dość sprawnie poruszać palcami.

Wrócili więc do poczciwej starej tabliczki, jak w szkole, ale Erwan z trudem utrzymywał w ręku pisak, więc „rozmowa” sprowadzała się do kilku zdań.

JAK TO WYGLĄDAŁO?

Na intensywnej terapii, pokłuty kroplówkami, pod kontrolą czujników i maszyn, które go monitorowały, żywiły, sondowały, Erwan czuł się jak wojownik na moment zabrany z pola bitwy. Tymczasem jego położenie niewiele różniło się od sytuacji Maggie. *Ciekawe, co z nią?* Zajmie się tym później. Najpierw pogrzeb Gaëlle.

– Smutno – odparł krótko Loïc.

Nie mogąc mówić, Erwan miał nadzieję, że brat powie coś więcej. Ale nie, to znowu on, pisakiem trzymanym w drżącej ręce, z mózgiem otumanionym morfiną, musiał podtrzymywać rozmowę.

SOFIA PRZYSZŁA?

– Chciała. Odmówiłem. Wolałem zostać sam z Gaëlle.

Spojrzał znad maski tlenowej na brata. W ciągu kilku godzin Loïc dwukrotnie uratował mu życie. Zabił Człowieka Gwoździa strzałem zasługującym na wpis do *Księgi Guinnessa* i uległ bestialskim instynktom, gołymi rękami rozszarpując twarz potwora. To okrucieństwo przystawało do niezwykłej brawury. Żegnaj, tchórzliwy, naćpany Loïcu. Witaj, zimnokrwisty zabójco. Metamorfozę miał wypisaną na twarzy. Jego rysy wyostrzyły się i stwardniały, podobne rowkom skamieliny, które ukazują się po rozbiciu kamiennej skorupy.

Kiedy Erwan doszedł do siebie, brat czuwał przy nim ubrany jak kosmonauta. Ten widok dodawał otuchy, ale oznaczał nagłe odwrócenie ról. Rodzinny ćpun stał się opoką, a on, ten silny element klanu, ćpunem, w którego żyłach płynęła morfina.

Nie cierpiał. Prawdę mówiąc, nie czuł dosłownie nic, był teraz tylko mózgiem: maleńkim, pływającym w połatanym ciele. Nie zamierzał poddawać się rozpaczy – żeby uświadomić sobie śmierć Gaëlle, musiał być w pełnej formie. Co do połączenia elementów śledztwa, liczył, o dziwo, na Loïca. On zrobił już swoje: chciał poznać pochodzenie klanu, a skutek był taki, że nie było już – albo prawie nie było – Morvanów.

Jego żądza zemsty także rozcieńczyła się w morfinie. Pharabot nie żył. Po co właściwie karać Jeana-Louisa Lassaya? Ten konował w końcu odstawi do lamusa fiolki i neuroprzekaźniki. Wszystko zostanie zapisane w kolumnach strat i zysków potajemnych badań naukowych finansowanych przez państwo. A wszyscy zmarli zyskają przynajmniej na znaczeniu, bo dowiodą, że prace przystojnego JL były wielką porażką.

Po tej rzezi pozostała jedna kwestia otwarta – on sam. Czuł całym ciałem, że z tego wyjdzie, ale nie ma co marzyć o odzyskaniu mowy. Wspominano mu już o protezie, o sztucznej krtani i całej masie niezbyt apetycznych i kłócących się z pracą w policji sztuczek.

MAGGIE? – zdobył się w końcu, by napisać to na tabliczce.

– Potem do niej zajrzę. Stan stabilny. Lekarze mówią, że poprawa już nie nastąpi.

Erwan dusił się w bandażach. Nagle zaczął marzyć, aby poddano go takiej samej kuracji jak matkę i obłożono lodem.

I ostatnie pytanie, już na drogę:

ZESZYTY?

– Muszę je jeszcze raz przeczytać.

Loïc stał nieruchomo przed łóżkiem, wyprężony jak gwardzista szwajcarski. Od wczoraj nie napomknął ani słowem o tym, co przeczytał, nie komentował szczegółów, które dopiero teraz poznał. Erwan chciał, żeby wiedział. Ta prawda była jedynym testamentem, jaki zostawiał, a już na pewno jego najlepszym śledztwem, więc jego brat, ostatni z Morvanów trzymający się jeszcze na nogach, musiał jej strzec.

W końcu Erwan nie wytrzymał. Tabliczka. Pisak w drżących palcach.

CO O TYM MYŚLISZ?

– Powiedziałem ci: jeszcze za wcześnie, żebym to komentował. Muszę wszystko jeszcze raz przeczytać i przetrawić.

Gdyby Erwan nie był taki przymulony i gdyby nie tkwił w bandażach od ramion po uszy, to wybuchnąłby śmiechem. Loïc przybrał postawę milczącego gliny, a on żebrał o opinię.

Czas, jak wiele innych rzeczy, przestał dla niego istnieć. Zatracił jego miarę. Żył w poplątanej chronologii, szósta rano nie różniła się dla niego od południa, a kilka minut znosił z takim samym trudem (albo równie lekko, to zależało od dawki morfiny, jaką mu podano), jak kilka godzin. Poza tym sen bez uprzedzenia pogrążał jego marną świadomość w długich wyciszonych tunelach.

Zdał sobie sprawę, że brat pochyla się nad nim. Pierwszy uśmiech podczas tych odwiedzin.

– Pójdę już – szepnął Loïc, całując go na pożegnanie. Morvanowie za późno nauczyli się dobrych manier. – Mam jeszcze sporo spraw do załatwienia.

Erwan chwycił tabliczkę.

JAKICH SPRAW?

– Porządki – uśmiechnął się znowu Loïc. – U ciebie.

138

– Panie Morvan! Mam listy do pańskiego brata!

Dozorczyni zatrzymała go, kiedy otwierał przeszklone drzwi holu. Loïc wziął koperty i podziękował uśmiechem. Kobieta, której wieku nie potrafił określić, skorzystała z okazji i zapytała o zdrowie Erwana, ale uciekł na górę, mruknąwszy kilka słów.

W zdemolowanym mieszkaniu niczego nawet nie dotknął. Ograniczył się do zadania kilku pytań dozorczyni, która niczego nie zauważyła, i poszedł prosto na parking, żeby zabrać zeszyty i dokumenty, a potem wrócił z tą zdobyczą do domu.

Teraz zamierzał przywrócić właściwy stan mieszkania, a raczej sterylnej lodówki, w której żył Erwan. Dwustulitrowe przemysłowe worki na śmieci, gumowe rękawiczki, maseczka chroniąca przed pyłem. Rozebrał się i zabrał do pracy.

Pierwszy etap: zebrać wszystko, czego nie da się już ocalić. Napełnił tak pięć worków, z tego dwa gruzem. Erwan będzie musiał pomyśleć o urządzeniu od nowa kuchni i łazienki. Etap drugi: pozbierać ubrania, pościel i ręczniki w jakim takim stanie i ułożyć to wszystko w kącie. Szpicle rozpruli materac, zniszczyli łóżko, połamali meble, roztrzaskali telewizor. Wrzucił to wszystko do przedpokoju i wyniósł materac na korytarz.

Żeby zebrać gipsowy pył, wypożyczył odkurzacz stosowany na budowach. Kiedy mieszkanie było już oczyszczone, mógł zabrać się za to, co najtrudniejsze – naprawy. Bał się tej roboty, bo nigdy w życiu nie wbijał nawet gwoździa.

Próbował ułożyć klepki parkietu, ale nic z tego nie wyszło. Chciał założyć drzwi na zawiasy – nie udało się. Później raczej bez zapału przystąpił do mocowania zerwanego karnisza, żeby zawiesić firanki, których także nie oszczędzono. Znowu na próżno.

Po dwóch godzinach bezowocnych wysiłków zrezygnował. Wezwie fachowców. Dowiedział się za to, że jego kondycja wymaga, żeby znów

zaczął się gimnastykować i biegać.

Dziś przynajmniej solidnie się spocił i przez trzy godziny nie myślał o niczym poza trudami stolarki, sprzątaniem tynku i numerami śrubokrętów. Zrobiło się ciemno. Chciał włączyć światło, ale nie działała żadna lampa poza tą w łazience – przy szeroko otwartych drzwiach ledwie oświetlała salon i część kuchni.

Loïc wrócił do przedpokoju, przez chwilę grzebał w jednym z worków, wydobył rondelek bez rączki i szczyptę herbaty z przyprawami – tej, którą obdarzał całą rodzinę. W półmroku zagotował wodę i znalazł kubek ocalały z pogromu, a także maleńkie sitko. Przez zwiniętą ścierkę chwycił gorący rondelek, przelał wodę przez sitko z herbatą i czekał.

Nagle ta wykonywana samotnie ceremonia przyprawiła go o skurcz żołądka – zostało już tak niewiele osób, które będzie mógł obdarowywać shangri la i kapciami z wełny jaka. Nie będzie się miał z kim kłócić i godzić. Te refleksje przypomniały mu, że nie odwiedził dziś Maggie. Ale właściwie po co miałby to robić?

W roztargnieniu zerknął na listy do Erwana, które położył na kuchennym blacie. Jego uwagę zwróciła szara koperta formatu A4. W rogu zobaczył kolorowe znaczki z Belgii. Loïc wziął kopertę i aż rozchylił usta, w których nagle mu zaschło. Na kopercie widniało logo z napisem: UNIWERSYTET KATOLICKI W LOUVAIN-LA-NEUVE. Dokładnie pamiętał notatki Erwana – to tam zakończyło się jego pierwsze śledztwo. Zeznania zakonnika, psychiatry i etnografa, umożliwiły identyfikację Nono, asystenta Człowieka Gwoździa, tego chłopca, który przeżył ciężką traumę i który stał się Philippem Krieslerem, alias Kripo.

Czy Erwan kontaktował się z zakonnikiem? Loïc rozdarł kopertę i zobaczył czarno-białe zdjęcia oraz napisany drobnym pismem list. Poszedł do łazienki, żeby przeczytać go przy dobrym świetle.

List przypominał, że w związku z likwidacją jednej z lecznic białych ojców w Katandze ojciec Krauss (autor listu) zabrał część archiwaliów, w tym zdjęcia, które być może pomogą Erwanowi w śledztwie. Przesyłka dotarła już po bitwie, ale Loïc mimo wszystko przejrzał fotografie formatu pocztówek.

Większość pochodziła z lecznic w Lontano w czasach rozkwitu miasta. Były to głównie grupowe zdjęcia personelu kliniki Stanleya i lecznicy na piątym kilometrze. Drobna brunetka, która stała między lekarzami

i pielęgniarzami, to musiała być Catherine Fontana, prawdziwa matka Erwana. Loïc drżał. Paliło go w gardle. Musiał napić się zimnej wody z kranu nad umywalką, zanim usiadł na obrzeżu wanny, żeby wrócić do przeglądania zdjęć.

Dotąd zagadkowa opowieść o narodzinach Erwana sprowadzała się do imion, dat i miejsc, których nie znał. To małe zdjęcie z dziewczyną o pociągłej twarzy czyniło tę opowieść nieznośnie rzeczywistą.

Skupił się na pozostałych fotografiach – lekarzy z kliniki Stanleya, tego „szpitala białych", w którym pracowali również czarni medycy. Zauważył wysokiego mężczyznę, który przerastał wszystkich innych, ale zwracał na siebie uwagę także pretensjonalną miną. Skądś znał tę twarz.

Tak, oczywiście, że ją znał. Zbliżył się do światła. Nie było wątpliwości – to ten playboy, ale znacznie młodszy, tan sam, którego spotkał kilka dni temu w Breście. Erwan nigdy nie wspominał o jego związkach z Lontano. Na odwrocie zdjęcia widniała data i nazwiska osób. Kiedy Loïc odczytał dane lekarza, zrozumiał, że fundamenty całej historii właśnie runęły. Fotografie wysunęły mu się z ręki i miękko uderzyły o posadzkę. *O Boże… Ta sprawa ma jeszcze jeden rozdział…*

139

Mimo późnej pory ostatecznie postanowił odwiedzić Maggie. Godziny nie miały już przecież znaczenia ani dla niego, ani dla niej. Za każdym razem był przekonany, że już więcej się nie zobaczą i że matka szepcze mu w swoim niemym języku słowa pożegnania. Tego wieczoru to on szedł ją pożegnać, bo nie był pewien, czy Maggie przeżyje najbliższe dni.

Opleciona siecią rurek, otoczona ekranami i przejrzystymi woreczkami-kroplówkami, a także tymi, które zbierały mocz i kał, matka wydawała się zdemontowana jak robot. Jej wychudła twarz tkwiła między poduszkami, częściowo zasłonięta aparatem tlenowym. Cztery kończyny i tors rysowały się pod prześcieradłem jak szkielet. To wszystko miało już wkrótce zniknąć. Loïc w fartuchu, czepku i ochraniaczach na buty usiadł w jedynym fotelu. Dusił się już w tym przedsionku śmierci.

Co właściwie czuł, patrząc na umierającą? Smutek? Litość? Obojętność? Ulgę? Nie znał odpowiedzi, ale od dwóch dni okrywająca ją tkanina, niemal całun, stała się ekranem kinowym. Widział, jak wyświetlają się na nim koncerty Salamander, potem Maggie i Perneke prowadzący odurzonego Morvana do Cité Radieuse, później konająca Cathy Fontana, w końcu Maggie pozorująca morderstwo dokonane przez Człowieka Gwoździa i dobijająca ofiarę. Kochankowie uprawiający seks w hangarze jeszcze pełnym krwi i uśpiony przez nich Grégoire…

– Znam prawdę, mamo – szepnął, biorąc ją za rękę suchą jak skóra węża – ale cię nie osądzam. Nie mam do tego prawa. A poza tym, jaki to miałoby dziś sens? Tato nie żyje. Gaëlle nie żyje. Nie ma już nawet Człowieka Gwoździa. Jednak jest jeszcze coś, co trzeba zrobić… – Wstał, nie odrywając od niej oczu. – Muszę załatwić nasze ostatnie rachunki. Bo wiem, co się naprawdę wydarzyło.

Wydawało mu się, że twarz matki drgnęła. Nie, to tylko odbicie światła monitorów albo przyciemnionej plafoniery.

– Zaufaj mi – dodał, wychodząc. – Każdy zapłaci.

Na szpitalnym parkingu zastanawiał się jeszcze, czy powinien powiedzieć o tym Erwanowi. Lepiej nie. Brat przetrwa dzień czy dwa bez odwiedzin. I albo Loïc osobiście opowie mu zakończenie tej historii, albo brat dowie się wszystkiego z gazet.

140

Powrót do Kokolandu.

Narkotyki mają tylko jedną zaletę – ich świat jest niezmienny. Ulice, parszywe gęby dilerów, cennik, nędzne namiastki kryjówek i podziemia – wszystko jest zawsze takie samo. Loïc zadrżał na myśl o powrocie. *To w dobrym celu*. Jego plan mógł się powieść dopiero od pewnej dawki.

Nie użył telefonu komórkowego, zresztą zostawił go w domu. Wsiadł do taksówki. To miały być zakupy na dziko – Loïc wciąż miał upodobanie do podłych dzielnic, do podejrzanych negocjacji na ciemnych parkingach. Kazał się podwieźć na skrzyżowanie ulic d'Aubervilliers i Crimée. Tunel pod torami kolejowymi pełnił tu funkcję bazarku.

Obszedł dilerów i wyjaśnił, czego szuka. W odpowiedzi usłyszał tylko obelgi i pogróżki.

– Pomyliłeś drogę, koleś.

Loïc parsknął śmiechem. Sam, pieszo, w garniturze za pięć tysięcy euro, stawał się wzorcowym naiwniakiem do oskubania. Mimo to nie czuł strachu, ale raczej podniecenie. Tliło się w nim pragnienie, żeby doszło do jatki – wziął ze sobą pistolet.

– Jeśli będę potrzebował doradcy – rzucił ostro – zadzwonię po ciebie. Gdzie znajdę Mickeya?

Diler wzruszył ramionami. Miał na sobie brudny letni garnitur i panamę, spod której wymykały się rzadkie włosy. Przypominał czarne demony z Gwatemali – kościotrupy w szalikach i czapkach, z cygarami w zębach. Ten przebieraniec, zwłaszcza w listopadzie, nie przechodził ulicami niezauważony.

– Za torami – mruknął w końcu. – W jednym z baraków na budowie…

Loïc odszedł, nie dziękując. Ten gość prawdopodobnie sam pracował dla Mickeya. Ruszył ulicą d'Aubervilliers, wzdłuż ślepego muru, i po kilkuset metrach zobaczył uchyloną bramę. Wślizgnął się przez nią, wychodząc poza krąg słabego światła latarni, i znalazł się w całkowitych ciemnościach.

Przeszedł przez parking, na którym stały ciężarówki, odszukał wyłom w murze i ujrzał bocznicę kolejową. Szyny, lokomotywy, stare wagony.

Chciał jak najszybciej zrealizować swój plan i pewnie dlatego poczuł teraz dreszczyk podniecenia tym spotkaniem po miesiącach. Narkoman na zawsze pozostaje narkomanem. Jego pierwsze doznania przeliczają się na gramy. Wspomnienia leczą się igłą. Ma zmysłowość niewolnika, który bez reszty oddaje się uzależniającej go truciźnie. To mroczne i upajające zatracenie ćpuna, który czeka już tylko na śmierć pod postacią olśniewającego blasku.

Zobaczył baraki budowlane. Unoszący się w powietrzu smród mokrej gliny przemieszanej ze smołą i z rdzą drażnił nozdrza. Kilku ludzi wychudzonych jak zjawy, z uśmiechem na ustach i dawką towaru w kieszeni, biegło do swoich nor, żeby dać sobie w żyłę. Rumowiska, bajora, śmieci – wszystko skupiało się w tym miejscu, tworząc bezlitosną, oporną na biodegradację masę wytworów społeczności, która nie wszystko mogła poddać recyklingowi. Loïc czuł się tu doskonale.

Barak Mickeya dało się rozpoznać – we względnie lepszym stanie niż inne, był oświetlony, podczas gdy te robotnicze już spały, a zajmowane przez prostytutki wozy kempingowe łagodnie się kołysały.

Wszedł, nie pukając. Można było się spodziewać wnętrza przypominającego wóz cygański albo zabałaganioną norę, tu jednak panował porządek jak w gabinecie księgowego, który na co dzień obcuje z liczbami. Diler sączył kawę, oglądając mecz piłkarski na monitorze komputera.

Uniósł głowę, nawet nie drgnął, i rzucił z uśmiechem:

– Wielka miłość nigdy naprawdę nie umiera.

– Stul pysk – warknął Loïc. – Chcę trzydzieści gramów towaru, tak czystego, jak to tylko możliwe, a do tego dwuwęglan i fajkę wodną.

– To już wszystko? Wydaje ci się, że wpadłeś do hurtowni?

Mickey, który prawdopodobnie miał na imię Michel, obrócił fotel na kółkach w jego stronę. Miał przerzedzające się już jasne włosy, głowę jak więdnąca cykoria, bladoniebieskie oczy, bezkształtne usta. Całość przypominała marionetkę ulepioną z ciasta. Narkomani nazywali go Białym Złem, nawiązując do odrażających ropnych zmian wokół paznokci.

– Masz, co trzeba, czy nie?

– Zobaczymy.

Loïc rzucił na stół trzy tysiące euro w setkach. Lubił ten gest. Lubił taką kasę. To było jak scena z filmu.

– Hola! – mruknął Mickey, unosząc głowę i patrząc na niego z pozornym oburzeniem. – Siedzisz w tej swojej dzielnicy dla bogaczy i zapomniałeś, jak się zachować. Nie wyciąga się tak pieniędzy…

Loïc oparł się o stół i pochylił nad dilerem.

– Możesz mi to sprzedać czy nie?

Mickey bez słowa odsunął się z fotelem. Znał narkomanów. Oczekiwanie to dla nich tortura, więc czasem pomaga w negocjacjach. Ale nie wiedział, jak prowadzić rozgrywkę z Loïkiem. Czy na pewno był na głodzie? A może chodził na koksie? Albo po prostu przepełniało go poczucie wyższości, jakie daje kasa?

Handlarz obawiał się też, że klient może być uzbrojony. On sam miał broń, ale nikt tu nie potrzebował krwawej łaźni w środku cichej, zimowej nocy.

– Co robisz? – zapytał nerwowo Loïc.

Diler sięgnął właśnie po telefon.

– Sprawdzam stan magazynów.

Tak naprawdę Mickey musiał ściągnąć swoich ludzi, którzy zabawiali się w sąsiedztwie z dziwkami. Paliły się już wszystkie czerwone lampki, ale Loïc chciał rozegrać to ostro, wykorzystując każdą szansę.

Po kilku sekundach zapytał:

– Masz towar czy nie?

– Zaraz tu będzie.

I jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki za jego plecami otworzyły się drzwi, a zaraz potem dwaj goryle chwycili go pod ramiona. Zdążył zauważyć dziwny szczegół – jeden z nich był olbrzymem, drugi małym facetem. Ten duży walnął go pięścią w brzuch. Loïc zgiął się wpół i poczuł żółć napływającą do ust. Zanim zdążył zwymiotować, dostał kolanem w szczękę od karła. To był prawdziwy współczesny balet.

Ból przerodził się w ołowianą kulę, szum w głowie rzucił go w czarną dziurę, oślepił aż po eksplozję iskier gdzieś bardzo daleko, u nasady czaszki. Mimo to napiął mięśnie i odepchnął obu goryli. Błyskawicznie wyciągnął broń i wycelował w Mickeya.

– Zapomniałeś, kim jestem, ty świrze? – wrzasnął, wprowadzając nabój do komory dziewiątki.

Wszyscy zamarli, ale Mickey nie stracił zimnej krwi. Ograniczył się do uspokajającego gestu skierowanego do goryli, jakby był sędzią rozdzielającym zawodników na ringu.

– Twój ojciec umarł, a brat leży w szpitalu – szepnął, nie odrywając oczu od Loïca. – Co ty sobie wyobrażasz? Że nie mam telewizora? Strzel, a wsadzą cię na dwadzieścia lat, jak każdego bandziora. Jesteś nikim, Morvan.

Zabrał pieniądze ze stołu – „za poniesione straty” – a potem rozkazał gorylom:

– Wyrzućcie stąd to gówno.

Loïc zatoczył pistoletem łuk: pierwszy, który się ruszy, oberwie. Tom i Jerry stracili pewność siebie.

– Nie mówiłem o rodzinie – warknął – tylko o kasie. Wypadłeś z biznesu czy co? Trzy tysiące to tylko zaliczka.

Mickey wyciągnął szyję i zapytał, zaintrygowany:

– Czego właściwie potrzebujesz?

– Dokumentów tożsamości łącznie z grupą krwi. Podaj cenę, zapłacę.

Diler klasnął w dłonie i wybuchnął śmiechem.

– O kurwa, Święty Mikołaj trochę się pośpieszył w tym roku!

141

Czasami w połowie koszmaru otwieramy nagle oczy z nadzieją, że ujrzymy dzień, życie, rzeczywistość. Niespodzianka! Ściany pokoju to jeszcze jedne zamknięte powieki, ale już nie do otwarcia, a strach jest wszędzie, uwięziony z nami jak w klatce.

Tak właśnie jest z morfiną.

Kiedy wydawało mu się, że jego umysł wyrywa się z chemicznego niebytu i że odzyska jasność myślenia, uświadomił sobie, że ta idea jest tylko iluzją, snem zrodzonym z narkotyku. Po morfinie przychodziła kolejna dawka morfiny, przytłumiona percepcja, rozchwiana logika.

Gdzie jest Loïc? Leżąc w ciemnym pokoju, Erwan nieustannie się nad tym zastanawiał. Nie mógł sobie przypomnieć, czy brat miał do niego wpaść dziś wieczorem, czy nie. Właściwie nie było w tym nic niepokojącego – przyjdzie jutro, wyspany i wypoczęty w nowej roli podpory rodziny. Ale Viard i jego wspólnicy wciąż wokół nich krążyli, a Erwan nie był przekonany, czy Loïc odzyskał równowagę umysłową. Przez tyle lat był chwiejny, że za tą nagłą przemianą w człowieka z żelaza mogły się kryć początek depresji albo problemy umysłowe. „Dekompensacja” – jak mówili w Villejuif…

W rzeczywistości niepokoiło go coś innego. W swoich karmionych chemią rojeniach Erwan nieustannie odtwarzał całą historię – ten labirynt, w którym tak często się gubił. Teraz wszystko już się skończyło, jednak on wciąż miał pewne wątpliwości. Przypominał sobie zapiski z zeszytów, wyliczał fakty, analizował motywy, a strach stale narastał. Po pierwsze dlatego, że alkaloid utrudniał mu logiczne myślenie. Po drugie dlatego, że leżał unieruchomiony w tym łóżku. I wreszcie po trzecie dlatego, że jakiś szczegół znów nie pasował do reszty. Szczegół, którego nie potrafił zidentyfikować, świadczył o błędzie.

Poruszył się z trudem. W tych bandażach było mu potwornie gorąco. Gdzie ten Loïc? Co on wymyślił? Co jeszcze było nie tak w tym śledztwie?

Próbował się wyprostować i poczuł, że przeszywa go gwałtowny ból. Może to przez rany. A może przez to przekonanie, że czytając zeszyty, brat znalazł ziarenko piasku, przez które zacina się cały mechanizm.

I postanowił sam załatwić sprawę.

Po plecach popłynęła mu strużka potu. Przed oczyma przesuwały mu się różne sceny: wulkan, wypływająca lawa, rozpalone do czerwoności strumienie. Topił się na poduszce, mózg wypływał mu uszami. *Skoncentruj się. Przemyśl każdy trop, każde zeznanie, każdy czyn. Znajdź lukę*…

Jego myśli były jak lepkie błoto, z którego nie potrafił nic wyrzeźbić. Cienie, formy, podejrzenia, ale żadnego ścisłego faktu, żadnego ważnego szczegółu. Nadludzkim wysiłkiem woli postanowił przeanalizować dokładnie całą historię, ale *à rebours*, od końca. Skupił się na ostatnim przesłuchaniu Jeana-Louisa Lassaya, czyli na ostatniej stacji przed dramatem w Bréhat. Przypomniał sobie wyznania psychiatry, historię szczepionki i chemicznych eksperymentów na patologicznym mózgu Pharabota. Powiedział…

I nagle, na dnie kadzi, dostrzegł blask. Kończąc swoją relację, Lassay wspomniał o zabójstwie Cathy Fontany, utrzymując, że wie o tym od Pharabota: „Opowiadał o młodej kobiecie, o swastyce, którą pański ojciec wyciął jej na…”. Erwan mu przerwał, zagroził pięścią, ale nie zwrócił uwagi na to, co najważniejsze: Thierry Pharabot być może opowiadał mu historię Cathy, a przynajmniej to, co o niej wiedział, w żadnym razie nie mógł jednak wspomnieć o swastyce na jej czole.

A to z bardzo prostego powodu: nie wiedział o tym.

Nikt nie wiedział o tym okaleczeniu, bo Maggie ukryła je, zadając rany naśladujące Człowieka Gwoździa. Nikt poza Grégoire’em Morvanem, Maggie de Creeft i… Michelem de Perneke.

Przezwyciężając działanie morfiny, Erwan zdołał się skupić jeszcze na chwilę. Tę niespójność można było wyjaśnić tylko w jeden sposób: Michel de Perneke i Lassay to ten sam człowiek. Kiedy pokonał początkowe opory – *Nie, niemożliwie, grubymi nićmi szyte, szalone* – ujrzał nagle mnogość punktów wspólnych i podobieństw między tymi dwoma postaciami. Wiek, wygląd, zawód. Grégoire i Maggie twierdzili, że Perneke kontynuował karierę w Belgii i zmarł w latach dziewięćdziesiątych, ale co naprawdę mogli o nim wiedzieć?

Zakręciło mu się w głowie. Wysiłek umysłowy, na jaki się zdobył, będąc pod wypływem narkotyku, kompletnie go wyczerpał. Nie był już w stanie zastanawiać się nad konsekwencjami takiego scenariusza. Długofalowa zemsta. Badania, które pod hasłem postępu w nauce służyły zupełnie innemu celowi – zmartwychwstaniu Pharabota i unicestwieniu rodziny Morvanów.

Chęć porachowania się z Lassayem tliła się w nim od początku, cóż jednak mógł uczynić teraz, przykuty do łóżka? A przede wszystkim – co zamierzał tamten? Jeżeli, jak sądził Erwan, Perneke i Lassay to ta sama osoba, to należało chyba spodziewać się ostatniego aktu dramatu? Kolejnej zasadzki?

Pomyślał jednak, że między tymi dwoma ludźmi istniała ogromna różnica: Perneke był tchórzem niezdolnym przejść do czynu (to Maggie po bestialsku rozprawiła się z Cathy), z kolei Lassay to twardziel, który nie cofa się przed przemocą fizyczną. Jak wyjaśnić taką przemianę? Czyżby zahartował się z wiekiem? A może przyjmował narkotyki albo któryś ze swoich wynalazków?

Poczuł mrowienie kończyn – przystojny JL poświęcił kilkadziesiąt lat badaniu agresji. Twierdził, że chce ją okiełzać, ale może badał też inne ścieżki, żeby na przykład wyzwolić własną agresję.

Najgorsze, że Erwan niczego nie był pewien, a nie mógł się ruszać ani nawet wołać o pomoc. Zresztą nikt by mu nie uwierzył. W tym ciemnym pokoju stał się kimś gorszym od nieboszczyka – był tu pogrzebany żywcem.

Zamknął oczy – powieka do powieki, ciemność w ciemnościach – i zaczął się modlić za Loïca.

142

Wyjeżdżając po północy i przestrzegając ograniczeń prędkości, mógł dotrzeć do Brestu około siódmej rano. Prowadzenie astona martina nie wchodziło w grę – wziął audi A3, którego niegdyś używał jako samochodu do pracy.

Ustawił GPS: Locquirec. Hotel nad morzem. Biały, wielopiętrowy budynek o niebieskich okiennicach. Zielony trawnik. Poza sezonem to miejsce funkcjonowało na zwolnionych obrotach, oferując tylko kilka pokoi, ale Loïc nie wybrzydzał. Za to kategorycznie zażądał, żeby obudzono go o dziewiątej. Podczas krótkiej rozmowy z recepcjonistką zaprezentował całą serię tików nerwowych i dziwnych grymasów. Kobieta obserwowała go spod oka – pora przyjazdu, twarz zombi, niepokój – Loïc wyglądał na kłopotliwego klienta. Zaproponowała mu nawet, że wezwie lekarza, ale niegrzecznie odmówił i powtórzył jak refren:

– Niech mnie pani obudzi o dziewiątej! To bardzo ważne!

Zaraz po wejściu do pokoju zabrał się do roboty: dwie godziny, żeby naćpać się na śmierć. Zrzucił z łóżka kołdrę i ułożył na prześcieradle sprzęt: łyżkę do zupy, kokę, dwuwęglan, zapalniczkę, flakoniki z serum fizjologicznym, folię aluminiową i fajkę wodną. *Do dzieła!*

W zagłębieniu łyżki trzy części koki, jedna dwuwęglanu, trochę serum. Podgrzać. Kiedy na brzegach zaczyna się drganie, trzeba przestać – nie wolno zagotować mieszanki. Oczekiwanie. Wkrótce na powierzchni pojawia się oleista kropa. Trzeba znowu podgrzać, a potem rożkiem chusteczki do nosa osuszyć dno. Odrobina wody, żeby schłodzić twardniejący olej. Płyn trzeba znów usunąć, kamyk oczyścić – *free base* jest gotowy. I już można zapalić pierwszą fajkę.

Żeby osiągnąć to, co sobie wymyślił, musiał przygotować co najmniej dwadzieścia takich bryłek. Kiedy je już wypali, jego mózg stanie się miazgą, serce martwym mięśniem, a żyły rurkami z ołowiu. Jeżeli wszystko

pójdzie dobrze, recepcjonistka, zaniepokojona brakiem reakcji na telefon, znajdzie go w pokoju.

Po dziesiątej bryłce w pokoju potwornie cuchnęło już spalonym dwuwęglanem, a Loïca piekł kciuk, którym trzymał palącą się zapalniczkę. Czuł mrowienie w całym ciele. To było wołanie narkotyku. Plan, który powziął, był ryzykowny, ale miał też przyjemną stronę: przedawkowanie jako broń ostateczna – kto da więcej?

Wciąż sięgał po składniki: koka, bikarbonat, serum, ogień… Każdy narkoman wiedział, czym jest *free base* – kiedy żyły są już jak suche liany, a skóra tak pokłuta, że człowiek boi się, że krew siknie mu z ręki, przerzuca się na palenie. Loïc nigdy nie kupował cracku na ulicy, wolał sam go przygotować. Stawał się na chwilę małym chemikiem i wierzył, że pali towar oczyszczony. W rzeczywistości to takie samo gówno, jakie sprzedają handlarze, ale wiadomo, że narkomani lubią się żywić złudzeniami.

Przy piętnastej bryłce pomyślał, że może zacząć palić, kontynuując pichcenie. Nie. Po trzeciej dawce będzie myślał wyłącznie o kolejnej i tak dalej. Wystarczy się zaciągnąć kilka razy, żeby crack uzależnił i zamienił życie palącego w piekielną reakcję łańcuchową.

Szesnaście, siedemnaście, osiemnaście, dziewiętnaście… W końcu opłukał ostatnią porcję i popatrzył na swoje dzieło ułożone na prześcieradle. Dwadzieścia kamyków na podróż w jedną stronę, wzorem Tomcia Palucha. Mrowienie przerodziło się w drżenie. Crack wzywał go coraz nachalniej, opary alkaloidu łaskotały nozdrza. To było jak bóle fantomowe amputowanej kończyny.

Fajka wodna. Aluminium. Pokruszył pierwsze bryłki i zapalił. W kilka sekund dym przedostał się do krwi przez śluzówkę płuc, potem ta krew uderzyła do mózgu, powodując eksplozję. Bum! Rozkosz otuliła go jak folia aluminiowa jego fajkę. Dobre, palące, lśniące. Opadł do tyłu i uderzył głową o okno – nic nie poczuł.

Nie wiedział, ile minęło czasu – na pewno za mało, a on już się przewracał. Szybko, następny kamyczek. *Kruszę*, *kładę*, *palę*. To było jak następne szczytowanie tuż po wytrysku, rozkosz i zatracenie się tworzyły zamknięty krąg. Każdy oddech stawał się błogosławieństwem. Każde uderzenie serca – wulkanem szczęścia. Jego jestestwo rozpłynęło się w przestrzeni: mógł wszystko, wszystko wiedział. W jego mózgu raz po raz rozdzierały się złociste błyskawice. Rodziły się w nim genialne intuicje.

Oszałamiające prognozy giełdowe – *Muszę to zanotować* – idealne rozwiązania kwestii opieki nad dziećmi – *Muszę zadzwonić do Sofii* – objawienia Wadżrajany – *Muszę się modlić*… Wszystko miało swoje rozwiązanie, wszystko było ustalone.

Kolejna bryłka. Loïc był teraz aniołem pod sklepieniem świątyni. Przemawiały do niego freski ze ścian, pytały go o Boga, a on odpowiadał ze spokojem i z przekonaniem. Jeszcze jedna fajka. Kolejne piętro. Czas wspomnień – rozkoszny, smakowity, wyścielany aksamitem, zdobiony witrażami i sobolami. *Zamknij oczy i zanurz się w nim*. Wyciągnął ręce, by wesprzeć niebo. Wąchał obłoki i bratał się ze wszechświatem. *Wszystko jest dobrze.*

Walnął głową o kant mebla. To nic. Przeciwnie – jego czaszka się otwarła, uwalniając kosmicznego węża. Postanowił z nim zatańczyć walca zmarłych Tarahumara, „tych, którzy mają lekkie stopy”, i zamieszkują „miedziane doliny” państwa Chihuahua w Meksyku. *Delirium, delirium, delirium*…

Teraz był cały we krwi – kark, twarz, ręce. Gdzie ta rana? Zamiast iść do łazienki i sprawdzić, zapalił kolejny kamyk. I natychmiast wyzdrowiał. Po nowym zjeździe poczuł, że nie może się ruszać i uporczywie kaszle. Wszędzie było pełno dymu i krwi. Ile kamyków jeszcze zostało?

Nie udało mu się wstać ani sięgnąć po towar. Uczepił się materaca i uniósł głowę nad niego. Kasłał coraz gwałtowniej. Ogień trawił mu gardło, ale nie chciało mu się pić – crack gasi wszystkie potrzeby. Z przerażeniem dostrzegł diabelski znak nakreślony na białym prześcieradle jego krwią.

Resztką sił chwycił ostatni kamyk. Jeszcze jedna fajka. Ale cud się nie dokonał. Tylko kaszel, od którego oczy wyskakiwały z orbit. Bicie serca tak szybkie, że zlewało się w dźwięk ciągły. Zdechnie, zaraz… I nagły przebłysk świadomości – już czas, dziewczyna z dołu zadzwoni, zdąży wezwać pomoc. Spojrzał na zegarek i zobaczył, że wskazówki się zlewają, że jest jak na płótnie Dalego. Puknął w szybkę, przetarł oczy i dowiedział się o katastrofie: dziewiąta dwadzieścia. Pora budzenia minęła. Dziewucha nie zadzwoniła, nie ma nadziei, że przyjdzie zapukać do jego drzwi.

A może to on nie usłyszał? Dzwonek telefonu. Pukanie do drzwi. Może nawet odpowiedział, podczas gdy rozmawiał z Bogiem lub kręcił się w swojej mandali jak chomik w kole… Już po nim: dusi się, ma

tachykardię, pożyje jeszcze kilka sekund, a za dziesięć godzin znajdą jego zwłoki.

Wstał. Ściany się wyginały, podłoga pływała, sufit nadymał się jak płachta pełna wody. Zapalniczka – mógł jeszcze podpalić tę norę, żeby uruchomić alarm. Nie znalazł jej, nic nie widział, nie był w stanie się wyprostować. Próbował krzyczeć, ale z zaschniętych ust nie wydobył się żaden dźwięk. Może tylko jęki, które go rozdzierały. Szloch. Skargi. Rzężenie. *Wyjdź stąd!*

Zmagając się z bólem, poczuł, że przeszywa go oczywista myśl – jego pokój znajdował się na pierwszym piętrze. Kilka metrów, trawnik… *Postaraj się, wstań, rzuć się na szybę*… Poderwał się, myśląc o Gaëlle. A w locie zmienił zdanie – już nie chciał, żeby go ocalono, chciał umrzeć, żeby do niej dołączyć.

143

Gdy otworzył oczy, zobaczył obcy pokój. Blade ściany, szafa, stolik przy łóżku, kroplówki i aparatura. Wiedział, gdzie jest. Mimo że mózg mu się gotował, a ciało było poobijane, chwytał słowa, rozpoznawał nazwy. Postanowiono, że musi jak najszybciej znaleźć się w szpitalu, i wybrano najbliższy – Instytut Charcota, oddalony od Locquirec o kilka kilometrów.

A zatem jego plan zadziałał. Przedawkowanie otworzyło przed nim drzwi Charcota. Wiedział, że Jean-Louis Lassay nie zgodziłby się z nim spotkać. Że o każdym jego kroku konował powiadomiłby Viarda i że rzuciliby go do morza w płóciennym worku z paroma kamieniami.

Pozostawało główne wejście – to dla chorych. Decydując się na przedawkowanie kilka kilometrów od fabryki potworów, Loïc miał pewność, że pogotowie odwiezie go właśnie tam, mimo że nie była to placówka publiczna. Teraz był już na miejscu, żywy, przytomny i nie za bardzo poturbowany, a w dodatku pod fałszywym nazwiskiem z paszportu kupionego od Mickeya. Jak mawiali jego goryle z Firefly Capital: „Wystarczy tylko…”.

Z tego, co powiedzieli lekarze pogotowia, doszło u niego do nagłego zatrzymania krążenia. Jego naczynia krwionośne skurczyły się tak bardzo, że krew nie mogła już płynąć. Płuca zablokowały się jak za mocno napompowane opony. Poddano go defibrylacji. Zaintubowano. Podpięto kroplówki. Maszyna ruszyła.

Nie wiedział, jak długo spał. Wiele godzin. Noce. Dnie. Po przebudzeniu zrobiło się gorzej. Miał biegunkę i torsje. Bez końca. Przed oczyma miał jeden obraz – za biały, za duży sedes (model dla niepełnosprawnych) i on skulony na tym tronie, wypróżniający się i walczący z pulsującym bólem głowy. Potem przeniesiono go do łóżka i przyszła kolej na skurcze i konwulsje, których los mu nie poskąpił. Wyprężony na łóżku, chwilami wpadał w stan tężyczki, robił się sztywny i prosty jak latarnia.

Zastrzyk. Znów się zapadał. Czas przestał istnieć – zabrano mu zegarek. Wszystko płynęło jego żyłami, a on pozwalał się natłuszczać dawkami witamin, środków uspokajających, płynów fizjologicznych. Kiedy się budził, doznawał innych rozkoszy – był na głodzie, miał napady lękowe, krwawienia z nosa, konwulsje i zlewne poty, a do tego bóle stawowe i mięśniowe. Jedynym niezmiennym elementem tego stanu była degeneracja mózgu – czy czuwał, czy spał, jego szare komórki uciekały, gdzie pieprz rośnie.

Teraz po raz pierwszy czuł się dobrze i miał wrażenie, że odzyskał zdolność myślenia. Dźwięki w korytarzu, zapach chemikaliów w mroku. Postrzegał rzeczywistość jak nurek spod wody postrzega świat na powierzchni.

Choć jeszcze tak słaby, cieszył się kolejnym sukcesem. Wtargnął do serca piekieł, a wróg nie wiedział, kim naprawdę jest. Dlatego mógł teraz odpoczywać, dopracowując najlepszą strategię.

Powtarzał sobie te niosące satysfakcję słowa, uważał się za Machiavellego, ale to były tylko echa działania koki. Nagle drzwi pokoju delikatnie się otworzyły. Do tego akwarium weszła wysoka postać, a on z przerażeniem dostrzegł w smudze światła z korytarza broń w ręce gościa.

– Najwyższy czas, żebyśmy pogadali, Loïcu.

144

Machiavelli musiał się jeszcze sporo nauczyć. Michel de Perneke, alias Jean-Louis Lassay, kazał mu wstać i się ubrać. Będąc wciąż pod wpływem środków nasennych, Loïc z trudem usunął kroplówkę, żeby wciągnąć bluzę i spodnie do joggingu. Każdy gest wymagał od niego nadludzkiego wysiłku, kilka razy o mało się nie przewrócił. Lassay machnął pistoletem, nakazując mu wyjść na korytarz. *Wystarczy tylko*…

W milczeniu przeszli do budynku oddziału zamkniętego, naprzeciwko szpitala. Lassay wybrał boczne wejście, gdzie nie czuwał ani strażnik, ani pielęgniarz, który by ich zauważył. Otwierał kraty, drzwi – noc była ciemna, a Loïc nie miał pojęcia, która może być godzina. Czuł suchość w gardle, paliło go podniebienie.

Winda, jazda w dół. W kabinie ani słowa. Sytuacja nie wymagała komentarza – Perneke-Lassay, który pałał nieokiełznaną nienawiścią do Morvanów, znał twarze wszystkich członków rodziny. *Jasne*. A ostatniego ocalałego podano mu na tacy.

Otworzyły się drzwi śluzy. Kolejny rozkaz lufą: „Przodem”. Loïc wszedł w korytarz. Gołe ściany, widoczne rury, drzwi z zasuwami: piętro kamizelek bezpieczeństwa. Szedł z trudem. Wszystko to zresztą przypominało drogę krzyżową. Lassay zamierzał go zabić w izolatce i spalić zwłoki w piecu grzewczym instytutu. Mimo to Loïc myślał tylko o tym, że chce mu się pić.

Odkąd przemierzali budynek jak dwa duchy, zastanawiał się też nad pewnym szczegółem. Lassay chyba nie obawiał się kamer bezpieczeństwa – czyżby o tej porze nie było nadzoru? Niemożliwe. Poznał odpowiedź przy następnych drzwiach. Psychiatra miał w kieszeni małego chromowanego pilota i najwyraźniej wyłączał kamery, kiedy chciał. No cóż, był panem tego miejsca…

– Stój.

Loïc usłuchał. Perneke użył karty magnetycznej i weszli do oślepiająco białego pokoiku. Cztery ściany, podłoga, sufit – wszystko identyczne. Żadnego okna, mebla, tylko plafoniera ze zbrojonego szkła, poza zasięgiem. *Wpadłem jak szczur do pułapki, tyle że szczur doświadczalny*.

Odwrócił się i spojrzał na człowieka, który wszystkim kierował: był wysoki, szpakowaty, jeszcze całkiem przystojny i wzbudzał zaufanie. Archetyp lekarza doskonałego. Stary powtarzał: „Pierwsze wrażenie ma tylko uśpić czujność".

– Opowiem ci historię – zaczął psychiatra.

A zatem zabójca postanowił zapewnić sobie luksus ostatniej spowiedzi, zanim rozprawi się z ofiarą. Dobrze się składało – przecież Loïc przyszedł tu, żeby go wysłuchać, choćby miał zabrać tajemnicę do grobu.

– Mogę usiąść?

– Czuj się jak w domu.

Loïc osunął się na podłogę tuż pod ścianą. Złączył nogi, oplótł kolana rękami i, osaczony w tym pustym pokoiku, prezentował się jak wzorowy wariat.

Ciekawe, czy jako nieboszczyk też zachowa stosowny wygląd. *Pić, wciąż chciało mu się pić.*

– To historia – podjął Lassay – człowieka przepełnionego pragnieniami, a jednak niezdolnego przejść do czynu. Był jak impotent dręczony przez popędy. Z czasem jednak ten człowiek znalazł rozwiązanie problemu, a przynajmniej tak sądził. Przeżywał namiętności za pośrednictwem innych. Prowadząc swoich pacjentów i doradzając im, skłaniał ich do działania i przez nich spełniał swoje pasje. Powodowało to frustrację, było poniżające, lecz przynajmniej dawało mu namiastkę egzystencji. Nie wspomniałem jeszcze o pewnym drobiazgu: pragnienia tego człowieka dotyczyły wyłącznie przemocy i śmierci. Marzył o mordowaniu, o torturach, o cierpieniach. Tylko to go podniecało, ale nie dawało zaspokojenia, bo nie potrafił zdobyć się na przekroczenie granicy. Nie ze względu na moralność, ale przez tchórzostwo. Ze zwykłego strachu. Bał się ofiary, policji, konsekwencji zbrodni. Był eunuchem brutalności. Marzył o bestialstwie, nie został jednak odpowiednio wyposażony, żeby ulec takim instynktom. Słaby człowiek, niezdolny do podjęcia najmniejszego ryzyka w imię swoich wad. Odkrył tę prawdę czterdzieści lat temu, w kraju, który nie znał ani prawa, ani litości, a który pionierzy starali się ukształtować

według swoich zasad. W tym czarnym i czerwonym mieście mężczyzna najpierw spotkał kobietę. Poczuł do niej nieodparty… pociąg. Spotkał też na swojej drodze policjanta – młodego, po ciężkich przejściach, szalonego. I natychmiast zrozumiał, że ten mężczyzna ma to, czego jemu brakuje: siłę, odwagę, zdolność zabijania. Zaczął go leczyć i odkrył coś znacznie cenniejszego: ten wariat nie tylko mógł zabić, ale nawet miał pod ręką idealną ofiarę.

Ściany brutalnie odbijały światło elektryczne. Ubrany w białą bluzę Lassay wtapiał się w to wnętrze.

– Maggie oddała mi swoje ciało w zamian za głowę Cathy Fontany – ciągnął – ale i tak pchnąłbym Morvana do tego zabójstwa.

– Nie przyszedłem tu, żeby słuchać starych bredni…

– Mylisz się, mówię o teraźniejszości. To wydarzenia, które wszystko zapoczątkowały i wyjaśniają to, co się dzieje od dwóch miesięcy. Tej nocy zrozumiałem, kim naprawdę jestem.

Zaśmiał się ponuro, dyskretnie kładąc rękę na kroczu.

– Kiedy Maggie oprawiała Cathy, obserwowałem ją przez szpary w deskach hangaru. To było dla mnie… objawieniem. Później, kiedy kochaliśmy się na miejscu kaźni, jej ciało nic już dla mnie nie znaczyło. Podniecało mnie, że spółkuję z morderczynią, przy woni jeszcze ciepłej krwi.

– Do czego pan zmierza? – krzyknął Loïc. – Wszystko, na co było pana wtedy stać, to ucieczka z Konga. Potem pan zniknął. Zmienił pan nazwisko i kontynuował karierę stukniętego psychiatry w Belgii. Co to ma wspólnego z eksperymentami z ostatnich lat?

Lassay-Perneke westchnął i przez chwilę milczał, światło wypełniało każdą sekundę. Biały żar trzeszczał w głowie Loïca, przeobrażając się pod jego powiekami w czarną belkę.

– Czy nigdy nie przyszło panu do głowy, że ten strach powstrzymuje pana od czynienia zła?

– Przyznaję, że mam ciężką, ograniczoną mentalność tłumu…

– Byłem alkoholikiem, byłem uzależniony od heroiny i kokainy. Jestem biseksualny, jestem buddystą. To ja zabiłem Pharabota. Własnymi rękami rozszarpałem mu twarz. Nie sądzę, żebym mógł uchodzić za typowego przedstawiciela mas pracujących.

– Zabiłeś, kierując się zemstą. Zabiłeś, żeby ratować brata. Zabiłeś z naiwnym przekonaniem, że robisz dobrze. Nic nie wiesz o kumulacji zła, o brutalności, tej niszczycielskiej żądzy, która cię przepełnia i trawi.

– Powiedziałem, że byłem heroinistą.

– Zamień igłę na nóż, a może zrozumiesz, czego doświadczam od lat.

Po przedawkowaniu Loïc nie miał najmniejszej ochoty patrzeć na dno otchłani. Ale zaczynał dostrzegać związek między tym łajdakiem, który w Lontano chciał przelecieć Maggie, a znanym profesorem zajmującym się groźnymi patologiami – Lassay-Perneke nigdy nie próbował się leczyć.

– Przez cały ten czas musiałem się odurzać środkami uspokajającymi, poddawać się kastracji chemicznej i rozładowywać popędy za pośrednictwem pacjentów, którzy czynili zło, nie mając inteligencji ani fantazji.

Loïc domyślał się, jak wygląda jego egzystencja. Żył jak hiena, szakal, zmuszony żywić się resztkami cudzych zbrodni. Wyobrażał sobie, jak psychiatra rozkoszuje się zwierzeniami najgroźniejszych obłąkańców, jak się onanizuje nad raportami z sekcji ofiar, jak sypia z morderczyniami, jak w zamian za pigułki albo korzystną ekspertyzę wyciąga z nich potworne opowieści, pieprząc się z nimi. Przepędzony z afrykańskiej ziemi, Perneke niezmordowanie krążył wokół sprawców makabrycznych czynów, jak padlinożerca, który nocą zapuszcza się na cmentarz.

– Spotkanie z Hussenotem wszystko zmieniło, tak?

– W końcu jakaś inteligentna uwaga. Tak, ten uczeń wniósł bezcenną wartość: podejście czysto fizjologiczne, neurologiczną analizę zła.

– Pan nigdy się nad tym nie zastanawiał?

– Nie miałem odpowiedniego przygotowania. Hussenot był równocześnie psychiatrą i neurologiem. Badał kanały, jakimi krąży przemoc. Dostosowałem się do tego. Wróciłem na uczelnię. Zdobyłem specjalistyczną wiedzę. Wtedy mogliśmy podjąć współpracę i otworzyć klinikę.

– Feuillantines.

– Tak. Feuillantines. To była tylko oficjalna fasada.

Loïc znał historię farmakonu, nie potrzebował niczego wyjaśniać. Interesowały go osobiste motywacje Lassaya. Dotąd psychiatra miał tylko dwa sposoby rozładowania swoich morderczych instynktów: wytłumiać pacjentów dawkami środków uspokajających albo sprawić, że przejdą do

czynu. Prace Hussenota pozwoliły mu rozważyć trzecią drogę – okiełznania wewnętrznego.

Lassay potwierdził:

– W miarę jak analizowaliśmy neuronalną drogę impulsów przemocy u człowieka, uświadamiałem sobie, że jesteśmy w trakcie tworzenia klinicznego obrazu mojej choroby. Zrozumiałem też, że inna droga – strachu – powoduje u mnie zakłócenie przesyłu własnych popędów. Nasze prace przyniosły mi wreszcie rozwiązanie: należało zniszczyć u mnie neurony, które blokowały wyzwalanie neuroprzekaźników agresji…

W tej i tylko w tej krótkiej chwili Loïc doznał olśnienia. Pomylił się – Perneke-Lassay nie chciał się leczyć, ale wyzwolić.

– Nigdy nie dążył pan do stosowania szczepionki przeciw przemocy. Ważna była tylko ta pierwsza część eksperymentu, pierwszy skutek działania analogów: spotęgowanie agresji.

Perneke znowu się roześmiał.

– Powiedzmy, że taka myśl we mnie zakiełkowała.

– Od początku pragnął pan tylko przełamać w sobie barierę strachu… – mówiąc to, Loïc wyciągnął ostatni płynący z opowieści wniosek. – Był pan jedynym królikiem doświadczalnym.

145

Lassay podszedł do niego. W wyciszonej celi Loïc czuł się, jakby tkwił w samym mózgu szaleńca. W białym, dokładnie zamkniętym obłędzie. W oślepiającym, gorącym świetle.

– Tak, przeprowadzałem na sobie pierwsze testy. Farmakon mnie wyzwolił. Moja skłonność do przemocy, tłumiona od lat mocą strachu i chemii, oswobodziła się z pierwotną mocą. Wyhamowanie jej nie wchodziło już w grę. Doktor Jekyll zrobił swoje. Narodził się pan Hyde.

Loïc znał taki sam proces, ale bez wsparcia farmakologii. Swoje wyzwolenie, swoją odwagę zawdzięczał takim łotrom jak Lassay.

– We wrześniu to pan torturował i po bestialsku okaleczył Wissę Sawirisa.

– Już od wielu dni przyjmowałem nowy specyfik. Trzeba czasu, żeby neuroprzekaźniki wypełniły receptory. Wpadłem w swego rodzaju trans. Poszedłem na przystań i wziąłem Zodiaca. Zabrałem ze sobą skrzynkę z narzędziami z hangaru. Myśl o Człowieku Gwoździu towarzyszyła mi od lat. Postanowiłem podjąć dzieło tam, gdzie skończyło się ono dla mnie w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym roku, czyli właśnie w hangarze pełnym łodzi.

– Dlaczego Wissa?

– Przypadkowe spotkanie. Gonili go starsi studenci. Przybiłem do brzegu i zaproponowałem, że go ukryję. Spodobał mu się ten pomysł: nie bał się tamtych, chciał im tylko pokazać, że potrafi ich przechytrzyć. Kiedy tylko wsiadł do łodzi, ogłuszyłem go młotkiem i zabrałem na wyspę Sirling. Potem poszliśmy do bunkra, gdzie mogliśmy bawić się razem aż do świtu. Nigdy w życiu nie doznałem takiej rozkoszy. Zupełnie jakbym narodził się na nowo.

Kiedy Loïc odkrył, że psychiatra z Charcota to nie kto inny jak Michel de Perneke, wyobrażał sobie długofalową zemstę. Lata badań i doświadczeń tylko po to, żeby ożywić Człowieka Gwoździa, tego prawdziwego, i puścić

go tropem dawnego wroga, Grégoire’a Morvana. Nie przyszło mu do głowy, że Pharabot mógł być tylko zasłoną dymną, straszakiem na policję.

Lassay mówił dalej – zwierzenia są jak kaszel: kiedy coś drapie w gardle, trudno go powstrzymać.

– Porzuciłem ciało, przekonany, że miną tygodnie, zanim zostanie odnalezione. Pocisk zmienił sytuację, ale to nie wpłynęło na moje plany. Zdecydowałem już, że wykorzystam nową moc, mordując bliskich Morvana. Chciałem, żeby zrozumiał, że przeszłość go doścignęła i że utopi go we krwi.

Loïc przypomniał sobie każdą linijkę zeszytów Erwana. Każdy szczegół wyrył się w jego pamięci.

– Ale morderstwo w Kaerverec popełnił pan z premedytacją. Dowodzą tego włosy Anne Simoni w ciele Sawirisa.

– Kiedy przyjmowałem farmakon, byłem gotów przystąpić do działania, ale drogą, jaką sobie wytyczyłem. Po prostu czekałem na odpowiednio silny atak, stale nosząc przy sobie fetysze: sygnet Morvana, włosy i paznokcie Anne Simoni.

To był już pełen obraz sytuacji. Uprzejmy psychiatra, życzliwie odnoszący się do swoich pacjentów morderców, w rzeczywistości był poczwarką seryjnego zabójcy w stadium przeobrażania się i czekał, aż dojrzeje w nim morderczy popęd. *Cicha woda brzegi rwie*…

– Dlaczego obrał pan za wzór właśnie Człowieka Gwoździa?

– Pharabot wywarł na mnie niezatarte wrażenie. Lontano to miejsce, w którym narodziłem się na nowo. Chciałem też wprawić twojego ojca w przerażenie, przypomnieć mu o poniżeniu, na jakie mnie pośrednio naraził. Zabić, żeby przespać się z kobietą?!

Jeśli chodzi o motywy, mozaika zaczynała się układać, wciąż jednak brakowało kilku elementów. *Wypełnijmy luki.*

– A inne morderstwa? Jak wyglądały?

– Cały plan przygotowałem już dawno.

– Z pomocą Isabelle Barraire.

– Oczywiście. Kiedy powiedziałem twojemu bratu, że wielbiła Pharabota, przełknął tę bzdurę bez zmrużenia oka. Ale to oznacza tylko, że gliniarze nie mają pojęcia o ludzkiej psychice. Isabelle miałaby być zafascynowana tym starym, wyniszczonym szaleńcem? Kto uwierzyłby w taki idiotyzm? Nie, ona była zarazem moją pacjentką, kochanką

i wspólniczką. Pasjonowały ją moje badania, bo były kontynuacją tego, co robił jej mąż.

– Powodowała nią miłość?

Lassay parsknął śmiechem.

– Już od dawna poruszaliśmy się po znacznie subtelniejszym gruncie.

Kochankowie i mordercy. Związek skupiony bez reszty na przemocy i obłędzie. Szczepionka, która uwalnia i potęguje zło. *To rzeczywiście nie jest poezja miłosna*.

– Proszę mi opowiedzieć o Anne Simoni.

– Isabelle leczyła ją z powodu złych skłonności. Bez najmniejszego problemu zwabiła ją w pułapkę. Zabraliśmy ją na pokład pod mostem Arcole. Ja stałem się Człowiekiem Gwoździem. Znów doznawałem rozkoszy, znalazłem potwierdzenie. Farmakon przełamał moje zahamowania.

Loïc miał wrażenie, że wędruje przez makabryczną pustynię, pośród pobielałych czaszek, zapomnianych trupów, w zabójczym skwarze. Przypominał sobie protokół z sekcji Anne Simoni i potworności, których dopuścił się wobec niej Lassay. Nie potrzebował więcej szczegółów.

Co do logistyki: miejsca, w których oprawca dokonał zbrodni, wykorzystanie Zodiaca, metody ukrycia zwłok – zostawiał to policji, czyli nikomu. Lassay nie zostanie nigdy aresztowany. Albo umrze, ale wyjdzie z tego czysty jak tyłek dziewicy, a wszystko rozstrzygnie się tu, tej nocy, w czterech ścianach izolatki.

– Ludovic Pernaud?

– Trudno się było do niego zbliżyć. Éric Katz musiał na tę okazję znów stać się kobietą. To ona podała mu znieczulenie. Ja przyszedłem, by złożyć ofiarę.

– W jego krwi nie wykryto śladów żadnej substancji chemicznej.

– W końcu to mój zawód. Przyznaj, że mogę dokładnie znać charakter specyfiku, którego używam, i wiedzieć, jakie zostawia ślady w organizmie.

Przed oczyma Loïca przewijała się scena za sceną. Czarujący psychiatra w asyście kobiety-mężczyzny, która zabalsamowała własnego męża i dzieci. Zabójcza moc oswobodzona przez przeciwskuteczne serum. Majstrowanie przy neuronach, prowadzące w rzeczywistości do nieokiełznanego bestialstwa.

– Gaëlle w Świętej Annie – rzucił jak narkoman, który domaga się następnej dawki.

– Postanowiłem zbliżyć się do Morvana jak wąż, zataczając kręgi koncentryczne. Zabicie twojej siostry było szczególnie istotnym etapem realizacji planu, jednak nie doceniłem tej małej. Gaëlle była nieodrodną córką swojego ojca. Bardziej szaloną i bardziej waleczną od sfanatyzowanych bojowników.

Zadrżał. Gaëlle. Jej siła, jej wrażliwość, jej obecność zostały mu na zawsze odebrane. Oczy Loïca błyszczały, ale teraz od łez. *Skup się na faktach. Nie pozwalaj sobie na słabość*. Zadanie intelektualne polegało na konfrontowaniu na bieżąco zapisków Erwana z wyznaniami Lassaya. *Przejdź do Człowieka Gwoździa*.

– Jaką rolę odgrywał w tym planie Pharabot? Po co ściągnął go pan tu z Belgii?

– Kiedy twój brat przyszedł mnie przesłuchać, zrozumiałem, że będzie potrzebował winnego. I postanowiłem mu go dostarczyć.

– Kiedy dokładnie go pan tu sprowadził?

– W sobotę piętnastego września, po wypadzie do Marsylii.

– Czyli to pan był w Fos?

– Każda ofiara musiała być składana zgodnie z regułami, a więc z użyciem afrykańskich gwoździ. Pojawiłem się w porcie tej nocy, żeby włamać się do kontenera, i natknąłem się na twojego brata. Przykry zbieg okoliczności. Po powrocie do Instytutu Charcota zrozumiałem, że mogę nadal zabijać, ale pod warunkiem, że ktoś inny za to zapłaci.

– Z notatek Erwana wynika, że napastnik z portu Fos to świetny biegacz.

– Za czasów studenckich byłem mistrzem. Trenowałem przez całe życie. Poza tym farmakon działa jak doping.

Loïc skupił się na głównym wątku.

– Kiedy wypuścił pan Pharabota na wolność?

– Nigdy. Trzymałem go pod ręką, w Louveciennes, w domu Isabelle. To ona dbała, żeby siedział spokojnie, dopóki nie podejmę innej decyzji. W końcu okazał się niepotrzebny. Najpierw twój brat zajął się czterema gośćmi po przeszczepie, a oni wpadli na genialny pomysł, żeby się zabarykadować i dać wybić…

Loïc myślał o licznych zbiegach okoliczności, które wprowadzały Erwana w błąd – o olimpijskiej kondycji zabójcy ze Świętej Anny, co

rzucało podejrzenia na medalistę w biegach Josepha Irisuangę, o kombinezonie zentai kojarzącym się z zabawami fetyszystów u Lartiguesa… Były i inne przypadki – Sébastien Redlich, który bywał na strzelnicy z Pernaudem, Anne Simoni pozostająca pod wpływem Iva Lartiguesa… Naprawdę trudno się było w tym połapać.

– Szatański zbieg okoliczności – rzucił Lassay. – A jakby tego było mało, inny adept *nganga* wyskoczył jak królik z kapelusza: Philippe Kriesler, mały pomocnik. Pharabot naprawdę stworzył całą galerię świrów.

Loïc wciąż obserwował rosłego mężczyznę o władczych manierach i promiennym uśmiechu. Wystarczyło uważniej mu się przyjrzeć, żeby zrozumieć, że to tylko maska. Spod ogłady uwodziciela raz po raz wyzierało szaleństwo.

– Dlaczego nie zabił pan Pharabota, kiedy sprawa została zamknięta?

– Na wszelki wypadek. Nie skończyłem jeszcze z Morvanami. W stosowym czasie potrzebowałbym winnego. Czekałem, aż wszystko się ułoży, i puściłem Isabelle tropem Gaëlle. Chciałem wykorzystać wyjazd prawdziwych mężczyzn z klanu do Afryki, żeby dokonać zemsty.

– Dziękuję za miłe słowo.

– Twoja słabość i tchórzostwo dla nikogo nie są tajemnicą. Zastanawiam się zresztą, co ci przyszło do głowy, żeby rzucać się w paszczę lwa…

Loïc nie zamierzał mu tego wyjaśniać.

– Ale Isabelle Barraire nie żyje, a Erwan wrócił – odparł.

– Poradziłbym sobie w tej sytuacji, ale policjantka wszystko zepsuła, przychodząc do Louveciennes. W całym domu było DNA Pharabota. I już nazajutrz Erwan pojawił się w Locquirec. I znów się zaczęło. Viard, który obawiał się, że zaangażowanie rządu w ten skandal wyjdzie na jaw, kazał zabić José Fernandeza, pielęgniarza, który za dużo wiedział. Ale największym problemem stał się Pharabot na wolności…

Loïc domyślił się zaskakującego zwrotu w ostatnim akcie.

– Pomógł mu pan?

– Skontaktował się ze mną. Potrzebował leków. To ja powiedziałem mu o pralni w Gennevilliers. Uznałem, że może dokończyć robotę. Bo właściwie… dlaczego nie? Prawdziwy Człowiek Gwóźdź przejął pałeczkę.

– Ściągnął go pan do Bréhat?

– Nie. Sam sobie poradził: był na głodzie.

– Na jakim głodzie? Przecież nie przechodził kuracji.

– To prawda, ale już od dawna żył tylko dzięki koktajlowi mojej produkcji.

Leki, które znaleziono w Louveciennes, nie miały więc nic wspólnego ze szczepionką. *Kolejny fałszywy trop*…

– W tym samym czasie Viard poinformował mnie, że chowacie ojca na Bréhat. Nawet nie marzyłem o lepszej okazji. Poszczułem mojego psa i wypuściłem go na resztki rodziny Morvanów.

Ciało Gaëlle leżące w sypialni. Nie umrze, dopóki jej nie pomści. Odruchowo skupił się na wciąż wycelowanej w niego broni. Musi być najszybszy… ale w wybranym momencie.

– Był pan z nim? – zapytał, starając się zapanować nad głosem.

– Nie. Instytut znajdował się pod obserwacją. Musiałem trzymać się oficjalnej roli. Pożyczyłem mu tylko Zodiaca. Pharabot był uzbrojony. Działał z zaskoczenia. Tej nocy wszystko powinno być załatwione. Ostatni Morvanowie martwi, morderca podany na tacy wymiarowi sprawiedliwości.

Loïc siedział skulony i wciąż słuchał, ale jego gadzi mózg już zaczynał dominować. Mężczyzna wyczuwał w powietrzu drganie, napięcie, które oznaczało początek odliczania od końca. Lassay zaraz strzeli. Musiał być szybszy, jeżeli nie chciał, żeby jego trupa pogrzebano w warzywniku wariatkowa.

– A teraz? – rzucił, szykując się mentalnie.

– Farmakon będzie działał i wkrótce wyleczę się z własnej skłonności do przemocy. Moje receptory zostaną zablokowane. Wszystkie mechanizmy, jak w samochodzie, będą okiełznane.

Żeby go sprowokować, Loïc rzucił:

– Przez całe życie rządził panem strach, a teraz liczy pan, że sprawę załatwi chemia. Nie rozumiem, po co to wszystko.

– Zapomniałeś o najważniejszym. Wynalazłem prawdziwą szczepionkę na przemoc. Wyeliminujemy początkowe niepożądane działania i wkrótce będziemy mogli ją stosować u kryminalistów, zapobiegając recydywie.

Gadanie. Lassaya nie obchodziła poprawa statystyk kryminalnych, a poza tym rząd już dawno z nim nie współpracował. Został sam ze szczepionką i swoim obłędem.

– Moje badania okazały się owocne – zakończył. – A na polu prywatnym odniosłem zwycięstwo. Przemierzyłem meandry przemocy fizycznej,

podróżowałem po dziewiczych obszarach zła wyzwolonego. Przy okazji wytrzebiłem klan Morvanów. Zostałeś tylko ty…

Perneke nie zdążył nacisnąć na spust. Słowa zamarły mu na ustach – miał poderżnięte gardło. Podziwiając strumień krwi, który rozpryskiwał się po białej ścianie, tworząc obraz w stylu Jacksona Pollocka, Loïc cofnął się, zdumiony i swoją szybkością, i naiwnością psychiatry.

Jak ktoś tak inteligentny mógł założyć, że ofiara da się zwabić w pułapkę, nie mając żadnej broni? Dawny narkoman, który podejmuje ryzyko, przedawkowując, żeby stać się koniem trojańskim? Jedyny ocalały członek wymordowanej rodziny? Syn Grzegorza Groźnego? Lekarza zgubiła megalomania. Fałszywy paszport Loïca był tylko przynętą – ani przez chwilę nie wierzył, że w ten sposób oszuka Lassaya. Wiedział, że ten konował go rozpozna i zabije w jakimś kącie.

Lassay padł na kolana z grymasem niedowierzania na twarzy. Ten nieszczęsny łotr nie mógł uwierzyć w to, co się stało. Pistolet leżał tuż obok niego, w zasięgu ręki, ale psychiatra już o nim nie myślał. Zajęty tylko walką o kilka sekund życia, uciskał ranę palcami.

Każdy ćpun ma plan B, jakąś sztuczkę, która pozwoli się ratować w razie napadu. Przez te lata tajną bronią Loïca było ostrze golarki przylepione na karku, pod włosami. Nauczył się golić w tym miejscu prostokąt wielkości biletu metra – nazywał to „depilacją łona”. Potem tylko przyklejał w tym miejscu ostrze, zupełnie niewidoczne. Prawdopodobnie nigdy nie użyłby tej broni – był na to zbyt tchórzliwy – ale świadomość, że ją ma, dodawała mu pewności. Wrócił do tego zwyczaju przed wyjazdem do Locquirec. Lekarze przewieźli go do szpitala, reanimowali i leczyli, ale nie znaleźli ostrza. *Ulica to prawdziwa szkoła życia*.

Lassay upadł, głową niemal dotykając nóg Loïca. Ogarnięte spazmem, jego ciało drgnęło w kałuży krwi. Loïc odsunął się od niego, spojrzał na żyletkę w ręce i uśmiechnął się: po przedawkowaniu i nocach intensywnego leczenia nadal miał świetny refleks. Ten banalny szczegół dodał mu otuchy. Jeszcze się nie poddał. Zrodzony ze śmierci, miał przed sobą życie.

Przyklęknął i wsunął w dłoń szaleńca ostrze. Brzydził się tego grzebania w lepkiej mazi, tego splatania palców, kontaktu z hemoglobiną, z metalem… Chwycił pistolet i cofnął się, żeby popatrzeć na trupa. Miał nadzieję, że policja uwierzy w samobójstwo – po tragedii, jaką zakończyła się ucieczka pensjonariusza, dyrektor zakładu mógł targnąć się na własne

życie. Prawdę mówiąc, Loïc miał to w nosie. Viard i jego mocodawcy posprzątają po nim i zadbają, żeby nikt nie rozgrzebywał niedogaszonego ogniska.

Przeszukał kieszenie nieboszczyka i znalazł pilota do kamer monitoringu. Ruszył korytarzem, nie patrząc już na pokonanego wroga. Nie był w pełni sobą, trwał w halucynogennym transie, ale czuł się lekki, rozproszony i miał wrażenie, że nie idzie, lecz leci.

Najważniejsze było teraz wyjść stąd i uciec przez równinę. Wspaniała scena końcowa filmu…

146

Zapach trawy i soli, fiołkowo-różowy cień starego dębu w rogu ogrodu, przypływ. Powrót do Bréhat, po wielu miesiącach. Wiosna zawładnęła światem. Omiatała go warkoczami światła, odurzała zapachami. Brat, który wreszcie wyleczył rany, a nawet odzyskał głos, wypoczywał na leżaku. Piętnasta, Loïc przyniósł na tacy ajurwedyjską herbatę i filiżanki z gresu. Erwan lekko się skrzywił. Ich śmiech zagubił się w słońcu. Potem w milczeniu sączyli herbatę.

Loïc bez problemu wydostał się z Instytutu Charcota. Udało mu się nawet wrócić do pokoju, żeby zabrać ubrania i paszport. Potem zniknął w ciemnościach. Śledztwo, jak liczył, potwierdziło samobójstwo Jeana-Louisa Lassaya. Viard postarał się, żeby wyciszyć sprawę, a potem odwiedził młodszego Morvana. W półsłówkach zawarli układ. Pokój w zamian za milczenie braci. Mister Szpieg zniknął tak, jak się pojawił, myśląc już tylko o zajęciu miejsca starego na Beauvau.

Maggie zmarła 21 grudnia 2012 roku. Loïc znów wziął na siebie przygotowania do pogrzebu. W uzgodnieniu z Erwanem przewiózł ją na Bréhat, do Grégoire’a – każde z nich było koszmarem drugiego, niech więc dalej snują wspólne sny. Zostawili Gaëlle, ich lady D’Arbanville, w samotności Montparnasse’u, aby czekała, aż dołączą do niej pod ziemią.

Loïc nawet nie zajrzał do Firefly Capital. Głupcy, którzy tam pracowali, od tygodni prowadzili firmę bez niego – mogli więc kontynuować po swojemu. Poświęcił kilka miesięcy na opiekę nad bratem i krok po kroku zbliżał się do swoich dzieci. Sofia doceniła jego starania i nie egzekwowała surowych postanowień wyroku rozwodowego. Mimo to dalecy byli od chęci powrotu do siebie: Loïc uwolnił się od kokainy, co nie oznaczało, że mógłby się stać idealnym mężem, a zresztą obchodzili go tylko Milla i Lorenzo – chciał mieć z dziećmi dobry kontakt, znaleźć miejsce w ich świecie i nie nudzić się w ich towarzystwie. I musiał włożyć w to serce,

toteż nie zamierzał tracić czasu na kobiety. Kiedy nie spotykał się z dziećmi, uprawiał sport i czytał *Diamentowy Wóz*.

Dokładnie opowiedział Erwanowi o swojej ekspedycji i uzyskał jego pochwałę. Stało się jasne, że teraz obaj bracia są równorzędnymi partnerami. Po tej rozmowie nie wracali już do sprawy. Tylko czasem, półsłówkami, wspominali Gaëlle, jak dotyka się opuszkami palców jątrzącą się ranę. Mówili także o starym, przeżywając żałobę. Ale nigdy nie wymawiali imienia Maggie, która zabrała swój sekret do grobu. Morderczyni, ofiara, manipulantka, niewolnica, potulna, zdominowana żona, kochanka, kobieta pełna nienawiści – nie potrafiliby powiedzieć, kim naprawdę była.

– Napijesz się jeszcze?

– Nie, dziękuję.

To nie był już ten sam głos ani ten sam człowiek. Może chropowate ziarno nowego początku, może ugór, który należało przywrócić do życia. Loïc dolał sobie herbaty i rozkoszował się jej zapachem. Każdy łyk gorącego napoju przypominał mu głęboki spokój dni spędzonych w himalajskim klasztorze.

Siedząc na trawie pod starym dębem, podziwiał morze, które łagodnym łukiem łączyło się z niebem, mieniąc się miliardami słonecznych cekinów, jak łup poszukiwacza złota.

– Wiem, co zrobimy – powiedział nagle. Podniósł się i stanął za leżakiem Erwana. – Pojedziemy razem do Zhongdian.

– Dokąd?

– Do Zhongdian, na granicy Tybetu. To tam odkryłem buddyjską myśl wadżrajany. To będzie taka krótka kuracja duchowa.

Erwan milczał – prawdę mówiąc, ten pomysł niezbyt przypadł mu do gustu.

Loïc mówił dalej, żeby wypełnić ciszę.

– Chińczycy zmienili nazwę miasta: dziś znane jest jako Shangri-La, w nawiązaniu do filmu Franka Capry *Zagubiony horyzont*, w którym Amerykanie odkrywają ukryte w Himalajach miasto. Chińczyków zainspirowali Amerykanie, których zainspirowali Chińczycy i…

Przerwał. Milczenie brata było twardsze od granitowych skał wybrzeża.

Powiedział sobie, że nie warto nalegać, gdy Erwan oznajmił:

– Zgadzam się.
A potem dodał odzyskującym płynność głosem:
– *Zagubiony horyzont*… W sam raz dla nas.

[1] Mission de l’Organisation des Nations Unies pour la stabilisation en République démocratique du Congo (monusco) – Misja Stabilizacyjna Organizacji Narodów Zjednoczonych w Demokratycznej Republice Konga.

[2] Armed Forces of the Democratic Republic of the Congo (fardc) – Siły Zbrojne Demokratycznej Republiki Konga.

[3] Congrès national pour la défense du peuple (cndp) – Narodowy Kongres Obrony Narodu, rebeliancka administracja utworzona przez Laurenta Nkundę w regionie Kiwu i walcząca z Siłami Zbrojnymi Demokratycznej Republiki Konga w Kiwu. m23 – Ruch 23 Marca, utworzony po perturbacjach z CNDP i oskarżany o zbrodnie wojenne.

[4] Podczas sesji rady miasta w Nanterre nocą z 26 na 27 marca 2002 roku niejaki Richard Durn zaczął nagle strzelać do radnych, kolejno do nich podchodząc. Zabił osiem, a ranił dziewiętnaście osób. Gdy pozostałym udało się go powstrzymać, krzyknął: „Zabijcie mnie!”. 28 marca, podczas przesłuchania, Durn wyskoczył przez okno z czwartego piętra budynku brygady kryminalnej.

[5] Brygada do walki ze stręczycielstwem.

[6] Gra słów: Trésor (imię Mumbanzy) w języku francuskim znaczy skarb.

[7] Brigade Anti-Criminalité (bac) – zwalczająca przestępczość struktura policji narodowej, wykorzystywana do działań w obszarach i środowiskach niebezpiecznych. Jej funkcjonariusze najczęściej pojawiają się w nieumundurowanych patrolach, poruszają się nieoznakowanymi pojazdami.

[8] L’Institut de recherche criminelle de la gendarmerie (IRCGN) – Instytut Badań Kryminalistycznych Żandarmerii, Brigade de Protection des Mineurs (BPM) – Brygada Ochrony Młodocianych.

[9] *Ewangelia według św. Łukasza*, 12,27, [w:] *Biblia Tysiąclecia*, Pallottinum, Poznań 1990.

[10] Brutalny mord na dwóch pielęgniarkach w szpitalu psychiatrycznym wywołał szeroką dyskusję na temat stosowanych w takich zakładach środków bezpieczeństwa.

===b11sX2ZQaFp1RHBJfEp+R39NflEcfQ9kRBZ3E2QFaxhzGg==